

Kaczkowski Zygmunt

ZAKLIKA

Noc była ciemna, zimowa. Na niebie Marzec już minął, ale na ziemi jeszcze śnieg leżał grubymi warstwami i tylko dalekie wzgórza czarne majaczyły grzbietami.

Przez cały dzień silny mróz ścisnął powierzchnię ziemi i szklili się gwiazdkami na śniegu, ale pod wieczór niebo się obciągnęło ciężkimi chmurami, gęste mgły opadały coraz niżej ku ziemi i zrobiło się wilgotno i prawie duszno w powietrzu.

Od czasu do czasu zrywał się wiatr północno-wschodni i pędził śnieżycą tak gęstą, że światła widać nie było — a kiedy chwilami ucichał, zostawał po nim swąd jakiś w powietrzu, jakoby gdzieś w dali wsie i miasta płonęły, a w ich popiołach zwęglaly się ciała zwierzęce lub ludzkie. Potem cisza się rozlegała po ziemi, cisza jakoby cementarna lub pogrobową, jaka następować zwykła po ukończonych walkach żywiołów, albo po wojnach pomiędzy ludźmi.

Szeroką drogą, nie murowaną tylko ubitą z wiekami, otoczoną z obydwóch stron sosnowymi i liściastymi lasami a wiodącą wzdłuż „suchej granicy” ku północnemu wschodowi, szedł człowiek podróżny, postępując naprzód krokiem różnym, ale jakoby niepewnym, bo co chwila przystawał i przykładając prawą rękę do czoła, wyteżał wzrok w tę stronę, gdzie przed nim zaczynały przerzedzać się lasy a w dali było widać szerokie pola śniegami nakryte. Czasami zaś, obróciwszy się bokiem do drogi, zdawał się nadśluchiwać, czy nie usłyszy jakiegoś ruchu, którego oczekiwania albo się może obawiał.

Chwilami, kiedy chmury się przerzedzały i robiło się cokolwiek jaśniej w powietrzu, można było ogarnąć okiem całą postać tego-człowieka. A wtedy widać było, że Był to mąż wzrostem wyniosły i zbudowany muskularnie i silnie, mógł mieć około trzydziestu kilku lat wieku, twarz miał pociągłą, otwartą, pogodną, na której męska się malowała energija, jednak w tej chwili jakoby jakimś głębokim bólem zalana; nosił ciemno-blond krótko strzyżoną brodę, na głowie miał czapkę baranią, energicznie osadzoną na bakier, na sobie dostatnią kurtkę przepasaną skórzanym pasem i wysokie myśliwskie buty na nogach. Tak wyglądał ten człowiek: ale dlaczego po nocy zapadłej się błąkał po

H :

lesie i dokądby zmierzał, to tylko jemu samemu było wiadomem.

Postępując z taką samą ostrożnością dalej, nagle po prawej stronie drogi usłyszał jakiś łopot w powietrzu. Spojrzał w to miejsce i ujrzał wysoki krzyż między drzewami, a obok krzyża kilku kruków, które z jednego drzewa przelatywały na drugie i czasem na pniu krzyża siadały. Krzyż tylko jedno miał ramie — a na tem ramieniu wisiał człowiek ze związanymi rękami i z głową pochyloną na piersi. Podróżny spojrzął na tego wisielca, ale twarzy jego nie mógł rozeznaczyć, bo na nią długie zburzone włosy jak po-wichrzona strzecha spadały, a oprócz tego i głowa i cały tułów były z prawej strony przysypane warstwami śniegu, które zapewne już od dni kilku kładły się jedna na drugiej: wisielec chwiał się na wietrze a śnieg spadał zeń płatkami na ziemię.

Podróżny musiał być zapewne oswojony z takimi widokami, bo niebawem odwrócił się od niego a rzekłszy do siebie: — Ten mnie nie zdradzi, — poszedł dalej.

Ale zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, znów stanął¹ wycężył ucho ku zachodowi. Zdawało mu się, jak gdyby w tej stronie usłyszał głos dzwonka, jaki częstokroć* parobcy zawieszają u małych saneczek. Zamyślił się nad tem, *jak gdyby chciał coś odgadnąć; ale w tej chwili zwrócił się ku wschodowi i musiał zapewne z tej strony coś innego dosłyszeć, bo skoczył nagle na prawo i zniknął pomiędzy drzewami.

Tymczasem zerwała się znowu śnieżycy i wicher coraz się wzmagający zaczął huczeć w powietrzu i jęczeć wierzchami lasu — a razem z wichrem skorupa ziemi zaczęła drżeć jakby od gromów uderzających w -dali i dał się

1*

słyszeć głuchy tentent po śniegu ubitym, jak gdyby drogą stada bydeł lub koni ku lasowi pędziły. W chwilę potem razem z śnieżycą, świszczącą korytem lasu ku zachodowi, przeleciał co koń wyskoczy szwadron kawaleryi na ciężkich koniach, mignął się tylko jak widmo w śnieżystą obwinięte mgławicę i zniknął w lesie. Skorupa ziemi drżała jesapze przez chwilę a potem wszystko ucichło.

Śnieżycą także\ustała i tylko śnieg padał mokremi płatami i nakrywał ślaay kopyt końskich na drodze wyryte. Ale na środku drogi coś majaczyło. Zrazu widać było tylko wywrócone saneczki i parę koników leżących na ziemi, około których się krzątało dwóch ludzi. Po chwili ludzie ci dopomogli konikom, ażeby wstały na nogi i saneczki postawili także na kopanicach a kiedy jeden z nich poprawiał rzemienie na koniach, drugi stanął na saniach i "porządkował siedzenie.

Podróżny wyszedł z ukrycia i zbliżył się wolnym krokiem do sani. Natenczas człowiek stojący w. saniach wyprostował się, obrócił się ku niemu i wziął go ostro na oko. Był to mnich, w kapucyńskim habicie, z kapturem zarzuconym na głowę, mąż duży wzrostem i barczystej budowy, czarna broda mu spływała na piersi, twarz miał bladą a oczy piwne szeroko ^otwarte i temi oczyma patrzył groźnie na ^podróżnego. Lecz kiedy podróżny się jeszcze więcej zbliżył do niego, blask zdziwienia przeleciał po jego oczach* uderzył w dłonie i zawołał: -- Jezus Marya, Zaklika...

Podróżny uśmiechnął się do niego i chciał mu coś odpowiedzieć, ale tymczasem xiądz rzekł spokojnie:

— A ja myślałem, żeś ty już dawno u jenerała, obawiałem się nawet, że cię już nie zastanę.

A Zaklika odpowiedział mu na to:

— Musiałem cały tydzień przesiedzieć u Sanka, przecie sam widzisz, co się tu dzieje.

— Jużci widzę — rzekł mnich — i nawet nie mogę pojąć, jak się coś takiego stać mogło.

Oczywisty cud Boży,, Gały szwadron przeleciał przezemnie a ani nam, ani koniom nic się nie stało.

— To bardzo często się zdarza, ~ odpowis mu na to Zaklika jako człek doświadczony, — pierwsze konie się rozskoczyły na widok sanek a drugie w ich ślady.

— \ Zawsze-to w tem widać rękę Bożą, rzekł mnich i. dodał zaraz, — ale co powie generał na to opóźnienie ? boję się, aby nie spadły na ciebie napoleońskie gromy.

A na to Zaklika:

— Uprzedziłem go o tem. Przysłał mi instrukcję.

• Klucz mam w kieszeni.

— Więc siadaj ze mną, -r- rzecze mu xiądz, —^r podwiozę cię pod samą bramę pałacu.

Zaklika zdawał zgadzać się na to, ale nimby miał wsiąść do saneczek, spojrział na parobka.

Był to człowiek już blisko sześćdziesięcio-letni, ale czerstwy i wyprostowany z żołnierską, z siwą brodą i bardzo zmyślnymi oczyma, w chłopską ubrany siermięgę i okrągłą czspkę baranią.

Kiedy Zaklika mu się przypatrywał, Xiądz przerwał jego uwagę, mówiąc prędko:

— To Fryga, mój człowi.ek, co jest dziadkiem kościelnym przy grobowej kaplicy.

Przecie go znasz.

Na to Fryga zdjął czapkę, pokłonił* się Zaklice i rzekł z poufałym uśmiechem na twarzy:

m

a— Byłem i ja też z jegomością na rekolekcjach u Kapucynów. Byłem także przy cerkwi...

— Tak, — rzecze Zaklika, — a umiesz ty milczeć?

— Jak grób, jaśnie panie. Przecie ja stary żołnierz.

— Ale-to czasem i* starzy żołnierze, jak się zejną w gospodzie...

Ale Fryga przerwał mu, mówiąc:

— Tacy-to i żołnierze, ja służyłem w czwartym lini- jowym.

— Bardzo dawno już temu, — rzekł na to Zaklika a obróciwszy się do mnicha, odpowiedział mu: — słu- chajże Prandota, więc siądę z tobą, ale mnie podwiesziesz tylko pod ogród.

To rzekłszy, wsiadł do saneczek i pojechali — a jadąc, żywo rozmawiali ze sobą.

Lecz. była-to podróż niedaleka. Nieł^awem bowiem • wyjechali z lasu i czyste pola się rozścieliły przed nimi. Szeroka droga szła dalej, lecz oni skręcili ku północy i jechali dalej drogą polową, która prowadziła do jakiejś ogromnej wsi, ciągnącej się długim iącuciohem chat ku zachodowi i gubiącej się w lasach.

Na samym wstępie do wsi zarysował się przed nimi wielki pałac z żółtawerhi murami i dachem baniastym ; pałac był obrócony frontem ku wschodowi, a otoczony z trzech stron bardzo rozległymi budynkami i ogrodami. ^ Tu, pod ogrodem, z którego po nad "drogę starożytne i rozłożyste zwieszały się drzewa i gdzie się droga jeszcze raz rozdwajała, zatrzymali saneczki. Zaklika ścisnął mnicha za rękę i rzekł mit:

— A więc do jutra.

Mnich skręcił na lewo, gdzie za ogrodami widać było

wieżę kościoła, a Zaklika okrążył tę część ogrodu i doszedł niebawem do frontu pałacu, przed którym się rozścielał ogromny dziedziniec, zamknięty z tej strony wysokimi że- lazniemi sztachetami z dwiema oddalonymi od siebie ogro- mnymi bramami. Pomiedzy temi dwiema bramami stał jakiś długi murowany budynek, zapewne mieszkanie odźwiernych. Przy pierwszej bramie była furtka, Zaklika otworzył ją kluczem, zamknął za sobą, przeszedł dziedziniec i wszedł po czterech kamiennych schodach na ganek, równie bardzo obszerny i na dwóch murowanych kolumnach z każdej strony oparty.

Dotąd nigdzie ani światła, ani żadnego rufchu nie dostrzegł. Chociaż to była dopiero godzina dziewiąta, zdawało się, że wszyscy mieszkańcy już dawno się do snu pokładli. Dopiero kiedy otworzył drzwi wchodowe i wszedł do wielkiej antykamery, spostrzegł przy drzwiach prowadzących do dalszych pokojów starego kamerdynera drzemiącego w skórzanym fotelu a przy nim na stole lampę "ciemno-zielonym daszkiem nakrytą.

W czasie zwyczajnym siadywało tu do północy siedmiu lub ośmiu lokai" w czarnych frakach albo w liberyi a przy nich dworski kozak, który miał stójkę, bo generał, przez całe życie do tego przyzwyczajony, rad liczną otaczał się służbą, którą w wojskowym utrzymywał rygorze; ale od •dni kilkunastu kamerdynier wcześniej dawał im urlop i spać ich wysyłał, z czego wszyscy byli kontenci, mówiąc sobie, że generał na starość wydobrzał.

Kamerdynier., kiedy poznał Zaklikę, chociaż już bardzo był stary, zerwał się jak młodzieniec z fotelu, białą czuprynę i białą kra wateę na prędce poprawił, a uśmiechnąwszy się dworsko dó niego, rzekł prędko:

— My tu" na jaśnie pana już od tygodnia czekamy. k— Jak się masz. stary, —
odpowiedział mu Zaklika,— a generał w jakim humorze?

- — W dobrym, jak zawsze, tylko trochę się niecierpliwi. . . .

A to mówiąc, drzwi mu otworzył szeroko, jak je otwierał tylko takim osobom,, dla których
był z wielkim respektem.

Przez te drzwi wszedł Zaklika do wielkiej sali o bardzo wysokim pułapie,, której ściany
były starą złoconą skórą obite, i ozdobione sztukateriami. Haja ta była zapewne niegdyś salą
jadalną, bo przy lewej ścianie stały dwa kolosalne kredensy z dębowego drzewa rzeźbione.
Naprzeciwko- wchodowych drzwi stał komin, ogromny jak kaplica, z dachem na dwóch
marmurowych kolumnach opartym, w którym, na wielkich wilkach żelaznych paliły się kłody
drzewa sosnowego jasnym, płomieniem. - Obok komina na prawo stał wielki parawan,
również złoconą skórą obity, za którym znajdowały się zapewne zapasy drzewa.

Przy kominie na małym stołeczku siedział chłopaczek, co najwięcej dwunastoletni, bardzo
ładny blondynek* z du- żymi niebieskimi oczyma i jasnymi kędzierzawymi włosami, które mu
na kark spadały, a ubrany w biały chłopski sie- raczek i skórzanym pasem przepasany/
Widocznie chłopskie dziecko, ale schludnie trzymane. Siedział on tutaj zapewne dla
pilnowania ognia w kominie, ale zarazem trzymał jakąś starą książkę jja kolanach i pilnie w
niej czytał.

W dzień oświecały tę salę cztery okna wyrżnięte ukośnie w środkowym sklepieniu pułapu,
ale teraz rzucała światło tylko na jej jedną połowę wielka lampa astralna

stojąca na brzegu wielkiego stołu, przypartego do ściany po prawej stronie.

Przy tej lampie w wielkim skórzanym fotelu z podnóżkiem siedział starzec owinięty w biały szlafrok flanelowy z czerwonym kołnierzem i klapami a futerkiem podszyty i także książkę trzymał przed sobą, w-której czytał bez okularów. x *

% Starzec ten musiał mieć już lat 'ośmdziesiąt z okładem i zdawał się ogromnego być wzrostu, chociaż plecy miał przygarbione, głowę trzymał prosto i sztywnie, zmarszczków miał jeszcze niewiele, ale skóra na jego ogolonej twarzy wyglądała-jak stary pergamin wywędzony na wiatrach, oczy miał .piwne, dziwnie łagodne i wciąż uśmiechnione a tylko gęste krzaczyste brwi, równie białe^ jak jego -bogata a po wichrzona czupryna, kazały się domyślać, że z-tych oczu, -kiedy te brwi się ściągną i niższą część czoła w podłużne zmarszczki ułożą, mogą czasem uderzać pioruny.

Kiedy Zaklika wszedł, starzec książkę na stół położył a uśmiechnąwszy się, rzekł: Przecież nareszcie przychodzisz. Jeżeliś głodny, każę ci przynieść posiłek.

To mówiąc, podał mu rękę, Zaklika nachylił się nad nim, pocałował go w ramię i odpowiedział:

— Nie, głodny hie jestem, odpoczywałem przez cały tydzień i przez cały ten czas tylko jadłem i piłem.

— Więc siadaj i opowiadaj, — rzecze mu starzec, — więc znowu rozbito?

Zaklika siadł z tej strony stołu," obróciwszy się tyłem do komina a odetchnąwszy odpowiedział: * — Rozbito — i tym razem już podobno na zawsze.

— Tak się spodziewam dla ciebie i dla nas*wszyst- kich, — rzekł *na to starzec a potem dodał,— taka-to wojna, gdzie nawet nie można było się porządnie wy- kropić.

Zaczem się oparł prawem ramieniem na stole i potem długo rozmawiali ze sobą. Mówili po francusku, który m-to językiem obydwu łatwo władali, wszelaka od czasu* do czasu wyrzywały im się nietylko słowa, ale nawet całe okresy polskie. Natenczas starzec spojrzął ku kominowi i rzekł:

— Nurek! nakryj głownie popiołem i idź sobie spać.

Na to ów mały chłopaczek się zerwał, zrobił porządek w kominie i wyszedł.

Po jego wyjściu starzec rzekł niecierpliwie:

— Więc kiedyś miał kawaleryę przy sobie, to trzeba było naprzód kawaleryą uderzyć, niechby ich wszyscy diabli wzięli, przecież od tego siedzą na koniach*

Na to Zaklika uśmiechnął się i zaczął mówić:

— Kiedybo generałowi zawsze się zdaje, że to byli żołnierze a to tymczasem....

I potem znowu długo mu opowiadał. Generał słuchał go niecierpliwie, aż w jednej chwili brwi zmarszczył i przerwał mu gniewnie:

— Więc jakże? ani ludzi, ani broni, ani pieniędzy, więc po jakiego diabła było się porywać? i po jakiego diabła tak długo te niedorzeczne załębki przewlekać?

I sapał mocno. Zaklika spuścił ojszy ku ziemi i rzekł:

— Wśród powszechnego oszołomienia, jedni, zdjęci niewczesną rospaczą, zaczęli — a drudzy, taką samą rospa- czą porwani, rzucili się w ogień, ażeby zginąć. A potem, to już dyplomacya...

— Dyplomacya zawsze tylko głupstwa robi, kiedy się

wmiejsza do wojny! — zawołał z gniewem generał i mówił potem surowo i ważnie: — Narody i społeczeństwa nie podnoszą się tymi, co giną z rozpacz, tylko tymi, co dla nich żyją i dla nich pracują. Ginie się zawsze, kiedy tego potrzeba, ale się ginie ze sławą, a więc i z pożytkiem dla społeczeństwa. Nie odniosło się materialnyGh korzyści, to, się odniosło korzyść moralną. Ale ginąc bez sławy a więc bez pożytku, to samobójstwo, które nie może nic innego pozostawić po sobie, jak rozbitcie fizyczne i rozbitcie moralne. Samobójstwa popełniają ludzie i popełniają narody — a świat ma ich w pogardzie, i jednych i drugich...

Szlachetnym uniesionym gniewem, generał jeszcze fu- kał cokolwiek, ale niebawem się uspokoił, bo gniew u niego nigdy ..nie trwał długo, zaczęł nachylił się ku Zaklice i spytał:

— Więc jakże to było z tą cerkwią ?

A na to mu odpowiedział Zaklika:

— Nie można było wziąć mieczem, więc wzięło się ogniem.

Poczem znowu mu przez jakiś czas opowiadał i widać było, że generał całkiem się rozweselił, bo jak tylko mowa była o bitwach, to jemu zawsze dusza się śmiała. A kiedy Zaklika skończył, on go zapytał:

— Któż tam był przy tem z tych, co cię znają z na- * zwiska ? •

— Tylko Prandota i Fryga, — odpowiedział Zaklika.

Generał^ylko ręką machnął na to i rzekł:

— Więc nie masz żadnej obawy. Więc tedy zostaniesz ? Chciałbym, abyś zabawił przynajmniej kilka tygodni, bo do- brzeby było, abyś się bliżej rozpatrzył w tem, co ci zosta

wiam. Ja, w moim wieku, stoję jakby w ogniu armatnim i kto wieć, ile miesięcy a może tylko tygodni jeszcze mi przeznaczono. Z przed ludzkich armat wychodzi się cało, bo się je bierze bagnetem, ale kiedy wyleci strzał rdzenny z Bożego* działa...

4 . Tu Zaklika mu przerwał, mówiąc:

— Jeszcze to nie dziś, ani jutro. Stryj*jesteś tak . zdrów, że nas wszystkich przeżyjesz. Jakoż z tego powodu mój pobyt tutaj wcale nie jest potrzebny — a są powody, dla których powinienbym teraz stąd się usunąć. Mogę później w -całkiem innych warunkach tutaj powrócić. Wia domo przecież jenerałowi, że ja od blisko roku leżę w szpitalu w Rydze. Do Rygi świat niedaleki, chociaż trzeba bęń dzie okrążyć; pojedę. zatem do Rygi, wyjdę aę szpitalu,

z certyfikatem wrócę do siebie na Żmudź i stamtąd przyjadę pocztą a choćby nawet w mundurze. Nie wiem, co się tam dzieje z moją biedną żoną i z dziećmi — a i tutaj także jeszcze, nie wiemy, co się dalej dzieć będzie.. ^

— To, co mówisz bardzo mnie nęci, — odpowiedział mu na to jenerał. Bo naiprzd jest tp rozumne, potrzeba koniecznie; ażebyś drogą regularną zajął na powrót twoją pozycę. A potem rozumiem, że mógłbyś tutaj przyjechać z żoną i z dziećmi. Pomieszczenia u mnie jest więcej niż trzeba, mnieby się dom rozweselił a kiedyby się wam podobało, mógłibyście "tu zostać" na zawsze i donieślbyście « mnie na waszych rękach do grobu. Zastanowimy się nad tem spokojnie, bo przecież na każdy wypadek zabawisz u mnie choć z tydzień. Idźmy więc spać.

A to mówiąc, uderzył trzy razy w dłonie i takim ogromnym głosem, jak gdyby stał na czele brygady, zawołał :

— Fujara!

Na tę komendę dał się słyszeć jakiś "szelest i' łopot koło komina a niebawem wylazła z za parawana jakaś na pozór bardzo niepoczesna figura. Był to człowiek około czterdziestu lat wieku, bardzo niskiego wzrostu i jakby trochę garbaty, na krótkich nogach ale z długimi rękami, zgoła prawie karykatura, jednak twarz miał bardzo przystojną i .okazała, ciemne blond włosy w tył zarzucone, oczy duże niebieskie bardzo łagodne a do tego wąs bardzo obfity w górę zaczesany i gęstą bródkę hiszpańską. Lecz wy lazłszy' z za parawana, tak chwiał się na nogach i tak był zaspany, że ledwie wiedział, gdzie się znajduje.

Zaklika patrzył na niego okiem niepewnym, jak gdyby coś sobie przypomniał, ale generał rozweselił się jego widokiem i rzekł do niego:

/—"Spałeś jak świszt od samego obiadu. Wprawdzie nie służyłeś nigdy w wojsku a od takich ludzi trudno wymagać rozumu, ale przecież powinieneś był się domyślać, że ten gość może dzisiaj przyjechać, dla którego przygotowałeś mieszkanie.

Teraz Fujara się całkiem ocucił, objął Zaklikę zupełnie rozjaśnionymi oczyma, i zaraz ku niemij się rzucił, wołając : - -

€ Czesław! jak mi Bóg miły! przecie Bóg łaskaw!

•bo ja, prawdę mówiąc, jak to ciągle mówiłem generałowi, nigdy w to nie mógł uwierzyć, że ty jeszcze tu wrócisz.

To mówiąc, ścisnął mu obydwie ręce serdecznie, lecz widząc, *że Zaklika jakoś dziwnie mu się przypatruje, dodał prędko:

- A ty tak patrzysz na mnie, jakbyś mnie nie poznał. Pewnie myślałeś, że zginąłem...

Zaczem Zaklika uśmiechnął się także, lecz rzekł co-» kolwiek zimno:'

— Już cię poznał, tylko mi się zdawało, jak gdy« byś teraz albo jedną nogę miał krótszą, albo na nią nalegał. *

Jenerała ta uwaga bardzo zabawiła, jakoż zaraz dodał wesoło:

— On ma obydwie nogi. krótsze i na obydwie kuleje.

A potem, przechyliwszy się ku Zaklice, który stał przy nim, tak mówił:

— Mimo to wszakże nie zginął, chociaż bardzo niewiele brakowało do "tego. Bardzo-to ciekawa historia, więc ci ją opowiem. Przeszłego roku o wiosnie, jednego dnia, Fujara prześnił noc niespokojnią a nazajutrz był niezmiernie wzburzony. Pytam, co jest ? powiada mi, że mu jakieś baby z sąsiedztwa przyśłały skórę zajęczą, że takiej* hańby znieść nie potrafi, że honor mu jest milszy nad życie, że i on także pójdzie na wojnę. Staralem się umitygować jego ferwor rycerski i uspokoić jego sumienie, mówiąc mu, że on nie do wojny, że go tam chyba jaki dragon nogami rozdepcze i tak zginie śmiercią niesławną ostatni z rodu Fuja- rów; ale nie było sposobu. Uparł się i koniecznie na wojnę. Więc co było robić? Zamiast sto rubli jak zwykle, dałem mu sto dukatów, z którymi też. przebrał się do Krakowa. Tam zaczął się zbroić okrutnie i zbroił się przez kilka mie-* sięcy. Aż jednego wieczora idzie sobie miastem z najspokojniejszym sumieniem, że swoich obowiązków rycerskich święcie dopełnia, kiedy skręciwszy W-boczną ulicę spotyka go jakichś dwóch drabów, z których jeden był strasznie wielki i gruby. Ten drab, jak go tylko obaczył, roziskrzył oczy i krzyknął: — A tuś mi rabusiu! teraz mi bekniesz

duszą w moich pazurach! I tak krzyżąc, naprzód strącił mu z głowy kapelusz, potem lewą ręką porwał go za czuprynę a prawą wali go w papę raz, drugi i trzeci. Fujarze ciemno zrobiło się w oczach, odszedł od zmysłów, nie wiedział sam, co się z nim dzieje — a kiedy znów przejrzał, cóż widzi? Oto ten drab trzyma tam czapkę przed nim, uśmiecha się do niego i mówi głosem przeciągłym: — Przepraszam pana dobrodzieja... ja myślałem, że to ten szelma Żbik, co nam kasę ukradł z kwatery i uciekł; —' Poczem się obrócił do swego kolegi, mówiąc: — Nieprawda, jak ten pan do Żbikowskiego podobny, ale to wyróżnij diabie, właśnie jakby dwie krople wody... A potem znów do Fujary: — Przepraszamy pana dobrodzieja, bardzo go przepraszamy — i poszli. Fujata, z opuchniętą gębą jak dynia, został się na rogu ulicy i bardzo się nad tem zamyślił. A namyśliwszy się, powiedział sobie: Taka-to wojna? gdzie swój bije na swego a jeszcze do tego pod "bezimien- nem nazwiskiem?" głupibym był, gdybym jeszcze dalej służył wojskowo — i poszedł do dyplomacyi.

Jenerał już może po raz dziesiąty opowiadał tę anegdotę, ale zawsze się śmiał przy niej serdecznie.

Zaklika także się śmiał, ale widać było po jego twarzy, że myśli miał czem innem zajęte. Tymczasem Fujara rzucił się ku jenerałowi a całując go w ramię, mówił wesoło:

— Nasz jenerał jest doskonały! Gość tam było,[#] ale całkiem inaczej. Ale-ja tak kocham jenerała, że zawsze dałbym sobie paleg uciąć u ręki, ażeby jenerała w dobry humor wprowadzić, więc nic rektyfikować nie będę. Wszakże to dodać muszę, że tam pomimo to chleba nie jadł za darmo, bom przecie w przeciągu pięciu miesięcy był sied-

mnasie razy w Paryża i za wszem zdrów ztamtąd powrócił.

— Otóż to jest zasługa! — zawołał na to generał, — bo chybaby pociąg musiał się być rozbić, ażeby ci się było co stało. Jednakże przyznaj, że takim zuchem jesteś tylko na kolei, może równie walecznym byłbyś na statku parowym, ale jak przyszło się ziemią przebierać, to cię tu w zimie przywieziono zawiniętego w koce i tak byłeś obdarty, że nawet hajdawerów na tobie nie było. I do dnia dzisiejszego jeszcze nie mogłem się od ciebie dowiedzieć, na jakiej to wojnie i kto cię tak oporządził..

Więc teraz już i Zaklika się śmiał, ale generał rzekł zaraz do niego: »

— Idź! Że więc spać i spij sobie choćby do południa, ale o południu śniadanie.

-- Fujara zapalił świecę- i przeprowadził Zaklikę ciemnerai • krużgankami na pierwsze piętro, gdzie od tyłu pałacu znajdował się duży i piękny pokój sypialny. Zaklika obejrzał się po pokoju i rzekł:

— Spałem tu już w tej izbie dwa razy, ale nie pamiętam, jakie jest jej położenie. Jest-że tu jakie wyjście na wypadek alarmu?

A wtedy Fujara zaprowadził go do przyległego alkierza i pokazawszy mu drzwi szklane?, odpowiedział mu zmyślnie:

— Za temi drzwiami znajduje się balkon, z którego zbiegają wygodne schody w dziedziniec, dziedzińców tutaj jest kilka zabudowanych jak jakie miasteczko, % w których sam diabełby swoich dzieci nie znalazł, ale które ja znam jak swoją kieszeń, a tutaj na prawo, — dodał znacząco, —

stoi oficyna, w której ja mieszkam... więc możesz spać sobie spokojnie.

— Tak tedy dobrze, — rzecze mu na to Zaklika, — więc tylko jeszcze o to cię proszę, abyś pamiętał, że ja tu nie jestem pod "bezimiennem nazwiskiem".

Więc Fujara wskazał palcem na swoje czoło i odpowiedział mu z wielką powagą:

— Jenerał sobie czasem żartuje ze mnie, ale tutaj jest wszystko w porządku.

Za chwilę potem wszyscy zasnęli snem sprawiedliwych w pałacu.

II.

Nazajutrz rano około jedenastej godziny jenerał siedział w swojej bibliotece, która przytykała do jego sypialni a od środkowej hali była przedzieloną co najmniej sześcią pokoi. • Wszystkie pokoje w tym pałacu były duże, więc i biblioteka była bardzo obszerna i obstawiona dokoła wy- sokiemi szafami. Pomędzy oknami stał stół zielonem suknem nakryty, na* którym leżały porządnie poukładane książki i papiery. Jenerał, ubrany w długi surdut granatowy i białą chustkę na szyi, z czerwoną rozetką w kłapie jako komandor krzyża legii honorowej, siedział przy stole i był zajęty rozmową ze swoim proboszczem.

Obok stołu po tej stronie siedział w głębokim fotelu Xiądz Prandota, proboszcz miejscowy, i słuchał tej rozmowy z wielką uwagą. Był on ogolony starannie i ubrany w całkiem nową sutannę a postać jego miała tyle powagi, że zdawało się konieczne, jakoby mu brakowało fioletów i krzyża złotego na piersiach.

Jenerał był nastrojony w tej chwili na ton uroczysty

Zaklika. T. 1.

g

Prawdopodobnie chcąc oddać swojemu synowcowi swój cały majątek, był przejęty uczuciem, że to jest ostatni akt jego życia*. Rozmawiał z Xiędzem już przeszło godzinę a teraz tak mówił, jak gdyby odprawiał spowiedź generalną z całej swojej ziemskiej wędrówki. Mówił jędrnie lecz sucho, jak gdyby kto drzewo rąbał toporem:

— Ludzie boją się śmierci, ale to tylko Jacy, którzy mają jeszcze jakieś pragnienia albo też czują niepokój w swoim sumieniu. Ale kto dopełnił wszystkich swych obowiązków, jak je rozumiał, kto użył wszystkiego, czego można użyć na tej ziemskiej skorupie, komu jego własne kości* ciężą jak kościół maryjański, kto już sam nie wie, dlaczego wieczór suknie zdejmuję ze siebie a rano się, znowu ubiera, dla tego śmierć jest jedynym pragnieniem. Ja o niej marzę codziennie jako o najwyższym ideale człowieka na ziemi. I powiadam tobie, p że tylko starzec potrafi pojąć, jakim szczęściem to jest położyć się w trumnę a kładąc się^ wiedzieć, że z tego*snu już nas nikt nie obudzi i tego spokoju nigdy nam nikt nie zamąci...

Tu X. Prandota podniósł głowę,* "spojrzał na generała i zdało się, jakoby miał z&miar coś mu odpowiedzieć, ale namyśliwszy, się chwilę, nic nie powiedział.' Generał zaś tak mówił dalej:

— Wszelako jeżeli trębacz niebieski na mnie zatrąbi, abym szedł do apelu... . % '

— Pewnie zatrąbi, — rzekł Xiędz z naciskiem. .

Generał spojrział na niego i widocznie niekontent był z tego, że ktoś mu przerywa, jakoż zaczął na nowo:

; —Jeżeli trębacz niebieski na* mnie zatrąbi, to nie tyle z uczucia chrześcijańskiej pokory, —* te słowa wymówił głośniejsz — ile dla zachowania . dyscypliny, stanę > przed

sądem. Ale stanę śmiało i bez najmniejszej obawy. Wprawdzie wiele złego było w mem życiu. Całe morze krwi ludzkiej mam na mojem sumieniu. Bo ja nie* byłem z tych żołnierzy, co na polu bitwy kręcą się na konikach: u raftie konie były do marszu a kiedy trzeba było iść w ogień, to zawsze sam brałem karabin do ręki i szedłem naprzód, choćby ziemia się trzęsła podemną. Żądałem krwi od moich żołnierzy i Bóg sam wie tylko, ile jej przelali po jedniej stronie, i po drugiej, ale ja niosłem przed nimi krew moją — a tak -rozumiem, że mi to będzie policzono na sądzie... Było i innych grzeszków cokolwiek w tych czasach. Żołnierz nie może żyć jak żyją mnichy w klasztorze. Żołnierz napoleoński nie srómał się żadnej swawoli. Ale i to sownie zmaszało się krwią... Jednak nie o to mnie będą pytać pa sądzie, ilem krwi przelał i jakie tam przy tym przelewie krwi jeszcze inne działały się rzeczy, tylko o to, dlaczegom tę krew przelewał, bo bitwa dla bitwy jest grzechem. Otóż jam się nie bił dla bitwy. Dwudziestoletnim młodzieńcem, załedwim akademiję wiedeńską ukończył, poszedłem bić się i zarwałem jeszcze legionów w Marsylii — a kiedym tam* szedł,, wziąłem grudkę ziemi ojczystej w szkaplerz zaszytą i nosilem ją przez wszystkie wojny na piersiach. Więc kiedy trębacz na mnie zatrąbi, to ja z tą grudką ziemi stanę na ^sądzie i, nie ja, ale ona będzie za mnie mówić przed Bogiem.

Tu umilkł. A potem spojrział na Xiędza i spytał:

— Cóż tedy rozumiesz? mów śmiało®, jak gdybyś siedział w konfessyonale.

A Xiędz odpowiedział mu na to:

— Ta grudka ziemi zaważy więcej przed Bogiem, niżeli wszystkie grzechy żołnierza.

W tej chwili wszedł Zaklika. Wszedł krokiem różnym i chciał się zbliżyć do generała, aby mu "rękę uściskać, ale generał powitał go ręką zdaleka i wskazał mu krzesło, które stało o podał od stołu. Zaczem Zaklika usiadł na niem w milczeniu, generał zaś tak mówił dalej:

— Gdzie potem byłem, w jakich, szturmach widziano między pierwszymi, jaką pracą zdobywałem sobie po kolei moje rangi i krzyże, o tem pisze historya. A nie poszedłem tam także ani z rospaczy, ani dla zrobienia karyery, bo przecież miałem majątek: mieliśmy Zaklików wówczas jeszcze bez długów i mieliśmy leśne dobra na Żmudzi a było nas tylko dwóch braci. I nie liczę sobie tego jako zasługę, bo był to mój obowiązek. Ale ja dopełniłem jeszcze i innych obowiązków wedle mego sumienia. Kiedym powrócił z pod Lipska a brat mój wtedy był jeszcze*chłopiędem, to zastałem nasze majątki w takim rrieludzkiem zniszczeniu a na nich takie niepoliczone długi, 'żeśmy wtedy nic prawie nie mieli. Musiałem służyć* dalej, bo nie miałem gdzie głowy przytulić. Ale mimo to zakasałem rękawy do pracy i wyrąbałem te ziemie, które już były przepadły, ażeby pozostały w naszym imieniu. Podzieliliśmy się wówczas temi ziemiami sumiennie, jak na braci^ przystało. A kiedy mój brat zginął w moich oczach przy szturmie Warszawy i jedynego syna zostawił prawie w pieluchach, to oto ten syn mnie wyświadczy, aże nie pilnował jego ziemi jak mojej własnej, — a kiedym go oddał do akademii wojskowej do Petersburga i potem do służby, aże nie czuwał nad nim jak ojciec, ażeby także umiał dopełnić tych obowiązków, jakie jego czas włoży na niego, bo obowiązki zawsze zależą od czasu, w jakim się żyje. Ale jest jeden obowiązek, którego trzeba dopełniać po wszystkie czasy — a tym obo-

wiązkiem jest zachowanie ziemi, którą nam zostawili ojcowie. Wojna jest bardzo pięknym rzemiosłem. Wojny trwać będą tak długo, jak długo ludzie staną na ziemi. Każdy człowiek ceni najwyżej swoje własne rzemiosło, jest to rzecz ludzka: toż i ja między ludźmi najchętniej widzę żołnierzy. Ale kiedy całe społeczeństwo okiem obejmę, to rad przyznaję, że jest coś wyższego nad wojnę a tym wyższym jest praca, bo nie na tych polega szczęście ludzkości, co burzą, ale na tych, którzy budują. Toż i my, gdybyśmy nie byli myśleli o wojnach a oddali się pracy, to bylibyśmy pracą zaszli daleko dalej, niżeliśmy zaszli wojnami. Życzę wam, abyście tę naukę przyjęli odemnie i zostawili ją swoim następcom.

Trwała chwilka milczenia, poczem generał obrócił się do Zakliki a położywszy rękę na jakichś grubych fasykułach, które przed nim leżały na stole, rzekł do niego:

— Kazałem przygotować dla ciebie trzy inwentarze: inwentarz nieruchomości, inwentarz zasobów ruchomych i inwentarz kasowy. Zaklików składa się z sześciu folwarów, ziemia dobra, łąk dużo, lasy nietknięte; bydła, koni i owiec, jest tyle, ile ich można wyżywić a w mojej sypialni jest skrzynia żelazna, która także niepróżna. Trzeba ażebyś przejrzał to wszystko, bo chociaż Kański jest z tych, ludzi, co umrą z głodu przy worze dukatów a ani jednej sztuki nie ruszą, to jednak dobrze ci wiedzieć, co ci po mnie zostanie.

W tej chwili wszedł stary kamerdyner i zapowiedział, że do śniadania nakryto. Przeszli więc wszyscy do małej sali jadalnej, która się znajdowała obok sypialni i w której generał rano pijał herbatę.

Przy śniadaniu mówiono o wojnie hiszpańskiej a generał

opowiadał ciekawe anegdoty o Giedroiciu, którego zmyślna a przytem szalona odwaga przypominała wojenne sztuczki średniowiecznych rycerzy.

Po śniadaniu generał kazał powozowi zajechać przed ganek a wzięwszy Fajarę ze sobą, wyjechał na przejażdżkę, jak to zwykł był robić codziennie, wyjeżdżając zaś rzekł do Zakliki;

— Pojadę dzisiaj do mego przykomorka i osaczę, co* się tam dzieje, może ci się to przyda do twojej podróży.

Poczem Prandota poszedł na probostwo a Zaklika zasiadł do przeglądania inwentarzy.

Około czwartej generał powrócił a wchodząc do biblioteki powiedział do Zakliki ze znaczącym uśmiechem:

-r Cisza wszędzie jak gdyby wszyscy wymarli.

Prandota także powrócił.

Wtedy generał zasiadł znowu przy swoim stole i tak mówił:

1 A 3 r;vJMc' - . 0

— U mnie gospodarstwo jest płodozmienne, ale mimo to staroświeckie. Jest trochę maszyn, ale ufrzymują je w ruchu tylko konie i ludzie. Siła pary jest u mnie* nieznana. Oczywiście że trzeba ją zaprowadzić, zwłaszcza jeżeli robotnik zdrożeje. Ale to już nie moja rzecz dawać ci rady, jak masz gospodarstwo Urządzić: świat ani krokiem nie postąpiłby-naprzód, gdyby młodzi to tylko robili, co im radzili starzy. Cóż, przejrzałeś inwentarze ? jeżeliś czego nie zrozumiał, to spytaj.

Zaklika zaś odpowiedział mu na to głosem widocznie wzruszonym:

• -. y • -

— Przejrzałem, bo stryj tak kazał. Ale przyznać się muszę, że bardzo przykra-to była dla mnie robota i bar-

dzobym prosił, żebyśmy więcej o tem nie mówili... dale- kie-to rzeczy.

— Mówisz jak panna albo jak poeta, — rzekł na to generał. Ja także lubię poezję, ale w czynach, nie w słowach. Róbmy piękne i dobre rzeczy a zostawmy to innym, aby je opisali. Przecież i ja byłem poetą, bo całe moje życie było poematem, w którym jest akcja główna i jest epi- zodów wesołych i smutnych więcej jak trzeba. A to, co teraz robimy, to jest epilog, więc i to przelknąć potrzeba. I wierz mi, że nie jest to najgorsza część tej epopei...

— Zapewne, że to część nie najgorsza, — rzekł na to Prandota, — bo jest to summa nabytków moralnych i materyalnych. A nie każdy może taką summę wykazać: u niektórych passywa równoważą się z aktywami i pozostaje się zero, są zaś i tacy, po których dziedziczymy tylko same passywa.

Na to zaś zauważał generał,

— Jeżeli jeden człowiek i dragi pozostania po sobie tylko passywa, to na tem społeczeństwo jeszcze nie traci, bo są inni, u których przeważają aktywa; ale czasem zdarzają się całe pokolenia, po których pozostaje się tylko jedno wielkie pasywum a wtedy często potrzeba na to kilku następnych pokoleń, ażeby społeczeństwo przeszło na powrót w stan czynny.

Po tej uwadze Zaklika i Prandota spuścili oczy ku ziemi i zapadli w głębokie zamyślenie. I w tej chwili wyglądali tak jakby po całonocnej orgii do domu wrócili i teraz ich porywały nudności. Jednak na teraz umierający ocucił żywych. Generał się zbudził i rzekł:

— Dajcie tam pokój tym smutnym reflexyom. Jeżeli

się błąd popełniło, to tylko jeden jest na to ratunek, trzeba się zabrać do pracy, ażeby szkodę naprawić.

Tak mówił mąż czynu, który nie znał rospaczy.

Ale Zaklika znów zauważał:

— Każdy człowiek w swoim zakresie znajdzie pracę z łatwością. Ale praca całego społeczeństwa potrzebuje kierunku, bo powinna być jakimś jednolitym duchem natchniona, inaczej społeczeństwo stanie się tylko kupą ludzi, która się prędzej lub później porozłazi na wszystkie strony: otóż ja się obawiam, że odtąd na długie czasy ducha nie będzie a więc i kierunku nie będzie.

Ale na to generał mu odpowiedział z pewną niecier-? pliwością:

. — Niechaj każdy pracuje w swoim zakresie i niech się o ducha nie troszczy; duch jest rezultatem ogólnej pracy społecznej a gdzie i jak się objawi, tego nikt naprzód nie zgadnie. Ale pozwólcież mi skończyć...

A potem mówił dalej spokojnie :

— Obecnie tutaj mojego proboszcza nie potrzebuję ci polecać szczególnie, bo wiażą was węzły przyjaźni daleko silniejsze od wszelkich poleceń. Nie zapomniałem o nim w moim testamencie, ale o kościele trzeba zawsze pamiętać, bo tam biedni ludzie znajdują pociechę. Natomiast polecam ci wszystkich moich ludzi, bo są uczciwi i niemasz pomiędzy nimi nierobów. Kańskiego zaś i felczera chciałbym ażebyś na wszelkie wypadki zatrzymał, bo są mi duszą i ciałem oddani i mają prawo do mojej wdzięczności. To są przyjaciele, nie sługi. Również polecam ci Nurka...

■—■ Widziałem tego chłopaka wczoraj przy kominie,— zauważał Zaklika, — ale nie wiem, jaka jego jest funkcja. t — On funkcji nie ma żadnej, — odpowiedział mu

jenerał, — bo to jeszcze dziecko, ale może być z niego jenerał, gubernator albo i biskup. Ojciec jego jest chłopem, ma grunt ale niewielki a dużo dzieci, dlatego kołodziej- stwem się bawi, aby mógł wyżyć. Jest to chłop poczciwy i pracowity, wziąłem mu tego chłopca do siebie, aby mu ulżyć. Zrazu używano go przy kredensie, ale chłopak nie wiecieć skąd nauczył się czytać i pisać a teraz mu i xiążek nie można nastarczyć. Do tego jest rozgarniony nad wiek i twarda w nim dusza: kiedy się bije z chłopcami przy gumnach, to każdego wybije, i zawsze za to dostaje odemnie srebrnego rubla. Moznaby. z niego coś zrobić gdyby do szkół go oddać, ale mnie staremu trudno się tem zajmować. Bardzo ci go rekomenduję, zrobisz z niego, co zechcesz.

— A cóż Fujara? — zapytał Zaklika.

— Fujara to świszczypała. Pomiędzy nami obudwoma jest mała różnica...

Mnie się. zdaje, że wielka, — przerwał Prandota, śmiejąc się głośno.

— Jak tam chcesz, — rzecze jenerał. Różnica ta na tem polega, że ja wyrąbałem ojcowskie ziemie, które już były przepadły a on wyrąbał lasy, co mu jego ojciec zostawił. Toż i inne głupstwa porobił. Ależ trudno i Fujarom odmawiać kawałka chleba, szkoda tylko że jest ich tak dużo na świecie. Jest tam jakieś powinowactwo pomiędzy nami, czternasta woda na kisielu, ale coś jest. Przytuliłem go do siebie i żywię a nawet go lubię, bo mnie rozwesela. W mojej samotności jest mi potrzebnym: zagra mi na fortepianie albo na wiolonczeli i wcale nieźle, czyta mi xiążki i czyta dobrze, czasem nawet zrobi fjaki portrecik, który zawsze jest .do kogoś podobny.* Prócz tego jest mi pożytecznym,

bo on zawsze pierwszy wiś wszystko, co się dzieje we dworze i po sąsiedztwach a wreszcie zna się na kuchni i na piwnicy jak mało kto, co dla mnie starego gie jest obo- jętnem. Lubi się włóczyć po świecie i jest w tem jak pi- jak-lunatyk: jak go zaświerzbą podeszwy, to niemasz na to sposobu, musi się koniecznie przewietrzyć. Wtedy mu dają sto rubli i puszcza; ale on zawsze za kilka tygodni powraca, z nowinami z całego' świata. Jakoż i jego położyłem w testamencie i napisałem: "Fujarze zawsze sto rubli".

Na to Prandota w głos się roześmiał i zawołał:

- Jeżeli jenerał tak to napisał, to Fujara może drogo kosztować.
- A jakto ? — zapytał ostro jenerał.
- Bo mógłby^ przyjść," choćby*! codzień, i zażądać sto rubli. ►

A na-to jenerał:

Sam nie wiesz, co mówisz. Najprzód, Fujara tego nie zrobi, bo wie, że jakby to zrobił, toby dostał nogą poniżej grzbietu, żeby aż za granicę Zaklikowa wyleciał. A potem, to tam pisał adwokat, więc to* jest napisano jak trzeba.

A wtenczas już zmrok zaczął zapadać, na staroświe- * *

ckim zegarze wiszącym między szafami uderzyła szósta godzina a jednocześnie otworzyły się drzwi od małej sali jadalnej, z której buchnęło ś\\jatło do biblioteki, i wszedł kamerdyner zapowiadając jenerałowi, że obiad na stole.

Więc wszyscy szli do obiadu.

Przyszedł także Fujara — a jenerał rzekł zaraz we<- soło do niego:

- A co tam skoncykowałeś na obiad ?

A na to Fujara:

— Taki będziemy mieli dziś obiad, że tylko król francuski tak jada a; będzie i niespodzianka.

— Więc dobrze, 5— odpowiedział generał, — pilnuj-że 'więc kieliszków, bo dzisiaj mamy tylko jednego lokaja, jak jaki ubogi szlachcic, • co siedzi na jednym folwarku, trudnoż on sam może wszystkiemu dać radę. A przy tem będziesz nam opowiadał o twoich siedemnastu podróżach do Paryża, bo trzeba wam wiedzieć, że on ma* osobliwsze szczęście do przypadków w podróży. O wielkich podróżach nie mówię, bo tam zawsze wielkie są awantury, ale on nawet i w sąsiedztwo nie pojedzie, ażeby mu się coś nie zdarzyło.

Zaczem zasiedli i jedli.

Lecz przy jedzeniu nie Fujara, tylko generał wciąż mówił i opowiadał dalsze, anegdoty o Giedroiciu i partyzantach hiszpańskich, — a opowiadał te rzeczy z takim humorem i często z takimi błyskami dowcipu, że słuchający, chociaż • niS wesoło usposobieni, musieli nieraz głośnym wybuchać śmiechem.

Wszyscy napoleońscy żołnierze, którzy do naszych dożyli czasów, Chłopicki, Franciszek Morawski, Krasieńscy, Xawerł Krasicki, Józef Konarski, Drohojowski, Fredrowie i inni, byli pełni nieustającego i niczem niezmaconego humoru. Tfen humor się rodził w obozach a stąd pochodził, że żołnierz stojący ciągle w obliczu śmierci, niewielką wagę przywiązywał do życia i lekko je cenił, bo mógł je stracić co chwila. Lecz obok humoru i nadzwyczajnej łatwości w pożyciu umieli wielką zachować powagę i do szacunku dla siebie zniewalać. A to znów stąd pochodziło, że życie swoje poświęcali idei. Sztuka ta poszła z nimi do grobu —

a teraz, gdzie celem życia jest codzienny kawałek chleba, zapewne nieprędko powróci.

Przy pieczystem dano wino szampańskie i zaczęło już, być gwarniej przy stole: ale wtedy[^] zapukawszy do drzwi sali jadalnej, wszedł Kański, który o każdej godzinie miał przystęp "do jenerała. Zjawił się jak duch niewołany i sprawił na wszystkich to wrażenie, że coś ważnego się stało.

Kański był to człowiek około czterdziestu lat wieku, dosyć słusznego wzrostu, ale tak chudy, że miał zapadnięte policzki a wąsy sumiaste na dół zwieszane jeszcze bardziej uwydatniały tę chudość jego twarzy. Nigdy też nikt uśmiechu nie widział na jego policzkach a z pod krzaczystych brwi patrzył na człowieka takimi oczyma, jak gdyby mu duszę chciał prześwidrować. Przytem trzymał się sztywnie jak żołnierz w szeregu a surdut nosił zawsze zapięty pod samą szyję. Był on potomkiem bardzo dobrego rodu, ale z linji ubogiej, za młodu coś podobno przeszkrobał i poszedł na Kaukaz, ale odznaczając się ciągle pracowitością, żelazną odwagą i nadzwyczajnie sumiennem dopełnianiem swych obowiązków, po latach kilkunastu dosłużył się rangi kapitana i otrzymał dymisję. Wtedy jenerał wziął go do siebie a wprawiwszy do" gospodarstwa, zrobił go gubernatorem wszystkich dóbr swoich i miał w nim zaufanie bez granic.

Jenerał spojrzał na Kańskiego i zrozumiałwszy zapewne jakiś znak dany przez niego, Wstał od stołu i wyszedł z nim do biblioteki. Tam przez długą chwilę ze sobą mówili, po- czem jenerał z nim wrócił i rzekł do niego:

— Siadaj-że z nami a przy kawie obradzimy się z sobą.

Odtąd już mało-co jedzono i pito a rozmowa o rzeczach potocznych jakoś się nie kleiła. Kiedy zaś kamerdyner zebrał talerze ze stołu i kawę zastawił, generał rzekł do niego:

— Zostaw-że nas teraz w spokoju.

Obróciwszy się zaś do Zakliki, zaczął od słów:

— Radbym cię jaknajdłużej zatrzymać u siebie, ale w tym razie muszę się poddać twojej własnej decyzji, Kański ci powieć, dlaczego.

Tu zabrał głos Kański i długo opowiadał wiadomości, jakie otrzymał, wymawiając przytem rozmaite nazwiska.

Przy tem opowiadaniu Fujara zbladł, dolewał sobie koniaku dla kontenansu, ale mimo to ciągle się kręcił na krześle, — Prandota milczał, ale się mocno zamyślił, — tylko jeden Zaklika słuchał z całą przytomnością umysłu i starał się opowiadającego jaknajdokładniej zrozumieć.

A potem odpowiedział Kańskiemu:

— Jużci z tym byliśmy razem na akademii, tamten służył ze mną w inżynieryi a owego znam od lat niepamiętnych a nawet raz mu wielką wyrządziłem przysługę, ale liczyć na to, byłaby to rzecz lekkomyślna. Wyjadę dziś, ale jak? i którądy?

Na to rzekł Kański:

— Tylko przez nasz przykomorek, to jest jedyna droga na dzisiaj a jutro może i tej już nie będzie.

— Jaki-to przykomorek? — zapytał Zaklika.

— To nawet nie jest przykomorek, — odpowiedział mu Kański, — bo tamtędy prowadzi tylko połowa droga i idzie do lasów po tamtej stronie granicy. Stoi tam tylko dwie chałupy, w jednej z nich mieszka nasz leśny i trzyma-kar-

czemkę a w drugiej kręci się czasem kilku inwalidów. Czar- * tak ten. postawiono tylko dla pilnowania przemytników, bo mało kto jeździ tamtędy. Przeszłego lata i jeszcze w jesieni stawały tam strażę czasem nawet dość silne, ale teraz...

Tu się odezwał generał i rzekł:

— Byłem tam dziś popołudniu, mówiłem z leśnym, ale prócz niego żywej duszy nie widziałem.

— A jest tam szlabant? — zapytał Zaklika.

— Wątpię bardzo, — odpowiedział Kański, — chyba że jaką łasę na noc zaciągają.

— Ja-bo i lasy nie widziałem, — rzecze generał i zaraz zawołał: — Fujara! byłeś tam przecie ze mną, widziałeś łasę?

Fufara już drZfemał, ale* się zbudził i zaczął bełkotać : *

— Jaka łasa? gdzie łasa? po co łasa? niema tam żadnej lasy, ani psy nawet tamtędy nie chodzą.

Fujarze oczywiście o to chodziło, ażeby Zaklika jak najprędzej odjechał.

. — Wigc widzisz, — rzecze generał a potem tak mówił: — Mój koń wierzchowy już stary, fliewiele wart do takiej wyprawy. Ale mamy tu pięcioletniego doskonałego ogiera, którego sam Kański ujeździł. Koń jak słoń, szybki jak sarna i niemasz ani płotu ani rowu, którego by nie wziął.

— Koń dobry i pewny, — rzekł na to Kański, — ale na koniu nie radzę... bo to" stąd prawie pół mili, jedzie się tam czystymi polami a na polach śnieg leży. Jeździec na koniu w nocy i na śniegu, to i na pół mili go widać.

— Jużci obaczy go każdy, — rzecze generał, — ale jeszcze trzeba i zgonić.

t

— Tego ogiera koń drugi nie zgoni, — zauważał Kański, — ale- kula go zgoni. Lepiejby wozem, bo wozy jeżdżą i po nocy i nikt na nie nie zwraca uwagi.

Na to Zaklika wyprostował się i rzekł żywo:

— Masz rację. Teraz już wiem, jak to zrobić. Niebawem po nowym roku, kiedy tak" wielkie śniegi zapadły, przysłałem tu do was parę koni stepowych, prawdziwych kałmuków. Przysłałem razem z nimi mój karabon, mocno żelazem okuty. Czyście mi to zachowali?

W jaknajwiększym porządku, — rzekł Kański, mało się nawet używało tych koni, bo kilka razy poniosły.

— Mnie nie poniosą, — odpowiedział Zaklika głosem stanowczym. Więc każ mi je zaprządz, temi końmi pojedę. Te konie pójda sześć mil bez popasu, każda łasa pryśnie przed nimi jak szkło a nawet uderzyłbym nimi na kompaniją piechoty.

— To dobrze, — rzekł na to generał, — ale trzeba, aby ktoś z tobą pojechał, bo jeśliby konie same zniknęły, toby z tego mogły być plotki.

— Ja pojedę, — rzekł Kański.

Generał nad tem pomyślał, ale się na to nie zgodził, mówiąc s

, t— I to niedobrze, bo i z tegoby mogły być plotki. Przecież nie możesz wiedzieć, czy z końmi powrócisz., A" potem, ciebie mi szkoda.

Zaczem znowu pomyślał, lecz zaraz rzekł:

— Ale od czegoż Fujara ?

Fujara, kiedy usłyszał swoje nazwisko, aż przysiadł na krześle, widocznie mu oddech zaparł się w piersiach, jakoż dopiero kiedy zaczerpnął powietrza, zaczął mówić przerywanemi słowy i udając, że niby się śmieje:

r;

— Ja ? a to doskonale! ja ipam temi wściekłemi końmi powozić? a to mnie jak Bóg.na niebie tak rozniosą po polach, że ani jednej kosteczki nikt po mnie nie znajdzie. *.

— Ale przecież nie ty będziesz powozić, — przerwał mu niecierpliwie Zaklika, — tylko ja a więc nie masz się czego obawiać. Te konie mnie znają, no cóż tam! oba- czysz. '

• *

. Ale Fujara go wcale nie słyszał. Albowiem wstał i zaczął się przechodzić po sali jadalnej, trąc ręce z niecierpliwości przed sobą — a miał taką minę jak mysz, co wpadła w pułapkę. Widocznie teraz miał tylko jedno pragnienie, to żeby się pod nim ziemia zapadła. Jakoż mru- czał sobie pod nosem:Kańskiego szkoda, ale Fujary nie szkoda... Służ panom wiernie, masz jak ci zapłaca... No, koniec... Niema się nad czym namyślać...

Poczem przystąpił do stołu, nalał sobie kieliszek koniaku i wychylił go duszkiem.

Ale wtedy wszyscy już wstali a jenerał rzekł do Kańskiego :

— Słuchaj-że, więc tak. Każąc zaprzęgać, powiesz fornalom, że Fujara założył się ze mną, jako sam temi końmi na Balcerówkę pojedzie i wróci nim spać się położyć. W to wszyscy uwierzą — a jeżeli Fujara beknie duszą, to przynajmniej zostanie po nim jakaś legenda.

. Kański wyszedł.

Jenerała ten sposób wyprawienia swego synowca oczywiście tak bawił, że byłby od niego za nic w świecie nie odstąpił, jakoż kiedy się teraz do Zakliki odezwał, to mówił wesoło i śmiał się.

Ale Fujara chodził jak struty i mruczał sobie pod

nosem: -- Że beknie duszą, to pewna. A wtedy diabli mi tam po tej legendzie... Z tem zbliżył się do proboszcza i myśląc zapewne, że może on jeszcze go weźmie pod swoją protekcję, spojrzął na niego litościwymi oczyma. Prandota, chociaż Fujary nie, lubił i popatrzył nań z góry, miał jednak uśmiech na twarzy. Wtedy Fujara złożył ręce przed nim, ale tak aby inni tego nie widzieli, i rzekł półgłosem: •• » # -< * m

— Jakżeż? tak... bez spowiedzi, bez sakramentów?...

Prandota śmiał się w duszy, ale udawał, jak gdyby w to wierzył, có mówi:

— Ot! dałbyś pan pokój tym swoim błazeństwom. Każdy wie, że masz odwagę a tchórza udajesz. Chyba że'już nie czujesz w sobie rycerskiej krwi tych wielkich Fujaro w, 0 których tyle pisze historia...

Więc Fujara podniósł głowę i kołnierzyki poprawił, ale wtem huknął od okna generał:

— A ty się nie kręć po izbie, tylko idź, ogarnij się w burkę i włóż swoją kuczmę na głowę, abyś zaraz nie zemdłał, jak po łbie dostaniesz. Co to za wielka historia! wsiądziesz na kozioł, wyjedziesz południową bramą

1 podjedziesz pod furtkę ogrodu a tam mego synowca zastaniesz. Lada stara baba jeszczeby to potrafiła...

Ale*Fujara już wyszedł.

Generał jeszcze rozmawiał przez chwilę z Zakliką i Prandotą pod oknem a w końcu rzekł:

— Więc tak. W Czerwcu, najpóźniej w Lipcu. Ale przyjedziesz z żoną i z dziećmi a potem obaczmy. Ale mi napisz zawczasu, abym mógł dla was wszystkich przygotować mieszkania.

fc Zaklika. T. I.

*

3

W tej chwili wszedł Kański i zapowiedział, że konie już stoją przed gankiem.

Fujara przyszedł ubrany w burkę i kuczmę futrzaną.

Jenerał ścisnął Zaklikę za rękę i pocałował go w czoło, Zaklika i Prandota wyszli szklannymi drzwiami, które prowadziły do ogrodu a Fujara i Kański poszli na ganek. Jenerał, nie mogąc sobie zapewne odmówić widoku Fujary^o powożącego "temi dzikiemi końmi," wyszedł także za-nimi.

Przed gankiem stał lekki karabon, jakiego wyżsi oficerowie używają w kampaniach dla przewożenia swoich pakunków. Był to po prostu wózek węgierski z jednym obszernym kołem, cały zaś wasąg był skórą nakryty. Do tego wózka były zaprzężone dwa konie, brudno-gniade, niezwykle dużego wzrostu, przytem okrutnie grube i okrutnie kudłate, powichrzone ich grzywy spadały im prawie do kolan, kołtunowate czupryny zwieszały się aż ku nozdrzom porozcinanym i szeroko rozwartym a z pod tych czupryn wyglądały ich oczy, czarne, ogromne, których białka krwią zaszły. Jeden parobek stał przy koźle i trzymał lejce a drugi przy dyszlu i coś tam gadał do koni, które wszakże, z niecierpliwością przestępywały z nogi na nogę i ciągle prychały, wyrzucając strumienie pary z swych nozdrzów.

Jenerał rzekł do Fujary:

— Bierz więc lejce do ręki i siadaj, ale lejców mocno nie ściągaj, tylko kieruj łagodnie.

Fujara, chociaż prawdopodobnie w tej chwili świata przed sobą nie widział, zebrał się jednak, wylazł na kozioł, wziął lejce, do ręki i ruszył, — lecz jadąc, kłapał mocno zębami i przemawiał od'czasu do czasu do koni: - Frrr, hou, kosiu, prrr, hou... bodaj was wszyscy diabli... prrr...

- Kiedy wyjeżdżał przez bramę, generał rzekł do Kańskiego :

~ Przecie do furtki dojedzie?

— Dlaczego by nie dojechał, — odpowiedział mu Kański, — te konie dopiero wtedy niosą, jak pot poczują.

Poczem generał wrócił do swoich pokojów a Kański pobiegł przez pałac i ogród do Zakliki.

Ale opódał, pod ścianą pałacu, stała kupka parobków. Ci się śmiali pomiędzy sobą, przedrzeźniając Fujarę: prrr, hou kosiu... a jedep z nich rzekł: -

l,¹ — Jak konie czyste pole przed sobą obaczą, to tak pójdą jak kula a my jutro rano będziemy ko'ści Fujary zbierali po rowach.

Jednak Fujara dobrze skręcił za bramą, zwrócił na prawo i dojechał szczęśliwie tą samą drogą, którą wczoraj Prandota pojechał do siebie, aż do furtki ogrodu, gdzie stali Zaklika, Prandota i Kański. Więc tedy dobrze. Jakoż tu zaraz duch wstąpił w Fujarę a jako to był człowiek bardzo żartkiew fantazyi, mruknął do siebie: — Jak gdybym z tamtego świata powrócił, ale Bóg łaskaw. Zaklika stanął zaraz przed końmi i zaczął je głaskać po nozdrzach i coś do nich gadać. Gadał zapewne kałmuckim językiem, bo Fujara nic a nic nie rozumiał, ale konie' go rozumiały, bo zaczęły go wachać i rzeć pocichu do niego, jak gdyby się śmiały.

Śród tego czasu Kański wciąż mówił do niego, dając mu zapewne swe rady, co robić w takim a co w innym wypadku, ale już to trwało niedługo. Poczem Zaklika ścisnął swoich obudwóch przyjaciół za ręce i wsiadł na kozioł obok Fujary.

Jak tylko /wziął lejce do ręki, konie się zaraz uspo

koity, nawrócił niemi gładko jak w cyrku i niebawem wjechał na ową drogę, która czystemi polami w prostej linii prowadziła do przykomorka.

Był to wieczór zimowy, dosyć pogodny. Niebo się wyiskrzyło a tylko miejscami przeciągały białe chmury po horyzoncie. Na ostatecznym krańcu południowego nieba xiężyc w pełni zaczął się wydobywać z za czarnych lasów, ogromny, czerwony, jak wielka kula ognista bez światła. W dali snuły się mgły gęste po polach. Czuć było odwilż w powietrzu, ale na ziemi leżały śniegi jak oko zajrzy, które spadły wczorajszej nocy. Szczęściem! tą samą drogą przejechał był dziś popołudniu generał a jadąc ciężkim powozem, zostawił czarrio-błotnistą kolej kół swoich na drodze, która służyła za przewodnika Zaklice.

Tak jechali z jakie ćwierć mili albo i więcej, rozglądając się uważnie na wszystkie strony, ale cisza była dokoła, jak gdyby wszyscy wymarli. Aż wreszcie Fujara rzekł do Zakliki: J

— Owo widać już przykomorek.

Zaklika wycężył oczy mocno przed siebie. Na tysiąc kroków przed nim widać było dwie chaty stojące naprzeciw siebie prawie przy samej drodze. Za temi chatami rysowały się bardzo dokładnie "na śniegu karłowate sosny i inne krzaczyska bardzo rzadko posiane a za niemi stał las wysokopienny i gęsty a w tej chwili tak czarny, że drzew nie można było rozróżnić. Pomiędzy chatami na drodze nie było widać żadnego ruchu, tylko w jednej z nich z okien błyszczwały jakoby mdlejące światełka.

— To wcale nieźle, — rzekł wtedy Zaklika, — ale patrz, czy między temi chatami niemasz szlabantu.

Fujarze, na widok zbliżającej się chwili krytycznej,

choć wcale nie wiedział, co będzie, zaczęło -się znowu robić cicho około serca. Wyteżył oczy, ale już ani koni przed sobą nie widział. Jednak odpowiedział z rezygnacją:

— Gdzietam szlabant, chyba że łasa...

—« Jeżeli łasa, to nic, — rzekł Zaklika i wzięwszy batog do ręki, -ściągnął lejce i zaczął zlekka ćwikać. batogiem po koniach.

Konie, drażnione przez niego, zaczęły zrazu tylko karki podnosić i zginać i grzebać śhieg* przednimi nogami, ale drażnione dalej, zaczęły się wspinać i siadać na tylnych nogach i rwać się, jak gdyby mu z ręki chciały wyskoczyć.

Fujarze znowu zaparł się oddech i włosy mu kołkiem stanęły na głowie, jakoż ze strachem zawołał:

— Na miłość Boga! co ty chcesz "robić?

A Zaklika odpowiedział mu na to:

— Zaraz obaczysz. Ale teraz bierz Pana Boga na pomoc i trzymaj się kozła, bo tak się jedzie tylko na Sybir albo na śmierć....

A ledwie tych słów domówił, ćwiknął batem pó obu- dwóch koniach i przeraźliwym, świszczącym głosem zawołał: *

— Pa-szoł!

Fujarą ten głos przeraźliwy tak zatrzęsł, jak gdyby mu kto żelaznym grzebieniem przejechał po kiskach, krew mu się ścięła i mróz śmiertelny mu przeleciał po grzbiecie: jednak jeszcze tyle miał przytomności, że się rzucił na kolana w waszązek, chwycił, się kozła obydwoma rękami, za- mrużył oczy i oddał się Bogu.

Tymczasem konie na znany głos swego pana runęły ventre a terre z wózkami jak z procy, poszły jak kula armatnia wzdłuż drogi i jak kula armatnia przeleciały przefc

przykomorek, — na przykomojrki. coś zgrzytnęło-pod wózkiem, jak gdyby się suche gałęzie łamały, i dały się słyszeć jakieś wołania, — ale to minęło jak oka mgnienie: konie rwały dalej bez przerwy, jeszcze ich widać było przez chwilę jak punkcik czarny ciągle się zmniejszający pomiędzy karłowatymi sosnami — a potem fo wszystko wpadło^ w las, jakby w otchłań piekielną, z której jeszcze nikt nigdy nie wrócił.

Xięzyc wciąż bielejący wypłynął na niebo i ziemię oświecił, — cisza była dokoła, — tylko na przykomorku widać było kupkę ludzi, jako stali pomiędzy chatami na drodze i żywo ze sobą gadali.

m.

Następnego dnia przed południem cały półk dragonów, mając przy sobie pół baterji armat polowych i sotnię kozaków, przyciągnął do Zaklikowa i rozłożył się we wsi.

Półkownik ze swoim adjutantem" przyjechał konno przed pałac i zażądał widzieć się z jenerałem.

Jenerał wyszedł do niego na^ ganek i długo z nim stojąc rozmawiał, — ale ta rozmowa skończyła się na tem, że ci obadwa oficerowie zostali* u jenerała na śniadaniu.

Po południu jeperał posłał żołnierzom sześć tucznych wołów, -dwadzieścia baranów i cztery beczki gorzalki '— a Wieczorem bjł obiad w pałacu, na który wszyscy oficerowie zostali zaproszeni..

-Ód lat bardzo- dawnych nie było- takiego festynu u jenerała: jedzono i pito do godziny, dziesiątej i grano w karty do świtu.

Nazajutrz jenerał był bardzo zmęczońy, lecz zaprosiw

szy sobie do obiadu Prandoię, rozmawia! z nim wesoło i zdawało się, że był kontent z gościny i z gości.

Pod koniec obiadu przyszedł Kański i opowiadał, że wojsko dąsiał odeszło: było trochę nieładu, ale teraz znów cisza.

t— A czy. nie słyssałeś, co z przykomoika?zapytał jenerał.

— Owszem, słyssałem, — odpowiedział mu Kański. Wczoraj był tutaj ieśny i opowiadał, że przedwczorajszej nocy jakiś diabeł przeleciał przez przykomorek takiemikońmi, co im się iskry z oczu sypały. Sam stał na koźle, łasa tak strzaskał, jak gdyby ją zmielono we młyńie i inwalida rozjechał, co właśnie przez drogę przechodził, ale «nic mu się nie stało. Powiadają, że się przewrócił od wiatru, ale nie- wiedzieć, coby to było, tylko się domyślają, że to był on, co się często nocą przejeżdża z jednych lasów do drugich, nie dbając o żadną granicę.

— W dzisiejszych czasach, — zauważał na to jenerał z uśmiechem, — dzieją się takie rzeczy, że najbystrzejszy rozum ich dojść nie potrafi. •

Ale Kański mówił dalej: ^

— Jednak parobcy mają już dokładniejsze wiadomości. Powiadają, że to Fujarę konie poniosły, przeleciały przez przykomorek i zanosły do Austrii—a tam go zaraz pojmano i wbito na pał, bo to jest kraj okrutnie dziki, gdzie ludzi nawlekają na różny żelazne, jak u nas kapłony.

: — Widzisz wfęc, — rzecze jenerał, — jest i legenda. Ale przeciebym chciał, żeby'Fujara powrócił, bo mi nudno bez niego. • .

Jenerał poszedł spać wcześniej, ale nazajutrz i dni .następnych marudził so#bą, kaszłał cokolwiek, zamyślał się i nie m.

wyjeżdżał na swoje zwykłe przejażdżki. Kilka razy kazał wołać felczera, aby go się poradzić. Felczer go wypytywał i macał, ale nic nie znalazł. Jakoż powiedział mu tylko r

— Pan generał się przepił z oficerami a to w. starszym wieku niedobrze. Trzeba siedzieć cicho w pokoju, aż póki się wiosna nie zrobi, to wtedy wszystko odżyje.

Fujara wrócił dopiero we dwa tygodnie. Jechał zapewne na Rzym, aby ślad zatrzeć za sobą. Przyjechał w nocy najętą furmanką i dopiero nazajutrz się'zjawił. Wtedy parobcy inną utworzyli legendę: powiadali, że konie przegrać w karty w miasteczku i piechotą powrócił.

Z powrotem Fujary generał znacznie się rozweselił, kazał mu opowiadać całą jego odysseę i widać było, że były tam rzeczy, które bardzo go zajmowały, i znowu inne, które go pobudzały do żartów.

Ale to rozbudzenie się starca już trwało niedługo. W parę dni potem wpadł znowu w humor najgorszy i nudził sobą, bo go już wszystko nudziło. Kiedy Fujara mu czytał gazety, to już nigdy nie dosłuchał do końca, zawsze "mu przerwał, mówiąc:

— Daj temu pokój. Go to za głupstwa piszą te dzisiejsze gazety! Sprawia mi to takie wrażenie, jak gdyby orkiestra instrumenty stroiła. Go ja mam słuchać tego brząkania? Będziesz mi czytał, jak się orkiestra nastroi.

Wojna duńska więcej go obchodziła, ale także nie był kontent z jej rezultatów i mówił:

— Tam biorą górę Prusacy, zapewne pójdą dalej. Niechże Bóg broni ten świat od tego, ażeby Prusacy wzięli nad nim górę, znam ja ich dobrze,- to ludzie bez serca i prawdziwi pogaiiiiie.

Jednego dnia, kiedy dobrze już pocieplało, kazał po

wozowi zajechać, ubrał się i wyszedł z Fujarą na ganek, ale patrzył tylko przez chwilę na powóz i kazał mu znowu odjechać, zaś do Fujary rzekł z cierpkim uśmiechem na twarzy:

— Tak to się dzieje nam starym. Czasem nam niby się czegoś zachciewa, ale jak ppwóz zajedzie..., pokazuje się, że się nam tylko tak zdawało. Lepiej pójść za radą felczera i zaczekać do wiosny, komu tam pan Bóg pozwoli dożyć tej wiosny...

Tak już ciągle był nieswój. Uważali to Wszyscy we dworze i powiadali ze smutkiem, że podobno już koniec się zbliża...

*

* *

Tymczasem jednego rana, za ledwie się rozwidniło, zrobiło się zbiegowisko ludzi dworskich przed końskimi stajniami. Ci biegli po felczera, drudzy coś niespokojnie ze sobą gadali, pozbiegali się pisarze i ekonomowie a nareszcie i Kański przyleciał. Co tam się stało? — Wierzchowy koń jenerała, właśnie kiedy mu obrok sypano do żłobu, zadrżał na całym ciele i padł nieżywy w swej klatce. Felczer próbował krwi mu upuścić, ale krew nie szła: koń zginął. Wszyscy się tem zasmucili: będziez-tu teraz historia, jak się zbudzi jenerał.

Ale jenerał nie wstawał. Już wybiła 'godzina ósma a on jeszcze nie dzwonił. Zniepokojona służba popychała kamerdynera, aby szedł do sypialni i obaczył, co się tam dzieje; ale kamerdyner się oparł* mówiąc: — Nie pójdę, aż dzwonek usłyszę. Posłano po Fajarę, ale Fajara odpowiedział: — Za nic w świecie. Jenerał ma pistolet nabit

przy łóżku,* nieehr który z was idzie... Posłmo więc po Kańskiego a Kański nie bał się pistoletu. Zapukał do drzwi sypialni, ale nic nie usłyszał; zapukał drugi raz i wszedł.

Jenerał spał. Kański się zbliżył do łóżka i patrzył w twarz śpiącego przez chwilę, ale oddechu nie dostrzegł. Nachylił, się nad jego. twarzą, oddechu.nie słyszy; wziął go/, za rękę — a ręka zimna jak lód. W nocy padł ów strzał rdzenny z Bożego działa: jenerał nie żył. A do ład już pewnie trębacz niebieski na niego zatraził i w tej chwili stoi już z ową'grudką swej ziemi ojczystej przed Bogiem..

Kiedj wiadomość o śmierci jenerała wybiegła z pałacu, to zaraz zakotłowało na folwarku jak gdyby rewolućya wybuchła. Wszyscy porzucili swoje roboty, jedni stali ze spu- szczonemi głowami milcząc, drudzy smutno rozmawiali ze sobą, inni płakali Xiądz Prandota, zmówiwszy modlitwę przy łóżku zmarłego, "stał długo przed nim z załamanemi rękami i mówił: — Opuszczają nas nasi najlepsi, świat się zmienia koło nas* a pewnie lepszym nie będzie.

Przez cały dzień pracowano nad wystawieniem katafalku a przed wieczorem robotę skończono". I wystawiono wysoki katafalk w wielkiej sali pałacu, na którym zwłoki jenerała złożono. Ubrano go według jego własnej instrukcyi w mundur jeneralski /francuski a u nóg trumny położono na ąxamitnej poduszce jego stosowany kapelusz, szablę co •mu służyła we wszystkich wojnach i jego wszystkie ordery. X. Prandota zś swoim wikarym odmawiali głośno łacińskie pacierze a słudzy i chłopci klęczeli przy katafalku. Z obcych nikt nie przyjechał, bo wojska wciąż przeciągały a po wsiach stały konsystencje żołnierzy: .tylko od państwa Firlejów przyszedł wtelki wieniec ze świeżych kwiatów z bardzo wymownym napisem na wstążce: "Ostatniemu z szczęśliwych".

Drugi dzień minął tak samo — a*trzedziego dnia rano pogrzebano go w grobowej kaplicy, w której chowali się * jego ojcowie.

O dwie wiorsty od pałacu na wschód południowy stała ta grobowa kaplica, która była w wielkiem poszanowaniu u swoich dziedziców a nawet u okolicznych mieszkańców, bo snuły się koło niej od lat najdawniejszych najrozmaitsze a nawet cudowne legendy. •

Była ona zmurowana z pięknego kamienia jak mały kościółek, z dachem baniastym w stylu bizantyńskim i z portykiem opartym na czterech murowanych kolumnach. Wewnątrz był ołtarz, przy którym msze odprawiano, za ołtarzem zakrystya a przy ścianach stały marmurowe na-* grobki z czasów zamierzchłych. W samej kaplicy nie było już miejsca dla nowych przybyszów, ale pod kaplicą znajdowały się ogromne katakumby, fundamentalnie ciosowym % kamieniem sklepione, w których szły rzędami niezliczone framugi, jedne już wypełnione i zasklepione, inne otwarte, w których następne groby trzeba było dopiero murować. Po pod kaplicę od strony północnej prowadził szeroki gościniec, zaś do kaplicy od strony południowej było przy- murowane domostwo, do którego się wchodziło po scho- • dach przez drzwi bardzo szerokie a w którym się znajdo- ' wała po prawej ręce bardzo obszerna trupiarnia a po lewej dostatnia izba mieszkalna. W trupiarni, z której przez 'drzwi żelazne prowadziły Szerokie kamienne schody do ka- takymbów, czekały trumny tych umarłych, dla których grób trzeba dopiero było murować; w izbie zaś mieszkał Fryga, dziadek kościelny a faworyt xiędza Prandoty. Zabudowania te razem z kaplicą były otoczone z trzech stron bardzo starożytnymi drzewami, ' “drzewa te otaczał piękny lasek,

g?:

zawsze utrzymany 'starannie, w którym się znajdowała mała pasieka z ogródkiem warzywnym, własność dziadka, — a za laskiem przy drodze stała gospoda, odwiedzana przez licznych podróżnych, na której żyd siedział i w której Fryga czasem wieczór przepędzał dla wypoczynku i dla gawędy z włodarzami z sąsiednich folwarków!

Pomiędzy pałacem a kaplicą i dalej ku północnemu wschodowi rozścielały się nieprzejrzone łąny jak daleko wzrok sięgał — a że grunt w tym kierunku się zlekka podnosił, więc z ganku pałacu widać było kaplicę z jej starem i drzewami i laskiem jak gdyby na dłoni; rysowała się ona na horyzoncie jak obraz ciemnymi nałożony barwami na tle przezroczystem a o zachodzie słońca jej krzyż wyłoczony błyszczał jasno i rzucał od siebie promienie jak wielka gwiazda wieczorna. Tutaj generał, siadując czasem przed wieczorem na ganku pałacu, patrzył zamyślonemi oczyma w ten krzyż i mawiał: — To moja przystań ostatnia: tak-jak dzisiaj z tego pałacu patrzę na to, co się dzieje koło mnie, tak niebawem z tej kaplicy będę patrzył na wieki następne, jako płynąc czasów potokiem wylewają się w to morze bez dna i bez brzegów, które nazywamy wiecznością.

Teraz niesiono go do tej przystani. Nieśli go na swych plecach wiejscy parobcy a zmieniali ich chłopci, którzy w wielkiej liczbie przybiegli, bo lud wiejski zawsze się rusza swobodnie, nie zważając na wojny i konsystencje. W kaplicy złożono go znowu na katafalku, X. Prandota odprawił mszę świętą i ze swoim wikarym odśpiewał Requiem, poczem trumnę, przeniósłszy - ją przez trupiarnię, zaraz spuszczone do grobu, bo grób dla generała był zmurowany już od lat kilkunastu pod jego własnym nadzorem*

Po pogrzebie wszyscy wrócili do domów_f rozmawiając
o cnotach nieboszczyka, który był dobry dla wszystkich.

Kański szedł z Prandotą i z poczciwym felczerem, który im opowiadał, jako generał umarł śmiercią naturalną, na wyczerpanie sił ze starości, na co' niemasz ratunku — a ciekawy Fujara szedł z adwokatem, który z rejentem przyjechał dziś rano, ażeby osobom interesowanym zakomunikować treść testamentu.

Generał zapisał cały swój majątek swojemu synowcowi
i rozkazał oddać wszystko pod zarząd Kańskiemu, aż póki synowiec sam nie obejmie sukcesyi. Były legaty, ale nie* uciążliwe. Ów legat stu rubli dla Fujary był zredagowany jasno i dobrze, stało bowiem wyraźnie, że Fujara ma otrzymywać po sto rubli cztery razy do roku, ale poniżej stał okres ułożony mniej jasno, powiedziano tam bowiem, że Fujara ma mieszkać w pałacu aż do przyjazdu sukcesora i ma nadzorować kuchnię, piwnicę i gospodarstwo.

Fujara kazał sobie ten ustęp jeszcze raz przeczytać, robił przytem palcem rozmaite gęsta, jak gdyby chciał zwrócić uwagę słuchaczy na każde słowo a potem zażądał od adwokata, ażeby mu dał urzędowy odpis tego ustępu. Ale adwokat nie chciał, mówiąc, że zostawi odpis całego testamentu u Kańskiego, - więc Fujara może sobie z niego wypisać co zechce. Natenczas Fujara stanął twardo na nogach i zaczął klócić się z adwokatem, ale adwokat był twardszy od niego i rzekł:

— Jeżeli pan chcesz, ażebym jego wolę wypełnił, to musisz mi zagrać na innym instrumencie a nie na takiej wierzbowej fujarce.

Więc Fujara, czując się obrażonym w swojej godności, dał pokój na teraz. Był przecież gospodarzem w-pa-

łacu, to rzecz niewątpliwa, więc musiał być grzecznym. Zaczem kazał zastawić śniadanie i dobrego wina nanosić i służył > wszystkim jako gospodarz, z wielką uprzejmością, ale zarazem z pewną rezerwą, jaką dla utrzymania się w swej nowej roli uważał za potrzebną.

Śniadanie trwało ze dwie godziny lub więcej, poczem się wszyscy rozeszli.

Kański, odprowadzając adwokata do jego powozu, który stał zaprzężony przed folwarkiem, rzekł -do niego, odbierając testament:

— Niewiele tam na tem zależy, bo u mnie] ręka żelazna. Ale poco-to tam było pisać w testamencie, że Fujara ma gospodarstwa pilnować?

• A adwokat odpowiedział mu na to:

— Tak chciał generał. Ale to niema żadnego znaczenia, bo to się tak ma rozumieć, że pan możesz się nim wyręczać przy nadzorze a on nie powinien się od tego wymawiać. Z tego tytułu nawet, jeżelibyś pan chciał się go pozbyć...

Ale Kański mu przerwał, mówiąc:

— Piękny-by.to był nadzór! To jest szlachcic* zdenerwowany, jak wszyscy. Kiedy może się bawić, to się rusza jak gdyby był na sprężynach, ale do jakiegokolwiek roboty go pan zasadzisz, to zaraz zaśnie.

— A my za nich musimy pracować, — rzekł adwokat, ścisnął Kańskiego za rękę i odjechał.

Tymczasem Fujara kazał sobie wynieść kawę i likiery na ganek, zasiadł w wygodnym fotelu, wyciągnął nogi przed siebie i zaczął marzyć.

Szkoda tego biednego generała, — mówił on w myśli do siebie, — bo dobry z niego był człowiek, ale i najwa-

leczniejszy generał nie może przecie żyć wiecznie... Majątek swój zostawił w porządku i dobrze zrobił, że go swojemu synowcowi zapisał, bo majątek powinien zawsze zostawać w imieniu rodziny; ale testament niefemądrze napisał... Testament ten co do mojej osoby byłby wypadł całkiem inaczej, gdyby nie adwokat i Kański, ale to demokraci, oni-by każdego szlachcica - utopili w łyżce wody i gdyby mogli, to-by- puścili na żebry wszystkie -historyczne nazwiska «»

Adwokat jeszcze jak adwokat, bo to dziecko mieszczańskie, ale ten Kański, herbu Janina, potomek takiej zacnej rodziny, żeby się tak spłaszyc i sponiewierac w takich niepoczciwych zasadach... Jednak ten testament, nawet tak jak jest, nie jest ostatni... Pałac, piwnica i kuchnia, to moje; o ile pałac potrzebuje się zasilać folwarkiem, tego przecie nikt mi odmowić nie może, więc główny folwark także do mnie należy; co się zaś tyczy nadzoru nad całym gospodarstwem, to juźci to można różnie interpretować: ale niech się Kański nie boi, jak będzie dobrze gospodarować, to przykrym, dla niego nie będę... Przecież zawsze* mam dobre serce, nawet dla moich wrogów, chociaż tego niewarci... Wprawdzie tego mojego państwa tylko tak długo, dopóki Zaklika nie wróci. Ale ba! kto tak wyjechał, ten nigdy nie wróci — a jeśliby tam kiedyś przyjechał, to tylko aby faktycznie wejść w posiadanie i znowu sobie odjechać. Zresztą ani na myśl mu przyjść nie może, aby tutaj stale osiadać, bo przecie na Żmudni ma dobra daleko większe, jego żona ma tam wszystkich swych krewnych, przyzwyczajona do tamtych -krajów i obyczajów, -nawet i on sam, tutaj zupełnie obcy, nikogo nie zna... A potem, właśnie też ktoś kładzie zdrową głowę pod ewanieliję... Więc tak: zaraz dzisiaj się rozgospodaruję jak trzeba. Będę spał

w łóżku jenerała, będę przyjmował oficjalistów w jego bibliotece, będe jadał w małej sali jadalnej kiedy tylko będę miał gości a w wielkiej na wielkie przyjęcia, starego kamerdynera puszcze" na pensję, bo zapadto poufali się ze mną, lokai sobie dobiore według ich zasługi a mego upodobania, piwnica niewyczerpana, zapasy kuchenne...

Lecz tu już mu się zaczęło jakoś- majaczyć. Zmęczony był, bo nie* spał dwie noce a do tego -i likier go trochę rozebrał, więc przysnął. I przyśnił mu się jenerał w mundurze, jako się wspina na swoim koniu i niby idzie do szturm, z podniesioną w górę prawicą, ale bez broni... Więc Fujara mówił do siebie we śnie: Jeszczem też nigdy nie widział, ażeby jaki jenerał szedł do szturm z gołemi rękami. Ale prawda, on do nieba szturmuje, którego może jego grzeszki mu bronią, a tam się walczy nieziemską bronią: ale dlaczego w mundur się ubrał?... I snuły mu się tak dalej' rozmaite majaki.

Wtem coś stuknęło na ganku, Fujara się zbudził. Był to Nurek, który przechodził przez ganek i siukał po kamiennej posadzce podkówkami swoich bucików. Nurek był smutny i zapłakany. Fujara spojrział na niego i spytał:, >

— Czegóż tak płaczesz?

A na to odpowiedział mu Nurek:

— Mój dobry pan umarł, nie wiem sam, co teraz pocznę ze sobą, więc ja sobie płaczę.

— Uspokój się, — rzecze' mu łaskawie Fujara, — masz i teraz dobrego pana. Możesz sobie zostać we dwo- *rze jak byłeś, ja ciebie lubię, boś dobry jest chłopak, możesz więc liczyć na moją protekcję.

— Ale ja, proszę pana, chciałbym się czegoś nauczyć,

abym nie był ciężarem ojcu i jeszcze mu na stare lata dopomógł.

— Czegóż ty się jeszcze chcesz uczyć? umiesz czytać i pisać, jak na twój stan to przecie dosyć. Nie trzeba, aby chłop albo sługa dworski nakładł sobie jakiejś filozofii do głowy i pragnął potem rzeczy takich, które mu się nie należą, bo w takim razie pomieszalyby się stany ze sobą a przecież stany by*ć muszą. Czegóż ty się chcesz uczyć ?

— Czegobgdź, abym co umiał i abym mógł własną pracą na chleb zarobić. Ale najlepiejbym się nauczył jakiego rzemiosła. Mój ojciec jest kołodziejem, więc gdybym się nauczył siodlarstwa, to byśmy jeden przy drugim mogli razem pracować i jabym mógł we wsi pozostać.

Ale Fujara na to nos zmarszczył i rzekł:

— Pfe! siodlarstwo to paskudne rzemiosło, Będziesz skórą śmierdział przez całe życie.

— Proszę pana, każdy człowiek tem się śmierdzi, co robi, — odpowiedział mu Nurek".

Więc Fujara-spojrzał uważnie na niego a po niej jakimś namyśle rzekł:

— Wiesz ty co, kiedy się już koniecznie chcesz uczyć, to ja cię dam- do szkół do miasta. Poszlę cię na koszt skarbu, bo i jenerał nieraz o tem mówił, więc sądzę że ani Kański, ani Xiądz Prandota temu się nie sprzeciwią. Tam się nauczysz czego zechcesz, ale ja tobie- radzę, abyś się wyuczył na adwokata, bo nim się wyuczysz, to tego diabli wezmą, co go mamy, zaczem ty naszym adwokatem zostaniesz i będziemy cię rekomendować naszym sąsiadom.

Więc chłopiec się na to uśmiechnął i rzekł:

— Ej, ponoby się śmiano z takiego adwokata,* coby nazywał się Nurek.

Zaklika. T. I.

*

£

s

— To się nazwiesz Nurkowski. A-potem, jako adwokat, gdzieś tam w papierach jakiegoś herbu się dogrzebiesz. Jest ich już tylu, co się tak dogrzebali szlachectwa, więc jeśli jeszcze jeden przybędzie, to na tem nic nie zależy. Licz-że więc na mnie, — dodał Fujara z dobrego serca,— a przyjdź do obiadu, to ci dam kawałek pieczeni.

Więc Nurek odszedł sobie wesoło.

A tymczasem nawinął się felczer, który szedł ze spuszczoną głową na wskos przez dziedziniec,, ale widać było po nim, że sam nie wie, dokąd idzie. Więc Fujara, będąc już rozbudzony, zawołał na niego:

— Panie Sebastyanie ! ^ a chodź-no do mnie, abyśmy trochę pogadali ze sobą.

Fejczcer był w równym wieku z Fujarą. Był on o ma- ło słusniejszy od niego, ale był gruby i tłusty i brzuch okrągły nosił przed sobą. Twarz miał ogromną, - całkiem ogoloną, bo się liczył do cechu lekarzy, nos na niej ogór- gowaty rumiany z potężną brodawką przy nozdrzach, usta miał grube, na których wszakże igrał uśmiech niby szyder- ski, i oczy maleńkie siwe, które ciągle się śmiały. Był on synem włodarza z dóbr jeneralskich i uczył się swego czasu kosztem jenerała weterynaryi w Warszawie,ale właśnie kiedy już miał się wyzwolić, coś tam także przeskrobał i dostał się do fot Orenburskich. 'Człowiek sumienny i pracowity wszędzie siif czegoś dosłuży, toż i on w Orenburgu poduczył się chirurgii przy tamtejszych doktorach, służył długo, ale nakoniec dobił się rangi i potem się z tej służby wyprosił. Zaczem wrócił d<^ jenerała i zajął tu miejsce ko- nowała, ale zarazem także lekarza, bo bardzo był zmyślny i miał niezwyčajny zmysł obserwacyi a zarazem był zdania: że pomiędzy zwierzętami a ludźmi pod względem fizy-

cznym nie tak wielka zachodzi różnica, zwierzęcia nie można wypytać, bo mówić nie umić, ale za to zwierzęta moralnie stoją wyżej od ludzi, bo są uczciwsze i lepsze. Lubił też sobie z ludzi podrywać, ale był dla nich uczynny i dobry i lubiany przez wszystkich.

— Czegożes iak głowę spuścił ku ziemi ? r- zapytał gp Fujara, — trudno płakać za umarłymi przez całe życie, bo też i na nicby się to nie zdało.

— Ot! czego! — odpowie' mu felczer, — starego kamerdynera apoplexya ruszyła, puściłem mu krwi, ale mu to nie pomogło,- a teraz już się nie rusza i do zachodu słońca pewnie zastygnie.

Ale Fajarę wcale to nie dotknęło, owszem rzekł obojętnie: •

■ą :— Jużci szkoda starego, ale zawsze lepiej, że on umarł, niż ja. Siadaj ^e sobie i napij się czego.

A to mówiąc, wskazał mu na butelkę likieru. Ale felczer spojrział na niego wprawdzie z uśmiechem, jednak widocznie niekontent był z tej odpowiedzi, siadł przy nim na krześle i wypił kieliszeczek koniaku, ale odpowiedział mu sztucznie:

— Jenerał zabierze bezmała wszystkich ze sobą, którzy mu tam są potrzebni, ale pana pewnie nie weźmie. . .

Fujara spojrział z pod oka na niego, a felczer zaczął zaraz mówić o swoich ulubionych zwierzętach, porówny- wając je z ludźmi. I stawił pewne zasady oparte na ob- serwacyi, mówiąc: że przedewszystkiem żadne zwierze nie kłamie a to jest jedna z cnót kardynalnych, bo przecież z kłamstwa wszystkie grzechy się -rodzą. Zwierze nie jest ciekawe, co także jest wielką zaletą, bo ciekawość jest piefWszym krokiem do piekła. Zwierze- nie oszukuje, zwie- 4*

rze nie kradnie, chyba że go głód zmusza do tego a i wtedy jeszcze* bierze otwarcie. Jak długo zaś może, to uczciwie na swój kawałek chleba pracuje. Dość spojrzeć na wołu albo na konia, jak tylko się nauczy, czego człowiek wymaga od niego, jak on sumiennie, jak pracowicie wypełnia swój obowiązek, jak czasem ciągnie, że wszystkie kości w nim trzeszczą, bo wie, że praca jest jego obowiązkiem, i że za jego pracę go żywią. A pies, jakie-to zwierze rozumne, jakie uczciwe i wierne i wdzięczne — a jakże mu człowiek te jego poczywości nagradza? Oto u człowieka pies jest najpodlejszym stworzeniem bożem.

— A ja panu powiadam, — zakończył felczer, — że Pan Bóg dlatego psom nie dał mowy, ażeby nie wzięli góry nad ludźmi, bo gdyby psi mówić umieli, to ludzie musieliby się ze wstydu ukrywać przed nimi i oni-by światem rządili,' nie ludzie.

Fujara o tej psiej uczciwości miał niejaką wątpliwość: przecież niedawno jeden go w łydkę ukąsił; ale ani o tem nie wspomniał, tylko się bawił tą psychologiją zwierzęcą felczera, jak gdyby się to wcale nie odnosiło do niego.

Widząc to felczer, dał inny ^wrot swojej konwersacyi > i zaczął mówić o jenerale.

A wtedy Fujara jeszcze lepiej wyciągnął się na swoim fotelu i rzekł z zadowoleniem:

— A co ? czy nie piękny pogrzeb sprawiliśmy jenerałowi? jak było można, w takich okolicznościach. A jaki ja mu wystawiłem katafalk, niemając nic prawie pod ręką: czy potrafiłby to kto inny?

*— Jużci katafalk Był "piękny, — odpowiedział mu na to felczer, — niema co mu przyganić. Leżał na nim paradnie, bezmała jak biskup. Jakoż i to dobrześ pan zrobił,

żeś go ubrał w mundur francuski, ażeby go tam zaraz na samym wstępie jego wszyscy koledzy poznali. O ordery to mniejsza, boć tam i bez tego wiedzą o jego zasługach: ale toś pan zrobił niedobrze, żeś mu nie dał jego szabli do trumny.

— Jakiej szabli? — zapytał Fujara.

— Jużci tej szabli, co mu służyła we wszystkich wojnach, co zawsze wisiała nad jego łóżkiem, coś pan ją był położył na axamitnej poduszce a potem znowu zawiesił nad łóżkiem.

— Dobryś ty sobie, mój felczer, z takim conceptem! — zawołał Fujara. — Widać że się wcale nie znasz na starożytnościach. A przecież tę szablę darował jemu sam Cesarz Napoleon I. i jest na niej wryty herb cesarski i jenerała nazwisko i bardzo piękna dedykacja francuska. Ta szabla jest warta pięćset rubli pomiędzy braćmi a jak przyjdzie jaki Anglik amator, to da i tysiąc a może i więcej.

• ^f Jużci ja temu nie przeczę, — rzekł felczer, — ale jenerał przyjdzie po szablę.

— Jakto przyjdzie po szablę ? ;— zawołał Fujara, śmiejąc się głośno, ot, coś tam pleciesz trzy po trzy. Przecie umarł i zamurowany jest w grobie.

— A ja panu powiadam, — powiedział felczer głosem spokojnym, ale stanowczym, — że jenerał przyjdzie po szablę jeszcze tej nocy. Jakże? wziął swego konfa ze sobą, aby się miał na czym pokazać, a stanąłby bez szabli przed Panem Bogiem? Niechże pan sobie to sam w swojej głowie rpzważy.

Na to Fujara wyprostował się w swoim fotelu i patrzył na felczera takimi oczyma, jak gdyby chciał zajrzeć na dno jego wnętrzości. W duchy nie wierzył, ale może

tam ^wreszcie coś jest, bo przecie w pałacu jego rodziców w pewnej porze roku także jakiś duch chodził po komnatach, którego też wszyscy bardzo się bali a nawet i msze wtedy kazali odprawiać. Ale to przypomnienie bardzo mu było niemiłym w tej chwili. Jakże? on chciał spać w łóżku jenerała a tu jenerał ma przyjąć po szablę, która właśnie wisi nad łóżkiem. Zaczem się zebrał, stanął* bporem tej myśli i rzekł:

#4: Otóż ja ci powiadam, że ja się duchów nią boję i właśnie tej nocy będę spał w łóżku jenerała.

— W jego łóżku? — rzekł na to felczer, — gdybyś ^mi pan dał cały Zaklików, to jabym tam nie spał. Bo że

jenerał przyjdzie, to pewna, ale jeżeli będzie w gniewie, o co u niego nie trudno, to zdjawszy szablę ze ściany, gotów jeszcze głownią dać po łbie — a pan wie, że jak umarły kogo tylko dotknie choćby leciutko, , to śmierć.

Ale Fujara trwał przy swoim postanowieniu i rzekł z ironiją:

— Właśnie też umarli chodzą po nocach ? a dużo ich w twojem życiu widziałeś?

— Ja? — rzecze felczer, -gpeom ja *ich widział po » stepach, jako kości swoich szukają i siedzą na rozwalonych kurhanach, jęcząc i wyjąc ^kiedy nie mogą ich znaleźć, to panie człowiekowi krew ścina się w żyłach a włosy kołkiem stają na głowie. Ale to panu kiedy jndziej opowiem

•
A to rzekłszy, poszedł sobie na folwark, gdzie miał swoje mieszkanie.

Fujary sam został na ganku. Słońce wtedy już zaszło, ale jeszcze było dość jasno, więc miał odwagę. I mówił sobie:

— Jużci ludzie jeszcze wszystkiego nie wiedzą, teraz nawet od niejakiego czasu znowu dużo mówią i piszą o duchach. Kto wie, jak to tam jest na tamtym świecie... Ale to wszystko jedno. Zastraszyć się- nie dam i będę spał w łóżku jenerała. Piękna-by to rzecz była, gdybym stchórzył. Wszyscy-by mnie wyśmiali i nie mtałbym żadnej po-t, wagi...

I z takim silnem postanowieniem poszedł do małej sali jadalnej, gdzie mu do obiadu nakryto.

Mała ta salka była ^zawsze pochmurna a teraz już ciemno w niej było, zapalono więc lampę, która wisiała nad stołem u stropu. Było tylko jedno nakrycie, bo wprawdzie zaprosił Kańskiego i Prandotę na obiad, ale mu odmówili.

Krzesło mu postawiono na tem miejscu, gdzie zawsze siadywał jenerał. Tak dobrze, bo jużci mu się to miejsce należy: ale przecie zastanowił się nad tem, że może się to nie podoba jenerałowi... Bo teraz już noc zapadała i jakieś inne myśli mu przychodziły do głowy. Duchy oczywiście są, o tem wątpić nie można, chociaż ich człowiek nie widzi. Ale mimo to duchów się bać, to znowu rzecz inna. Jednak od czasu do czasu oglądał się po za siebie, czy za nim nie stoi jenerał. Jakoż namyśliwszy się, przesunął swoje nakrycie na inne miejsce i siadł na innem krześle, które sam sobie przystawił. Sobił to niby w skutek namysłu, ale zły był na siebie i mówił sobie — Człowiek przecie jest głupi, że takie myśli przypuszcza do siebie. Nawet jeść nie^{mo}gę spokojnie...

Do stołu służył mu tylko jeden lokajczyk, to go także gorszyło. Sfukał go więc, mówiąc:

— A gdzie tamci lokaje ?

— Płaczą wszyscy za jenerałem, więc kozak ich poprowadził do karczmy.

— Piękny to będzie porządek, jak się będziecie dać prowadzić kozakom! —'zawołał na to Fujara. —Wiem naprzód, dokądby was zaprowadzili. Powiedz lokajom, jak tvróca, że mają tak samo służyć, jak służyli za jenerała, i mają- spać w swojej kordegardzie w pałacu.

Ale lokajczyk odpowiedział mu na to:

— Widzi mi się, proszę pana, że oni tu spać nie będą, bo słyhać, że dusza jenerała będzie .chodzić po nocy. Teraz jeszcze i kamerdyner umarł, więc i on będzie pewnie chodzić za jenerałem.

To rzekłszy lokajczyk, wyszedł ze sali.

Fujara był bardzo skonsternowany i roztargniony. Czarna noc już wtedy zaglądała do okien, więc coraz ckliwiej mu się - robiło* Ale mocno się trzymał i mówił do siebie:— Jeszcze i kamerdyner będzie chodził za jenerałem... ciekaw'em, kto tym ludziom takimi plotkami głowę tfabija. Muszę to powiedzieć Xiędzu Prandocie, przecież nie godzi się, ażeby katolicy w takie zabobony wierzyli. — Jednak mimo to jakoś coraz więcej był roztargniony. Zamiast pie- > czeni nadział na widelec kawałek chleba i zaczął go krajać. Spozrzegł się i rzekł tio siebie: — Co ja też robię ? — Chciał dalej jeść, ale nie mógł, pieczeń mu w gardle stawała. Nalał więc sobie wina i wypił całą szklankę powoli. Ale i wino mu jakoś nie smakowało — a przytem coś go tak piekło w siedzenie, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Zaczął więc pić drugą szklankę, leez kiedy pił, patrzy — a tu jenerał siedzi na swoim miejscu przy stole a guziki tak mu się świecą u munduru, że niemasz żadnego wątpienia. Jenerał sam w własnej osobie: widzi go, mógłby

na to złożyć przysięgę. Mrowie go przeszło... ale się trzymał walecznie, dla honoru imienia, tylko oczy spuścił ku ziemi. Kiedy oczy znów podniósł, lokajczyk właśnie zbierał pieczeń ze stołu i konfitury zastawiał, jenerała nie było. Fujara przejechał ręką po twarzy i po czuprynie i chociaż był w potach, rzekł do lokajczyka:

— Kawę i likier zastaw mi "w bibliotece, tak jak bywało za jenerała, kiedy gości nie było.

Kiedy lokajczyk wyszedł, Fujara się zaciął i rzekł do siebie: — Zginę a nie ustąpię. Za nic w świecie tego nie dopuszczę, ażeby ze mnie się śmiali. Tylko ja sam wiem, co mnie to kosztuje, ale postawię na swoim. Żołnierze chwalą się tem, że idą na armaty: pytam się, co to za porównanie? A jeszcze i to mi na myśl przychodzi, że są ludzie, co. duchów wywołują umyślnie. Człowiekowi się rozum przewraca, kiedy pomyśli, że są tacy głupcy na. świecie...

Poczem wstał raźnie. Teraz znów mu się zdało, że jenerał siedzi przy stole. Ale powiedział do siebie: — Niech sobie siedzi, — i przeszedł do biblioteki.

W bibliotece, na tym wielkim stole, przy którym zwykle siadywał jenerał, lokajczyk zastawił mu kawę z koniakiem, zapalił dwie świece i wyszedł.

Fujara nalał sobie naprzód kieliszek koniaku i wypił. J dziwił się, że tyle pije a jakoś nic mu nie idzie do głowy: owszem głowę ma coraz jaśniejszą a wolę coraz silniejszą. I czuł w sobie teraz taką energję, że gotówby był zstąpić w podziemia grobowej kaplicy i stawić czoło wszy[^]stkim umarłym. Jakoż mówił do siebie: — oni tam pewnie czekają, aż ja się duchów przestraszę[^] czekajcież błazny! jutro rano mnie obaczycie, jakem się wyspał w łóżku jene

rała. — To mówiąc, chciał sięść na fotelu, lecz widząc, że fotel jest obrócony tyłem do okna, rzekł sobie: — Nie, tak nie siądę, mógłby mnie jaki diabeł chwyci? tędy za kołnierz. — I obrócił fotel plecy ma do szafy a siadłszy weń, zaczął myśleć spokojnie. Potem nagle potarł się ręką po czole i rzekł do siebie: — Jacy oni głupi! jak gdyby na wszystko nie było sposobu. Jenerał przyjdzie po szablę. Otóż ja szablę zdejmę ze ściany i postawię ją w kącie we wielkiej hali, jak przyjdzie, weźmie ją sobie — i koniec.

Był tedy niezmiernie kontent ze swego konceptu i już się zaczął uśmiechać. «

Ale jak w szafie za jego plecyma nagle coś frzasło... zerwał się jakby go kto połał ukropem i kłusem wyleciał z pałacu.

I nie oparł się aż na tylnym dziedzińcu,, gdzie po jednej stronie i drugiej stały oficyny i zabudowania ekonomiczne.

Tam stanął, bo się obawiał, aby go dworscy ludzie nie spostrzegli w tym kłusie: ale miał suknie w wielkim- nieładzie, włosy wzburzone na głowie i oczy mocno zaokrąglone —*i temi oczyma patrzył w okna małej sali jadalnej, które wychodziły na ten dziedziniec. Gdyby był psem, byłby czekał na pałac.) Ale że był człowiekiem, więc tylko przepełniony był strachem i wstydem i gniewem, chociaż właściwie nie wiedział, na kogo się gniewa.

Na dziedzińcu było pusto, wszelako dwóch ludzi przecież go widziało uciekającego z pałacu. Byli to Kański 4 felczer, którzy siedzieli na ławie przed ekonomiją i rozmawiali ze sobą. Jeden z nich służył na Kaukazie a drugi w rotach Orenburgskich, dzieliły ich góry, lasy i .wody, ale duch ludzki nie zna przeszkód przestrzeni, więc jedne mieli

uczucia, uważali się za kolegów i żyli w ścisłej przyjaźni ze sobą. •

Pierwszy spostrzegł go felczer i trącił Kańskiego, "wołając szeptem:

— Patrz, patrz, jak Fujara ucieka z pałacu, pewnie obaczył ducha jenerała.

• Ale poważny Kański odpowiedział mu na to:

— Otóż-to rycerz karmazynowy⁴ A jak się to chwali rycerstwem swych przodków. Im się jeszcze zawsze zdaje, że w nich żyje duch dawnych chorągwi pancernych, hus- sarskich i petyhorskich. I jeszcze zawsze-by chcieli przewodzić. A tu i ciało skarłowaciało i dusza poszła im w pięty. Jeszcze-by pracą mogli się podnieść, ale i do pracy niezdatni. Jakże długo jeszcze te żywe trupy będą się poniewierać na ziemi!

' Kański i felczer zaczęli z sobą dyskusję o podniesieniu ^społeczeństwa przez pracę — a tymczasem Fujara, wróciwszy pomału do równowagi 'duszy i ciała, poszedł powolnym krokiem dę swego mieszkania. W. oficynie po prawej miał dwa pokoje na dole, pierwszy dość duży, obwieszony obrazami i rycinami, drugi cokolwiek mniejszy, w którym miał łóżko i stół ogromny przy ścianie, zarzucony xiążkami i papierami w niesłychanym nieładzie. Mieszkanie, to wreszcie było w całości przepełnione najrozmaitszem rupieciem, bo Fujara kochał się w wszelkiego rodzaju starożytnościach, znał się na nich a nawet trochę niemi handlował. Kto w swem przekonaniu niema przed sobą przyszłości, ten rad się zatapia w przeszłość i częs.to^v ceni sobie wysoko nawet takie graty, które żadnej nie mają wartości. Ale Fujara umiał je rozróżniać i wykrywać w-nich wartość handlową, i często z tego korzystał.

Wróciwszy do siebie, zapalił świecę i zaraz spać się położył, mówiąc sobie: — Jestem zmęczony, przecież tu sobie spokojnie wypocznę... Świecę postawił w kącie, bo w ciemności, ile że miał głowę jenerałem nabitą, mogłoby* mu się co przywidywać. Ale nie mógł zasnąć od razu. Zaczął bowiem nad tem rozmyślać: dlaczego pomimo to, że miał i rozum jasny i silną wolę i świadomą siebie energię, przecie uciekł z pałacu. Jużci duch jenerała tam był, sam przecie go widział, ale duch nie może człowiekowi zrobić nic złego, bo jużci to duch. A potem ten duch mógł być także utworem jego własnej imaginacji — a przecie nikt jeszcze tego nie doszedł, jaka jest właściwie różnica pomiędzy utworem imaginacji a tem, co nazywamy rzeczywistością. Utwór imaginacji jest faktem a więc jest także rzeczywistością. Tak rozumując, przyszedł pomału do przekonania, że jasny rozum i silna wola i świadoma siebie energija to są także tylko Wytwory imaginacji — i na nic się to* wszystko nie zdało, jeżeli nerwy są słabe a więc nieposłuszne. Tak skarżąc się panu Bogu na swoje nerwy, zaczął pomału usypiać. I już mu się marzyło, jako pomimo to wszystko spi w łóżku jenerała i jest pełen odwagi i czeka — a jenerał nie przychodzi po szablę: kiedy wtem coś zapukało do okna.

Fujara zerwał się ze snu i mrowie go przeszło. Oczywiście jenerał. A wtem drugi raz zapukało: puk, puk, puk, że aż szyby zadrzały.

Kto to być może? — rzekł do siebie Fujara. Przecie nie duch. Duch może trzasnąć w szafie, kiedy drzewo rozsadza, ale nie może pukać do okna. Pałaca się świeca dodawała mu zresztą odwagi. Zaczem wstał, zarzucił staro

żytny chałat na siebie, wsunął nogi w patynki i poszedł ku oknu. A wtedy usłyszał za oknem głos niecierpliwy:

— Otwórz-że przecie do tysiąc diabłów, jużcim nie' złodziej.

Głos mu się zdawał znajomy, ale będąc jeszcze trochę zaspany, nie mógł go poznać. Jednak wyszedł do pierwszej izby i drzwi otworzył do sieni.

A wtedy do izby wszedł człowiek przyzwoicie ubrany i rzekł do niego:

— Pukałem do drzwi, pukam do okna i nie mogę się ciebie dobudzić..

t* Balcer! — zawołał Fujara, — skądżem mógł wiedzieć, że przyjedziesz tak późno?

— Takie są czasy, — odpowiedział mu Balcer, — w dzień się spoczywa a jeździ się w nocy.

Poczem weszli do izby sypialnej.

Balcer był to człowiek także równego wieku z Fujarą. Dostyc słuszny, lecz szczupły, zaczął się wydawał dużo słuszniejzym, o bladej • twarzy, z ciemno-blond wąsami i faworytami, z dużym nosem i czołem wysokim, sprawiał on już na pierwszy rzut oka wrażenie świadomego siebie człowieka; lecz kto się wpatrzył w jego oczy, - duże, niebieskie, gęstymi brwiami nakryte, ten poznał, że w tym człowieku, oprócz świadomości i przytomności umysłu, jest także niezwykajna energija. Jakoż zdawało się, jakoby był wojskowym i może służył w jakiejś broni albo też w takim departamencie, który wymaga trzeźwego i pracującego rozumu.

Siadając na krześle, które mu Fujara przysunął, mówił zwięźle i jasno:

— Przychodzę do ciebie z prośbą o przyjacielską usługę.

Ja jeszcze dzisiaj przed świtem wyjeżdżam z kraju. Jadę na jakiś czas do Paryża a stamtąd zapewne przeniosę się do Genewy. Zostawiam tu Balcerówkę, o coby mniejsza, ale zostawiam także żonę i dwoje dzieci. Chłopiec ma lat dwanaście a dziewczynka jest w piątym roku. Chłopiec jest w szkołach, ale w Lipcu wróci do domu. Moja* żona, przecie ją znasz, jest bardzo rozumną kobietą, ale niedomaga na zdrowiu; nie można dziwić się temu, przy takich ciągłych zgryzotach od roku! Ja chcę, aby żona i dzieci przyjechały za mną do Genewy, ale dopiero pod jesień, aż sobie tam znajdę jakieś pomieszczenie.. Ale Balcerówka tutaj zostanie. Chciałbym cię zatem prosić, ażebyś przyjął opiekę nad moją żoną i dziećmi a zarazem nad gospodarstwem.. .

Więc Fujara podniósł głowę do góry, oparł się mocno na krześle, wyciągnął nogi, wyduł usta i dmuchnął kilka razy przed siebie. Balcer zaś mówił dalej:

— Znam ciebie jako dobrego i uczciwego człowieka...

— Spodziewam się! — przerwał mu z pewnością siebie Fujara, — jeszcze to jedno, czego mi ludzie nie odebrali — i nie odbiorą, za to ci ręczę. “ Ale nie o to chodzi... .

— Boisz się pracy? —\ zapytał go Balcer.

A na to Fujara:

•— Odebrałem teraz wszystkie dobra po jenerale...

— Więc jeśliby ci było za ciężko...

— Ale nie, 'nie, — zawołał na to z dobrego serca Fujara, — cóżby-to było, gdybym się od obowiązków obywatelskich wymawiał? Przecież o to mnie nie posądzisz. Tylko rozumiałem, że Kański, z którym przecież jesteście zgodni w zasadach...

t- Kański, — rzekł Balcer, — zapewne że jesteśmy zgodni w zasadach, ale przecież nie tak zupełnie, jak ci się zdaje. Kański jest zdania, że powinniśmy siedzieć spokojnie i tylko niezmordowanie pracować. Praca, praca i praca — a resztę trzeba panu Bogu zostawić. A ja, jak wiesz, na pomoc Boską nie liczę i przypuszczam różne gatunki pracy. Poświęcenie się to także praca.. * Gzy kto ma

*

o kilka par wołów mniej albo więcej w oborze, na tem nic nie zależy, bo są cele wyższe niż woły. Są położenia, w których woły trzeba poświęcić i siebie samego trzeba także poświęcić. Kański tego nie rozumie, on zna tylko rachubę i siłę i ma nas wszystkich za waryatów i głupców. Kański nas nienawidzi...

Więc Fujara wyciągnął rękę do niego i zawołał z zapalem:

—⁴ Masz rację. GobyH: o życie było warte-bez ideałów! Ja trzymam z tobą a Kańskiego niecierpię. Jestem na twoje usługi, zrobię wszystko, co każesz...

— Nie tak wielkie-to rzeczy, — rzekł Balcer. U mnie gospodarstwo było zawsze w porządku, chociaż przez tyle lat w Petersburgu mieszkalem. W ostatnim roku zakradły się nieporządki, chociaż tu byłem. Miałem dobrego włodarza, tego już niema. Był pisarz — i tego niema. Ale jest stary ekonom, w który wszystkich zastąpi, byle nim pokierować. O co więc chodzi? Odwiedzaj ich od czasu do czasu, daj dobrą radę i pociesz. Przyszljcie mi trochę pieniędzy, jak co uzbieracie; moja żona mieć będzie moje adresy, ale ty musisz ją w tem wyręczyć, bo wiesz, co to kobieta... Ale co najważniejsza i o co- przedewszystkiem cię proszę, to żebyś mi żonę i dzieci wyprawił, jak czas będzie po t\$mu. W tem liczę na ciebie na pewno.

— Bądź-że sobie spokojny, — odpowiedział mu Fujara tonem protekcyjnym, — kto na mnie liczył, teri[^] się nigdy nie zawiódł.

— Ty przecież nie wyjedziesz? — zapytał jeszcze Balcer, wstając i kładąc kapelusz na głowę.

— Ja? — zawołał Fujara jakoby ze zdziwieniem, — ani mi się śni* niemasz też do tego ani powodu, ani nawet

* pozoru.

Z tem wyprowadził swojego gościa do sieni — a sam wrócił do łóżka i zasnął snem spokojnym i smacznym, jako pan na Zaklikowie i na Balcerówce.

IV.

Któż był Fujara? — bo mógłby kto myśleć, że to jest Zmyślone nazwisko — a tymczasem tak nie jest.

Symfroniusz Pantaleon JózefTujara, na wielkich i małych Fujarach, był potomkiem bardzo starożytnej i bardzo szeroko rozgałęzionej rodziny. W starych herbarzach można się doczytać, że kiedy z trzech synów Noego zaczęły się dalsze pokolenia wyradzać, już między nimi Fujarowie kwi-[^] tnęli: szkoda że te herbarze są po żydowsku pisane, zacem nie dla każdego przystępny. Liczne ślady Fujarów znajdują się między Grekami, u Rzymian mniej, chyba w czasach upadku cesarstwa. W Polsce widzimy ich za Bolesławów, ale musieli istnieć i dawniej, co widać po ich nazwisku, które oczywiście powstało w owych czasach prostackich i nieokrzesanych, gdzie ludziom dawało nazwiska według ich zewnętrznych albo wewnętrznych przymiotów i gdzie na najwyższych dygnitarstwach duchownych i świeckich widzimy Świnków, Ciołków, Kiszków, Cholewów, Szafraków,

Zaprzalców, a nawet Złodziejów. Fujarowie szli przez wszystkie wieki to górą, to dołem: dołem, kiedy żaden z nich nie zasiadał w radzie Korony, a górą, kiedy narodowi przewodzili ludzie z ich rodu. Bardzo długa-by to była ' historia, gdyby chcieć opowiedzieć dokładnie, z ilu świetnych zwycięstw nie odniesiono odpowiednich korzyści tylko dlatego, że Fujarom pilno było. do pierzyn i garnków do- • mowych, ile wypraw wojennych spęzło na niczem z tego powodu, że oni bić się nie chcieli, ile wojen domowych trwało tak długo tylko dlatego, że oni je popierali: dość będzie wspomnieć, że "w XVIII, wieku tak licznie się, rozrodzili, iż są historykowie, którzy im przypisują upadek * Polski.

Józef Fujara odziedziczył po ojcu .bardzo piękny majątek : tysiąc morgów ziemi pszennej, sześćset morgów łąk ' tłustych, kilkaset morgów nietkniętych lasów dębowych", pałac, wszelkiego rodzaju zapasów bez końca i ani jednego groszyka długów. Ojciec odumarał go wcześniej, matka prowadziła jego wychowanie — i prowadziła je według tra- dycyi i obyczajów, jakie od dawna się chowały w rodzinie. Nauczono go wielu języków, muzyjri, malarstwa, tańców, fechtunku i jeżdżenia na koniu, ale nie dano mu żadnego zawodu.. Wpojono zarazem weń to przekonanie, że stanowisko i szczęście człowieka zależy od rodzinnych relacji i towarzyskich stosunków, a nie od jego wewnętrznej wartości i własnej pracy. Toż kiedy po śmierci matki pomyślał o ożenieniu, to wziął pannę świetnego rodu z pobliskiego Łj Podlasia, chociaż nie miała posagu. Ożeniwszy się, urządził • 4om na wielką stopę, t kuchnię wyborną i bogatą piwnicą, z całą ciżbą lokai, z powozami, końmi i psami, ale bez względu na dochody,,bo nigdy go nie uczono rachunków.

, Zaklika. T. Jw

* 5 •

Cały powiat bywał u niego — a na jego bale i polowania zjeżdżali się goście niemal z całego kraju. Był zatem powszechnie lubiony i popularny, bo był przytem bardzo dobrego serca, każdemu pożyczył pieniędzy a ubogiemu zawsze dopomógł. W pożyciu małżeńskim był także, szczęśliwy, bo jego żona, chociaż jej piękność wszyscy sławili, prowadziła się tak, że ją za przykład innym stawiano, mówiąc: Fujara jest bardzo mało do apollina podobny, nawet nie zdaje się mieć przymiotów Satyra, ale swoją żonę dobrze prowadzi. Inni wprawdzie mówili, że to żona jego prowadzi, ale i z tego względu ją także chwalono, bo robiła to tak, że nikt tego nie widział.

Nareszcie po dwóch czy trzech latach coraz szczęśliwszego pożycia jego żona powiła mu synka. Tak przez cały czas tych nadziei, jak i po przyjściu na świat swojego potomka, Fujara był ^niezmiernie rozpromieniony, matkę i dziecko pielęgnował jak siostra miłosierdzia, stąpał dumnie,, głowę nosił wysoko <a jakoto lubiał puszczać wodze swej. wyobraźni, już nawet cały plan wychowania ułożył. Ale po kilku tygodniach, kiedy się synek zaczął rozwijać, zaczęły się szeptki A szeptki te stąd się wzięły, że ten mały Fajarai był»nie do swego karłowatego ojca, ale raczej do małego- słonia podobny: ramiona Su niego były jak uda a uda jak pnie. Kuchciki nawet nieprzyzwoite porozsiewali żartyj mówiąc : że ten mały Fujara, chociaż jeszcze chodzić nie umieć: już się zrywa do konia, bo mu się nudzi w kołysce i chciałby się trochę przejechać. A żarty te były dlatego nieprzyzwoite, że był we dworze młodzieniec, syn czynszowego szlachcica, który nie chciał się uczyć, ale dzielnie jeździł na koniu, znał się na stadzie i na polowaniu i był sam dojeżdżaczem tak znamienitym, że mu nie było ró

wnego w powiecie. Był on nawet imiennikiem samejże pani, bo-to tam na Podlasiu niejednokrotnie potomek buław i miter i ubogi chodaczek jedno i to samo noszą nazwisko; jakoż za jej protekcją wzięto go do dworu i oddano mu rząd nad stadniną i stajnią. Był on bardzo przystojny i wcale herkulesowej postaci, Fujara bardzo go lubił i nawet myślał już o tem, że mając takiego człowieka, mógłby chować konie angielskie i biegać niemi na wyścigach w Warszawie. Tymczasem te szeptki doszły do uszii Fujary, co nawet nie mogło inaczej być, bo ze wszystkich zmysłów ucho miał najbystrzejsze, zaczęł zaczął się z wielką uwagą przypatrywać swemu synowi i owemu do- jeźdźczowi. A potem już niedługo to trwało, bo już w kilka dni powiedział sobie: Tak jest, niemasz żadnego wątpienia, chyba ślepyby tego nie spostrzegł.

Spostrzeżenie to go do głębi wzburzyło. Czuł się śmiertelnie obrażonym na swoim honorze i powziął silne postanowienie, postąpić sobie jak mąż, nieprzepartego umysłu i .woli żelaznej, i • wyrzucić taką zakalę ze swego domu.

Taka rzecz — mówił sobie — może się zdarzyć każdemu, ale nie każdy potrafi sobie tak postąpić, jak ja. Zaczem namyśliwszy się dobrze, żonie nic nie powiedział, ale do biskupa pojechał, abygpodać o rozwód. Jednakże biskup,* wysłuchawszy go z należyłą uwagą, powiedział mu: — Panie^bracie, daj temu*pokój. Is pater est aum nupliae demonstrant, proces przegrasz, rozwodu nie dostaniesz a tylko narobisz niepotrzebnego hałasu. Trzeba się było pilnować... ' Więc Fujara okrutnie zły wrócił do domu, żonie znowu nic nie powiedział, bo do tego niemiał. odwagi, — z biskupem łatwiej się można dogadać, niż z taką żoną, ale się gryzł,

5*

sposępniał, zgorzkniał, wstydził się siebie samego, nawet i, żony unikał a dziecka nie mógł ścierpfeć na oczy.

Ale niebawem zajechał do niego literat-naturalista, wielki psycholog a zarazem fizyolog, co po wsiach chodził, a potem pisał powiastki o chłopach. Fujara, który sam miał mnóstwo literackich pomysłów, tylko że nigdy ich jakoś nie mógł napisać, miał słabość do artystów i literatów a więc i tego przyjął u siebie, powziął do niego zaufanie bez granic i wypowiedział rnu się ze swoich podejrzeń i zgryzot. Ale ten naturalista go wyśmiał z jego podejzzeniami i wyłożył mu bardzo uczenie a jasno jakby na dłoni: że to jest atawizm. Niemasz tu żadnego wiarołomstwa, ani go nawet potrzeba, bo tu poprostu synek wdał się nie w ojca, tylko w któregoś ze swoich dziadów, zapewne w jednego 3 tych wielkich Fugarów, co się bili pod Orszą, i pod Gecorą i mieli właśnie ramiona jak uda a uda jak pnie... Więc Fu-, jara, który się kochał w romantykach a z temi nowożyt- nemi poezyami jeszcze nie był obznajomiony, bardzo pilnie go słuchał, coś trochę zrozumiał a zresztą prosił JO wyjaśnienie i o postawienie teoryi. Naturalista nie był tak bardzo kuty w teoryach; gdyby był miał z nich zdać egzamen,* to profesorowie byliby go odesłali do abecadła; jego cała wiedza ograniczała-się dos obserwacyi a po za nią był ciemny jak kret: ale dla Fugarów miał pochwytyanych teoryi aż nadto, któremi nawet go olśnił i wreszcie całkiem przekonał. Zaczem Fujara, jako był człowiek sumienny, naprzód, uderzył się -w piersi za to, że żonę swoją tak ciężko obwi- nił, pogodził się z nią jaknajprędzej, synka swego na nowo polubił, nawet dojeżdżacza ścisnął za rękę, nie mówiąc mu,* za co — i znów był szczęśliwy.

Ale jakże znikomem jest szczęście nasze na ziemi! Od

czasu jak mu jego żona pierwszego synka* powiła, jeszcze nawet nie minął rok cały, co było okolicznością niezmiernie obciążającą, kiedy mu już drugiego sypnęła, który też do swego poprzednika był oko w oko podobny. Więc Fujara niesłychanie się zdziwił — a to tem bardziej, ile że nawet nie mógł sobie przypomnieć, jak się to stało. Obliczył jak najdokładniej dni- i miesiące na czasów zegarze i znalazł, że 'wtedy był na śmierć pogniewany ze swoją żoną. Cóż to ma znaczyć? Miałże-by* atawizm być tak potężnem prawem natury, że działa nawet*bez naszego udziału? .. Chciałby był, ażeby mu to ów naturalista był wytłumaczył. Jakoż bardzo mozolnie rozmyślał nad tem i już postanowił do Warszawy pojechać, kiedy tymczasem ten nowy atawistyczny potomek dostał jakiejś gorączki i umarł. Fujara z mężką rezygnacją zniósł ten cios familijny i z suchern okiem szedł za pogrzebem. Ale na pogrzebie był także do- jeżdżacz a ten, kiedy dziecko spuszczano do grobu, tak się rozplakał, że go nie można było utulić. Fujara rzucił na niego po kilka razy piorunującym okiem, ale nareszcie się nie mógł powstrzymać i zapytał w głos swoich dworzan: — Czego ten łobuz tak płacze? — Dworzanie odpowiedzieli mu, że ten łobuz bardzo dobre ma serce, że jest przywiązany do dworu, że mu żal dziecka: ale to go wcale nie uspokoiło, owszem jeszcze bardziej się uniosł i sfukał do- jeżdżacza przy wszystkich. Było to bardzo nierostropnie: bo z tego zrobiła się plotka, która się rozniosła naprzód po całym dworze a potem po wsi a wreszcie po wszystkich sąsiedztwach... I Fujara się o tem dowiedział, i zgryzł się' tem bardzo, i nie wiedział, co zrobić. Ale kiedy mężczyzna nie wie już żadnej rady, to zawsze jeszcze poradzi kobieta. Jakoż jego pani, jak tylko

powróciła do zdrowia, poradziła mu na to, mówiąc: że życie na wsi niezmiernie jest nudne, że tu nierftasz są- siedztw, że są tylko sami wielcy panowie, którzy mieszkają po miastach, że Warszawa jest wprawdzie miastem, ale przecie to tylko jest partykularz, gdzie ludzie żyją komera- żami, że najlepiejby było do Paryża wyjechać na zimę, gdzie przecież można szerszem odetchnąć powietrzem... Fujara znalazł, że jest to idea jenijalna, bo zaradza od razu wszystkiemu, zapomniał też zaraz o wszystkim i zaczął robić przygotowania do tej podróży. Powyprzedawał więc naprzód wszystkie zapasy, miał-trochę długów, ale to nic, zaciągnął w Towarzystwie pożyczkę, długi popłacił, nie wszystkie, bo trzeba przecież zostawić coś na rosplódek — i wyjechali. I Fujara był kontent, bo wziął ze sobą okrągłą sumkę gotówki.

W Paryżu żyli sobie według swojego stanu. Bywali s. w najlepszych towarzystwach francuskich i polskich i przyjmowali u siebie. Fujara był ciągle niezmiernie zajęty, od rana do późnej nocy, bo to przecie nie mała robota nowe, znajomości wciąż robić, o każdym się dokładnie dowiedzieć, jakiego jest rodu i z kim jest spokrewniony, aby jakiego bąka nie strzelić, przyjmować i oddawać wizyty według przyjętych zwyczajów, urządzać obiady i wiedzieć zawsze z kim kogo zaprosić a kogo pominąć i kiedy znowu pominiętego zaprosić, a potem te koncerty, te amatorskie teatry, te toalety "dla żony... to wszystko jest praca, o której człowiek niskiego stanu niema najmniejszego wyobrażenia. Ale Fujara tę pracę znosił wesoło, bo był w swoim żywiole i wszystko doskonale mu się udawało: jego żona stała się przedmiotem uwielbienia dla wszystkich a nawet i co do niego wszyscy się na to zgadzali, że jest człowiekiem wy

kwintnego wychowania i bardzo delikatnego uczucia. Fujara był tedy rospromieniony; tylko to jedno go trochę nudziło, że pieniądze w Paryżu tak okrągło się toczą, o czerń dotąd nie myślał. Ale musiał nareszcie pomyśleć, bo jeszcze zaledwie pierwsze wiosenne dni się zaczęły a najpiękniejszy sezon dopiero miał się poczynać, on już był prawie bez grosza a nadto jeszcze miał wcale niemało niepopłaconych rachunków. Zastanowił się nad tem i miał tę myśl, że najlepiejby było wyjechać, ale jego żona znalazła, że jest to myśl niesłychanie głupia a nawet nie mogła mu się nadziwić, że mógł wpaść na taki koncept bezmyślny, bo przecież byłaby to haniebna kompromitacya, któraby po wiek wieków pozostała na ich imieniu. Jakoż ,go natychmiast wyprawiła do domu, aby uporządkował interesa a nawet dodała, że powinien tam zostać tak długo, aż póki dochodów tak nie urządzi, ażeby mogli spokojnie siedzieć w Paryżu i nie mieć takich* głupich kłopotów. '

Fujara żony usłuchał, ale kiedy do domu przyjechał, znalazł się w niejakim kłopotcie, bo rządca mu powiedział, że w kasie pustki a teraz, na przednówku trudno się da co oszczędzić, chyba żeby lasów nadpocząć, o które właśnie dopytują się żydzi.

Więc Fujara uderzył się w czoło i zawołał , do siebie: — Otóż to głupia rzecz! ja mam lasy dębowe a kłopotę się o pieniądze. — I poszło to zaraz jak z płatka: co zetnie jednego dęba, to mu żyd. peca położy na stole. Fujara niezmiernie się tem uradował a zarazem rozczulił, wielbiąc z szczerego serca nieocenione cnoty swych przodków. I składał- ręce i mówiłco to za święci ludzie byli ci nasi ojcowie! takie niewyczerpane nam zostawili majątki! Tu dość siekierą uderzyć gdziekolwiek, ażeby złoto

wytrysnęło strumieniem... I wszystkie dęby wyrąbał, nie darował nawet i sosnom, chociaż mu za nie dano tylko po rublu; zabrał pieniądze i do Paryża powrócił.

Jego żona, obaczywszy worek skórzany z pecami, a do tego jeszcze całą pakę bomażek, jeszcze nigdy w życiu go tak nie wyściskała jak teraz. Jakoż dopiero teraz zaczęło "się życie według godności imienia, bo kiedy tam w dobrach ojcowskich takie znajdują się skarby, dlaczegóż sobie przyjemności odmawiać ? Więc przepędzili wiosnę z wielkim hukiem i trzaskiem w Paryżu, w lecie pojechali do kąpiel letnich a w jesieni do morskich — a na zimę znów do Paryża wrócili* Ale w zimie w skórzanym worku już ani jedného pecamie było, z bomażek także mało pozostało — a natomiast, nawet niewiedzieć jakim sposobem," bardzo di^o długów się przysporzyło. I te długie zaczęły doskwierać, Fujara nie mógł się dosyć- nadziwić, jak się to stało, ale co go przy tem najwięcej gorszyło, to osobliwsze postępowanie Francuzów: naród-to tak wysoce cywilizowany i słynący po całym świecie ze swojej grzeczności a tymczasem ci właśnie Francuzi, z którymi miał do czynienia, okazują się grubijanami, w rozmowie z nim używają bardzo nieprzyzwoitych . wyrazów a jeden z nich nawet do tego stopnia się rozzuchwiał, że mu kożą zagroził. I nie było już na to innego ratunku,' tylko trzeba było znowu do domu pojechać.

Ale teraz, rozpatrzywszy się z konieczności w swem położeniu, Fujara znacznie otrzeźwiał. Majątki ojcowskie były rzeczywiście niewyczerpane, ale tylko dla .tych, którzy rozumnie z nich czerpać umieli. Fujara wszystko wyczer- pnał od razu i nic mu nie pozostało. Zostały się męty. Ażeby i te męty spieniężyć, wypuścił majątek na lat dwadzieścia

w dzierzawę i wziął z góry pieniądze. Pieniądze te, ponieważ wierzyciele niecierpliwie czekali, żonie odesłał — a sam się został jeszCze czas jakiś, bo wiedząc, że swego majątku nigdy już nie odbierze, chciał wyprzedać sprzęty zwyczajne a niektóre przedmioty sztuki i starożytności wyprawić w pakach do Paryża. Tak zrobił — i z wiosną sam do Paryża wyjechał, niecierpliwiając się w "drodze, ażeby mógł jaknajprędzej opowiedzieć żonie, przez jakie przeszedł kłopoty i w jakim teraz są położeniu.

Lecz kiedy w Paryżu wszedł do swego mieszkania, żony nie zastał — a służący powiedzieli mu, spuszczać oczy i mieć półsłówka w gębie, że pani wyjechała z jakimś bogatym Amerykaninem, który się jej oświadczył, i ma się z nią żenić. Wyjeżdżając, zaś, zostawiła mu list, «który mu zaraz oddali... Fujara osłupiał i zrazu wyglądał 'tak, jakby go co poraziło. Ale zapanował nad sobą, milcząc odebrał list i wyszedł do drugiego pokoju, aby go czytać. List ten był napisany po francusku, bardzo pięknie, i stała w nim naprzód rzecz taka: że ich temperamenty się nie zgadzają, że on jej nigdy nie mógł zrozumieć, że lepiej będzie, jeżeli się z sobą rozejdą a wreszcie, że ona znalazła milionowego obywatela z Ameryki, i że zmieniwszy religiję, -idzie za męża za niego... Potem mu opowiadała, że ten obywatel amerykański ma bardzo wielkie dobra w Brazylii, dobra tak wielkie, że chowa w nich sześćdziesiąt tysięcy krów i czterdzieści tysięcy koni, tylko owiec nie chowa, bo pasza zanadto tłusta: czy słyszał kto kiedy o takich majątkach w Polsce a choćby i w Europie?... Nareszcie go przeproszała, że mu synka zabiśra, ale rozumie, to lepiej dla niego, bo mu tam łatwo z jakie dwadzieścia tysięcy krówek przychowa; jeżeliby zaś ojciec za nim

zateśnił, to może każdego czasu przyjechać, będzie jak- najserdeczniej przyjęty...

Fujara patrzył przez długą chwilę w ten głupi papier jak sroka w kość i nie wiedział co o tem myśleć; potem zaś usiadł, papier na kolanie położył i zaglądając weń od czasu do czasu, wybuchał przerywanemi słowy: — Temperamenty się *nie zgadzają! a jakież diabeł może się zgodzić z takim temperamentem, co Boże, odpuść. Obaczmy niebawem, jak się taki zimny Anglik z nim zgodzi... Pięćdziesiąt tysięcy krów! oto szelma ją ołgał! co to za głupiej głowy potrzeba na to, ażeby takim łgarstwem uwierzyć?... Jeszcze i pasze za tłuste i owce się nie chowają! Toż tam i osły się nie chowają, takie osły jak ją co wierzą kobietom. I ja będę tam jechał? może z tęsknoty za wami? Nie, mościa pani, ja pewnie nie zateśnię za wami. Tylko jak tego Anglika złapę...

I tu zaczął okrutnie się gniewać i fukać. Wszelako pomimo, gniewu przypomniał sobie, że przecie niedawno sam chciał się rozwodzić. I to go uspokoiło. I powiedział sobie: —Może tak lepiej... A wtedy już prędko się ze swoim losem pogodził. Tylko jeszcze to jedno go niepokoiło, co to za Anglik, co żonę mu zbałamucił i wywiózł za morze? przecie się to nie stało z dziś na jutro, przecie go musiał w towarzystwie yridywać. Poszedł zatem do sług i zaczął ich wypytywać. Słudzy spoczątku jakoś nie chcieli wydawać sekretu, ale kiedy ich* przyparł do muru, tak się nareszcie dowiedział, że ten mniemany Anglik to był—murzyn. A wtedy Fujara już głośnym śmiechem wybuchnął i zawołał do siebie: — A niechże cię wszyscy diabli! to aż murzyna trzeba jej było, aby ją zrozumiał... jak gdyby jej białych nie stało, co także tę rzecz rozumieją. I cie-

fcaw'em, na jaką ona przeszła religiję, chyba że na murzyńską. .. i będzie z liściem figowem około ognia tańcować i modlić się do fetyszów. A jakie-to tam dzieci rodzić się będą... Chciałbym, aby je widział ów warszawski naturalista, możeby także mi dowiódł, że i to jest atawizm. Ale oczywiście tak lepiej, inaczej byłaby mnie jeszcze obdarzyła murzynkiem... I śmiał się Fujara, chociaż gorzko mu było.

Gorzko mu było, bo wprawdzie pozbył się żony, ale pozbył się także majątku. Jako optymista wcielony pootwierał sobie rozmaite widoki. Miał trochę starożytności, zaczął więc niemi handlować. Ale z Francuzami nie mógł konkurencyi wytrzymać: co kupił, to zawsze przepłacił a co sprzedał, na tem go zawsze odrwiono. Wyprzedał zatem wszystko ryczałtem i z tą ostatnią sumką wyjechał do Baden-Baden, aby się odbić na rulecie. Miał system tak pewny, iż nie miał najmniejszego wątpienia, że Niemcom zabierze miliony. Na tych paskudnych Niemcach przecie się zemści nareszcie — a tym mścicielem on będzie. Ale to jest naród okrutnie przeniwieryczy i chytry: zapewne-to oni sami mu podsunęli ten system i zabrali mu wszystkie pieniądze. Fujara zgrał się do grosza. Nie zostało mu nic innego, jak zapomocą litościwych rodaków wrócić do kraju. Jakoż powrócił, zajechał do jenerała w gościnę, i tam ugrzął na zawsze...

Gd dziesięciu lat już siedział u niego i dobrze mu było: miał dobrą kuchnię i wszelkie wygody; tylko to go nudziło, że nie miał własnego kawałka ziemi a przeto mu brakowało konsyderacyi. Oczekiwał jakiejś successyi, — zwykle to zatrudnienie wszystkich nierobów, — czekał cierpliwie, lecz dotąd napróżno. Ale teraz nareszcie

Pan Bóg zlitował się nad nim: odziedziczył całe państwo Zaklikowskie i jeszcze wczoraj spadła Balcerówka na niego...

*

* . *

• » . «

Fujara przespał całą noc spokojnie pomimo tyehtam wizyi wczorajszych i tego głupiego trzaskania w szafie, z którego teraz sam śmiał się, bo dzień był jasny i bardzo pogodny, — i wstał rano niezmiernie rześw i w doskonałym humorze. Po rannej kawie poszedł sobie do ogrodu, ażeby zażyć świeżego powietrza. Wiosna już teraz w całej pełni się rozwinęła i ogród był pełen zieloności i kwiatów. Fujara był zapalonym wielbicielem piękności natury, znał się na drzewach i kwiatach i lubił także zwierzęta. Bawił się więc z sarneczką przez chwilę, potem zwoływał króliki " do siebie i biegał za nimi a wreszcie ogrodnika zawołał i dawał mu dyspozycje, jak ma urządzać grządki kwiatowe i ustawiać drzewa pomarańczowe na ganku *—, i na tej pracy zeszedł mu cały ranek. W południe zjadł sobie dobre śniadanie a po śniadaniu kazał sobie wynieść likiery i kawę na ganek, wyciągnął się tak satio jak wczoraj na -wygodnym fotelu i marzył. Marzył sobie o niebieskich migdałach... U

Nad całym krajem ciężyło wtedy niezmiernie duszne powietrze. Po horyzoncie jaszce bardzo czarne przelatywały chmury, raz w jednej stronie, to znowu w drugiej, i od czasu do czasu grom z nich uderzył. W powietrzu czuć było zapach nieskrzepłej krwi a tu i ówdzie jeszcze się świeża toczyła. Po lasach odległych słychać było szczęk oreża i strzały. Po wielkich gościńcach przelatywały półki

konnicy a za nimi toczyły się działa, które czasem kogoś roztratowały a czasem z sobą porwały. Ale to wszystko pomału już ucichało...

Fujara myślał także i o tem i bolał nad innych niedolą, bo chrześcijańskie miał serce, ale mówił sobie w swoim marzeniu: — Żal mi serdecznie tych ludzi, ale politycznych wypadków nie można sądzić ze stanowiska szczegółów i szczegółików. Prawdziwy polityk bierze całość na oko i niema względu na familijne nieszczęścia. Byłby nawet śmiesznym sąd taki. Piotr zginął a Paweł dostał się do niewoli, ale został przecie Jan i Kazimierz. Tu wieś spalona a tam dwór zniszczony, tu trochę biśdy a tam trochę głodu: ależ to są skutki nieuniknione każdej wojny — a wojen już dużo bywało na świecie. Po wojnie następuje pokój a po burzy pogoda — i świat idzie dalej swym torem.

A kiedy tak sobie marzył, zajechał czterokonny Otwarty powóz poważnym kłusem przed ganek: powóz bardzo wykwintny wiedeński, konie wielkie rasowe, skaro- gniade, prawdziwie kareciane, liberya elegancka według najnowszej mody, zgoła ekwipaż taki, któryby czyto w Praterze, czy w lasku bułońskim, pewnie do najpiękniejszych należał.

Z powozu wysiadł bardzo przystojny mężczyzna, mający już lat conajmniej pięćdziesiąt, słusznego wzrostu, blondyn już siwiejący, z małemi po wojskowemu przycię- temi wąsami, twarzy pociągłej, rysów szlachetnych, z okiem nadzwyczaj łagodnem, pełen powagi, ale zarazem i tych form towarzyskich, które znamionują człowieka wytwornego obejścia i wychowania.

Fujara po śniadaniu nierad się ruszał z fotelu, ale

tym razem zerwał się raźnie a jako b^ł żywego temperamentu, przyskoczył do' gościa, ścisnął go kilkakrotnie za rękę i zawołał:

— Firlej! jak mi Bóg miły! a ja właśnie miałem zamiar jutro do ciebie pojechać. Przecie wiesz, że naszego generała już niema...

Hrabia Firlej, potomek równie świetnego, jak i starożytnego rodu, co też widać z jego nazwiska, a zarazem także dawny wojskowy, wysoce generała poważał" i kochał go prawie jak ojca, zaczętem rzekł ze szczerem uczuciem:

— Nie pamiętam, żeby mnie czyja śmierć tak żywo 3 dotknęła, jak jego. Mieliśmy wszyscy w nim ojca i patry- archę i- wzór, jak człowiek powinien żyć na tym świecie. Podwójnie też żałowałem, że nie mogłem przyjechać na pogrzeb, ale wiesz, że to było niepodobieństwem. Dlatego . dzisiaj przyjeżdżam, aby mu oddać wizytę po śmierci i wypytać się ciebie, jakie były jego ostatnie chwile.

Więc Fujara przysunął mu fotel i opowiadał. A opowiedziawszy wszystko ze szczegółami, zawiadomił go także, * jak generał rozporządził majątkiem i jakie dał instrukcje swojemu sukcesorowi Zaklice....

«

Tutaj Firlej mu przerwał i spytał:

— Jaki to Zaklica tu był?

— Jużci był, — odpowiedział mu Fujara i potem mu opowiadał, jak ztąd wyjechał i jak on go przewiózł przez% przykomorek.

Więc Firlej bardzo nad tem się zastanowił, widać było, że o tem nie wiedział, ale odpowiedział spokojnie:# J

— Dziwię się temu a nie powinienem się dziwić, bo są położenia, w których nie rozum, tylko szal panuje nad

HHHHHHHHH

— 79 —" : #

ludźmi i wszystkich z sobą porywa. No, ale kiedy tak, to Zaklika tutaj nieprędko przyjedzie...

— Nieprędko? — zawołał Fujara, — nigdy! Ja też już teraz tem się kłopotę, jak sobie dam radę z zarządem' takiego wielkiego majątku. Trzebaż jeszcze do tego, ażeby i Balcer wyjechał i zostawił mi Balcerówkę na głowie....

— Jakże? — zapytał Firlej, — to Balcer dopiero teraz wyjechał?

— Dziś w nocy — a ja za kilka tygodni wyprawię za nim jego żonę i dzieci.

— No, to będziesz miał, jak widzę, zatrudnienia niemało, — rzekł Firlej, — przyznam ci się, że mi to nie na rękę.

— A to dlaczego ?

— Hm! — mówił Firlej z uśmiechem, — bo ja właśnie chciałem cię prosić, abyś podczas mojej nieobecności także i do mnie czasem zaglądnął.

— Jaki ? to i ty wyjeżdżasz ?

—* Wyjeżdżam dzisiaj...

Więc Fujara w głos się roześmiał i zawołał:

— Powiedz prawdę, Firlej, to i ciebie brzusek zabolął ? A jaby był przysiągł...

— Nie, to nie brzusek. Jużci mnie znasz i wiesz, że jestem żołnierzem regularnego wojska, więc takietam rzeczy to nie moje rzemiosło. Ale są położenia,...

— Rozumiem, — rzecze Fujara — więc kiedyż jedziesz ?

— Stąd prosto i tak jak mnie widzisz. Nawet na tfcn sam przykomorek. Tylko że ja tam mam wieś po tatnej stronie granicy, więc mogę sobie pojechać kłusikiem...

— Otóż-to są historye! — mówił żywo Fujara, bo go

to bardzo zajmowało, — więc dokąd-że jedziesz i na jak długo ?

— A któż to może wiedzieć w takich okolicznościach!

• Widzisz przecie, że są waryaci, którym .jeszcze i na tem niedosyć...

— Ja nic nie widzę...

— To się rospytaj, — rzekł Firlej a potem tak mówił dalej: — Przyjechawszy po tamtej stronie do siebie, trochę wypocznię a potem pojedę do Wiednia, gdzie mam syna w konwikcie. Chłopiec ma lat- czternaście, dobrze się uczy, udało mi się wyrobić mu obywatelstwo austriackie, więc może na coś się wykieruje, bo to w czasach dzisiejszych na majątek się spuszczać nie można. Wszakże ja sam, jak ci wiadomo, przez długie lata nie miałem majątku a szablą nie zawsze można zarobić na życie, więc wierni có to znaczy. Z Wiednia pojedę do wód, stamtąd przebiore się do Paryża a potem... któż to może wiedzieć, jakie zajdą okoliczności?

Tymczasem zostawiam tu żonę. Zabrać jej z sobą hie mogę, bo wiesz, jak to z kobietami,

• trzebaby zaraz cały tabor ze sobą prowadzić. I ona sama woli tu zostać. Ale biedaczka będzie niesłychanie się nu-

'dzić, bo nawet nie*ma do kogo po francusku przemówić a wiesz, jak ona się krztusi, kiedy jej przyjdzie mówić po polsku...

— Ale jaknajchętniej, — przerwał mu grzecznie Fujara, — z całego serca. Będę ją co najmniej dwa razy na tydzień odwiedzać i nagadamy się zawsze do woli. Może zresztą we wszystkim mną dysponować, będę . zawsze na jej*usługi, przecie to niedaleki. A jakże "tam z gospodarstwem ?

— Gospodarstwo ? — rzekł Firlej, — trzebaby go także

— 81 —

nadglądać. Mam wprowadzić rządę, bardzo mądrego Niemca...

4

— Niemca ? — przerwał mu Fajara, który pod względem patryotycznym miał swoje zasady, — pfe! jak to można Niemcom dobrowolnie rządy oddawać ? Jak gdyby jeszcze i u nas się dobry rządcą nie znalazł...

— Już się znajdzie, — rzekł Firlej, — nie przeczę, ale znajdzie się taki Kański a wtedy masz w domu nieprzyjaciela...

— A to prawda! — zawołał Fajara, — te Kański wszystkichby nas powywieszał. Ale przecie... Bo już Niemcy takżeby nas powywieszali. No, ale już ja się z tym Niemcem jakoś uporam i obaczysz, jak mu będę uszów nacierał.

Ale Firlej już go nie słuchał. Zdawał się być roztargniony, widocznie pilno mu było, już też i słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Zaczem wstał i rzekł:

— Więc liczę na ciebie jak na przyjaciela i proszę cię, abyś moją żonę zaraz-jutro odwiedził, powiedz jej, że szczęśliwie przejechał i pociesz.

Poczem wsiadł do powozu i wolnym kłusem odjechał. • ♦ *

*

• Fajara wyciągnął siłę znowu w swoim fotelu i puścił wodze swojej bujnej imaginacji: Otóż to rzeczy 1 Przecie nareszcie mi się zaczyna powodzić. Dobra sypią się na mnie jak z rogu obfitości. Cała firlejowszczyzna to kilkanaście folwarków, jakie ziemie, jaki pałac a jakie ogrody! Tam, gdzie nogą trącisz o ziemię, to złoto wytryska. I co to będzie, jeżeli pójdzie tak dalej? A pójdzie tak pewnie,

Zaklika. T. 1.

bo oni wszyscy głupstwa robili i wszyscy będą ^musieli uciekać. Tylko ja jeclen: ale bom też nie głupi... I tak mądrzył dalej, pędząc pełnemi żaglami po tem niebie, które się przed nim spuszczało na ziemię, kiedy wtem stanął przed nim Xiądz Prandota.

Prandota nie lubił Fujary i rzadko kiedy wdawał się z nim w poważniejszą rozmowę. Fujara także niewiele miał sympatyj dla tego Xiędza, który -mu się wydawał'zanadto surowym, znał się zapewne na rzeczach wiecznych, ale w doczesnych tań mu wyglądał, jak gdyby wciąż siedział w konfesyjonale i tylko szukał, za jaki grzech mógłby zgro ' mić człowieka. Prócz tego miał go w podejrzeniu, że sam nie był bez grzeszków: przecież dopiero co cały rok prze- * siedział na rekolekcyach u Kapucynów — a przecież na rekolekcyje nie posyłają więzy za, zbyt dużą nabożność... Je- * dnak Prandota tym razem nie wyglądał tak jak zwyczajnie, był jakiś niecierpliwy i roztargniony, jakoż zaczął wypytywać Fujarę tak właśnie, jak gdyby|go miał. przed sobą na inkwizycyi.

Go się dzieje z Balcerem ? kiedy wyjechał ? dokąd wyjechał? co zrobił z żoną i z dziećmi? POCO tu Firlej przyjeżdżał? dlaczego koni nie kazał wyprzeżać? dlaczego pojechał ku "suchej granicy"? zdaje się, że przejechał przez przykomorek, dlaczego Firlej także wyjeżdża? — Fujara odpowiedział mu na te wszystkie pytania, ^wyczerpująco i całkiem spokojnie, ale go tem nie uspokoił. Owszem Prandota wypytywał go jeszcze niecierpliwiej: co mówił Firlej? co słyhać? co się dzieje na świecie? dlaczego nawet tacy ludzie jak Firlej wyjeżdżają z kraju?

Ale Fujarę znecierpliwiły te wypytywania, jakoż rzekł wreszcie:

— Dlaczego wyjeżdżają? bo strach ma wielkie oczy " i koniec. Dopóki się znajdowali wśród burzy, to każdy był zajęty obroną — a teraz, kiedy spokój nastąpił, głowa im się rozgrzewa, malują sobie jakieś widma w imaginacji, dusza idzie im w pięty i drapią. Człowiek rozumny, co jasno widzi rzeczy, śmieje się z tych strachów i nie rusza się z miejsca.

— Ale czy spokój nastąpił? — zapytał Prandota. A Fujara odpowiedział mu na to:

— Jegomość siedziałeś przez cały rok w celi klasztornej...

Tu Prandota spojrział na niego bystro z pod oka, jak gdyby chciał z jego twarzy wyczytać: czy on w to wierzy, czy tylko tak udaje? — a tymczasem Fujara mówił dalej i

— Więc nie możesz trafnie osądzić tego, co widzisz. Nie takie rzeczy tutaj się działy! to co jeszcze gdzieś jest, to tam furda... Niewarto o tem wspominać. Wojna była i przeminęła. Nietakie wojny już u nas bywały, czasem kraj po nich wyglądał tylko jak wielkie pogorzelisko, po wojnach przychodziły pomory, nie było ludzi, aby role obrobić, nie było ziarna, aby je zasiać — a przecież w pare lat potem kraj znowu zakwitnął i wszystkim dobrze się działo. Tak też i teraz, zwłaszcza że to nie była wojna, tylko jakaś tam zawierucha. Ten i ów jaki rok pochodzi w żałobie, inny trochę głodu przycierpi, ale wszystko to minie... Przecie tu, gdzie mieszkamy, dziura się nie robi, ziemia nie zniknie i ludzie nie znikną — a gdzie jest ziemia i gdzie są ludzie, tam i chleba nie braknie..

Siedzmy więc sobie spokojnie i używajmy tych darów Bożych z wdzięcznością, których przecież mamy dostatkem —

6*

a nie nabijamy sobie głowy nieszczęściami, które prędko przeminą.

Ale na to Prandota zapłonął gniewem i mówił jak gdyby rzucał gromami:

& Pan głupstwa gadasz, zresztą jak zawsze. Pan nie widzisz po za koniec swojego nosa, także jak zawsze. Wojny bywały! ale wojna wojnie nierówna. Ze strat materialnych się ludzie obaczą, chociaż także ani tak łatwo, ani tak prędko, jak się to panu wydaje: ale straty moralne bywają czasem tak wielkie, że trzeba na to kilka pokoleń, aby się z nich obaczyć. Boże! odpuść nam grzechy nasze! ale Bóg* nie przebaczy, dopóki, ich sami nie naprawimy. A my icU nie naprawimy, bośmy moralnie rozbici. Chcąc się z nieszczęścia ratować, popełnialiśmy grzechy — a chcąc się z grzechów ratować, popełnialiśmy zbrodnie. Teraz przez całe pokolenia żyć będziemy wśród wycia z bóleści i zgrzy.- tania zębów. Ziemia będzie wychodzić z naszego imienia, bo omdlałemi rękami nie zdołamy jej utrzymać; łaknąć będziemy codziennego kawałka chleba, bo nie potrafimy nań sobie zarobić. 'Bezmyślna rozpacz całe społeczeństwo obejmie — a w tej rozpaczycy będziemy szukać-, kto jej jest winien. Syn się będzie rzucał na ojca, że mu uszczuplił majątku, ojciec będzie przeklinał syna, że mu zakrwawił ostatnie dni jego starości, brat będzie targał brata za włosy, że obadwa nie mają gdzie głowy przytulić. Wszyscy będą obwiniać wszystkich, zajrzą w historycę i potępią swych dziadów, 'wszystkie dawne ideały poszarpią i nogami pod- pęcą, szukać będą własnej swej duszy, ale nie znajdą — i tak gnść będą w tem obłąkaniu z pokoleń na pokolenia. I może zgniją. Ale to tylko Bogu wiadomo...

To rzekłszy, porwał kapelusz i wyszedł.

Fujara był tym wybuchem Prandoty niezmiernie zdziwiony. Cóż to Jakiego stało się Xiędzu? Patrzy on na świat jakimiś dziwnymi oczyma, jeszcze i jakieś proroctwa mu z ust wylatują. Go te być może? Zastanawiał się nad tem i przyszedł do przekonania, że Prandota przesiedział rok cały w klasztorze, zostawił świat innym a teraz mu się wydaje tak bardzo zmienionym. A może wcale nie był w klasztorze? 'może sam rękę umoczył w tych rzeczach i teraz *w chrześcijańskiej pokorze i skrusze sam sobie tak ciężkie robi wyrzuty... Góźkolwiekbądź, zawsze ten xiędz popadł w fatalny pesymizm. Powiada, że ja jestem krótko widzącym; bo on nie widzi po za koniec swojego nosa i że tani dziś ten i ów płacze, zdaje mu się, że wiecznie tak będzie. Jest to czysta fantazja, bo przecież i ja na ten świat patrzę i widzę go cackiem inaczej

I Fujara o tem ostrzeżeniu jeszcze tego samego wieczora zapomniał.

I odtąd zaczął używać świata i życia pełną gębą i peł- nemi rękami. Jeździł do pani* Balcerowej i w kilka tygodni wyprawił ją z dziećmi za mężem, zaś po jej wyjeździe objął zarząd nad gospodarstwem w jej wiosce. Jeździł do pani # Firlejowej, rozmawiał z nią po francusku, dla niej był grzeczny i z należytych respektem, ale Niemca traktował z góry i nieraz uszu mu natarł, bo mu to wielką satysfakcję robiło. Jeździł od czasu do czasu do tego lub owego miasteczka i grał sobie w karty; nie dbał teraz o wygraną, bo miał pieniądze, ale zawsze wygrywał. Przyjmował przytem gości u siebie i zawsze się suto fetował. Pomiedzy tymi gośćmi bywali częstokroć ludzie, nieosobliwie ubrani i przybywający daleko prędzej z lasów niżeli z pałaców, po ich ubiorze i twarzach widać było fatygę, głód i zmęczenie,

przyjeżdżali a czasem nawet przychodzili piechotą późnym wieczorem a znikali przed świtem, niektórzy z nich Fujara sam wyprowadza! na drogę wiodącą ku "suchej granicy:" ale wszystkich przyjmował jak xiążat,- kapłony, gęsi, indyki trzeszczały na jego stole jak deski w tartaku a najprzedniejsze wina z jeneralskiej piwnicy lały się strumieniami w gardła biesiadników. A kiedy takich gości nie było, to zawsze sobie kogoś znalazł do obiadu, choćby go miał na gościńcu zatrzymać, bo sam jadać nie lubił — a przytem mogło i w szafie co trzasnąć...

* *

*

Tak sobie hulał przez dwa miesiące, aż przyszedł pierwszy tydzień miesiąca sierpnia.

*Pod koniec tego tygodnia, jednego rana, kiedy Fujara siedział sobie na ganku i czekał śniadania, przyszedł Kański do niego.

Kański był tego dnia w jakimś straszliwym humorze, zdawał się być jakoby zgarbiony pod jakimś ciężarem, na jego czole gradowa leżała chmura a w jego oczach grom siedział. Siadł obok niego, okrutnie aurowo spojrzął mu w oczy i rzekł takim głosem, jak gdyby żelazną piłę miał w krtani:

— Przyszedłem do pana, aby panu powiedzieć, że pan nadal takiego gospodarstwa prowadzić nie będziesz.

Fujara >ał się Kańskiego, ale na taki atak, równie nieprzyzwoity, jak grubijański, oburzenie go zdjęło i zawołał, wprawdzie trochę skonfundowany, ale dość śmiało:

— Panie Kański, cóż to ma znaczyć?

— To znaczy, — rzekł Kański, — że ja na takie hulanki nie pozwalam. Klucznica się skarży, że'już kapłonów

nie może- nastarczyć, a w piwnicy, jak słyszę, jużby można rajtszulę założyć. Czy słyszał kto co podobnego, zwłaszcza w tych czasach, gdzie tyle ludzi nie mają w gębę co włożyć!

— Ale te, ale tego, — zaczął się jąkać Fujara, — ale ja przecież, jak pan sam widzisz, właśnie biednych ludzi przyjmuję w gościnę... robię dla nich co mogę i gdyby sam generał wstał z grobu, toby mnie za to* pochwalił.

— Gdyby generał wstał z grobu, — rzekł Kański, — toby panu kości połamał. Ja nie powiadam, żeby biednemu nie pomódz, przecież ja sam im pomagam i nieraz ostatniego rubla im daję, ale karmić ich pasztetami i pić winem francuskiem, to jest błazeńska robota.

— Ależ panie Kański...

— To jest robota błazeńska, powiadam panu, zwła- * szcza w tym czasie, gdzie każdemu uczciwemu człowiekowi, co w gębę włoży, kością w gardle staje i wyrzekłby się 4 jedzenia i picia, aby tylko tego nie widział, co się dzieje około niego.

— Ale cóż tam się dzieje, u pana Boga!...

— Jeśli pan nie wiesz, co się dzieje, to sobie prze-¹ czytaj gazety^ Wszyscy uczciwi ludzie o tem już wczoraj wiedzieli bez gazet.

Gazety leżały przed Fujarą na stole, ale ich jeszcze jiiie czytał, bo zawsze wolał raczej sobie-o cześ rozmyślać, niż czytać. Jednak to wspomnienie o uczciwych ludziach bardzo go żywo dotknęło, jakoż rzekł:

— Uczciwi ludzie! przecież mnie jeszcze nikt nie śmiał nieuczciwości zarzucić... A nadto jeszcze nie ja sam jestem uczciwym, ale miałem także i przodków uczciwych, którzy poświęcali swoje fortuny i do ostatniej kropli krwi

bili się za ojczyznę. Pomiędzy uczciwymi ludźmi, c— dodał z przekąsem, — przecie i to także coś znaczy.

— Pańscy przodkowie, — rękł na to Kański, —\ niech ich nie nazwę... ale to powiem, że bodajby nas Bóg* bronił od takich następców! Bili się, ale tylko natenczas, kiedy Krzyżak lub Tatar łuną im po sąsiedztwach zaświecił i zaczął już pod ich dwory podjeżdżać. Bili się wtedy zawzięcie, ale tylko ze złości, że im ktoś w ich biesiadach przeszkodził. A jak się wybili, to czemp prędzej wracali do domu, aby odpocząć i podjeść cokolwiek. Dlatego też naj- rozumniejsi hetmani nie mogli z odniesionego zwycięstwa skorzystać. A ile razy chodziło o to, aby grożącemu niebes- pieczeństwu zapobiedz, to i sam diabeł nie potrafiłby być ich strąbić. Natomiast wszakże zawsze skorzy byli do wojen kokoszych i do związków wojskowych. Oto pańscy przodkowie! Zostawili nas w błocie i poszli sobie ad pa-_A, hrea — i jeszcze nam ziemię zasiali takim oto potomstwem! — Ale dajmy pokój tym rzeczozn. Ja tylko po to tutaj przyszedłem, aby'panu powiedzieć, że jeśli pan będziesz tak dalej gospodarować w pałacu, to ja każę ogień w kuchni zagasić, piwnicę zamknę na kłódkę a panu dam sto rubli, abyś sobie na jaki wojaż pojechał. * Nawet i ze względu na siebie samego powinienes kędy wyjechać, ^boś już, głupstw dosyć narobił: jeżeli za nie własną skórą odpowiesz, to mnie to na jedno, ale jeżeli burzę ściągniesz na pałac, to nie wiem, czem odpowiesz panu Zaklice za takie postęпки, które są głupie i niesumienne.

A to rzekłszy, wmiesił kaszkiet na głowę i poszedł. •

Kazanie to oburzyło Fujarę do głębi. Patrzył za odchodzącym Kańskim z najwyższą pogardą i zawołał do siebie:

- Oto miły gagatek! ja jego miałem za demokratę a to widzę jest najczerniejszy demagog! Jeszcze też takiego czerwienca nie spotkał na życiu. Szlachta się biła tylko ze złości a potem czempredzej uciekała do domów! Gdzie ten człowiek się uczył historii? Ja będę własną skórą odpowiadał za to, co'robię... i jeszcze będę za to odpowiadał Zaklice. Niby ty też coś o tem * wiesz! Ale po- czekaj-no, pitnie bracie! gdybym-na Żmudź miał pojechać to ja tobie takiego stołka przystawię, że ani się spostrzeżesz, jak stąd wylecisz. A co to? jeszcze tegoby brakowało, ażeby nam tacy..

. I fukał Fujara okrutnie, że aż musiał zaczerpywać powietrza. Poszedł do śniadania, ale jeść nie mógł, tak był głęboko wzburzony. Powtarzał sobie po kilka razy: I ziemię zasiali takim dto potomstwem! —¹ I nie jadł nic, tylko wina się napił. A potem kazał sobie kawę wynieść na ganek jak zwykle i wziął do ręki gazety, aby się uspokoić czytaniem.

Ale gdy czytał, oczy zaczęły mu się zaokrąglać i oddech coraz więcej mu się zapierał w piersi. Czytał raz, drugi i trzeci, i oczom swoim nie wierzył. Co tam stało, niewie-. dzieć: zdaje się tylko, że' były tam jakieś wiadomości ze stoków cytadeli...

Ze stoków cytadeli: bo Fujara, przecież w gruncie rzeczy taki sam człowiek jak inni, uczył naprzód taki sam ciężar ołowiany na umyśle i sercu, jak wszyscy.* Składał - ręce i podnosił oczy do nieba, jak gdyby się chciał modlić, i zaczerpywał powietrza, bo piersi mu się ścisnęły...

Ale niebawem jego słaby umysł zaczął się mącić a z tego zamętu wylatywały słowa bez związku: — Ja my ■ ślulem, że to już koniec a to się dopiero zaczyna... Dra

mat się skończył a teraz się koniec zaczyna... I ten koniec pójdzie po całym kraju... Dlatego-to Kański był w takim piekielnym humorze... Dlatego-to i Prandota... Sam już nie wiedział co mówi; ale w tej chwili zaczął myśleć o sobie. A wtedy okrutnie ckliwo mu się zrobiło: coś mu skrzypiało nad uchem, coś go łaskotało po gardle. Potem gorąco mii się zrobiło, zaczął drzeć na całym ciele, miejsca sobie znaleźć nie umiał, był jak zwierz dziki, co wpadł w sieci i napróżno się miota...

A kiedy mu wróciła przytomność, zaczął się spowiadać przed sobą. Służył w dyplomacji, to rzecz fatalna... Wracając z Krakowa, przyjechał obdarty i wygłodzony, właśnie jak gdyby powracał z wojny... Przewiózł Zaklikę przez przykomorek... Żonę Balcera z dziećmi wyprawił do męża a mąż, któż tego nie wie?... Firlej był u niego przed samym wyjazdem... Zarządza Balcerówką i opiekuje się Firlajową a tego-tam Niemca na śmierć sobie naraził... A wreszcie tyle tu nieznajomych ludzi przyjmował u siebie i jeszcze sam ich wyprawiał... Kiedy sobie taką przeczytał litaniję, strach go wziął wielkooki. Przepadł bez kwestyi, o tem niemasz wątpienia, wszelako chciałby się kogoś poradzić. Ale kogo? Kańskiego? za nic w świecie. A potem Kański mu już powiedział, że skórą zapłaci... Kański widzi wszystko w czarnych kolorach. Więc kogo?

Na szczęście pojawił się felczer w dziedzińcu. Więc zaraz go do siebie przywołał, aby się z nim poważnie rozmówić. Ale felczer, chyba że zgłupiał, bo zbliżając się do ganku, spojrział jakimiś dziwnymi oczyma na* niego, wziął się ręką za szyję i wypuścił z ust jakiś ton tak przeraźliwy, jak gdyby się dusił: krrr!

■r*

Fujarę ten humor felczera mocno zadziwił, ale zarazem dodał mu trochę otuchy, jakoż rzekł do niego niby spokojnie:

— Cóż. tam, panie Sebastyanie, źle z nami ?

— Jużci źle, — rzecze felczer.

— Ale ty się jakoś nie smucisa?

— Na cóż przyda się smutek? W tych czasach każdy człowiek powinien być przygotowany na wszystko, więc poco jeszcze się smucić ?

— Jużci zapewne; ale przecie... Jakże rozumiesz ? co do mnie... bo właśnie chciałem się cię poradzić.

I tu Fujara zaczął mu opowiadać, jak, gdzie, co, kiedy i w jakich okolicznościach, lecz przemilczając i to i owo a w ogóle koloryzując, jak gdyby “ już stał przed sądem.

Tedy felczer nad tem się zastanowił a spojrzawszy na niego po kilka razy swemi maleókiemi oczyma, ruszył głową przecząco i rzekł:

— Nie. To tam bajki. Niema pan się czego obawiać. Kiedyby przyszło co do czego, daliby panu ze trzysta pałek — i tyle.

— Trzysta pałek i tyle*! — zawołał Fujara udając, że się śmieje, ale że mu znowu zaczęło w gardle zasychać, dodał chropawym głosem, — jakto ? to nic ?

— Jużci pewnie, że nic, — odpowiedział mu felczer, — w dzisiejszych czasach nawet o tem ' gadać nie warto. •

Poczem zabrał się i poszedł sobie do swojej roboty. .

Fujara go wcale iiiie zatrzymywał. To oczywiście człek głupi. Także coś gada! Mogłyby być jakieś śledztwa, wreszcie aresztowania — a ten zaraz do pałek... Jednak zaczął rozmyślać nad tem a że, jak sam mówił, strach ma wielkie oczy, więc mu te pałki nie mogły wyjść z głowy. Owe skrzypiące wiadomości ze stoków cytadeli już teraz nie sprawiały na nim żadnego wrażenia, bo przecie felczer na tem się zna, ale te pałki... Wszelako niebawem znalazł, że dla niego właściwie to wszystko jedno, bo na sam widok pałek umarłby ze strachu: - więc to zważywszy, to nawet wołałby stryczek, w którego uścisku umiera się przynajmniej bez bólu. Ale czy felczer prawdę powiedział ? Z tą kwestyą jakoś nie mógł sobie dać rady. W gorących potach nad tem się zastanawiał, ale ciągle się wahał. Raz mu się zdawało, że to jest niedorzeczność: on, szlachcic takiego rodu, do czegooby to było podobne? Jednak potem znów sobie mówił: Ale bo to i czasy wcale niezwykłe, wszystko się wywróciło do góry nogami, felczer może mieć rację... Aż wreszcie, w tym cieżkim mozole nad sobą, wpadł na myśl bardzo szczęśliwą. Dlaczegooby nie miał zasięgnąć rady xiędza Prandoty? Człowiek-to-wprawdzie bardzo surowy, ale zarazem bardzo sumienny, ten go pewnie oświeci r dobrą da radę.

Porwał więc za kapelusz i pobiegł na probostwo.

Na probostwie Prandoty nie zastał, ale* wikary mu powiedział, że xiądz proboszcz jest w kościele.

Pobiegł więc do kościoła: ale cóż tam obaczył?

Oto Prandota leżał krzyżem przed wielkim ołtarzem: leżał nieruchomy jak gdyby był martwy, widać, że był zatopiony w głębokiej modlitwie^

Fujarę widok ten chwycił za serce, ale zarazem i skru-

szyi. Powiedział sobie: — Musi być bardzo źle, # kiedy na; wet sam Prandota czuje potrzebę tak wielkiej skruchy przed Bogiem. Poczem cichutko siadł w ławce pod chórem i także zaczął się modlić

Prandota leżał tak jeszcze z pół godziny przed wielkim ołtarzem, potem wstał, ale ukląkł na schodach, złożył ręce i znowu się modlił drugie pół godziny.

Nareszcie wstał znowu r przeżegnał się i pokłonił się przed ołtarzem, i Szedł wolnym krokiem ku drzwiom wcho- dowym.

Fujara wziął go ostro na oko i znalazł, że Prandota był nadzwyczajnie spokojny, wyraz twarzy miał bardzo łagodny i niemal rospromieniony a nawet zdawało mu się, jakoby jakieś światło nadziemskie biło od jego twarzy. Widok ten bardzo go podniósł i uspokoił.

Prandota, spostrzegłszy go w ławie pód chórem, skinął twarzą ku niemu i wyszedł, Fujara wyszedł 'także Jtuż "za nim.

Prandota zatrzymał się przed kościołem i rzekł do Fujary:

— Teraz mógłbym iść na wszystkie męki tego świata i mam w Bogu nadzieję, że-zniósłbym je ze spokojem i* z rezygnacją. Jakże tam u pana około serca i sumienia ?

Fujara czuł się jakoby skonfundowany i rzekł nieśmiało :

— Przyszedłem właśnie do xiędza proboszcza, ażeby troszkę pogadać.

— Więc chodź pan do mnie, — odpowiedział mu Prandota z łaskawym uśmiechem, — tam sobie pogadamy spokojnie. *

Zaczem szli na probostwo, nic nie mówiąc do siebie.

A kiedy weszli do izby, Prandota siadł w krześle po- fęczowem z taką powagą, jak gdyby- zasiadał w konfessy- nale, i wskazał drugje krzesło Fujarze.

Ale Fujara był tak zirytowany, że nie mógłby był usiedzieć czuł się nawet tak małym wobec tego poważnego kapłana, że nie miał odwagi zasiadać obok niego, zaczem mówił stojąc i chodząc.

A mówił w tym celu, aby mu się wypowiadać ze . wszystkich swych grzechów i niepokojów, więc opowiedział mu wszystko, od swojej służby dyplomatycznej aż do tych ⁴ ludzi nieznanym, których aż do dnia wczorajszego przy- % ' mował i gościł, i mówił prawdę, nie zamilczając nic i nie koloryzując, bo miał bezwzględne zaufanie do Prandoty.

Prandota słuchał go bardzo uważnie, czasem zdawał się być zamyślony, chwilami wszakże uśnaiech przebiegał po jego twarzy,, który jednak znów zniknął.

Fujara patrzył mu w oczy, niecierpliwego swojego wy- * rokU; ale ten xiądz miał oczy jakieś tak głębokie jak morze, na których powierzchni tylko blask było widać a dalej bezdenne głębia, w której patrzący mógłby się utopić. Fajarę to bardzo niepokoiło a nawet dreszcz jakiś uczuwał.

Tymczasem Prandota, wysłuchawszy go spokojnie do końca, zamyślił się przez chwilę a potem mówił z wielką powagą:

— Ta wasza dyplomacya ma więcej krwi na swoim sumieniu, niżeli wszystkie Dantony i Robespierre. A do niej dodać jeszcze należy tych bezsumiennych organizatorów, co młodzież niewiedzącą nawet, jak się strzelbę nabija, z za granicy wysłali na rzeź, dając jej karabiny nie obciążone- przez rusznikarzy i patrony bez kul, albo całkiem innego kalibru. I organizowali tak jeszcze przez całą

zimę, kiedy już czterokrotnie stotysięcy regularnego wojska było w kraju, i wlewali najszlachetniejszą krew naszą, dla dyplomacyi i gazet. I myśmy tym ludziom wierzyli! a nawet kajano nam im wierzyć pod karą zdrady i śmierci. Były-to rzeczy tak piekielnie przewrotne i tak głęboko straszliwe, że Dante potrzebaby na to, ażeby pojął całą grozę tej niehumanitarnej tragedyi: ale i sam Dante jeszcze nie znalazłby w swoim piekle zasłużonej kary dla takich morderców.. .

Prandota był oczywiście bardzo głęboko Wzburzony: widać "było, że sam był ofiarą tych nieszczęsnych wypadków i ludzi; ale mówił to całkiem spokojnie, jak człowiek, który już wziął brzemie swych grzechów na swoje barki i z czystym sumieniem czeka wyroku historyi.

Ale Fajarę, jak wszystkich ludzi, stojących z nim razem na jednym poziomie, bardzo mało to obchodziło, co kiedyś o tem powie historia; jemu tylko o niego samego chodziło, jakoż naglił na xiędza, aby rhu powiedział otwarcie i szczerze, czyli i czego ma się obawiać.

A wtedy uśmiech przeleciał po twarzy Prandoty, jednak prędko go ukrył i odpowiedział mu z dobrze udaną powagą:

— Pan się boisz o siebie? jednak, jak sądzę, niesłusznie. Te-tam opieki nad wdowami i sierotami to się już dzisiaj nie> liczy, prócz tego takich opiekunów Bóg strzeże. Pozostaje więc tylko służba dyplomatyczna. Ale i takie rzeczy traktują się dziś sumarycznie. Jeżeliby się to na pana wydało, co najwięcej, daliby panu ze trzysta pałek — i koniec.

Na taką odpowiedź krew w Fajarze zastygła, próbował jeszcze się zebrać i rzekł:

• Trzystą pałek jak obszył...

— Jużci to trudno z dokładnością przewidzieć, — . rzekł na to Prandota, patrząc na niego swojemi głębokimi oczyma, w których wszakże teraz jakieś dziwne miejiły się blaski, — może do pięćset, jednak nie więcej. Ale powiedz pan szczerze, czy się panu to nie należy?

Xiędzu oczy się przy tem coraz więcej mieniły, ale Fujara już wtedy skostniał zupełnie. Prandota był w tej chwili nieomylnym dla niego. Patrzył już wtedy bezwiednie przed siebie, bo oczy stanęły mu słupem. A zaraz potem stała się taka rzecz dziwna, że uczuł piekący mróz *w pię- i tach, właśnie jak gdyby mu tam kto dwa kawałki lodu podłożył, potem ten mróz poszedł łydkami w górę i wyżej i tu się jakoś fatalnie rozszerzył, jednak zaraz się złączył w krzyżu pacierzowym, poleciał krzyżem do karku, rozsypał jakoby iskry po całej czaszce i postawił mu włosy kołkiem na głowie.

»

Prandota zaczął jeszcze coś mówić o Zaklice, ale Fujara już tego nie słyszał. Porwał za kapelusz, coś bełknął przed siebie i wyleciał z probostwa. I biegł tak jak opętany, w kapeluszyku słomianym i krótkim szarafanie z żółtego kam lotu ., a wiatr mu poły rozwiewał. Biegł drogą, popod pałacowe ogrody, rozszerzonymi oczyma rzucał około siebie a czasem stawał i oglądał się po za sobą, bo muł 'się zdawało, że go już ktoś chwyta za kołnierz. Jednak dobiegł bez szkody aż do pałacu, tylko zamiast wejść przez pałacowy dziedziniec, wślizgnął się- tyłem i tak dobiegł do ganku.

Tam stanął i zaczerpnął trochę oddechu, ale okrutnie strasznie mu było. Raclby był, ażeby noc jak najprędzej zapadła: weźmie furmankę i czmychnie, albo i pójdzie pie

chotą, może się jakoś przez przykomorek prześlizgnie, schowa się gdziekolwiekbądź, choćby i ziemia się pod nim zapadła, byle tu nie był, tu in loco delicti. Ale dzień jeszcze był wielki — i upał sierpniowy. Posucha trwała od dni kilkunastu, ponad drogami snuły się tumany kurzu. Fujara patrzył na wielki gościńiec, może już jadą po niego. Od czasu do czasu ktoś gościńcem przejeżdżał, wtedy się tuman gęstszego kurzu zakłębił. Na taki widok Fujara odsuwał się do drzwi — a jak tuman posunął się dalej i podróżny na dziedziniec nie wjechał, on trochę swobodniej odetchnął i wysunął się naprzód.

Lecz właśnie o samym zachodzie słońca pokazał się tuman ogromny gdzieś koło grobowej kaplicy. Całe chmury kurzu się na -gościńcu podniosły i zbliżały się dosyć szybko ku pałacowi. Fujara wylazł na krzesło, ażeby widzieć, co to takiego. Jeszcze tó było za daleko, aby mógł dostrzedz, kto-to tam jedzie, ale wnosząc z długości tumanu, w którym dużo koni czerniało, był prawie pewnym, że to pułk kawaleryi, być może nawet, że prowadzi, ze sobą armaty. Serce bić mu przestało, teraz już koniec...

»Tuman ten jednak posunął się dalej gościńcem, zapewne wiatr go tam pędził — a tu tymczasem na drodze, wiodącej już do pałacu, wyłonił się z niego jakiś konwój niezmiernie długi, w którym się wlokły jeden za drugim, naprzód powozy, potem wyładowane wozy a wreszcie konie wiedzione luzem.

Fujara wytrzeszczył oczy tak, że mółby był muchę przelatującą obaczyć — i obaczył istotnie, że w pierwszym otwartym powozie siedział pan jakiś, który miał oficerski kaszkiet na głowie i płaszcz mundurowy na sobie.

Zaklika. T. I.

* A wtedy mu już całkiem się w oczach ćmiło, objęła go niemoc zupełna i już sam łie wiedział, co widzi.

Ale Fujara się w czepku urodził.

Ten pan w oficerskim kaszkiecie i w płaszczu mundurowym —P to był Zaklika.

y.

Zaklika, przebiwszy się przez przykomorek na tamtą stronę granicy, objechał kawałek świata koleją, ale w przeciągu jednego tygodnia dostał się na Żmudź i do domu, nie doznawszy nigdzie żadnej przeszkody.

Wszelako w domu zastał nowe nieszczęście. '

Jego żona, kobieta słabego zdrowia już od dłuższego czasu, nie mogła^u wytrzymać tych zmartwień b niepokoju. Doczekała jeszcze wprawdzie jego powrotu, ale już tylko aby go na zawsze pożegnać. We dwa["] tygodnie po jego przyjeździe zgasła jak błędny ogień w jego ramionach. Umierając, chociaż sama była Żmudzinka, jednak zapewne tak wiele napatrzyła się rzeczy straszliwych i krwawych około siebie, że dała mu radę, ażeby się wyniósł z tych krajów i zamieszkał wraz z dziećmi u swego stryja.

Zaklikę, który przy silnej woli miał ^erce niezmiernie czułe i rad się wrażeniom poddawał, dotknął ten cios bardzo głęboko. Anielska ta dusza, doznawszy w swojej['] tak krótkiej po tej ziemi wędrówce daleko więcej smutku niżeli radości i przecierpiawszy pod koniec życia niewysłowione, nadludzkie boleści, odleciała od niego, zostawiając ijiu dwoje maleńkich robaczków i całe morze cierpień i smutków.

W kilkanaście dni potem wyczytał z gazet, że generał go także porzucił, a teraz już stoi przed Bogiem.

Zaklice się zdało, że cały świat się przed nim zapada, wszyscy go opuścili, ziemia się koło niego wyludnia, ani jeden z jego przyjaciół nie został, niema już do kogo ani słowa przemówić.

Lecz w Zaklikowie zostali ludzie.

Na jak długo? któż to mógł wiedzieć? — lecz lepiej przeżyć z dohrymi ludźmi choćby kilka tygodni, niżeli cały wiek w puszczy bezludnej.

Są położenia, w których rozum ludzki, choćby najma- drzej wszystkie okoliczności rozważył, przecież nic naprzód obliczyć i nic przewidzieć nie zdoła. I tak źle — i tak niedobrze. Widzimy skutki, ale nie wiemy, z jakich wywinęły się przyczyn; widzimy przyczyny, ale nie możemy przepowiedzieć na pewno, czyli i jakie wynikną z nich skutki. W takich' czasach los ludzki zależy tak jak rozwój roślin w naturze od deszczu i pogody. Lada wietrzyk zawieje i burzę wywoła — i człowiek w niej ginie jak bańka mydlana: a kto wie, gdzie i skąd taki wietrzyk zawieje? wiatr wieje gdzie chce. Jedna tylko jest rzecz pewna i niewzruszona, że kiedy człowiekowi grozi niebezpieczeństwo, to lepiej zrobi, jeżeli zawczasu otoczy się przyjaciółmi, niż- liby miał pozostać pomiędzy wrogami. Dobrze czasem jest także mieć przykomorek pod bokiem...

Jednego dnia tedy, Zaklika zerwał się rano i powziął postanowienie. Przez parę dni robił przygotowania — a potem z wielkim hukiem i trzaskiem i z wielkim taborem wyjechał na "suchą granicę", ażeby odebrać, sukcesyę po jenerale.

A dziś przyjechał do Zaklikowa.

I przyjechał z takim ogromnym konwojem, jak jaki xiąże udzielny.

W pierwszym powozie on siedział sam jeden, jak takiemu panu przystoi, w drugim jechały dzieci z guwernantkami, w trzecim guwerner z bonami, potem szły trzy wozy ładowne a za tem wszystkim prowadzili dworscy kozacy przepyszne ogiery i klacze. Widząc go jadącego z taką paradą, wszyscy mu się kłaniali — a ci i owi mówili, że to jest jakiś bogaty jenerał, który się przeprowadza ze Żmudzi na Ruś.

Pierwszy, który z ganku zeskoczył i rzucił się ku niemu jak tygrysica, co się z sieci wydarła i odszukała swe gnia-^{*}zdo, to był Fujara. Jakoż go tak wyściskał i wyczałował, że Zaklika się zdziwił tak serdecznem przyjęciem. Jednak był kontent, oddał mu dobre za nadobne i powiedział sobie w duchu: — Ten człowiek szczerze przywiązany jest do mnie, trzeba mu to pamiętać.

Potem Fujara skoczył do dzieci, do guwernantek i bon, dzieci wyczałował i poczęstował ich cukierkami, które zawsze nosił przy sobie, z guwernantkami i bonami rozmawiał po francusku, po włosku i po niemiecku, i obsypał je komplementami. Gdyby pomiędzy niemi była jaka Turczynka, to byłby pó tilrecku z nią gadał, chociaż tego języka nie umiał. Ale czegoż człowiek nie zrobi, kiedy ma serce przepelnione radością...

Niebawem przybiegli Prandota i Kański i długo z Za kliką rozmawiali przed gankiem — a z ich rozmowy widać było, że wszyscy się szczerze cieszyli.

W rogu pałacu, przy bramie prowadzącej na folwark, zgromadzili się pisarze, karbownicy i inna służba, i z felczerem na czele witali nowego pana milczeniem, ale peł- nem podziwu dla jego liczego dworu i z widocznem uszanowaniem.

A kiedy zaczęto wypakowywać guwernantki, bony i dzieci, Fujara skoczył do kuchni, ażeby dopilnować obiadu. Kapłony, indyki, kurczęta, po tatarsku wytrzebił, — jakże teraz tej rozrzutności żałował! — ale pisarze, bawiący się polowaniem, dostarczyli mu dzikiego ptactwa dostatkiem a tak mu obok delikatnych legumin, ze względu na kobiety i dzieci mocno ocukrowanych, także i pieczonego nie brakło. Fujara sam fartuch przypasał, białą czapkę włożył na głowę i wziął warzechę do ręki — a komenderując rozumnie, uważnie i zręcznie, za godzinę taki obiad zgotował, że gdyby sam generał wstał z grobu, to byłby mu nic nie potrafił przyganić. Przy obiedzie zaś służył kobietom i dzieciom, tłumaczył im, używając przy tem technicznych wyrazów, jak się robią takie marmelady i kremy i sam im wkładał w gębę cukierki, tak że wszystkie te damy były zdziwione, skąd się taki smaczny maitre d'hotel wziął na "suchej granicy" — i od razu ich wszystkich serce i zaufanie pozyskał.

Po obiedzie Fujara zajął się pomieszczeniem bon, guwernantek i dzieci — i całą tę smalę przyzwoicie i wygodnie. umieścił, — ale przy tem i sam tak się spracował, że koło godziny dziesiątej już się ledwie trzymał na nogach. Dodawszy do tego te straszliwe emocje, które przeszedł dnia tego, i to uczucie' uspokojenia, jakiego doznał na widok przyjazdu Zakliki, uczuł się tak szczęśliwym, że ledwie głowę do poduszki przytulił, zasnął snem tak spokojnym i błogim, jak dziecko, któremu matka włożyła zabawkę do łóżka i obiecała drugą na jutro. Ludziom, którzy z lada błahego powodu wyobrażają sobie, że już zginęli i niemasz dla nich ratunku, także niewiele potrzeba do uspokojenia i szczęścia.

Ale Zaklika z Prandotą i Kańskim długo w noc je-¹ szcze w bibliotece siedzieli — a już pierwszy kur zapiał, kiedy lampa w tem oknie zagasła.

Nazajutrz rano Zaklika zaraz się wziął do r**p**boty.

Zaczął od oglądania pałacu i wszystkich folwarcznych budynków - a było" tego dużo, .bo tam za pałacem szły dziedzińce za dziedzińcami a wszystkie otoczone oficynami, mieszkalnemi dworkami, stajniami, oborami, szpichrzami[^] i stodołami. I robił te oględziny z wielką znajomością rzeczy i skrupulatnością: gdzie jaki węgiel nie dość silnie się trzymał, gdzie jaka belka była spruchniała, gdzie okno nie zamykało się szczelnie albo podłoga była wygnita, to zaraz wpadło mu w oko — a Kański z książeczką otwartą *siedł 2a nim i wszystkie jego uwagi notował.

Robota ta%..trwała przez cały[^] tydzień, bo żniwa mu przeszkadzały, ale ją skończył nareszcie — a potem się wziął do przeglądu żywego inwentarza. Każdego konia, każdą krowę i każdą owcę obejrzał z osobna i wiele z nich wybrakował, bo znał się na wszystkim i mówił, że bydłęta należy żywić dostatnio i pielęgnować starannie, ale lichego bydłęcia trzymać nie warto

Potem się zabrał do przeglądu ludzi i także każdego obejrzał, wypytał i wyrozumiał tak, aby znał wszystkich, ale żadnego z nich nie odprawił, zostawiając ich wszystkich, z wyjątkiem służby pałacowej, pod zarządem Kańskiego. Pomiedzy tymi ludźmi bardzo mu się felczer podobał, ęozmawiał z nim kilka razy a potem powiedział Kańskiemu: — To człowiek sumienny i zdaje się być bardzo poczciwy, zna doskonale swoje rzemiosło a przytem ma talent wrodzony do rozpoznawania wad organizmów, tak zwierzęcych[!], jak nawet i ludzkich, jakoż nieraz mi zrobił

taką uwagę, że mnie nią wcale zadziwił. — Ale i felczer także sobie upodobał Zaklikę i powiedział Kańskiemu: — U niego rozum jest całkiem inny, jak u jenerała. Jenerał posługiwał się zwierzętami a jak które raz tylko coś po- krewiło, to won! a on kocha zwierzęta, toż ja powiadam, że tylko takiemu chów bydła się wiedzie.

Nareszcie zabrał srę Zaklika do obejrzenia folwarków, łąk, lasów i pól, i tak je objechał dokładnie, że już je znał jak swoją kieszeń a nawet sobie o nich porobił notatki na mapie.

A jak już wszystko obejrzał, miewał długie narady z Kańskim, co i jak trzeba naprawić, przebudować albo odmienić, ale zmieniał nie nagle, bo był zdania, że lepiej zachować stare, chociaż trochę kuleje, niżeli bez dokładnego rozmysłu zaraz wprowadzać nowe, co dobre gdzieindziej, ale nie wiedzieć jeszcze, jak u nas się przyjmie. Porobił więc rozmaite plany do zmian, ale niejedno' stare, chociaż całkiem niepożyteczne, zachował, bo mówił: — To jest cenna pamiątka po ojcach, nie trzeba tego wrywać: żołądka to nie nakarmi, ale duszę pożywi.

Tak zachował wszystkie pamiątki a nawet i stare sprzęty po jenerale, jego sypialnię, małą salę jadalną, bibliotekę i duży pokój do niej przytykający, w którym jenerał najchętniej przebywał, pozostawił nietknięte, zachował jego cztery konie kareciane, chociaż niemi już chyba tylko dzieci można było wozić na spacer, zachował kilku starych % włodarzy i podstarościch, zachował małego Nurka we dworze i zachował także Fujarę. *

Ale Fujarę, jednego dnia po obiedzie, zaprosił do siebie na fajkę i rzekł do niego z bardzo przyjaznym uśmiechem: .

— Nowi ludzie, nowe czasy, nowe porządki. Ja tu pomału bardzo wiele rzeczy pozmieniam, ale tobie będę

wdzięcznym, jeżeli u mnie zostaniesz i tak sobie będziesz, jak za jenerała. Wprawdzie podczas mojej nieobecności, jak mi to powiadała klucznica, wyciąłeś w pień wszystkie kapłony a podobno i niejedna butelka pękła w piwnicy...

Fujara chciał się usprawiedliwiać, ale Zaklika mu przerwał, mówiąc łaskawie:

— Daj-że temu pokój. Przecież nie dlatego o tem wspominam, ażeby ci robić wyrzuty. Wiem dobrze, że jeśliś gości przyjmował, to byli to najczęściej ludzie łaknący a zresztą przyjmowałeś ich tak samo, jakby to był robił jenerał. Żyj-że sobie i ty dalej tak samo, jak żyłeś za jenerała. Jeżeli ci czasu wystarczy, to zajrzyj do kuchni, miej oko na piwnicę, bo ja na tem się nie znam, daj mi dobrą radę, zrób czasem jaką uwagę, tylko mi się do gospodarstwa nie mięszaj: bo gospodarstwo w tych czasach to taka sama fabryka jak każda inna, tylko rozum jednego' człowieka może nią kierować i wszystko musi temu rozumowi ulegać; inaczej machina nie będzie funkcjonować regularnie a w takim razie, zamiast intraty, przychodzi bankructwo. Zresztą, — dodał Zaklika z uśmiechem, — masz Bal- cerówkę a nawet podobno i Firlejowszczyznę, więc ci nie braknie zajęcia...

Fujarze ta admonicja poszła trochę po nosie: oczywiście oczernił go Kański; ale że mu teraz nie o osobiste ambicje, tylko o bezpieczeństwo chodziło a to przecie znalazł pod skrzydłami Zakliki, więc nie brał sobie tego do V serca. Owszem zrobił się małym i giętym i oddał się cały na usługi Zakliki, myśląc sobie przytem, że teraz, kiedy dwór się zrobił tak liczny, pewnie mu nie braknie rozrywki-

Jakoż istotnie odtąd w Zaklikowskim pałacu inne zaczęło się życie.

Dwór, zwłaszcza kobiecy, był bardzo liczny i zaludniony żywymi kwiatami najrozmaitszych kolorów.

Więc była naprzód starsza guwernantka, tak zwana mistrzyni, Francuska, kobieta średniego wieku, bardzo okazała a nawet jeszcze przystojna, bardzo rozumna a nade- wszystko wymowna : ta kierowała, wychowaniem dzieci i całym tym dworem.

Po niej szła guwernantka młodsza, la sous maîtresse, także Francuska, dwudziestokilkuletnia, nie tylko ładna, ale także pełna wszelkiego rodzaju wdzięków i gracy, zbudowana silnie i zdrowa jak pień, bardzo uczona i muzykalna: ta wykladała dzieciom rozmaite nauki.

Potem była guwernantka Niemka, spokojna blondynka z pięknymi oczyma i rumieńcami na białej twarzy, bardzo sentymentalna i zamyślona.

Pod tą zaś hierarchią stała -bona Francuska, dziewczyna jak iskra Ł bardzo fertyczna — a za nią szły jeszcze dwie panny, Kasia i Marysia, służące czy szwaczki, sprowadzone niegdyś z Kurlandyi, mówiące troszeczkę po francusku i trochę po niemiecku a zresztą na migi.

Dzieci było dwoje.

Synek, któremu Ignas był na imię, miał wtedy lat ośm i był to chłopaczek mało podobny do ojca, bo czarne miał włosy i oczy i nosek cokolwiczek zadarty, ale był zdrow jak orzeszek a przytem spokojny, troszeczkę leniwy, ale dosyć posłuszny.

* Córeczka, którą nazywano Genią, skończyła dopiero lat* cztery, miała być bardzo podobną do matki, ale jeszcze nie można było wiedzieć, co się z niej zrobi.

Kobiety te chodziły około dzieci bardzo starannie — i wszystko zdawało się być w jaknajle^szym porządku.

Jakoż cała zima przeszła spokojnie. Wprawdzie pod koniec zimy ten dwór kobiecy zaczął, cokolwiek ciężyc Za- klice. Kobiety te bowiem zajęły całe pierwsze piętro pałacu — a jak się już rozgospodarowały na dobre, ciągle czegoś im brakowało. Trzeba było stare sprzęty wyrzucać a nowe kupować, tam drzwi kazano wybić a ówdzie dla ułatwienia komunikacyi nowe schody zbudować. Także i w kuchni żądano zmian różnych a dalej i w całym po rządku domowym. Mistrzynie z guwernantkami często nie schodziła na dół na obiad, urządziła sobie na górze salę jadalną, dysponowała sobie obiady według swego upodo- * bania, zapraszała na nie czasem tego albo owego z pisarzy a nieraz przyjmowała nawet i gości, którzy ją ódwiś- dzali. Fujara miał z tem bardzo wiele do czynienia, bo jako grzeczny kawaler wciąż był na usługach u kobiet, nawet i Kański tam czasem zaglądał, po obiedzie wieczory nieraz do ppźnej nocy się przedłużały, grano, śpiewano,, a może nawet i tańcowano, bo Zaklika, zajęty zwykle do późnej nocy czytaniem, słyszał nieraz nad sobą jakieś niezwyčajne tupanie. Mniejsza-by jeszcze o to tupanie, bo pałac był zbudowany fundamentalnie; niemasz w tem zresztą nic tak bardzo złego, jeżeli się guwernantki, zwłaszcza w zapusty, cokolwieczek zabawią; trudno też i pisarzom*, zakazywać przystojnej rozrywki, zwłaszcza, że ci pisarze, to byli synowie oficjalistów dworskich i uboższej szlachty sąsiedniej, którzy wszyscy niedawno z wojny wrócili i w Za- klikowie się gospodarstwa uczyli, nie biorąc za to żadnej nagrody: ale Zaklika czuł, że był panem tylko na dole a na 2 pierwszym piętrze stała jakby jakaś załoga, która sobie żyła według swego upodobania i bardzo mało albo nawet wcale nic się nie troszczyła o niego.

Zaklika był przez całą zimę nadzwyczaj zatrudniony swojemi gospodarskiemi planami, siadywał zatem po całych dniach nad rysunkami, kosztorysami i rachunkami — a wieczorami zatapiał się w książkach, bo był ukształconym człowiekiem, miał umysł chciwy nauki i wiedzy i chciał zawsze wiedzieć z pierwszych źródeł, co się dzieje w naukach" i w literaturach wszystkich europejskich krajów i narodów. Miał też po temu odpowiednią znajomość języków, trzymał bardzo wiele pism peryodycznych a cały ten duży pokój, który był obok biblioteki, był zawsze zarzucony książkami. Tam miał swój fotel wygodny, przyparty bokiem do stołu -a obrócony przodem do drzwi prowadzących do dalszych pokojów — i tam przy lampie i książkach całe przepędzał wieczory. Po całodziennej pracy znajdował w czytaniu rozrywkę* i odpoczynek — a przeto bardzo był kontent, jeżeli mu wtedy nikt nie przeszkadzał.

Jeżeli więc uczul cokolwiek' ciężar tego kobiecego dworu, to jednak nie bardzo. Bo przecież w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o dzieci — a dzieci, które miał ciągle na oku, o ile mu się zdawało, były pielęgnowane jaknaj- staranniej.

Wszelako pomówił o tem z Prandotą. Prandota bywał także w tem gynecyum i to nawet regularnie dwa razy na tydzień, bo sam dzieciom wykładał naukę religii; ale Prandota nie był tak bardzo surowym dla ludzi, jak o nim rozumiał Fujara, owszem przeciwnie, będąc sam wyniosłego umysłu, był bardzo wyrozumiałym dla zwykłych ludzkich słabości — a tylko tam, gdzie chodziło o nieuczciwość, o występki lub zbrodnie, tam był nieubłagany i nie przebacał nikomu. Jakoż powiedział Zaklice:

- Jużci z kobietami to zawsze trudna jest sprawa.

Mają próżności i rozmaite kaprysy a nie łatwo z tem sobie dać radę, bo to leży w ich naturze. Ale ja tam nie widzia - łem nic złego. Błaznują sobie z Fujarą a czasem tych tam praktykantów sobie zaproszą na tańce, trudnoż je trzymać jak zakonnice w klasztorze. Zresztą bywa tam Kański — a ten ma oko, byłby też pewnie już dostrzegł, gdyby tam było co zdrożnego.

■ —• Chyba że Kański, — rzekł na to Zaklika, — bo przed" tobą się pewnie nie zdradzą. Ale przed Kańskim się także nie zdradzą, bo dość raz spojrzeć na niego, aby w nim dostrzedz Katona.

Poczem tego wieczora zaprosił Mistrzynie do siebie i z delikatnością dobrze wychowanego człowieka zaczął ją trochę egzaminować. Ale Mistrzynie z równie delikatną, lecz ironiczną a zarazem jak potok szumiący wspaniale płynącą wymową, jeszcze go zlekka wydrwiła, wyłożywszy mu jasno jak na dłoni, że mężczyzna o wychowaniu dzieci nie ma najmniejszego wyobrażenia, zaś jeszcze daleko mniej może wiedzieć coś o tem, jak trzeba trzymać kobiety, ażeby dobrze i chętnie wypełniały swe obowiązki — a co się tyczy tych kobiet, to przecież jego żona, której przedwczesną śmierć ona sama codziennie rzewnemi oblewa łzami, sama je dobierała i ona się pewnie nie omyliła, bo była to pani tak bystrego umysłu, że takich dwóch pewnie niema na świecie.

Zaklika tedy poszedł jak zmyty — a tem wspomnieniem o jego żonie nawet tak się rozczulił, że mu łzy w oczach stanęły i ścisnął mistrzynię za rękę.

Tak reszta zimy minęła w spokoju — i wiosna nadeszła.

Ale kiedy wiosna się rozwinęła a ogrody okryły się

kwiatami i liściem, jakieś dziwne wieści zaczęły" obiegać po kuchniach folwarcznych, po oborach i stajniach. Opowiadano sobie, że nocą jakieś duchy błakają się po alejach ogrodu, to czarne, to białe, jedne zjawiają *się już zaraz z wieczora, drugie około północy i dopiero przed świtem znikają— a niewiedzieć, co-by to było. Tylko zarazem parobcy za częli zlekka przytykać pisarzom a dziewczki okrutnie się chichotały z francuzek. Aż też niebawem rozeszła się wieść, że nawet Fujara zakochał się w młodszej guwernantce i aż choruje z miłości...

Wieść ta była całkiem nieprawdopodobna, bo Fujara był znany jako zawzięty nieprzyjaciel kobiet: przecież wiedział z własnego .doświadczenia i nieraz się nad tem rozwodził, jakie to jest nasienie! — a jednak wieść ta była prawdziwa. Albowiem naprzód cały dwór o tem wiedział, że Fujara u tej guwernantki przesiadywał po całych wieczorach, nosił jej bukieciki, które sam wiązał, i grywał jej na fortepianie a nawet piosneczki jej śpiewał, czego nigdy nie robił za jenerała. Ale co gorsza, było to bowiem także wiadomo, że w godzinach popołudniowych siaduje z nią w tym gęstym klombie w ogrodzie, co go jenerał kazał był zasadzić dla siebie, i nawet tam grywa jej na hiszpańskiej gitarze i śpiewa.

Stara, z kościami pocziwa, jeneralska klucznica, sama ich tam widziała i powiedziała Zaklice, mówiąc: — I to Jeszcze do tego w tym samym klombie, gdzie nieboszczyk jenerał siadywał podczas upałów, taki pan święty, co on niegodzien proch zmiatywać za jego stopami. A na dobitkę, właśnie jakby na urąganie pocziwym ludziom, przewracając oczy do tej francuzicy, co on przy niej wygląda jak ucho przy dzbanku, śpiewał jej pieśń: "Patrz Kościuszko!

na nas z nieba^u ! A kiedy prześpiewał, to ją po rękach calowa! i zaczął już wąsy odgartywać, pewnie aby ją cmoknąć gdzieś wyżej. Sama to na moje własne oczy widziałam — i na szczęście brząknęłam kluczami, bez tego Bógr więc, na czemby się to by!o skończyło. A to już sąd Boży z tymi francuzami, taki-to naród zachłanny i nieobyczajny.

A potem klucznica opowiadała dalej:

— A kiedym ich z tego klombu spędziła, myślałam, że przecie już trochę wstydu nabiorą. Ale gdzieżtam! Wieczór, kiedym się już miała rozbierać i wyrzałam w dziedziniec, że to xiężyc tak pięknie świecił jak w dzień, patrzę — a ona leżdzi przy swoim oknie otwartem a on/ przy swoim, znów oczy do niej tak przewraca, że aż białka mu widać, i gra jej na tej swojej basetli, co to nawet niewiedzieć, jaki-to jest instrument, bo to ni skrzypce, ni basy, chyba, że mu to przykroili do jego wzrostu. A i głos to z siebie "wydaje wcale nieludzki, bo jak zacnie smykiem jechać po strunach, to tak właśnie, jak kiedy "pompa czasem się zassie a potem z nią ani w tył, ani naprzód, jeno* trzeba wyczekać, aż póki sama wszystkiego tchu z siebie nie wybyzka: dziewczki pouciekają a parobcy stoją dokoła i śmieją się, że aż się biorą za boki. Otóż-to taka ta jego muzyka — a francuzica słucha tego bzykania i także oczy przewraca. Takie-to rzeczy tutaj teraz się - dzieją, bo pan zanadto dobry:, niechże-by byli co takiego spróbowali za jenerała...

Zaklikę bardzo zabawiło to opowiadanie klucznicy, poczem sobie żartował z Fujary przy obiedzie i prosił go, aby po kawie zagrał co na tej przesławnej basetli.

Ale nazajutrz rano zameldował się u niego jeden

f. . . . V . . . m

z tych praktykantów, co się gospodarstwa uczyli w Zaklikowie i niecierpliwie prosił o posłuchanie.

Był-to młodzieniec dwudziesto-letni[^] bardzo przystojny, pięknej budowy i wzrostu, ale teraz miał twarz przybladłą, wzrok zakłócony i włosy w nieładzie. Zdawało się, jakoby całą noc nie spał i był w wielkiej emocji.

— Cóż mi tam powiesz? — zapytał Zaklika surowo i patrząc gniewnie na niego, bo się domyślał, że młodzik pewnie coś zbroił.

— Proszę pana, — odpowiedział mu młodzieniec, — wpadłem w wielkie nieszczęście, przyszedłem się z panem pożegnać.

— Cóż tam się stało? porzucasz służbę? wyjeżdżasz?

. — Nie, proszę pana. Ale mi przyszło na koniec, mu-
w szę się jeszcze dzisiaj powiesić.

Na to Zaklice uśmiech- przeleciał po twarzy, ale go ukrył, zachował całą powagę i pytał dalej:

— Cóż to znowu za głupstwo? cóż ci się stało?

— Wielkie nieszczęście, — rzekł na to młodzieniec — powiem panu wszystko, jak na spowiedzi.

Zaczem, spuściwszy oczy, opowiedział mu, że pani mistrzyni kazała mu wieczorami przychodzić do siebie, aże- by jej pisywał rejestry i dawał jej lekcje polskiego języka. Chodził pilnie przez całą zimę, chociaż mu się ta robota już przykrzyć zaczęła. Aż dziś nad^L ranem wyleciała mistrzyni ze swojej komnaty i spotkała go w kurytarzu, właśnie fciedy z Kasią rozmawiał. Na co pani mistrzyni okrutnie się zapyrzyła, dała jemu w papę dwa razy i Kasi także dwa razy, a potem jeszcze lunęła go pięścią w kark i strąciła ze schodów. Gdyby to był mężczyzna, powiadał młodzieniec, to onby jemu pokazał; ale co zrobi z kobietą?

hańba-to wielka, której on znieść nie może, i musi się* dziś jeszcze powiesić!

• Zaklika musiał się koniecznie odwrócić, bo chciał się zachmurzyć, lecz nie mógł; dopiero po chwili przybrał minę poważną i rzekł do niego dosyć surowo:

— Jest was trzech praktykantów i dwóch pisarzy a jest między wami czterech hultajów. Dlaczego ty dawałeś lekcje mistrzyni, nie otrzymawszy na to pozwolenia od pana Kańskiego? I co ty masz do gadania z Kasią po kury- tarzach i jeszcze do tego nad ranem? Po co wy się włó- # czycie po pierwszym piętrze pałacu, kiedy wy macie w ofir cynie wasze mieszkania? Wszyscy jesteście hultaje! Jeden tylko Ryłło pomiędzy wami się dobrze prowadzi, dlaczegóż wy sobie z Ryłły nie bierzecie przykładu? No, idź-że sobie do swojej roboty i nie nabijaj sobie głowy głupstwami. Wziąłeś w gębę od kobiety, boś na to zasłużył, ale to nie jest obraza honoru dla mężczyzny. Brali już generałowie w papę od kobiet, ale dlatego jeszcze żaden z nich się nie powiesił. Zresztą ja sprawę tę zbadam dokładnie — a jeśli znajdę, że niemasz innego ratunku, to sam cię każę powiesić.

I tak go uspokoił i puścił łaskawie.

Ale przecie nad tem się zastanowił. Cóż tam się dzieje pomiędzy temi babami. Trzeba istotnie zbadać te rzeczy i inny zaprowadzić porządek. ;

Jakoż przez cały dzień rozmawiał to z tym, to z owym, z klucznicą, z felczerem i z pisarzami, wypytyjąc ich z ostrożnością, aby się nikt nie domyślił, o co mu chodzi — i postanowił sobie, wieczorem pomówić o tem z Kańskim.

Ale jeszcze daleko było do wieczora, kiedy się dowiedział, że Kański sam kocha się w Niemce, co wieczór

do niej zachodzą, bukiety jej nosi a nawet na jej imieniny darował jej złoty zegarek z łańcuszkiem. Kański, co rubla siedm razy ogląda, zanim go wyda, dał Niemce zegarek z łańcuszkiem? To tam już idzie na seryo. "Zaklice nie mogło to w żaden sposób wejść do głowy, żeby się nawet Kański zakochał. Kański, człowiek tak obyczajny i taki su-- rowy, Kański, co mówi tylko po polsku i po czerkiesku, jakże on się porozumiał z tą Niemką? Ale musieli się jakoś porozumieć, kiedy jej dał zegarek z łańcuszkiem. Jednak, cóżkolwiekby, niepodobna było o tych rzeczach rozmawiać, z Kańskim.

Zaklika chciał się poradzić Prandoty i poszedł sam na probostwo, ale Prandota tego dnia właśnie wyjechał na odpust w sąsiedztwo: nie pozostało mu zatem, jak przespać te awantury, a dopiero nazajutrz rano iść dalej.

Ale tymczasem nazajutrz rano rozeszła się wieść po całym pałacu i po wszystkich folwarkach, że bona Francuska, co to była jak iskra i taka fertyczna, w nocy uciekła mec armes et bagages, o co jeszcze byłoby mniejsza: ale . uciekła właśnie z tym Ryłą, co się tak dobrze prowadził.

Czy czary? czy kołtun? — zawołał do siebie Zaklika, dowiedziawszy się o tem, — co ja tu pocznę z temi babami? Gdyby mnie nie chodziło o dzieci, to niechby ich wszyscy diabli... Ale co począc z dziećmi?

A tu niema się nawet kogo poradzić: bo Kański, Fujara i wszyscy pisarze, wszystko to poszło pod spódnice tych kobiet. Prandoty jeszcze nie było, ale felczer mu się nawinął. Rzecze więc do felczera:

— Słuchaj-no, Sebastyanie, przecie i ty słyszysz, co się tu dzieje.

Zaklika. T. 1.

— Nietylko słyszę, ale nawet i widzę,* — odpowie mu felczer, śmiejąc się swemi małemi oczkami.

— Więc "cóż ty na to? cóż tu z tem począć?

— Jużci tflopot z babami. Ale niepotrzebnie pan sobie głowę tem suszy. Bo to ludzie tak samo jak bydło: •kiedy go słońce przygrzeje i zacznie się gzić na pastwisku, to niemasz tego pastucha, coby utrzymał je w kupie, wszystko się porozlatuje na cztery wiatry. Niech pan im da spokój, za kilka tygodni ani jednej baby tu nie będzie — a kogo ze sobą zabiorą, to i temu dać krzyżyk na drogę. Jeno Niemka, zostanie, bo Kański z nią się ożeni.

Felczer stał na stanowisku naturalistycznym, chociaż' nie był uczonym, co jednak Zaklikę ani przekonało, ani uspokoiło: ale popołudniu przyjechał Prandota.

Zaklika go 'tedy zaraz zaprosił do siebie na radę i. opowiedział mu wszystko ze-
szczegółami..

Prandota był tem spoczątku niepomału zdziwiony i mówił:

— Nie spodziewałem się tego, bo te kobiety prezentowały mi się zawsze bardzo przystojnie-. Przychodziły nawet do nas do spowiedzi...

— Ale zataiły swe grzeszki^? — zapytał Zaklika.

Prandota to pytanie pominął milczeniem i mówił'
dalej:

Ale z kobietami niełatwa sprawa, nikt im nie wyrówna w chytrości..

— Iw nieporządkach, — dodał Zaklika, — zwłaszcza kiedy się rozhulają. I są ludzie, którzy chcą przeprowadzić emancypację kobiet, aż do ostatnich jej- granię. Qpby się to stało z państwem i społeczeństwem, gdyby niemi rządziły kobiety!

Ale Prandota tylko ręką machnął na to i rzekł:

— To tam teorye, wymyślane przez marzycieli, którzy nie znają natury ludzkiej, dlatego też nigdy nie wejdą w życie. Ale o tem, co widzę, tę muszę zrobić uwagę, że wreszcie i temu dziwić się nie należy, bo to jest rospasa- nie się obyczajów, jakie zwykle przychodzi po każdej wojnie a zwłaszcza po takiej, gdzie rospasano rozmyślnie wszystkie namiętności. Rospasano sumienia i zasady moralne u góry— a potem wszystko się rospasało. I daj Boże, ażeby się tylko na tem skończyło, co mogą nabroić nieobyczajne kobiety, skutki tego rospasania zasad moralnych okażą się jeszcze gdzieindziej...

— To dobrze, — przerwał mu niecierpliwie Zaklika, — o tem możemy pomyśleć później; ale co teraz zrobić ? bo jużci tak tego trudno zostawić. Mnie energii pewnie nie braknie — i kiedybym miał do czynienia z mężczyznami, tobym sobie prędko dał radę, choćby ich przyszło wziąć za łeb: ale co począć z kobietami? Nie leży to w moim temperamencie — a zresztą zawsze to rzecz delikatna.

— Go tam delikatna! — zawołał xiądz, — w obec kobiet trzeba mieć jeszcze więcej energii, jak w obec męż- jczyzn, bo one walczą chytrnością. Co robić? weź baby za łeb, ściśnij dobrze... i koniec.

— Jeszczeby tylko tego brakowało, — zawołał Zaklika, — żebym ja zaczął je ścisnąć, toby mi dom do reszty rozniosły.

Prandota śmiał się, ale radzili dalej. Zaklika mówił:

— A co mnie dziwi najwięcej, to że te wszystkie kobiety, tak jak je widzisz, były u nas na Żmudzi i rządziła niemi moja- nieboszczka żona, kobieta delikatna, wyrozumiała i dobra, i nigdy żadnej skargi nie było — a tu, le-

7* .

dwie dziesięć miesięcy minęło, i ot! co nabroili. A i na tem prawie jeszcze nie koniec...

A na to rzecze Prandota:

Bo klasztorem czy dworem kobiecym może rządzić tylko kobieta. Kobieta tylko zna wszystkie ich sztuczki i wszystko widzi, czego nigdy nie dostrzega mężczyzna. Kobieta jest przytem więcej przewidującą i zapobieży wszystkiemu zawczasu — a nie czeka, aż póki panny zaczną uciekać z praktykantami...

— Ależ-bo i ta mistrzyni! — zawołał Zaklika — a ja jej ufałem," jak sobie samemu. Ale niech ją tam Pan Bóg ma w swojej opiece: mnie chodzi o dzieci. Otóż powiem tobie, że jestem prawie zdecydowany, dzieci nie chować u* siebie. Do tego kobiet potrzeba — a ja ich nie potrafię utrzymać w rygorze. Żal mi, serce się moje zakrwawi, kiedy mi przyjdzie rozdzielić się z dziećmi: ale cóż robić? — Tylko to jedno mnie niepokoi, jakie tam po konwiktach i pensyach w nich wpoją zasady.

Więc Prandota nad tem się zastanowił a potem mu odpowiedział bardzo rozumnie:

— Jużci jeżeli nie czujesz w sobie siły do utrzymania kobiecego dworu w rygorze, czego nareszcie i ja sambym się także nie podjął, to nie zostaje ci nic innego, jak dzieci pooddawać na pensye. A co do tej troski o ich zasady, to ja cię z niej z czystym sumieniem rozgrzeszę: bo człowiek nie tem jest w życiu, czem go zrobią na .pensyi. Jużci za- ' pewne, że trzeba pensye bardzo starannie dobierać, ażeby dziecko dobre obyczaje przyjęło i aby w nie wpojono grun- townie moralne zasady: ale pomimo to każdy człowiek będzie synem swojego czasu, bo niemasz tak szczelnej klauzury, przez którąby się nie przecisnął ten duch, który wieje

w powietrzu. Patrz na te czasy, które sami pamiętamy, albo też znamy z żywej tradycji. Kiedy panował klasycyzm, to wszyscy byli klasykami, a na dziesięciu ludzi żyjących było dziewięciu bezbożnych.

A odkąd powstał romantyzm; rozbudziły się wszędzie uczucia ludzkie i religijne, wszystkie cnoty rodzinne i obywatelskie się ożywiły, niektóre z nich podniosły się do ideału i nie można powiedzieć, jak tylko, że na tem bardzo wiele zyskała religija. A przecież ci ludzie powychodzili z najrozmaitszych szkół i konwiktów. Myśmy się wychowali pod wpływem romantyzmu; kiedyśmy w mężów wyrosli i zaczęli myśleć i pisać i działać, zaczęliśmy się zarazem wytrzeźwiać z romantycznych egzageracyi i byliśmy na najlepszej drodze, ażeby to, co w nim było zdrowe i dobre, zachować a co chorobliwe odrzucić: ale tymczasem zerwała się burza, przeszła przez kraj jak orkan wszystko niszczący i postawiła pustynię po sobie. Czy ta burza zostawiła także po sobie jakie nasiona żywotne, które niebawem zaczną kiełkować? czy nas osadziła na skałach i piaskach i dopiero ci ludzie, co po nas przyjdą, będą musieli ze siebie samych wydobywać nowe idee? jacy-to będą ci ludzie? jakie idee? — tego nikt naprzód przewidzieć nie zdoła. Twoje dzieci' tem będą, czem ich natchnie czas i ten świat, w którym żyć będą. Oddaj ich w ręce dobrych nauczycieli a resztę pozostaw Bogu.

Zaklika także tak samo zapatrywał się na ' los społeczeństwa' i na rozwój następujących po sobie pokoleń, .które snują jego higtoryę. Postanowiono zatem wywieźć dzieci do Krakowa na pensyę, gdzie Zaklika miał krewnych, ale przez wzgląd na guwernantki, z którymi miał pewne

umowy i których nie chciał nagle wyrzucać z domu, zrobić to dopiero pod jesień.

Tymczasem zaś należało zaprowadzić choć jakikolwiek porządek — a w tym celu trzeba było przedewszyst- kiem pomówić z Kańskim, zaczem go zaproszono natychmiast na radę.

Kański, kiedy mu powiedziano, że chodzi wieść, jakoby się kochał w Niemce, spoczątku trochę się skonfundował, ale nareszcie się przyznał, mówiąc, że ma jak- najlepsze zamiary i chce się z nią żenić.

Na to Prandota, któremu się to. małżeństwo nie podobało, bo Niemka była luterka, rzekł wespół do siebie:

— Jak szalały albo też głupcy jakiego piwa nawarzą, to zawsze musi się znaleźć jakiś uczciwy człowiek, który to piwo wypije.

Ale Kański zachmurzył się na tę uwagę i rzekł:

— Dlaczegoż piwo? to bardzo porządna i uczciwa kobieta.

— Więc się żeń, — rzecze na to Zaklika, — dlaczegoż zwlekasz ? Daj zaraz na zapowiedzi a my ci damy nasze błogosławieństwo. I twoja wola się stanie i wyrzesh tem na cały dwór bardzo dobre wrażenie.

Ba! — mówi Kańskt, — kiedy w rzeczach religii niemasz jeszcze zgody pomiędzy nami. Ona jest protestantka; więc ja chcę, aby się na naszą religiję przechrzcila, ona niby nie jest od tego, ale jeszcze się waha.

Na to więc Prandota skoczył zaraz ku niemń, ścisnął go mocno za rękę i zawołał:

** To *ja tobie pomogę! Bardzo to zacnie z twej strony, że takie masz sentymenty, Pan Bóg ci to swoim

błogosławieństwem nagrodzi. Ja ci tę Niemkę za trzy dni nawrócę.

Zaczem Kański był kontent i także go ścisnął za rękę.

Tymczasem Zaklika rzekł:

— Więc tedy tak dobrze. Ale powiedz-że mi, mój Kański, jakże to się stało, że ci się ta młodzież tak roz-1 hulała?

— A Bóg to wie, ~ odpowie. Kański, — ale io te baby, to właśnie jak czarownice. Jużci ja młodzież w dzień dobrze pilnuję, ale do wieczora człowiek się zmacha, trzeba się wyspać — a oni dopiero wtenczas zaczynają wieczornice. Innym się nie dziwuję, bo to smyki bez czci i wiary, oni-by i po dachach chodzili, kiedyby dziewczęta siedziały na dachu; ale ten Ryłol! Kiedy on taką rzecz zrobił, to już dzisiaj nikomu wierzyć nie można. Jenom się teraz dowiedział, że mu babka umarła i zapisała mu wioskę, więc * to dlatego ta bona Francuska z nim sobie uciekła. Pewnie się z sobą pożenią i będą sobie panować na wiosce.

— Widzisz, — rzecze Zaklika, — jakie-to mądre te Francuski. Ale to źle, bo inne także dopiero wtedy pouciekają, jak zhajdą takich, co mają wioski. Chyba żeby Fujara... bo przecież ma Balcerówkę. A cóż Fujara? Kocha się w młodszej guwernantce? bardzo przystojna kobieta.

Ale Kański machnął na to ręką i rzekł:

— Albo on wić, w kimjon się kocha? Jest tam druga szwaczka, Marysia, co do niej jak dwie krople wody podobna, jeno że nie taka arystokratka, to on i z nią psoty wyprawia. •

— 12Q -

— Ale ona go rada widuje, bo on z. nią rozsiada się w klombach a nawet po nocach jej grywa na wiolonczeli. Jużbym chyba wolał, żeby ją wykradł, — dodał Zaklika żartem, — bo ona mnie będzie drogo kosztować, ma kontrakt trzyletni a trudnoż łamać mi kontrakt, jeżeli nie da do tego żadnego powodu.

Wszelako Kański machnął znów ręką i rzekł: , — Albo on wie,- komu on grywa? On wszystko robi przez imaginację. A co do niej, to jużci zapewne że trudno przejrzeć kobietę, zwłaszcza tak sztuczną jak ona, ale ja wątpię, aby ona się w nim kochała. On charłaczyna a to kobieta jak łania. A zresztą tu do niej jakiś oficer¹ podjeżdża a potem podobno biegają liściki.

— Masz tedy! — zawołał Zaklika, — to oficer«aż tu do pałacu przyjeżdża? Jeszcze tylko tego mi brakowało!

— Do pałacu, nie, — powiada Kański, — tylko koło grobowej kaplicy się kręci i w okna spogląda. Raz sam go spotkałem; młody człowiek, bardzo przystojny, jakiś panicz widocznie, koń pod nim duży angielski, sunął przez pola wyciągniętym klusem jak szczupak i wciąż patrzył na pałac. A potem ona także często do miasteczka wyjeżdża a nie- wiedzieć dlaczego...

— U ciebie także jak widzę, gra trochę imaginacja, — rzekł Zaklika, wstając z fotelu, — oficer o ćwierć mili przejeżdża i patrzy na pałac a ona do miasteczka wyjeżdża: a przecież oficerowie muszą swoje konie przejeżdżać a kobietom zawsze jakichś szlerek potrzeba. I z tego już ci się jakiś romans uroił w głowie. Pilnuj-no twoich młodzików, abyśmy mogli dotrzeć do Września bez nowych kłopotów.

Na tem skończyli naradę, poczeip się wszyscy ro-, zesli.

We trzy dni potem Prandota Niemkę nawrócił, Kański się z. nią zaręczył, Zaklika dał im obiad wspaniały i wszyscy byli kontenci. Zaklika nawet bardzo się cieszył, bo najpierw Kański dał dobry przykład ze siebie a potem, ten ślub przykrył sobą te i owe nieporządki, które się do pałacu zakradły a o których już i po sąsiedztwach mówiono.

Ale czwartego dnia popołudniu Fujara przyszedł do niego.

Był niezmiernie wzruszony, włosy miał w artystycznym nie&dzie, chustkę ńa szyi rozwiązana, kamizelkę nie- całkiem zapiętą, jeszcze i inne nieładz widać było na jego ubiorze, w oczach wyraz niezmiernie rzewny, rumieńce wypieczone na twarzy, oczywiście przyszedł się z czegoś spowiadać a nie wiedział od czego zacząć.

Zdecydował się wreszcie i zaczął:

— Wiesz, przynoszę ci wielką nowinę, ale się nie przerażaj, bo niemasz w niej nic tak bardzo strasznego. Oto ta młodsza guwernantka od razu bardzo mi się podobała. Daję ci słowo honoru, że nie. robiłem tego z inten- cyą, bo przecież nie jestem uwodzicielem, ale tak jakoś się to samo .zrobiło, żeśmy sofcie przypadli do serca. Może to nazwiesz niedorzecznością, jeżeli tak chcesz, ale takie rzeczy chodzą po ludziach: dość na tem, że ona nie może wyżyć bezemnie — a ja... cóż ci powiem ? jużci nie jestem młodzikiem, ale także nie jestem z lodu. Zaplątałem się — a mam serce: biedaczka wzdycha i wzdycha i wprawdzie nic mi nie mówi, bo to jest wielkiej delikatności ko-

ineta, ale ja widzę, że się niecierpliwi, zwłaszcza od tego czasu, kiedy Kański się z Niemką zaręczył. Zresztą nawet bez tego byłoby to dla niej niezmiernie kompromitującym, . gdyby tak dalej zostało. Jako człowiek honoru musiałem wr&szcie p&wziąć postanowienie...

Zaklice się trochę na śmiech zbierało, bo niełatwo mu było uwierzyć, ażeby ta Francuska, kobieta bardzo przystojna i nosząca się górną, zapomniała się z Fajarą: ale kto kiedy przewidział, w jaką stronę się zwróci kaprys kobiety? Usłyszawszy więc takie wyznanie, spytał go na seryo:

— Więc cóż? więc chcesz się żenić?

— Wiem, że głupstwo robię, — odpowiedział mu z pokorą Fajara, — wiem naprzód, że popełniam megalomanię, nikt z moich przodków nie ożenił się z kobietą miejskiego rodu, moja genealogija jest czysta: ale spodziewam się, że moja święta matka mi to przebaczy z nieba, car ce sera un mariage 'de réparation... Wiem także, że na teraz. nie mam odpowiedniego mojemu urodzeniu majątku: mam tylko tę małą od generała pensyjną i pomieszkanko na Balcerówce; trzeba będzie się kurczyć, aż póki jaka sukcesya na mnie nie spadnie... Ale ~to trudno: unieszczęśliwić kobietę, tego przecież nie mogę zostawić na moim sumieniu.

— Więc jakże to jest? — zapytał Zaklika, Już niecierpliwiać się trochę, — przyznaj mi się otwarcie, przecież' wiesz, że was nie zdradzę. Zbałamuciłeś kobietę?

Na to Fajara podniósł oczy do góry, złożył ręce przed sobą i rzekł:

— Niestety!

— Bardzo ładne-to rzeczy! — zawołał Zaklika, za

chmurzy wszy się mocno, — i już klamka zapadła? obawiasz się skutków?

— Ja? skutków? — zapytał-na 'to Fujara, podnosząc głowę i sfajac w rycerskiej postawie.

*

— Ale nie ty, tylko ona! - krzyknął Zaklika.

—, Jakich skutków? — zawołał z godnością a zarazem z oburzeniem Fujara, — a cóż ty o mnie rozumiesz? Prze cież wiesz, że jestem uczciwym człowiekiem! Zbałamucilem ją moralnie..

A na to Zaklika wybuchnął już gniewem i rzekł:

— Wiesz, gdybym nie* wiedział, że od ciebie tylko głupstwa spodziewać się można, tobym ci dał za to po czubie.

A na to Fujara:

— Gniewaj-że się za to jak chcesz — a ja ci powiadam, że tu niemasz innego wyjścia*.. Tymczasem Zaklika się udobruchał, jakoż mu odpo wiedział:

— Znajdzie się inne. Nie troszcz się o to, ja sam tę panią wybadam..

— Nic nie wybadasz, — rzecze na to Fujara, — ona ci się do niczego nie przyzna. A jeśli to zechcesz rozerwać, to ona zapanuje nad sobą; strawi to w sobie a potem umrze z rozpaczy...

Tymczasem dano znać, że do stołu nakryto. Zaklika wtedy sam jadał, rzekł więc do Fujary:

— Chodź do obiadu.

Przy obiedzie Fujara się unosił jak młodzian nad niezwyčajnymi przymiotami umysłu i serca tej damy. Mówił po francusku, bo w tym języku są gotowe fraz.esy na ^wszystkie takie uczucia, które się rodzą w imaginacyi

a w których niemasz ani krzty serca. A skończył na tem, że to jest ideał kobiety, jakiej jeszcze nie' widział w swero życiu.

— Być może, — odpowiedział mu na to Zaklika, — nie przeczę, ale za to ci ręczę, że jeżeli się z nią ożenisz," to ci pewnie ucieknie, jeżeli nie z murzynem, to z oficerem... "

— Ona? z oficerem? — zawołał na to Fajara, — co też nie gadasz? To jest kobieta czysta jak anioł. A poteni, wojskowości nie. cierpi, sama mi to nieraz mówiła.

A kiedy podano kawę, Fajara wydobyl jakiś obrazek z kieszeni i pokazał go Zaklice, mówiąc:

— Patrz, to jej portrecik. Nie uwierzysz, il*e pracy mnie to kosztowało, ale patrz, jak to wypunktowane — a jak do niej podobne, nie brakuje ani jednego z jej rysów.

Zaklika spojrzal na ten bohomaz i rzucił mu go na talerz, dodając z niechęcią:

— Może to do kogo podobne, ale prędzej do Marysi, niż do niej.

— Do jakiej Marysi ? . -

— Do tej panny służącej," co jej usługuje, co jeszcze nie dostała w papę od mistrzyni jak Kasia, ale pewnie już. zasłużyła.

Fajara się uczuł skonfundowanym, ale tymczasem Zaklika wstał i powiedział do niego:

— Idź-że sobie spać —⁴ a już tam nie łaź do tych kobiet na górę. Gdybyś jej nie był wodził po klombach i nie grywał jej z okna na wionlnczeli, toby tego wszystkiego

nie było. Wyśpij się dobrze — a jutro pogadamy o tem irfaczej.

Fujara na to litościwie przewrócił oczyma i rzekł z głę- bokiem westchnieniem:

—¹ Jakie-to będzie to moje spanie! I czyby-to było nawet sumiennie z mojej strony, spać sobie spokojnie, kiedy wiem, że ona biedaczka przez całą noc oka nie i zmruży...

Ale poszedł.

A Zaklika, wyszedłszy trochę na ganek, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, wrócił do swego pokoju i zasiadł do czytania, jak zwykle.

Ale czytał niedługo, bo ledwie zaczęła dochodzić godzina dziesiąta, kiedy wszedł służący i powiedział mu, że młodsza guwernantka przyszła i prosi, aby ją przyjął.

— Tam to diabła! — zawołał do siebie Zaklika, — ona sama przychodzi.- Musi to przecież być prawda.

Tymczasem Francuska weszła krokiem pewnym i z poważnym wyrazem na twarzy i powiedziała mu grzecznie, lecz krótko i jasno: że go przeprasza, iż go dawniej nie * uprzedziła o tem, ale sama się chwiała i dopiero teraz powzięła decyzję, ale decyzję stanowczą, że nie może dłużej pozostać u niego i prosi go o uwolnienie...

Zaklika był tem niezmiernie zdziwiony, nawet trochę dotknięty, ale będąc zawsze bardzo uprzejmym dla kobiet, zaczął się wypytywać jaknajogłędniej: dlaczego się zerwała tak nagle? co jej się nie podobało w jego domu? czy może miała jaką scenę z Mistrzynią?

Ale Francuska była równie ogłędna, coś tam brząkała 'spuściwszy oczy a do pióro w końcu przyznała: qylil y a des

incompatibiliUs... Ale zaraz sama sobie przerwała, mówiąc:

— J'espere, Monsieur, que vous neme refusere pas une voiture?

— Mais hien sUr, — dopowiedział jej Zaklika, — meme deux, tout est a voŕre disposition.

Quand partez vous?

— Tout de suite, mes malles sont faites.

Tem lepiej, powiedział sobie Zaklika, chociaż go to coraz więcej dziwiło — i zaraz kazał słuŕacemu, aby pobiegł do stajni i aby w lot zaprzęŕono do lekkiego powózu i do wózka pod rzeczy.

A tymczasem rzekł do niej:

— Mais nous avons encore des comptes a regler. ..

Ale Francuska podniosła rękę i odpowiedziała mu Wzbraniając się:

— Mais non, Monsieur. Il n'y a rien a regler. Je ne vous demande rien et je n'accepterai rien.

Zaklika zaczął jej wykładać, że jej się koniecznie coś należy od niego, ale ona go słuŕiała z niecierpliwością, spoglądając wciąż na zegarek. A że u niego w stajniach był porządek wojskowy, więc zaraz zaturkotały powozy, lokaje znieśli w oka mgnieniu jej rzeczy, Francuska wsiadła do powozu i par la cour d'honneur wyjechała z pałacu. *

Zaklice w gruncie rzeczy lżej się zrobiło na sercu, ale przecieŕ go to niepokoiło, że nie wiedział, dlaczego ta Francuska tak nagle drapnęła. Prócz tego, nie mógł mu wyjść' z głowy Fujara — i mówił sobie: Albo ona przed nim ucieka, albo on także juŕ skrobnał a przyszedł do mnie tylko dlatego, aby odwrócić od siebie moją uwagę. I poszedł sam do Kańskiego, który mieszkał po drugiej stronie* dziedzińca, naprzeciwno mieszkania Fujary.

Kański już miał się rozbierać, ale dowiedziawszy się, że pan kazał zaprzęgać, siadł przed swoim domem i czekał, bo może pan go każe zawołać.' Więc Zaklika opowiedział mu, co się stało, i pytał, co on o tem rozumie.

— Ona się. już od tygodnia pakuje, — powiedział Kański.

— Ale czy się nie pokłóciła z Mistrzynią?

— Jużci" się z sobą kłóciły, ale ktoby ich tam rozumiał, o co im chodziło.

— A co robi Fujara? może także z nią skrobnał?

— Ot! co robi! czy pólkownik nie słyszy, jak sobie na basetli wygrywa.

— Chodźmy obaczyć, — rzecze Zaklika, bo w środku dziedzińca stał wielki klomb, złożony ze starych drzew i gęstych krzewów, i stąd nie było widać okien Fujary.

Podeszli więc pod sam klomb i przez gałęzie drzew widzieli na własne oczy, jako Fujara siedział na swoim oknie i patrząc w okna pierwszego piętra pałacu, wygrywał rzewnie piosenkę:

0 kochanko, nie wierz ciszy

Co tje ucho ludzi,

1 uciekaj od tych ludzi,u

Z których ogień dyszy...

Fujara grał dobrze, ale Zaklikę śmiech porwał, ba znał tę piosnkę, jakoż rzekł do Kańskiego:

. — Już uciekła od tych ludzi a ten błazen oczywiście nic o tem nie wie!...

— Ale niech-no pólkownik popatrzy, komu on tak. wygrywa.

Zaklika spojrział i obaczył istotnie w oknie pałacu Ma

rysie, jako na Fularę patrzała jak w tęczę i widocznie była głęboko rozczulona.

Tymczasem Fulara, skończywszy tamtą, zaczął pieśń o kowalu, którą sam nucił:
Kierujcie się, jak możecie,
Ale pamiętajcie o tem, Że kaźden człowiek na świecie,
Jest kowadłem albo młotem...

— Ten błazen przez całe życie zostanie kowadłem, — rzekł na to Zaklika, — chodźmy spać.

Ale kiedy się już mieli roschodzić, usłyszeli turkot powozów. Poszli w tę stronę, to parobcy, co odwozili Fran- cuskę, już powrócili. Pytali ich, skąd tak prędko wracają?

— Bo my ją, proszę pana, — odpowiedzieli parobcy, — tylko do tej gospody odwieźli, co jest przy grobowej'kaplicy. Tam na nią czekało dwa powozy i dwóch oficerów. Bardzo grzeczni panowie, dali nam po pięć rubli, my jej rzeczy przepakowali a teraz wracamy.

Więc Zaklika spojrział w stronę gospody, zrobił krzyż w powietrzu i rzekł:

— Góra z górą się nie zejdzie... błogosławieństwo Boże nad wami. ■^h

Nazajutrz rano Zaklika był w doskonałym humorze: jego dwór babski coraz się zmniejszał. Ale chciał przecie obaczyć Fularę i kazał go zaraz zawołać.

Fulara spał pewnie jak zabity, chociaż słońce już grzało, bo przyleciał tylko na wpół ubrany.

— No cóż?- ~ rzecze do niego Zaklika, — noc czasem dobrą przynosi radę, czy jeszcze zawsze trwasz w swo- jejn postanowieniu?

— Więcej jak zawsze, odpowiedział Fujara, — bo właśnie nad ranem moja święta matka mi się przyśniła, myśmy przed nią klęczeli oboje a ona nas ręką błogosławiła.

— To widać, że do nieba jeszcze ta wiadomość nie doszła, — rzecze mu na to Zaklika, — bo Francuski już niema.

— Jakto niema? — zawołał Fujara, wytrzeszczające swe oczy zaspane.

— Jeszcze wczorajszej nocy uciekła.

— Jakto uciekła? chyba żartujesz.

— Ale nie żartuję, uciekła:

Fujara wyleciał z pokoju jak opętany.

Musiał się dobrze wypytać, bo dopiero w kwadrans powrócił. I wrócił niezmiernie skruszony, z głową spuszczoną i obłąkanemi oczyma.

— Więc cóż? przekonałeś się?

— Jużci wyjechała...

— Nie wyjechała, tylko z oficerem uciekła.

— Ja jeszcze temu nie wierzę... — rzecze Fujara, widocznie skonfundowany. — Taka kobieta! Jest w tem jakaś tajemnica. Myślałem zrazu, że tyś sam ją wyprawił, ze względu na mnie, na moją przyszłość, która mogłaby mi być ciężką. Ale teraz rozumiem, że ona sama to przewi- - działa i zrobiła ze siebie ofiarę. Jednak jest w tem coś, jakieś czary, zgoła coś nieludzkiego. 60 powiadają mi, że wyjechała z wieczora a ja przecież jej grałem do samej północy i sam to widziałem, jak łzy jej płynęły po licu. To jakieś czary.. i

—^ Ale to nie czary, mój drogi, to kołtun, bo tam

Zaklika. T. 1.

w tem oknie nie ona siedziała, tylko jej służąca Marysia, sam ją widziałem. I ty zawsze Marysi grywałeś....

— Marysia ? — zawołał Fujara i znów wyleciał z pokoju.

Za kwadrans wrócił, ale już nie ze spuszczoną głową, tylko wściekający się jak zwierz rozdrażniony i z zaciśnię- temi pięściami.

— Masz rację! — zawołał, zaczerpując oddechu, — to szelma! jedna i druga! co to za przekłete nasienie!

— Czegóż się tak gniewasz? — zapytał Zaklika.

Na to Figara skoczył z pięściami do niego, wołając załzawionym głosem:

— Mais ęa.ria pas de nom! ga ne s*est jamais vh!

. — Si, ęa dest deja vu, — odpowiedział mu spokojnie Zaklika

— Oh! — wołał Fujara, podnosząc pięście do góry, — przysięgam na wszystkie Bogi, że jak długo żyć będę, ani okiem nie spojrzę na te potwory! I tobie powiadam, bierz sobie przykład ze mnie, nie żeń się nigdy, niech cię Bóg broni!

I z tem poleciał do siebie, aby się z tej alteracji wy- sapać.

* * *

Tak w owe czasy, bezpośrednio po burzy, wszystko ' coraz bardziej się rozprzęgało a społeczeństwo zmieniało swą postać: przezacne resztki starego świata jedna po drugiej znikaly, — inne pozostałości z czasów późniejszych, stanowiące masę narodu, nie czuły wcale doniosłości pogromu i próbowały żyć jeszcze jak wprzódy, nie tracąc dawnego

humoru, — wielu statecznych obywateli, na których społeczeństwo się opierało jak na stałych filarach, rozleciało się za granicę, — ci, co zostali, chociaż głębiej myślący, nie umieli zdać sobie bezstronnie sprawy z tego, co się stało, — inni przenosili się z miejsca na miejsce, rozumiejąc, że im tam będzie lepiej, — obyczaje się rozwolniły i zwykły tryb życia został zwichniony, — rodzinne związki się pozmiały, bo śmierć straszliwe luki w nich powydzieraa, — nawet dzieci nie można było wychowywać według dawnego • trybu, bo kierowników i nauczycieli zabrakło.

Zaklika także na teraz o tem wszystkim nie myślał, bo mu przedewszystkiem chodziło o dzieci. Jednak zadanie to samo mu się ułatwiao. Pozbywszy się połowy swego kobiecego dworu, przeżył już daleko spokojniej te pare letnich miesięcy — i we wrześniu mistrzynię z pozostałemi pannami odprawił a dzieci odwiózł do Krakowa.

Córeczkę, ile że była jeszcze małą dziewczynką umieścił na teraz u swojej ciotki, pknii bardzo pobożnej i zacnej, i prowadzącej życie spokojne, — chłopca zaś oddał do bardzo dobrego konwiktii.

Po kilku latach przeniósł swe dzieci do Wiednia: córeczkę oddał do-Salezjanek a syna na bardzo dobrze re- putowaną pensję prywatną, z której chodził do lyceum. . . Nie szczędził ani kosztów, ani swej własnej pracy, ażeby dzieci jakhajstaranniej wychować: dojeżdżał do nich co roku, bawił przy nich po pare tygodni i o wszystko się wypytywał — a na wakacje czasem brał je do siebie a czasem przepędzał je z-niemi w podróżach po Tyrolu lub po Szwajcaryi.

Kiedy córeczka edukację skończyła u Salezjanek, umieścił ją znowu u ciotki w Krakowie, skąd ją zaczęto pomału

w towarzystwo wprowadzać — a syna, po ukończeniu liceum, wyprawił do Paryża, aby tam słuchał kursów politechnicznych i agronomicznych.

Dzieci uczyły się doskonale, prowadziły się jaknajprzysłowniej, pisywały do niego pilnie, z ich listów było widać, że są rozzagarnione, ukształcone, poczciwe i bardzo przywiązane do niego — a stąd była nadzieja, że przyniosą ojcu pociechę i staną się użytecznymi członkami swego społeczeństwa.

Zaklikał tem pilniej i tem troskliwiej zajmował się nimi — a tak przy tem zajęciu minęło mu całych lat piętnaście.

i

Śród tego długiego przeciągu czasu zdarzył się tylko jeden wypadek, który wprawdzie obchodził tylko samego Fajarę, mimo to wszakże rzucił niejaki światło na te idee i prądy duchowe, które zaczęły się coraz wyraźniej objawiać w umysłach i sercach tego nowego pokolenia, co właśnie teraz wyrosło.

Firlej no i w roku zagranicznej wędrowki wrócił do domu i żył sobie na swoich dobrach jak dawniej, — ale Balcer dopiero po dziesięciu latach otrzymał pozwolenie na powrót. Jednak i wtedy jeszcze sam nie mógł zaraz przyjechać, bo był dyrektorem kolei w Szwajcaryi i niepodobna mu było otrzymać uwolnienia ze służby przed upływem sześciu miesięcy; wysłał więc swego syna do kraju, co było jeszcze i z tego względu koniecznym, ile że jego żona, zhipotekowana jako właścicielka na Bal-

cerówce, właśnie mu wtedy umarła i rapisała majątek na dzieci. Syn więc tu przybył, aby odebrać majątek.

Fujara tedy, który przez te dziesięć lat administrował ten mająteczek, otrzymał jednego dnia list od młodego Balcera z zawiadomieniem o tem i z prośbą, aby przyjechał.

Fujara, bardzo rad temu, że mu ten ciężar, który nm wiele zadawał kłopotów i trudów a zgoła nic nie przynosił, zdejmną nareszcie z karku, natychmiast pojechał na Balcerówkę.

Tam wyszedł przeciwko niemu na ganek młody Balcer i wprowadzie grzecznie, ale trochę pochmurnie, go powitał.

Był to młodzieniec wtedy dwudziestodwu-letni, nieł wielki wzrostem, ale dosyć przystojny, mocny brunet o cerze bladej, i cokolwiek spalonej, o dużych czarnych oczach niby spokojnych, ale jakiegoś niepewnego wejrzenia, z wyrazem twarzy poważnym nad wiek i jakąś niby chmurą na czole, która świadczyła o głowie myślącej, zresztą był mocno nabity a przeto cale niepodobny do ojca.

Fujara, wzięwszy go dobrze na oko, powiedział sobie: Musiał tu także zajść jakiś atawizm, bo nikt-by nie zgadł, że to syn Balcera — i zaczął go wypytywać o rodziców i siostrę.

Młodzieniec mu powiedział, że matka umarła, że ojcu się dosyć dobrze powodzi, zrobił sobie nawet trochę pieniędzy — a siostra skończyła właśnie rok piętnasty i zaczęła chodzić na medycynę.

— Na medycynę? — zapytał Fujara, tem niepomału zdziwiony, — kobieta na medycynę? więc jakże? to uczy się anatomii?

¹— Jużci zapewne, przecie się od anatomii zaczyna.

— I trupy kraje?

— Jużci kraje, jakże pan chcesz?

— Pff! — rzecze Fujara— nie chciałbym mieć takiej kobiety za żonę.

I męczo się nad tem zamyślił. A potem spytał:

— Więc jakże to jest? taka młoda panienka? to ona i mężkie trupy także kraje?

— Jużci kraje.

— Pff! — zawołał Fujara, wciąż zamyślony, — winszuję temu, co się z nią ożeni. Ja-bym z taką kobietą nawet nie. spał pod jednym dachem.

I myślał nad. tem znowu przez chwilę. A zbudziwszy się, spytał: *

— A pan? czy także na medycynie?

— Nie, ja jestem skończonym inżynierem w fachu rolniczym i budowniczym, ale specjalnie i z zamiłowaniem zajmuję się chemią

A na to odpowiedział mu Fujara z wysoka:

— Inżynierów jest dosyć na świecie, a chemię moglibyście aptekarzom zostawić, ale te rzemiosła nie są przynajmniej tak wstrętne, że nie po wiem już obrzydliwe. A pańska .siostra, — zapytał potem, bo mu się to jakoś nie mogło pomieścić w głowie, — jak zostanie doktorem, to także i mężczyzn będzie kurować?

— Co się trafi.

Więc Fujara się śmiał i mówił:

— Jak'e to 'głupie koncepty wam się teraz roją po głowach! A przecie mężczyzna, jak do niego przyjedzie taki doktor w spódnicy, to czasem nawet nie będzie się mógł przyznać, na jaką chorobę choruje...

Ale młodzieniec się nie śmiał, tylko mu odpowiedział poważnie:

— Bo panowie tutaj, jak widzę, jeszcze we wszy-
stkiem jesteście strasznie zacofani. Pan
mówisz ze stanowiska wstydu — a wstyd jest przecie takim samem urojeniem, jak wiele
innych przesądów pochodzących ze średnich • wieków, a który tak samo trzeba wykorze-
nić, jak tamte. Dopiero trzy dni tu jestem a już'em tych starych pozostałości widział tak wiele, że im
się nie mogę nadziwić. Nawet i ta Balcerówka tak mi wygląda, jak wyglądały wsie chyba
podczas wędrówek narodów. Dwór zapadł się w ziemię a przez dach dziurawy leje się woda
po wszystkich ścianach. Gospodarskie budynki to jakieś budy, jakby u Sarn ojedó w. Była
daleko więcej, niżeli go można na takiej wiosce wyżywić, dlatego też chude, kudłate, koszlawe
i do niczego niezdatne. Dworskie obejście zarosło niepożytecznymi drzewami jak puszcza, po
łąkach woda stoi jak po potopie, grunta zanieczyszczone najrozmaitszymi chwastami, nigdzie
ni rowu, ni drogi, ni płotu, ani porządnego zamknięcia, zgoła jak w kraju dzikim i u dzikiego
narodu.

— Jużci to trochę jest zapuszczone, — rzecze mu na to Fujara*, — ale uważaj pan, że ja
nie chciałem robić wydatków, ani na reparacye, ani na wkłady. Przyjąłem ekonomę, bardzo
pocziwego człowieka, który prócz tego jeszcze i tanio kosztuje, robił co mógł — a co wioska
przyniosła, tom wam zawsze co do grosza odsyłał. A co do zamknięcia, — dodał Fujara,
podnosząc głowę, — to wiedz pan o tem, że kłódek tylko tam trzeba, gdzie są złodzieje, tu u
nas ludzie nie kradną, więc nie potrzeba się przed nimi zamykać.

— Mówiłem ja z tym ekonomem, — powiedział mu^

Balcer, — alem się z nim wcale nie mógł dogadać. Chciałem się od niego przynajmniej dowiedzieć, co wychowanie cielęcia kosztuje? Powiedział mi: A kto to może wiedzieć, co ono tam zjadło? wychowało się pięknie, bo to moja żona sama cieląt pilnuje, a potem się dobrze sprzedalo. •Ale za ile się sprzedalo, on sobie nie może przypomniać.

— Ba któżby tam takie rzeczy pamiętał! — zawołał na to Fujara, — także panu coś chodzi po głowie! Nawet po wielkich dworach, gdzie są rachmistrze i gdzie jest komu rachunki prowadzić, w takie szczegóły nikt się nie wdaje. A przecie tam są gospodarstwa wzorowe...

— Widziałem ja kilka takich gospodarstw w przeje- ' ździe, — odpowiedział mu Balcer, — ale od tego, com tam widział, włosy mi wstawały na głowie. Co taftn za luxus — a jakie wydatki! Co to za monstrualność, ażeby jeden człowiek posiadał dwa i trzy razy tyle ziemi, niżeli pareset rodzin mieszkających tuż obok niego. A między temi rodzinami jest nawet niemało takich, które ani ka- • wałka ziemi nie mają. No, ale takich zastarzałych nadużyć paliatywami nikt nie wyrówna. Trzeba z tem mieć cierpliwość i naprzód umysły usposobić do tego, bo tu, jak widzę, nawet i tego jeszcze brakuje. A jak się swojego czasu ziemia unarodowi, to wszystko to będzie wyglądało inaczej ... ®

Fujara patrzył na niego coraz szerzej się rozwierają- cemi oczyma — a teraz spytał:

— A co pan nazywasz unarodowieniem ziemi?

— Unarodowienie ziemi, — odpowiedział mu sucho młodzieniec, — każdy to przecież powinien wiedzieć, jest to równy podział ziemi pomiędzy wszystkich ludzi żyjących.

— Pff! — dmuchnął przed siebie Fujara, — a cóż zrobicie ze szlachtą?

— Jaka szlachta? — zapytał Balcer, — ja nie znam szlachty, znam tylko właścicieli większych i mniejszych. Otóż ta szlachta, jak ich pan nazywasz, jeszcze nam podział ziemi ułatwi, bo nim przyjdzie do tego, ona swą własność tak mocno zadłuży, że na niej będzie siedzieć tylko burżoazyja ze swemi kapitałami, te kapitały się zdmuchnie z hipotek — i ziemia zostanie się wolną do równego podziału.

— Pff! — rzecze Fujara — i szlachtę i burżoazyję w łeb za jednym zamachem ! Jest w tem przynajmniej postęp, widać że nie stoicie na miejscu. Szkoda że przedtem nie wiedział, bo byłbym sobie nie zadawał tak wiele pracy, ażeby się wasi chłopci nie podzielili tymczasem waszemi lasami i pastwiskami — a mieli oni do tego niemało ochoty.

— To dobrze, za to mój ojciec panu podziękuje. Ale że tutaj tak wszystko zniszczone, to źle. Gdybym przynaj* mniej mógł wiedzieć dokładnie, ile kosztowała każda gałąź produkcji i jakie z każdej gałęzi były dochody, bo inaczej nie będę mógł ułożyć projektu uprawy roli na przyszłość. Dlatego też prosiłem pana, abyś przyjechał, a teraz pro szę, abyś mi złożył rachunki.

— Jakie rachunki?— zawołał Fujara, — tutaj nie było żadnych rachunków. Jeszcze tegoby mi brakowało, żebym był prowadził rachunki! A czy-to ja jestem waszym rachmistrzem, he? Co ekonom zebrał dochodów, tom wam zawsze odsyłał co do grosza, nic nie zatrzymując dla siebie, na to daję słowo honoru; czegoż pan chcesz jeszcze odemnie? bo mnie to już nudzić zaczyna.

— Ale proszę pana, przecież prowadząc gospodarstwo, musiałeś pan xiążki prowadzić, przynajmniej xiążkę dochodów i xiążkę wydatków: ja chcę widzieć te xiążki.

— Co za xiążki? jakie xiążki? tu nigdy żadnych xią- żek nie było! — powtarzał Fujara a niecierpliwiać się coraz więcej, * dodał na końcu, — zresztą przyznam się panu, że bardzo mi się pan nie podobasz. Ja przez lat dziesięć pracowałem dla was za darmo, nietylko żem nigdy nic nie wziął, ale jeszcze nieraz dokładał, zwłaszcza jak- trzeba było wysyłać pieniądze, nawet i narażałem się dla was, bo przecież każdy wić, jak to było... a pan mnie za to wszystko jeszcze nudzisz xiążkami!

— To wszystko dobrze, — rzecze mu Balc^, — lecz w takim razie dlaczegóż pan się podejmowałeś admi- stracyi ?

Lecz na to Fujara wpadł w gniew okrutny i zawołał :

— A niechże pana jasny piorun trzaśnie! Ja za nich haruję — a ten mnie... Pozwij-że mnie pan jeszcze do sądu! Bądź pan zdrow — i bądź pewny, że moja noga więcej tu nie postanie!

A to rzekłszy, wsiadł zaraz na wózek i odjechał.

I kazał jechać co konie wyciągną, bo pilno mu było widzieć jaknajprędzej Zaklikę.

Jakoż przyjechawszy, wpadł do jego pokoju zziąjany i zasapany i opowiedział mu wszystko za jednym oddechem. A kiedy się wyfukał, dodał spokojniej:

— Otóż-to taki ten mały Balcerek! Takiego .synka sobie wychował przyjaciel nasz Balcer. Już-to i ojciec także, pomiędzy nami mówiąc, zawsze mi był podejrzany: nie wierzy w Boga a kiedy tylko mógł, to zawsze szlachcie

jakaś łatkę przyczepił; ale ten jego synek to jakiś demagog całkiem nowego gatunku. Gdzietam Kańskiemu do niego! ani wody zanim wozić-by [nie mógł. Kański wszystkie dawne grzechy wali na szlachtę a jej dzisiejszym potomkom zaleca, ażeby zapomnieli swych herbów i aby się zamienili w parobków pracy, "ale ten! całej szlachcie i bur-żoazyi w łeb za jednym zamachem, kapitały skasować, wsie zabrać i grunta podzielić pomiędzy chłopów. Coś ja już dawniej słyszałem o takich teoryach, ale-żeby tak. zaraz brutalnie...

— Wychowywał się w Genewie, — rzekł na to Zaklika, — zapewne jest socjalistą.

— Już ja tam nie wiem, jak oni się nazywają, — dodał Fujara, — na szczęście jest ich niewiele, więc jak się ruszą, będzie można ich wybić do nogi.

— Jest ich daleko więcej, niżeli ci się wydaje, — zakończył Zaklika. •

Ale Fujara znów zaczął: »

— Albo i ta panienska, co anatomii się uczy i nawet męskie trupy kraje własnymi rękami. Wiesz! gdyby mi przyszło obok niej siedzieć przy stole, to¹ nie potrafiłbym przełknąć ani jednego kęsa.

— Dziwi mnie trochę, — rzekł na to Zaklika, — że Balcer ją oddał na medycynę, bo to bardzo ładna dziewczyna. Widziałem ją przeszłego roku w Genewie i byłem zdziwiony jej urodą. Ale co do krajania trupów, to powiedz sam, czy czasem kobieta, choć nie jest doktorem, nie kraje żywcem mężczyznę, i słyszy jego jęki, i widzi go wijącego się z bólu — a przecie niema nad nim litości.

— A to prawda! — zawołał śmiejąc się Fujara, "— fen sais guelgue chose.

VI. ■

Te lat piętnaście przeżył Zaklika bardzo spokojnie a nawet bardzo szczęśliwie.

. Żył on prawie w zupełnym odosobnieniu, nie brał udziału w niczem, coby z jakiegokolwiek tytułu mogło się nazywać sprawą publiczną, nie miał nawet przed sobą żadnego obszerniejszego programu: ale się zaprzęgał do pracy — a praca jest nieustającym programem wszystkich epok i czasów.

Jeżeli człowiek nie może sam stać się całością, powiada jeden z głębiej myślących poetów, to powinien się stać pożytecznym człowiekiem jakiejś już istniejącej całości: tę -myśl przyjął Zaklika za swoją zasadę i będąc troskliwym ojcem swych dzieci, zajął się z całą energią i wytrwałością utrzymaniem swego kawałka ziemi, podniesieniem jego . wartości i równie troskliwą opieką nad tymi ludźmi, którzy go otaczali i byli mniej albo więcej od niego zawiśli.

Był on w młodszych swych latach całym romantykiem i może cokolwiek idealistą, —jego ideały utopiły się w krwi . i uniosły się w tak odległą krainę ducha, że nie można ich^ było dojrzeć trzeźwym okiem śmiertelnego człowieka; nie ^fporzucił ich przeto, bo nie zaparł się wiary, że kiedyś, chociaż może w odmiennej postaci, jeszcze napowrót zstąpią na ziemię: ale był zdania, że każde dzieło ludzkie może się stać ideałem, jeżeli je człowiek swoim rozumem i pracą podniesie do najwyższej doskonałości.

Jakoż pod przewodem tej myśli starał się podnieść swoje gospodarstwo do ideału.

Może nie całkiem mu się to udało, bo powodzenie . gospodarstw rolnych, które od owych czasów stały się

przedsiębiorstwami przemysłowymi, zależy częstokroć od przypadkowych wydarzeń i okoliczności ogólnego znaczenia, które gospodarz rzadko może naprzód przewidzieć a na które nigdy nie może wywrzeć swojego wpływu; ale robił, co mógł, aby się przynajmniej do doskonałości przybliżyć.

Gospodarstwo rolne jest przedsiębiorstwem czysto materialnej natury, ale jak każde dzieło przez człowieka stworzone i prowadzone, — tylko materialści tego nie widzą, — ma ono w sobie część jego duszy a przeto ma także swoją stronę moralną: Zaklika przy więzywał wielkie znaczenie do tej strony moralnej i pielęgnował ją bardzo starannie.

Tak przedewszystkiem ludzie u niego musieli się oby- czajnie prowadzić i pracować sumiennie, ale za to byli zawsze okryci i syci i musiało im się dobrze powodzić, choćby to miało jego dozorcom przynosić jaki uszczerbek. Tak samo obchodził się także ze zwierzętami: konie, bydło rogate, wszelaki drobiazg i ptactwo domowe, wszystko to było doskonale żywione i pielęgnowane, koni i wołów nigdy nie przeciążano pracą i zawsze dawano im wypoczynek. Bardzo to chwalił poczciwy felczer — i już z tego jednego względu miał dla swojego pana niespożyty szacunek.

Nawet drzewa, krzewy i kwiaty żywiono i szanowano; Zaklika rzadko pozwolił co ściąć albo wyrwać i mawiał do ogrodnika: — Przesadź lub przenieś, lecz nie niszcz, bo i to przecież jest Boże stworzenie.

Zaklika co roku w zimie wyjeżdżał do Wiednia, naprzód ażeby dzieci odwiedzić, a potem dlatego, że tam, jak powiadano, miał kapitały ulokowane, które odziedziczył po jenerale. Z Wiednia robił dalsze wycieczki do Niemiec albo do Francji, oglądał fabryki i gospodarstwa! — i zawsze

coś przywiózł ze sobą: jakąś maszynę albo narzędzie — a książek zawsze cały kuferek.

Bywając w towarzystwach w Krakowie, w Wiedniu, w Paryżu, niejednokrotnie zdarzyło mu się poznać jakąś pannę lub wdowę, która go mocno zajęła. Był w sile wieku, wykwiśniętego wychowania, znał wiele języków, ukształconym głosem górował wielu kawalerów mających powodzenie u kobiet, toż i on się nieraz podobał i była wielka pokusa; ale - zawsze ją w sobie utłumił, mówiąc do siebie: — Nie powinienem po raz wtóry się żenić, mam obowiązki dla dzieci.

W domu prowadził życie bardzo spokojne. I gościa¹ chętnie przyjął u siebie i sam wyjechał w sąsiedztwo, często nawet pobiegł na kilka dni do Warszawy; ale najlepiej⁴ sobie podobał u siebie w domu. Tu miał nieustające a miłe sobie zajęcia, tu widział owoce swej pracy: dobra Zakli- kowskie były zagospodarowane i uporządkowane jak ogród a dochody z nich tak się podniosły, że już wyrównywały dochodom z dóbr Żmudzkich, co go niezmiernie cieszyło, bo jego dzieci mogły się nimi podzielić według własnego wyboru, nie czyniąc krzywdy jedno drugiemu.

Tutaj miał swoje konie, któremi się z zamiłowaniem zajmował, bardzo starannie je pielęgnował, niektóre z nich * sam ujeżdżał, czasem na wystawy wysyłał *i otrzymywał nagrody.

Tutaj miał wreszcie swoich wiernych i najlepszych[^] przyjaciół.

Przez lat piętnaście wszyscy trochę się postarzel, ale nie bardzo, bo wszyscy się dobrze trzymali.

On sam był zdrow jak ryba i nie miał jeszcze ani jednego siwego włosa, ani na głowie, ani w brodzie.

Prandocie posiwiła jego gęsta czupryna, która mu stała jak szczotka na głowie, ale był rzeźwy a jego oczy były zawsze pełne tego głębokiego blasku, który zdradzał w nim myślącego człowieka.

Kańskiemu wąż także mocno posiwił, zwłaszcza od czasu, kiedy mu jego Niemka umarła, nie zostawiwszy mu żadnego potomstwa.

Felczer całkiem pobierał, niemniej przeto był zawsze rumiany i wesół, ale z cicha pęk, jak to było w jego temperamencie.

Przezacny Fryga, co niegdyś służył w czwartym lini- jowym, już teraz siedmdziesiątkę przekroczył i wyglądał już wcale jak dziadek kościelny, ale był także jeszcze dość czerstwy i pilnował jak dawniej grobowej kaplicy; nie zaniedbując jednak także i gospody.

Do nich od kilku lat przybył jeszcze i Nurek. Nurka Zaklika, spełniając wolę generała, wyprawił był z swoim synem do Krakowa, nie tyle aby mu służył, ile aby się razem z nim uczył. Ale chociaż to chłopiec był cichy i skromny, dumna była w nim dusza: nie podobała mu się ta sytuacja nie całkiem jasna, w której nie wiedział, czy jest kolegą, czy sługą, jakoż po pierwszych wakacjach się z niej wyprosił i poszedł do siodlarskiego warsztatu, aby się nauczył tego rzemiosła, do którego miał zdawna upodobanie. Wyzwoliwszy się, odbył kilkoletnią wędrowną po Śląsku i Niemczech — a teraz był już nadwornym siodlarzem w Zaklikowie. Był to chłopak przystojny, z dużymi niebieskimi, zawsze zamysłonemi oczyma, ale nigdy nie bywał smutnym; był niby majstrem, ale uważał siebie za prostego robotnika i jeśli nie miał przed sobą fartucha, to chodził w chłopskim białym sieraczką i butach wysokich. Zaklika

bardzo go lubił, bo nietylko znał doskonale ..swoje rzemiosło, ale miał także rozum, wiedział o wszystkim, co się działo we dworze a nigdy się nie zajmował plotkami, wszakże natomiast często, nawet o rzeczach nie należących do jego rzemiosła, zrobił taką uwagę, która nikomu innemu na myśl nie przyszła. Dlatego nietylko pełno go było po wszystkich kątach folwarku, ale często go także widywano w pałacu, rozmawiającego z panem,, z Xiędzem Prandotą albo ze służącymi.

A Fujara już także posiwiiał, ale zresztą się w niczem nie zmienił. Kobietom dał pokój na wieczne czasy; był dla nich grzeczny, ale zdaleka, bo to niebezpieczne stworzenia: * jak dobrze powiedział Zaklika, wszystkie krają człowieka żywcem a niektóre z nich jeszcze go krają po śmierci. Siedział sobie w swoich dwóch pokoikach jak u Boga za drzwiami i bawił się obserwacją. Wieczorami te obserwa- cye spisywał, ale zawsze, co wieczór napisał, to podarł nazajutrz rano, mówiąc sobie, że wczoraj jakoś mu riie szło. Rysowanie portretów porzucił, bo nikt ich nie chciał poznawać; ci ludzie na wsi się na malarstwie nie znają: miał przecie u siebie sześć portretów jenerała zrobionych przez siebie a kiedy je jakiemu szlachcicowi pokazał, to szlachcic mu powiedział: to zdaje się być Ghłopicki, to oczywiście Kleber a to mógłby być Małachowski — a żaden jenerała nie poznał. Grywał na gitarze i na wiolonczeli, ale dla siebie: niech sobie tam jaka małpa rozumie, że to Ala niej, tylko niech mnie tego nie gada. Natomiast wszakże często wyjeżdżał, albowiem teraz, gdzie nie miał w domu tyle zajęcia, jak za jenerała, trudnił się daleko więcej wyszukiwaniem dzieł sztuki i starożytności, które skupował. 'Jak takich gratów kilka pak nagromadził, to wyjeżdżał z niemi

.do Wiednia, do Kolonii albo i do Paryża i ofiarował je tamtejszym lubownikom i znawcom. Najczęściej znawcy, rzuciwszy okiem na jakąś malaturę albo na starą ramę drewnianą, śmiali się z niego, mówiąc: Lepiejbyś pan był zrobił, gdybyś to był przed wyjazdem rzucił do pieca, byłbyś przynajmniej frachtu nie płacił. Ale czasem mu się udało i zarobił piękną sumkę pieniędzy: wtedy wchodził w najlepsze towarzystwa, głowę nosił wysoko, grał w karty i bawił się, jak człowiekowi jego urodzenia przystało. Jednak pomimo takich powodzeń zawsze powracał do domu goły, jak święty turecki. Czasem zdarzało mu się nawet jak owej pompie klucznicy, że jeszcze w drodze wszystkim dech ze siebie wybrykał i ugrzął w jakimś miasteczku: wtedy pisał list czuły do Zakliki, opisując mu swoją mez- awanturę i prosząc, aby mu przysłał mały awansik na jego małą pensyjkę. Zaklika mu zawsze posyłała, bo wprawdzie niewiele miał dla niego estymy, ale go lubił, bo wiedział, jak szczerze był przywiązany do niego. I w tym się nie mylił, bo u Fujary" Zaklika szedł zaraz po Panu Bogu, nawet z pominięciem Świętych pańskich, chociaż i dla nich, jako dobry katolik, był pełen czci i dewocji.

Tak tedy wszystko bardzo szczęśliwie się wiodło Zaklice: ale dopiero teraz za swoją piętnasto-letnią pracę miał właściwą otrzymać nagrodę, bo właśnie teraz miały jego dzieci powrócić do niego.

Genia, skończywszy nauki w Wiedniu, bawiła prawie przez cały rok u swojej ciotecznej babki w Krakowie i weszła tam w towarzystwo. Konkurentów miała kilku, ale żaden z nich jej się nie podobał. Szła ona od kanclerzów koronnych i wojewodów po ojcu a od hrabiów inflanckich po matce, miała do tego majątek, nosiła się zatem wy-

soko — i nie pozwoliła lada komu bliżej do siebie przystąpić. Babka chciała kuzynkę zatrzymać u siebie, do końca wiosny, ale ojciec się temu sprzeciwił i kazał jej z końcem wielkiego postu przyjechać do siebie, mówiąc: że o takiej pannie przecie cały kraj będzie wiedzieć — a na wsi łatwiej pozbyć się niemiłych konkurentów, niż w mieście.

Ignasz, który już od ostatnich wakacyi nie chodził na Itursa i bawił tylko w Paryżu dla słuchania prywatnie rozmaitych wykładów, skorzystał 7. tego, przepędził jeszcze karnawał w stolicy Francyi, z początkiem postu pojechał do Krakowa a na Wielkanoc sam przywiózł siostrę do ojca.

Zaklika już od Nowego roku kazał pałac • odnawiać wewnątrz i zewnątrz i sam urządził apartamenty dla dzieci: dla córki całe prawe skrzydło pierwszego piętra, wychodzące na ogrody, dla syna kilka pokoi w skrzydle lewem tegoż samego piętra — a wszystkie salony w przyziemiach kazał odświeżyć i wyłocić dla przyjmowania gości. Cieszył się bardzo tem zatrudnieniem, bo przecie to robił dla swoich dzieci; ale na kilka dni przed ich przyjazdem był usposobiony melancholicznie i rzekł do Prandoty:

— Czekam ich przybycia z wielką niecierpliwością i jestem pewny, że ich pobyt przy mnie przyniesie mi wielkie uszczęśliwienie, ale przecie nie mogę tego zataić przed sobą, że nasze ciche, spokojne życie, któregośmy zażywali przez lat piętnaśwe już się skończyło — a teraz się co& zaczyna, czego nikt naprzód nie potrafi określić. Mieniamy coś} co znamy, na coś, czego nie znamy— a taka zamiana zawsze niepokoí człowieka..

—* Jużci niemasz wątpienia — powiedział mu na to- Prandota, — że odtąd wszystko się koło nas- odmieni. Będzie tutaj turkotu i harmideru niemało, daleko więcej ni

żeli ich było za panowania Francuzek: ale ja tak rozumiem, że to długo nie potrwa. Genia znajdzie sobie pewnie pana młodego przed zimą, w najgorszym razie znajdzie go w zimie w Warszawie — a Ignasia jabym tu trzymał tylko przez lato, aby się gospodarstwu przypatrzył, a potembym go wysłał na Żmudź. Tamtejsze dobra mogą dwa razy tyle przynosić, niech panicz się weźmie do pracy i niech też sobie własnymi rękami majątku przyriińczy.

r- Jeżeli zechce, — odpowiedział mu ojciec. Według naszych dawnych zwyczajów powinienby wziąć Zaklików, ażeby majątek ten został aię w naszym imieniu, ale ja do takich rzeczy nie przywiązuję żadnego znaczenia. Kwestyą żywotną jest dla nas, ażeby ta zierpia w całości została w ręku Polaków, ale czy na tej lub owej wiosce siedzi Piotr albo Paweł, na tem nic nie zależy. Tożbym* ja nie miał nic przeciw temu, ażeby on poszedł na Żmudź, ale czy zechce?

Tak ten najpocziwszy ojciec, w chwili oczekiwania największej radości, zaczął już uczuwać pewne obawy. Ale jest to rzecz ludzka: albowiem są pewne uczucia, które żyją w nas z nawyknięcia i mimo naszej wiedzy na nas działają; dopiero rozum i wola mogą je w razie potrzeby utłumić.

Przyszedł nareszcie ten dzień upragniony: wielka radość w pałacu i po wszystkich folwarkach! Ojciec nie mógł się napatrzeć swym dzieciom, tak pięknie się przedstawiały i tak mu je wszyscy chwalili. Nawet Prandota i Kański, ludzie rozważni i chłodni, oddawali im niekłamane pochwały — a Fujara był w uniesieniu.

Ignas był słuszny wzrostem, nawet troszeczkę słu- ; * 10*

szniejszy od ojca, nieregularnych rysów twarzy, lecz bardzo pięknych oczu i niezmiernie łagodnego wejrzenia, twarz jego, cery jeszcze młodzieńczej i ozdobiona pięknym czarnym wąsikiem i bródką, nic nie mówiła, jednakże przytem zbudowany był jak Apollo a siła i zdrowie z jego całej postaci tryskały. Mimo to wszakże nie widać było w nim żywości młodzieńczej, zdawał się mieć temperament nadzwyczajnie spokojny, rozumiał wszystko, rozmawiał przyzwoicie o wszystkim, nawet i dysputował, ale do wszystkiego zawsze się obojętnie uśmiechał, mówił, jakby z przymusu i nigdy się nie unosił.

Genia była podobniejszą do ojca. Miernego wzrostu i delikatnej budowy, blondynka z niebieskimi oczyma, była # to ładna panienska, pełna gracy i pewnej dystynkcyi, ale zresztą zamknięta w sobie. Nie miała ona także wesołości Właściwej młodym dziewczętom, zdawała się niby. być zamyśloną, ale nigdy nie powiedziała, co ją zajmuje, natomiast często igrał jakiś enigmatyczny uśmiech na jej twarzy, a czasem zrobiła jakąś uwagę, którą można było sobie jaknajrozsmaiciej tłumaczyć.

Minęła Wielkanoc w kole rodzinnem a potem jeszcze dwa tygodnie w pałacowem zamknięciu, bo czas był zimny i słotny, " nie wyjeżdżano nigdzie i nikt nie przyjechał; ojciec dużo rozmawiał z dziećmi, zdawało mu się, że były bardzo przywiązane- do niego: ale było to wszystko, czego się od nich dowiedział. Jakie były ich przekonania, jakie ^ uczucia, nawet jakie temperamenty,* o tem nie powziął żadnego wyobrażenia, jak to zresztą się zdarza zazwyczaj, kiedy dzieci się wychowały po za domem rodzinnym i już dorosłe wróciły: każdy inny człowiek pozna pierwej ich charakter, niż ojciec. On byłby tak chętnie otworzył swoje

serce przed niemi, wszystkie swoje myśli im oddał i zlał się z niemi zupełnie — a miał to uczucie, że są mu jak gdyby obce.

Zniecierpliwiło go to nareszcie, otworzył się z tem przed Prandotą i pytał go, co on o nich rozumie.

—: ^Poznałeś już dokładnie Igpasia,. bo widzę, że często z nim rozmawiasz, powiedzże mi otwarcie, cóż w nim znalazł ?

- — Nic, — odpowiedział mu trochę pochmurnie Prandota, — grzebię w nim i grzebię, ale niczem się nie do- grzebał: puszca piaszczysta, na której ani jedno zielone drzewko nie rośnie.

— Ale przecie dużo ma wiadomości?

— Ma, ale jakie-to wiadomości! To, co on wiś, to są rezultaty nauk przyrodniczych, historycznych i filozoficznych, do których przyszedł bez własnej pracy. Wziął rzeczy gotowe z podręczników, z prelekcji i z konwersacji, ale w sobie ich nie wyrobił. Go mu się podobało, to przyjął bez własnego rozmysłu, a co do niego nie przemówiło, to bez krytyki odrzucił.

Wiadomości tej dzisiejszej młodzieży są jak te rzeźby mechanicznie odlane lub wyciśnięte, na oko to piękne, ale niema żadnej artystycznej wartości, bo to nie Benvenuto Gellini, co swoje dzieło sam skoncypował i własną ręką wyrzeźbił. Każdy z nich jest mechanicznie stworzoną jednostką, ale bez indywidualnych cech charakteru.

— To źle — powiedział na to Zaklika, — bo taki człowiek nauczył się dosyć, aby być zarozumiałym a wcale nie dosyć, aby być pożytecznym. Go gorsza, taki człowiek już nawet niczego się nie nauczy, bo jakże tu wrócić do

początku, kiedy się zaczęło -od końca? — A jakże tam in puncto puncti?

— In puncto patryotyzmu? — zapytał Prandota, — patryotyzmu tam ani śladu. To są dziadowskie przesady, przestarzałe idee, niezmiernie ciasne pojęcia: kto się tam dzisiaj takimi zaściankowymi interesami zajmuje? Zgołą człowiek drewniany pod każdym względem. Nawet Fajara nie może się jemu nadziwić. Powiadał mi właśnie: Co to taki młodzieniec, zdrow, silny, przystojny, z imieniem i z takim majątkiem, za moich czasów taki panicz byłby już cały pałac do góry nogami przewrócił!

Ale najlepiej scharakteryzował go Nurek: Bo widzi jegomość, powiadał mi wczoraj, on już był taki za młodu; gdyby się kościół Mafyacki koło niego zawalił, to on-by spojrzął, uśmiechnął-by się i poszedł-by dalej.

— Bo tam dusza jeszcze śpi, — zauważył ojciec, — pomału się zbudzi'.

— Ale do czego się zbudzi?

— Uważałem, — rzecze Zaklika, — że codzień zagląda do stajni a nawet wcale dobrze siedzi na koniu.* Powiadał mi wprawdzie, że gdyby był bogatym, to chowałby konie angielskie i biegałby po wyścigach. Ja wyścigi, które teraz już się stały po prostu czworonożną ruletą, stanowczo potępiam, ale niechby tam wreszcie! byle się czemś zajął i duszę-w sobie rozbudził. .. A jakże znalazłeś Genię ?

— A! to całkiem* co innego, — zawołał Prandota. Tam są zasady. Ona ma religijne uczucia, jest bardzo nabożna, była nawet już u spowiedzi, to jej potrzeba pochwalić.

— Ale czy szczerze nabożna? — zapytał ojciec, —

czy to nie bigoterja! Bo bigoterja tak się ma do nabożności, jak skąpstwo do oszczędności — a w tem jest wielka różnica.

•• - «

— A choćby nawet nieszczerze! — rzekł na to Prandota, — to zawsze dobrze, bo nawet z powierzchownej nabożności wynikają dwa skutki pomyślne: naprzód, człowiek nabożny także we wszystkim innym zachowuje się przyzwoicie a potem, nabożność jest zawsze nicią przewodnią do pobożnych uczynków.

— Cóż tam znalazłeś więcej?

— Jest tam i patriotyzm, pojęty wprawdzie trochę na sposób krakowski: naprzód katedra na Wawelu i Sukiennice, zaraz potem pałac Spiski i Łobzowska szkoła kadetów, dalej rayon krakowski a wreszcie, dawnych sześć obwodów zachodniej Galicji, to patrimonium. Jeżdżą wprawdzie stamtąd na dwa sejmy zagraniczne, do Wiednia i do Lwowa, ale te kraje to są annexy, właśnie jak Bośnia i Hercegowina: okupacja przeprowadzona, assimilacja jest w toku, ale na zupełne wcielenie jeszcze czekać potrzeba. Słyszą ,tam także coś o Warszawie i o Kudaku*, ale to kozaczyzna...

Zaklika uśmiechnął się na to, zamyślił się trochę a potem rzekł:

*—r Dlaczegoż sobie głowę nad tem łamać napróżno! Jak dobrze powiedziałeś mi kiedyś: czas wychowuje ludzi a nie^rodzice i profesorowie. Tyś się wychował w Rzymie, ja w Petersburgu — a mimo to wyszliśmy obydw^a jak gdyby z jednej formy wylani. Ci wyszli także z jednej formy, rtylko że my jej jeszcze nie znamy. Ale niebawem otrzymamy ich trochę o ludzi, więc obaczmy...

Jak tylko trochę podeschło i wiosna się zaczęła zielenić, Zaklika zabrał się do oddawania wizyt ze swemi dziećmi bliższym i dalszym sąsiadom, bo wypadło mu dom swój otworzyć i zniewolić także sąsiadki, ażeby u jego córki bywały, — pierwszą zaś wizytę postanowił zrobić na Bal- cerówce, gdzie Balcer sam już mieszkał od lat czterech i dokąd także właśnie przed kilku tygodniami swoją córkę sprowadził.

Ignas był kontent i ofiarował zaraz Fajarze, miejsce obok siebie na swoim wózku, którym sam powoził. Fajara Balcerów niecierpiał, bo swoją niewdzięcznością obrazili go do żywego, a siedzenie na koźle obok Zakliki, chociaż to * były całkiem inne konie i inny Zaklika, wywoływało w nim niebardzo przyjemne wspomnienia; ale przyjął bez opo- zycji. Jednakże Genia skreśliła noskiem na tę zapowiedź, mówiąc przez ząbki, że nie wie, co to za ludzie, nawet i nie słyszała nigdy takiego nazwiska. Ale ojciec powiedział jej sucho:

— Ja się nigdy nie pytam człowieka, kto jego rodzi, tylko czem jest i co jest wart. Otóż Balcer jest to człowiek ukształcony, ma niezawisłe stanowisko, pracuje na swojej roli tak samo jak ja, jest mi przyjacielem od lat niepamiętnych a do tego mieszka od nas najbliżej, więc jemu się pierwsze odwiedziny należą. Miałby mi za złe, i słusznie, gdybym komu innemu pierwszej moje dzieci przedsta- wił, niż jemu. Zresztą, ażeby uspokoić twoje delikatne su- / mienie, — dodał z uśmiechem, — to ci powiem, że Balcer jest taki sam szlachcic, jak my. Pieczętuje się herbem Pilawa. Niesiecki pisze o nich pod Herburtami, pokażę ci to, jak powrócimy do domu. Jest oprócz tego przez Her- burtów spowinowacony z Firlejami, bardzo to dawno, ale

to przecież tem lepiej, pani Firlejowa jest z domu Tarłówna a Tarłowie i Zaklikowie c'est la meme souche. Et, main- tenant, etc-vous rassure?

— Mais non, mais non, je ne Vai demande que par couriosite, — zawołała Genia śmiejąc się, pocałowała ojca w ramię — i pojechali..

*

* *

Zaklika już dawniej dość często bywał u Balcera i znał Balcerówkę.

Wioska ta wyglądała teraz całkiem inaczej, jak za czasów Fujary. Balcer zwałił już dawno stare dworzysko a postawił na jego miejscu dwór nowy w stylu kolejowym, z pruskiego muru a więc bardzo tanio, ale dość kształtnie, z werandą od wjazdu i z rozmaitemi krużgankami z boków i z tyłu. Fujara drwił sobie z takiego dworu i mówił: — Postawił dworzec kolejowy a niema kolei, pytam się, czy jest w tem sens jaki ? Kiedy tam jestem, to ciągle słucham, rychło świśnie lokomotywa — a tam tylko wiatr świszczę po wszystkich pokojach, bo wszystkie stare drzewa pościnał. I prawda, Balcer wszystkie pradziadowskie orzechy, kasztany, dęby i lipy powycinał i posprzedawał a w koło domu pozakładał ogrody, ale tylko warzywne i owocowe, bo tylko te Sochód przynoszą. Na całym dworskim obejściu nie można było dostrzedz ani jednego kwiatu, choćby na zaproszenie oka. Naprzeciw dworu, w głębi wielkiego dziedzińca, stały gospodarskie budynki, także bardzo obszerne, ale równie lekkiej budowy, a nad nimi sterczały wązkie i wysokie, żelazne kominy, bo tam stały maszyny parowe, któ- remi Balcer obracał młócznie, siewkarnie, młyn, tartak a nawet podobno jakieś cegły tam robił. Bydło i konie wy

glądały dość dobrze u niego, ale miał tego niewiele, a ich pożywienie było tak ściśle obliczone na wagę i miarę i matematycznie zastosowane do wartości ich produkcji i pracy, że żadne zwierze nie dostało ani jednego funta pokarmu więcej, niżeli go mogło opłacić swym życiem. Tak samo obchodził się także z swoimi ludźmi i ziemią: żaden człowiek nie dostał kawałka chleba, którego by sownie nie opłacił swym potem — a z ziemi wydobywano żelazem i ogniem ostatnie jej soki, jeżeli je tylko można było na pieniądź zamienić, i bez żadnego względu na to, jak ta ziemia będzie wyglądać po takich konwulsjach. To też wieś jego wyglądała jak gdyby jaka kopalnia: zieleniły się wprawdzie tu i ówdzie łąki i pola, ale były wszędzie poprzerzynane albo wysokimi nasypami powyrzucanych z ich wnętrza kamieni i calców, albo nagiemi bokami poobdzieranych pagórków, z których powybierano kamień, wapno, margiel lub glinę, albo co się tam w nich znalazło.

Zaklika znał to gospodarstwo, ale go nie pochwalał i mówił o niem: To jest warsztat mechaniki i chemii, który może wyżywić ciało człowieka, ale jego dusza umiera tutaj z pragnienia i głodu.

Kiedy Zaklikowie zajechali przed ten dwór kolejowy, J;o zastali starego Balcera siedzącego na frontowej werandzie. .

Siedział w wysokim fotelu na kółkach i miał nogi nakryte kołdrą wełnianą. Wyglądał bardzo źle Wprawdzie od lat piętnastu więcej się zestarzał, niż wszyscy inni, mocno posiwiał a faworyty całkiem mu pobieleły, ale teraz twarz mu zupełnie pożółkła, policzki zapadły, usta zbieleły, tylko w jego dużych niebieskich oczach, gęstymi brwiami nakrytych, tlało jeszcze cokolwiek dawnej energii i życia.

Zresztą wejrzenie hipokratyczne'a postać zupełnie szpitalna.

Obok niego, w drugim fotelu, siedział mężczyzna w wojskowym ubraniu. Kiedy wstał na widok zajeżdżających gości, widać było, że był to człowiek średniego wieku, wysoki, barczysty, miał twarz rysów szlachejnych i inteligentnych, był pełen powagi w postawie i ruchach i nosił na sobie mundur pólkownika od artylerji.

Zaklika przedstawił Balcerowi swe dzieci, Balcer je- przyjął bardzo uprzejmie i mówił, że zaraz je zapozna ze swemi dziećmi i spodziewa się, że będą prawie w równym wieku, tak samo jak ich ojcowie, będą żyły ze sobą w przyjaźni. A to mówiąc, posłał zaraz służącego po swego syna.

Tymczasem zaś prezentował Zaklice swojego gościa, powiadając mu, że jest to Baron Baltzer von Baltzheim, jego dawny przyjaciel, który stoi załogą w pobliskim mieście i z łaski swojej czasem go odwiedza.

Zaklika przemówił do pólkownika językiem rossyjskim i powiedział mu, że także służył za młodu, poczem pólko - wnik był z wielkim respektem dla niego, bo się okazało, że gdyby Zaklika dotąd był służył, to byłby go rangą przewyższył.

Balcer dodał d/? tego, że pólkownik jest bardzo uczonym człowiekiem, jak wszyscy artylerzyści, i tor ich wiąże ze sobą, ale by^ może, że jest także jakieś powinowactwo pomiędzy nimi, chociaż odmiennie piszą swoje nazwiska, bo pólkownik jest* Kurlandczykiem a jego rodzina także pochodzi z Kurlandji. Pokazuje się nawet, że ich przodkowie tym samym pieczętowali się herbem: może coś o tem będzie wiedział Fujara, bo nikt się lepiej nie *zna na herbach od niego.

W tej chwili wbiegł nrlody Balcerek, który był pracą zajęty na piąterku znajdującem się nad werandą, bo tam miał swoje chemiczne laboratorium, powitał gości bardzo wymownie i poprowadził zaraz Ignasia i Genię do siostry. Balcerek dotąd zmęźniał cokolwiek, zapuścił czarną bródkę, z którą mu było bardzo do twarzy, miał zawsze swoją chmurę zamyślenia na czole, ale teraz się uprzejmie uśmiechał, mówił po francusku płynnie i łatwo, Ignaś i Genia byli zatem radzi takiego mieć przewodnika.

Zaklika został jeszcze na chwilę na werandzie, bo właśnie Fujara miał im coś powiedzieć o herbach kur-landzkich. Ale Fujara towarzystwa z wojskowymi nie lu[^] bił, po rosyjsku nie umiał i ten pólkownik jakoś dziwnie mu się przypatrywał: dawne-to czasy, ale kto tam wiś? diabeł nie spi, — a tu to szpitalne wyglądanie Balcera bardzo go zaciekawiło, zdawało mu się nawet, jakoby już kreska szła na Matyska, jakoż się zwrócił do niego i rzekł, może nie bez pewnej satysfakcyi w swem wnętrzu:

— O herbach pogadamy potem. Ale powiedz-że mi, jak się masz? poobwijales się w koce i siedzisz na wózk, jak gdybyś się w jaką podróż wybierał.

A na to Balcer z nadzwyczajnym spokojem:

— Dobrze powiadasz, że się w podróż wybieram, bo ja mam raka w żołądku. Jeszcze przeszłego tygodnia miałem u siebie konsylium i nareszcie lekarze zdecydowali się, powiedzieć mi prawdę. Co-to za głupia rutyna tych esku-/łapów, taic przed chorym godzinę śmierci, jak gdyby też każdy nie wiedział, że raz musi umrzeć. Doktorowie dają mi jeszcze dwa albo trzy miesiące życia, ale ja także się znam na tem cokolwiek, jakoż jestem pewny, że najdalej za miesiąc będę miał dziesięć tysięcy robaków w wnętrzu

ściach a na mojem ciele zaczną wyrastać najrozmaitsze gąbki i grzybki.

Zaklika starał się go pocieszać — a Fujara dmuchnął przed siebie nie bez złośliwego uśmiechu i pomyślał sobie:

— Pff! Szczęśliwa droga: trudnoź się wyrokom Opatrzności sprzeciwiać. Jednak, co to za paskudny heretyk! Zawsze tylko jego ciało mu w głowie a nie myśli o tem, co z jego duszą się stanie. Otóż ja tóbie powiem, że twoja dusza będzie się smarzyć w kipiącej smole, chociażby tylko za twoją czarną niewdzięczność.

Tymczasem Zaklika kończąc swoje słowa pociechy, mówił do Balcera:

— Śmierć nie jest li tylko materyalnym wypadkiem, przecież oprócz robaków i grzybków jeszcze coś więcej po nas zostaje.

— Zostają przesady u naszych następców, — odpowiedział mu Balcer. Śmierć jest fizycznym faktem w naturze, po którym następuje transformacja materyi. Jest to proces chemiczny jak każdy inny a nawet daleko mniej zajmujący niżeli wiele innych, bo przecież są procesy bez porównania ważniejsze w naturze, są nawet tak wielkie, że los organizmów zwierzęcych w obec nich znika zupełnie, jak najdrobniejszy pyłek na puszczy. Byt organizmów zwierzęcych jest nawet faktem przeciwnym naturze, bo jest uwięzieniem materyi i poddaniem jej indywidualnej woli jakiegoś podrzędnego stworzenia a dopiero śmierć tę materję z więzów uwalnia i oddaje jej dawną swobodę. Ale człowiek ma głowę tak ciasną, iż sobie wyobraża, jakoby jego urodzenie i śmierć były największemi dziełami natury. Trudno z tem walczyć...

— Zapewne że trudno, — przerwał mu Zaklika, —

bo przecież życie człowieka jest także procesem chemicznym, w którym materya, składająca jego organizm fizyczny, ciągle się odnawia. Go kilka lat, teraz nawet utrzymują, że co kilka miesięcy, nie zostaje w człowieku ani jeden atom tej materyi, z której jego fizyczny organizm składał się przedtem — a więc on ciągle materyi oddaje tę swobodę,

O której mówisz, i nie potrzebuje na to czekać aż śmierci. Lecz podczas jego całego życia działa w nim inna siła, która oczywiście jest nie-materyalną, bo przecież parkuje materyi. Śmierć tedy przerywa ten proces skomplikowany, który nazywamy życiem, i rozpoczyna proces czysto-chemiczny, ale ten proces chemiczny dotyka tylko samej materyi a oczywiście nie może dotykać tej siły, która rządziła • materyą, bo ta siła była nie-materyalną i nie może podlegać rozkładom chemicznym. Ale dajmy pokój tej filozofii, — dodał z uśmiechem Zaklika, — ja jestem przekonany, że wyzdrowiejesz. Żołądkowe słabości trwają zazwyczaj długo, ale zazwyczaj się leczą...

— Inne się leczą, — odpowiedział Balcer, — ale nie rak, bo rak jest zboczeniem tworzenia się krwi. Ja zresztą jestem zupełnie oswojony z tą myślą a nawet już przygotowuję stypę dla moich przyjaciół. Spodziewam się, że 1 wy przyjedziecie, będzie na niej wino szampańskie, jakiego nie znajdziesz nawet na dworach królewskich, a jeżeli tylko będę mógł, to i ja będę na niej obecny. * .

— Na stypę po tobie przyjedziemy za lat trzydzieści, — rzekł na to Zaklika, — a tymczasem pozwól mi, abym poszedł do twojej córki.

I to mówiąc, puścił się do bawialnych pokojów. Fujara, nie chcąc zostać sam w towarzystwie żołnierza

i takiego heretyka, poszedł z nim razem a w. sieni rzekł do niego półgłosem:

— Go on gada, że sam będzie na swojej stypie? On wierzy w- duchy....

— Albo on wie, w co on wierzy, — odpowiedział mu Zaklika, — ci ludzie zatopili się w nauki przyrodnicze i po za nimi już nic więcej nie widzą. Jest to taka sama koło- wacizna, jak wiele innych, które już nieraz opętały ducha ludzkości, czasem nawet na kilka pokoleń, ale to mija, bo duch ludzki nigdy długo nie chodzi w pętach jednostronności a ludzkość także nie długo poprzestaje na samym chlebie.

— A ja ci powiadam, rzekł z przekonaniem Fujara, — że on w duchy wierzy. Oni się Pana Boga zaparli a z diabłem komitywy szukają, to wszystko masoni i spi- rytyści. Niech on tam sobie siedm razy umiera, ja nie pojedę ani na jego pogrzeb, ani na stypę.

Kiedy weszli do salonu, młodzież już się z sobą w najlepsze bawiła: grali na fortepianie, śpiewali i o mało że już w* taniec nie poszli.

Balcerek przedstawił swoją siostrę Zaklice.

Była-to panna rozwinięta już w całej pełni jak róża stulistna i takie sprawiała wrażenie. Więcej niżeli miernego wzrostu, była wysmukła, lecz miała formy okrągłe i pełne. Jej kibić wyniosła a zaokrąglona mogła służyć rzeźbiarzowi za model do posągtt Flory albo Gerery. Toż nawet nazywała się Flora. Rysy miała nadzwyczajnie regularne i piękne, cerę twarzy tej lśniącej a cokolwiek spalonej białości, co działa więcej na krew, niżeli na wyobraźnię, bo wyobraźnia już tam- nic dodać nie może; oczy czarne, szerokie,

otwarte i pełne owego czarującego blasku, który jak gdyby magnetycznie działa na nerwy i mimowoli rodzi pewien niepokój; włos bujny, czarny jak heban a miękki jak pęta, co zdaje się jakąś woń sympatyczną rozsiewać w powietrzu. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie, nie panny, ale młodzianki, lecz było to zapewne skutkiem tej pełni i dojrzałości jej wdzięków, albo jej oswojenia się, z tak realną nauką jak medycyna, bo w swej rozmowie i ruchach była pełną, tego dziewiczego uroku, którym przy całej swobodzie bycia tak ujmujący wpływ wywierają na mężczyzn panny wyższego towarzystwa i wychowania. Kto bardzo wprawne miał oko, ten może w jej formach towarzyskich byłby dostrzegł cokolwiek sztuki, ale i najwprawniejszy nie mógł być zupełnie pewnym swoich spostrzeżeń, bo są to tak delikatne odcienie, że na zupełnie pewne ich określenie potrzeba cokolwiek czasu. Zresztą, kto kiedy oznaczył dokładnie, gdzie u kobiety zaczyna się sztuka. Biorąc rzecz ściśle, natura kończy się na listku figowym a wszystko, co odtąd kobieta włożyła na siebie i w siebie, jest dziełem sztuki.

Panna Flora była ubrana bardzo skromnie, w suknie z szarego płótna bez żadnych ozdób, ale to właśnie dozwalało tem łatwiej objąć za jednym rzutem oka jej piękność fizyczną, bo wzrok się nie rozprószył po szczegółach jej toalety. ' w- « •

Dlatego też i na Zaklikę sprawiała pewne wrażenie, jakoż/ zaraz zasiadł z nią na kanapie do konwersacji. Przypominając się jej pamięci i nie szczędząc jej wstępnych grzeczności, nazywał ją madame la doctoresse; ale Flora obroniła się od tego tytułu mówiąc: że wprawdzie przeszło trzy lata uczyła się medycyny i mogła być niebawem

otrzymać doktorat, ale ojciec postanowił ją sprowadzić do siebie a przeto musiała swe studia przerwać i porzucić. Zaklice jakoś nie kwadrował ten rachunek lat, bo według niego przez blisko pięć lat musiała chodzić na medycynę przeto mogła już otrzymać doktorat, ale pominął ten szczegół i przeszedł chętnie do innych przedmiotów rozmowy.

Mówili o wszystkim. Flora mówiła łatwiej po francusku aniżeli po polsku, bo kilkanaście lat strawiła w Genewie, ale to tylko im ułatwiało rozmowę. Zaklika znalazł w niej bardzo odczytaną kobietę, pełną wiadomości ze wszystkich gałęzi literatury, stojącą na wysokości nauk współczesnych, może w niektórych rzeczach cokolwiek za powierzchowną dla niego, ale też za to niezmiernie chciwą wiedzy, tą niecierpliwą i namiętną chciwością, jaką spotykamy tylko u kobiet.

Flora była naturalnie zwolenniczką emancypacji płci żeńskiej i mówiła o tem z uczuciem i z przekonaniem, ale umiarkowanie, dodając od czasu do czasu, że o niektórych szczegółach tej emancypacji dopiero przyszłość ostatecznie rozstrzygnie. Zaklika przyznawał chętnie, że prawo kobiet do pracy należy znacznie rozszerzyć, ale emancypacji w jej akademickim znaczeniu był stanowczo przeciwny i wy mieniał niektóre zawody, których kobieta wcale spełniać nie może. Goby to było, powiadał patrząc jej w twarz, gdyby na przykład kobieta-adwokat, mająca bronić delin- kwenta, któremu śmierć grozi, w dzień ostatecznej rozprawy do sali sądowej nie przyszła: posyłają po adwokata i dowiadują się, że adwokat leży w połogu. Trybunał zamianował wprawdzie natychmiast zastępcę obrońcy, ale zastępca Zaklika. T. I.

nie znał sprawy dokładnie,' źle bronił i delinkwentowi łeb ścięli...

Na takie uwagi Flora rumieniła się mocno, spuszczała oczy ku ziemi i usiłowała przejść do innego przedmiotu; Zaklikę to bardzo bawiło, że z panną mógł mówić o takich rzeczach, ale jej zachowanie się przy tem nie sprawiło na nim nieprzyjemnego wrażenia.

Potem mówili o ojcu. Tu Flora zabrała głos i z zadziwiającą dokładnością opisała Zaklice jego chorobę, dodając w końcu, że jest to choroba nieuleczalna, ale według niej, pomimo przeciwnego zdania wszystkich lekarzy, nie jest jeszcze rzeczą zupełnie ^utwierdzoną, że to ^v jest rak, dopiero za jakie ośm albo dziesięć dni się to zdecyduje, ona zaś do tego czasu jeszcze nie traci nadziei. Poczem ten wykład zakończyła głębokim westchnieniem :

— Jeżeli tak być musi, to trzeba będzie się ugiąć przed prawem natury, ale nam będzie ojca bardzo brakować. ...

Zaklika wstał, ścisnął jej rękę i rzekł:

— A ja jestem tego pewny, że on się z tej choroby wyleczy.

Pomyślał zaś przytem u siebie: — Ta kobieta, pomimo studjów anatomicznych, nie jest bez serca.

Na to weszli do salonu półkownik i Balcer. Balcer opierał się wprawdzie na ramieniu półkownika, ale trzymał i się dobrze i nie zdawało się wcale, jakobyj potrzebował fotelu na kółkach i kołder. Półkownik zdawał się mieć dla niego bardzo wiele grzeczności, doprowadził go do wielkiego fotelu, który stał obok kanapy i sam go#na nim posadził.

Ignas był widocznie bardzo kontent, że ojciec skończył nareszcie swoją konwersację z Florą i zaraz się do niej przybliżył. —* Balcerek stał z Genią przy wielkim stole i poskładał przed nią flakony perfum swego własnego wyrobu, które jej ofiarował w prezencie, tłumacząc jej, czem która perfuma pachnie i z czego się fabrykuje — a Fujara już siedział przy fortepianie i grał jakąś bardzo czułą symfonię, uśmiechając się błogo i podnosząc oczy do nieba. Na jego grę nikt nie zwracał uwagi, co mu zapewne było obojętnem, bo on umiał sam używać rokoszy i nie potrzebował jej koniecznie z innymi podzielać, mimo to wszakże rzucał od czasu do czasu ciekawem okiem to na jedną rozmawiającą ze sobą parę, to na drugą, i grał pianissimo, Idedy ich rozmowę chciał lepiej dosłyszeć.

Stary Balcer, usadowiwszy się dobrze w fotelu, spojrział na Zaklikę i tak mówił:

. — Palnąłeś mnie twoim wywodem o nieśmiertelności tej siły duchowej, która żyje w człowieku, i nie dałeś mi czasu, abym ci odpowiedział. Wiem dobrze, co za tem idzie: indywidualna nieśmiertelność duszy, metafizyka, etyka a wreszcie katechizmowa moralność. Jak ciebie znam od tylu lat, tak nie byłbym przypuścił, że jeszcze ciągle chodzisz w pętach tych mrzonek, w których wprawdzie wszyscy chodziliśmy za młodu, ale których, może prócz ciebie jednego, jużemy się wszyscy pozbyli. Ażaliż nie było to koniecznością a nawet i obowiązkiem pozbyć się ich po doświadczeniach tak gruntownie realnych a do tego jeszcze tak krwawych? A gdyby i tych doświadczeń nie było, to są przecież od tego nauki. Ta cała wasza metafizyka razem z waszą etyką to są czysto-romantyczne marzenia, niemające najmniejszej realnej podstawy w organizmie wszech-

świata. Znasz przecie ten wszechświat i widzisz go jakby na dłoni. Od naszego słonecznego ' systemu do złożonej z takich samych systemów drogi mlecznej a od drogi mlecznej do najodleglejszych mgławic, widzimy tylko siłę materii, która w obrębie pewnych praw działa przemocą i gwałtem. Silniejsze ciała pożerają słabsze w swoich płomieniach, albo też pociągając je za sobą, obracają je w swe niewolniki. Czasem dwa ciała martwe uderzają o siebie i tworzą pożar, z którego nowe słońce się rodzi a to słońce tworzy sobie satelitów, albo zabiera ich innym słońcom i porywa ze sobą. Pomiędzy temi rozbijanemi ciałami są takie, na których jakaś ludzkość żyła i rozwijały się na' nich pewne cywilizacje. Te ludzkości i te cywilizacje giną w jednym oka mgnieniu i razem ze swoją ziemią obracają się w mgłę tak rzadką i przezroczystą, że może nawet lżejszą jest od naszej deszczowej chmury. Jest to walka o byt pomiędzy niebieskimi ciałami, walka daleko, bez- względniejsza, gwałtowniejsza i krwawsza, niżeli pomiędzy ludźmi. Byt i rozwój wszechświata jest ciągłą ewolucją, jeżeli tak chcesz, ale ta ewolucją się składa z ustawicznych katastrof, to jest z rewolucji. Gdzie tam jest ślad jakiejś moralności, jakiejś etyki albo jakiegokolwiek duchowego żywota? Czysta materia bytująca według pewnego prawa, ale to prawo jest tak obszerne, tak liberalne, że przestaje być prawem a jest tylko bytem na podstawie siły i jej przemocy. Wasza ziemia nie stanowi wyjątku." Jest to ziarnko pieprzu, ulepione wprawdzie z gliny, ale przejęte na wskroś pieprzną goryczą. Na tem ziarnku podnoszą się mgły, które się tworzą z wiekami a z 4ych mgieł wyradzają się religije i filozoficzne systemy. Ale to wszystko jest tak ciasne, tak niesłychanie drobne i małe, że się równa nicor

ści w obec miliardów takich samych i daleko większych ziarenek krążących w nieskończonej, przestrzeni i wydających także swoje religije i filozoficzne systemy. Jesteście dziećmi, które się ubierają w hełmy i pancerze i udają rycerzy, jesteście mniej niżeli mrówcze gniazdo, które także jakieś społeczeństwo stanowi i rządzi się jakąś mrówczą moralnością. Góźbyś powiedział, gdyby mrówki chciały narzucić swoje pojęcia i prawa całej ludzkości? a przecież i one, mając jakiś rozumek i wolę, mają takie same prawo, jak ty, uroić sobie, że żyje w nich jakaś siła nie materyalna a dusza ich jest nieśmiertelna.

Zaklika słuchał z pewną niecierpliwością tego wywodu i ciągle spoglądał na dzieci, które już także zaczęły usfy nastawiać, jakoż tutaj mu przerwał i mówił prawie w roztargnieniu:

— Ja bardzo wysoko cenię wszelkie obszerne pojęcia, ale w pewnym zastosowaniu są one najczęściej złotym piaskiem w oczy dla ludzi płytko myślących. W naturze nic nie jest ani małym, ani wielkim, bo wielkość i małość są to względne pojęcia. Wielkim, bo bezwzględnemu jest tylko pojęcie Boga — i na żadnej planecie, ani w całym wszechświecie, nie masz i nie może być większego pojęcia. Wszystko, co jest, i wszystko, co żyje, czy ono jest wielkim, czy małym, ma jakieś przeznaczenie: co tylko jest, musi wypełniać cel swego bytu, a co żyje i ma rozum i wolę, ma obowiązki i powinno tych obowiązków dopełniać. Obowiązków zaś można dopełniać tylko w tem położeniu i w tem otoczeniu, w jakim się żyje. Człowiek żyje w swoim społeczeństwie, które nadaje mu prawa, ale i obowiązki nań wkłada: kto się z pod tych praw wyłamuje, ten nie dopełnia swojego celu, staje się wyjątkiem i ginie Z tego

właśnie, że każda cząstka stworzenia jest tem, czem ją stworzyła natura, składa się i na tem polega porządek wszechświata. Dobrze jest wiedzieć* co się dzieje po za drogą mleczną, ale przestać być człowiekiem dlatego, że nie możemy rękami uchwycić tej wszechmocnej potęgi, która rządzi wszechświatem, byłoby bardzo ciężkim obłędem. Wieleby o tem mówić, ale trudno rozprawiać o- takich rzeczach przy pannach. Panią zresztą, — dodał Zaklika z uśmiechem, może i ty pozwolisz cokolwiek mrzonek, bo przecieżyby nie wyżyły bez tego. Nawet już słońce zaczyna zapadać a na nas czekają z obiadem...

A to rzekłszy, dał znak swoim dzieciomJ zaraz za-¹cz[^]ł się żegnać. Balcera jeszcze raz pocieszył, półkownika ścisnął za rękę, prosząc go, aby go kiedy z Balcerem odwiedził — a w chwilę potem już[^] się powozy toczyły po murowanej drodze, prowadzącej do Zaklikowa.

W pierwszym powozie siedział Zaklika z córką. Kiedy, im- Balcerówka zniknęła z oczu, zapytał Genię: . — Jakżeś znalazła pannę Flore?

Na to mu odpowiedziała Genia, widocznie rada, że się może wygadać,:

— On lui voit, par-ci, par Aa, des allures bourgeoises, mais elle est tres hien... et tres intelligente, — dodała z wielkim naciskiem. Dans la meilleure societe, elle ne se- rait pas deplacde...

— Tani mieux, — rzekł ojciec, — a młody Balcerek?

— Ah! ęa, c'est un roturier, — zawołała Genia, śmiejąc się głośno, — il porte des faux-cols. Ale także bardzo rozumny. On jest właściwie chemik, byliśmy w jego atelier na górze, tam ma same piecyki i retorty, pokazywał nam

*

wszystkie, ale nie pozwalał dotykać. On robi także perfumy, dał mi ich cały koszyk, bo bardzo jest grzeczny. On nawet i książki pisze. Najpierw je drukuje w dziennikach a potem wydaje osobno, ale powiadał mi, że ich nie sprzedaje, tylko chłopom darmo rozdaje, bo chciałby, żeby u nas chłopcy byli tak rozumni, jak w Szwajcarii. Darował mi dwie swoje książeczki, są także w koszyku. Tylko nie wiem, co tam w nich być może, bo jakieś dziwne im dał tytuły. Na jednej stoi "Kaśka wiatronoga" a na drugiej "Wojtek Rybi- twa, co go zrobili złodziejem". Nie zdaje mi się, żeby to było bardzo interesujące.

— Jak przyjedziemy do domu, — rzekł na to Zaklika, — dasz mi te książeczki, powiem ci jutro, czy warto je czytać. Więc Flora ci się podoba?

— Bardzo mi się podoba. Rozumna, otwarta i dobre ma serce, zaraz przywiązała się do mnie. Powiadała mi, że się uczyła medycyny, bo ojciec tak chciał, ale ją to nu* dziło a nawet męczyło, bo miała wciąż to uczucie, że się wyklucza z grona kobiet i jest na drodze stania się czemś nieokreślonym, ani mężczyzną, ani kobietą. Bardzo się ucieszyła, kiedy ojciec pozwolił jej te studia porzucić. Teraz do brzo jej na wsi, czuje się jakby odrodzoną, chciałaby pójść za męża, ażeby być jak wszystkie inne kobiety. Ja jestem z niej bardzo kontenta, bo będę miała z kim się rozerwać.

t*~ Widzisz więc, — rzekł ojciec* — żeś trochę za- wcześniej kręciła noskiem na tę w izytę. W dzisiejszych czasach ukształcenie się tak rozszerzyło, że w każdej warstwie społecznej można znaleźć ludzi rozumnych i przyzwoitych, w niższych warstwach nawet daleko częściej, niż w wyższych, bo te muszą się kształcić z potrzeby. Będziecie się zatem widywać, ale ja bym wolał, żeby ona przyjeżdżała do

ciebie, bo ten stary Balcer mnie nudzi. Ci ludzie wydają mi się jak stara baba komerażnica, co jak się do wiś jakiejś nowiny, zaraz z nią lata po wszystkich domach sobie znajomych, aby ją opowiadać: tak i oni, jak tylko nabyli jakiejś nauki, jeszcze się jej nie douczyli do końca a wcale jej w sobie nie przetrawili, już nie mogą wytrzymać, tylko muszą propagować ją dalej. Niech się uczą, to dobrze, ale dlaczegoż zaraz nawracać innych? A robią to i ustnie i pisemnie. Co ja takich niedojrzałych rzeczy naczytam się po dziennikach i książkach! Jeszcze się nie stali porządnymi uczniami a już chcą być profesorami. Spodziewam się przecież, że Flora nie zechce bawić się propagandą.

Tu Genia znów głos zabrała i zaczęła mu dalsze rzeczy opowiadać o Florze, wszystkie na jej korzyść i na jej pochwałę.

Fajara siedział obok Ignasia na koźle wózka, do którego były zaprzężone dwa konie kasztanowate pół krwi angielskiej, młode i silne, ale jeszcze nie zupełnie ujeżdżone i twarde.

Wyjechali dopiero w kwadrans później, bo Balcerek i Flora oglądali jeszcze kawalerski ekwipaż Ignasia i bardzo chwalili, mówiąc: że takim powozem możnaby się pokazać nawet i w Genewie. A Fajara się śmiał i odpowiedział —: W Genewie nawet jeszcze piechotą chodzić nie umieją a nie - dopieroż znalazły się na ekwipażach; ja się podejmuję temi końmi wyjechać do Prateru i zakasować wszystkie tamtejsze powozy — a tam przecież na koniach inaczej się znajdują niż w Genewie.

Kiedy wjeżdżali w ulicę wsi, gadatliwy Fajara zaczął się wypytywać Ignasia, jakie wrażenie sprawili na niego

Balcer i półkownik, Balcerek i Flora; ale Ignas tylko półsłówkami mu odpowiadał, był jakiś zamyślony, zdawało się nawet, jak gdyby go nie słuchał — a nadto jeszcze, wyjeżdżając ze wsi, o kołowrot zawadził i to tak silnie, że Fujara aż szcękła zębami.

— Go ty robisz, Ignasiu! — zawołał Fujara, — ściągnij lejce i uważaj, którądy jedziesz* bo jeszcze nas gdzie wywalisz.

— To nic, — odpowiedział mu Ignas, — siodłowy koń wzdrachnął się trochę przed kołowrotem, ale teraz już jesteśmy na szosie.

Jechali dalej, konie szły wyciągniętym kłusem, zaczynając się coraz lepiej rosładać, już ujechali więcej niżeli pół drogi a wtem wózek wjechał na kupę szutru, naręczny koń upadł, wózek się na lewą stronę przechylił, Fajarze kapelusz się przekrzywił na bakier i włosy mu stanęły na głowie Strach go zdjął, ale zarazem porwała go niecierpliwość.

— Co ty wyrabiasz! -r- zawołał, — ty drogi nie widzisz przed sobą, chociaż jeszcze dzień biały. Tyś pewnie oczy na Balcerówce zostawił. Ja z tobą dalej nie pojedę, zaczekaj niech złczę.

A to mówiąc, zeskoczył z wózka i kiedy już stał na ziemi, mruknął sobie pod nosem:

Także mi przyszedł koncept siadać na kozieł z Zaklika.

Tymczasem Ignas się śmiał i mówił:

— Ot siadaj pan, co tam!

— Powiadam ci, że nie siadę, — odpowiedział mu na to Fujara, — ty masz jeszcze dużo życia przed sobą, więc możesz je ryzykować, ale mnie się już niewiele należy, głu-

piąby był, gdybym tę resztę stawiał na kartę. Jedź sobie, ja już dojdę piechotą do domu.

Na taki logiczny argument trudno było co odpowiedzieć, zaczął Ignasz odjechać a on szedł sobie wolnym krokiem ku pałacowi. A idąc, zatopił się w myślach i mówił da siebie półgłosem: Ten młokos oczywiście zakochał się w Florze, piękna-to będzie historia. Jużci to dziewczka, nie dwadzieścia, ale trzydzieści i oko. Niema co mówić, jest w niej wszystko co trzeba: wzrost, formy, jakie linije a jaka cera! Ale gdyby tak na mnie, to jabym z nią gadał inaczej. Po naprzód, wątpię aby tam przy tych studjach anatomicznych... być zresztą może, ale wątpię. Nawet wcale nie sprawia wrażenia panny. Więc tedy: ale kto młody, ten głupi. On patrzy na nią, jak na anioła z nieba, sam to widziałem. A przecie to nie jest partja dla Zakliki. Majątku nie ipa — a to-tam szlachectwo Kurlandzkie... oczywiście ex carta belli, Potoccy przyjęli ich do swego herbu, popatrzą zresztą w Yoluminach legum. Więc czego on sobie głowę bałamuci tą panną? Muszę to ojcu powiedzieć... Ale tutaj się zastanowił: Powiedzieć czy nie powiedzieć? — Myślał długo, ale w końcu uderzył się ręką po czole i rzekł: Jaki ja głupi, jeszcze nad tem się zastanawiam! Kto kiedy kładzie umyślnie palce między drzwi? — I postanowił nie mięszać się wcale w te rzeczy: gdyby tylko .słowa dotrzymał!

Z tem postanowieniem przyszedł do obiadu — a kiedy przy stole rozmawiano o Balcerach, on był pełen pochwał dla całej ich rodziny a nadewszystko dla Flory, czego Ignasz słuchał z natężoną uwagą.

Zaklika tym pochwałam nie przeczył, ale obawiając się, ażeby jego dzieciom coś nie zostało w pamięci z materjali- stycznych zapatrywań się starego Balcera, wykladał im je

szcze długo po obiedzie swoje własne o tych kwestjach pojęcia, dowodząc im ze znajomością rzeczy i gruntownością sobie właściwą, że materializm jest tylko jednym z bardzo wielu filozoficznych systemów, z których żaden nie rozwiązuje zagadki życia, jest zaś o tyle słabszym od innych, ile że jest jednostronnym, bo się opiera wyłącznie na zewnętrznych objawach materii, nie wchodząc wcale w wyższe tych objawów przyczyny.

Fujara zasnął przy tym wykładzie; Genia słuchała ojca z zajęciem a nawet często przerywała mu, prosząc go

o szczegółowe wyjaśnienia; ale Ignas się nudził i widać było po jego twarzy, że go te rzeczy wcale nie obchodziły. Zauważył to ojciec i spytał go, co on o tem rozumie? — Ignas mu odpowiedział:

. — Profesor Garo w Paryżu prawie tak samo zapatruje się na te zagadnienia. Jużci słuchałem jego wykładów, ale na co się to zdało? my przecież w gruncie rzeczy nic o tem nie wiemy.

- My nic nie wiemy, — rzekł na to ojciec, — ale świat nie stoi na miejscu. Wiedza ludzka wciąż postępuje

I gromadzi materiały, aż kiedyś przyjdzie człowiek genialny albo natchniony i może tylko jedno słowo wypowie, ale tem słowem ciemności rozprószy, świat naszej wiedzy no- wem światłem oświeci i kto wie, w jakim stopniu nas do świadomości zakrytej przed nami prawdy przybliży. Ci, którzy wierzą, nie potrzebują nowego tej prawdy odkrycia; ale i ci, którzy jej chcą dociec rozumem, nie są na to skazani, ażeby nigdy jej nie dociekli. Obowiązkiem każdego ukształconego człowieka jest ścielić swą pracą drogę ciąglemu rozszerzaniu się światła i prawdy, dlatego przecież

dana nam jest władza pojmowania, myślenia i rozumowania.

Ignas "wysluchal ojca z uwaga, ale mial taką mine, jak gdyby do tego rodzaju myślenia i rozumowania żadnej nie przy więzy wal wartosci: jakoz bardzo był kontent, kiedy nareszcie wstano od stołu i wszyscy mogli się rozejść do swoich pokojów.

Znalazszy się sam w swoim mieszkaniu, po tak rozmaitych emocjach dnia dzisiejszego, Ignas uczul się jakoby zmęczonym, chcial spocząć i bardzo wczesnie spać się položyl. Ale anirusz zasnąć. Przewracał się z boku ila bok a oczy wcale mu się nie kleily. Wstal, zapalil papierosa i mowil do siebie, ale całkiem spokojnie i z usmiechem na twarzy: — Cóz to ma znaczyć ? Przecie niemało kobiet widzialem w mem zyciu, równie pięknych a może nawet piękniejszych — a ta Flora stoi mi wciąż przed oczyma. Przecie to nie będzie jakaś miłość studencka, którejbym się sam wstydzil przed sobą...

Wypalil kilka papierosów i znowu spać się položyl.* Ale sen nie przychodził. Co oczy zamknie, aby do snu się zmusić, to zawsze Flora mu się pokazuje i widzi ją jasno przed sobą, jak żywą. Dziwi się temu niezmiernie, bo tak żywej imaginacyi jeszcze nigdy nie doświadczyl na sobie. Ale ją widzi przed sobą jak w dzień. Jakie oczy, jaka cera, jaka kibić a jakie ramiona! Co mu mowila, tego sobie nie przypomina, jakie objawiala myśli i zdania, to go mało obchodzi: ale jej głos odbrzmiewa mu w uszach i przesuwala mu się po nerwach, jak prąd elektryczny. Nie, w ta- kiem rozdrażnieniu nerwów usnąć niepodobna...

Wstal znowu, znów papierosa zapalil i mowil do sie-

foie: — Jużci to głupstwo. Podoba mi się, to dobrze: Ale od czegoż rozum? Uwieśdź pannę przyzwoitej rodziny, to jest rzecz nieprzystojna i nigdy nie upadnę tak nisko, ażeby ludzie mieli prawo nazywać mnie zwodzicielem. Za taki postępek wykluczonoby mnie -z towarzystwa, i słusznie. A starać się o nią, to byłoby jeszcze większem głupstwem, bo tout honneur a tout seigneur, przecie to partya nie dla mnie...

Poczem znowu spać się położył. Ale znów ani rusz. Teraz czuł, że mu się krew rozżarzyła, ogniste rumieńce go paliły na twarzy, tylko głowę miał jeszcze spokojną. Ale po tej głowie roily się jakieś takie myśli, które żadnego wpływu nie wywierały na jego imaginację. Myśli szły swoją drogą, jak gdyby nie w jego rodziły się głowie — a ima- ginacja grała od nich niezależnie i krew w nim burzyła. Jakoż widział ją znowu przed sobą, słyszał szelest jej sukni, czuł zapach jej włosów, chciałby ją był przycisnąć do swojej piersi, z całej siły przycisnąć, choćby ją zgnieść, usta jej objąć swojemi ustami, choćby ją udusić, i utopić się w niej, choćby w niej zginąć...

Potem wstał-znowu. Gorąco mu było. Otworzył okno, aby zaczerpnąć powietrza. Ale niebawem je zamknął, bo powietrze nocy kwietniowej, wpłynąwszy do pokoju lodowatym strumieniem, przejęło go dreszczem. Uważał nawet, _ że takiego ochłodzenia wcale nie potrzebuje, bo głowę miał chłodną i trzeźwą: to krew w nim się paliła, krew jego płci — a takiej krwi żaden lód nie ochłodzi. Jakoż ze zwykłym sobie uśmiechem mówił do siebie: — Dziwna rzecz! nigdy mi się jeszcze nic podobnego nie wydarzyło. Potrzeba to zwalczyć. A jak sobie powiem, że trzeba, to zwalczę. i.

Ale on jeszcze nigdy nic w sobie nie zwalczył. Nawet nie wiedział, co to jest walka, bo dotąd jeszcze żadna namiętność w nim się nie obudziła — a jeśli kiedy miał jakie zachcenia, to był tak szczęśliwy, że zawsze je mógł zaspokoić bez walki. Co gorsza, on nawet nie miał w sobie- siły moralnej do walki z namiętnościami, bo jej w nim nie stworzono i nie wyrobiono w nowoczesnych konwiktach; miał tylko instynkt uczuć moralnych, który wyniósł jako ciemne wspomnienie z lat swoich dzieciennych, kiedy nauki dawała mu matka... Dlatego, kiedy znowu spać się położył, chociaż powiedział sobie, że wcale nie będzie myślał*

0 Florze, przecież ciągle ją widział przed sobą i zawsze te same się w nim obudzały pragnienia. Tak przez całą noc sto papierosów wypalił i ani oka nie zmrużył..

A kiedy dzień biały się zrobił, wsiadł na koń i pojechał daleko w pole, ażeby dwór w Balcerówce choć zda- leka obaczyć...

* * *

We dworze na Balcerówce, zaraz po odjeździe Zaklików, nakryto stół do herbaty.

Stary Balcer już prawie nic nie jadał, tylko pił mléko* ale inni jedli i pili.

Flora była nadzwyczajnie wesoła, prawie jak nig[^]y,

1 robiła swoje uwagi o gościach, którzy dopiero co odjechali.

Według niej Zaklika, ojciec, był to człowiek, o ile si[^] zdaje, bardzo ukształcony i odcytany, mający czasem bardzo głębokie pomysły, ale należący do tego świata, który już całkowicie się przeżył.

Romantyk z krwi i kości, a przeto uczuciowy i często naiwny, zapewne pojmuje, ale nie pochwała nowych* idei, a może nawet widzi w nich coś zbrodniczego: jednak jest znośniejszy niżeli inni ludzie takich samych przekonań, a konwersacya z nim jest zajmującą.

Stary Balcer był zdania, że Zaklika należy do tego rodzaju ludzi, którzy we wszystkim są dobrej wiary i woli i ciągle się uczą, ale nie mogą się niczego nauczyć — a to dlatego, że mają wpojone z dziecka pewne niewzruszone zasady, jak tablice Mojżesza, których nie chcą, nie umieją, a nawet nie mogą się pozbyć, bo te zasady stanowią skamieniałą część ich duchowego organizmu. Że zasady, które się opierają tak samo na tradycjach, jak na nadziejach tradycyom tym odpowiednich, uważają za swoje patrimonium — a kto nie jest ich zdania, o tym rozumieją, że na to ich patrimonium uderza i zaraz swoją tarczę przeciwko niemu podnoszą, przypominając wiersz Słowackiego: „Stój, kto jesteś, nie rznij szlachty!” A tymczasem to patrimonium, to zamek na lodzie, który się już dawno roztopił w słońcu realistycznej nauki i zostawił po sobie tylko fata mofgana w ich wyobraźni...

Ale młody Balcerek szedł jeszcze dalej i mówił:

— On jest właściwie demokratą, ale tego pokroju* który jest dalekct gorszym, szkodliwszym i niebezpieczniejszym, niżeli arystokracya rodowa. Co ta demokracya od lat pięćdziesięciu zrobiła? Wywalczywszy jakąś nibyto równość dla wszystkich w obliczu prawa, stworzyła konserwatywne mieszczaństwo i równie konserwatywną plutokrację. Zamiast jednej warstwy społecznej postępowi przeciwnej, którą była arystokracya rodowa, mamy teraz trzy warstwy nam przeciwne — i to jest jej cała zasługa. A je-

żelibym miał między nimi wybierać, ^ to ja jeszcze wolę .arystokrację rodową, bo ta, naprzód, jest skłonna do kon- cessyi dla reform socyalnych, a potem, sagja się w .proch" rozsypuje i niema siły oporu; z tymi demokratami zaś trzeba walczyć — a walka z nimi nie jest łatwą, bo oni mają potęgę materjalną i blichtry ideałów za sobą.

Poczem odezwał się. pólkownik, mówiąc :

— Te ich patrimonium w tym kraju, składające się z ideałów dawno minionych czasów, to czysta mrzonka, która ma coraz mniej zwolenników: walczyć z nimi nie- masz potrzeby, można spokojnie wyczekać, aż wymrą.

— Ba! gdyby wszyscy tak myśleli, — rzekł na to stary Balcer z przekąsem: — to możeby z tego byli wszyscy kontenci.

Flora mówiła teraz o Geni, wyrażając się o niej z wiel- kiemi pochwałami.

— Bardzo dobra dziewczyna, -- powiadała Elora, — a nawet dość ukształcona.

Wychowała się wprawdzie w kle- rykalnym konwikcie a potem ją wprowadzono na arysto- kratyczne salony, więc ma o ludziach i świecie właściwe tym sferom wyobrażenia, ale pojmuje wszystko i jest bardzo ciekawa. Z czasem się przecie rozejrzy i łatwo zrozu- miś, że my nie w średnich wiekach żyjemy.

— Tych średnich wieków jest tu wszędzie pełno do zadziwienia, — rzekł na to Balcerek, nawet pomiędzy ludem. Ale ja jej pomału oczy otworzę na wszystko....

Tymczasem pólkownik, niewiedzieć z jakiego powodu, zaczął się unosić nad przymiotami Geni. Jaka ładna i świeża, jak dobrze mówi i jak przyzwoicie się wyraża o wszystkim! A w końcu dodał:

«

— Gdyby nie to, że ojciec zdaje się być trochę fari-
tasta, to zaraz jutro pojechałbym do Zaklikowa.

Flora patrzyła na niego jakimiś deicznymi oczyma, nie powiedziała nic, ale miała taką minę, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Qu'est ce que ça me fait ? allez-y,

A potem mówiono o młodym Zaklice. Tu Flora znów głos zabrała i mówiła o nim z zapalem:

— Bardzo przystojny, jak mało ludzi w sferach mieszczańskich, on voit un vrai gentilhomme, formy bardzo wykwiśnięte, niezmiernie grzeczny dla dam a bez meskineryi, wszystko w nim naturalne, prawdziwy ideał młodego człowieka — a do tego dobrze się uczył i pełen jest wiadomości. Ma wprawdzie niektóre przyzwyczajenia arystokratyczne, ale stoi zupełnie na wysokości nowych idei i wszystko rozumieć.

Półkownik widocznie nie był kontent z tych pochwał, bo ciągle się krzywił, a potem powiedział:

— Ma is il est trop jeune.

Flora spojrzała jakby z wesołą ironią na niego, przechyliła się do swego brata i rzekła szeptem:

— Est-il bete ? mais c'est ce qui est le fait.

Po herbacie półkownik zaraz odjechał — a domownicy zostali jeszcze na chwilę przy stole.

—» Stary Balcer zabrał głos i tak mówił:

— Te znajomości dzisiejsze nie są bez pewnej wartości. Zaklika ma duży majątek, daleko większy, niżeli rozumieją sąsiedzi, bo on o tem mówić nie lubi. Ale ja z konwersacyi, jakie z nim przez te lat parę miewałem, wiem o tem na pewno, że jego obydwaj majątki dużo przynoszą a oprócz tego ma kapitały, za które mógłby jeszcze

Zaklika. T. 1.

jeden taki majątek zakupić. Każde z jego dzieci może zatem dostać zaraz swój posag, jak tylko pójdzie za mąż albo też się ożeni. Ignasz weźmie prawdopodobnie Zaklików a Genia dobra na Żmudzi. Nie daję wam żadnej rady.. macie swój rozum. Ale tak sądzę, że znajomości tych lekceważyć nie należy i niekoniecznie upierać się przy swoich zasadach, bo zasady, zapewne że idą przed wszystkim, ale przy zasadach żyć trzeba...

Byłby mówił dalej, ale się czuł osłabionym, — zaczął syn jego odprowadził go do jego pokoju a Flora poszła także do swojej sypialni.

Flora miała swoją sypialnię od tyłu domu. Był to pokój duży, umeblowany w sposób francuski, z łóżkiem szerokim i baldachinem i miękkimi meblami: jedyny por kój w tym domu, w którym było cieplej cokolwiek. Obok sypialni znajdowała się garderoba i umywalnia, a ztamtąd drzwi wychodziły na ogród.

Flora, wszedłszy do swojej sypialni, zapaliła naprzód papierosa a potem siadła w głębokim fotelu i zaczęła rozmyślać, zbierając i porządkując wrażenia dnia dzisiejszego.

Spoczątku jakoś myśli nie szły jej ładem. Gniewał ją trochę półkownik. Naprzód okrutnie nudny ze swemi komplementami, nawet dość pospolity pomimo swojej nauki, zresztą jak każdy stary kawaler — a potem głupi. Zdrow jeszcze, temu nie przeczę, ale przecie już niepomału przejrzały, temu znów on nie zaprzeczy. J'aurais trente ans..“ ^ passes, je ne dis pas, ale w tym wieku... może sobie zaczekać.

Po chwili zaś mówiła sobie dalej w ten sens: — Albo i ojciec, ze swemi zasadami, co je z astronomii wywodzi? Niby ja nie znam tych wszystkich filozoficznych systemów.

Wszystkie właśnie tyle. Warte co romantyczne marzenia. Jedne się opierają na abstrakcyjnych teoriach, których żadnym zmysłem nie można uchwycić — a drugie tworzą rozmaite kształty i formy, choćby tylko duchowe, ale które przecież przynajmniej działają na zmysły.

Ci filozofowie nie wiedzą, co jest sen — a chcą śmierć wytłumaczyć. A to już wolę tych, którzy mi sen i śmierć przynajmniej obrazowo przedstawiają. Czego ja się nie mogę moimi zmysłami domacać, to mi całkiem jest obojętne. Cała filozofia, rzeczywiście rozumna; polega na tem, ażeby żyć wszystkimi swymi zmysłami. To jest natura człowieka, w tem się zawisra jego byt i to jest jedynym celem jego istnienia: życie i użycie to jest jedno i to samo, — a jakie tam w czyjej głowie roją się teorie, to niema żadnego związku z naturą i życiem...

Tak sobie rozumowała studentka medycyny. Wypaliła pi żytem trzy papierosy a czwarty niedopalony rzuciła. Potem rozebrała się prędko i położyła się spać. Nakryła się kołdrą i głowę wygodnie na poduszkach oparła, ale oczy miała otwarte, bo spać jej się wcale nie chciało. Zaczęła marzyć. O starych kawalerach marzy się w fotelu, ale o młodych najlepiej w łóżku. Dlatego tak prędko się rozebrała. Marzyła więc o młodym Zaklice. Najpierwej wzięła go w jego całości na oko. Ona dotąd młodych ludzi tego gatunku nigdy zbliska nie znała. Bywała w Genewie w domach profesorów i niektórych mieszczan zamożnych, tam spotykała wprawdzie synów rodzin bogatych, mniej więcej przystojnych i ukształconych, mówiła z nimi, ale zawsze się tylko na zimnej konwersacyi kończyło. Była dwa razy z ojcem w Paryżu, ale tam widziała tylko bardzo sztywne salony i bale publiczne. Cokolwiek bliżej znała tylko stu-

dentów. Jednego z nich znała zbliska: był to młodzieniec*

O twarzy przystojnej, ale chudzina i był piersiowy, zresztą miał bardzo brzydki charakter. Ignaś, to całkiem co innego: to jest cały. mężczyzna. Przystojny, zdrów, silny i stojący na własnych nogach pod każdym względem...

Potem, jako znawczyni tych rzeczy, zaczęła go sobie * anatomizować. Głowa piękna, prawdziwie męska i dobrze osadzona na karku, oczy jasne świadczące o pogodzie umysłu, cera twarzy dojrzała, zęby jak z kości słoniowej* a usta jak wiśnie. Ten wąsik czarny, w górę zakręcony, jakże pięknie tę męską twarz przyozdabia. Co za ramiona! , jak utoczone. Dotknęłam się ich umyślnie, żartując z nim - w konwersacji, to jakby były wykute z marmuru. Jeżeliby on mnie wziął w te ramiona i ścisnął, czuję to, że dusza - by we mnie omdlała i nie miałabym żadnej siły oporu...

Gorąco jej się zrobiło, zrzuciła kołdrę ze siebie. Rumieńce jej na twarz wystąpiły, oddech zrobił się częstszy

I krótszy, oczy jak gdyby mgłą zaszyły, ale dalej o nim marzyła. Jaką pierś ma wypukłą, jak posąg greckiego boga, plecy szerokie a krzyż, choćby się spać na nim położyć. Ten .człowiek mógłby nie spać trzy noce i byłby silny i rzeźwy, jak gdyby dopiero-co wyszedł z kąpieli. Gdybym go miała tu w moich objęciach, tobym go tak mocno przycisnęła do moich piersi i tak bym go żarła moimi ustami, żebym go pochłoneła całego—i niechbym potem umarła... Oczy jej przy tem pały ogniem a usta paliła gorączka. ^

Przez chwilę jeszcze oddśchała krótko i rozpalonemi oczyma patrzyła przed siebie, nic jednak nie widząc prócz niego. Pozrzucała wszystko ze siebie, koszula nawet paliła jej ciało, tak jaj było gorąco, — ale po chwili odetchnęła głęboko i znów się uspokoiła. I zaczęła myśleć spokojniej.

Chciałaby była wiedzieć, jakie ona na nim sprawiła wrażenie. Jednak nie mogła dopuścić, aby mu się nie podobała. Potem myślała cokolwiek o jego sytuacji, ale niewiele. Człowiek bogaty, ma arystokratyczne zachcenia, ma ojca... Ale to wszystko jakoś nie bardzo ją kłopotowało. Jakoż niebawem zawołała do siebie: — Ali bah! il est-a moi. A potem zsunęła pierwszą poduszkę, objęła ją swymi śnie-żnymi ramionami, przycisnęła mocno do piersi — i błogo, zasnęła.

VII

We dwa dni potem Zaklikowie pojechali, ażeby odwiedzić państwa Firlejów.

Niedaleko to Było od Balcerówki, maleńka miła, ale tam świat całkiem inny.

Pałac ogromny i prawie zamczysty, w stylu saskim, z długimi kolumnadami po bokach; we środku dwie wieże, pozostałe zapewne jeszcze ze średnich wieków a obejmujące pomiędzy sobą bardzo obszerną werandę. Przed pałacem • wielki dziedziniec, otoczony żelaznymi sztachetami, z bramą wjazdową bardzo paradną, znajdującą się także pomiędzy dwiema wieżami, po bokach dziedzińca i pałacu ogrody, pełne przepysznych krzewów i drzew, zaczynających się właśnie okrywać zielenią, w głębi ogrodów po lewej widać było mały klasztor z wieżyczką, po prawej liczne gmachy gospodarskich budynków — a wszystko to utrzymane tak starannie i czysto, że mogłoby stać na polach elizejskich w Paryżu.

Zaklika, stosując się do wymagań tak wykwintnej siedziby, zajechał z córką wielkim czterokonnym powozem,

bez błyskotek, ale w doskonałym gatunku według mody angielskiej — a Ignas z Fujarą także czterema końmi, za- prężonemi do lekkiej kawalerskiej wiktoryi.

Na werandzie zastali całą ciżbę lokai i kozaków wjaj- rozmaitszej liberyi — a między nimi był także murzyn, w białym kostiumie i w czerwonym fezie na głowie, którego młody Firlej niedawno nawrócił na wiarę katolicką w Paryżu i przywiózł ze sobą. Fujara z pogardą i wstrętem spojrział na niego, bo murzynów nie lubił: zresztą gotów się jeszcze przypytać do niego, jako jego pasierb albo synowiec, bo nawet niewiedzieć jakby to nazwać.

Ledwie zaczęli wysiadać z powozów, już stary Firlej sam wyszedł do nich na werandę i zwitał się bardzo uprzejmie a nawet serdecznie. W dwie minut potem syn jego wybiegł także ku nim — a tak obydwaj, wśród żywej i wesołej rozmowy, prowadzili ich na pokoje, do matki.

Stary Firlej, od czasu jak przed laty piętnastu przejeżdżał przez przykomorek, znacznie się zestarzał, prawie już całkiem pobielał, ale trzymał się doskonale: zawsze w nim było widać wielkiego pana, który przy dobrem zdrowiu i życiu wygodnem a regularnem, stoi ciągle na Straży swojej godności i splendoru swego historycznego imienia.

Tak postępując, przypisywał on sobie stąd jeszcze o tyle więcej zasługi, ile że przez długi czas przedtem rozgłośna niegdyś fama jego rodziny całkiem była przycichła.^ Rozumiano nawet powszechnie, że Firleje zupełnie wygasli; ale jak to u nas niejednokrotnie się wydarzyło, że kiedy bogata linja jakiego rodu wygasła i pozostali się tylko ubodzy, którzy żyli w ciszy i w zapomnieniu, powiadano, że ich już niema, tak się także zdarzyło Firlejom. Stary dziś Firlej urodził się tylko na jednej wiosce i szesnastoletnim

chłopakiem wszedł do szkoły podchorążych, wyszedł z niej hrabia św. Państwa rzymskiego i potomek jednego z najświetniejszych rodów Rzeczypospolitej polskiej, byłby pewnie piękną zrobił karierę: ale tymczasem wojna wybuchła. Firlej odbył tę kampanię z brawurą i odznaczeniem fcię — a po kampanii emigrował do Francji.

Nie mając żyć z czego i nie chcąc zresztą siedzieć beczynnie, wstąpił do legii zagranicznej i służył w Algierze razem z Mornym, z Walewskim, Józefem Tańskim, Wysłouchem, Stadnickim i wielu innymi przez cztery lata, poczerń wyszedł z niej kapitanem jak inni. Nie mogąc wstąpić do regularnej armii a nie chcąc się upokarzać w służbie cywilnej, żył w Paryżu jako ubogi kawaler, czekając jakiegoś zmiłowania bożego. Żył tylko z tego, co mu przysyłała jego babka po matce, było to bardzo mało, bo babka, chociaż była bardzo bogata, za życia swojego męża nie mogła dysponować majątkiem: ale on się tak urządził, aby mógł wyżyć, o nic nikogo nie prosząc. Mieszkał w jednym pokoju bardzo wysoko i jadał jak się zdarzyło, ale miał zawsze frak elegancki i białą krawatę, bo więcej niż o wygody chodziło mu o to, ażeby utrzymał godność swą osobistą i towarzyskie stosunki. Ludzi takiego hartu było wtedy bardzo wielu, nie było ich później...

Po ogłoszeniu Cesarstwa we Francji byłby mógł być otrzymać odpowiednią posadę w armii, bo miał przyjaciół w tych sferach, ale właśnie wtedy umarł mąż jego babki a wkrótce i babka umarła i zapisała mu cały swój majątek do podziału z panną Tarłówną, jej wnuczką, która wychowywała się u niej. Firlej otrzymał wtedy zapomocą tychże samych przyjaciół pozwolenie powrotu do kraju — a znalazłszy pannę Tarłównę wychowaną bardzo wykwitnie i
zu

pełnie z nim zgodną w uczuciach i przekonaniach, ożenił się z nią w parę miesięcy. Tak stał się panem bardzo znacznego majątku, złożonego z kilkunastu folwarków, położonych po tej i po tamtej stronie "suchej granicy", i tego pięknego pałacu, w którym dziś mieszka.

Gdyby on sam mógł być urządzić według swej własnej myśli swój sposób życia, to chociaż ten majątek był obdła- żony cokolwiek a zarazem i zapuszczony niezmiernie staro- świeckiem gospodarstwem, byłby może z latami przyprowadził go do pewnej równowagi; ale w jego domu miała także głos jego żona - a ona pochodziła także z takiej rodziny, która niegdyś bardzo promienną błyszczała świetnością i potem upadła a przeto także potrzebowała od- świeżenia swojego dawnego splendoru. Firlejowie nie byli wcale utracyszami, nie mieli żadnych innych namiętności, ale ta ich ambicya, ażeby mieć dwór pański i utrzymywać go na stopie xiążącej, idące za tem świetne przyjęcia gości i bardzo kosztowne podróże do Warszawy, do Paryża a czasem nawet do Petersburga, pożerały zawsze cokolwiek więcej, niżeli na to pozwalały dochody. Dopóki istniała pańszczyzna, jeszcze się 'to jakoś łątało, ale od czasu przewrotu stosunków poddańczych coraz więcej się rwało: Firlej nie miał wprawdzie długów krzyczących, ale pomniejsze hipoteki, kiedy trzeba było je spłacać, często nie mało mu sprawiały kłopotu, musiał się u bankierów ratować — a na* \ wet Zaklika już parę razy mu przyszedł z pomocą pieniężną.

Młody Firlej, Frydrusz mu było na imię, był całkiem niepodobny do ojca. Nie we wszystkich arystokratycznych rodzinach utrzymuje się rasa; na atawizm nie można tam liczyć, gdzie żona się dobrze prowadzi i nie szuka kogoś,

-

. * J “

ktoby ją rozumiał; zwłaszcza w ostatnich czasach jakoś ta sukcesyjność fizyczna się trochę popsuła — a dziś nierzadko można widzieć potomków najpierwszych rodzin, którzy nie tylko zewnętrznie nie przypominają swych ojców, ale nawet swojami manierami i całym wzięciem są raczej do fryzyerów podobni, niżli do książąt. Frydrusz był miernego wzrostu i mocno kościsty; twarz miał przystojną z ciemnym zarostem, usta grube, oczy pełne wyrazu, ale wzrok jakiś niestały, czasem latający a czasem surowy i sztywny. Nie miał w sobie nic arystokratycznego, ale widać w nim było człowieka, który czuł siebie i mógł mieć przekonania silne i niewzruszone. Skończył wszechnicę w Wiedniu i był doktorem prawa, zaczął służyć w austriackiej administracyi i był już wice-starostą, ale właśnie teraz wziął roczny urlop, ażeby spróbować, czyby ich interesów nie można przyprowadzić do jakiegokolwiek porządku.

Ci obadwa Firleje prowadzili tedy teraz swych gości do matki.

W pałacu każdy z trzech członków rodziny miał swój apartament osobny i zwykle, kto się chciał widzieć z hrabiną, musiał się do niej meldować osobno, ale dziś pani Firlejowa wyszła do parterowych salonów do gości i powitała ich z nadzwyczajną uprzejmością, jako swych krewnych, chociaż właściwego pokrewieństwa pomiędzy Tarłami a Zaklikami trudno się było doliczyć. Z Zakliką wymieniła kilka słów poufnych, Fularze podała rękę do pocałowania, bo go bardzo lubiła, Ignasiowi powiedziała kilka serdecznych grzeczności, jak wyrósł i zmężniał i jaki piękny zrobił się z niego kawaler, a Genię przycisnęła do piersi i zaraz zaprowadziła ją do dalszych salonów, bo nie

widziawszy jej od lat kilku, chciała poznać ją bliżej a zapewne i wypowiedzieć.

Pani Firlej owa była słusznego wzrostu, niegdyś brunetka, teraz z siwymi puklami włosów po obydwóch stronach twarzy, noszącej jeszcze pomimo wieku widoczne ślady dawnej piękności; w całej swojej postaci miała niezmiernie wiele powagi, może także cokolwiek wyniosłości, ale złagodzonej bardzo spokojnym blaskiem jej ciemno-niebieskich oczu, które zdawały się być pełne dobroci i uprzejmości <Ila wszystkich.

Matka Frydrusza była tym typem owych matron polskich, o których, odkąd żyjemy na świecie, ciągle nam mówią, że ginie, ale który w rzeczywistości tak długo nie zginie, jak długo arystokracja rodowa trwać będzie i będzie trzymać ze sobą — a na to, wbrew wszystkim demokratycznym i socjalistycznym nadziejom, jeszcze trzeba będzie z jakich parę wieków poczekać. Ten typ Ina jednak rozmaite odcienie; otóż pani Firlejowa należała do tych matron, które niewiele się zajmują polityką albo nawet nic wcale: podług niej formy rządów i międzynarodowe stosunki były-to rzeczy, wprawdzie nieobojętne, ale przemijające; o dobro społeczeństw powinni się troszczyć mężczyźni, tu także bywają powodzenia i niepowodzenia, ale jak trafnie mawiał Fujara: dziura się nigdy nie robi i zawsze na tem miejscu ludzie żyć będą — a dla dobra i szczęścia ludzi jest najważniejszą rzeczą rodzina. Dlatego pani Firlejowa była sama doskonałą matką i żoną, pomiędzy służbą w pałacu i po folwarkach nadzorowała i protegowała szczęście rodzinne; swoim własnym kosztem założyła obok pałacu żeński klasztor ze szkółką, w której dziewczęta wychowywano na dobre matki i żony — a z rodzinami sobie

pokrewnymi lub znajomymi utrzymywała tak pilną korespondencję, że chociaż te rodziny były poroziawiane od Petersburga aż do Paryża, zawsze zawczasu wiedziała, w której z nich kto umarł, gdzie jakie urodziło się dziecko i która księżniczka lub margrabianka za męża wychodzi. We - dług niej, w tem się koncentrowały wszystkie kwestye społeczne i polityczne, bo jak długo arystokratyczne rodziny będą utrzymywać wspólność uczuć i myśli pomiędzy sobą, tak długo będzie dobrze na świecie.

W tej troskliwości, z którą się dopytywała, czy takiej lub takiej hrabinie, lub księżnie, mieszkającej w Rzymie, albo w Madrycie, udała się operacja nagniotka, było czasem cokolwiek śmieszności; jeden tylko Fajara ją pod tym względem rozumiał zupełnie i podziwiał jej genialność, z którą tak obszerne utrzymywała relacje: ale jeżeli w tem nie było nic złego, dlaczegoż takie rzeczy wyśmiewać. A było w tem coś dobrego, bo za pomocą tych relacji szukała żony dla syna. Już pod koniec przeszłego roku coś była znalazła i wyprawiła Frydrusza do Paryża, aby się tam starał o jakąś pannę; swaty się nie udały: ale co się dziś nie udało, dlaczegożby się nie miało udać jutro albo pojutrze ?.

Pomiędzy Zaklikami, obydwoma Firlejami i Fajarą właśnie dopiero zaczęła się konwersacja rozwijać na dobre, kiedy starszy kamerdyner zameldował, że młody pan Balcer i panna Balcerówna zajechali przed ganek.

Firlej nie ruszył się z miejsca, nawet i syna przeciw nim nie wysłał, ale kazał ich prosić. Ignas byłby ze skóry wyskoczył, ażeby Florę wysadzić z powozu, ale się wstrzymał, bo spostrzegł zawczasu, że byłoby-to bez taktu odgrywać rolę gospodarza w cudzym domu. Dopiero kiedy

weszli, Firlej wyszedł ku nim krokiem powolnym, Balcerka powitał łaskawie skinieniem głowy a z Florą konwersację zawiązał, do której się zaraz wmięszali Zaklika i Frydrusz. Ignas stał z boku mocno zarumieniony, chciałby był także coś Florze powiedzieć, ale jakoś język mu zdrewniał, więc jej tylko milcząc rękę uściskał.

Balcerka był we fraku i w białej krawacie, co bardzo bawiło Furię, jakoż nie mógł wytrzymać i szepnął Frydruszu do ucha, że pewnie z supliką przyjechał. Ale Flora była w czarnej sukni jedwabnej, skromnej ale nie-^{v^} zmiernie gustownej, i była śliczna a nawet czarująca, bo jej biała płeć przecudownie odbijała od czarnego ubrania.

Wśród konwersacji z wszystkimi Flora znalazła sposobność powiedzieć Zaklicie ojcu, że pan Firlej, dowiedzia-^{*}wszy się, że jej ojciec jest chory, odwiedził go wczoraj, dlatego musieli dziś tutaj przyjechać a dopiero jutro do Zaklikowa przyjadą, co Zaklika sobie zanotował na jej korzyść, bo świadczyło to o jej uczuciu przyzwoitości.

Potem Firlej poprowadził sam Balcerka i Florę do żony. Pani Firlejowa przyjęła ich grzecznie, lecz chłodno, ale już w kilka minut posadziła Florę przy sobie i rozmawiała dla niej, widocznie dobre na niej sprawiła wrażenie, do czego bez wątplenia i to się przyczyniło, że tak płynnie i pięknie po francusku mówiła. Z Balcerkiem pani Firlejowa rozmawiała po polsku, chociaż wiedziała, że i on równie dobrze mówi po francusku jak siostra

Mężczyźni wrócili do pierwszego salonu i prowadzili z sobą konwersację urywaną o wszystkim, co trwało z pół godziny lub więcej. Już lokaje zaczęli roznosić kawę, herbatę i lody z ciastami, ustawiając te rzeczy na małych stolikach, kiedy wtem hrabina kazała męża prosić do sie-

y 1

bie. Za chwilę mąż wrócił i zaprosił wszystkich, ażeby zostali na obiad. Należało ztąd wnosić, że^o pani Firlejowa się doskonale z obydwoma pannami bawiła i rada była dłużej je zatrzymać u siebie. Zaklika się wzbraniał i Balcerek się także wypraszał, ale Firlej powiedział im:

— Gdybym ja was zapraszał, to mógłbym przyjąć odmowę ale to moja żona zaprasza. Wszyscy się więc pokłonili.

Na czas przed zmierzchem przeszli wszyscy do małej sali jadalnej. Obiad był bardzo wykwinny, z truflami i winem szampańskim, z przepyszными cukrami i świeżymi owocami z ciepłarni. Stół był zasypany kwiatami. Pani Firlejowa posadziła koło siebie po jednej stronie Zaklikę a po drugiej jej mąż dał jej za sąsiada Balcerka, obok Zakliki siedziała Flora a przy niej Ignas, obok niego Fujara a Genię ulokowano pomiędzy dwoma Firlejami, co Zaklika zauważył i wyciągnął stąd wniosek, że Firlejowie chcą wyjątkowo być grzeczni dla jego córki.

Podczas obiadu pani Firlejowa rozmawiała z Zakliką tylko o Geni, chwając jej ukształcenie, jej religijne uczucia i bardzo trafne o towarzyskich stosunkach pojęcia, jej dykcję, manjery i formy; Ignas bardzo był kontent, że jego ojciec był z tamtej strony całkiem zajęty, bo mógł swobodnie rozmawiać z Florą, która była niewyczerpaną w konwersacyj i tak poufnie z nim rozmawiała, jak gdyby się znali od wieków.

Genia czuła się nadzwyczajnie szczęśliwą, że się znajdowała w towarzystwie dwóch panów, którzy zupełnie dzielili jej uczucia i przekonania; Balcerek nie mógł przyjść wcale do słowa i musiał się kontentować jedzeniem, które wszakże bardzo mu smakowało, ale za to Fujara był bar

dzo wymownym, tylko od czasu do czasu rzucił okiem na Ignasia i Florę, natomiast zaś zwawo podsycił konwersację pomiędzy Firlejami a Genią, bo jako człowiek światowy poznał zaraz, że nie jest to konwersacja na wiatr i może się coś z tego wywiązać, coby on zresztą, jako przyjaciel obydwóch rodzin, bezwarunkowo pochwalał. Kiedy wniesiono światła, rozmowa nadzwyczajnie się ożywiła — i wszyscy się bardzo dobrze bawili.

Po obiedzie Firlej, traktując swych gości bardzo łaskawie i bez etykiety, przeprowadził ich do małego salonu męskiego obok sali jadalnej, gdzie już przygotowano kawę i likiery a w którym wolno było także palić cygara. Pafii Firlejowa była dziś tak uprzejmą dla swoich gości, że i ona tam weszła z pannami i pozwoliła, aby przy niej palono.

Flora, będąc w doskonałym humorze, bo zapewne jej konwersacja z Ignasiem wzięła obrót zupełnie" odpowiedni jej myślom, zbliżyła się do stolika i sama sobie nalała fili-żaneczkę kawy. Zaklika, który stał przy niej, zapytał jej,, jakim likierem może jej usłużyć.

— Un verre de pne, — odpowiedziała mu Flora.

Zaklika, obeznany doskonale z życiem francuskim, usłyszawszy te słowa, zdradzające oswojenie się z pewnym żargonem, chwycił się lewą ręką za nos i spojrzał na nią śmiejącemi się oczyma, bo jakieś światełko zaświeciło mu w głowie, ale w oka mgnieniu nalał jej koniaku i zaraz, podał jej papierosy, mówiąc:

— Apres la finc, cest ęa qu'il vous faut.

Flora zawahała się i zapytała:

— Qu'ęst-ce qyton dira ?

— Mais rien du tout, — odpowiedział jej Zaklika.

Flora wzięła papierosa, zapaliła go i siadła zaraz obok Zakliki do konwersacji.

Pani Firlejowa patrzyła na Florę palącą papierosa z uwagą, ale bez zadziwienia i prowadziła dalej swoją konwersację z Fularą i Genią.

Ignas był bardzo z tego niekontent, że jego ojciec potraktował Florę koniakiem i skusił ją do zapalenia papierosa i prawie z niechęcią patrzył na niego, usunąwszy się w kąt i podkręcając wąsiki.

Pani Firlejowa przez grzeczność zaczęła tak długo, „dopóki Flora swego papierosa nie skończy, lecz potem wstała i powiedziała do panien:

— Chodźcież ze mną panienki, bo tu niebawem będzie tak wiele dymu, że się zakrztusimy.

I poprowadziła obydwie panny do innych salonów.

Mężczyźni zostali sami i kontynuowali dalej swoją rozmowę o rzeczach ogólniejszego znaczenia. Zaraz stary Firlej mówił w ten sens:

— Jużci zapewne, że to przykro nam starym, żeśmy takich czasów dożyli. Kiedy sobie przypomnę czasy mojej młodości, to nie mogę się temu nadziwić, jak się wszystko koło mnie do gruntu zmieniło. Cała Europa dzisiaj zupełnie inaczej wygląda. Cesarstwo we Francji pękło jak bańka mydlana i zaprowadzono rzeczpospolitą, w której adwokaci panują, — Niemcy przyszli w lat kilka do ogromnej potęgi opierającej się na bagnietach — a na dobitkę jeszcze i Włochy się zjednoczyły i zabrały Rzym Ojcu świętemu prawie za przyzwoleniem wszystkich mocarstw europejskich. Gdyby kto był przed laty trzydziestu przepowiadał takie wypadki, to niktby mu był nie uwierzył. A i u nas także się niemało zmieniło. Nie mówię już o stosunkach poddańczych,

bośmy się do tego nowego stanu już przyzwyczaili, choć wiemy dobrze, że nikogo nie uszczęśliwił. Szlachta ziemi utrzymać nie może, bo do przemysłowego rolnictwa brakuje jej kapitałów; chłop nibyto jeszcze ziemi się trzyma, ale jego gospodarstwo także się nie podnosi a skutkiem tego i jego ziemia przechodzi pomału w ręce Niemców i żydów. Ale i idee, uczucia i przekonania, także się u nas zmieniły. Wszystkie te ideały, do których dawniej tak gorącośmy się modlili, ulotniły się do tego stopnia, że nawet ich pamięć już się zatarła — a ich miejsce zajęły zapatrywania się trzeźwe i zimne rachuby. Nie ganię tego, owszem pochwalam, bo na tym świecie trzeba żyć z czasem..!

— Każdy żyje z swym czasem, bo inaczej nie może, —_x przerwał mu Zaklika, który niechętnie słuchał jego wywodu, — ale nie każdy godzi się z tem, co mu czas przynosi.

— Otóż to właśnie jest źle, — rzekł Firlej, — bo czas jest wszechmocny i żaden człowiek zmienić go nie potrafi. Bierz sobie przykład ze mnie. Ja otrzymałem wychowanie klasyczne, ale wpadłszy młodością moją w czasy romantyzmu, prowadziłem życie romantyczne. Byłem nawet przez jakiś czas masonem a w pewnej chwili o mało żem demokratą nie został. Ale dziś, kiedy romantyzm rzucono do starej skrzyni, ja go pewnie podnosić nie będę i idę z czasem...

— To bardzo pięknie, rzecze na to Zaklika, —* ale mimo to jeszcze nie wiem, czem dzisiaj jesteś.

— Jestem konserwatystą, — odpowiedział mu Firlej jakoby ze zdziwieniem, że on tego nie wie

— Otóż tego ja nie rozumiem, — rzekł na to Zaklika, — bo jest w tem sprzeczność. Jakże? romantyzm, który ducha naszego społeczeństwa odrodził, odżywiając

b

jego wszystkie narodowe pierwiastki od czasów Bolesław-
wowskich aż do ostatnich i wnosząc
weń wszystkie cywilizacyjne żywioły, rzucacie do starej skrzyni, — wszystkie usiłowania
naszych ojców i dziadów, ażeby narodowi jego dawną potęgę przywrócić, nazywacie
co najmniej polityczne- mi błędami i zarzucacie im głupotę a nawet i nieuczciwość, — o całej
naszej przeszłości wydajecie sąd taki, że była ona z małymi wyjątkami tylko szeregiem
politycznych obłądów i niedorzeczności: i przy tem wszystkim nazywacie się
konserwatystami? Nie wiem zaprawdę, co wy konserwujecie.

Tu Frydrusz przyszedł ojcu z pomocą i rzekł z naciskiem :

— Wiarę, ziemię i język.

Zaczem Zaklika obrócił się do niego i tak mówił:

— W dyskusję o wierze się nie wdaję, bo szanuję • wszystkie religijne uczucia; o
tem, jak wy język konserwujecie, musiałbym rozprawiać do jutra — a że ziemię źle
konserwujecie, bo nam jej ciągle ubywa, o tem wiecie be- zemnie. Lecz przypuściwszy, że to
wszystko konserwujecie, to wasza konserwacja na nic się nie przyda, jeżeli nie konserwujecie
zarazem tych idei, które po wszystkie wieki były miazgą i jądrem naszego społeczeństwa a
przeto jego duszą żywiącą. Jak ciało człowieka jest trupem, kiedy duszę zeń wypędzono, tak i
ciało społeczne musi popaść w zgniliznę i stać się pastwą społeczeństw sąsiednich, kiedy się
swojej duszy wyparło. Prawo natury jest jedno i to samo dla wszystkich organizmów na tej
ziemi żyjących — a tylko spełnienie się tego prawa odbywa się różnie: ciało człowieka rozłoży
się za lat kilka lub kilkanaście a rozkład społeczeństwa potrzebuje kilku pokoleń.

^Zaklika. T. £

i 13

. — Mój drogi, — rzecze mu Firlej, — co się z tem albo owem społeczeństwem stanie za kilka pokoleń, to tylko Panu Bogu wiadomo. Ja tak daleko mojami myślami nie sięgam. Ja tylko jestem zdania, że gonienie za temi ideami czy ideałami dzisiaj już nie jest na czasie a nawet byłoby nietylko niedorzecznością...

— Go innego jest gonić na ślepo za ideałów ziszczeniem, — przerwał mu Zaklika, — a co innego ideały zachować.

A na to Firlej:

— Kto ideały chowa, ten pragnie ich ziszczenia a kto czego pragnie, ten za tem goni. A dzisiaj przecie już powinniśmy wiedzieć, że te ideały się ziścić nie mogą. Wszakże żęśrny przez pare pokoleń nie szcędzili dla ich ziszczenia ani krwi, ani majątków. A proroctwa waszych poetów, że cud się stanie, także się nie ziściły, bo cud się nie stał i dla nas się pewnie nie stanie. Góź nam dziś pozostaje? Oto zastosować się do położenia, w jakim się znajdujemy a to tem bardziej, ile że to położenie, jeżeli jest złe, to Bogiem a prawdą nie bez naszej winy. Piękne są wszystkie marzenia. Ja ich nie potępiam, bo wiem, że nieszczęśliwym wielką słodycz przynoszą. Ale marzenia takie, które są zarazem pokusą, stanowczo potępiam, bo gorzkie rozczarowania w ślad idą za niemi i dają tem głębiej uczuwać nieszczęście. Toż mojem zdaniem, jeżeli nam jeszcze woino o czem marzyć beskarnie, to chyba o stopniowem poprawieniu naszego losu w etnograficznych granicach...

Tu wszakże znowu mu przerwał Zaklika i mówił te- Taz z pewną niecierpliwością*:

— Dokąd wy chcecie zajechać w waszych etnograficznych -rranicach? To hasło brzęczy mi koło uszu od lat

kilkunastu, ale nie może mi się na żaden sposób pomieścić w głowie. Być może, że kiedyś społeczeństwa tworzyły się z plemion jędnójzycznych, ale już wtedy o granicach państw orzekały, nie język i pochodzenie mieszkańców, tylko morza, rzeki i góry. Czy mieczem określano granice państwa, czy sąsiadujące ze sobą plemiona dobrowolnie się w jedno państwo łączyły, zawsze miano bezpieczeństwo na oku a nie języki i wiary. Hasło to zatem jest czczą formułką, która niema podstawy w historii i nie ma jej także w polityce czasów dzisiejszych. Narodowość nie jest bussolą dla tworzenia się organizmów państwowych. Dość rzucić okiem na kartę europejską, aby się o tem przekonać. Belgija mówi po francusku a ani przez sen o tem nie myśli, aby połączyć się z Francją a Francja także jej przyłączenia nie pragnie; natomiast Alzacja i Lotaryngija .choć są pierwotnie niemieckie, ciążą do Francji a Francja gotowa jest zawsze wylać strumienie złota i krwi, aby Je napowrót odzyskać.

Mała Szwajcarya mówi trzema różnemi językami a jedno państwo stanowi i żadne ze składających ją plemion nie pragnie się od niej oderwać, chociaż każde z nich ma swoich pobratymców pod bokiem. Irlandya i Anglija mówią tym samym językiem a nie mogą się z sobą pogodzić. Niemcy nie roszczą sobie żadnych pretensyi do ziem nadbałtyckich a chociaż w większej swej części z sobą są połączone, południowego Niemca z północnym dzielą wszystkie uczucia i przekonania. Takich przykładów możnaby naliczyć jeszcze daleko więcej. Jeżeli wy na etnografii budiye- cie, przyszłość waszego społeczeństwa, to budujecie na piasku. Język sam, jeżeli społeczeństwo się swojej duszy zaparło, nie jest dostateczną bronią przeciwko assimilacyi.

Są resztki społeczeństw[^] które jeszcze do dziś dnia zachowały swój język a mimo to już od dawna społecznościami nie są. Was, z waszą etnografią, czeka los Łużyczan[^] i Wendów — a choćby nawet Ślązaków lub Czechów, to i tego wam nie zazdroścę.

Stary Firlej słuchał go z wielką uwagą, ale po jego; twarzy smutny się wyraz rozlewał, zdawało się, jakoby się* w nim jakieś dawne budziły wspomnienia, które nie były w niezgodzie z myślami Zakliki, bo patrzył na niego okiem * przyjaznym; jakoż nic mu nie odpowiedział, rzekł tylko 3

— Ty sięgasz twojemi myślami w przyszłość bardzoj odległą a nam idzie o chleb powszedni na dziś i na[^] jutro... “

Ale tymczasem młody Balcerek zabrał głos i tak mówił:

— Ja się zupełnie w tem zgadzam z panem Zakliką* że nas czeka los Łużyczan i Wendów, ale cóż z tem zrobić, kiedy takie jest prawo natury. Państwa i społeczeństwa tak długo żyją na świecie, jak długo mają dosyć siły żywotnej w sobie, ażeby swoją indywidualność utrzymać.] Jak skoro ta siła, czy-to sama się zużyje, czy też zostanie rozbitą, następuje śmierć i ciało się zaczyna rozkładać. To | ciało społeczne można jeszcze zapomocą sztucznych wysi-1 leń na jakiś czas zgalwanizować, ale powrócić mu życie J nikt nie potrafi, bo prawo natury nie zna zmartwychwsta-1 ni a. Nie jest to nawet wcale potrzebnem, bo cóżby taki upiór miał robić pomiędzy żywemi? Tego rodzaju marzc- J nia nie mają żadnego związku, ani z rzeczywistością, ani, z pojęciami dziś żyjących pokoleń, ani z kierunkiem, jaki teraz bierze duch czasu. Wszystkie europejskie społeczeństwa już się przeżyły a ich urządzenia rozpadają się w proch

sanie ze siebie. Tylko kto w gusła wierzy i zażegnywa burze święconym obrazkiem, może sobie roić sny takie, że ta społeczna ruina będzie jeszcze trwać wieki a w tej ruinie jakiś grób się otworzy i powstanie zeń jakiś umarły do 'życia. Zadaniem dzisiejszego czasu jest właśnie zagrzebywanie resztek strupieszalego świata a nie wskrzeszanie umarłych. Przyszłość ludzkości leży w kolebkach, nie w grobach. Pojęcia narodowości, ojczyzny i odrębności jakichś zamkniętych w sobie społeczeństw, opartych na podstawie średniowiecznych tradycji, to są dekoracje teatralne, które jeszcze stoją na scenie, chociaż sztukę już odegrano. A przecież szczęście człowieka nie leży w dekoracjach, nie w litym pasie i sobolim kołpaku. Jemu czego innego potrzeba: to też świat dąży ku temu, ażeby zatrzeć te śmieszne różnice pomiędzy ludźmi i zrobić z nich jedno wielkie społeczeństwo ludzkości. Co najwięcej, to utrzymują się rasy: romańska, germańska i słowiańska, bo te różnice leżą w naturze. Ale i te różnice się z czasem poziewają ze sobą pod wpływem wszystkim wspólnego prawa: prawa do pracy i chleba.

— I na tem koniec? — zapytał go Zaklika z uśmiechem, — jako socyalista, nie powiedziałaś nam nic nowego, bo czemże jest socyalizm? Socyalizm jest w gruncie rzeczy tylko zastosowaniem zasady demokratycznej do kwestii chleba. Tem tylko — i niczem więcej. I w tem każdy się chętnie z nim zgodzi, bo nikt rozumny i uczciwy nie odmówi temu kawałku chleba, kto razem z chlebem winydykuje prawo do pracy. Ale sam chleb nie może być jednym i wyłącznym celem ludzkości. Ludzkość potrzebuje jeszcze innych pokarmów do życia — a wy ją ograniczacie do chleba. Daj myż na to, że wam się uda wymieść wszy

skie strupieszale pozostałości ze średnich wieków, że urządzicie świat cały po waszej myśli, że w tym świecie panno • wać będzie wyłącznie prawo do pracy i chleba, że tego chleba mieć będziecie po samą szyję i że się nim będziecie nasycać nawet ponad wasz głód i pragnienie: to czyż na tem będzie wam dosyć? Jeżeli powymiatacie poezję, literaturę i sztuki piękne, pradziadowskie pamiątki i ojcowskie wspomnienia, i wszystko co piękne, bo niepożyteczne, i wszystko co wzniosłe, bo nie można je posłać do młyna, aby je zemleć na mąkę, i wszystko co dobre, bo nie można je upiec na rożniu, to cóż wam zostanie, czemuście mogli ducha waszego pokarmić?

Baicerek patrzył na niego, namyślając się, co mu ma odpowiedzieć — a tymczasem Frydrusz rzekł z pewnym naciskiem :

— Zostanie Kościół.

Zaklika na to słowo wstał raźnie z krzesła i* zawołał z uśmiechem :

— Chyba że Kościół! ażeby tej nowej ludzkości dać zaraz ostatnie pomazanie.

Wszyscy wstali z nim razem a on zbliżył się -do sta-* rego Firleja i zaczął go wypytywać o jego angielskie źrebięta, które mu się w ostatnich dniach porodziły.

Tymczasem Frydrusz odezwał się do Balcerka:

— No, a co tam pan piszesz nowego? \

— Nic jeszcze, — odpowiedział mu Baicerek, — ostatnie moje powiastki posłałem panu wczoraj przez pana hrabiego.

— Zaraz je przeczytałem, — rzekł Frydrusz — i przyznam się panu otwarcie, że je czytałem z jak największym zajęciem. Pan masz wcale niezwykły dar obserwacji. Ci

chłopi u pana, to jakbyś pan ich był odfotografował. Ich postacie, ich ruchy, ich uczucia i myśli a nareszcie ich mowa, to wszystko odbite jak gdyby w zwierciadle. Pan jesteś, jak mało który z naszych dzisiejszych pisarzy, właśnie dans le courant dzisiejszej europejskiej literatury. To też jest właśnie, czego nam dzisiaj potrzeba. Co tam te lataniny naszych dawniejszych poetów po nadpowielrznych krainach ducha! To nigdy nie miało realnej wartości — a dzisiaj już się zupełnie przeżyło. My chcemy dziś czytać prawdę i prawdę taką, jak jest, bez żadnej fantastycznej okrasz...

— Nie wiem ja, — powiedział mu skromnie Balcerek, ~ co są warte moje utwory, ale to panu powiem, że mnie wszystko przejmuje wstrętem, co jest zmyślane, choćby to były najpiękniejsze i najgórniejsze pomysły. Co mnie to może obchodzić, co się temu lub owemu pisarzowi roi po głowie. Szyller i Goethe a choćby nawet i Wiktor Hugo, chociaż ten z pewnego punktu widzenia stanowi wyjątek, ileż-to głów oni zbałamucili i ilii ludzi, dzięki ich bałamu-

,ctwom, przeżyło całe swe życie na jakiejś ziemi, która istniała tylko w ich wyobraźni i ani nawet nie była podobną do tej, po której swemi własnymi nogami stąpali!

Te wszystkie poezje razem z filozofią spekulatywną, wszystko to dzisiaj rozsypało się w gruzy i idzie już tylko o to, aby po wymiatać to śmiecie, które się po nich zostało. Ale się też nad tem pracuje i pracownicy ciągle się mnożą

— Pisz pan, — rzekł Frydrusz, ściskając mu rękę, — pisz jaknajwięcej, zawsze pana będziemy czytać z zajęciem.

W tej chwili Zaklika rzekł głośno do starego Firleja:

— Chodźmyż teraz do dam, bo jużemy się dość napalili a nawet i nagadali.

Tak wszyscy szli do kobiecych salonów: ale tam bardzo krótko bawili, bo już się późno zrobiło; zaczęli się pożegnali z panią domu i szli na werandę w towarzystwie obydwóch Firlejów, przed którą już zajęły powozy.

Na werandzie Ignasz się zbliżył do ojca i rzekł:

— Papa pozwoli, abym Balcerów odwiózł moim powozem do domu, bo oni mają jakieś konie robocze, które będą się wlokły do rana a ja ich za pół godzinki na Balcerówce wysadzę.

— Jak chcesz, — odpowiedział mu ojciec, — tylko ich w fosę nie wywróć, bo na zimną kąpiel jeszcze za- wcześniej, chociażby się może Balcerkowi przydała.

— Niech papa będzie spokojny, — rzekł prędko Ignasz, — a pan Józef może sięść ze mną na kozioł, albo też do powozu Balcerów, który może zboczyć do Zaklikowa.

Ale Fajara podniósł w górę index swej prawej ręki i dał mu nim znak zaprzeczenia, mówiąc:

— Ja ani na twój kozioł nie siądę, bo moje kości mi miłe, ani też do powozu Balcera, bo nie wiem, do jakiego .zawiózłby mnie falansteru; raczej pójdę piechotą.

Ale na to rzecze Zaklika:

^

— Otóż masz! a przecież w moim powozie jest dwa miejsca na przodzie. ^w

Tak tedy Ignasz, wpakowawszy Balcerka i Florę do swojej wiktoryi, ruszył po kawalersku z kopyta — a Zaklikowie wsiedli z Fajarą do swego powozu i odjechali.

W drodze, Zaklika rzekł do Fujary:

— Jak-to dziwnie się u nas ukształtowały te nowe prądy duchowe! Jeden pojechał na prawo a drugi na lewo, ale obydwóch poniosły ich wierzchowce i obydwaj dotarli aż do ostatnich krańców egzageracyi. Jeden z nich zajeżdżał do Rzymu a drugi w jakąś ideologię nowego układu społeczeństw, której sam nie umie określić. A przecież jest to odwieczny axiomat nauk społecznych, że siła społeczeństw tylko w chwilach gwałtownych przewrotów leży na krańcu, zaś w czasach normalnego rozwoju powinna zawsze leżeć we środku. Ale my zawsze jesteśmy na krańcach, nawet wtedy, kiedy chcemy się trzeźwić. I Balcerk i Frydrusz, obadwa są fanatykami zasady trzeźwienia.

Na to zaś zauważył Fujara:

— O Balcerku nie mówię, bo wcale go nie rozumiem. Ale Frydrusz to całkiem co innego: en homme eon- mineu, il est peut-ctre trop cassant, ale jeszcze młody, więc z czasem się umiarkuje. A ja zawsze wolę widzieć u młodego człowieka pewne przekonania, choćby zanadto stanowcze, niżeli taki indyfferentyzm, jak u Ignasia.

— Zapewne, — rzekł na to Zaklika i zaraz się obrócił do Geni, mówiąc: — cóż tedy pani Firlejowa?

. — Bardzo poważna i zacna matrona, — odpowiedziała Geni, — a grzeczna... grzeczna nad podziw. Ja sobie wyobrażam, że taką byłaby moja matka, gdyby była żyła.

A potem zaczęła szczebiotać:

— Ona jest wielką przyjaciółką papy, nie mogła się papy odchwalić. Mnie się to bardzo podobało z jej strony, bo będę mogła mieć do niej zaufanie. A pan Firlej także. Ja widziałam kilku takich starych panów w Krakowie, ale

teraz już ich coraz mniej. Szkoda-to wielka, bo to są piękne typy naszej przeszłości. Ale Frydrusz zupełnie się wdał w swego ojca. Przytem bardzo jest ukształcony, bardzo dużo ma konwersacyi, widać w nim człowieka dobrego towarzystwa a nawet jest bardzo przystojny.

— Mais il porte des faux-cols, — rzekł żartem Zaklika.

— Ah! c'est autre chose, — odpowiedziała Genia, — zresztą nie uważałam.

— Widzisz, to tak jest u was, — rzecze jej ojciec, — jak Baicerek co zrobi, to zbrodnia, ale jak Firlej zrobi to samo, c'est autre chose.

— Może to przez oszczędność...

— Piękna oszczędność, kiedy murzynów ilawraca i jeszcze ich wozi ze sobą.

— Ah! murzyni, to rzecz bardzo kosztowna, — zauważył Fajara i z tem zajęchali przed ganek.

Po odjeździe gości Firlejowie zasiedli jeszcze na chwile- w salonie, aby sobie swoich wzajemnych wrażeń udzielić-

— Więc jakże Genia ? — zapytał Firlej, obracając się do swojej żony.

— Ah! tres, tres bien, — odpowiedziała mu żona — ja wprawdzie byłam z góry przekonana, że ją wychowano starannie, ale nie spodziewałam się, aby we wszystkim była tak dobrze. Gdybym ja sama była kierowała jej edukacją, to byłabym uszczęśliwiona z takiego rezultatu. Nawet mnit* trochę zadziwiła, bo. tych-tam fantazyi ojcowskich u niej ani śladu.

— A Fryś co na to? — zapytał Firlej.

— Ette m'irait tres hien, — odpowiedział Fryś sucho.

Na to Firlej, widocznie zadowolony, poprawił się na krześle i zaczął mówić z zajęciem:

— Więc trzeba tę rzecz forytować, bo to par ty a doskonała. Pod względem posagu, to nawet trudnoby coś stosowniejszego wynaleść dla Frysia, bo Zaklika ma kapitały, Fryś ziemi nie potrzebuje, bo ma jej dosyć, a Zaklika właśnie największą wartość przywiązuje do ziemi. Mógłby zatem Ignasia wyprawić na Żmudź a Zaklików zatrzymać sobie do śmierci, et tout le monde serait satisfail.

Wszyscy jakoś instynktowo wysyłali Ignasia na Żmudź, Firlej mówił dalej:

— Jakie ma kapitały, tego ja wprawdzie nie wiem, ale jeden z bankierów wiedeńskich powiadał mi tej zimy, że ma dużo pieniędzy i bardzo szczęśliwie niemi obraca. Nie pojmuję zaprawdę, jak on to robi, aby mieć tyle pieniędzy.

— Dobrze gospodaruje a mało wydaje, — rzekł Fryś, sucho jak zwykle.

Ale Firlej nie zważał na tę naukę i mówił dalej:

— Ale nie trzeba tej sprawy przewlekać, bo ja się muszę wam przyznać, o czem zresztą Frysiowi wiadomo, że się znajduję teraz w takiej ciasnocie, jak jeszcze nigdy w mem życiu. Na św. Jan mam kilka terminów i to dość znacznych — a w kasie pustki, rządca pobrał już nawet zaliczki na przyszłe zbiory.

Jużci wierzyciele mi głowy nie urwą, ten i ów skłoniłby się nawet do prolongacyi, ale ja wolałbym śmierć, niżeli takie upokorzenia, bo tu nawet i procentów niema z czego zapłacić. W naszym procesie z Lubormirskimi

O las już w tych dniach najwyższy wyrok zapadnie, może już zapadł; ba! gdybyśmy ten proces wygrali! ale ja sobie tej illuzji nie robię. Jużci ja jestem w Petersburgu lepiej położony, niż oni, moi tamtejsi przyjaciele szczerze mi pomagają, ale Lubomirscy mogą silniej forsować, chyba żeby sprawę zaspali. A tu pomiędzy naszymi wierzycielami jest także Zaklika i to nie z sumą najmniejszą. Jeżeli się między naszymi dziećmi bliższe stosunki zawiążą, to św. Jan przejedziemy z nim jak po mydle.

— Ja Zaklikę biorę na siebie, — rzekła pani Firlejowa, — Genia mi w tem pomoże.

— Jednak tę rzecz trzeba także prowadzić bardzo ostrożnie, — zauważał Firlej, — bo Zaklika ma swoje maroty.

— Gdyby to były tylko maroty, — rzekł Fryś, ale to są przekonania.

— Cest un reoeur, — powiedział Firlej.

— Je ne dis pas, — odrzekł mu Fryś, ale te jego marzenia są dla niego artykułami wiary. Nie powiada on od razu wszystkiego, ale reszty się łatwo domyśleć. Jaka-to tam myśl się ukrywa pod jego pojęciami o narodowościach? co znaczą te jego morza, rzeki i góry? — tego nie wiem, ale to pewna, że z taką myślą zajeżdża się do Dniepru

1 do Dźwiny. To są ludzie najniebezpieczniejsi ze wszystkich. A przecie-to oni zgubili kongresowe Królestwo...

— Tak i nie, — odpowiedział mu ojciec, zamyślając się nad tem, — ale prędzej nie, bo Królestwo byłoby i bez nich zginęło. W tej kwestyi ja się zbliżam raczej do pojęcia tego młodego Balcerka. Bo co to było? to był trup z grobu wskrzeszony a jeszcze do tego, bo to jest rzecz główna, tylko tułów trupa bez rąk i bez nóg. Takie orga-

niżmy żyć nie mogą i muszą być pochłonięte przez orga- niżmy silniejsze, za to nie można nikomu robić wyrzutu, ani nawet tym organizmom silniejszym, bo takie jest prawo natury.

— Na to zgoda, — rzekł Fryś, — ale jeżeli taka kreacja już wtedy nie miała w sobie warunków życia, jak* żeż dziś człowiek rozsądny może marzyć o kreacjach jeszcze daleko większych?

— On myśli o wielkich wojnach, — powiedział Firlej, — a wielkie wojny opierają się zawsze o morza, rzeki i góry.

— Wielkie wojny! — zawołał Fryś, — jak można na nich opierać jakąś rachubę?

— Wielkie idee — odpowiedział mu ojciec — mają to do siebie, że pociągają ku sobie wyższe umysły a przecież Zaklice wyższego umysłu nie odmówisz.

— Nie wiem, czy on jest wyższym umysłem, — rzekł na to Fryś, — bo latanie po szerokich obszarach nie stanowi jeszcze o wysokości. Dla mnie, Zaklika jest graczem, co gra o sprawy publiczne. Taka gra jest występkiem, bo on stawia na kartę nasz chleb codzienny.

— Ależ on nic nie robi.

— Dziś nic nie robi, bo nie może, ale zawsze rozsiewa około siebie zasady burzliwe i psuje ogólną harmo- nię. Takich ludzi należy łamać wszelkimi siłami...

! — Ależ mój Frysiu! — zawołał Firlej mocno tem zniepokrjony, — nie mięszaj-że spraw publicznych z interesami familijnymi. Ja twoje zasady pochwalam, cela va sans dire, ale spodziewam się po tobie, że przecież nie będziesz z nimi wyjeżdżał tam, gdzie chodzi o ożenie. Będzie w tem także akt patryotyczny, bo przecież idzie o utrzy

manie majątku, który jest zagrożony. - Ozy podejmujesz się utrzymać majątek w całości, nie wzięwszy znacznego posagu w gotówce?

— To nie, — rzekł Fryś z uśmiechem, — trzebaby przynajmniej kilka folwarków wyprzedać a i wtedy jeszcze bardzo ograniczyć wydatki.

— Więc widzisz. Któż takie rzeczy ryzykuje dla jakichś zasad, latających po powietrzu?

— Ależ o tem niema mowy, — rzekł Fryś.

A tutaj odezwała się matka, mówiąc:

— Nie wiem doprawdy, o co wam chodzi. Przecież Frysia nie można posądzać o brak rozsądku i taktu...

— Trzeba unikać dyskusyi, — rzekł Firlej.

— Ale to się samo przez się rozumieć, —? odpowiedziała matka, — mnie co innego daleko więcej obchodzi.

— Cóż takiego?

— Oto ta Balcerówna. Cest une femme etonnante...

— Cóż w niej znalazłaś?

— Sama nie wiem, ale ja jeszcze takiej panny nigdy nie widziałam. Ona tak mówi, jak jaki starzec filozof. Wić wszystko, zna wszystkie nauki i wszystkie literatury, nawet nie mogę zrozumieć, jakim sposobem mogła się tego wszystkiego nauczyć w tak młodym wieku. Ale ona mnie jakimś, strachem przejmuje. Mówiąc z nią, miałam to wrażenie, jak gdybym stała nad jakąś przepaścią... nakrytą wprawdzie kwiatami, ale to przepaść. A co nie gada! Powiedziała mi między innymi: Qu'est-ce que ça que les Tiommes ? ce sont des joHets, on en fait ce qu'on veut.

Na to obydwaj mężczyźni roześmiali się głośno a stary Firlej rzekł:

\ — Widać, że się czuje na silach. Ale mnie to nie dziwi, bo jest bardzo przystojna et ce riest pas meme une beaute ordinaire.

— Tak, — zauważała pani Firlejowa, — toby nam mogło być obojętnem, co tam zrobi z jakim mężczyzną. Ale mnie się zdaje, że Ignas się nią zanadto zajmuje, jego ojciec na takie rzeczy nie zważa i pewnie-by się takiemu mezaliansowi nie sprzeciwił — a Frysiowi nie mogłoby to być przyjemnem, spokrewnić się z Balcerami.

Oboje rodzice patrzali teraz na Frysia, ale Fryś odpowiedział zimno:

— Ja do takiego powinowactwa nie przywiązuję żadnego znaczenia: par le temps qui court, cela se voit tous les jours.

Więc ojciec był kontent i rzekł prawie tylko dla kon- sekwencji:

— Już-to przyznaj mi Frysiu, że wy, młodzież dzisiejsza, macie wprawdzie wasze zasady, ale przy tem czasem potężne wyłomy robicie w arystokracji Jednak to wasza rzecz, my nie mamy pretensyi urządzać wam tej przyszłości, która jest waszą wyłączną własnością.

I z tem rozeszli się wszyscy do swoich apartamentów, przekonani najmocniej, że mają już Genię razem z kapitałami Zakliki.

* * • *

Nazajutrz zaraz społudnią zrobił się wielki zjazd w Zaklikowie.

Firlejowie przyjechali z wielkim dworem: rodzice ezte- rokonnym powozem d la Daumont z forysiem a Frydrusz

parokonnym wiedeńskim półkrytkiem z murzynem na koźle, za tą zaś kawalkadą jechało jeszcze dwóch forysiów na ślicznych koniach angielskich. Wszystko niezmiernie correct: Cesarzowa Eugenia nigdy paradniej nie występowała na swoich przejażdżkach po lasku bułońskim. Prawie jednocześnie z nimi przyjechali Baicerek i Flora — a zaraz po nich zajechało przed gmach kilku szlachty z sąsiedztwa z żonami, którym Zaklika porobił także wizyty z córką.

Pomiędzy przybyłymi gośćmi był także jeden młodzieniec, którego dotąd prawie nikt nie znał. Był to młody Tarło, syn emigranta, urodzony i wychowany we Francji; dopiero przeszłego- roku przyjechał do kraju, aby odebrać wioskę, która spadła na niego po ciotce, o półtorej mili .od Zaklikowa. Wysoki i smukły blondynek, z niebieskimi oczyma i rumieńcami na białej twarzy, dopiero tej zimy doszedł pełnoletności, ale daleko młodziej wyglądał; ubrany nad zwyczaj czyściutko, w czarny surducik na dwa rzędy zapięty i śnieżnej białości bieliznę, wyglądał jak salonowa lalczka, ale przytem niezmiernie był skromny i grzeczny z natury dla wszystkich. Urodzony z Francuski a straciwszy ojca za- wcześniej, umiał tylko tyle po polsku, ile się w kilku latach nauczył w szkole batignolskiej, z której przeszedł do szkoły dróg i mostów; jeszcze dzisiaj się łamał, kiedy musiał dłuższą rozmowę prowadzić w języku ojczystym, ale łamał się mężnie, dużo czytał i umyślnie wciąż mówił po polsku, i można było być pewnym, że najdalej za rok nikt po nim nie pozna, że się tego języka dopiero później nauczył. Był inżynierem skończonym i był dans les cadres, miał zatem przed sobą piękną karierę we Francji, ale się poczuł do * obowiązku wrócenia do kraju, zwłaszcza że spadł na niego

kawałek ziemi, który według swego przekonania powinien był swoją własną pracą utrzymać.

Firlejowie coś o nim tylko zdaleka słyszeli, ale go nie szukali. Stary Firlej wprawdzie wiedział o tem, że w czasie, kiedy on był w szkole podchorążych, był jakiś Tarło, bardzo naówczas młody, porucznikiem w piechocie, odznaczył się siarczystą odwagą podczas kampanii i z rangą podpółkownika przybył na emigrację; ale na emigracyi bardzo awanturnicze prowadził życie, miał mnóstwo pojedynków? chodził na wyprawy do Sabaudji i Portugalii a potem okrutnie burzył pó klubach demokratycznych; Firlej więc nie zabierał z nim znajomości — a pani Firlejowa powiedziała, że o takiego gatunku Tarłach nigdy nic nie słyszała, i na tem stanęło.

Ale Zaklika go znał już od jesieni, bo młodzieniec przywiózł ze sobą list polecający do niego od któregoś z jego paryskich przyjaciół i zaraz po swoim przyjeździe do kraju mu się przedstawił. Już na podstawie tego listu Zaklika go przyjął jak swego, ale poznawszy go i^lżej bardzo go polubił. Pojechał był nawet zaraz w jesieni do niego, obejrzał jego wioskę, budynki i inwentarze, i dał mu niektóre rady, jak ma swoje gospodarstwo urządzić — a że młodzieniec nie był obznajomiony ze stosunkami krajowemi, więc mu po kilka razy posyłał Kańskiego, aby go o nich szczegółowo oświecał a nawet i czynnie mu pomagał.

Kański, kiedy się bliżej z nim zaznajomił, był pełen uwielbienia dla niego i mówił Zaklice: — Oto panie młodzieniec, jakich u nas szukać ze świecą. Na oko to niby paniczyk jak inni, ale w domu to w butach jałowicznych i w skromnym kubraczku pracuje jak parobek i sam do wszystkiego rękę przykładą. Przez całą zimę to jeno wozy,

Zaklika. T. 1.

* 14

pługi a brony naprawiał i inwentarza pilnował — a kiedy j wiosna nadeszła, to pierwaj grunta zaorał i obsiał, niż wszy-j scy inni. A jaki tam rozum a jaka praca u niego, to u nas - o tem nie mają wyobrażenia. Ja dopiero po nim zrozumia-^ łem, dlaczego francuzi są tak bogaci, że wszystkim innymi narodom pożyczają pieniądze: bo rozumnie pracują i oszczę-j dzają. I ja panu powiadam, że jeżeli on się nie da skusić! takim Firlejom i nie zacznie dać tak jak oni, to jego wieś. za lat kilka będzie jak ogród a my jeszcze będziemy jeździć do niego, aby gospodarstwa się uczyć.

Tarło, który dotąd nigdzie nie bywał a więc nie znał nikogo, prosił Zaklikę, aby go wszystkim przedstawił, ale Zaklika tak tę rzecz urządził, że go zaprowadził dó Firle-| jów dopiero na samym ostatku. Stary Firlej przyjął go do-| syć grzecznie, lecz zimno, i powiedział mu, że słyszał o jego^ ojcu, jako o bardzo walecznym żołnierzu, ale osobiście go nie znał. Pani Firlejowa, widząc młodzieńca, prezentującego! się dobrze pod każdym względem, zawiązała z nim konwer4 sacyę — a przekonawszy się, że jest ulpszałcony* i mai przyzwoite maniere, dodała w końcu łaskawie:

— Ja jestem także Tarłówna i bardzo być może, że jest między nami jakieś powinowactwo.

Ale młodzieniec odpowiedział jej na to z uśmiechem:!

— Bardzo-bym był szczęśliwy, gdyby tak było, ale ż żalem muszę pani hrabinie powiedzieć, że tak nie jest, Mój ojciec rodził się na Ukrainie i sam mi powiadał, że niema żadnych krewnych z linii męskiej a mająteczek, który| tutaj spadł na mnie, pochodzi od matki mojego ojca. Ja tylko tyle mogę znaczyć na świecie, co sam zrobię ze siebie*?

Odpowiedź taka widocznie ochłodziła hrabinę, bo za

raz z nim konwersację urwała — a potem Tarło rozmawiał z Frydruszem.

Ale kiedy jej się nawinął Zaklika, zaraz zaczęła z nim mówić o Tarle. Oddała mu kilka pochwał na zimno a potem zawołała:

— Mais c'est un drole de bonhomme, powiedziałam mu, że może jesteśmy z sobą jednej rodziny, co przecież powinno być przyjemnem każdemu... comment dirai-je? każdemu sierocie a on mi odpowiedział, nawet bardzo dobitnie, że niemasz żadnego pokrewieństwa pomiędzy nami, i jeszcze dał mi do zrozumienia, że stoi i stać chce na własnych nogach.

Na tę rzecz niesłychaną Zaklice uśmiech przeleciał po twarzy, jakoż odpowiedział jej z lekką ironiją:

• — Que voule8-vous f il y a des farceurs comme ça de par le monde, ale ja pani to wytłumaczę. On wyszedł ze szkoły dróg i mostów i ma tam swoją rangę a ci ludzie taką pozycję, którą własną swą pracą zdobyli, cenią daleko wyżej, niżeli wszystkie genealogije całego świata. Jednak pomimo tej wady, — mówił Zaklika już dalej na se- ryo» 7— jest to chłopak poważny; pracuje jak chłop, ciągle się uczy i rozwija się, jak sądzę, w zdrowym kierunku: u niego nie znajdziesz pani na stole, ani zwierzęce namiętności człowieka przedstawiających obrazów Zoli, ani ewa- nielicznych waryacyi Tołstoja, tylko same książki naukowe i poważne Przeglądyr

Ale pani Firlejowa nie mogła się uspokoić, toż spostrzegłszy Fujarę, zawołała go do siebie i opowiedziała mu tę awanię, jaką jej ten młody człowiek wyrządził. Fujara był tem tak niezmiernie zdziwiony, że zrazu nie chciał uwierzyć: Jaktó? Tarłowie się do kogoś przyznają a ten ktoś

14*

ich się wypiera? a to tam oczywiście piątej klepki brakuje. Dziwiło go to tem bardziej, ile że, jako wersat w tych rzeczach, był przekonany, że to jest prawdziwy Tarło: dość rzucić okiem na niego i widzieć jego wzrost, wyniosłość głowy i dystyngowane maniery, aby poznać, że Tarło.

Ale i on usiłował jej tę aberrację wytłumaczyć, mówiąc: że jego ojciec był jednym z najzuchwalszych demagogów w Paryżu, żył nawet podobno w ścisłej przyjaźni z Lelewelem, i pewnie wpoił swoje przewrotne zasady w swojego syna — a ci ludzie udają, jakoby byli dumni z tego, że nie pochodzą od szlachty. Ale to jest tylko chic u nich, z wiekiem i doświadczeniem to mija.

— Go mi tam z tego, — odpowiedziała mu pani Firlejowa, ciągle zirytowana, — co kiedyś będzie, ja tylko to czuję, co jest. Może mi być obojętnem, jeżeli takie zapatrywania się znajdują u Balcerów, ale Tarło to całkiem co innego. Jeszcze teraz coś tam Frysiowi wyklada. Mój Fujara, jak mnie kochasz, przybliź się do nich nieznacznie i posłuchaj, co on jemu tak preleguje.

Ciekawości nigdy nie należy brać za złe kobiecie a nawet trzeba jej zadość uczynić, jeżeli można. Fujara więc podsunął się ku nim i niby-to przez okno wyglądał a tymczasem z całej swej siły uszy wyciągał. Tarło mówił teraz w ten sens:

— Ja jeszcze kraju nie znam dokładnie. Bawiłem w przejeździe dwa tygodnie w Krakowie, byłem raz tylko w Warszawie a trzy razy we Lwowie, bo mam tam krewnych po babce. Po tem, com spostrzegł, mogę tylko jedną ogólną zrobić uwagę, ale i przy tej się nie upieram. Widziałem rozmaite stronnictwa a te stronnictwa są podzielone na różne frakcye. Widziałem pozytywistów, naturalistów

; \

i socyalistów, demokratów i demagogów, konserwatystów, arystokratów i klerykałów. Wszystkie te partie trą się ustawicznie ze sobą — a to nietylko o zasady, lecz bardzo często także o kwestye osobiste. Owóż wiadomo powszechnie, że każda siła się najbardziej zużywa przez tarcie, jest to prawo powszechne w całej naturze: dlatego też, posługując się jakąkolwiek siłą, staramy się przedewszystkiem zmniejszyć tarcie do najwyższego stopnia. Owóż te tarcia się stronnictw jednego o drugie zużywają siły społeczeństwa bezpotrzebnie — a to uderza w oczy tem bardziej, ile że kraj sił nie ma do zbytku. Fryś spojrział na niego takimi oczyma, jakimi patrzymy na okres przeczytany w książce, bardzo zajmujący, ale nie całkiem zrozumiały, zaczęł chcąc się czegoś więcej dowiedzieć, zrobił uwagę:

— Ale to tylko siła materyalna się zużywa przez tarcie.

— Duchowa także, — rzekł Tarło, — bo ta siła duchowa, którą człowiek rozporządza, jest tylko emanacją materji i także nie jest niewyczerpalną.

Fryś spojrział bystro na niego, lecz pytał dalej:

- Ale we Francji są także stronnictwa i także się ścierają ze sobą.

— Tak, — odpowiedział mu Tarło, — ale stronnictwa we Francji ścierają się z sobą tylko w sprawach politycznych i socyalnych ogólnego znaczenia — a gdzie idzie o główną społeczeństwa podstawę, o jego majątek duchowy albo o byt materyalny, tam niema stronnictw, tam wszyscy jak jeden człowiek wspólnie pracują i wspólnie bronią swej skóry. Ta wspólność utrzymuje ową jednolitą i niewzruszoną podstawę a ta podstawa jest demokratyczną, bo obejmuje wszystkie warstwy ludności i nadaje im jednakowe

obowiąski i prawa. U nas demokracja fląży wprawdzie ku temu, ale cóż z tego? kiedy zamiast" wyteżać swe siły ku podniesieniu materialnego bytu całego społeczeństwa, musi je ścierać w walkach z takim stronnictwem, które, dobrobytu pragnie tylko dla jednej warstwy społecznej.

— Nie sądzę, żeby tak było, — rzekł na to Fryś, który go już zaczynał rozumieć, — bo i u nas nikt nikomu nie broni, ażeby sobie poprawił swój byt materialny. Ale" czy nie rozumiesz pan, że nasza demokracja tylko dlatego dąży do uzyskania materialnej podstawy, ażeby uzyskać przewagę w kraju?

Na to się Tarło uśmiechnął i rzekł: .\

A przecież taki jest cel wszystkich stronnictw na świecie! Ale stronnictwo demokratyczne jest tem wyższe od wszystkich innych, że przyjście do przewagi nie jest jego celem ostatnim, bo przewaga jest dla niego tylko środkiem do innego daleko wyższego celu, do rozszerzenia dobrov bytu i zamożności na wszystkie warstwy społeczeństwa...

— Choćby z uszczerbkiem tych klas, — przerwał mu Fryś, które dziś posiadają majątki.

r— Nie, — odpowiedział mu Tarło po krótkim namyśle, — to nie jest naszym celem, to tylko może być skutkiem wolnej konkurencyi na podstawie równości, do której właśnie dążymy — i tem też głównie różni się demokracja od wszystkich stronnictw socjalistycznych. Jakoż z tego punktu widzenia trudno mi pojąć, dlaczego arystokracja tak zawziętą walkę prowadzi z demokracją, bo przecież jest rzeczą widoczną, że mniej niebezpiecznym jest dla niej ten sąsiad, który intelligencyą i pracą z nią walczy o le-, psze, niżeli tamten, który jej gwałtem chce zabrać jej jasność.

— To, co pan mówisz, — rzekł na to Fryś — możeby było logicznem w teorii, ale w praktyce się przedstawia inaczej. Gdyby arystokracja wiedziała, gdzie jest granica pomiędzy demokracją a socjalizmem, to możeby jakieś porozumienie było możebnem, ale ona tej granicy się-dowiedzieć nie może a to dlatego, że jej niema. Natomiast widoczną jest między niemi wspólność ostatecznego celu, bo i jedna i drugi dążą do wywłaszczania bogatych i do rozdzielania się majątków pomiędzy ubogich.

— Ale nie jednymi środkami, r- rzekł Tarło.

— Mój drogi panie, — odpowiedział mu Fryś z uśmiechem, — czy ktoś mój majątek swoją inteligencją pomału wyskubnie spodemnie, czy mi go gwałtem zabierze, to dla mnie jest kwestyą podrzędną. Powiem nawet więcej : jeśliby mi wolno było wybierać, to jużbym wolał, tak z ludzkich, jak i z chrześcijańskich powodów, żeby mi go gwałtem zabrano, bo wtedy przynajmniej istotnieby go roz dzielono pomiędzy ubogich, podczas kiedy ten intelligent, co go wysmyknie spodemnie, zachowa go dla siebie samego i pewnie z innymi się nim nie podzieli.

Ale uzyska podstawę do dalszego działania, — rzekł Tarło otwarcie.

— To zapewne! — zawołał Fryś z wesołym uśmiechem, — ale do jakiego działania?

— Do rozszerzenia dobrobytu na cały kraj — odpowiedział mu Tarło stanowczo, - podczas kiedy to stronnictwo, które dziś jest u steru, zabiera wszystko dla siebie.

Na to Fryś się trochę zapalił i odpowiedział mu z naciskiem :

— Pan masz wyłącznie Galicyę na oku, ja jestem tamtejszym obywatelem, więc mogę panu powiedzieć ze

znajomością rzeczy, że to stronnictwo ma daleko więcej dobrobyt całego kraju na celu, niżeliby go miało każde inne — a to dlatego, że na naszym własnym gruncie wyrosło i działa według naszych własnych a nie według cudzych, • bo skąd inąd nawiezionych idei.

— O tych własnych ideach dużoby mówić, ' — rzekł Tarło, — ale jakież są rezultaty ? to stronnictwo działa już' od lat dwudziestu — i cóż zrobiło dla kraju?

— A pańscy przyjaciele, — rzekł Fryś, — którzy także od lat dwudziestu działają, cóż oni zrobili?

Tu Tarło zdawał się być trochę zaambarasowanym, jakoż odpowiedział naiwnie: v •

— Dotychczas niewiele zrobili, ale to tylko dlatego> że ludzi nie mają,

— I nigdy ich mieć już nie będą! — rzekł sucho Fryś, — bo wielcy ludzie rodzą się tylko z wielkich ludzi — a ta stara demokracja z czasów Ludwika Filipa dk- wno już się przeżyła. Ta demokracja Mochneckich, Helt- manów, Daraczów i Mierosławskich, o ile niosła ze sobą żywotne idee a mianowicie zniesienie poddaństwa i równość w obliczu prawa, już rolę swoją skończyła, bo te idee weszły już w życie, dalsze zaś jej przybory, które były rewo-^f lucyjne a więc chorobliwe, nie mają już dziś żadnej podstawy w życiu a przeto żadnych wielkich ludzi już nie wydadzą ...

Fryś mówił dalej w tym samym tonie, ale Fujara już ich dłużej nie słuchał i poleciał do pani Firlejowej.*_f

— Więc cóż on mu tam wyklada? — zapytała go hrabina.

— Ot, Francuz! -- odpowiedział jej Fujara, — on chce, ażeby demokracja u nas się wzbogaciła, jak gdyby-

•: .. ■ \

śmy jeszcze nie dosyć mieli kupców i bankierów, którzy nas odzierają ze skóry.

— Wiedziałam naprzód, że to tak będzie, — odpowiedziała mu Firlejowa i odwróciła się do jakiejś damy, która dopiero-co przyjechała i chciała jej przedstawić swą córkę.

Zaklika, jak tylko się przedstawienia skończyły, nie chcąc za Firlejami przestać, zapowiedział swym gościom, że wszyscy, czy chcą czy nie chcą, zostaną u niego na obiedzie. Wszyscy chętnie przyjęli; zaczem szepnął zaraz Fucharze do ucha:

— Zwiń-że się teraz i daj nam obiad od trzechkroć stutysięcy a nie żałuj także i jeneralskiej piwnicy, bo mamy tu gości, co się znają na winach.

Fucharze w to graj: więc zniknął zaraz — i nie pokazał się, aż kiedy mógł powiedzieć Zaklice, pół żartem, ale z wielką emfazą: Monsieur esł servi.

Do obiadu nakryto w wielkiej sali jadalnej, stół był udekorowany przepysznyimi kwiatami i owocami — i wszyscy wieszowali Fucharze, że tak wykwinłnie umie urządzać te rzeczy.

Genia siedziała obok Frysia. Miejsce to obok córki gospodarza należało mu się przez grzeczność dla państwa Firlejów. Ale obok niej po drugiej stronie Zaklika sam posadził Tarłę, co wszyscy zauważali.

Bardzo był z tego niekontent Balcerek i prawie za- chmurzonemi oczyma rzucił za to na Zaklikę, z czego można było wnosić, że i jemu się także coś po głowie roilo. Flora, którą Ignas przyprowadził do stołu, a przeto przy nim zabrała miejsce, była w doskonałym humorze i uśmiechnęła się z tej niemiłej przygody swojego brata; ale Bal-

cerk już się wcale jak Jowisz zachmurzył, kiedy się Spozrzegł, że go Fujara posadził pomiędzy dwie bardzo poważne obywatelki, które wprawdzie były nie bardzo młode, ale za to potężnie wyfiokowane.

Fryś był zrazu mocno z tego niezadowolony, że Tarło siedzi obok Geni, a nawet nadzwyczajnie dla niej jest grzeczny; ale się niebawem pocieszył, bo dostrzegł, że Genia go traktuje jak studencika a nawet coś mimochodem wspomniała o szlachcicach siedzących na jednej wiosce, co mu się wydało niezmiernie zręcznym i ledwie nie jenijalnym.

Ignas był tak całkowicie Florą zajęty, że nawet nie wiedział, co je i co pije i raz kieliszek przewrócił a drugi raz do szklanki od wody nalał jej wina po same brzegi. Przytomniejsza od niego Flora za każdym razem pochyliła głowę i patrząc niby w swój talerz, powiedziała mu sicha:

— Ne vovez pas si distrait, tout le monde nous regat de.

Obywatelki, pomiędzy którymi siedział! Baicerek, usiłowały go bawić swą konwersacją, wysilając się na jaknaj* głębsze pomysły i jaknajgłębszą francuśczyznę, ażeby go przekonać, że i one, chociaż mieszkają w kraju, przecież także wiedzą, co się dzieje za granicą.

' Jedna z nich zaczynała zawsze swoją przemowę od słów:

— Pan, jako dobry katolik, przyznasz mi przecie bez trudności... ^

A druga powiadała mu:

— Jakże pan jesteś szczęśliwym, żeś się wychowywał w Szwajcaryi, w kraju tak katolickim...

Jeżeli diabeł, jak mówią Niemcy, kiedyś wpadł w kro-

pielnicę, to mu w niej pewnie nie było tak "duszno, jak jemu pomiędzy temi damami. Jakoż stracił wreszcie cierpliwość i odpowiedział, tej drugiej damie :

— W Szwajcaryi jedna połowa mieszkańców jest protestancka, druga niema czasu zajmować się takimi rzeczami i nie wyznaje żadnej religii a reszta to katolicy^..

Jakoż niebawem byłby im powiedział, że on należy do tej drugiej połowy; ale przed końcem obiadu służący podał mu jakiś list na talerzu.

Balcerek list przeczytał, wstał i powiedział coś swojej siostrze.do ucha. Flora mu odpowiedziała:

— Zaczekaj jeszcze do końca obiadu i jedź, ja jeszcze z godzinkę zostanę a potem pan Ignacy mnie do domu odeszle.

Niebawem zaczęto wstawać od stołu i Balcerek zniknął, przez nikogo niespostrzeżony. Ignas nie pytał wcale, dlaczego Balcerek odjeżdża, bo był cały zajęty tą myślą, że sam Florę odwiezie. Jakoż wybiegł zaraz do sieni i ka zał parę koni zaprządź do swego powozu. Flora bawiła jeszcze całą godzinę w salonach, poszła do mężczyzn, wypila un verre de fine i wypaliła dwa papierosy, wróciła do dam i oczarowała wszystkie swoją niewyczerpaną rozmową: ale koło godziny dziesiątej pożegnała się tylko z Genią i zniknęła równie niespostrzeżenie z pomiędzy gości.

Ignas wybiegł za nią, wyprowadził ją na tylną werandę, wsadził do powozu, sam siadł koło niej i wyjechał przez bramę folwarczną.

A jak wjechali na szeroki gościniec, rzekł do stangreta :

— Teraz puszczaj i pokaż, co umiesz.

Na gościńcu konie się rozłożyły w wyciągniętym kłu

sie jak ptaki i w kilkanaście minut stanęły na Balcerówce przed gankiem.

Przez te kilkanaście minut Ignas chciał kilka razy da Flory przemówić, lecz nie mógł. Serce mu biło gwałtownie, oddech mu się zapierał w piersi, czuł że mu słowa zamrą na ustach, nie miał nawet żadnego konceptu i nie wiedział, co by miał jej powiedzieć. Szukał nieśmiało raz czy dwa razy jej ręki, ale nie mógł jej znaleźć, rzecz dziwna, bo nawet nie wiedzieć, gdzie ręce podziała.

Flora rzuciła kilka razy ukradkiem oczyma na niego i uśmiechała się, zdawało się, że ona była całkiem przytomną: ale on tego nie widział, bo noc była wprawdzie pogodna, ale bez światła i drzewa stojące po obydwóch stronach gościńca szybko przelatujący cień na nich rzucały.

Kiedy stanęli w ganku, Ignas także jeszcze nie wiedział, co by miał jej powiedzieć; lecz wtedy ona stanęła przed nim z śmiejącymi się oczyma a twarzą tak rozproszoną, że aż jakieś światło z niej biło na niego, wzięła go prawą ręką za brodkę i powiedziała mu piosnkę, którą dzieci się bawią we Francji:

Je t e tiens, tu me tiens, Par la barbichette, Le premier qui rira, Aura la claquette,

A ponieważ on się uśmiechał, chlapnęła go rączką po twarzy.

Ignas chciał ją chwycić za rękę, tymczasem ona położyła obydwie ręce na jego ramionach i przez jedną sekundę patrzyła mu w twarz, ale teraz jej oczy były pełne jakiejś tak głębokiej tkliwości, że mu się mdło zrobiło na

\
sercu; poczem głowę przechyliła na jego ramiona i musnęła go swoim prawym policzkiem lekko po twarzy. Ignasiowi się zrobiło gorąco, ognisty płomień przeleciał mu z piersi do głowy, chciał ją objąć swymi ramionami i przycisnąć do siebie; ale ona mu się wyrwała, zawołała: — Au revoir, a demain... ou apres, — i zniknęła w głębokiej sieni.

VIII.

Ignas wróciwszy do siebie, przesnął noc niespokojnie, ale nie tak, jak pare dni przed tem, gdzie go gorączka paliła. Teraz opanowało go jakieś uczucie błogie i miłe: miał przekonanie, że Flora go kocha, przecież inaczej nie byłaby oparła głowy na jego ramieniu. On ją już ma, tylko wziąć jej nie unrał — i z tego powodu robił sobie wyrzuty.

Niebawem znalazł, że jest głupi jak but. Wszystko co dzisiaj zrobił, jest głupie. Siedział przy niej przez całą godzinę przy stole i ani razu ją za rękę nie ścisnął. Siedział przy niej przez kilkanaście minut w powozie i ani słowa nie mógł przemówić. A potem, dlaczego kazał jechać tak prędko? Tylko taki osioł jak on może zrobić coś podobnego. Na ganku stał przed nią jak bałwan i czekał, aż póki ona nie przemówi do niego. A potem, kiedy ona zwiesiła głowę na jego ramiona, zamiast ją porwać jak w kleszcze żelazne i pokryć jej twarz pocałunkami, on obwisł przy niej jak snop wymłócony i patrzył na nią jak błazen. Jaki głupi on wtedy musiał mieć wyraz na twarzy! Gdyby mógł, toby sobie sam plunął w twarz za taką głupotę. A wreszcie, zamiast ją porwać i zanieść na rękach do jej sypialni, hm!... A tu mu krew szybciej zaczęła krążyć po żyłach i gorąco

mu się zrobiło. I mówił do siebie: — kiedy człowiek ma lat dwadzieścia i trzy, to zawsze jest głupi. Wziąłby którąkolwiek fortecę jak nic — a nie umie wziąć marnej kobiety* Chciałbym mieć teraz lat co najmniej trzydzieści, ci ludzie postępują całkiem inaczej...

Z tych reflexyi należy wnosić, że młodzieniec miał zbrodnicze zamiary. Ale on teraz już o tem wcale nie myślał, bo wzięła w nim przewagę materya. Energija materyi, nieokiełzanej siłą duchową, jest tak potężną, że sama wyłącznie swym ruchem kieruje. Materya niema rozeznania, co jest złe a co dobre, a przeto w tym kierunku, sama w sobie, niema żadnego oporu. Nad wszystkimi ruchami materyi w organizmach żyjących panuje dążność do rozmnożenia gatunku. Wszystkie drogi i środki, prowadzące do tego celu, są dla niej dobre. Ten pęd jej zwalcza wszelkie trudności, które mu stają na przeszkodzie: drobne nasienie krzewu, przywalone największym głazem, jeżeli tylko może kiełkować, wypuszcza swoje tryby z pod głazu i wyrasta obok niego w wspaniałe drzewo. Temu samemu prawu ulega człowiek — i jeżeli niema w sobie siły duchowej, którąby opanował materję, staje się jej niewolnikiem. Potem ten pęd materyi nazywa dźwięcznie miłością, ale to istoty rzeczy nie zmienia. Ten pęd zasługuje na nazwisko miłości dopiero wtedy, kiedy nie sama energija materyi, ale myśl, wychodząca z uczucia, przewodniczyła wyborowi i kiedy, oprócz pociągu krwi, wytworzyła się sym- patja duchowa. A i taka miłość staje się dopiero wtedy zupełną i godną przeznaczenia człowieka, kiedy reproduk- cya już została spełnioną i za przewodem troski o utrzymanie gatunku, stała się moralną podstawą do utrzymania rodziny. Ignas nie miał żadnej innej siły w sobie

prócz tej, jaką mu dała natura: dlatego uległ popędowi materyi i leciał na oślep za jej przewodem...

Nad ranem przysnął cokolwiek, wprawdzie ze spieczoną krwią w żyłach, ale ze spokojniejszym umysłem. Głupstwa robią przecież i inni ludzie na świecie — a on sobie postanowił swoje głupstwa naprawić. Zaraz popołudniu pojedzie na Balcerówkę, zostanie na cały wieczór — a przecież przez ten czas zdarzy mu się sposobność rozmawiania z nią sam na sam. Nie można wiedzieć, co się stanie, bo to od przypadku zależy; ani wymowy, ani energii teraz mu pewnie nie braknie: ale gdyby nic więcej na teraz... to przynajmniej jej wyzna, co dla niej czuje i zrobi się jakieś porozumienie pomiędzy nimi. Poczem już nie będzie tak głupio przy niej wyglądał, jak wczoraj...

Ale rano, zaledwie się ubrał, ojciec mu kazał powiedzieć, że jedzie na cały dzień do młodego Tarła i bierze go z sobą. On sam chciał tam obejrzyć uprawę łąk, którą Tarło zaczął przeprowadzać podług jakiegoś nowego systemu — a jemu chciał całe gospodarstwo u Tarła pokazać, ażeby widział, jak ten młody człowiek swoją naukę i pracę wyzyskuje na jednej wiosce. Ignasiowi się zdawało, że uprawa łąk to jest rzecz ekonoma a gospodarstwo na jednej wiosce nie jest wcale zajmującym dla kogoś, który ma całe dobra, złożone z wielu folwarków. Ale nie mógł ojcu odmówić, zwłaszcza że nie miał do tego nawet żadnego pozoru i musiałby się przyznać, że chce jechać do Flory. Więc pojechali rano, cały dzień tam bawili i wrócili dopiero późnym wieczorem.

A kiedy wrócili, zastali list od starego Balcera, którym ich wszystkich razem z Fujarą zaprasza na jutro do siebie na stypę.

List był napisany ręką samego Balcera, bardzo grzecznie a nawet z pewnym humorem, bo chociaż wspomniał o śmierci, mówił także o winie i dodał: post mortem nulla voluptas.

Przeczytawszy ten list, Zaklika powiedział do syna: i

— Ot, jaki chory, że aż daje obiady. Ci ludzie, co sami zajmują się medycyną, nie będąc lekarzami, zawsze sobie wymyślą jakąś chorobę.

Ale nazajutrz rano, kiedy jeszcze raz ten list przeczytał, uderzył go wyraz "stypa". Pomyślał nad tem i zdało mu się, że może lepiej żeby Genia się wymówiła. Powiedział jej to a ona mu odpowiedziała:]/.

— Prawdę mówiąc, to niewiele mi na tem zalety, ale Flora-by się obraziła. Trzebaby wiedzieć, czy zaprosili także Firlejów.

— Masz rację, — zawołał Zaklika, — pchnę do nich kozaka, to za dwie godziny się o tem dowiemy.

Ale wtem Fryś zajechał przed ganek.

Fryś był niemało tem zakłopotany, jak się wywiąże ze swego zadania, bo matka po to go tu wyprawiła, ażeby koniecznie to zrobił, aby Genia nie jechała na Balcerówkę ` jej zdaniem Genia nie "powinna się poniewierać po takich domach, a potem, zdawało jej się, że młody Baicerek się do niej zapędza; niemasz tu wprawdzie żadnego niebezpieczeństwa, ale poco ta familiarność. Wszakże Zaklika wyrwał Frysia z tego kłopotu, bo go bardzo radośnie powitał, wołając do niego:

— Przyjeżdżasz pan jak zawołany, bo właśnie miałem do was wyprawiać kozaka. Zaprosili was Balcerowie na obiad ?

— Zaprosili, — powiedział Fryś.

— Więc jedziecie?

— My z ojcem jedziemy, ale mama ma migrenę od wczoraj.

Więc Zaklika chwileczkę nad tem pomyślał a potem rzekł:

— Wiesz pan co, zostań u nas na śniadaniu a potem pojedziemy sobie razem na Balcerówkę. Przecie stąd bliżej, pocóż masz wracać do domu? A Genia popołudniu pojedzie do Firlejowa, ażeby was przy matce zastąpić. Tak wszystko się wytłumaczy.

Więc Fryś był bardzo uszczęśliwiony, bo się gładko wywinął z trudności i miał to sobie za dobry prognostyk.

Przy śniadaniu był nadzwyczajnie grzecznym dla Zakliki, zrobił się małym w obec niego według instrukcyi matki i wychwalał jego gruntowną wiedzę i niewyczerpane wiadomości o wszystkim.

Po śniadaniu wyszli wszyscy do ogrodu, pełnego kwiatów i woni, bo wiosna już się zaczęła rozwijać prześlicznie. Fujara ich oprowadzał i wykładał im przyszyły wzrost rozmaitych krzewów i kolory ich kwiatów.

Po chwili Zaklika poszedł do gospodarstwa — a Fujara wodził Ignasia po ogrodzie i opowiadał mu rozmaite anegdoty ze swoich podróży, nietyle aby go bawić, ile ażeby podać Frysiowi sposobność rozmawiania sam na sam z Genią.

Fryś mógł tę sposobność doskonale wyzyskać, bo właśnie siedział z Genią w tym gęstym klombie, któryś jenerał kazał był niegdyś zasadzić dla siebie i w którym Fujara śpiewał patryotyczne pieśni Francusce, ku wielkiemu zgorszeniu starej klucznicy.

Zaklika. T; I. . . ; V." : _ ... 15. ; f. ;

Fujara pojmował miłość idealnie, Ignas materyalnie a Fryś i Genia konwencyonalnie.

Fryś mówił do Geni, kontynuując swą konwersacyę:

— Byłbym bardzo szczęśliwym, gdybyś mi pani przyznała, że jestem jednym z tych młodych ludzi, z którymi można się w sposób przyzwoity rozerwać, w salonie, w teatrze,* na balu albo i w ogrodzie, nie narażając się ani na czcze komplementy, na które się trzeba rumienić, ani na oświadczenia pełne zapału, z którymi niewiedzieć co zrobić.

— Jeżeli mam panu przyznać się otwarcie, — odpowiedziała mu Genia, mówiąc głosem dźwięcznym, pełnym wyrazu, ale bardzo spokojnym, — to ja poznałam na pierwszy rzut oka, do jakiego rodzaju młodych ludzi mam pana zaliczyć. Ja jeszcze niewiele bywałam w świecie, widziałam kilka salonów w Wiedniu i kilkanaście w Krakowie, ale do tego wieloletniego doświadczenia nie trzeba; z tem się ma tak samo, jak z estetycznem uczuciem: albo się je ma, albo niema — a jak się je ma, to już się nie potrzebuje odbywać studyów, zwłaszcza jeżeli, jak u mnie, tylko o to idzie, aby je mieć dla siebie.

— W tem pani przyznaję słusność zupełną — rzekł Fryś, — ale jeżeli pani widziałas kilka salonów w Wiedniu i kilkanaście w Krakowie, to mnie dziwi — a mówię to bez komplementu, — że za panią nie przyjechało tutaj kilku kawalerów z Wiednia i kilkunastu z Krakowa.

— Możeby byli przyjechali niektórzy, — odpowiedziała mu Genia, rumieniąc się zlekka, — ale ja jestem szorstką w konwersacyi z takimi panami. Zresztą, dlaczegóż nie miałabym panu powiedzieć, że nie znalazłam pomiędzy nimi żadnego, którego bym była pragnęła widywać częściej. Ka

walerowie wiedeńscy, ce riest pas mon genre. lis sont gros- siers ou plats et meme, quand ils sont plats, Von voit tres Men leur grossierete. W Krakowie, jedni mieli majątek a nie mieli nazwiska, drudzy mieli nazwisko, ale nie mieli majątku, a ci, co mieli oboje, latali tak wysoko, że ja moim krótkim wzrokiem nawet ich dojrzeć nie mogłam.

Fryś był kontent z tej odpowiedzi i spowiadał ją da- • lej, mówiąc trochę podstępnie:

— O nazwisku nie mówię, bo z niem się łączą familijne relacye a bez familijnych relacyi trudno wyżyć na świecie, ale czy majątek jest tak konieczny do szczęścia? . Jeżeli panna ma posag, to może wziąć śmiało takiego męża, który niema majątku, jeżeli tylko odpowiada jej sercu.

— To zależy od tego, — odpowiedziała mu Genia, — jaki ma posag. Mnie ojciec przeznaczył dobra na Żmudzi. Jeżelibym wzięła męża bez majątku, to musiałabym z nim jechać na Żmudź a cobym ja tam robiła, — dodała z uśmiechem, — kiedy ja nie umiem ani słowa po żmudzku.

— To prawda, zawołał wesoło Fryś, — i ja także nie umiem po żmudzku. Ale majątek, gdziekolwiek leży, jeżeli tylko przynosi, to zawsze majątek. W takim razie można żyć gdzie się podoba, można nawet gdzieindziej mieszkać na jednej wiosce i tak sobie życie urządzić, jak gdyby się miało tamten majątek pod bokiem.

— A pan mnie znowu zaczynasz prześladować tym młodym Tarłem, — rzekła Genia z uśmiechem, ale z pewną niecierpliwością, — a przecież on jest inżynierem. To * jest prawie tak samo, jak gdybyś pan o mnie rozumiał, że pójdę za doktora albo za adwokata.

— Nie, — rzekł prędko Fryś, — ja tego pewnie nie rozumiem o pani. Tylko uważałem, że ojciec pani bardzo

lubi tego młodego człowieka a nawet się nim opiekuje. Mogą zatem być myśli, które pani są obce a przecież pani dotyczą.

— Myśli być mogą, — odpowiedziała mu Genia, — ale od myśli do czynu jeszcze bardzo daleko. Mój ojciec, jak panu wiadomo, ma bardzo wiele myśli, z którymi się nosi, ale mimo to niema wcale zamiaru wprowadzać je w wykonanie. Jeżeli pan zaś chcesz wiedzieć, jak to jest w tym wypadku, to panu powiem, że mój ojciec jest najszlachetniejszym człowiekiem a przeto i najlepszym ojcem, jakiego kiedykolwiek nosiła ta ziemia. On mógłby się w danym razie mojemu wyborowi sprzeciwić, ale narzucać mi męża swego własnego wyboru, tego nigdy nie robi.

— Nikt ojca pani nie ceni wyżej odemnie, — rzekł prędko Fryś, — jest to człowiek obszernej wiedzy, głębokich uczuć i silnych przekonań. Gdybym go mógł mieć moim przyjacielem, poniósłbym niejedną ofiarę, ale nie chciałbym go mieć przeciw sobie, bo widzę, że go ugiąć nie można, tylko konieczność mogłaby go złamać.

A na to odpowiedziała mu Genia bardzo rozsądnie:

— O łamaniu nie może być mowy tam, gdzieby się miało do czynienia z rodzonym ojcem. A pan zaraz łamać! Jest-to męska energija, która się może podobać, ale w wielu wypadkach lepsza jest wytrwałość... W tej chwili czujny a* zarazem pocziwy Fujara zaczął gdzieś chrząkać za krzakiem, Fryś zatem ścisnął prędko Genię za rękę i rzekł:

— Rozsądek kobiety zawsze wartjwięcej, niżeli rozum mężczyzny.

A wtem Zaklika się zjawił przed klombem i zawołał:Geniu! powóz już czeka na ciebie.

Zaczem Genia pożegnała się prędko, pobiegła na górę, aby się przebrać i niebawem odjechała do pani Fir- lejowej.

Mężczyźni zaś bawili się z sobą jeszcze dwie godziny, oglądali konie i gospodarstwo folwarczne a koło godziny piątej pojechali na Balcerówkę.

* *

*

Stary Balcer siedział na werandzie a koło niego siedziało i stało już kilku gości z sąsiedztwa. Była-to okoliczna szlachta różnego wieku, którzy z nim żyli w przyjaźni i mieli pewną estymę dla niego, tak dla jego nauki, jak i z powodu jego równie zaszczytnej jak pracowitej przeszłości. Był także pólkownik Baltzer von Baltzheim, zawsze poważny i pełen grzeczności dla wszystkich, chociaż w obec szlachty średniego znaczenia może czasem trochę wyniosły i zanadto apodyktyczny.

Balcer wyglądał dziś jeszcze daleko gorzej, niż przed tygodniem: widać było po nim na pierwszy rzut oka, że jego choroba bardzo znacznie się rozszerzyła i wzmogła. Jeżeli przedtem miał wejrzenie tylko szpitalne, to teraz wyglądał już prawie jak trup, w którym niewiedzieć jakim sposobem tlały jeszcze ostatnie iskierki życia. Jego pożółkła skóra na twarzy stała się babkowatą, pod którą krew krążyć przestała, na jego wychudłym nosie widać było na poprzek jakoby fałd zapadnięty w tem miejscu, gdzie kość się zaczyna, a jego usta całkiem zbieleły. Oczy także zapadły i wyglądały spod brwi nastroszonych jak dwie sadzawki szklistym lodem nakryte, ale kiedy się poruszyły, to szklily się wzrokiem jak gdyby wystraszonem

i dzikim. Prócz tego od czasu do czasu zdawało się, jak gdyby coś nim rzuciło: były to zapewne te bole błyskawicowe, jak pchnięcia nożem, które tak nieznośne * zadają katusze chorym na raka. Lecz przy tem wszystkim panował silnie nad sobą i mówił swobodnie, jak zwykle.

Fizjologowie utrzymują, że jak nasza ziemia jest dokoła, powietrzem oblaną, tak i człowiek jest otoczony pewną atmosferą, która mu jest właściwą. Filozofowie sprzecniają się o to ze sobą, czy ta atmosfera jest materialnej, czy duchowej natury, zdaje się jednak, że nie jest ona materialnej natury, bo w takim razie składałaby się z atomów, których w niej wszakże dotąd nie dostrzeżono. Cóżkolwiek-

y/

* bądź, ta atmosfera, będąca indywidualną właściwością każdego człowieka, stanowi pewną siłę, która jest dostrzegalną, i której istnienia nikt nie zaprzecza. Za pomocą tej siły działa magnetyzm, zwany dziś hipnotyzmem. Ta siła, mająca swą irradycję, działa na zwierzęta, i ludzi, świadomie i nieświadomie, i działa nawet na wielką odległość. Za pomocą tej siły nareszcie rodzą się sympatye i antypatye, które ludzi zbliżają lub oddalają, od siebie.

Atmosfera, która tę siłę stanowi, zmienia się z wiekiem i stanem zdrowia a nawet, kiedy podlega zmianom, w jednej i tej samej chwili sprawia różne wrażenia na różnych ludzi;

Jednak człowiek umierający sprawia jednoznaczne wrażenie na Wszystkich: jeszcze życie w nim tleje a otacza-

jący go śmierć widzą i czują zapach trupi, chociaż ciało nie jest jeszcze w rozkładzie. Czują zarazem pewne przygnębienie umysłu, którego nie można inaczej nazwać jak smutkiem.

Takie wrażenie malowało się jawnie na twarzach wszystkich gości a nawet półkownik, chociaż zape-

wne był oswojony ze śmiercią, był nastrojony bardzo poważnie.

Zaklika, lubo także już nieraz śmierci w oczy zaglądał, kiedy obaczył Balcera, uczuł się głęboko dotkniętym. Jakoż zbliżył się do niego ze szczerem współczuciem i rzekł:

— Powiedziałbym prawie, że trochę gorzej wyglądasz, - niżeli ostatnią razą — a ja byłem pewnym, że zastanę cię zdrowszym.

— Ja już teraz walczę ze śmiercią, — odpowiedział mu Balcer, — i dlatego właśnie chciałem was widzieć, aby się z wami pożegnać.

Zaklika dopiero teraz zrozumiał całe znaczenie słowa “ stypa,” które czytał w jego wczorajszym liście, ale teraz obudziło się w nim jednocześnie jakieś dwoiste uczucie^ raz żal mu było człowieka, któremu przypisywał pewne zalety i od lat tak wielu był mu przyjacielem, lecz obok tego uczuł wstręt pewien od takiego konającego, który sobie za życia pośmiertną wyprawia stypę i takim aktem, nieludzkim i niechrześcijańskim, niejako urąga majestatowi śmierci. Jednak zdławił w sobie to drugie uczucie i usiadł przy nim, aby go jeszcze pocieszyć.

Fujara, który jechał na Balcerówkę z zamiarem żartowania sobie z urojonej choroby Balcera i z jego obiadu, kiedy go w takim stanie obaczył, skostniał ze strachu — a przewidując, co właściwie ten obiad ma znaczyć, przejmował się coraz większą zgrozą i oburzeniem na taką ucztę pogańską. Chciał swoich uczuć i myśli Ignasiowi udzielić i już go w tym celu chwycił za rękę, ale Ignas był jakby ścięty i nie mógł słowa ze siebie wydobyć. Młodzieniec ten, wychowany w wygodach i ślizgający się do

tańd po samej powierzchni świata i życia, przede wszystkim dotychczas jeszcze umierającego nie widział; on tylko słyszał, że ludzie umierają czasami, czego dowodem pogrzeby: toż kiedy teraz tę twarz obaczył, na której siedziała śmierć 'z całym swoim straszliwym przyborem, nie żał, ale niezmiernie przykry smutek go chwycił i jego duszę jak gdyby ołowianym ciężarem przytłumił. Jednocześnie zaś przyszło mu na myśl, że teraz jego miłość dla Flory na' długi czas będzie musiała umilknąć, bo śmierć i pogrzeb i pierwsze miesiące żałoby oddzielią go od niej murem nieprzebytym dla takich uczuć światowych ale właśnie w tej chwili stary Firlej przyjechał, więc fujara z tego skorzystał i poprowadził Ignasia do wewnętrznych pokojów.

Tam, w wielkim salonie, było kilka dam, które Flora zabawiała rozmową. Ignas zbliżył się do niej ze spuszczoną głową i bardzo zasmuconemi oczyma i przemówił do niej słowami ż&lu i szczerego współczucia; ona go wprawdzie wysłuchała, ale mu odpowiedziała prawie żartobliwie:

— Dziękuję. Widać człowieka dobrego wychowania. ^

Ale zaraz spojrzała mu śmijęciami się c^ma w twarz i spytała:

— Jakże się panu spało pozaprzeszłej nocy? Chcę wiedzieć dokładnie, co się panu śniło?

Jednak Ignasiowi jakoś dziwnie się wtedy zrobiło. Nie był on ani uczuciowym z natury, ani sztucznie sentymentalnym, ani nawet tak bardzo zważał na konwienieneye świa^ towe, jeżeli do tego nie był zmuszonym; naczytał się dosyć naturalistycznych romansów, nażył się dosyć z tą dzisiejszą młodzieżą, u której brutalna trzeźwość jest tylko

. Fujara nie mógł więc z niego ani słowa

bardzo cienkim pokostem nakryta, znał nawet emancypo* wane kobiety, które Boga nie znają a hołdują tylko bożkom wszelakich namiętności: ale jakżeż? tu ojciec leży prawie na katafalku — a ją to nic nie obchodzi? i jeszcze gotowa żarty z nim stroić, jak gdyby była na balu? To mu się w żaden sposób nie mogło pomieścić w głowie i uczu* pewien wstręt w sercu — i był niezmiernie oschłym i nudnym w rozmowie.

Flora nie mogła tej naglej w nim zmiany zrozumieć i mówiła do siebie: — Co jemu się stało? czy jest on rzeczywiście tak naiwny, że się smuci śmiercią obcego człowieka? czy jest to tylko błąd wychowania, które mu każe koniecznie smutek udawać? Jeżeli pierwsze, to tem lepiej a jeśli drugie, to ja jemu to komedyanctwo z głowy wybiję.

Ale w tej chwili odwołał ją brat do sali jadalnej.

Jak tylko słońce zaszło, dano znać do obiadu.

Stary Balcer, oparty na ramieniu półkownika, prowadził swych gości do sali jadalnej — a jednocześnie weszła do niej Flora ze wszystkimi damami z salonu.

Jeżeli Fujara miał jeszcze lekkomyślny zamiar żartowania sobie z tej fety, to doznał jeszcze jednego w swem życiu zawodu, albowiem salaj jadalna była udekorowana z rozrzną prawie obfitością światła i kwiatów a przytem nie bez pewnego smaku, po którym nietrudno było poznać rękę uczonego architekta i światowej kobiety. Stół był zarzucony girlandami przepysznych kwiatów a oprócz tego ogromne kwieciste wieńce były porozwieszane po ścianach; na stole paliło się w rozmaitych lichtarzach świec kilkadziesiąt a w kątach sali stały wysokie kandelabry na no-

gach z jarzącymi świecami, wypożyczone zapewne z kościoła.

Dwadzieścia kilka osób się zgromadziło w tej sali i wszyscy podziwiali te dekoracje, oddawna modne po miastach, ale niektórym mieszkańcom wiejskim jeszcze nieznane, wszelako wszyscy odnieśli jakieś dziwne a wcale nie wesołe wrażenie. Tu już nietylko atmosfera umierającego człowieka, ale także imaginacja zaczęła działać na umysły patrzących. Te kwiaty, wszędzie indziej pełne orzeźwiającej woni, nakrywające tutaj ten stół wązki a długi, zdawały się przykrywać sobą jak gdyby jakiś ogromny katafalk, na którym trup leży, i wydawały ze siebie exhalacje, wprawdzie wonne, ale duszące. Wieńce, porozwieszane \fa ścianach, zdawały się być na to przygotowane, ażeby niebawem były złożone na trumnie — a kandelabry kościelne, rzucające żółtawe światła na całą salę, to już były przybory, które się zwykle widuje tylko przy reauiew za umarłych. Duszno zrobiło się wszystkim — a tylko na twarzach niektórych osób, należących pomimo pewnego ukształcehia do łaknącego wzruszających rozrywek gminu, -górowała nad tem wrażeniem ciekawość. 1

Kiedy wszedł stafry Balcer i siadł weśrodku stoju, posadziwszy po jednej stronie koło siebie pÓtkownika a pi* drugiej Firleja, jego twarz żółta, jeszcze daleko więcej trupia przy świetle świec niżeli na słońcu, i jego szkliste oczy z dzikiem wejrzeniem, sprawiały wrażenie grozy: jednym się zdawało, że widzą skazańca prowadzonego na ścięcie — a drugim, że trup, który w przyległym pokoju leżał już_v w trumnie, wstał i zasiadł z pogrzebowymi gośćmi do stypy, którą mu wyprawiła pozostała rodzina.

Fujara był przerażony widokiem tego żywego trupa,

było mu straszno i ckliwo i gdyby był mógł, byłby porwał, kapelusz i uciekł od tej pogańskiej biesiady.

Zaklika siedział naprzeciw starego Balcera: widać było po jego twarzy, że on także niechętnie tu się znajdował, ale panował nad sobą i rozmawiał swobodnie ze swemi sąsiadami.

Fldra posadziła Ignasia daleko od siebie pomiędzy dwiema starszemi damami, zapewne ażeby go za jego dziecinne uczucia ukarać, a sama siadła obok młodego Tarły, może ażeby w nim zazdrość obudzić; ale Ignas był roztargniony, widać było, że sam nie wiedział, co się z nim dzieje, i tylko czasem rzucał niby zazdrosnym okiem na Flore, z czego ona, ile razy się z jego wzrokiem spotkała, w twarz mu się śmiała. Ten śmiech raził go podwójnie, poczem przestał na nią spoglądać i było mu tak jak Fuzarze, że wolałby być nie być na tej biesiadzie.

Z początku obiadu rozmowy się toczyły półgłosem, goście jedli mało, chociaż obiad był dobry, raczej kto wypił kieliszek wina, aby się trochę orzeźwić — a po pieczy- stem podano wino szampańskie.

Wtedy stary Balcer zabrał głos i powiedział tak, aby go wszyscy słyszeli:

— Polecam waszej łasce to wino. Naturalne wino szampańskie produkuje się w bardzo małej ilości, zaledwie wystarcza dla panujących dworów: ja tego wina przez wyjątkową protekcję dostałem kilkanaście butelek i radbym, abyście je dzisiaj do ostatniej wypili.

Poczem wychylił sam kielich napełniony po brzegi.

Po chwili to wino go cokolwiek rozgrzało, twarz mu się ożywiła, oczy jakoby żywszego blasku nabrały i za

czął mówić, urywanymi okresami, ale głosem czystym i jasnym :

— Dziękuję wam, żeście przyjechali, ażeby mi oddać ostatnią przyjacielską posługę. Na pogrzeb was nie zapraszam, bo nie będzie zabawny. Nie będą tam ani dzwonić, ani śpiewać, ani mnie będą okadzać: nie mógłbym umrzeć spokojnie, gdybym wiedział, że po śmierci będą wyprawiać koło mnie takie teatralne spektakle. Ciało moje zostagio oddane ziemi bez trumny, bo jest zbrodnią przeciw naturze, zamykać w trumnach te resztki materji, które powinny być natychmiast jej powrócone i oddane dalszemu życiu. Kto każe swe ciało zachowywać w zamknięciach niedostępnych działaniu natury albo też konserwować za pomocą środków chemicznych, ten tej materji, która przez jakiś czas była jego indywidualnością, sporządza śmierć: poddając ją zaś pod bezpośrednie działanie praw wiecznych, żyje dalej każdą jej cząstką i żyje w najrozmaitszych kształtach i tworach, jakie wciąż rodzi niewyczerpana w swej pracy natura. Jego atomy, które dotychczas były uwięzione w obrębie jego organizmu, puszczają się w wir a zbiegając się w przyciągającym je nowym punkcie ciężkości, wytwarzają ze siebie trawkę lub drzewo albo ja[^] kieś zwierzątko. Tak człowiek pozbył się wprawdzie swo \$ jej indywidualności.

Wielu ludzi niestety dziś jeszcze w to wierzy: ale ja- kiby był cel takich duchowych stworzeń, i na co-by się zdać mogły w wszechświecie, nikt nie wie! Powołują się na przeczucia, na objawienia a wreszcie na rozmaite reli- gije: ale czyż przeczucie nie kończy się z rozkładem tej materyi, w której się urodziło? czy objawienia pozostawiły nam po sobie jakikolwiek dowód namacalny, że prawdę nam objawiły? i czyż najświatlejsza ze wszystkich chrześcijańska religija obiecuje człowiekowi po śmierci coś więcej jak spokój wieczny, czyli, inaczej mówiąc, nicość na wieki? — Nie. Odrzućmyż więc wszystkie te mrzonki niegodne ukształconego człowieka, który tem właśnie jest wyższym od każdego innego stworzenia, że pojął potęgę, pracę i cele natury — i cieszymy się, kiedy przychodzi ta chwila, w której ze świadomości swojego przeznaczenia możemy wypełnić na nas samych najwyższe prawo i zlać się napo- wrót z tą nieskończoną całością, od której nas oderwało na chwilę wyjątkowe igrzysko sił działających w naturze. Na pogrzeb was nie zapraszam, — zakończył Balcer swoją przemowę, — ale jeżeli na przyszły rok przyjdziecie na cmentarz, gdzie mnie pochowają, to obaczycie na moim grobie cały ogródek traw, krzewów i kwiatów i całe roje rozmaitych robaczek i muszek, ruszających się pomiędzy trawkami; natenczas powiedzcie sobie: to rozłożone ciało Balcera ten cały światek stworzyło, to jego atomy wirują teraz w tych kwiatkach i muszkach, to jego śmierć wywołała ten ruch i to życie: niech żyje Balcer!

Ci biesiadnicy, którzy się obawiali jakiejś pogańskiej filipiki przeciwko religii i Bogu, tą prawie pogodną przemową Balcera znacznie się uspokoili; nawet przesądny Fujara przestał się bać i patrzył tylko przed siebie zdziwio-

nęmi oczyma: ale Zaklika nie był kontent z tego pogrzebowego kazania. Nietylko nie zgadzał się na pojęcie śmierci Balcera, ale zdawało mu się, że jego wykład o celach ży^ć cia człowieka jest niemoralny i mógłby się stać gorszącym, zwłaszcza dla osób młodych, które go wysłuchały. Dlatego ! zabrał głos po nim i tak mówił:

— Pożegnałeś ty nas, godzi się także i nam ciebie pożegnać. Odpowiem ci krótko, lecz z serca, i sędzę, że ci to może godzinę śmierci rozjaśni. Kiedym cię na wernikach j dzie powitał, powiedziałeś mi, że walczysz ze śmiercią.] Walkę tę każdy widzi, kto patrzy w tej chwili na ciebie i podziwia wraz ze mną tę niezwyčajną potęgę moralną! której. nam dajesz dowody. Ale pytam się ciebie, czeńi » walczysz? i przeciw komu? Oto oczywiście twój duch nie-, spożyty walczy przeciwko upadającej materii. Ten duch ' nie może być przeto tylko emanacją materii, nie może być jakimś utworem chemicznym, bo w takim razie nie mógłby się od materii oddzielić i nad nią panować. Ten duch, ta siła moralna, jak skoro ma rozum i wolę i rozkazuje twojemu ciału a ciało mu jest posłuszne, musi koniecznie mieć swoją indywidualność odrębną, inaczej nie mógłby panować, ale musiałby służyć twojemu ciału. Taka indywidualność odrębna i samoistna jest oczywiście nie-materyalną a jako taka leży bez żadnego wątpienia po za obrębem śmiertelności. Kiedy ciało, zużywszy się życiem, jak się zużywa każda materia, nie może mu już dalej służyć za narzędzie działania w świecie materialnym, to ten duch z ciała uchodzi, ale nie idzie za tem, że i on także razem z ciałem umiera, owszem przeciwnie, on musi koniecznie żyć dalej: bo nie ulega prawom, które rządzą materią, nie składa się z materialnych atomów i śmierć go nie może

rozłożyć. Co się dzieje z tym duchem po śmierci ciała, tego my nie możemy dociec rozumem, bo rozum nasz, dopóki duch nasz jest uwięziony w materii, nie może sięgać w te światy, w których ciała nie ma. Do rozwiązania tej zagadki pozostają nam tylko rozmaite wierzenia, których jednak nie powinniśmy ludziom odbierać, bo rozum nasz nie wystarcza, aby im prawdy zaprzeczyć. Ale i nasze przecucie, 'które nam jest wrodzone, i rozum nasz, jeżeli się nim posłużymy bezstronnie, powiadają nam jednoznacznie, że ta siła moralna, która w nas żyje i panuje nad ciałem, nie może ulegać śmierci. Jakiż ja, który jestem i wiem o tem, że jestem, który mam rozum i wolę i robię co chcę, który wedle mojego rozumu i mojej woli panuję nad całą materią, góry przenoszę i wypełniam doliny, jeżdżę błyskawicą po ziemi, przesuwam olbrzymie statki przez morza, latam jak ptak po powietrzu, z nieurodzajnej ziemi robię rodzajną, przenoszę faunę i florę z jednych stref w drugie, porozumiewam się w oka mgnieniu z moimi braćmi mieszkającymi na antypodach, zażegnuję pioruny, rozpędzam chmury i uspakajam burze na morzu, sięgam okiem moim, uzbrojonym w szkła zrobione przez wszystkie systemy słoneczne aż do ostatniej mgławicy, rośniędam ciała tych słońc i dociekam z jakich się składają pierwiastków, obliczam bieg ciał niebieskich i nie myślę się ani o jedną sekundę, chwytam promienie słońca i tworzę z nich żar, który obraca w proch najtwardsze kamienie; ja który najdziksze oswojam zwierzęta i robię z nich moje sługi, potęgą woli podbijam je sobie a moim rozumem tworzę w nich inteligencję równającą się nieraz umysłowi mniej ukształconego człowieka, ja który panuję ludziom, rozsądkiem moim zarządzam pracą tysięcy a moim słowem po

ruszam mil jony, ja, duch taki potężny, miałbym umierać z ciałem, jak kwiat oderwany od swojej rośliny, jak pień drzewa spruchniały, jak iskra gasnąca w popiele? Nie, duch mój jest nieśmiertelny, jest wieczny. Toż i ty bądź przekonany, że duch twój nie rozwieje się w nic po śmierci ciała, ani się na małe cząsteczki rozłoży, ażeby niemi ożywiały maleńkie robaczki i kwiatki. Duch twój, jak każdy duch poczciwego człowieka, który przez całe swe życie pracował dla siebie i drugich i własną pracą taką potężną siłę moralną w sobie wyrobił, nie będzie pełzać po marnej skorupie ziemi, ale się w górę wyniesie i stamtąd będzie spoglądał na tych, których po sobie zostawił na nizinie robaczek i kwiatów. Umierasz jak żołnierz, który śmierć widzi i śmiało na nią uderza, chociaż wie, że się jej nie obroni; za tę wyniosłość myśli i charakteru wszyscy oddajemy ci pokłon: ale umieraj z wiarą, że ten duch, który ci dał taką myśl i taki charakter, nie jest z tego świata, który umiera śmiercią. My na twój grób swego czasu pójdziemy, ale nie będziemy cię szukać na powierzchni twego kurhanu, tylko oczy podniesiemy do nieba a dojrzawszy ciebie w błękitach, zawołamy ci chórem: niech żyje Balcer!

Po tej odpowiedzi Zakliki biesiadnicy się ożywili fza- częli ze sobą rozmawiać; obydwaj Firleje i Tarłki kiwali niego głowami, dając mu znaki, że się na jego zapatrywania zgadzają: ale stary Balcer słuchał go niecierpliwie, brwi zmarszczył i patrzył na niego dzikiemi oczyma — a kiedy Zaklika skończył, on wypił kieliszek wina i wstał, aby mu odpowiedzieć. Jakoż już zaczął od słów:

— Gzy instyktowne przecucia dzikich narodów, czy spekulatywne domysły uczonych metafizyków, wszystko to są mrzonki jednakowej wartości ...

Ale za ledwie tych słów domówił, głos zamarł mu " w gardle, głowa mu obwisła na piersi i upadł napowrót w krzesło. Biesiadnicy przerażeni tym widokiem, zerwali się od stołu — a tymczasem półkownik z młodym Balcerem wzięli go pod ramiona, i wyprowadzili z sali jadalnej, Flora i Tarło poszli za nimi, Ignaś został pomiędzy gośćmi.

Biesiadnicy nie siadali już na powrót do stołu, tylko przeszli do przyległego salonu i w różnych grupach rozmawiali ze sobą półgłosem. Jakaś nieokreślona ckliwość opanowała wszystkich, nikt nie wiedział, co mówić.

Po chwili weszła Flora i powiedziała, że to nic, chwilowe omdlenie, ale ojcu już lepiej.

A wtedy Firlej zbliżył się do Zakliki i Tzekł:

— Quo i qyCon en dise, ést un esprit fort.

Ale Zaklika się na to prawie oburzył i odpowiedział mu:

— Esprit fort! Gdyby mi to powiedział kto inny! ale ty? stary żołnierz. A czyśmy też także nie zaglądali śmierci sto razy w oczy— i to nie śmierci w pierzynach, tylko Bóg wie w jakich okropnych męczarniach! Ale nam ani przez sen na myśl nie przyszło, - prawić o tem kazania ku zgorszeniu młodzieży.

Z drugiej zaś strony przybliżył się do niego Fryś i rzekł grzecznie:

— Pańska wymowna odpowiedź zatarła zupełnie gorszące wrażenie.

Ale Zaklika już na to nie zważał, tylko się obejrzał za synem i zawołał:

— Jeżeli chcesz, to zostań, ja jadę.

Ale Ignaś nie został, ścisnął rękę Florze w milczeniu i wyszedł za ojcem. Flora patrzyła na niego prawie ze

Zaklika. T. 1.

zdumieniem. W pare minut potem obydwu Zaklikowie zabrali Fujarę ze sobą i odjechali.

*

* *

Balcer umarł jeszcze tej samej nocy.

Wiadomość o jego śmierci przyszła do Zaklikowa nazajutrz popołudniu, z tym dodatkiem, że pogrzeb odbędzie się dnia następnego przed wieczorem.

Zaklika poszedł sam na probostwo, aby się o tem rozmówić z Prandotą, bo kościółek na Balcerówce należał do jego probostwa. Prandota bardzo był zachmurzony i mówił: *

— Ja nic nie wiedziałem o tej stypie, bo byłbym Jej przeszkodził, choćby mi było przyszło użyć gwałtu przeciwko niemu. Dopiero dziś przed południem przybyła tu do mnie jedna z tych dam, które tam były i opowiedziała mi, co się tam stało, prosząc abym ją wyspowiadał.

— Nikt nie mógł wiedzieć naprzód, — rzekł na to Zaklika, — że on nam taki dramat wyprawi. Ale stało się. Cóż będzie z pogrzebem? ^

— Jabyśmy właściwie powinien kazać go pogrzebać po za murami cmentarza, — odpowiedział mu na 11 Pran-| dota, — ale zastanowiłem się nad tem i przyszedłem do przekonania, że tym sposobem tyłkobyśmy jeszcze powiększył zgorzenie. Niech go więc pochowają na cmentarzu i niech się tam o to rozmówią z kościelnym. Ja tam nie będę. Ja tylko tutaj jutro rano odprawię mszę świętą^ za jego duszę, aby mu Bóg był miłościw. Sądzę, że mu to winien, bo przecież to dawny kolega a nawet, prawdę mówiąc, znałem go od lat dwudziestu. pięciu i znałem go

zawsze uczciwym człowiekiem. Toż i niełatwo mi pojąć, jak to być może, ażeby człowiek, zresztą uczciwy, mógł popaść w takie obłądy.

— Ja sobie to tem tłumaczę, — powiedział Zaklika, — że w nim jeszcze żyły uczciwe zasady dawnego idealizmu a z niemi to przekonanie, że człowiek, choćby racjonalista, ma obowiązki względem swych bliźnich, których powinien dopełniać. Były to reminiscencye młodości, była-to niejako tradycya. Go się wyssało z mlekiem matki, co się wyniosło z ław szkolnych, to potem działa przez całe życie. Dlatego nawet jego przemowa nie była wcale brutalną a zakończył ją zwrotem prawie idealistycznym, o ile jakikolwiek idealizm można wydobyć z bezdusznej materyi. Obawiam się, że jego dzieci już tej tradycyi mieć nie będą. Ale co ja zrobię z pogrzebem? Przykro-by mi było nie oddać przyjacielowi tej ostatniej posługi po chrześcijańsku, ale znowu nie chciałbym figurować na pogrzebie pogańskim.

A na to odpowiedział mu Prandota:

— Poślij tam kogo dziś jeszcze, aby się dowiedział, jaki pogrzeb oni mu sprawią — a potem postanowisz, jak ci postąpić należy. Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, to ja-bym wreszcie posłał im wikarego, aby ciało pokropił i aby uniknąć zgorszenia, ale trzeba, aby sami zażądali tego odemnie, bo na odmowę się przecież narażać nie mogę.

Z tem wrócił Zaklika do domu.

A jak tylko powrócił, zawołał Ignasia i Fujarę do siebie i wyprawił ich na Balcerówkę, mówiąc im:

— Jedźcie tam, zawsze to będzie grzeczność z naszej

strony. A potem starajcie się namówić dzieci, aby wezwały wikarego na pogrzeb.

Fujara i Ignasz pojechali natychmiast.

A kiedy wysiedli przed gankiem, wybiegł do nich Baicerek i powitał ich grzecznie, ale był roztargniony.

— Dziękuję wam, — mówił, — żeście przyjechali, ale przepraszam was, że przy was zostać nie mogę, bo właśnie przyjechał doktor i odbywa się operacja. Bądźcie tedy łaskawi z pół godzinki zaczekać, albo... jak wam się podoba, może przyjedziecie jutro na pogrzeb.

I z tem ich zostawił.

— Jaka operacja? — zawołał Fujara, — pewnie go krają. Wiesz co, lepiej chyba jedźmy, co po nas tutaj przy jakichś tam operacjach.

Ale Ignasz zwrócił jego uwagę na to, że mają dzieci nakłonić, ażeby dzieci zaprosiły wikarego na pogrzeb, więc zostali, rozmawiając z sobą na werandzie.

W dziesięć minut potem wyszedł z pokojów ekonom. Był-to ten sam stary ekonom, którego niegdyś był przyjął Fujara a którego Balcer zachował u siebie, bo tanio kosztował i wiele miał doświadczenia, którem nowsza nauka, nigdy nie pogardza. Fujara więc skoczył zaraz do niego, # wołając:

• f

— Jak się masz, stary. A co-to tam za operacja odbywa się ze starym Balcerem? przecie go nie balsamują, bo im tego zakazał.

— Ot, co za operacja, — odpowiedział ekonom, — aż człowiekowi ciarki chodzą po skórze. Nieboszczyk w swoim testamencie napisał, ażeby mu po śmierci nożem serce przebito, bo chce mieć pewność, że go nie pochowają żywego. Sprowadzili więc po to doktora. Doktor

przywiózł ze sobą instrument, ale nie umiał się z nim obejść, podobno nawet nie wiedział na pewno, pomiędzy które żebra miałby go pchnąć, aby trafić jak trzeba, bo u nas się takie rzeczy nie robią. Więc panna Flora pokazała mu te żebra własnymi palcami — a ponieważ doktor jakoś się jeszcze namyślał, więc sama wepchnęła ojcu ten nóż obosieczny pomiędzy żebra. Patrzałem na to własnymi oczyma, bo nieboszczyk napisał, że to pchnięcie ma być zrobionera przy świadkach. Ale to panu powiem, że kiedym to wi-? działał, to mnie samego coś pod żebrami ukłuło i aż mi się niedobrze zrobiło.

Ej! panie Fujara, czy nie mógłby mi pan znaleźć jakiego innego miejsca, bo ze starym tośmy się jeszcze jakokolwiek znosili, ale z takim paniczem i , z taką panną ja tu nie wybędę, bo to prawdziwi poganie.

Więc Fajarze na tę wiadomość włosy stanęły na głowie.

— Gzy słyszał kto kiedy co podobnego! — zawołał do Ignasia, — nóż obosieczny wepchnęła w serce własnemu ojcu!

Ignas był rostargniony, patrzył, przed siebie martwe- mi oczyma, jak gdyby był zatopiony w swych myślach, wszakże mu odpowiedział przytomnie:

— Ale to przecie nie ojciec, tylko trup ojca To jest tak samo, jak gdyby była nóż wepchnęła w kawałek drzewa. Pan Józef jeszcze żyje w dawnych przesądach ...

A przebiegły Fujara spojrział na niego z pod oka i rzekł:

— Niby też ty nie żyjesz także w tych samych

przesądach! I niby ja nie wiem, co się teraz dzieje w twoim umyśle i sercu!

• — Cóż takiego?

— Zakochałeś się w Florze, ale teraz odrzuciło cię od niej. Ja cię za to tylko mogę pochwalić.

— Być może, — powiedział Ignasz, — nie będę się o to sprzeczał z panem Józefem. Ale proszę pana wyrządzić mi jedną przysługę: niech pan nie wspomina o tem mojemu ojcu, że Flora była obecną przy tej operacji.

Więc Fujara odpowiedział mu na to z godnością: Jeżeli ci na tem zależy, to nie powiem.

— Ale słowo?

— Kiedy ci powiedziałem, że nie powiem, tobyś młnie obraził, jeżelibyś wątpił. t

W tej chwili przybiegł do nich Baicerek. Był czegoś kontent ze siebie i rzekł do nich wesoło:

— Teraz już wszystko w porządku. Pogrzeb mógłby się odbyć zaraz, tylko nie wiem, czy już grób wykopano.

Fujara mógłby był mu dać po łbie za tę wesołość, ale zapanował nad sobą i zabrał głos, aby mu przedstawić konieczność odprawienia pogrzebu po chrześcijańsku, jeżeli już nie dla spokoju duszy zmarłego, to przynajmniej dla uniknienia ludzkich języków, które takiego zgorszenia^ pewnie nie przebaczą. Ale Baicerek słuchał go niecierpliwie, a nawet mu przerwał, mówiąc z ironiją:

— Co panu się roi po głowie? kropić trupa święconą wodą, pod koniec dziewiętnastego wieku! Ja sam na to- bym nie pozwolić, bo przecież jest naszym obowiązkiem wszystkimi siłami przyczyniać się do tego, ażeby ludzie się nareszcie pozbyli tych zabobonów. Ale tutaj ja nawet

niemam nic do dysponowania/ bo przecież panu wiadomo, że mój ojciec sam chciał mieć pogrzeb cywilny.

Więc Fujara się zgniewał okrutnie i rzekł z oburzeniem:

— Róbcieź sobie jak chcecie, ale wiedźcie o tem, że na wasz pogrzeb nikt nie przyjedzie, bo i to-by już było grzechem śmiertelnym.

A to rzekłszy, dał znak powozowi, aby zajeżdżał, sam zaś obrócił się ku schodom, które sprowadzały z werandy.

Ignas chciał podać rękę Balcerkowi, aby się z nim pożegnać, ale się wahał przez jedną sekundę. Odezwało się w nim w tej chwili uczucie dwoiste: z jednej strony był rad, że Flory nie widział, bo co-by był jej powiedział ? lecz z drugiej strony czuł to niemile, że ona do nich nie wyszła. Byłby był chętnie jeszcze z jaki kwadrans pozostał, ażeby wiedzieć na pewno, czy Flora tylko z tego powodu mu się nie pokazała, że nie jest ubrana, czy też dlatego, że nie chce. Ale Fujara już wszedł do powozu i zawołał na niego. Siadł więc obok Fujary i odjechali.

* #

*

Pogrzeb starego Balcera odbył się nazajutrz popołudniu.

Z sąsiedztwa nikt nie przyjechał. Była-to demonstra- cya, którą jego dzieci powinny były uczuć dotkliwie a zarazem zrozumieć, że każde społeczeństwo ma pewne uczucia i przekonania, których nie można przełamać, bo te uczucia i przekonania są jego duszą i stanowią siłę moralną, nie ulegającą ani materyalnemu gwałtowi, ani nawet

duchowej przemocy. Najpotężniejsze nowe prądy duchowe> działające czy-to przez ludzi, często nawet jenijalnych, czy-to przez organizacje cywilne albo wojskowe, nie po-, trafiły zmienić przekonań i uczuć takich społeczeństw, które miały wyrobioną z wiekami swoją indywidualność moralną i świadomie ją w sobie chowały. Ale dzieci Balcera nie uczyły tej demonstracji. Florze było to obojętne; kobieta rzadko kiedy uczuwa w sobie powołanie do apostołstwa i mieści zazwyczaj całą swoją działalność w cie- śniejszym zakresie: zaś brat jej mało zwracał uwagi na warstwy wyższe, które uważał jako na śmierć skazane, oczekując rojonej przez siebie przyszłości wyłącznie o di ludu. Dlatego nawet przygotował sobie przemowę, w, której zgromadzonemu na pogrzebie ludowi chciał jasno i zwięźle wyłożyć prawa natury. Ale chłopci także nie przyszli. Nie przyzwyczajeni do tego, aby się pogrzeb mógł odbyć bez księdza, tylko przez ciekawość wyglądali tu i ów- dzie z zapłotków, ale ani jeden z nich nie miał odwagi] pójść za konduktem. Owszem nawet się trochę niepokoić zaczęli, puszczając po wsi legendę, jakoby ich pan był już za życia upiorem: dlatego księża mu odmówili pogrzebu, dlatego szlachta nie przyjechała na pogrzeb, dlatego jego dzieci po śmierci mu głowę ucięły i włożyły pomi nogi, co jest jedynym skutecznym środkiem, ażeby nie wstawał z grobu i nie straszył ludzi po nocach- Na szczęście ekonom, człek prosty, ale mający swój sposób na wszystko, wyłożył starszym z gromady, że pan Balcer był religii luterskiej, więc księża nie mogli go chować — i tem przygłuszył wszystkie niepokojące legendy.

Ciało Balcera wrzucono do grobu bez trumny i za

sypano je ziemią — i na tem się skończył cały pogrzebowy obrządek.

Kiedy wiadomość o tym pogrzebie rozniosła się po sąsiedztwach, Zaklika rzekł do Prandoty:

— Si duo faeiunt idem, non est idem, jaki głęboki rozum jest w tym przysłowiu! Jenerał także nie był religijnym człowiekiem w właściwym tego słowa znaczeniu. Stawał przed Bogiem tylko dla zachowania dyscypliny a nie z chrześcijańskiej pokory; wierzył tylko w pięść swoją, w armaty i karabiny, a więc w najbrutalniejszą siłę materii: ale żegnając ten świat, myślał o duszy swojej i stanął przed Bogiem z tą grudką ziemi ojczystej, która była moralną treścią jego całego życia. Balcer także wierzył tylko w siłę materii, ale także się bił za swoją ziemię, w danych warunkach wcale nie gorzej od jenerała — a jednak w godzinę śmierci tylko go to zajmowało, co z jego ciałem się stanie a o tem ani pomyślał, na czem upłynął bieg jego życia.

Obydwa byli równie poczciwi ludzie — a jednak jak wielka pomiędzy nimi różnica!

Prandota chodził wielkimi krokami po pokoju i myślał przez chwilę a potem rzekł:

— Ta różnica zarysuje się jeszcze daleko jaskrawiej, kiedy wystąpią na scenę działania te pokolenia; które właśnie teraz podrosły: bo inaczej wygląda ten człowiek, co używa materii do przeprowadzenia jakiejś idei, będącej potrzebą ducha — a całkiem inaczej ten, którego wszystkie idee kończą się na tem, ażeby zapewnić ludziom równy kawałek chleba.

Po pogrzebie Flora była przez cały wieczór w najgor

szym humorze i do późnej nocy nie mogła się uspokoić: ale nie dlatego, że ojca straciła, tylko z tego powodu, że Ignas, będąc wczoraj na Balcerówce, o nią nawet nie spytał a dzisiaj nie przyjechał na pogrzeb. Przez parę godzin nudziła swojego brata najrozmaitszemi zapytaniami: Dlaczego Ignas się zmienił tak nagle? czy zmienił się rzeczywiście, czy tylko tak udaje? Ale dlaczego-by miał obojętność udawać? Nie, nie udaje. Więc cóż? Gzy jest tak naiwnym idealistą, że go jej trzeźwe zapatrywania się na świat i- życie zraziły? Także nie. Właściwego idealizmu niemasz w nim ani śladu. Miałyż-by to być względy na nierówność towarzyskiego położenia i rodu? I to nie, bo przecież sam jej dał kilka razy do zrozumienia, że jeżeli się kiedyś ożeni, to tylko z miłości i według własnego wyboru. Albo może jej kłamał, aby ją uwieśdź? Ale i to także nie może być, bo taki niedoświadczony młodzieniec żadnej kobiety nie uwieśdzie. Cóż tedy jest? Najpewniej jakaś intryga. Ale kto intryguje? Ojciec przecież nie, bo niema arystokratycznych przesądów, a dla niej okazuje szczerą sympatyę. Może Fir- leje? Toby być mogło, bo jeżeli Fryś myśli się starać o Genię, to możeby im było niemilem powinowactwo z Balcerami. Ale to jeszcze daleko — i Firlejowie jeszcze nic o tem nie wiedzą. Więc kto intryguje? Nikt inny, jak tylko Fujara.

— Pewnie Fujara, — odpowiedział jej na to Baicerek, - ten człowiek żyć nie może bez intryg. Ale jego można łatwo pozyskać...

— Pozyskać! — zawołała Flora, oburzając się na to, — jeszcze nie upadła tak nisko, ażeby do wzięcia takiego młodzika potrzebowała cudzej pomocy! Zresztą, on sam tu przyjedzie, nie dziś, to jutro, intrygi mogły go ochłodzić tylko na chwilę...

/

Ale minął dzień jeden i drugi i trzeci — a Ignas nie przyjeżdżał.

Florę zbierała coraz większa niecierpliwość. Do żądy krwi, która ją jak ogniem paliła, przymieszala się obrażona miłość własna kobiety. Flora miewała natenczas chwile, w których go nienawidziła, czuła dla niego pogardę i gotowa była zemścić się na nim; ale. znów przychodziły chwile, daleko dłuższe, w których wszystko mu przebaczała i pragnęła go objąć w swoje ramiona, przycisnąć do serca, okryć pocałunkami i pochłonąć go w sobie. Ale jej humor we wszystkich chwilach się coraz bardziej zachmurzał i niecierpliwość się ciągle wzmagala. Czasem nawet ta niecierpliwość tak ją porywała ze sobą, że się stawała nieznośną dla swego otoczenia.

Raz, przy obiedzie, tak się zgniewała na swego brata, że się zerwała od stołu i nazwała go głupcem, nie znającym ni świata, ni ludzi. I była śliczną w tym gniewie, jak Diana, kiedy chybiła jelenia. Innym razem oburzała się tak gwałtownie na swoją pannę służącą, że obydwoma rękami rzuciła dzbanek porcelanowy na ziemię i roztrzaskała go w drobne kawałki. O była wtedy strasznie piękną, jak Pro- zerpina, kiedy odtrąciła Plutona od siebie i chciała się wyrwać z Erebu, aby wylecieć na słoneczną powierzchnię ziemi. Jednego dnia, kiedy jej brat, chcąc ją uspokoić, powiedział jej, że lepiej jest myśl taką porzucić, której nie można wykonać, skoczyła ku niemu jak lwica, wyrwała mu z ręki chusteczkę, ścisnęła ją w rękę i zawołała z zapalem:

— Patrz! tak go wezmę, jak tę chusteczkę, za pierwszym razem, jak go obaczę!

A potem tę chusteczkę podarła na drobne szmateczki,

rzuciła mu je pod nogi i dodała z tryumfującym uśmiechem na twarzy:

— I tylko tyle z niego zostanie! Miłość jej była tak namiętą i tak gorącą, że chciała go osiąść, aby go zniszczyć

Po ośmiu dniach, kiedy się już wygniewała do syta na wszystko i na wszystkich, uspokoiła się trochę i zaczęła nad tem rozmyślać, jakim sposobem mogłaby obaczyć Ignasia. Do Zaklikowa jechać nie chciała: ona nie może pojechać do niego, on musi przyjechać do niej. Mogłaby chyba pojechać do Firlejów: może się tam o nim coś dowić a może go tam nawet zastanie. Ale tymczasem przyjechał stary Firlej na Balcerówkę i przywiózł Frysia ze sobą.

Pocziwy ten człowiek, pomimo swojej dumy rodowej, rad ludziom był na pomocy — i przyjechał naprzód dlatego, ażeby dzieci po stracie ojca pocieszyć, a potem aby im dać niektóre przyjacielskie nauki. Mówił więc długo, bardzo poważnie i zacnie, wykładając im, że społeczeństwo jest silniejsze od każdego pojedynczego człowieka, że nikt nie może się sprzeciwiać beskarnie powszechnym uczuciom i obyczajom, że aby żyć z ludźmi, trzeba się do tych obyczajów stosować, że ich ojciec błąd wielki popełnił, zakazując kościelnych obrzędów przy swoim pogrzebie, co wywołało pewne zgorszenie, ale jego dzieciom nikt tego pamiętać nie będzie i każdy rad będzie żyć z niemi i ich u siebie przyjmować.

Fryś nie był tego zdania, że takim manifestacyom bezbożności należy koniecznie przeszkadzać, bo wywołując zgorszenie, wywołują zarazem reakcję, były-to nowsze pojęcia o tem, co może służyć religii i Kościołowi; ale nie sprzeci-

wiał się ojcu, owszem nawet mu od czasu do czasu wtórował.

Dzieci, rade tym odwiedzinom, także nie wywoływały dyskusji o kwestiach tak drażliwych — i na tem skończyły się te odwiedziny, o Zaklikach ani mowy nie było.

W parę dni potem przyjechał Zaklika. I on także pogrzebem starego Balcera był niepomalu zgorzony, ale w niewyczerpanej dobroci serca powiedział sobie: któż karze dzieci za ojca? Jednakże dzieci ostrzedz należy przed takimi błędami, bo inaczej trudno-by było utrzymać z niemi sąsiedzkie stosunki.

Mówił zatem także w tym samym duchu jak Firlej, tylko był o wiele liberalniejszym od niego.

— Wiercie sobie w co chcecie, — powiedział do nich, — albo wcale nie wiercie, to wasza rzecz. Nikt nie ma prawa narzucać wam swoich przekonań. Ale i wy także nie powinniście sobie przywiązywać takiego prawa, bo przecie równe prawo dla wszystkich. Zresztą, ja nie pojmuję tej passji do propagandy swoich indywidualnych przekonań, której hołdował wasz ojciec, bo była w tem pewna nielogiczność. On był przecieży pozytywistą. Owóż pozytywizm nie jest filozoficznym systemem, tylko filozoficzną metodą a główną tej metody zasadą jest to, że człowiek może i powinien stanowić tylko o rzeczach takich, których dojść może swoim rozumem, zaś we wszystkich innych powinien zostawić zupełną wolność wszelkiego rodzaju pojęciom albo wierzeniom.

Jako pozytywście należało mu zatem tej zasady się trzymać — a on nietylko że stanowił o rzeczach, których rozum ludzki jeszcze nie doszedł, ale nadto swoje własne pojęcia innym narzucał. Przy tem zaś godzi się także

i o tem nadmienić, że nawet powyższa zasada pozytywistycznej metody nie jest wymysłem Gomte'a, bo przecież już Kant tak samo określił granicę funkcji ludzkiego rozumu a tem samem i zakres filozoficznej nauki. Nie pojmuję zaprawdę, dlaczego tej zasługi zapomnianego Kanta nikt dotąd nie przeciwstawił zanadto gorąco wychwalanym zasługom pozytywizmu.

. — Pomiędzy Kantem a Gomtem, — rzekł na to Baicerek, — zieje przepaść tak niezgłębiona, jak pomiędzy jednym światem a drugim. Kant, Hegel, Schelling i wszyscy filozofowie spekulatywni wychodzili z tego przekonania, że jest jakaś siła duchowa wszechmocna, nie tylko niezawisła od materji, ale rządząca materją, i szukali tej siły, tego jakiegoś Boga, po bezgranicznych krainach swojej własnej imaginacji, przypisując mu najrozmaitsze przymioty i dając mu najrozmaitsze nazwiska. Dlatego ci wszyscy filozofowie byli właściwie teologami a nie filozofami w właściwem tego słowa znaczeniu. Dopiero Gomte wymiół te wszystkie mrzonki, nie mające żadnej podstawy realnej, bo wychodzące z urojonego punktu widzenia, i postawił zasady że tylko to jest godnem rozmyślań człowieka, co jest realną prawdą — a prawdą jest tylko to, co człowiek może zbadać swoim rozumem i na co może postawić materialne dowody

— A przecie i to, co jest w nas samych, — zarzucił mu Zaklika, — jest prawdą realną, bo jest.

— Nie, — odpowiedział mu Balcer, — wszystko, co się nie opiera na materialnej podstawie, jest urojeniem. Zresztą Gomte nie jest jeszcze zrozumianym zupełnie: jak kiedyś zostanie zrozumianym, to treść jego nauki stanie się religiją dla całej ludzkości.

Na to Zaklika uśmiechnął się i rzekł:

— Ja wiem o tem, że pozytywiści chcą zrobić z jego nauki religiję, wiem także, że sam Comte pod koniec życia porzucił wszelką inną lekturę a zagłębił się w czytaniu dzieła Tomasza a Kempis "O naśladowaniu Chrystusa". Ale kto zna historię cywilizacji świata, ten widzi, że cześć dla filozofów, staje się czasami kultem, ale nie staje się nigdy religiją.

Balcerek już usta otworzył, aby mu odpowiedzieć, — zapewne chciał mu wyłożyć owo naturalistyczne pojęcie, że każda religija jest tylko zdegenerowanym filozoficznym systemem, bo nie jest niczem innym, jak tylko usymbolizowaniem jakiejś mrzonki spekulatywnej, — ale w tem mu przerwała Flora, odwracając rozmowę do innego przedmiotu.

Kobiety, jeżeli mają cel jakiś przed sobą, są daleko praktyczniejsze od mężczyzn, nietylko bowiem idą prosto do tego celu, ale także ani na chwilę nie tracą go z oka. Ją w tej chwili bardzo mało obchodziły filozoficzne systemy, ona chciała, wiedzieć, co się dzieje z Ignasiem. Nie śmiała wprost zapytać o niego, tylko tak kierowała rozmowę, ażeby ojciec jej coś o nim powiedział. Ale ojciec, zajęty innymi myślami, jak gdyby jej wcale nie słyszał; unikał nawet każdego takiego zwrotu, któryby go zniewolił mówić o Geni, bo zdało mu się zapewne, że trzeba, ażeby się trochę zapomniał pogrzb ich ojca, nimby można znowu wejść z nimi w bliższe i więcej ożywione stosunki. Poczem pełen bardzo życzliwych wspomnień o ich ojcu i pełen wszelakich uprzejmości dla Flory, wsiadł na koń i odjechał.

Flora została zatem znowu oddaną swojemu pogębieniu i swoim niecierpliwościom. Codziennie szła spać w niezmiar

nie melancholicznem usposobieniu umysłu, codzien wstawiała rano z nadzieją, że może dzisiaj przyjedzie, codziennie zbierała ją chęćka swoją miłość własną przełamać i pojechać do Zaklikowa, codziennie ta miłość własna odnosiła nad jej gorącą krwią stanowcze zwycięstwo — i tak mijały dnie jeden po drugim a Ignas wciąż nie przyjeżdża?.

* *

*

Tymczasem Ignas wcale nie w lepszym znajdował się położeniu od Flory.

Od czasu owej stypy fatalnej a zwłaszcza od tego dnia, w którym Flora własną ręką wepchnęła nóż w serce swojego ojca, zrodziły się w nim dwa uczucia, dwie myśli, wręcz sobie przeciwne, które tłumiły się z sobą w jego wnętrzu i miotały nim w jedną stronę lub drugą, jak wiatr jesienny miota liściem leżącym na ziemi. Tak jak liść oderwany od drzewa nie jest w stanie stawić wiatrom oporu, tak i człowiek, którego istota moralna nie jest oparta na jakiejś stałej podstawie, nie umie się oprzeć wrażeniom u-derzającym weń z zewnątrz.

Jednym z tych uczuć był wstręt od tej dziewczyny, która może w gruncie swojej istoty nie o wiele była różną od wielu kobiet innych, ale która tych różnic nie ukrywała, jak inne. Jak trafnie, chociaż poprostu się wyraził Fujara: odrzuciło go od niej. Główną cechą jego charakteru był indyferentyzm, tak dziś powszechny u zamożniejszej młodzieży : ale każdy człowiek gdzieś się wychował, w jakimś społeczeństwie, w jakiejś warstwie społecznej, w jakimś kółku rodzinnem — i stamtąd wziął dzieckiem w siebie pewne uczucia, pewne wyobrażenia, pewne przyzwyczaję-

nia, które w nim pozostają przez całe życie i bardzo często nie dadzą się zupełnie zagłuszyć nawet silnym przekonaniem, nabytym w wieku późniejszym. Znamy ludzi — a jest ich daleko więcej, niżeli przypuszczamy powszechnie, — którzy o wszystkim zwątpili i w nic zgoła nie wierzą, żartują sobie z osób nabożnych i niecierpliwiają się, kiedy im kto dowodzi, że wiara w świat nadprzyrodzony jest człowiekowi wrodzoną; mimo to wszakże zdejmują kapelusz przed księdzem idącym z wiatykiem do chorego, choć ciąż nikt ich nie widzi, idą z rodziną do kościoła w niedzielę, chociaż nikt ich do tego nie zmusza, a kiedy czują godzinę śmierci, sami proszą o księdza, ażeby ich z Bogiem pogodził. Tak samo się ma także z tym wstrętem przed praktycznym zastosowaniem naturalizmu, którego człowiek zwyczajny w sobie utłumić nie może; tak samo wreszcie z tem wyrobionem z wiekami uczuciem, które nam każe szukać czegoś idealnego w kobiecie. Ignas idealistą nie był, ale miał w sobie te z wychowaniem nabyte uczucia, które wstręt budzą przeciwko takiej kobiecie, co ciało własnego ojca uważa tylko za garść bezdusznej materii i własną ręką nóż mu wpycha pod żebra. Jednak ten wstręt pochodzi z takiego źródła, w którym się mieszczą jeszcze inne uczucia. Ten wstręt się rodzi z wrażenia, jakie na nas wywiera niezwykłość a w tym wypadku nieludzkość takiego czynu, każda nieludzkość jest straszna, jest jakby powiewem jakiegoś ducha z innego świata, jest jakby otwierającą się obok nas niezgłębioną przepaścią — a przepaść odurza umysł człowieka i często jakąś nieokreśloną siłą go pociąga ku sobie. Z tego względu taki wstręt jest niebezpiecznym.

Drugim uczuciem, które nim teraz miało, był jego
Zaklika. T. 1.

pociąg fizyczny do Flory. Jej postać sprawiła głębokie wrażenie na jego zmysły, wrażenie tak silne, jakiego dotychczas nie zrobiła na niego żadna kobieta; z tego wrażenia nie zdawał sobie sprawy, bo myśleć wcale nie umiał, ale dlatego właśnie nie umiał mu postawić żadnego oporu. Opór sam się w nim rodził z owego wstrętu, to się zjawiał i wzmagił, to się osłabiał i znikał, ale bez najmniejszego udziału jego własnej energii i woli.

Tak zaraz w dzień po pogrzebie starego Balcera, kiedy mu ojciec wytłumaczył, do jakiego stopnia wszystko, co się stało na Balcerówce, jest brzydkim a nawet nie- ludzkim, a Genia była głęboko oburzona tą bezbożną ma- nifestacją, on przyznał im słuszność i powiedział sobie:

— Szkoda tej Flory, ale nie mógłbym się jej dotknąć, nie potrafiłbym nawet słowa do niej przemówić.

Ale nazajutrz już go nudziło. Odzywała się w nim tęsknota za nią, coś go do niej ciągnęło i wymyślał dla niej rozmaite usprawiedliwienia, mówiąc do siebie:

— Cóż ona temu winna, że ją tak wychowano? Dlatego jeszcze kobiety w niej nie zabito, bo przecież sama porzuciła medycynę, skąd widać oczywiście, że to rzemiosło było jej wstrętne.

Wieczór spać się położył, ale spać nie mógł. Miotaly nim przez całą noc obydwaj przeciwne uczucia: raz widział Florę, jak wpycha ojcu nóż w serce, to znowu jak twarz swoją ku jego twarzy nachyla — i czuł zapach jej włosów i jej oddech, tak wonny i tak upajający. A za ledwie oświ- tło, wsiał na koń i pojechał daleko w pole i stał całą godzinę na wzgórzu, z którego widać było dwór w Balcerówce.

Wrócił rozczarowany, bo Flory nie widział — a potem był przez cały dzień rozsądny i trzeźwy i mówił sobie:

— Ot, głupstwa mi się roją po głowie.

Ale kiedy wieczór się skończył i wszyscy usnęli, znowu Flora stawała przed jego wyobraźnią i nie mógł jej od siebie odpędzić. Powinien był spać się położyć, lecz nie mógł, patrzył chmurnymi oczyma na łóżko i wstręt go brał przed tem łóżkiem, w którym sen od niego ucieka i tylko cień Flory nad niem się wiesza. Natenczas wykraadał sobie konia ze stajni, wsiadał nań i jechał ku Balcerówce. Wśród nocy podjeżdżał bliżej pod dwór i w okna zaglądał, w których się jeszcze świeciło.

Kiedy on patrzył w okna, Flora natenczas tłukła dzbanki na głowach panien służących i darła chusteczki na najdrobniejsze kawałki. Gdyby była wiedziała, że on jest tak blisko! . Byłaby pewnie skoczyła ku niemu i wprowadziła go z koniem do swojej sypialni...

On patrzył w okna, ażali nie obaczy przynajmniej jej cienia. Patrzył przed dom, czy też przypadkiem na werandę nie wyjdzie, ażeby zaczerpnąć wieczornego powietrza. Ale gdyby ją był obaczył, byłby pewnie dał koniowi ostrogę i uciekł, bo nie czuł w sobie odwagi zajrzeć jej w oczy. Ów wstręt, ów jakiś opór nieokreślony i niewysłowiony był w nim wtedy tak silny, że panował wszechwładnie nad tym fizycznym pociąganiem, który tak nieznośnie go trapił.

Jednak ten wstręt także go czasem do Flory pociągał. Widział w niej wtedy niezwykłą kobietę, pełną męskiego rozumu i charakteru, straszną może dla innych, ale nie dla niego. Natenczas widział całą przepaść jej duszy, przepaść bez dna, ale czuł w sobie odwagę, odwagę rozpaczy, która sobie powiada: — Dłużej tej męki i tak nie wytrzy-

mam, rzucę się w przepaść i zginę. I cóż? Nie wiem, co będzie, ale cierpieć przestanę... A w takich chwilach już prawie pod samą werandę podjeżdżał. Ale kiedy przyszło mu na myśl, że Flora się może pokazać, nieprzeparty lęk go porywał, instynktowo dawał koniowi ostrogę i znikał.

Tak ci dwoje ludzi byli siebie tak blisko — a przecie tak daleko. Gość ich pociągało ku sobie a coś dzieliło od siebie. Pociągał ich ku sobie naturalny pęd materji, siła fizyczna — a dzieliły ich od siebie: u niej miłość własna a u niego instynktowe uczucie moralne, wstręt przed brutalną materją, obydwie siły wyższe, nie - materyalne. I te siły wyższe, nie - materyalne walczyły dotąd z brutalną materją i odnosiły nad nią ciągle zwycięstwa.

Ale świat nie stoi na miejscu. Około ludzi zachodzą ciągle coraz to nowe wypadki, jedne dla nich korzystne a drugie zgubne, zazwyczaj od nich niezależne; lecz korzystanie z tych wypadków albo skuteczna przeciw nim obrona zależy zwykle od ich siły duchowej.

IX.

Jednego dnia stary Firlej otrzymał sztafetę, pobiegł z nią zaraz do żony i kazał syna zawołać.

W sztafecie stała wielka nowina: Lubomirscy sprawę zaspali, Firlej wygrał w ostatniej instancyi proces o las."

Wypadek ten zmienił ich sytuację, dotychczas krytyczną a nawet i niebezpieczną: ten las, pełen drzewa okrętowego, obejmował paręset morgów, żydzi na niego już od roku czekali i ofiarowali summy bardzo znaczne. Temi pieniędzmi można było spłacić wszystkie naglące długi i odetchnąć nareszcie swobodnie w pewnej niezawisłości. Roz

poczęto zatem familijną naradę nad tem: jak uskutecznić tę sprzedaż i jak rozporządzić pieniędzmi?

O tem każdy miał inne zdanie, ale stary Firlej powiedział, że to jakoś się znajdzie. Tymczasem zaś zrobił tę zresztą prawdziwą uwagę: że oni już od bardzo dawnego czasu nie dali żadnego balu ani nawet żadnego większego zebrania, ludzie zaczynają o nich już zapominać, znają ich jeszcze tylko bliżsi sąsiedzi a ich dawni znajomi, mieszkający w odleglejszych guberniach, już bardzo często pytają: czy żyją jeszcze Firleje? Jeszcze kilka takich miesięcy — a który z ich dobrych przyjaciół każe za nich odprawić nabożeństwo żałobne i zaproszenie ogłosi w gazetach.

Tak mówiąc, słowa te prawie z ust wyjął swej żonie, która też zaraz się odezwała, wysełając naprzód to choć nie nowe, ale równie prawdziwe zdanie: że w nieszczęśliwych żyjemy czasach. A potem mówiła rzewnie, lecz z przekonaniem :

— Dawniej, kiedyśmy byli wojewodami i kasztelanami, cały świat o nas wiedział i każdy nam należyty respekt oddawał, bo każdy nas potrzebował; ale dziś, kiedy z Bożej łaski jesteśmy niczem, równi wszystkim naszym sąsiadom, ty temu chłopu, co zagon swój orze, a ja tej babie, co liście zbiera po lesie, i jeszcze do tego lada bankier, co może jego ojciec, a dziad to już pewnie siedział u mnie na karczmie, dmucha mi w nos swojemi pieniędzmi: dziś cóż nam zostaje? Oto dwór taki utrzymać, jakiego żaden ban kier mieć nie może, bo takie dwory się tworzą tylko z wiekami, i od czasu do czasu gości przyjąć u siebie, ale także tak przyjąć, jak on nie potrafi, bo ani przyjęciu nie nada takiego tonu, ani takiego towarzystwa nie zgromadzi u siebie. Jeżeli damy bal kostiumowy, bal taki, jaki ja mam

w mojej głowie od czasu, kiedy ten nasz proces o las wziął pomyślny kierunek, bal z wielkim obiadem, a z wyścigami i regatami nazajutrz, to ręczę wam za to, że cały kraj o nim się dowie a nawet będą pisać o tem gazety w Paryżu,

O co się zresztą sama postaram.

I obaczycie, ilu warszawskich bankierów będzie pełzać przed nami na brzuchu, ażeby zaproszenie otrzymać; ale przepraszam... Jeżeli chcecie, to wyprawimy zarazem jakieś okrężne dla naszych poczciwych chłopków, którzy nas przecie jeszcze jakokkolwiek szanują, ale co do mieszczaństwa to nie, niech się tam bawią pomiędzy sobą.

Pani Firlejowa projektem tym całkiem zawróciła głowę mężowi. Chociaż sam znał się na balach, musiał jej przyznać, że czasem mićwa pomysły jenijalne. Jakoż on byłby bez kwestyi aprobował ten pomysł, ale się oglądał na Frysia.

Wszelako Fryś nie był wcale zdania, że trzeba bal dawać. On należał także do tego nowego pokolenia, które jest bez porównania trzeźwiejsze i praktyczniejsze od swoich ojców. Dla niego nie miał żadnej wartości czyn taki, który był obliczony tylko na efekt — a wszystko, co nie miało jakiegoś realnego celu przed sobą, nazywało się romantyzmem, który stanowczo i w czambuł potępiał. Ten biedny romantyzm wpadł właśnie wtedy jak w kleszcze żelazne, które go ścisnęły z jednej strony i z drugiej —

I potępiono bardzo od siebie różnemi, ale w tej kwestji jedno- zgodnemi tonami, nietylko jego egzageracye, któremi zresztą niemało złęgo nabroił, ale zarazem i to, co w nim było dobrego. Wymiatając dom zaśmiecony, razem ze śmieciem powymiatano drogie perły i z brantownego złota ukute ozdoby. Jak dorobkowicz, który ze wsią starożytny

zamek zakupił, razem z nieużytecznymi sprzętami wyprzedał za bezcen nieocenione starożytności i przepyszne utwory sztuki a wreszcie i zamek rozebrał, ażeby na jego miejscu postawić gorzelnię: tak i ci ludzie, objawszy w posiadanie społeczeństwo rzucone w gruzy, zabrali się do wymięcenia jego wszystkich dotychczasowych części składowych, wyobrażając sobie, że z materiału, który sami w swoich warsztatach wykują, nowe społeczeństwo wytworzą. I wzięli się do tej roboty z zapalem czeladników, którzy się sami wyzwolili na majstrów a którzy dopiero z doświadczeniem obaczą, że społeczeństwo nie może być zbudowane według jakiegoś planu jak browar, bo jest z natury swojej utworem wieków — a utwór ten, jeśli chce istnieć, musi mieć swoje podstawy niezmiennie i wieczne a może zmieniać tylko swe kształty i formy według potrzeb czasowych. Fryś był także jednym z tych czeladników. Ale w tym razie miał słusność, bo bal zamierzony nie był potrzebny i miał na celu tylko zadowolenie próżności. Przez poszanowanie dla rodziców wyrażał się bardzo oględnie, ale myśli tej nie pochwałał.

Widząc to matka, chciała i jemu podać słuszny powód do balu i podniosła myśl: czy nie mogłyby się odbyć na tym balu jego zaręczyny z Genią. Pytała go zatem, co o tem rozumieć.

Ale on tę myśl stanowczo odrzucił i tak odpowiedział :

— Ja jestem z Genią w zupełnem porozumieniu. Jesz- czem się jej nie oświadczył formalnie, ale jestem jej pewny

I mógłbym to zrobić dziś albo jutro. Ale muszę jeszcze z tem zwlekać, bo nie jestem pewny Zakliki. Przyznam się nawet, że nie rozumiem tego człowieka. Jest on dla mnie

zagadkowy jak sfinx. Niby dosyć mnie lubi, ja unikam w moich rozmowach z nim jaknajstaranniej wszystkiego, coby mogło pomiędzy nami wywołać dyskusję, jesteśmy więc ciągle w dobrym porozumieniu ze sobą; ale mnie to kosztuje i nieraz muszę gwałt sobie zadawać. Tak niedawno wywodził mi szeroko i długo, że arystokracja rodowa jest fikcją niezmiernie szkodliwą dla dalszego rozwoju społeczeństwa, ale zarazem utrzymywał, że szlachta powinna się trzymać ze sobą a przyjmując ciągle w swe łono zdrowe żywioły z mieszczaństwa i ludu, chować starannie duchową treść dawnych tradycji. Podług niego zatem arystokracja i szlachta to są dwie warstwy społeczne całkiem różne od siebie.

— Podług mnie także, — powiedziała pani Firlejowa.

— To dobrze, — rzekł Fryś, — ale nie trzeba tak mówić, bo w takim razie arystokracja zawisła-by w powietrzu. Arystokracja powinna właśnie się ciągle odżywiać, ale tylko ze szlachty a zarazem opierać się na szlachcie, bo to jest jedyna dla niej podstawa i tylko szlachta się z nią zupełnie assimiluje. Przyrosty z mieszczaństwa są jak żydy, co chociaż się wychrzczą, pozostają zawsze żydami.

— Fryś dobrze mówi, — rzekł ojciec, ja pytam każdego o herb, a jak go ma. to go w nim szanuję. Tak zawsze u nas bywało. Dla mnie i Balcerowie są szlachtą, szkoda tylko, że poszli tak krzywo.

— Ale i Zaklika poszedł także krzywo, — zarzucił Fryś, — on i pod względem religijnym jest odszczepień- cem. Właśnie wczoraj mnie usiłował przekonać, że wszystkie religije z jednego źródła pochodzą a tem źródłem jest

wrodzone człowiekowi przecucie, że jakaś nadprzyrodzona siła panuje nad światem i że w nim samym żyje jakaś część tej siły.

— To bardzo dobrze, — rzekł ojciec

— Ale to bardzo źle, — odpowiedział mu syn, — bo według niego religija nie jest objawieniem, tylko ludzkim utworem. To też on między wszystkimi religijami uznaje tę jedną różnicę, że każda religija jest tylko dalszym i niejako postępowym rozwojem poprzedzającej, skąd wynika, że nasza religija nie jest jeszcze ostatnim słowem, tylko przyjdą po niej jeszcze inne, o wiele więcej rozwinięte i jeszcze idealniejsze.

— Któż to może wiedzieć, co kiedyś nastąpi, — zauważył ojciec, — przecież to jest całkiem niewinne marzenie.

— Ale to jest oburzające, — rzekł Fryś, — bo to jest jawna herezya.

— Mój Fryś, — zawołał prędko ojciec, — jużemy cię o to prosili, abyś się z nim nie wdawał w drażliwe dysputy. Ty jeszcze kiedyś tem wszystko zepsujesz — a jest to partya, jakiej z dziś na jutro nie znajdziesz. Teraz zresztą, jak sądzę, jużbyś miał z tego wielkie zmartwienie, gdyby się to zerwało.

— Zapewne, — rzekł Fryś, — dlatego też nad sobą panuję. Ale mnie to niecierpliwi tem bardziej, ile że dotąd nie mogłem wyrozumieć, co on myśli o moich zamiarach. Przecież wie dobrze, że nie bywam w Zaklikowie dla niego, tylko dla Geni. Nawet mi nigdy nie przeszkadza w moich z nią konwersacjach. Ale ile razy, rozmawiając z nim samym, dotknę choćby zdaleka kwestyi małżeństwa, on daje

takiego młynka, że już potem wcale nie można do tej kwe- styi powrócić.

Na to zaś rzekła troskliwa matka:

— Obawiam się bardzo, że on sobie przychowuje tego młodego Tarła, aby swojego czasu wydać córkę za niego.

— Wątpię, — rzekł Fryś, zamyślając się nad tem, — jednego dnia powiedział mi o Tarle, że to także materya- lista, jak wszyscy inżynierowie, tylko że przytem ma serce.

— A widzisz, — zawołała matka, — on ma dla niego sympatyę. Muszę ja na niego nastroić Fujarę, ten za kilka dni wszystkiego się dowie.

Ale Fryś odpowiedział jej na to:

— Fujara się niczego nie dowie, on nigdy z Fujarą nie rozmawia na seryo. Zresztą z Fujarą od dwóch tygodni także się nie można niczego dogadać. On znalazł i kupił w którymś klasztorze jakiś stary obraz i powiada, że to jest prawdziwy Albrecht Durer, który co najmniej wart milion franków. Odczyścił go, zaszył w płótno i wybiera się z nim do Paryża, tylko że teraz już sezon się skończył, więc wybiera się w tę podróż dopiero pod zimę. Tymczasem zaś marzy już o tem, że po sprzedaży tego obrazu dobra swoje wykupi. Teraz do Fujary już ani przystąpić bez kija...

— Jaka-to prawdziwie polska natura! — rzekł na to stary Firlej na pół z ironiją, a na pół z zadowoleniem, — koniecznie cud jakiś stanie, tej wiary ogniem z niego nie wypalisz.

— “Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono”, — rzekł Fryś złośliwie.

— Spróbuję ja swoją drogą wybadać Zaklikę przez

Fujarę, — powiedziała pani Firlejowa, nie spuszczać z oka swojego celu, — ale możeby można to zrobić także przez Xiędza Prandotę. On zna wszystkie najskrytsze myśli Zakliki. Przecież nie może to być obojętnem Zaklice, że Firlej się stara o jego córkę...

— Moja droga, — rzekł na to jej mąż, który dzisiaj pod wpływem wygranego procesu był w złotym humorze, — prawdę mówiąc, to Zaklikowie nie wiele mniejsi są od Firlejów. Bywali hetmanami a może nawet starsi są od nas, mianowicie w polskiej historii, tylko że nie bardzo dbali o dworskie godności.

Tymczasem Fryś odpowiedział matce:

— Ja bardzo szanuję Xiędza Prandotę, ale to jest Xiędz-obywatel. Nie wchodzę w to, w jakie rzeczy podobno się męszal podczas ostatniej zawieruchy, bo to może są tylko wieści, ale i teraz bywa czasem nieznośnym. Niedawno temu powiedział mi kazanie o nowomodnych Xię-żach we frakach, co się męszają w sprawy Kościoła i tylko zamieszanie sprawiają. Jego zdaniem, człowiek świecki ma umieć katechizm i mieć dobrą xiążkę do nabożeństwa a jeśli ma jakie wątpliwości w rzeczach swego suniienia, to ma się o to zapytać Xiędza. Jużci ja na to się zgadzam co do gminu, ale przecież między nami są ludzie uczeni, którzy nie potrzebują brać lekcji od Xięży a nawet niejeden Xiędz mógłby się czego od nich nauczyć.

— Wiesz co, — rzecze ma ojciec, — ja prawie jestem zdania Xiędza Prandoty. Może tam i między Xięży czasem się jaki demokrata zaproszy, przecież i Xięża są ludzie, ale od tego jest władza kościelna. Myśmy się nie powinni w to męszać. Wiesz przecie z historii, że jak panowie polscy zaczęli się męszać w te rzeczy, to się skoń

czyło na tem, że się pomiędzy nimi namnożyło tyle lutrów a nawet kalwinów, że potem całego wieku potrzeba było na to, aby ich ponawracać. Dzisiejszy pan polski jest katolikiem, może sobie kościół zbudować, klasztor założyć albo dać Xiężom fundusz na szkołę, ale do spraw kościelnych nie powinien się wtrącać. Pan polski nie potrzebuje nawet wdawać się w żadne dysputy ze swymi Xiężmi, bo przecież ma od tego biskupa. Ja od czasu do czasu widuję mego biskupa i jestem z nim zawsze w dobrem porozumieniu, bo się szanujemy nawzajem. A jeśliby kiedy zaszło pomiędzy nami jakie nieporozumienie, to udałbym się z tem do Papieża, ale jeszcze i wtedy sambym tam nie jechał, tylko pchnąłbym z listem kozaka, co "świśnie z wieczora", jak powiada nasz kochany Malczeski, i napisałbym: Ojcze święty! oto taka a taka krzywda dzieje się Firlejowi.. I ręczę ci za to, że Ojciec święty zaraz-by mi sprawiedliwość wyrządził. Tak zawsze postępowali polscy panowie — i dobrze było na świecie.

Fryś go słuchał z rewerencyą, ale się przytem uśmiechał, bo wiedział, że jego ojciec zazwyczaj mówi rozumnie — a jeśli czasem miewa reminiscencye dawnych tradycyi, które już teraz nie mają racyi bytu, to nie trzeba ich brać na seryo i należy mu je przebaczyć. Zaczem rzekł tylko:

— I jabym pragnął, aby te czasy wróciły, ale to trudno, one już nigdy nie wrócą.

— Te czasy pewnie-by jeszcze wróciły, — rzekł ojciec, zachmurzając się przytem cokolwiek, — gdybyście chcieli i gdybyście stali na straży godności waszego imienia, tak jak my na niej stoimy. Ale wyście już zeszli na jakichś commis-voyagerów₁ poniewieracie się pomiędzy lu

dźmi Bóg wić jakiego stanu i powołania i bawicie się w jakieś propagandy; nie szanujecie się sami, więc i was nie szanują.

Lecz na to zniecierpliwiła się matka, bo o balu myślała, i zawołała:

— To tam z czasem się znajdzie, — i dodała z przekąsem do męża, — tak jak się i u ciebie znalazło. Ale wróćmy do balu. Cóż mówi Fryś? bo przecież my nie dla siebie, tylko dla ciebie chcemy się bawić.

— Ja się stosuję do woli rodziców, — rzekł Fryś, — tylko się trochę obawiam, ażebyśmy zamiast osiągnąć cel zamierzony, jakich plotek nie wywołali i aby nie powiedziano, że Firlejowie proces wygrali i zaraz bal dali.

Ta rozsądna uwaga zastanowiła rodziców. Ale sposób na to zaraz się znalazł, bo postanowiono wygranie procesu zachować w sekrecie. O pieniądze nie było kłopotu, bo cóż tam taki bal może kosztować? Tyle pieniędzy jeszcze znajdzie się w kasie. A zresztą, Firlej i tak musi do Warszawy pojechać, więc może się zwierzyć jakiemu bankierowi a ten pieniędzy zaliczy. Tak Frysiowi nie pozostało już nic innego, jak tylko zmniejszyć ile możności rozmiary balu a przeto i koszta.

Fryś tedy robił co mógł w tym kierunku, bo był oszczędny. Go tam bryzgnął przeciwko niemu Zaklika z powodu murzyna, to było żartem. Służący murzyn nie kosztuje więcej, niżeli Europejczyk, często nawet mniej — a jeżeli go Fryś na chrześcijańską wiarę nawrócił, to miał w tem słusność, bo niedobrze mieć sługi rozmaitej religii u siebie. Fryś zawsze ojca bardzo mało kosztował, bo dobrym był synem, szanował nawet jego słabostki i nie chciał mu pomnażać wydatków. Zarazem bardzo dbał o to, ażeby

ojciec jak najmniej długów zaciągał i aby on tem łatwie mógł utrzymać majątek, w czem widział daleko pewniejszy środek utrzymania godności imienia, niżeli w galowanych liberyach i balach. Fryś także i pod tym względem miał przekonania swojego czasu. W tej chwili wielkie miał z rodzicami trudności, ale przecie nakoniec otrzymał to od nich, że porzucono wyścigi i regaty a pozostano przy wielkim balu kostiumowym, może z koncertem albo amatorskim teatrem, którymby się mógł zająć Fajara, natomiast wszakże postanowiono wyprawic okrężne dla ludu, z muzyką i tańcami, w obszernym parku pałacu.

Zaraz tedy nazajutrz oznaczono dzień balu na sam św. Jan, aby dać gościom dość czasu do sporządzenia sobie kostiumów — i porozsełano zaproszenia na Wołyń i na Podlasie, do Warszawy, w Krakowskie i do Galicyi.

Posłano także zaproszenie Balcerom: powiedziano sobie wprawdzie, że zapewne nie przyjadą, bo są w żałobie, ale grzeczność starego Firleja nie dozwoliła, aby ich ominąć.

Z zaproszeniem do Zakliki miał sam Fryś pojechać dopiero nazajutrz — a to dlatego, ażeby mu ten bal przedstawić ile możności jako festyn ludowy.

* *

*

Kiedy Flora otrzymała zaproszenie na bal kostiumowy, aż podskoczyła z radości.

Pobiegła zaraz z tym listem do brata, powiedziała mu w kilku słowach, co w nim napisano i krzyknęła głosem nowo-narodzonego dziecięcia:

— Teraz go mam!

Zdawało się, jak gdyby istotnie dopiero teraz się urodziła i tym radośnym krzykiem nowe witała życie.

— Teraz go mam, — powtórzyła, odetchnawszy cokolwiek, — i wezmę go jak małe kociątko, chociaż herku-lesową ma siłę. Tylko muszę się nad tem zastanowić, jakby to zrobić.

Balcerek, zajęty właśnie chemicznym rozbiorem jakiegoś nawozowego pierwiastku, przerwał swoją robotę, ale nie był wcale tak bardzo uradowany tem zaproszeniem, jak jego siostra. Jakoż naprzód zrobił uwagę:

— Bardzo-to grzecznie ze strony Firlejów, że nas zaprosili, ale my według pojęć światowych jesteśmy w żałobie. Mnie to obojętną, ale tobie nieuwzględnianie tych pojęć już niemało przyniosło zgryzoty. Przedewszystkiem przeczytajmy ten list.

— Go tam żałoba! — zawołała Flora, — tu idzie o rzecz daleko ważniejszą, niż względy światowe. Ale czytajmy list.

List był przez Frysia bardzo ładnie po francusku pisany, w którym stało wyraźnie, że to jest świętojanka, którą jego rodzice wyprawiają dla ludu a na którą zapraszają sąsiadów i proszą ich, aby przybyli w kostiumach. Kto zechce, będzie mógł tańcować, ale kostiumy mogą być całkiem dowolne, nawet i takie, w których się nie tańczy, tylko przedstawia jakąś myśl albo pojęcie ubiegłych czasów. Była-to oczywiście przy mówka do nich, aby ich rozgrzeszyć ze skrupułu, jakiby mieć mogli z powodu żałoby.

— Więc widzisz, — zawołała Flora, — to festyn ludowy, możemy jechać, tylko nie będziemy tańcować.

Potem chodziła przez chwilę szybkim krokiem po du-

żem laboratorium swojego brata, myśląc, ale niebawem stanęła i rzekła *

— Wiem już, jak zrobić. Zaraz jutro jadę do Warszawy, ażeby sobie kostium dać zrobić. Goś sobie sama przez drogę wymyślę, a resztę mi doradzą modniarki. Musi to być taki kostium, ażeby wszystkie kobiety zzieleniały z zazdrości a wszyscy mężczyźni padli plackiem przede- mną. Stanę u ciotki — i nie powrócę aż w przeddzień balu. Przez ten czas niech pan Ignacy się smarzy, do św. Jana się przecie dosmarzy. A ty, mój Filku, ty pojedziesz zaraz do Zaklikowa i powiesz jemu, że wyjechała do ciotki, niewiedzieć gdzie. Ciotka jest teraz w Warszawie, ale wyjeżdża, do kąpiel czy na wieś, ja z nią, ty nic nie wiesz. O moich dalszych zamiarach, zgoła, dla niego, niema mnie nigdzie. Ale mój Filku, jedź zaraz, bo ja chcę, aby on jeszcze dziś zaczął się smarzyć...

Baicerek, zajęty przedewszystkiem swojemi naukami i experimentami, nie od razu zrozumiał, co ona chce zrobić i o co jej chodzi, patrzył więc na nią oczyma, które w gruncie rzeczy nic nie mówiły. To Florę zniecierpliwiło, jakoż zawołała:
— A ty nic nie rozumiesz! Widzę to po twojej twarzy. Gdybyś ty widział, jaki głupi wyraz ty teraz masz na tej twarzy, tobyś się sam do niej nie przyznał. Nic głupszego na tym świecie, jak mężczyźni. I wam się zdaje, że wy światem rządzą!

A wtedy jeszcze raz mu wytłumaczyła, o co jej chodzi. Baicerek, do tego rodzaju intryg wcale niewprawy, bo znał tylko siły materyalne i badał tylko ich działanie brutalne, może i teraz jeszcze nie wszystko rozumiał, ale że zwykł był ulegać siostrze, bo jej przypisywał i rozum nie

zwykły i dokładniejszą znajomość życia, więc ją usłuchał i kazał sobie zaraz zaprzęgać.

A kiedy Flora zaczęła robić przygotowania do swojej jutrzejszej podróży, on jechał do Zaklikowa.

W gruncie rzeczy był kontent, że tam jedzie. Już od kilku tygodni nie widział tych ludzi, bo siostra mu zakazała tam jechać, i to go niepomalu nudziło, ale nie z tęsknoty za ich towarzystwem, tylko dlatego, że swoje broszurki porozrzucił po Zaklikowie, po folwarkach i po wsi, i dotychczas się nie mógł dowiedzieć, czy je czytali ci ludzie i co o nich mówią. Jeżeli się pisze, to przecież się pisze dla- czegoś, jeżeli nie dla sławy literackiej, to dlatego, ażeby lu dziom coś powiedzieć albo ich o czymś przekonać. On o sławę nie dbał, jak każdy pisarz głębokich przekonań, natomiast wszakże tem więcej mu o to chodziło, ażeby się jego przekonania upowszechniały i aby jego czytelnicy je przyjmowali za swoje. Tak myśląc w powozie, o missyi, którą siostra mu dała, całkiem zapomniał, a cieszył się tylko tem, że będzie mógł z tyłu ludzi o swoich broszurkach pomówić.

Z tą uciechą zajechał przed ganek pałacu. Ignasia nie zastał, powiedziano mu, że zaraz po śniadaniu poszedł na polowanie na ptaki, o Fiyarę wcale nie pytał, bo nie przypisywał mu kompetencji w kwestjach literackich, szedł więc wprost do Zakliki.

Zaklika siedział właśnie z xiędzem Prandotą w swoim pokoju zarzuconym książkami i zdawało się, że miał z nim jakąś poważną dyskusję. Zaklika istotnie bardzo często z nim dyskutował kwestye filozoficzne, naukowe i literackie, ale czynił to zwykle z nim sam na sam — a kiedy się zjawił ktoś trzeci, zazwyczaj rozmowę przerywał. Robił to

zapewne przez wzgląd na Prandotę, który z nim samym mógł mówić swobodniej o kwestiach delikatnej natury, o których wszakże przy ludziach obcych, jako xiądz, nie mógł dopuszczać żadnych dyskusji. Toż i teraz rozmowę przerwał i powitał Balcerka bardzo uprzejmie, jak zwykle.

Wszelako xiądz Prandota spojrział na niego trochę pochmurnie i zaraz powiedział do niego:

— Nie chcę się z panem kłócić, bo to nie moja rzecz, ale przecież panu muszę powiedzieć, żeście mi wielką przykrość zrobili tym waszym pogrzebem.

Baicerek był tą wymówką trochę zaambarasowany, ale mu odpowiedział dosyć przytomnie:

— Ja bardzo tego żałuję, ale musieliśmy wypełnić wolę naszego ojca.

— Otóż ja tego usprawiedliwienia nie pojmuję, — rzekł na to Prandota, — i zaraz panu powiem dlaczego. Ojciec pański, z zalem to muszę powiedzieć, bo niegdyś byłem mu przyjacielem, trzy herezye popełnił. Wyprawił sobie stypę za życia, pierwsza herezya; umarł bez sakramentów, druga herezya; kazał się cywilnie pochować, trzecia herezya. Dwom pierwszym nie mogliście przeszkodzić, rad to przyznaję, bo je popełnił za życia; ale przy pogrzebie już nie żył, więc nic wam nie przeszkadzało, nie powiadam już dopełnić chrześcijańskiego obowiązku, ale zrobić waszemu społeczeństwu małą koncesję i zastosować się do ogólnie przyjętego obyczaju. Miałem dość władzy, aby was zmusić do tego, nie użyłem jej, bo byłby się z tego zrobił skandal publiczny — a w naszym położeniu należy takich wystąpień unikać, o których obcy mogliby powiedzieć i słusznie, że tam swój uderzał na swego;

aleście mnie postawili w położeniu niezmiernie przykrem a to było niedelikatnie z waszej strony.

— Ależ taka była wola naszego ojca, — rzekł trochę niecierpliwie Baicerek, — a przecież i podług religii trzeba wolę ojca szanować.

— Podług religii! — zawołał Prandota, — ale pan się nie przyznajesz do żadnej religii i właśnie z tego powodu widzę nielogiczność w pańskim postępowaniu. Przecież podług pana ojciec pański po śmierci był tylko garścią materyi bez żadnej świadomości siebie samego, garścią błota poprostu, która nic nie wie, jemu więc było zupełnie obojętnem, co się z tem błotem stanie — a panu powinno było zależeć na tem, aby nie wchodzić w zatargi ze sąsiadami i uszanować zasady moralne swego własnego społeczeństwa.

— O tych zasadach bardzo wiele-by mówić, — rzekł Balcer, — ja o nich wciąż słyszę, ale badając rzeczywisty stan rzeczy i idąc do samej głębi, nie mogę się ich domać. Ludzie zebrali się w kupę i nazwali to społeczeństwem, w tej kupie znalazły się indywidua, które ją opanowały, i to nazwano powagą i władzą, te indywidua narzuciły tej kupie pewne pojęcia o utrzymaniu jakiegoś społecznego porządku i te pojęcia moralnością nazwano: ale jeżeli się wydobędziemy z ciasnych ram społeczeństwa i zagłębimy do wnętrza człowieka, jak go stworzyła natura, i rozejrzemy się po całym tym świecie szerokim, który go otacza, to tych zasad moralnych nie możemy się doszukać ani śladu. Nasi nowsi filozofowie tej sztucznie wytworzonej moralności wcale nie uznają.

— Dlaczego powiadasz nowsi? — zapytał go Zaklika. — Go mnie najwięcej u was niecierpliwi, to właśnie to, że te wasze zapatrywania się na świat i życie przedstawiacie jako

nowe a nawet jakoby dopiero przez was wymyślone, podczas kiedy one są tak stare jak świat. Albo historii filozofii nie znacie, albo na naszą ignorancję liczycie. A żeby nie sięgać do Greków, do których może wam za daleko, to przecie już Hobbes powiedział, że moralność w swoim obszernem znaczeniu istnieje tylko, w odniesieniu i w obrębie ludzkiego społeczeństwa, któreśmy sami stworzyli, zaś po za obrębem społeczeństwa nie mamy żadnych podstaw do utworzenia jakichkolwiek zasad moralnych. To dobrze. Ale potrzeba utworzenia społeczeństwa jest człowiekowi wrodzoną, bo przecie i dzicy ludzie, których nikt jeszcze nie opanował i które nie otrzymały żadnego objawienia, układają się z własnego popędu w społeczeństwa — a że każde społeczeństwo tworzy się i istnieje na podstawie jakichś zasad moralnych, więc zarody tych zasad leżą oczywiście już w naturze człowieka a przeto tak te zarody, jak i wytwarzające się z nich zasady, są utworem jakiejś siły wyższej, siły tej samej, która nas stworzyła. Czy te zasady moralności zostały pomału wyrobione pracą samych sił ludzkich, czy zostały społeczeństwu objawione od razu przez indywiduala wyższym duchem natchnione, to możemy zostawić rozmaitym wierzeniom lub przekonaniom: w każdym jednak wypadku to pozostaje prawdą niezachwianą, że potrzeba zasad moralnych, że zdolność wytworzenia tych zasad a przeto i sama moralność została nam wpojona przez jakąś wyższą potęgę jako główny warunek naszego istnienia, z czego logicznie wynika, że tę moralność powinniśmy wszyscy szanować.

— To wszystko dobrze, — rzekł na to Balcer — ale jeżeli przypuścimy, że społeczeństwo sobie własnymi siłami swoją moralność wyrabia, co jest mojem przekonaniem, to

musimy także przypuścić, że jego dotychczasowa moralność mogła być mylną i wolno mu sobie inną moralność wyrobić.

— Działania wieków wprawdzie przesądzać nie można, — odpowiedział mu na to Zaklika, — ale w tej kwestyi można przepowiedzieć z pewnością, że główne zasady moralności dzisiejszej nigdy się nie zmieniają, bo i one są człowiekowi wrodzone. Widzimy przecież, że we wszystkich społeczeństwach najrozmaitszego stopnia kultury: oszustwo, kradzież, rabunek, rozbój, zabójstwo, morderstwo, sprzeniewierzenie się, zdrada, bezwstydnosc w obyczajach i jeszcze inne podobne uczynki, są uważane jako występki lub zbrodnie i potępione, jest to więc dziełem wrodzonego człowiekowi sumienia. Zasady te mogą się z czasem tylko wydoskonalić, podnieść daleko wyżej i wyidealizować, ale zburzyć i wykorzenić ich nikt nie potrafi, bo musiałby przedtem zmienić naturę ludzką — a to nie jest w mocy żadnego człowieka. Wszelakie zmiany urządzeń społecznych są możebne, ale tylko pod warunkiem niedotykania tych zasad kardynalnych, które są miazgą i światłem ludzkiego sumienia. Tego rodzaju myśli można dyskutować teoretycznie. ..

— Na co się zdadzą teorie, — zawołał Balcer, — jeżeli ich nie można wprowadzić w życie.

— Otóż właśnie z tego punktu widzenia, — mówił dalej Zaklika, — jeszcze coś ci zarzucę. Wy nowsi filozofowie macie tę wadę, że nie rozróżniacie praktyki od teorii. Jest to z waszej strony logicznie, bo wy nie przypuszczacie żadnego świata duchowego, znacie tylko materię, wszystko, nawet myśl ludzka, jest podług was tylko emanacją materii — a więc każdą myśl usiłujecie na powrót

zamienić w materię. Ale tego błędu nie popełniali wasi poprzednicy — iw tem Właśnie leży wielka pomiędzy nimi a wami różnica. Tenże sam Hobbes, jeden z najtwardszych materyalistów XVII wieku, bo wszystkie swoje teorie opierał na geometrii, nie widzi żadnej moralności, po za obrębem społeczeństwa, ale kiedy mówi o społeczeństwie, to zaleca zachowanie tej moralności, absolutnej formie rządu daje pierwszeństwo nad każdą inną, nie przyznaje prawa rewolucjom i jakimkolwiek gwałtownym przewrotom a chociaż jest za utrzymaniem wolności sumienia, uznaje nawet potrzebę religii państwowej jako koniecznej do utrzymania społecznego porządku.

— Ten Hobbes to strasznie stara maszyna, — rzekł Balcer.

— Dobrze, — powiedział Zaklika., — to stara maszyna, weźmyż więc nowszą, weźmy waszego Comte'a. Otóż ten Comte nas uczy, że nieskończoności zbadać nie potrafimy, że przeto powinniśmy się ograniczyć tylko na badaniu przyczyn i skutków, stałych koegzystencji i sukcesji, objawów podpadających pod zmysły i ich korrelacji, ulegającej pewnym prawom. To jest pozytywizm. Zapatrywania się Comte'a są w gruncie rzeczy pesymistyczne, bo utrzymuje, że człowiek ma z natury wstręt do pracy i jest brutalnym egoistą, zaczem nie jest mu sympatycznym; ale jego dążność jest optymistyczna, bo przecież uznaje także potrzebę moralności społecznej i w celu jej utrzymania zaleca przedewszystkiem przemysłową pracę, nierozzerwalność małżeństwa i poddanie się powadze filozofów, naturalnie pozytywnych. Jednak tym filozofom nie przyznaje ani prawa, ani kwalifikacji rządzenia społeczeństwem, według niego rządzić niem powinni przemysłowcy, fabrykanci, kapitaliści,

kupcy i rolnicy, bez instytucji parlamentarnych a tylko pod inspiracją rady tychże filozofów i wolności krytyki. Jakże stąd daleko do równego podziału majątków! A przy tem wszyskiem nie jest on wcale bezwzględny wielbicielem zimnego rozumu, bo przecież w swoim "Systeme de politi- que positive" daje pierwszeństwo aux facultes affectwes przed facultes intellectuelles, uczuciu przed rozumem — a nawet usiłuje stworzyć jakiś kult, jakąś religiję, w której chce modlić się do przestrzeni jako do przeznaczenia, le destin, a więc do jakiejś siły niebieskiej, do odwiecznego prawa, które równa się Opatrzności, do ziemi i do ludzkości... zgoła, pomimo swego pozytywizmu, wierzy w jakąś wyższą siłę duchową i takie same tka mrzonki, jakich już było tysiące. Goście wy z tego Comte'a wyczytali, tego ja nie pojmuję, bo nie wiem, jakieście go czytali a prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, czyście go czytali...

— Comte nie jest dla nas ewanielą, — rzekł Balcer, — tylko dajemy mu pierwszeństwo przed innymi.

— Otóż to właśnie jest źle, — zawołał, Zaklika i mówił dalej z dobrego serca, — słuchaj mnie, panie Filonie, jestem przecież trochę obyty z xiązkami, więc może mi uwierzysz na słowo, że w filozofiję nie można wskoczyć przez jednego filozofa tak jak się przez drzwi wskakuje do domu, bo filozofija to jest całe miasto domów, często nawet wielopiętrowych. Co gorsza, nieraz w jednym domu znajdziesz co innego na pierwszym piętrze a całkiem co innego naostatniem, jak u Schellinga, jak zresztą u Comtea. Kto chce się wziąć do nauki filozofii, ten musi ją przejść w całości, od Greków aż do naszych czasów, bo żaden z filozofów nie rozwiązał zagadki życia, tylko coś do jej rozjaśnienia przyczynił. Położyli oni wielkie zasługi około

psychologii, logiki, dialektyki, około biologii, fizjologii i geologii a nawet około matematyki, dynamiki i geometrii, ale prawdy odwiecznej i niewzruszonej nie odkryli. A jeżeli z nich wszystkich wyciśniesz kwintessencję tego, co obserwacją i myśleniem zdobyli, to przyjdiesz do przekonania, że to wszystko co nas otacza i co naszymi zmysłami widzimy i czujemy, może być albo nie być, albo nie tak być, jak je widzimy, bo zmysły są naszym indywidualnym środkiem percepcji a my nie mamy żadnej nad temi zmysłami kontroli; ale natomiast to, co jest w nas samych, ta siła duchowa, która nad zmysłami panuje i jest oczywiście cząstką jakiejś siły nie-materyjalnej, odwiecznej, wszechmocnej i panującej nad całym wszechświatem, to jest niezawodnem, bo jest w nas a nie po za nami.

— Otóż w tem właśnie ze sobą się różnimy, — rzekł Balcer, — bo ja tej siły nie widzę.

W tej chwili Prandota, który tej rozmowy dotąd słuchał w milczeniu, wstał, pożegnał się z Zakliką, ukłonił się Balcerowi zdaleka i wyszedł.

Po jego wyjściu Balcer się rozśmiał i rzekł:

— Z tymi ludźmi nie masz żadnej dyskusji.

— To rzecz naturalna, - rzecze Zaklika, — bo Kościół jest władzą. Tak jak żaden monarcha nie może pozwolić na to, ażeby dyskutowano jego koronę, tak i ta władza nie może dopuścić, ażeby dyskutowano tę siłę, na której ona opiera swoje prawo do bytu.

— Przyjdzie czas, kiedy i oni się ugną przed potęgą rozumu.

— Wątpię, — odpowiedział mu Zaklika, — Kościół może robić ustępstwa co do formy a nawet tu i owdzie je robi* ale nigdy co do istoty rzeczy.

— To zginie.

— Być może, że kiedyś zginie, ale na jego gruzach powstanie nowa religija. Lecz w gruncie rzeczy nie będzie to nowa religija, jeno ta sama, która dziś istnieje, tylko może trochę więcej uduchowiona - a co najciekawsza, to że najgorętszymi apostołami tej religii będą właśnie filozofowie, bo ci najpierwsi obaczą dno ludzkiego rozumu a więc najgłębiej uczują potrzebę wiary w coś wyższego niż rozum.

— Dajmy pokój tym rzeczom, — rzekł Balcer, — bo to są już proroctwa. Chciałem pana zapytać, czyś czytał moje książeczki?

— Czytałem, ale je mojej córce skonfiskowałem.

— A to dlaczego?

— Bo są niemoralne

Balcerek był tem bardzo zdziwiony i rzekł:

— A przecież tam niema scen nieobyczajnych.

— Są, ale nie o to idzie, — odpowiedział mu Zaklika. Ja nie jestem tak ciasnego serca, ażebym dlatego, że w tym lub owym romansie znajduje się kilka scen śliskich, zakazywał go pannom. Lepiej jeżeli panna dowie się z książki, czym jest życie, niżeli z własnej praktyki, ale pod tym warunkiem, ażeby te sceny śliskie były przedstawione nie- tylko dlatego, że są prawdziwe, jak to wy dzisiaj robicie, ale także w tym celu, ażeby czytelniczkę nauczyć, do jakiego stopnia namiętności, nie trzymane na wodzy sromem, obyczajami i rozumem, są zgubne. Wy dzisiaj wyśmiewacie tę starą maxymę: że występki powinien być ukarany a cnota wynagrodzoną — a ja wam powiadam, że to jest najwyższe prawo dla literatury i sztuki, i że najpierwsi mistrzowie zawsze go się trzymali, chociaż każdy z nich ten cel

osięgał innymi środkami. Ograniczając się na obrzydzeniu zbrodni, bez przeciwstawienia jej cnoty, można ten cel także osiągnąć, lecz wiedźcie o tem, że to się udawało tylko pierwszego rzędu jenijuszom. Ale wy, naturaliści, nawet sobie nie zadajecie takiego celu: przedstawicie to, co spostrzeżecie, li tylko dlatego, że to jest prawda — a o wpływ, jaki wasz obraz sprawi na czytelnika, wcale się nie troszczycie. Otóż ja się na to nie zgadzam...

— Według najnowszych pojęć, — rzekł Balcer, — przedstawienie naturalnej prawdy, tak jak ją obserwacya pojęła, jest jedynym celem pięknej literatury i sztuki.

— Otóż to pojęcie jest z gruntu fałszywe, — zawołał Zaklika. Obserwacya jest tylko jednym ze środków a wcale nie jedynym środkiem, jakimi powinna posługiwać się sztuka.

Obserwacya jest szkiełkiem czysto indywidualnem, przez które człowiek patrzy na obserwowane przedmioty; drugi człowiek ma inne szkiełko — a jeden i ten sam przedmiot, obserwowany przez dwóch ludzi, przez każdego z nich zostanie inaczej pojęty i przedstawiony, zaczem nie ma żadnej rękojmi, że ten»lub-, ów widział prawdziwie. Obserwacya nareszcie przynosi nam tylko obraz zewnętrzny obserwowanych przedmiotów — a samo zewnętrzne odbicie przedmiotu, chociażby jak najzupełniej¹ trafne, nie jest jeszcze dziełem sztuki. W zakresie sztuki obrazującej, takim odbijaniem zewnętrznej postaci przedmiotów zajmuje się fotografija — a fotografia, jak ci wiadomo, nie jest sztuką, tylko rzemiosłem.. "Gdyby wierne odtworzenie natury zasługiwało na nazwę dzieła sztuki, to stenografowany protokół jakiego wielkiego kryminalnego procesu, ~z dodatkiem urzędowego raportu o straceniu winowajcy, byłby najlep

szą tragedią, — a przecie, tak nie jest. Prawdziwe dzieło sztuki może stworzyć tylko duch ludzki, jego siła tworcza, która za pomocą obserwacji i za pomocą myślenia zgromadzone żywioły układa w pewien artystycznie obmyślony ład i porządek i stwarza całość, złożoną nie tylko z objawów zewnętrznych, ale zarazem z ducha, który ją ożywia, i z pewnej myśli, która jej daje byt skończony i samoistny. Ta siła tworcza, którą nazywamy jenijuszem, ma władzę wszechmocną nad przestrzenią i czasem, albowiem wypadki, które następowały po sobie w przeciągu wieków i działały ęię na niezmiernie rozległych przestrzeniach, może skupić w myśl jedną i w jednej chwili pomieścić na jednej kartce papieru. To też nie to jest dziełem sztuki, co szeregiem najczęściej luźnych, choć zwykle prawdziwych obrazów, działa na zmysły i zostawia po sobie rozmaite, choć często wzruszające wrażenia, ale to, co za pomocą zmysłów działa na umysł i pozostawia na nim jedno, okrągłe, skończone i konieczne, nie przytłumiające, lecz podnoszące wrażenie. A co jest właściwym zadaniem sztuki? Oto podnoszenie realnej rzeczywistości do ideału a nadawanie ideałom form takich, w którychby mogły zstąpić na ziemię i żyć między ludźmi. Ale wasza naturalistyczna literatura o takich celach wcale nie myśli — a przeto, chociaż wydała wiele niezwykłych a nawet kilka ślicznych talentów, pozostawia mnie zimnym a często sprawia na mnie nawet wrażenie gorszące...

— A tymczasem, — rzekł na to Balcer, — naturalizm jest dzisiaj przeważnym prądem w literaturze a nawet w ogóle w sztuce.

— Dla publiczności pragnącej wzruszeń, — odpowiedział mu Zaklika, — ale nie dla ludzi myślących. Dla nas

literatura ta jest aberracją, jest jednostronnym wylewem duchowego strumienia, spowodowanym przez otrzeźwiająca burzę społeczną, jest wreszcie, nie szkołą, lecz szkółką, a jako taka oczywiście przemijająca. Naturalizm w literaturze i sztuce nie jest postępem, tylko cofnięciem się wstecz. Kto bowiem wyparł ducha z dzieł sztuki i ograniczył ją do materji i emanacji materji, kto odrzucił pojęcie piękna a zadawała się samą prawdą, kto zredukował niezliczoną ilość delikatnych kolorów do kilku farb grubych i pierwiastkowych, ten poezji i sztuki pewnie naprzód nie por pchnął. Romantyzm dopuszczał brzydotę jako formę dla grozy i kochał się w kolorach żywych, jako w środkach działających na wyobraźnię; ale wyście brzydotę posunęli do obrzydliwości a nawet w niej się kochacie — a żywość kolorów zastąpiliście jaskrawe mi farbami i niemi wojujecie przede wszystkim. Owóż obrzydliwości i farby jaskrawe tylko gmin nęcą ku sobie, ale nie ludzi ukształconych, którzy innego pokarmu szukają dla siebie.

— Ale kiedy taką jest prawda, — rzekł Balcer z niecierpliwością, — zresztą my właśnie piszemy dla gminu i mało dbamy o ludzi takich, którzy swojemi uczuciami się oddzielają od gminu.

— W takim razie nie wiem, — zauważył żartem Zaklika, — dlaczego chciałeś, abym ja czytał twoje xią- żeczki...

Młodzieniec na to się skonfundował cokolwiek, ale Zaklika starał się go uspokoić, mówiąc dalej:

— Ja wiem, jaki był twój cel i ten cel ci pochwalam. Kto pisze dla ludu, ten dobrze robi, jeżeli poddaje swoje utwory sądowi ludzi ukształconych, tylko powinien to robić pierwiej, niin je rozrzuci pomiędzy lud...

racye romantyzmu, odżywił potrzebę plastyki w sztuce, która już się zaczęła gubić w formach zanadto powietrznych, i spuścił się głębiej w przeguby duszy ludzkiej, którą zaczął anatomicznie analizować. Ale na tem się kończą jego zasługi, bo wszystko inne, co wniósł do poezyi, jest szkodliwe dla sztuki. Ograniczenie się na odbijaniu objawów zewnętrznych, mechaniczne odtwarzanie procesów, choćby psychologicznych, bez względu na to, czy one są piękne, dobre i wzniosłe, byle tylko były prawdziwe, pes- symistyczne zapatrywanie się na świat i ludzi, uwielbienie dla materji a pogarda dla ducha, gonienie za wzruszeniami a lekceważenie wrażeń, oświecanie stron wstrętnych natury ludzkiej bez żadnej korektywy moralnej, obojętność dla wszystkich dóbr wyższych narodu i społeczeństwa, deptanie uczuć czysto-ludzkich, pogarda dla formy^ każenie dobrego smaku i zaniedbanie języka: oto są grzechy jego krótkiego żywota.

Grzechów jest dużo a jego zasługi nie mogą się zrównoważyć choćby tylko dlatego, że nie są to wcale idee nowe, bo to wszystko już było.

— Wszystko już było? — zapytał Balcer z ironją.

— Oczywiście, że było. Weź tylko wielkich poetów wszystkich narodów i czasów, których dzieła wszystkie burze przetrwały, od Homera przez Danta aż do Goethego — a znajdziesz w nich i najwyższą plastykę i najgłębszą duszy ludzkiej analizę. Ażaliż wasz naturalizm stworzył coś więcej naturalistycznego, jak Walpurgisnacht w Fauście ?

— To były indywidualne wyjątki.

— Nie, mój drogi. Na istotę i powołanie sztuki nie można się zapatrywać ze stanowiska jakiejś szkoły lub szkółki. Stanowisko takie jest niskie, bo wszystkie szkoły

mijają, będąc tylko ujęciem w teorię jakiegoś prądu, stworzonego potrzebą pewnej epoki: natomiast wszakże są prawdy, które nie mijają i pozostają wiecznie, bo są prawdami nie dla jakiejś epoki lub społeczeństwa, tylko dla wszystkich czasów i dla całej ludzkości. W ostatnich stu latach mieliśmy w poezji, literaturze i sztuce, trzy szkoły, następujące po sobie: klasycyzm, romantyzm i naturalizm. Każda z nich była jednostronną: klasycyzm dawał przewagę idei, romantyzm uczuciu a naturalizm sensualizmowi. Dlatego każda z nich była zboczeniem — i żadna nie miała całej prawdy, ni w sobie, ni za sobą. Weź arcydzieła mistrzów wszystkich narodów i czasów, Homera, Danta, Szekspira albo Goethego, a znajdziesz w nich składowe części tych wszystkich trzech szkół: znajdziesz ideę, uczucie i sensualizm, tylko że w nich te wszystkie trzy żywioły znajdują się w równowadze ze sobą i stanowią harmoniję. Harmonija jest tedy niezaprzeczenie najwyższą dla poezyi i sztuki zasadą; ona nie potrzebuje szkoły, bo leży w uczuciu całej ludzkości — i dlatego tylko te dzieła, które temu powszechnemu uczuciu odpowiedziały, stały się własnością całej ludzkości i wiecznie nią pozostaną.

— To może prawda, — rzekł Balcer, — ale nie każdemu być Dantem albo Goethem.

— To też tego nie wymaga się od każdego pisarza. Ale co każdy pisarz zrobić może, to uwzględnić tę prawdę powszechną i w swoich utworach nie dawać przewagi jednemu żywiołowi, tylko objąć te wszystkie trzy główne żywioły i ułożyć je w pewną harmoniję. Im mniej harmonii w jakim utworze a im więcej przewagi danej jednemu tylko żywiołowi, tem więcej ten utwór oddala się od arcydzieł sztuki a przeto tem mniej wart jest czytania...

Ta ostatnia uwaga dotknęła osobiście Balcera, bo teraz już dostrzegł, że Zaklika uważa jego xiążeczki jako niewarte czytania; zaczem wstał zachmurzony i chciał się pożegnać. Ale Zaklika go zatrzymał, mówiąc:

— Przecież zostaniesz na obiad.

Balcerek się zawahał, ale odpowiedział grzecznie:

— Zostanę chętnie, tylko pójde obaczyć Ignasia.

— Ignaś nie wróci aż na sam obiad, ale możesz tymczasem zabawić się z Fujarą.

Balcer nie miał wcale ochoty bawić się z Fujarą, ale wyszedł na folwark, aby innych ludzi obaczyć — a tam przed wszystkimi innymi spotkał młodego Nurka, który był zajęty naprawą chomontów przed końskimi staj* niami.

Balcerowi, po jego rozmowie z Zakliką, tak była potrzeba, żeby mu kto jego xiążeczki pochwalił, że się ucieszył jego widokiem, chociaż dotychczas jeszcze wcale nie wiedział, co ma o nim rozumieć, bo młody Nurek czasem na jego zapatrywania zupełnie się zgadzał, ale niejednokrotnie przyjmował je z pewną rezerwą. Jednak żyli z sobą w dobrej przyjaźni i pewnej poufałości, jakoż Balcer spytał go zaraz obcesem:

— Cóż? czytałeś moje xiążeczki?

— Jużci czytałem.

— A pomyślałeś trochę nad niemi?

— Ja zawsze myślę, — odpowiedział mu Nurek z uśmiechem, — jeno że# nigdy nie mogę niczego wy- myśleć.

— Ale przecie, cóż myślisz o tych xiążeczkach?

— Boję się panu powiedzieć.

— Mów śmiało i szczerze, ja właśnie chcę wie

dzieć, co taki rozumny robotnik jak ty o nich rozumie.

— Więc panu powiem, — rzekł Nurek, — że mi się te xiążeczki wcale nie podobały. Może one są bardzo pięknie pisane, ja o tem sądzić nie mogę, bo ja jestem człek prosty, ja w każdej xiążce tylko tego szukam, czegobym się mógł z niej nauczyć. Otóż z tych xiążeczek możnaby się tylko czego złego nauczyć, bo z tego, co pan tam pokazuje na różnych osobach, prawie wynika, że człowiek może wziąć jego własność drugiemu, jeżeli mu jej potrzeba a nawet i wtedy, jeżeli mu się tylko jej zachce. A to jest źle, proszę pana...

— A to dlaczego?

k— Bo jeżeliby ludzie zaczęli tak gospodarować po świecie, to niktby się nie brał do pracy, bo na co jemu pracować, kiedy może sobie wziąć u swoich sąsiadów czego mu trzeba i nic mu się za to nie stanie.

— Ale tyś nie zrozumiał, co tam stoi. Ja tylko chciałem dowieźdź, że jeżeli człowiek, bądź z koniecznej potrzeby, bądź też opanowany nieprzepartą namiętnością, weźmie co drugiemu, to za to nie należy go karać. Jest to kwestya fizyologiczna...

— Może i tak, — odpowiedział mu Nurek, ale uśmiechając się z widocznym niedowierzaniem, — jednak to niedobrze głupim ludziom powiadać, że można i innym sposobem przyjsć do posiadania jakiej rzeczy, nie zapracowawszy na nią własnymi rękami.

— Ty tego nie rozumiesz. — rzekł Balcer z niecierpliwością, — to jest walka o byt Kto jest rozumniejszy albo też silniejszy, ten zjada tego, który jest głupszy i słab • szy: takie jest prawo natury.

Zaklika. T. 1.

Ale Nurek się na to znowu uśmiechnął i rzekł:

— A mnie się zdaje inaczej, bo to właśnie ten, co nie umie zapracować uczciwie na to, czego mu trzeba, i musi oszukiwać, kraść, albo rozbijać, aby mógł żyć, to ten jest dureń — i raczej on zasługuje na to, aby był przez drugich zjedzony.

— Więc jakże? więc jeżeli jaki robotnik jest słabszy i nie może tyle zarobić co drudzy, to ci drudzy, co od niego mocniejsi, mają go między sobą zadusić?

Na to Nurek spojrzął na niego rozumnie oczyma i mówił z serca i z przekonania:

— Mój panie Balcer, dlaczego wy się zajmujecie robotnikami, kiedy wy robotników wcale nie znacie? Wam się roją jakieś filozofije po głowie a nam robotnikom chodzi o chleb. Uczciwy robotnik wcale o tem nie myśli* jakim sposobem by mógł zabrać, własność drugiemu, jeno

0 tem, ażeby jego praca została słusznie wynagrodzoną, aby mógł z swojej pracy siebie i swoją rodzinę utrzymać

1 aby w czasie choroby albo na stare lata nie musiał umie- • rać z głodu.

Ci robotnicy, co myślą o tem, jakby cudzą własność zabrali bez pracy, to są hultaje —• i jeśli ci wymrą z głodu albo ich kiedy wybiją, to nie będzie czego żałować. A wy, jeżeli waszym rozumem chcecie nam pomódz, to myślcie nad tem, jakby nasz los poprawić i na zawsze zapewnić, a nie nad tem, jakby ten nasz los z gruntu odmienić. Myślą już nad tem, jakby godziny pracy określić, słabych na zdrowiu, kobiety i dzieci od przeciążenia pracą ochronić, dla chorych pobudować szpitale, zapewnić im wysługi na starość i ich sieroty ubezpieczyć od nędzy i głodu, to bardzo dobrze. A jak to się zfobi, od czego jednak jeszcze

bardzo daleko, to się zacznie myśleć o innym poprawieniu ich losu. Ja, panie, pracowałem po miastach, wiem zatem z własnego doświadczenia, jaki niezdrowy chleb, jakie haniebne mięso się robotnikowi dostaje i jak drogo musi za nie płacić. A czy nie możnaby-to po miastach i po fabrykach, gdzie tak dużo jest robotników, pourządzać uczciwie prowadzonych piekarni i rzeźni i robotnikowi zdrowy pokarm po słusznej cenie zapewnić? I zdrowie i kieszeń robotnika-by na tem zyskały i jeszcze-by się przy tem dość zarobiło, ażeby ubogim można dać darmo dobrego chleba i mięsa. Jeżeli wy macie rozum po temu i tak bardzo robotnika kochacie, to zajmijcie się takimi rzeczami, których on potrzebuje i które mu przyniosą pożytek: ale te — tam xiążeczki, w których mu dajecie jakieś nauki, co on ich nie rozumie, a jeszcze i złe mu przedstawiacie przykłady, to jeno głowę mu bałamuca i na nic mu się nie zdadzą. A ja pana przepraszam, że tak mówię po prostu, aleś pan chciał wiedzieć, co o tych pańskich xiążeczkach rozumie prosty robotnik, więc ja to panu powiedział.

Balcerek w głębi swojego serca bardzo się na to zachmurzył i pomyślał sobie: — Tego chłopaka już ktoś zbałamucił. Nie ma on wcale uczuć i myśli robotników europejskich — a nawet zdaje się być spreparowanym, aby się stać stronnikiem socjalizmu katolickiego. Prandota będzie miał z niego pociechę. Ale nasz lud myśli całkiem inaczej...

Jednak udał, jak gdyby nic, ścisnął rękę Nurka i rzekł:

— Pogadamy o tem kiedyś gruntowniej a ja cię przekonam, że robotnicy mają wcale inne posłannictwo, niżeli marny kawałek chleba. A jak się ma twój ojciec?

— Zdrów, chwała Bogu. Zawsze przy pracy, więc niema czasu chorować.

— Do pańskiego obiadu jeszcze daleko, pójdę go odwiedzić.

I poszedł na wieś, gdzie stary Nurek miał swoją chatę.

Fujara od kilkunastu dni okrutnie się nudził. Zaklika w zimie czasem bawił się z nim konwersacją, ale teraz, wśród wiosny, albo się gospodarstwem zajmował, albo konno w pole wyjeżdżał a wieczorami zatapiał się w swoich książkach. Genia traktowała go trochę z wysoka i nie miała takiego fraucymeru, z którymby się można było zabawić. Ignas kawaler ni w pięć ni w dziewięć dla niego. Z Kańskim rozmawiać nie lubił, felczera nie uważał za równego sobie a pisarze naśmiewali się z niego, więc nimi pogardzał. Grać nie miał komu a co do czytania, to wszystkich poetów umiał na pamięć, inne zaś książki takiego smakosza jak on nie mogły wcale zajmować. Nabycie obrazu Albrechta Diirera na jakiś czas go ożywiło, ale także i jego świadomość swojej godności znacznie podniosło, bo czuł już w swojej kieszeni ten milion, który za niego otrzyma, a razem z milionem czuł także pewną pogardę dla tych ludzi, co miliona nie mają a tak się z nim bratają, jakby go mieli. Jednak ta okoliczność, że z tym Durerem musiał czekać do zimy, nim będzie mógł go spieniężyć, napęłniała go jeszcze tem większymi nudami. Zwłaszcza pomiędzy śniadaniem a obiadem nie wiedział już sam co ma począć ze sobą, wyciągał się, ziewał, chodził po dziedzińcu jak głupi — i był jak ten pies u niemieckiego poety, który chodząc po pustym rynku tak okrutnie się nudził, że zwracał się do przechodniów i mówił do nich: — Bądź pan łaskaw i daj mi nogą w grzbiet, może mnie to troszeczkę rozerwie. — Ludzie niespokojnego umysłu jak Fujara są rzeczywiście do

tego psa bardzo podobni: potrzeba im koniecznie jakiejś emocji — a jak jej nie mają, to woleliby wreszcie, gdyby im kto dał po łbie, niżeliby mieli jeszcze dłużej się nudzić. Kiedy już takie nudy przyszły na niego a nie było nikogo, coby chciał mu dać po łbie, to już wolał iść na wieś, pomiędzy poczciwych chłopków: tam mu przynajmniej jakiś murga coś tak okrutnie głupiego powiedział, że go to zabawiło, albo spotkał jakąś dziewczynę lub młodycę, której sam mógł coś głupiego powiedzieć. Lubił także czasem do starego Nurka zachodzić, bo był to chłop zacny, jak na chłopka bardzo rozumny, i miewał czasem sąd zdrowy o ludziach i rzeczach.

Chata starego Nurka stała na końcu wsi a za nią czyste rozścielały się pola. Była-to dosyć duża budowa, z modrzewiowego drzewa w prosty sposób związana, zapewne już bardzo stara, bo była tak mocno w ziemię zakłęśła, że ktoby o tem nie wiedział, to przestąpiwszy wysoki próg, mógł był zaraz dać kozła do sieni. Dach był ze strzechy słomianej, ale już tak poczerniałej jak smoła, tylko gdzieniegdzie widać było na niej gąbki zielone, które wyrosły w miejscach, gdzie słoma już strupieszała. Okna w tej chacie były maleńkie, zapewne ze szkła, ale z czasem tak zaprószone, że wyglądały jak błony. Po prawej stronie sieni znajdowała się wielka świetlica z piecem i tak ogromnym przypieckiem, że na nim swojego czasu ośmioro małych kurcząt sypiało, obok niej alkierz z łóżkiem dla rodziców i skrzynią okutą w żelazo. Po drugiej stronie w niezamąconym braterstwie ze sobą mieszkaly owce i kozy a między nimi biegało kilkanaścioro prosiąt, kwicząc i dla rozrywki wierzgając czasem tylnymi nóżkami. Za chatą stały chlew i obora a między temi budynkami i chatą rozlegała

się głęboka i obszerna gnojownią, od której odurzająco ojczysty zapach rozlegał się po całym obejściu. Obok gnojowni leżał wieprz na pół karmny bardzo zamyślony; po jego oczach widać było, że miał wielką ochotę wleźć w tę gnojownię pełną gnojówki i wziąć kąpiel chłodzącą, ale zdaje się, że miał jakieś powody nad tem się zastanowić, bo się nie ruszał i kontentował się tymczasem czarującym gnojówki widokiem i jej orzeźwiającym zapachem. Natomiast mający więcej od niego decyzji dość rosły podświnek leżał już w tej gnojówce zanurzony pod samą szyję i widać było po wyrazie jego ryjaka, że mu w niej tak było dobrze, jak ludziom nigdy nie może być na tym świecie.

Z tyłu za chatą rozciągał się ogród warzywny, obok niej widać było kawałek sadu z kilkoma ulami pszczoł a przed nią rozścielał się dosyć duży dziedziniec, otoczony, tak jak i całe obejście, starym z chrustu plecionym płotem, uzbrojonym u góry cierniami. Na tym dziedzińcu przed chatą stała ogromna, rozłożysta lipa, licząca pewnie już kilka wieków, pomiędzy najwyższymi jej konarami bocian przezspłoroczne swe gniazdo naprawiał a koło lipy latały gołębie, patrząc ciekawie na śmiecisisko, przytykające do studni z żórawiem i żłobem, na którym kury bawiły się z kurczętami, czy gospodyni nie nasypie im ziarna na tym ciężkim przednówku.

Pod lipą siedział stary Nurek przy małym kołodziejskim warsztacie, wprawiając nowe sprychy do jakiegoś starego koła. Był to chłop mający już lat sześćdziesiąt z okładem, barczysty, silny, z siwiejącą brodą i mocno zwichrzoną czupryną; na jego twarzy widać było spokój i rezygnację a w jego oczach przebijały się dobroć serca i zamyślenie; wszelako teraz te jego oczy biegały po sprycbach i kole,

kierując jego pracowitemi rękami, aby się nie omyliły w robocie.

Tak wyglądała chata starego Nurka.

O ile dzieje nam jakieś wieści przyniosły o mieszkaniach i życiu wiejskiego ludu, jesteśmy pewni, że taka sama chata tu stała za czasów Ruryków i Piastów i od dziesięciu wieków nic się w niej nie zmieniło. Wieki te szalały nieraz straszliwymi burzami u góry, przewracały królestwa i rzeczypospolite, zmieniały z gruntu panujące idee, zaprowadzały nowe rządy, jakich przedtem nigdy nie było, przynosiły ze sobą nowe wierzenia i obyczaje, przebierały ludzi w całkiem odmienne od dawnych ubiory, niszczyły czasem pożogą i mordem dobytki i ludzi zrośniętych od niepamięci z samą skorupą ziemi: ale ta chata z tym swoim odwiecznym chłopem wszystkie te burze przetrwała — a jeśli ją kiedy zamieniono w kupę popiołu, to się w oka mgnieniu odbudowała, oko w oko taka sama jak była przedtem, i taki sam w niej zamieszkał gospodarz, jaki był przed wiekami. Chaty te odrastają tak samo jak lasy i wszelka roślinność na Ziemi. Postępu tu wcale nie widać — a jeśli się jaki rozwija, to tylko bardzo powoli i zawsze tylko na tych samych moralnych podstawach i zasadniczych pojęciach, które stanowią duchową istotę tego nierozzerwalnym węzłem związanego z naturą wiejskiego ludu. Ale teraz 4 miało to być inaczej — i wszystko to miało się zmienić do gruntu w ciągu jednego pokolenia.

Teraz siedział młody Balcer naprzeciw starego Nurka i bardzo żywo coś mu wykladał. Musiały-to być jakieś teo-rye, niełatwo zrozumiałe dla chłopca, bo Nurek słuchał go w roztargnieniu i nie przerywał swojej roboty. A w tem wszedł Fujara i powitał Nurka łaskawie a Balcerka co-

\
Jj *

kol wiek chłodniej i nie bez ironicznego uśmiechu w oczach.

Balcer był bardzo niekontent z przybycia tego nieproszonego gościa, ale że go miał za nic, za jakieś wprawdzie jeszcze żyjące, ale zgoła nic nie znaczące stworzenie, więc kontynuował dalej swoją z Nurkiem rozmowę i właśnie teraz go spytał:

— Przecieżeście czytali moje dwie książeczki?

— Jużci je przeczytałem w niedzielę, — odpowiedział mu Nurek, — alem je dał xiędzu Prandocie, aby moje dzieci do nich się nie dobrały.

— Pff! — dmuchnął na to przed siebie Fujara.

— Masz tedy, — rzekł na to Balcer pochmurnie — dlaczegóż-to bronicie ich dzieciom?

— Bo to nieobyczajne, — odpowiedział mu chłop bez ogródki. — Ta "Kaśka wiatronoga", co była w ciąży z parobkiem, chusty swej gospodyni zabrała i z niemi uciekła, to panie była złodziejka i jeszcze coś więcej — a pan o niej tak pisze, jak gdyby dobrze zrobiła. Takich nauk dzieciom dawać nie trzeba...

. ^ — Ale wyście tego nie zrozumieli, — rzekł Balcer, — ta biedna Kaśka przecie nie ze swawoli, tylko z prawdziwej miłości oddała się parobkowi, bo tej miłości nie mogła się oprzeć, więc kiedy się steło nieszczęście i kiedy jej gospodyni, dowiedziawszy się o tem, kazała jej zaraz nazajutrz wynosić się z chaty, to cóż miała robić? miałaż się zaraz powiesić?

— Ja tam nie wiem, — powiedział Nurek, — co taka wszetecznicza ma robić, jeno to wiem, że u nas taką dziewczkę prowadzą przed cerkiew i tam jej miłość naprzód postronkami ochłodzą. Znajdzie się potem jaka dusza litościwa,

co ją u siebie przytuli, to nikt temu się nie sprzeciwi, ale jeżeli ona jeszcze do tego kradnie, to jej nikt nie przytuli — i tak ma być zawsze, bo złodziei trzeba tak tępić jak drapieżne zwierzęta.

Mój panie Nurek, — rzekł na to Balcer, — wy jeszcze się dobrze nad tem nie namyślili. Wszelaka własność, którą posiadają ludzie, nie jest dla jednego człowieka, tylko dla wszystkich ludzi: a jeżeli kto z głodu cudzego chleba nadkasił, to nie można go zaraz za to zabić, bo on ma takie same prawo do życia, jak wszyscy. Niech ludzie tak się urządzają, ażeby każdy mógł głód zaspokoić, to nikt cudzego chleba ruszać nie będzie.

— Ba! żeby to z głodu! — zawołał Nurek, — głód czasem nawiedza i ludzi poczciwych, toż takim się miłosierdzia nie skąpi. Ale ona byłaby głodu nie miała, gdyby się nie była oddała rozpuście.

— To jest namiętność, rzecz ludzka, — rzekł Balcer, — którą trzeba przebaczyć.

— My chłopci to nazywamy rozpustą — rzekł Nurek sucho i mówił dalej: — Albo i ten Wojtek Rybitwa, co pan powiada, że go zrobili złodziejem, to on sam był sprawiedliwym złodziejem, bo ukradł obrazek panienki, córki swojego dziedzica i ukradł dlatego, że się w niej zakochał. A czy to może usprawiedliwić kradzież? I jeszcze pan tam pisał, że kiedy go chcieli bić za to we dworze, to cała wieś się za nim zburzyła, aby go bronić. A gdzie pan widział u nas wsie takie, coby złodzieja broniły?

— Może jeszcze takich wsi niema, — powiedział Balcer, — ale jak chłopci zmądrzeją, to będą.

Fujara spojrzawszy pogardliwym wzrokiem na Filka a Nurek odpowiedział mu na to:

— Niechże Bóg broni, ażeby chłopów tacy ludzie uczyli rozumu, jak pan! To jużby chyba piekło się wtedy zrobiło na ziemi. Nie, panie, ja panu za takie książeczki dziękuję. Ja wolę sobie, kiedy czas mam po temu, przeczytać żywot jakiego Świętego. Człowiek wie dobrze, że Świętym nie będzie, bo nie stać go na to, ale się tem przynajmniej pocieszy, że tacy ludzie byli na świecie i że teraz są w niebie, skąd się mogą pomodlić za niego, jeżeli na to zasłuży. Po co to panowie piszecie takie książeczki? Ja już sobie nieraz nad tem głowę łamałem, ale nie mogłem dociec. Człowiek to czyta i niczego się nie nauczy — a jak przeczyta, to mu się strasznie smutno robi na duszy. Tam, w tych książeczkach, każdy chłop jest taki głupi, że aż obrzydzenie bierze od niego, robić mu się nie chce a wszystkim wszystkiego zawidzi, zaczem tylko wciąż pije, oszukuje, kradnie, rozbija a na czas i drugiego zabije, ten z zazdrości o żonę a drugi nawet za parę butów. Człowiek się cieszy, że ma rodzinę i rad dla niej pracuje, bo się spodziewa, że swoje dzieci wychowa na ludzi; ale jak taką książkę przeczyta, to mu zaraz ręce opadną i myśli sobie: Miałyby się moje dzieci wychować na takich hultajów, to lepiej niechby już diabli wzięli wszystko od razu. Na toż-to panowie piszecie, ażeby ludziom obrzydzić ochotę do życia?...

— Ale kiedy to prawda, — rzekł Balcer.

—• Diabli mnie tam z tej prawdy, — zawołał Nurek, — ja ją lepiej widzę od pana, ano nie wiem, jakby ją zmienić na dobre — a pan mnie tego nie uczy. A nadto jeszcze pan się z naszej mowy przedrzeźnia...

— Ba, kiedy wy tak mówicie.

— Może i tak, ale nie wszyscy. Wszędzie są chlōpi,

co lepiej mówią niż inni. A niechno pan pójdzie nad San, to ztąd niedaleko, tam pan znajdzie wsie całe i takich wsi bardzo dużo, gdzie chłopci mówią tak ślicznie, że jeszcze i panowie mogliby się od nich nauczyć. A są także chłopci poczciwi. A pan, co-by pan mi miał poczciwego a mądrego chłopca opisać, żebym ja sobie jego mógł wziąć za przykład, i co-by pan miał mnie nauczyć, jak ja mam mówić, abym się pięknie wyraził, to pan mi opisuje samych pijaków i drabów i jeszcze się pan z naszej mowy naśmiewa. Nie, panie, takich książeczek ja moim dzieciom dawać nie będę, bo ojcu się to nie godzi.

Na to Balcer uczył się całkiem skonfundowany. Byłby może jeszcze głos zabrał, ażeby tego głupiego chłopca przekonać, ale Fujara tak go świdrował swojemi szyderczemi oczyma, że nie miał odwagi po temu. Zaczem wstał i rzekł:

— Dużo tu jeszcze, jak widzę, czasu upłynie, nim się porozumiemy.

— I ja tak myślę, — dodał do tego Fujara.

Balcer spojrział na niego gniewnemi oczyma, podał rękę Nurkowi i wyszedł.

Fujara byłby także rad jeszcze chwilę pozostał u Nurka, aby go w jego poczciwych uczuciach utwierdzić, ale pilno mu było jeszcze lepiej wydrwić Balcerka, więc wyszedł z nim razem.

A kiedy się znaleźli w czystym polu za chatą, zatrzymał go i rzekł:

— Oto cię ten chłop wygolił, jak gdyby sobie właśnie na ciebie brzytwę wyostrzył. Przyznaj-że, że żaden krytyk krakowski, kiedy chce zerznąć na sieczkę jakiego niesfornego pisarza, to przecie tak nie potrafi...

Ale Balcer był zły, więc okrutnie się na niego zapy- rzył i zawołał:

— Go mi pan gadasz takie głupoty! Chłop ciemny, jak tabaka w rogu, nie może mieć zdania o takich rzeczach. Te książeczki inni ludzie czytali i całkiem inny sąd o nich wydali. Czytał je także i Frydrusz i bardzo je chwalił...

— Pff! — rozśmiał się na to Fujara i zawołał z nie- litościwym triumfem, — jaki pan głupi, mój panie Filonie, czy jak cię tam chrzczono! A przecie Frydruszowi najmniej na tem zależy, abyś pan chłopów oświecał, ani ażebyś ich przedstawiał w sympatycznych kolorach: więc jeżeli pan chłopą przedstawiasz jako bezmyślne bydle, zanurzone w pijaństwie, złodziejstwie i rozbojach, czyhające tylko na' cudzą własność, nie umiejące opanować swoich namiętności a do tego jeszcze mówiące jakąś bydlęcą gwara, ledwie do ludzkiej mowy podobną, — to jemu tylko w to graj! Jeżeli pan nie będziesz miał pieniędzy na druk, to on wszystkie pańskie książeczki wyda własnym nakładem i jeszcze panu co da na piwo. A pan taki głupi, żeś takiej prostej rzeczy nie spostrzegł! Upadam do nóg pańskich i polecam lud wiejski pańskiej dalszej pamięci...

A to rzekłszy, uklonił mu się do samej ziemi i odszedł.

fujara szedł do pałacu bardzo kontent ze siebie, znalazł sobie przecie tak doskonałą rozrywkę; ale Balcer stał jeszcze długo w pustym polu i bardzo mozolnie nad, czemś rozmyślał.

X.

Balcer, wróciwszy do pałacu na obiad, zastał wprawdzie Ignasia w sali jadalnej, ale był tak roztargniony, że

całkiem zapomniał o owej missyi, którą siostra mu dała do niego; przy obiedzie zaś posadzono go obok Geni, którą musiał się tem więcej zajmować, ile że siedziało przy stole dwóch szlachty sąsiadów, którzy z jej ojcem, z Ignacym i Fajarą, tak ożywioną prowadzili rozmowę, że na nią zupełnie nie zwracali uwagi.

Balcer nie był wcale niesympatycznym dla Geni. . Był to naprzód chłopak bardzo przystojny: jego spalona cera, jego zarost czarny jak węgiel, jego oczy pełne wyrazu a wciąż zamyślane, sprawiały już na pierwszy rzut oka zajmujące wrażenie — a wszystko, co sprawia wrażenie, nie jest złą rekomendacją u kobiet. Prócz tego, kiedy Genia była po raz pierwszy na Balcerówce, był dla niej nadzwyczaj grzecznym i udarował ją zaraz całym koszykiem perfum: były to nic nieznaczące drobnostki, ale takie, które kobieta zawsze wdzięcznie pamięta. A wreszcie był to człowiek myślący a jego konwersacya mogła czasem być niedorzeczną, ale nigdy nie była banalną, co dla kobiety, nie będącej laleczką a żyjącej wyłącznie w salonach, ma tem więcej pociągu, ile że tam zazwyczaj tak trudno o konwersacyę niezupełnie banalną. Nad to zaś wszystko Genia nic znała dotychczas tego gatunku ludzi, był to więc dla niej egzemplarz oryginalny i jeszcze o tyle więcej zajmujący, ile że był straszliwie demokratyczny i straszliwie nie-religijny; przymioty te ją przerażały, ale rzeczy przerażające są zawsze ciekawe a nawet pociągające — a że Balcer, według jej rozumienia, należał do ludzi nie mogących konkurować o rękę panny dobrego urodzenia a przeto zupełnie nie niebezpiecznych, więc rozmawiała z nim całkiem swobodnie, jak się mówi z bezinteresownym przyjacielem albo ze sługą, którą się przypuszcza do pewnej

poufności. Mówiąc z nim tak otwarcie i zachęcając go także do otwartości, Genia miała jeszcze tę myśl ukrytą, zapewne więcej instynktowną, niżeli wyrozumowaną, że jak się dowie, jakie on ma do niereligijności powody, to go może nawrócić: jakby to było ładnie, gdyby jej się udało, znalazłszy taką zbląkaną owieczkę, oświecić ją i zaprowadzić- pomiędzy wierne.

Tak ożywiona rozmowa z tak wykwitnie wychowaną panienką otrzeźwiła Balcerka. On nie miał do niej żadnego pociągu. Dla niego, miłość ubogiego młodzieńca dla panny arystokratycznego rodu trąciła tą całą średnich wieków pa- skudą, dla której tyle miał wstrętu. Będąc pod wpływem swych zasad, znających tylko siłę brutalną, przypuszczał, że czyniąc zadość namiętności, można porwać taką panienkę i ożenić się z nią wbrew woli rodziców, ale zakradać się w zaufanie, ażeby potem w najlepszym razie stać się pogardzanym intruzem w obcej rodzinie, to nie odpowiadało jego uczuciom. Jednak przypomniał sobie słowa swojego ojca, który im bardzo zalecał utrzymanie dobrych stosunków z Zaklikami i mówił: że obok zasad, żyć trzeba. Przypomniał sobie także niektóre. uwagi swojej siostry, na które wówczas nie zważał, ale które teraz mu żywo stanęły w pamięci, z nich zaś mniej więcej ta wynikała nauka: że jeżeli mężczyzna tylko ma silną wolę, to dostanie każdą kobietę, i gdyby mężczyźni o tem wiedzieli, to ten świat zupełnie inną przybrałby postać. Zauważył nareszcie, że Genia jest wcale przystojną panienką i ma bardzo wiele uroku. Zważywszy to wszystko, był w swojej rozmowie z nią bardzo ostrożny i nie powiedział nic takiego, coby mogło ją zrazić.

Genia, widząc po jego rozmowie, że jest przed nią

zapięty i nie daje się jej tak, jakby chciała, co wreszcie znecierpliwi każdą kobietę, postanowiła uderzyć w inną strunę, zazwyczaj bardzo czułą u młodych autorów, i powiedziała mu półgłosem, że chociaż ojciec jej tego zabronił, przecież przeczytała jego książeczki. To jej zwierzenie się bardzo żywo zajęło Balcerka, jakoż zaraz ją spytał: jakie ta lektura na nią sprawiła wrażenie.

— Tendencyi, jeżeli tam jest tendencya, — odpowiedziała mu Genia z bardzo łaskawym uśmiechem, — nie mogłabym panu pochwalić, ale zawarte w tych Książeczkach uczucia, tak rozpacz tej nieszczęśliwej dziewczyny, jak idealne uwielbienie tego chłopaka dla córki swego dziedzica, doskonale rozumiem i mogę sobie łatwo wyobrazić, że takie do najwyższego stopnia rozpalone uczucia mogą człowieka odurzyć i nareszcie oślepić. Opowiadania te zresztą są nadzwyczajnie prawdziwe, a przeto i zajmujące.

Słyszac to Balcer, był jakby go w głębokiej ciemnicy nagle promień słońca oświecił. Ah przecie! Kiedy go nikt zrozumieć chce albo nie może, kiedy nawet Frydrusz mu jego książeczki może tylko z interesu pochwalił, znalazła się przecież jedna poczciwa dusza, która go zrozumiała i przynajmniej artystyczną ich wartość uczuła. Podziękował jej zatem bardzo serdecznie za to współczucie — a uniesiony wrodzoną każdemu pisarzowi wdzięcznością, rozczulił się nawet tak dalece, iż powiedział sobie, że gotów będzie odslużyć się za to tej grzecznej panience, chociażby miał coś dla niej poświęcić.

Genia uważała to dobrze i instynktowo odgadła, jak wielką mu sprawiła przyjemność, zaczęła i w niej odezwało się tego rodzaju przyjazne dla niego uczucie, jakie miewamy dla tych osób, które radzibyśmy protegować, zarazem

zaś, skutkiem naturalnego rozwoju poruszeń ludzkiego serca, uczuła do niego pewne zaufanie, którym dzięki otrzymanemu wychowaniu zazwyczaj nie była rozrzutną.

Genia nie wspomniała mu dotychczas ani jednym słówkiem o Florze, bo musiałaby się była usprawiedliwiać, dlaczego od czasu pogrzebu ich ojca u niej nie była a toby musiało być zachmurzyć ich konwersację, ale teraz, mogąc już mówić z zaufaniem do niego i będąc pewną, że wszystko przyjdzie od niej bez gniewu, spytała o nią, dodawszy do tego kilka słów bardzo przyjaznych.

Balcerek dopiero teraz sobie przypomniał instrukcję swej siostry, ale ją sobie dobrze przypomniał, jakoż odpowiedział jej bardzo przytomnie:

— Moja siostra wyjechała właśnie dziś do Warszawy.

Siedzący po drugiej stronie obok Geni młody Zakli-ka usłyszał te słowa i zapytał Balcerka głosem, w którym drżało pewne wzruszenie: *

— Jaktó? pańska siostra wyjechała... i na długo?

A Balcerek, chcąc jak najlepiej wypełnić swą misję, odpowiedział mu na to:

— To trudno wiedzieć. Pojechała na teraz do ciotki, która bawi w Warszawie, i zapewne z nią gdzieś pojedzie do kagiel, ale nie dziwiłbym się, gdyby się osiedliła gdzieindziej i tutaj już nie wróciła. Pobyt tu na wsi jej wcale nie odpowiada, tutaj straszna panuje niewola, tu nawet o najzwyklejszych rzeczach nie można mieć swego własnego zdania, bo inni o tem rozumieją inaczej i każdego takiego, kto się z nimi nie zgadza, tfważają za swego osobistego wroga a zarazem za burzyciela publicznego spokoju.

Ignas tych ostatnich słów już nie słyszał, ale po jego zmienionej twarzy, którą od Balcerka odwrócił i ku talerzowi pochylił, widać było dobrze, że już zaczął się sma- rzyć.

Balcerek to zauważał i bardzo był kontent, że tak doskonale swoją misję wypełnił; ale tymczasem Genia znowu zabrała głos i będąc pewną, że teraz będzie słuchaną, zaczęła mu wyklądać obowiązki człowieka względem swego społeczeństwa. Wykład jej był prawie kontynuacją tych opinii jej ojca, którymi usiłował Balcerka przekonać, że między teorią a praktyką zachodzi wielka różnica i że można pewne zasady wyklądać w dziennikach, w książkach a nawet w dyskusjach prywatnych albo i publicznych, ale nie idzie za tem, ażeby było wolno wprowadzać je w praktykę, bo społeczeństwo ma swoje prawa i obyczaje i nie pozwala na to, ażeby je każdy według swojego widzimisię naruszał. Wyszędłszy z tego punktu widzenia, powiedziała mu wreszcie całkiem otwarcie, że oni wielki bład popełnili, upierając się przy cywilnym pogrzebie swojego ojca, i że tak postępując, tylko sobie samym zaszkodzą, bo nie przekonają nikogo a wszystkich przeciwko sobie oburzą

Balcerek, który nie znał różnicy pomiędzy teorią a praktyką, burzył się zwykle w swem wnętrzu, jeżeli mu ktokolwiek inny krytykował jego zasady, ale od Geni przyjął wszystko jak najuprzejmiej, bo był przekonany, że mu to mówi z dobrego serca i z szczerą dla niego przyjaźnią; przyznał jej nawet pod koniec obiadu, że ze stanowiska interesów prywatnych ma słuszną i dał jej do zrozumienia, że jest jej wdzięcznym za dane mu ostrzeżenia, bo

Zaklika. T. 1.

widzi w nich dowód jej niezwykłego rozsądku i wielkiej łaskawości dla niego.

A kiedy wstano od stołu, oboje byli ze siebie kontenci: ona, bo jej się zdało, że go z czasem nawróci i kiedyś to z triumfem ogłosi Firlejom i xiędzu Prandocie — a on, bo znalazł u niej prawdziwą sympatyę, tak dla swoich xiążeczek, jak i dla siebie, czego się nie spodziewał a nawet dotąd nigdy o tem nie myślał.

Jakoż zaraz po obiedzie się wymknął i odjechał, ażeby czempredzej zdać sprawę ze swojej missyi swej siostrze.

Ale był tam ktoś, który nie był kontent ze siebie — a to był Ignasz.

Niespodziewana a nawet wcale nie przeczuwana wiadomość, że Flora wyjechała nie uprzedziwszy o tem nikogo, że wyjechała na długo a może nawet na zawsze, odurzyła go — a jednocześnie zalała jego serce całą powodzią uczuć, z których nie umiał sobie zdać sprawy. I był jak człowiek pijany, któremu się jakieś myśli kłębią po głowie, nie myśli lecz widma myśli, niejasne, nieokreślone* nieprzystępne pojęciu. Błąkał się jeszcze jakiś czas po pokojach, lecz widząc, że jest wcale nieprzytomny, że nie słyszy, co inni mówią, nie rozróżnia nawet dobrze ich osób, poszedł do siebie na górę i powiedział służącemu, aby nie wpuszczał nikogo do niego.

Wszystko, co znika przed nami, budzi w nas przede wszystkim melancholijne uczucie. Żałujemy, że znikło — i pragniemy, ażeby wróciło. Ten żal i to pragnienie działają na naszą wyobraźnię — a wyobraźnia, pracująca pod wpływem tych uczuć, usuwa w coraz więcej ciemniejszą

noc niepamięci niedostatki i wady, które zniklionemu przedmiotowi były właściwe, a coraz żywszymi barwami maluje wszystkie jego zalety.

Im dalej znikniony przedmiot odsuwa się od nas, tem więcej zapominamy o jego stronach ujemnych i tem żywiej uwydatniają się nam jego strony dodatnie, jego postać idea lizuje się coraz więcej w naszym umyśle, aż w końcu pozostaje w naszej pamięci tylko czysty ideał, który nie miał żadnej skazy na sobie. Wyobraźnia, ten precudowny dar Boży, ten niezrównany rzeźbiarz przeszłości a niespracowany malarz wszystkich nadziei, bez którego nikt nieszczęśliwy nie mógłby wyżyć i musiałby skończyć na samobójstwie, tak działa u wszystkich młodych ludzi niedojrzałych jeszcze do analizy, u wszystkich ludzi poczciwych, szukających tylko tego dla siebie i drugich co dobre, tak wreszcie u większości społeczeństw takich, których więzi nie roztargała zgnilizna a duszy zwątpienie. Za przewodem tej wyobraźni przechowujemy w naszym umyśle i sercu tkliwą pamięć naszych rodziców, przyjaciół i krewnych, idealną i niespożytą cześć dla bohaterów a razem z tem wszystkim tę najcnotliwszą miłość dla całej przeszłości narodu, która tylko w tem się lubuje, co było w niej dobre, piękne i wzniosłe, a odwraca oczy i uszy od tego, co było niedostatkiem lub skazą. -Ta niezmordowana w swej pracy i niewyczerpana w swoich pomysłach siła duchowa rodzi się z uczucia tęsknoty, ale znowu na odwrót ciągle ożywia tęsknotę, rzeźbiąc coraz wydatniej urocze formy utraconego przedmiotu i malując w coraz idealniejszych kształtach tę postać, w której ma kiedyś powrócić, chociaż on może już nigdy nie wróci. Gdyby wyobraźni nie było, nie byłoby idealnej miłości — a najmateryalniejsza miłość staje się

idealną, kiedy oddalenie obudzi tęsknotę, a tęsknota otworzy pole dla gry wyobraźni.

Kiedy Ignasz z pierwszego odurzającego wrażenia wrócił do jakiegokolwiek przytomności umysłu, to na wspomnienie Flory krew w nim nie grała jak dawniej, tylko obudziła się w jego sercu owa niewysłowiona tęsknota, która jest jednym z najkrwawszych bólów dla człowieka w tem ziemskim życiu, bo mu w najdotkliwszy sposób daje uczuć jego bezsilność i niemoc w obec zachodzących wypadków. Jego wola się rwie i targa i miota na zewnątrz, aby im opór postawić, przemódz je i przełamać — a jego umysł powiada mu ciągle, że jest bezsilnym, żadne miotanie się nic mu nie pomoże, bo jest niewolnikiem dziejących się rzeczy — i gdyby całą krew z siebie wypuścił, gdyby porozbijał te mury, które go otaczają, albo zrył całą ziemię pod swemi stopami aż do jej wnętrza, tego, co się stało, nie zmieni, bo się już stało. Pada więc przedewszystkiem w proch w obec swojej niemocy — i pozostaje mu tylko krwawy żal za tem, co znikło, i tęsknotą żywione pragnienie, ażeby jeszcze wróciło. Gzy wróci, czy nie wróci, czy może wrócić i co trzeba zrobić, ażeby wróciło? oto pytania, nad których rozwiązaniem umysł wtedy pracuje, poczem bierze się do czynności w miarę energii i woli, na którą może się zdobyć.

Przypomniawszy sobie dokładnie wszystkie słowa, w jakich Balcerek zawiadomił go o wyjeździe swej siostry, był przekonany, że Flora go porzuciła na zawsze. Przekonanie to w ciągu nocy się w nim utwierdziło, bo przecież nie wyjechała skutkiem jakiegoś nagiego wypadku — a nie wyjeżdża się bez pożegnania, jeżeli się ma zamiar powrócić. Znudził ją oczywiście swoją chwiejnością, poznała go

jako niedołągę bez woli i charakteru, pogardziła nim i wyjechała, ażeby nigdy więcej o nim nie myśleć. Rozważywszy to wszystko, uczuł sam dla siebie głęboką pogardę — i gdyby był mógł, toby był sam sobie dał pięścią w kark i zrzucił siebie ze schodów. Na każdy wypadek wszakże przyznał jej słusność — a wtedy Flora przedstawiła mu się jako daleko wyższe od niego stworzenie, pełne rozumu, decyzji i woli, czego wszystkiego on nie ma.

Idąc dalej tą drogą, zaczął rozbierać jej wszystkie przymioty — i znalazł, że jest ona pod każdym względem ideałem kobiety. O tem, co go od niej odrzuciło, teraz wcale nie myślał — a o ile to sobie przypomniał, to nie mógł się sobie nadziwić, jak mógł być tak głupim, żeby na takie rzeczy zwracać jakąkolwiek uwagę. Gdybyśmy chcieli z estetycznego stanowiska rozbierać wszystkie funkcje fizyczne, do jakich z natury swojej jest zniewolona kobieta, to musielibyśmy się od niej na zawsze odwrócić i nie byłoby ani miłości, ani małżeństw na świecie. Trzeba być jakimś takim ideologiem, który już popadł w kretynizm, ażeby takim myśлом dawać przystęp do siebie. Flora jest najwyższym i niezrównanym ideałem kobiety: na tysiąc mężczyzn ani jeden niema takiego rozumu jak ona, swem ukształceniem przewyższa wszystkie kobiety, jakie mu się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, jej formy są tak doskonale piękne, że żaden z greckich posągów im nie potrafi dorównać, jej cała postać jest tak pełna niewysłowionego uroku, że żadna siła ludzka nie zdoła się oprzeć jej czarom... I taki ideał kobiety on już miał w swoim ręku, i ona sama się nachyliła ku niemu, przyznając się, że go kocha: Je te tiens, tu me tiens — i on jej nie wziął, odwrócił się od niej i zaczął jej duszę krytycznie rozbierać? — Na tę myśl,

taki żal, taki ból, taki wstyd, taka pogarda dla siebie samego i taka rozpacz razem w jego piersiach zawrzały, iż zdało mu się, że nic mu nie pozostaje innego, jak w łeb sobie strzelić. Jednak tęsknota za nią te wszystkie uczucia przemogła. Zmęczony wreszcie, jak gdyby całą noc na jakiej orgii przepędził, ze spieczonemi ustami, z zsiniałą twarzą, z podbitymi oczyma, rzucił się nad ranem na łóżko i zasnął snem kamiennym — a słońce już letnim żarem jego sypialnię rozgrzało, kiedy się zbudził. »

Tego dnia popołudniu Frydrusz przyjechał, z zaproszeniem na bal kostiumowy.

Zaklika, który częstokroć bardzo bystre robił spostrzeżenia, wysłuchawszy tego zaproszenia, zawołał z uśmiechem:

— Pewnieście wygrali wasz proces o las.

Frydrusz zbladł na tę uwagę i odpowiedział mu z zaciętymi cokolwiek ustami:

— Jest tylko niejaki podobieństwo, że go wygramy, ale choćbyśmy go przegrali, to zawsze panu dług jego oddamy na św. Jan.

Na to Zaklika zerwał się z krzesła jak oparzony, ścisnął Frydrusza bardzo silnie za rękę i rzekł ze szczerzego serca:

— Ależ nie o to chodzi! Daję ci słowo, że ani mi to przez myśl nie przeszło. Te pare groszy, które u was ulokowałem, możecie sobie trzymać jak długo chcecie. Gdybym ich potrzebował, to przeciebym was był już dawno o tem uprzedził. Ja tylko chciałem zrobić tę zresztą może także niewczesną uwagę, że Szkoda pieniędzy na bal...

Więc Frydrusz bardzo był kontent z tego wyjaśnienia i odpowiedział mu całkiem otwarcie:

— Jużci i ja byłem tego zdania, że szkoda pieniędzy, ale pan wie, jak to trudno synowi oponować rodzicom, kiedy chcą sobie zrobić jakąś przyjemność. Dlatego nie oponowałem — a miałem przytem i to także na względzie, że w gruncie rzeczy nie tak to wielki wydatek, bo przecie prawie wszystko jest w domu.

— Masz rację, — rzekł na to Zaklika, — i jaby na twojem miejscu nie oponował, bo starym nie należy odmawiać rozrywki. Kto więc, czyje jutro: niechby które z nich, chowaj Boże, wkrótce potem umarło, tobyś sobie przez całe życie wyrzucał, żeś mu tak małej rzeczy odmówił.

Poczem Zaklika kazał zaraz zawołać Genię, Ignasia i Fujarę i opowiedział im tę wielką nowinę, do czego Frydrusz dodał to objaśnienie, że będzie to właściwie zabawa dla ludu, bardzo demokratyczna, bo obok szlachty i ludu będą także ekonomowie, pisarze i rzemieślnicy, zgoła wszystkie stany, jakie są na prowincyi.

Gepia była tą nowiną bardzo uradowana, jak każda młoda dziewczyna, którą zaproszą na bal — a Fujara nie posiadał się wcale z radości, że przecie się doczekał jakiejś porządnej rozrywki, jakoż zaraz się sam ofiarował Firlejom na dekoratora, na kapelmistrza, na śpiewaka pieśni narodowych, na aranżera tańców, na kuchmistrza, na cukiernika i pasztetnika, bo jako szlachcic dobrze wychowany znał się na wszystkim i umiał wszystkiego po trosze.

Ale Ignas przyjął to zaproszenie na pozór obojętnie a w gruncie swojego serca bardzo niechętnie. W tem położeniu, jeszcze mu balów potrzeba! Jakoż nudził sobą,

chodząc po kątach i unikając rozmowy — a niebawem wymknął się cichaczem z ojcowskich pokojów i na Balce[^] rówkę pojechał.

Balcerek przyjął go bardzo uprzejmie, ale postąpił sobie z nim nielitościwie, bo na wszystkie jego zapytania

O Florę odpowiadał krótko i sucho i zawsze w ten sens, że prawdopodobnie nie wróci, Ignas chciał się dowiedzieć adresu Flory w Warszawie, ale i tego się nie dowiedział. Jak się wasza ciotka nazywa? Nowicka. Nowickich jest ze trzysta w Warszawie. Gdzie mieszka? Balcerek powiedział, że nie wie, bo pisuje do niej za pośrednictwem redakcyi jednego z tamtejszych dzienników. Ignas wyrozumiał z tych odpowiedzi, że Flora postanowiła ślad zatrzeć za sobą, ażeby on nie mógł jej znaleźć, ażeby nawet nie mógł listu do niej napisać...

Siedzieli na werandzie. Do Balcerka przybiegali Co moment jego ludzie, prosząc go o instrukcyę, bo miał fabryki w domu. Potem przybiegł jakiś rzemieślnik i powiedział mu, że się coś zepsuło w cegielni. Balcer przeprosił Ignasia i pobiegł na chwilę na folwark. Ignas przechadzał się przez ten czas po dziedzińcu i gubił się w myślach* chociaż myśli żadnych nie miał, tylko czuł bezdenną próżnię przed sobą. Tak zaszedł do stajni i zastał tam fornala na progu. Zaczął z nim rozmawiać, naturalnie o Florze,

I dowie[^]iał się od niego, że Flora dopiero dziś wyjechała. Wiadomość ta uderzyła weń jeszcze daleko silniej, niżeli wszystko, czego się dotąd dowiedział.. Wyjechała dopiero dziś a kazała powiedzieć, że wyjechała już wczoraj ? oczywiście chciała uniknąć, aby on do niej przyjechał z poże

gnaniem. Więc wszystko przepadło! pogardziła nim i nie chce o nim nic wiedzieć...

Ignaś wsiadł na koń i wrócił do domu, ale ani nawet wiedział, którędy jechał i na którym dziedzińcu zsiadł z ko - nia. Gały ten świat, bez Flory, jak gdyby wcale nie istniał dla niego. Jego umysł stanął jak zegar, w którym łańcuch dobiegł do końca — a jak umysł przerwał swą czynność, jak siła duchowa przestała działać, to i zmysły zaprzestały swych funkcji. Nie wiedział nic, nie słyszał, co mówiono około niego, machinalnie wszedł do sali jadalnej i jak automat siadł przy stole na swoim miejscu.

Na obiedzie było znów kilku szlachty z sąsiedztwa a z nimi xiądz Prandota. Prandota został właśnie mianowany kanonikiem honorowym, więc mu wieszano i było bardzo gwarno przy stole. Ignaś siedział pomiędzy Genią i guwernantką i bardzo był z tego kontent, że siedząc daleko od gości, nie potrzebował brać udziału w tym gwarze, który go raził. Frydrusz siedział przy Geni po drugiej stronie.

Frydrusz był dziś w złotym humorze. Zdawało mu się, że dzisiaj właśnie stanął z Zakliką na stopie poufnej, Zaklika powiedział mu ty, co przecież jest niezbitym dowodem, że się sercem przybliżył do niego. Opowiedział to Geni i posunął się tak daleko, iż jej dał do zrozumienia, że mógłby się jutro jej ojcu formalnie oświadczyć.

Genia była także rospromieniona, ale tej myśli nie pochwaliła, mówiąc:

— Może lepiej dopiero po balu...

Frydrusz starał się ją przekonać, że szkoda czasu i powiedział jej, że jego ojciec wyjeżdża pojutrze do War

szawy i tam z tydzień zabawi a potem będzie zajęty przygotowaniem do balu, jutro zaś mógłby tu bez przeszkody przyjechać.

— 'Jakby to było pięknie, — dodał do tego, — gdyby nasze zaręczyny się odbyły na balu, gdzie będzie tysiące ludzi, którzy by się razem z nami cieszyli.

Ale Genia odpowiedziała mu na to bardzo rozumnie:

— Mężczyźni, kiedy się uniosą zapałem, zapominają o wszystkim. Przecież zaręczyny nie mogą się odbyć u pańskich rodziców, tylko w Zaklikowie. Zresztą powiadam panu jeszcze raz: po balu. Proszę słuchać mojej rady a tymczasem proszę się bardzo dobrze sprawować.

— Ale dlaczegoż tak zwlekać? — zapytał Frydrusz.

— Pan chce zrywać jabłko z jabłoni, — odpowiedziała mu Genia, — kiedy jeszcze niedojrzało. Strącić je łatwo, ale jeżeli okaże się kwaśnym, to potem nie będzie można przykleić go do jabłoni, aby dojrzało.

— Więc jeszcze kwaśne? — zapytał Frydrusz ze smutkiem.

— Kwaśne, — odpowiedziała mu Genia stanowczo, — wiem o tem na pewno przez xiędza Prandotę. Jeszcze się tam roją rozmaite myśli o Tarle...

Więc na to Frydrusz się mocno zasmucił i spytał:

— Ale czy pani jesteś tak całkiem pewną xiędza Prandoty? On mnie podobno nie bardzo lubi.

— Może być... rzekła Genia, — ale daje panu pierwszeństwo z religijnych powodów. Pana Tarłę bardzo lubi i zawsze go chwali, ale go ma za obojętnego w rzeczach wiary. Jak pan widzi, wszystkie te względy są tak subtelne

jak pajęczyna, trzeba się zatem z niemi bardzo delikatnie obchodzić, ale trzeba się z niemi liczyć, bo xiądz Prandota ma wielki wpływ na mego ojca, nie stanowczy, bo i to trzeba wiedzieć, ale zawsze bardzo wielki.

— Ale dlaczego xiądz Prandota mnie nie lubi?

— A pan zawsze w ostatecznościach! To bardzo niedobre. Ja panu nie powiedziałam, że pana nie lubi, tylko odpowiedziałam na pańską uwagę, że może być... To bardzo wielka różnica.

— Ale dlaczego? — naciskał Frydrusz. Chyba dlatego, że jest demokratą — a nie powinienby nim być, bo ród Prandotów jest tak stary jak ród Firlejów.

— Może nawet starszy, — rzekła Genia, ale on o swo* jem pochodzeniu nigdy nie wspomina.

— Tak jak pan Zaklika, — dodał Frydrusz z przekąsem.

— Tak, — rzekła Genia przytomnie, bo to się samo przez'się rozumie!

— Ale dlaczego mnie nie lubi? — zapytał znów Frydrusz bardzo niecierpliwie, — to są uprzedzenia, których ja siebie wytłumaczyć nie umiem.

— On nie ma żadnych uprzedzeń, — odpowiedziała mu Genia, — ani przeciw stronnictwom, ani przeciw osobom. On, jako . kapłan, stoi ponad stronnictwami, tylko i właśnie dlatego jest zdania, że sprawy Kościoła i wiary wyłącznie do duchowieństwa należą a ludzie świeccy nie powinni w tych sprawach głosu zabierać; powiada przy- tem, że nie rozdzielanie, ale łączenie i zlewanie warstw społecznych ze sobą powinno być obowiązkiem każdego dobrego obywatela: więc może z tego punktu widzenia ma panu coś do zarzucenia...

W tej chwili wniesiono zdrowie Prandoty i Zaklika miał serdeczną przemowę do swego przyjaciela — a potem zrobił się gwar jeszcze większy i wszelkie rozmowy uboczne stały się niemożliwe.

Jak tylko wstano od stołu, Ignas uciekł od tego gwaru, poszedł do siebie na górę i zamknął się w swoim pokoju.

Teraz już wszystko przepadło! — zawołał w myśli do siebie, — i ja temu winien! Straciłem samowolnie najpiękniejszą kobietę w świecie, kobietę jedyną, która mogła mnie uszczęśliwić, kobietę taką, która mnie także kochała. Ale naturalnie... widząc przed sobą takiego bałwana, co nawet nie zdobył się na to, aby jej miłość swą wyznać, uciekła od niego. Ucieka odemnie, abym ją moją głupią facjatą nie nudził, uciekła w świat, ażeby swoje własne uczucia tem łatwiej zapomnieć. Jeżeli kto kiedy na swój los swojemi własnymi rękami zarobił, to ja; dobrze mi tak! i chciałbym, aby mnie teraz diabli' porwali i strącili na same dno piekła. Wszystko mi jedno! Bez niej, cóż mi po życiu ?.. A tak myśląc, chodził niecierpliwemi krokami po izbie, nie mogąc nigdzie miejsca znaleźć dla siebie.

Powtórzywszy sobie te same wyrzuty sto razy, zmęczył się, zmęczenie uspokoiło go cokolwiek, ale wtedy tem silniej odegrała się w jego zbolałym sercu tęsknota za nią. Ta tęsknota rwała go jakby rozpalomemi kleszczami i zmuszała do rozmyślania nad tem, czyli i jakby mógł jej zaradzić. Zarazem zaczęła się w nim budzić nadzieja, że gdyby ją tylko odszukał i rzucił się przed nią na kolana, z te*ni rzewnymi łzami, które mu się tak cisną do oczu, i z temi żelaznymi rękami, któremiby mógł mury rozbijać, toby mu przebaczyła. I byłoby dobrze... Ale jak ją od

szukać? — To mu się zdawało nietrudno. Balcerek, przyciśnięty do muru, powie mu przecież adres jej ciotki w Warszawie, jeśli jej nie zastanie w Warszawie, to tam się dowie, gdzie ta ciotka ma swoją wioskę, a jeżeli i na wsi jej nie zastanie, to przecież tam mu powiedzą, do których kąpiel ją ciotka wywiozła. O to więc tylko idzie, aby mu ojciec pozwolił do Warszawy pojechać. W tym celu trzeba jakiś inny pozór wymyśleć. Ale i o pozór nietrudno, bo Firlejowie dają bal kostiumowy, kos^{umów} potrzeba dla niego, dla Geni i dla ojca, a dostać ich można tylko w Warszawie. Gdyby tylko ojciec sam nie chciał jechać z nim do Warszawy...

Ta nadzieja uspokoiła go znacznie, z nią położył się spać i spał jak kamień do rana.

Nazajutrz rano przedłożył ojcu, że chciałby do Warszawy pojechać.

Zaklika nie miał nawet najłżejszego przeczucia, że Ignasz ma nie-kostiumowe powody do tej podróży, ale niedobrze przyjął tę propozycję, mówiąc:

— Nie trzeba, abyś na pierwszy raz sam jechał do Warszawy. Nikogo tam nie znasz, kto wie jakiebyś znajomości porobił — a dla młodego człowieka to rzecz bardzo ważna, kto go wprowadził w świat, bo od tego często na długi czas jego reputacja zależy. W jesieni zawiozę was oboje do Warszawy i tam was wprowadzę pomiędzy takich ludzi, którzy wam będą życzliwi a w danym razie i pożyteczni.

Zaś na wzmiankę o kostiumach powiedział mu krótko :

— Po kostiumy do Warszawy jechać nie warto a nawet nie trzeba. Niewarto, bo przecież nie będziemy naśladować tych furfantów, którzy tracą pieniądze na to, aby

sprawić wrażenie na balu i aby o nich potem przez parę tygodni gadano — a nie trzeba dlatego, bo przecież mamy naszego Wójtowicza w Lublinie, który przez lat trzydzieści był krawcem przy Wielkim Teatrze w Warszawie. Jeżeli tedy chcesz, to jedź do Lublina, ale przedtem rozmów się z Genią a potem weź Fajarę ze sobą, bo nikt się na tych rzeczach nie zna lepiej od niego.

Z Zakliką, kiedy chodziło o rzeczy takie, o których miał swoje zdanie, nie było żadnych dyskusji, bo oporu nie cierpiał: Ignasiowi spadł zatem nowy i bardzo ciężki kamień na serce. Odszedł milczący, ale całkiem spłaszczony tym ojcowskim zakazem: jakoż dziś uczuł po raz pierwszy w swem życiu, jak to czasem ciężko mieć ojca...

W dawniejszych czasach, kiedy ludzi już z dziecka tak usposabiano, ażeby zawczasu stawali na własnych nogach, i kiedy tradycyjna awanturniczość bardzo wiele się przyczyniała do tego, ażeby się wyrabiały charaktery silne* zdecydowane i przedsiębiorcze, każdy młody człowiek, porwany tak gorącą miłością, byłby znalazł spospb na to, aby się wyrwać z rodzicielskiego domu i nietylko do Warszawy, ale nawet na kraj świata pojechać: jechali przecież na Kresy i do legionów i na inne równie ryzykowne* wyprawy, najczęściej także przeciwko woli rodziców. Ale Ignaś, syn swego czasu, nie miał w sobie tej tradycyjnej energii — a wtedy jeszcze się nawet w nim nie rozbudził ten człowiek, jakim go stworzyła natura. Upadł więc pod ciężarem tego zakazu, zwinął się w sobie i oddał się na pastwę tym wszystkim bolom, które jego duszę i serce coraz więcej trawiły. ^,

Odtąd stał się milczącym i w sobie zamkniętym dla całego swego otoczenia. Miał to uczucie, że każde zwie-

rzenie się jest zarazem upokorzeniem, więc się nie zwierzał nikomu, był przytem dla wszystkich jeszcze daleko grzeczniejszym niż dotąd, bo nie chciał, aby się ktokolwiek choćby tylko domyślał jego boleści. Natomiast wszakże, w tem swoim zamknięciu się w sobie, marząc bezustannie o Florze, idealizował coraz więcej przedmiot swojej miłości.

Idealizowanie miłości, od czasu Greków aż do ostatniej epoki romantyzmu, nie wychodziło nigdy od kobiet. Kobieta, naturalniejsza w całej swojej istocie od mężczyzny, nie może się obronić temu uczuciu, że miłość ma także swoją naturę fizyczną i że to właśnie kobiecie przychodzi ponosić natury tej skutki — a to musi koniecznie, choćby, nawet bezwiednie, materyalizować jej idealne marzenia; zaś oprócz tego najniewinniejsza kobieta nie może nie wiedzieć, że nawet pomiędzy najpiękniejszymi typami mężczyzn bardzo mało jest ideałów.

Kobieta uniesie się nieraz idealnym szaleńcem miłości, lecz wtedy celem jej uniesienia jest całkowite poświęcenie się ukochanemu mężczyźnie; w tym szale może ona wcale nie myśleć o fizycznej naturze miłości, ale nie może nie mieć tego uczucia, że poświęcenie się, jak każda ofiara, na dnie wonnego kwiecia cierniową kryje koronę. Wtedy jej miłość staje się idealną, ale jej ideałem nie jest ta rokosz mniej albo więcej zmysłowa, która przynosi użycie szczęścia, tylko owa wyższa rokosz duchowa, która w duszach czystych i wzniosłych rodzi dobrowolne cierpienie. Mężczyzna przeciwnie w ukochanej przez siebie kobiecie widzi przedewszystkiem róg obfitości, z którego dla niego mogą się wysypywać tylko wonne kwiaty ziemskiego szczęścia* kwiaty bez cierni, i dlatego tak łatwo jest skłonny do

idealizowania tej istoty, w której się tego szczęścia spodziewa. Ta skłonność jest w nim tak silna, że często nawet wcale nie myśli o zrywaniu tych kwiatów i dość mu do jego szczęścia napawać się ich wonią i widzieć, że kwitną — a to jest dobra i piękna strona męskiej miłości. Ale jakże-to rzadko ją spotykamy w dzisiejszych czasach, nawet u ludzi młodych i skłonnych do ideałów — a jeszcze i wtedy jest ona tylko mglistą zasłoną, która natychmiast opada, i odkrywa zwierzęcą naturę człowieka, jeżeli kobieta nie umie lub nie chce utrzymać jej jako wyższą potęgę panującą nad naszymi zmysłami, które są w wiecznej rewolucyi przeciwko duchowi.

Ignasz wyidealizował sobie w przeciągu dni kilkunastu Florę do tego stopnia, że się stała dla niego postacią prawie zupełnie powietrzną. Pewnie już nigdy jej nie obaczy: dlatego gryzł się i męczył się z sobą — i wychudł na twarzy i znędzniał, jak gdyby jakąś ciężką przebywał chorobę... Ale jeżeliby ją jeszcze kiedy obaczył, toby nie śmiał się dotknąć jej ręki, tylko rzuciłby się jej do nóg a jego pierwsze słowa, któremiby do niej przemówił, zawierałyby oświadczenie, że się jej oddaje ze wszystkiem, co ma i mieć będzie, jako jej niewolnik, jej murzyn, jej rzecz, na całe życie.

Tak minęło dni kilkanaście — i nareszcie się zbliżył dzień balu.

* * *

Firlejowie wystąpili na przyjęcie swych gości bardzo bogato i świetnie, ale zarazem \$ ta miarą i z tym dobrym smakiem, które spotykamy tylko w domach takich, gdzie się jeszcze chowają tradycje dawnych festynów.

Nigdy nikomu w tym kraju, zwłaszcza w tym czasie, nie byłoby pozwolono dać taki bal kostiumowy połączony z kiermaszem dla ludu, ale Firlej, jako obywatel spokojny i poważany, otrzymał pozwolenie z łatwością — a dano mu je tem chętniej, ile że zaprosił generała z Warszawy i kikutastu wyższych oficerów z pobliskich miasteczek, podobno nawet i sędzia śledczy był między gośćmi: zacem i' władza była uspokojoną i on był pewnym, że nikt się nie dopuści żadnej ekstrawagancyi albo jakiegokolwiek excessu.

Niektórzy goście, zwłaszcza z dalszych okolic, przyjechali już wczoraj, inni dziś rano, i rozłożyli się po oficynach, po dworach oficjalistów i chatach włościańskich, które umyślnie dla nich wybielono i wyczyszczono. — a teraz, kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i zbliżała się godzina obiadu, stali już wszyscy na ogromnej werandzie pałacu, oczekując gości zaproszonych na obiad i przypatrując się tłumom wiejskiego ludu, które to gromadkami, to jakby porozrywaniem sznurkami paciorek, ze wszystkich stron ściekały do parku. Przy wielkiej bramie dworscy kozacy na koniach i pieszo pilnowali, aby lud prosty nie wciskał się na dziedziniec, mimo to wszakże otoczył on gęstym wieńcem żelazne sztachety dokoła i patrzył przez nie ciekawie na -panie i panów na werandzie stojących — a z werandy widać było jego tysiące oczu, które w tym wieńcu jak różnobarwne karbunkuły świeciły.

Na werandzie było już wiele bardzo pięknych kostiumów. Kilka pań średniego wieku w kwiecistych obszernych sukniach z czasów Ludwików i w pudrowanych fryzurach, jakaś młoda dama ogromna wzrostem w starożytnym litewskim stroju Grażyny, inna młoda i smukła blon-

dynka w stroju królowe} Jadwigi z perłową koroną na głowie, dwie starsze matrony w robronach z koronkowemi kryzami około szyi, kilka młodych panienek w ubiorach wiejskich dziewcząt i cyganek, pani Firlejowa jako królowa Bona w sztywnej sukni z ogonem i złocistym czepcu na głowie — a Genia jako pasterka z bajek Lafonhine[^] w słomianym kapeluszyku i z białą laseczką, ozdobioną niebie- skimi i różowemi wstążkami. Genia wyglądała prześlicznie w tym stroju, jak pączek róży jeszcze wilgotny od rosy porannej; Frydrusz, w ubiorze Henryka Walezyusza, patrzył na nią promiennemi oczyma i bawił ją bardzo ożywioną rozmową. Starsze damy mówiły już głośno pomiędzy sobą, że to są narzeczeni, i winszowały matce, że jej; się to dzieło łak pięknie udało.

Grażyna, która często pochmurnym wzrokiem rzucała na Frydrusza i Genię, winszowała jej także, ale zimnemi usty i pytała: kiedyż ślub?

— Mógłby się odbyć i dzisiaj, — odpowiedziała jej pani Firlejowa cokolwiek górnie, — ale zapewne odbędzie się dopiero w sierpniu, na imieniny mojego męża.

Grażyna odwróciła się od niej prawie niegrzecznie — i znalazła się w obec jakiejś Sybilli czy Pytonissy, owiniętej w szerokie białe szaty krojem greckim, z wielkim białym welonem na głowie i brylantową gwiazdą na czole, ale tak mocno zamaskowanej, że nawet jej wieku nie można było odgadnąć.

Sybilla tę rozmowę słyszała, więc Grażyna ją zapytała :

— A ty, Sybillo, co na to? będzie ślub?

Wtedy Sybilla wpatrzyła się silnie w Frydrusza i Genię a po chwili odpowiedziała: *

— Na ziemi się tylko to staje, co w niebie jest zapisano.

— A cóż w niebie zapisano ? — zapytała ciekawie Grażyna.

Sybilla zaś odpowiedziała jej na to:

— Oni są sobie niezmiernie blisko, ich myśli zlały się z sobą w myśl jedną, jest mała przeszkoda z jej strony, którąby można usunąć: ale jakaś straszliwa burza do nich się zbliża, burza czarna jak noc wśród wichrów i śniegu, która ich daleko odrzuci od siebie, bardzo, bardzo daleko i . .

Grażyna uśmiechnęła się z zadowoleniem i chciała ją dalej wypytywać, ale tymczasem Sybilla, wpatrzywszy się w jakiegoś mężczyznę, który właśnie przed nimi przechodzi, porwała ją za rękę, ścisnęła konwulsyjnie i rzekła szeptem i

— To ten!

Ten mężczyzna był to sędzia śledczy w mundurze, przeszedł koło nich, przystąpił do Frydrusza i Geni, oni przed nim się rozsunęli i zaczęli z nim grzecznie rozmawiać.

Grażyna patrzyła na nich przez chwilę, potem chciała do Sybilli przemówić, ale Sybilla znikła.

Natomiast zaś zbliżył się do niej jakiś młody i bardzo okazały mężczyzna, w stroju francusko-szwedzkim Władysława IV, bez maski. Grażyna go zapytała:

— Czy pan znasz tę Sybillę?

— To ma być jakaś dama z Warszawy, — odpowiedział jej Władysław IV z ironicznym, ale zarazem trochę ciołkowatym uśmiechem na twarzy, — jakaś poetka ezy literatka, lunatyczna, magnetyzerka, hipnotyczka i hi- steryczka a mówiąc po polsku, waryatka. Ona czasem

i wierszami swoje wróżby wygłasza, wiersze bardzo ładne, ale wróżby nicpotem...

Grażyna patrzyła na niego takimi oczyma, jakimi się patrzy na człowieka, którego się ma za nic.

Tymczasem on rzekł do niej poufnie:

— Mais voyons! czy można zdrowym rozsądkiem przypuścić, ażeby człowiek, choćby magnetyzer albo hipno-tyk, mógł przyszłość przewidywać a choćby tylko przeczuwać? ..

— Cóż pan wiesz o tem! — zawołała na to Grażyna i odwróciła się z pogardliwym śmiechem od niego, z czego widać było, że ją tylko Henryk Walezyusz zajmował a Władysław IV ją nudził.

Pomiędzy mężczyznami było także немало kostiumów pięknych i bogatych.

Jakiś szlachcic wysoki, barczysty, zażywny, z szeroką, otwartą twarzą i pełen naturalnego humoru, przedstawiał Bolesława Chrobrego a wszyscy podziwiali bogactwo jego soboli, axamitów i drogich kamieni. Inny, młodszy od niego, smukły i blady, ze smętnymi oczyma i ciemną brodą, był jak dwie krople wody do tego króla podobny, co nosił "ostatni kołpak Witołdowy," oglądano go także bardzo ciekawie, bo pas, mieczyk, łańcuch i kłamry, które jego ubiór zdobiły, miały istotnie pochodzić ze skarbcza, pozostałego po Zygmuncie Auguście. Za pan brat z królami przechadzał się jakiś rzeczywisty książę litewski, pochodzący od Gedymina i w ówczesny kostium wielkich kniaziów litewskich ubrany: był to człowiek jeszcze młody, ale już cokolwiek otyły, podobno setny hulaka, ale niezmiernie żądny popularności wyobrażający sobie, że jeżeli

kiedy "przyjdzie do czego," to on stanie na czele całej 4

Litwy i Żmudzi. Był jeden rycerz w pełnej żelaznej zbroi, dwóch w półpancerzach, trzech w axamitnych frakach i trzech białych perukach z czasów saskich a kilku innych w ubiorach mieszczańskich z czasów dyrektoryatu, Napoleona I i Ludwika XVIII. Ale było także kilku uczonych i literatów z Warszawy i Krakowa, w ubiorach zwykłych, których pani Firlejowa zaprosiła, ażeby po dziennikach pisali o balu. Stary Firlej był we fraku i w białej krawacie, lecz mimo tego zwykłego stroju wyglądał poważniej od wszystkich — i widać w nim było pana z panów, który nawet w obec książąt i królów jest omnibus par, mienni inferior i gości swoich przyjmuje z godnością dziedzica wielkiego historycznego imienia.

Niebawem zaczęli się walić przed werandę goście z bliższych okolic, którzy przyjeżdżali na obiad, jedni w rozmaitych kostiumach, drudzy w ubiorach zwykłych. Lecz zaraz pierwszy, który zajechał, zwrócił na siebie wyłączną uwagę wszystkich. Był to wóz rzymski z półokrągłym wy- złożonym siedzeniem, obróconym tyłem do konia, wóz był na dwóch kołach także złożonych, a ciągnął go tylko jeden koń biały, ale przepyszny, z bardzo wyniosłym karkiem, z grzywą sterczącą, przystrzyżoną przy karku i z pióropuszem na głowie. Tym wozem powoził stojąc pomiędzy osadą dyszla a siedzeniem niewolnik rzymski, z gołą głową i w białą, trochę wygorsowaną tunikę ubrany — a z tego wozu wysiadł rzymianin z czasów Nerora jak gdyby go kto wykroił z obrazu: ubrany był w togę czerwoną, bramowaną galonem dokoła, jaką wówczas nosili dygnitarze dworscy, w tunikę białą i żółte sandały, czuprynę miał białą i brodę białą, obydwie krótko strzyżone, a pod pachą prawej ręki * obnażonej niósł podłużną papyrusową

xięgę, na której widać było wielkimi literami wypisane słowo: Satyricon. Tak szedł po schodach na platformę werandy, z głową podniesioną do góry i patrząc z uśmiechem na gości.

Goście jak fala silnym wichrem pędzona popłynęli tłumem ku schodom, wszystkie lornetki się wycelowały ku niemu, każdy chciał wiedzieć czempredzej, kto jest ten gość niespodziewany, co z pogańskiego Rzymu przyjeżdża: ale Firlej, który pierwszy wybiegł ku niemu i ścisnął mu rękę serdecznie powyżej kostki, zaraz w nim poznał ojca Geni, bo Zaklika, chociaż woskowy nos sobie przylepił a włosy i brodę upudrował na biało, nie miał nawet zamiaru tać się ze swoim nazwiskiem. Wszyscy tedy zaraz się dowiedzieli, że to jest Zaklika i że się przebrał za rzymianina z czasów cesarstwa, ale nikt nie mógł zgadnąć, kogo właściwie przedstawia i co ta xięga papyrusowa ma znaczyć.

Nadbiegł właśnie Fujara, przebrany, jako Rigoletto, w szpiczastym kapeluszu z piórem i z gitarą zawieszoną przez piersi, więc wszyscy jego pytali; ale Fujara jeszcze się na nich obruszył:

— Albo ja wiem! ja się pogańską literaturą nie zajmuję, przecież jestem katolik.

Natomiast zaś przegiął się przed balustradę werandy i przypatrywał się owemu rzymskiemu wehikułowi, któremu kazano parę razy na około dziedzińca przejechać i mruczał sobie pod nosem:

— To dlatego on zamykał obydwóch Nurków przez dwa tygodnie w stodole, to oni jemu ten ekwipaz zfabrykowali, ale im się udało, niema 60 mówić.

Wszelako znalazł się jakiś stary profesor z Warsza

wy, który był niegdyś nauczycielem Frydrusza, ten im to wytłumaczył, mówiąc z zadowoleniem:

— Jeżeli pan Zaklika przedstawia autora dzieła, które znamy pod tytułem *Satyricon*, to jest Petroniusz, jeden z najznakomitszych pisarzy rzymskich z czasów po- chrystusowych. Miał żyć za panowania Nerona, o co jednak jeszcze spór wiodą uczeni, bo z niektórych ustępów jego dzieła można wnosić, że żył cokolwiek później: ale jeżeli żył za Nerona, to był on niejako wielkim mistrzem dworu tego cesarza i jego najulubieńszym doradcą i nosił tytuł *arbiter elegantiae*. Przez długi czas wielkich używał wpływów, ale później skutkiem intryg dworskich popadł w niełaskę, co za Nerona zwykle płaciło się głową: aby uniknąć haniebnej śmierci, usunął się na swoją kampanię, kazał sobie żyły otworzyć i umarł śmiercią dobrowolną. Ale nim umarł, napisał książkę, której dał tytuł *Satyricon*. Dzieło to, pisane w części wierszem a w części prozą, dostało się do nas tylko fragmentach, ale i te fragmenta stanowią utwór genialny a nawet, tak pod względem myśli, jak stylu, przenoszący miejscami Tacyty i Swetonijusza. Głębszej i więcej gryzącej satyry na swoje społeczeństwo nikt nie napisał w żadnej literaturze, od najdawniejszych czasów aż do dzisiejszych.

Bezwzględność w karceniu przywar i grzechów swojego wieku i fotograficzna dokładność w obrazowaniu tego, co oczy widzą, jest posunięta u niego do ostatecznych granic możliwości, ale też prawda, że w owych czasach, kiedy on pisał, jeszcze nie wynaleziono cenzury. Są też w jego dziele sceny tak nagie, że nawet ludzie wytrawni nie mogą ich czytać bez zarumienienia się, bo widzą tam rzeczy, które się dzieją pomiędzy ludźmi, ale przecież nigdy w dzień

jasny i bez żadnej zasłony: za to go też nazwano auctor purissimae impuritatis — i słusznie, bo jako plastyk bez wstydu i sromu pozostanie na wieki mistrzem nad mistrze. Kiedy czytam powieści dzisiejszych naturalistów — mówił dalej zacny staruszek — i widzę, jako usiłują w nas wmówić, że wynaleźli coś nowego, a nawet że nową stworzyli szkołę, to patrzę na nich z politowaniem, bo oni wszyscy, nie wyjmując Flauberta i Zoli, Petroniuszowi nie dorosli nawet do pasa. A jest w nim nietylko jeszcze o wiele plastyczniejsze obrazowanie, nietylko dowcipniejsze naśladowanie gwary wszelakich warstw pospolitego ludu a przytem bez porównania więcej porywająca śmiałość i werwa wykładu, ale jest także myśl wyższa i gruntownie moralna, której u dzisiejszych naturalistów szukamy napróżno. Petroniusz, jeżeli przedstawia ludzkie obrzydliwości i brudy w ich naturalnej nagości, to w tym celu, ażeby je skarcić, zgromić, wyszydzić i wstręt do nich obudzić — a terażniejsi naturaliści malują pomyjami swoje obrazy i lepią z błota swoje figury bez żadnej myśli moralnej a jeszcze do tego w tem rozumieniu; że się równają Fidyaszom i Praxitelesom. Oni wszyscy od Petroniusza* mogliby się bardzo wiele nauczyć, ale ażeby go zrozumieć, — zakończył profesor, uśmiechając się i zacierając ręce z zadowolenia, — trzeba umieć dobrze po łacinie — a to podobno nie jest najmocniejszą stroną naturalistów...

Wszyscy go bardzo pilnie słuchali a X. Prandota, ubrany w kanoniczy mantolet i krzyż złoty na piersiach, ścisnął go za rękę i rzekł:

— Wszystko, co pan nam powiedziałeś, jest prawdziwe i trafne, ale ja jestem zdania, że nawet w celu karcenia złych obyczajów nie należy używać takich bezwsty

dnych obrazów, zwłaszcza z taką plastyką malowanych, bo takie obrazy wprowadzie u niektórych wstręt budzą, ale u wielu innych pozostawiają zgorszenie.

Tymczasem Zaklika już gził literatów warszawskich, docinając im bardzo dowcipnie za ich naturalizm, a oni mu się równie dowcipnie bronili, powstał z tego gwar wielki i nie można było wszystkiego dosłyszeć. Tylko na końcu słychać było Zaklikę, jak mówił podniesionym głosem:

— A ja wam powiadam, że jeżeli piękna literatura nie będzie stać na straży moralności we wszystkich zawo - dach ludzkiego życia, to lepiej aby jej całkiem nie było ; ludzkości natenczas ściśle nauki wystarczą...

— I wiara! — zawołał Frydrusz z niecierpliwością.

Zaklika przerwał i spojrzał gniewnie na niego, ale Prandota wziął tymczasem Frydrusza za rękę i odprowadzając go od tego tłumu, powiedział mu nauczająco:

— Pan hrabia masz rację, ale dlaczego pan lekcją kontradykujesz Zaklice? Pan tą swoją niecierpliwością jeszcze kiedyś wszystko zepsujesz...

A wtem dzwon się odezwał na wieży pałacu, był to znak do obiadu.

Wszystkie konwersacye w ten moment ustały, Bolesław Chrobry podał rękę królowej Bonie, stary Firlej królowej Jadwidze, inni innym a Grażyna podała ramię Zaklice.

— Pan przedstawiasz postać najwięcej zajmującą ze wszystkich, — rzekła do niego, idąc z nim za innymi do sali jadalnej, — ale powiedz mi pan z łaski swojej, czy

ten Sałyricon nie jest przetłumaczony na jaki język europejski?

Na to Zaklika w głos się roześmiał i rzekł:

— Przyznam się pani, że nie wiem, ja go po łacinie czytałem, ale niech się pani spyta X. Prandoty, on to wie pewnie...

Grażyna się na to skrzywiła — i z tem weszli do sali jadalnej.

W wielkiej sali jadalnej o bardzo wysokim pułapie, której wszystkie ściany były okryte rzeźbionem drzewem i ozdobione czterema przepysznymi obrazami, przedstawiającymi sceny myśliwskie, stał stół nakryty z wystawnością królewską. Z trzech kolosalnych pajaków z ciemnego brązu, zawieszonych u stropu i czterech ogromnych świeczników stojących po rogach, spływało światło tysiąca świec woskowych, które jeszcze z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca walczyło i tworzyło atmosferę pełną niezwyčajnego uroku. Może taka atmosfera istnieje kędyś w eterach, pomiędzy zapalającym się słońcem, a dogasającymi gwiazdami. Na stole błyszczały białe wielkie srebrne naczynia, otoczone nieprzebranym bogactwem kwiatów, ^lecz wszystko w miarę i w tym wykwintnym smaku, który uwidocznia bogactwo, ale się niem nie przechwala. Czterech marszałków z wielkimi trzciniami o srebrnych gałkach pilnowało służby — a służba, złożona z dwudziestu czterech lokai w herbowej liberyi, pomiędzy którą widać było kilku smukłych kozaków, wiedeńskiego strzelca zakutego w hafty srebrne i jednego murzyna, stała zbita w tłum w wielkiej framudze, która sama mogła służyć za salę jadalną, ale tylko za kredens służyła. W tem otoczeniu, stół obsadzony gośćmi w tak bogatych i tak rozmaitych kostiumach, wy-

glądał majestatycznie — i gdyby nie to, że tu i ówdzie było widać frak czarny i nowożytny mundur wojskowy, można było mieć to złudzenie, że się jest na obiedzie u którego króla z rodu Jagiełłów na zamku krakowskim.

Fujara, znający się na tych rzeczach, kiedy objął okiem wszystkie szczegóły a potem całość, powiedział sobie: Niechaj kto sobie mówi co chce, przecież tak wystąpić może tylko dziedzic takiego majątku, który się znajdował przez wieki w rękach Tarłów albo Firlejów. Za żadne demokratyczne miliony nikt takich rzeczy nie kupi...

Ale najwięcej uszczęśliwioną była Genia. Na jej rumianej twarzyczce widać było niewysłowioną zadowolenie a może i dumy cokolwiek i zdawało się, jak gdyby mówiła do siebie: To wszystko moje!

Wszelako goście nie umieli utrzymać powagi odpowiedniej wystawności królewskiej, albowiem już zaraz po zupie"zrobił się gwar prawie jarmarczny przy stole: wszyscy zdawali się mieć to przekonanie, że kostiumy i maski upoważniają do nieograniczonej wolności słowa. Przy niższej połowie stołu Zaklika wzniecał ogromną wrzawę, bo krytykując wszystko i przycinając wszystkim, wywoływał albo śmiechhomeryczny, albo też odpowiedzi równie cięte a czasem i niecierpliwe, którym towarzyszyły nowe wybuchy śmiechu, — zaś przy wyższym Bolesław Chrobry opowiadał stentorowym głosem starożytne powiastki i anegdoty, którym także chóralnym śmiechem wtórzono. Potem zaczęto pić — a przy kielichach już każdy usiłował iść w zawody z Petroniuszem i Bolesławem.

Prócz tego i z zewnątrz zaczęły się wciskać maski do sali jadalnej. Sybilla przyczepiała się do gości a wróżąc

im z ręki albo z wyrazu twarzy, wywoływała u jednych zdziwienie, u drugich głębokie zamyślenie.

Jakiś pielgrzym mocno zamaskowany obchodził cały stół i przypatrywał się uważnie wszystkim damom, które miały maseczki na twarzach; tą ciekawością zwrócił wszystkich uwagę na siebie, ale nikt nie umiał powiedzieć, ktoby to był.

Pielgrzym zniknął — a potem weszła jakaś dama, w czarne domino ubrana i mocno zakwefiona: obesła także wszystkich, przemawiając do tych i owych rozmaitemi językami, poczem się zatrzymała przed półkownikiem Baltze-rem von Baltzheim i mówiła z nim po niemiecku, ale głosem oczywiście zmienionym; Półkownik rozmawiał z nią zrazu spokojnie a nawet śmiał się, ale nagle zerwał się z krzesła, ona mu jeszcze jakieś słówko rzuciła, poczem spiesznie odeszła — a kiedy szła, widać było pod rozwiewającymi się połami domina jakiś kostium inny, na czar- nem dnie srebrem przesiany. Półkownik byłby rad pobiegł za nią, ale nie mógł, bo jeszcze nie wstawano od obiadu; jednak tymczasem wbiegło od razu kilkanaście masek do sali — i taka zrobiła się wrzawa, że już niepodobna było usiedzieć u stołu: zaczęli wszyscy wstali, zbijając się w małe gromadki, gwarząc ze sobą, śmiejąc się głośno i pijąc. Inni porochochodzili się po innych pokojach, bo w sali jadalnej już było gorąco jak w łaźni — a lokaje roznosili za nimi wino szampańskie, kawę i likiery.

Fujara, bardzo z tego niekontent, że nikt nie zwracał uwagi na niego, przewiesił swoją gitarę przez piersi i wyszedł do parku — a idąc, mówił do siebie: Ludzie, choćby najlepiej wychowani, kiedy się zbiorą w tłum, a* zwłaszcza kiedy pić zaczną, niczem się nie różnią od chłopów: ani

urodzenie, ani ukształcenie, ani sztuka, ani poezya, nic u nich wtedy nie znaczą, ale niechno ja sprzedam mojego Durera, to ja im pokażę, że i ja coś znaczę...

Wszelako Zaklika coś znaczył. Szył on jak raca pomiędzy gośćmi po wszystkich pokojach i tak ciął Petroniu szowym językiem na wszystkie strony jak brzytwą. Opierając się na tem, że przedstawia jednego z najwięcej ciętych satyryków całego świata, wypowiadał wszystkim prawdę bezwzględnie, choć czasem była gorzką jak trucizna: i arystokrację i demokrację nielitościwie wyszydzał, — szlachcie powiedział, że wszyscy idą za śladem Fujary i wszyscy z kolei wyginą na jedną i tę samą chorobę fałszywych ambicyi, — demokratów wyśmiewał, że przyszłość budują na ciemnocie wiejskiego ludu a nie na rozumie klas ukształconych, — literatom zarzucił, że tylko naśladową Francuzów i Niemców a z siebie samych nic nie umieją wydobyć, — mężatom, że się stroją i bawią, zamiast dzieci i kołowrotka pilnować, pannom, że tylko bogatych mężów szukają, za- czem tak samo się za pieniądze sprzedają, jak pewne inne kobiety, młodzieńcom, że tylko na posagi polują, aby je potem tracić na karty, na psy i konie i jeszcze mniej moralne rozrywki, — zgoła nikomu nic nie darował, ani warstwom społecznym, ani politycznym stronnictwom, ani nawet osobom i każdemu dopiekł jak gdyby ogniem do kości. Z całości tego wszystkiego, co mówił, widać było, że we wszystkim miał słusność i chciał jak najlepiej, tak dla całego społeczeństwa, jak i dla ludzi, ale widać także było, że od każdego wymagał najwyższej doskonałości podniesionej do ideału — a takie wymaganie jest czystem złudzeniem, bo doskonałości nigdy nie było i nie będzie na świecie, wszelakie czynności ludzkie będą zawsze przedstawiać

mięszaninę dobrego i złego i co najwięcej od nich można wymagać, to żeby dobre nad złem przeważało. Kto dla dobrych uczynków nie umie przebaczyć niedostatków i błędów, tego nauka nie odniesie dobrego skutku: toż i Zaklika jednych rozgniewał, drugich oburzył, aż w końcu wszystkich zmęczył i znudził. Ale nareszcie i sam się zmęczył — i wyszedł, szukając wyjścia na świeże powietrze...

Przeszedłszy kilka komnat większych i mniejszych, w których jeszcze tu i owdzie pito cokolwiek, znalazł się w małym pokoju o wielkich drzwiach szklanych, wychodzących na jakąś małą werandę, w którym zastał tylko jednego człowieka. Był • to ów xiąże litewski, który się tak skwapliwie dorabiał popularności a podobno jeszcze dotychczas się jej nie dorobił. Xiążę się tak strąbit winem szampańskim, że teraz leżał na szezlongu, ze szklistem i oczyma, oddechając z wielką trudnością i ocierając sobie usta batystową chusteczką. Zaklika, który go znał od dawna, wpatrzył się w jego twarz szyderczemi oczyma, patrzył długo aż póki go xiążę nie poznał a potem rzekł:

— Tak postępuj mości xiążę a zyskasz sobie miłość i szacunek u szlachty.

Uderzony taką kulą armatnią w piersi, xiążę się ocknął^ wyprostował się o ile mógł i zaczął bełkotać:

— Ale cóż tam... drwisz sobie ze mnie. A tym cza- sam, ja przy mojej popularności, wiesz jakto... każdy chce, abym z nim wypił... trudno odmówić... a tu ten Firlej ma jakieś wino...

— Ale masz rację, — przerwał mu Zaklika, — tak lepiej. Któż tego nie wić, ile położyłeś zasług obywatelskich. Jesteś konserwatorem starożytności pogańskich, — skopałeś już z jakieś sto morgów za glinianemi garnkami

twoich praojców, — zrestaurowaleś własnym kosztem posąg Dejwasa, jeszcze mu jednego ucha brakuje, ale i to z czasem wygrzebiez, — założyłeś wyścigi końskie w Per- kuniszkach, z twego ogiera Wieszpatisa spadł dzokiej angielski i kark sobie skręcił, o czym pisały gazety, — z wystawy bydła w Wilnie twój buhaj kriwe-kriwejte wyrwał się na ulicę i rostratował dwóch żydów, i o tem także pisały gazety, — jesteś protektorem klubu łyżwiarzy, prezesem towarzystwa do wytępienia myszy i szczurów, niebawem masz zostać jegermajstrem dworu, — kto tego nie wie? Kto tych zasług nie ceni? — Ale ja tobie powiadam, u nas nie tędy droga. Weź kielich do ręki, pij z każdym i nie odmawiaj nikomu: wszystkie twoje zasługi ci skrytykują, za wszystko, co zrobisz, ktoś cię poszarpie, ale Ja popularność, na którą sobie kielichem zarobisz, murem przy tobie stać będzie usque ad finem.

Był to ostatni strzał Petroniusza: poczem szybko zbiegł na tylną werandę i zniknął w parku.

Park firlejowski był tak ogromny, że niepodobna było go oświecić w całości: zrobiono wszakże, co w przeciągu kilku tygodni zrobić było można, i oświecono wszystkie główne aleje wielkimi latarniami na słupach, wszystkie rondle obwieszono tysiącami małych lampek dokoła a oprócz tego na wszystkich- wzgórzach paliły się beczki ze smołą których czerwone światło przeciskało się przez najgęstsze masy drzew liściastych i krzewów. Na dwóch folwarcznych dziedzińcach pozostawiano niepoliczone stoły, na których kucharze i gospodynie służyli ludowi najrozmaitszem mięsiwem, kołaczami i chlebem: we wszystkich rondlach stały beczki z gorzałką, piwem i miodem, z których każdy pił, ile szyja strzymała, i grały muzyki na skrzypcach, cymba

łach i trąbach — a parobcy i dziewczki tańcowali dokoła, wśród nieustających żartów, przycinków i gwaru.

Lud się rozlał jak powódź po wszystkich alejach, ścieżkach i klombach a cały park szumiał i brzęczał jak gdyby jakaś ogromna pasieka, w której się wyroiło sto ulów pszczoł tak wielkich jak ludzie. Tylko klasztor był szczelnie zamknięty — a zakonnice zgromadziły się na całą noc w swoim kościółku, modląc się za te grzechy, które zapewne zostaną popełnione tej nocy.

W balowej sali pałacu tańczono cokolwiek i było tam także pustoty i śmiechów bez końca, zwłaszcza przy kadrylach, gdzie kostjomy, najczęściej z sobą wcale nie licujące, sprawiały wrażenie niesłychanie komiczne: ale przed samą północą muzyka grać przestała — a wszyscy goście wyszli do parku, gdzie z uderzeniem godziny dwunastej, na najwyższym wzgórzu, podobnem do głowy cukru, na którym stała mała świątynia zbudowana w stylu greckim, miano spalić fajerwerk, z wielkim zachodem i kosztem sprowadzony z Warszawy.

Stary Firlej szedł z jenerałem po prawej a Bolesławem Chrobrym po lewej ręce a za nimi szło dwóch oficerów i kilku obywateli w perukach, którzy się zawsze i wszędzie trzymają wielkiego ołtarza. Szli jednak z dwóch głównych alei i zmierzali ku środkowemu rondlowi, gdzie najliczniejsze zebrały się tłumy i skąd najgłośniejsza grzmiąca kapela. Im więcej się do rondla zbliżali, tem więcej ludu się kręciło koło nich, który im się przypatrywał ciekawie: ludzie ci byli jaknajrozmaiciej ubrani, ale wszyscy mieli we: sołe twarze i widać było, że mają umysł swobodny a serca jakby na dłoni. Firlej mówił do jenerała: ⁴

— Ten lud jest poczciwy i ma wiele dobrych przy

miotów, robimy co można, aby go podnieść, ale ja jestem zdania, że zniesienie pańszczyzny nie wyszło mu na korzyść: łatwiejsze ma życie a przez to się coraz więcej odzwyczajają od pracy.

Ale generał, który stał na całkiem innym punkcie widzenia a miał także dobra w tych stronach, innego był zdania i mówił: że ten wspaniałomyślny akt łaski cesarskiej niezawodnie swojego czasu jaknajlepsze skutki przyniesie, ale na to potrzeba czasu; potrzeba także dobrej i silnej administracji, — zapewne, że leniwi i niezaradni wyginą, ale rozumni i pracowici utworzą potężną warstwę społeczną, w której państwo i rząd będą miały swoją najsilniejszą podstawę.

A wtem wyskoczył z tłumu jakiś dorodny parobek* w ciemnym sieraku, w dostatnich butach i baraniej czapeczce na głowie; stanął przed nimi zuchwale, czapki nie zdjął, jeszcze ją sobie na bakier poprawił, uderzył obcasami hołubca i głośno zaśpiewał:

Oj szepka mi marmazynka, oj czorna mihunia,

Oj czobit mij załupczesty — a żinka Marunia.

Nastojaszczy adjutant, który szedł o pół kroku za generałem, rzucił się .ku niemu, chcąc mu dać po łbie, ale generał go ręką zatrzymał, — parobek zniknął — a generał rzekł śmiejąc się do Firleja:

— Ot, widzisz pan, jaka w tym ludzie jest fantazja a jaka energija. Z takiego materiału można coś zrobić, tylko trzeba, ażeby rząd i właściciele więksi, zgoła my wszyscy, ażebyśmy sobie ręce podali i trzymali go w klu-

Zaklika. T. I.

bach, a prowadzili drogą porządku, uczciwej pracy i wierności dla tronu.

A wtem za jego plecyma odezwał się głos:

— Ej! więcej nas tu, jak was!

Wszyscy się obejrżeli: Był to Balcerek, przebrany za kowala, ze skórzanym fartuchem przed sobą i twarzą poczernioną sadzami, — stary Firlej go poznał na pierwszy rzut oka i tym wykrzyknikiem niepomału się zgorszył. Na- stojaszczy adjutant skoczył za nim, chcąc mu dać po łbie, ale Balcerek buchnął w krzaki i zniknął.

Firlej, obawiając się, ażeby takich scen nie było więcej, kiedy się zbliżą do gęstych tłumów, zatrzymał swoją konwersacyę o kilkadziesiąt kroków od rondla a potem rzekł:

— Może lepiej zrobimy, jeżeli się tu zatrzymamy, bo ci ludzie już sobie trochę podochocili... a rzeczywiście jest ich więcej, jak nas.

A kiedy to mówił, ów książę litewski, co! był tak żądnym popularności a teraz już się zapewne wytrzeźwił, właśnie wypruł się z tłumu i leci ku nim, bez kapelusza, w sukniach pomiętych i jakoś dziwnie zjajany. Był dans lous ses elals: chcąc się trochę pobratać z tymi "pocziwymi chłopkami", zanadto głęboko się zaszył pomiędzy tłumy i "pocziwe chłopki" mu zegarek ukradli, — zegarek złoty, drogiemi kamieniami sadzony, a do tego historyczna pamiątka, bo Witold go zdobył na wielkim Mistrzu krzyżackim w bitwie pod Grunwaldem. Xiążę nie miał tchu w piersiach, tak go ta strata zirytowała — a teraz, pół po francusku a pół po polsku, opowiadał ten wypadek jenerałowi i Firlejowi.

Firlej, tem do żywego dotknięty, że jego chłopci tak

mało mają poszanowania dla cudzej własności, usiłował go uspokoić, mówiąc, że zegarek tak oryginalny, z pewnością się znajdzie. Xiążę go słuchał z uwagą, — ale tymczasem macnął się prawą ręką po lewej kieszeni fraka a wtedy gęba mu się rozwarła, oczy stanęły słupem i skostniał: miał w tej kieszeni pulares — i ten mu także ukradli. Gorący pot mu wystąpił na czoło, sięgnął ręką do kieszeni po chustkę, — ale i chustkę mu także ukradli.

Natenczas wszyscy jego gości zrozumieli i wszyscy się śmiali; ale jemu się wcale na śmiech nie zbierało, tylko był niezmiernie zdziwiony, jakoż mówił do Firleja:

— Ta co wy za chłopów macie tutaj na Rusi? ta oni łuszczą swoich gości jak orzechy, nawet i nosa niema czem utrzyć. Ta gdzieżby-to u nas na Litwie ? nawet nikt nigdy o takich rzeczach nie słyszał..

A wtedy generał, biorąc w swoją obronę honor ruskiego ludu, zaczął go uspakając i wypytywał, jak się to stało* i kogo ma w podejrzeniu, bo jest tu przecież policya, która szkodę może odszukać. Xiążę chciał zrazu powiedzieć prawdę, ale się spostrzegł, że tymczasem zgromadziło się dużo innych gości koło nich i zdało mu się, że między nimi widzi kilku dziennikarzy z Warszawy, zaczęł sobie pomyślał, że jeżeli tę kradzież zwali na chłopów, to go za to jeszcze opiszą w gazetach — a toby mogło bardzo zaszkodzić jego popularności. Zaczął więc protestować i zapewniał generała, że to był jakiś surdutowy...

— O etait un particulier, je Vous promets... Un partièulier qui s'est accroche apres moi pour me frayer le chemin, é est lui qui m'a vole, j en suis parfaitement sUr.. r

Natenczas generał, zamyśliwszy się nad tem, powiedział mu sentencyonalnie:

— C etait tout de meme tres imprudent de votre part, parceque, en general, U faut se mefier d'un particulier...

— Et d'un general en particulier! — zawołał na to głos z tyłu.

Był to Petroniusz. Nastojaszczy adjutant rzucił się za nim, chcąc mu także dać po łbie, ale Petroniusz zniknął w tłumie.

Wszelako Firlejowi już tego było zanadto. Zaczem wziął generała pod ramię i wykładając mu bardzo rozumnie, że ludzie dobrego urodzenia i wychowania nie powinni nigdy się mieszać z tłumami, wyprowadził go na wielki gazon środkowy, gdzie już prawie wszyscy goście byli zgromadzeni, czekając spalenia fajerwerków. Przed nimi widać było jakby na dłoni ów wzgórek spiczasty, na którym stała grecka świątynia, ale świątyni widać nie było, bo była całkiem zakryta kraciastem rusztowaniem, obejmującym przyrządy do ogni sztucznych. Firlej, stanąwszy z generałem we środku, posłał kozaka na wzgórze — a niebawem dało się słyszeć kilka strzałów z moździerzy, po których natychmiast na wzgórzu zapaliło się słońce, kręcące się coraz szybciej około swej osi i miotające iskrami dokoła. Potem ze spalonego słońca zaczęły wylatywać kule płonące różnobarwnymi ogniami, oświecając park, pałac, klasztor, co wywoływało powszechne zdziwienie i grzmiące oklaski — a dalej zapalały się inne słońca i gwiazdy z cyframi Firlejów, generała i innych znaczniejszych gości. Ognie te trwały prawie całą godzinę, — aż w końcu wszystkie rusztowania opadły a naokoło szczytu wzgórza zapaliły się w krzakach ukryte ognie bengalskie, które oświeciły grecką

świątynie, a otaczając ją kłębamii dymu, przedstawiały ją jakby zawieszoną w powietrzu. Był to widok czarujący swoją malowniczością, wszyscy się nim zachwycali — a nawet generał chodził pomiędzy damy i zapewniał je, że nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego.

Przez cały czas palenia ogni sztucznych goście bawili się doskonale. Gromadząc się w grupy, rozmawiali ze sobą wesoło wśród żartów i śmiechu, grupy się co chwila inaczej układały i konwersacya się między niemi zmieniała; kto chciał kogo odszukać i rozmówić się z nim swobodnie, ten na tym wielkim gazonie wśród zmieniających się ciągle światła i cieni pewnie znalazł po temu sposobność. Było wszakże kilka masek kobiecych i męskich, które ciągle się przechadzały pomiędzy tłumy, innym maskom zaglądały po pod kaptury i fryzury, przypatrywały się im ciekawie, podsłuchiwały rozmowy, ale same z nikim nie rozmawiały. Podejrzliwy Fujara był przekonany, że to są policyjni ajenci — i zwrócił na to uwagę Zakliki. Ale Zaklika roz- śmiał się na to i rzekł:

. — Miłość jest daleko czynniejsza niżeli policya.

I podobno miał słuszność. Do takich masek podpatrujących inne należała przedewszystkiem ta dama w czar- nem domino, która z półkownikiem rozmawiała po niemiecku przy stole. Przebiegłszy kilkanaście razy cały tłum gości, zatrzymała się wreszcie przed Balcerkiem, który także biegał pomiędzy tłumy, i spytała go niecierpliwie:

— I cóż?

- Niema go tutaj, — odpowiedział jej Filon pochmurnie, — nie przyjechał. Nie trzeba mu było tak zupełnie odbierać wszelkiej nadziei...

^x Zamaskowana dama odeszła w zamyśleniu: ale pół-

kownik, który ją miał ciągle na oku, poszedł za nią. Figara, ciekawy jak zawsze, pociągnął sobie zwolna za niemi.

Do takich odosobnionych masek należał także ów pielgrzym, któregośmy już widzieli w sali jadalnej. I on także szukał kogoś i biegał pomiędzy tłumy, ale widać że nie znalazł, bo teraz, zapewne tem ustawicznym bieganiem zmęczony, odszedł ku klombom otaczającym gazon i tam się oparł plecy ma o drzewo. Tu odchylił maskę i brodę i otarł chustką pot z czoła — a wtedy widać było, że to był Ignas. W tej chwili Sybilla się do niego zbliżyła i rzekła:

— Ludzie się czasem szukają a nie mogą się znaleźć, bo dobre albo złe duchy ich dzielą od siebie.

Ignas spojrzal na nią i zadrzał, bo mu się zdawało po głosie, że to jest Flora, ale nim jeszcze jej odpowiedział, ona go wzięła za rękę, mówiąc:

— Daj mi rękę, obaczę czy będzie co z tego.

Poczem patrzyła przez długą chwilę w dłoń jego lewej ręki i badała uważnie jej linije, lecz nagle ją odrzuciła od siebie jak gdyby ze wstrętem i zapadła w zadumę. Ignas pytał ją, co wyczytała. Ona milczała jeszcze przez oka mgnienie a potem rzekła jakby do siebie: Strach mnie bierze...

Zaciekawiony Ignas powiedział jej z rezygnacją:

— Mów śmiało. Ja jestem z tych ludzi, którzy się niczego nie boją.

- Bój się! — odpowiedziała mu Sybilla a dalej mówiła jak gdyby przez sen: — Materyi zidealizować nie można. Tylko duch tworzy ideały, chociaż się posługuje materią, aby im nadać formy widzialne. Sam ruch materyi

nie jest myślą. Myśl poczęta z samej materii jest złem i tylko zło rodzi. Kto żąda krwi dla krwi, jest mordercą; bohaterem jest tylko ten, kto przelewa krew dla idei. Kto umiłował ciało dla ciała, wszetecznikiem jest, chociażby jego związek został uświęcony w kościele; miłość pożąda duszy a bierze ciało tylko dlatego, że dusza w niem mieszka. Myśl w kale zrodzona nie podniesie się nigdy w krainę ducha. Te marzenia, które się z niej wyradzają, są jak wyziewy moczarów, co chociaż się nad powierzchnię ziemi podnoszą, nie ulatują ku słońcu, tylko na powrót opadają w moczary. Co się zrodziło w kale, ginie w kale. Porzuć te myśli, strach mnie bierze...

Ignasz jej słuchał, ale nie wiele rozumiał. W tej chwili tłum masek, biegnący w tę stronę, porwał Sybillę ze sobą. Kiedy został sam, myślał przez chwilę a potem rzekł do siebie :

— Jakaś spirytystka, plecie same nedorzecznosci. Wszystkie ideały są wytworem imaginacji i wszystkie, prędzej lub później, opadają na ziemię; nawet i te, które ulatują ku słońcu, zostawiają roszarowanie po sobie, roszarowanie to rzeczywistość a rzeczywistość to ziemia....

Potem ruszył z miejsca i zaczął dalej się błąkać po parku.

Błąkając się po bocznych alejach, gdzie było mniej tłumów i gwaru, usłyszał zdała jak gdyby szum wodospadu i uczył chłodną wilgoć w powietrzu. Chociaż to było już dobrze z północy, jeszcze parno było w powietrzu, orzeźwiający chłód go pociągał ku sobie: zaczął szedł dalej, aż obaczył tuż obok drogi, pomiędzy wysokimi drzewami i bardzo gęstymi krzewy, kanał napelniony wodą po same brzegi, przez który rzucono mostek z białego

drzewa, prowadzący na tuż leżącą wysepkę. Na tej wysepce, otoczonej równie gęstymi krzewy, uderzał przedewszystkiem posąg satyra, z białego wykuty marmuru, który na tle liści zielonych się tak mocno odbijał, że białe światło rzucał od siebie: satyr wylazł tylko po pas z marmurowej kolumny, przechylił swoją brzydka uszată głowę ponad stojącą tuż pod kolumną kanapkę i śmiał się. Ale na kanapce siedzieli ludzie: Ignas spojrzal na nich i skostniał.

W jednym rogu kanapki siedziala a raczej prawie lezala Flora. Rozscielila na poręczu i plecach darniowej kanapki swoje czarne domino i wyciągnęła się na niem, jak gdyby była rozlaną, widać było, że i ona także była mocno zmęczoną.

Na piersiach miała jakoby pancerz z czarnej materyi przetykanej srebrem, zapewne w znak żaloby, ale ubiór ten nie żalobne sprawiał wrażenie, bo uwydatniał pełne a wdzięczne formy jej biustu w sposób tak nęcący, że nie można było oczu od nich oderwać. Biała jej szyja odbijała jak śnieg od jej czarnego pancerza a hebanowy połysk jej włosów oświecała niska perłowa korona, osadzona z prawdziwie starożytnym wdziękiem na głowie. Na pancerz zarzuciła togę białą męską, jaką w starym Rzymie tylko wolne kobiety nosiły — a z pod pancerza spływała wzdłuż jej ciała również biała fałdzista suknia, ale z tak cienkiej materyi uszyta, że się prawie przezroczystą zdawała, i przedstawiała oczom jej formy tak wyraźnie, że wyobraźnia już ich nie potrzebowała dopełniać. Czarne pończochy, przegładające przez powycinane białe sandały, odpowiadały harmonijnie czarnemu pancerzowi i perłowej w czarne włosy wplecionej koronie. Postać jej była pełna niezwyčajnego uroku: jakieś wykopalisko pzymyskie z cza

sów Cesarstwa, przejmujące melancholijną czcią, jaką mamy dla każdej starożytności, ale wykopalisko pełne życia i krwi — a przeto przypominające zarazem i obyczaje pełne życia i krwi owych czasów.

Obok niej w drugim rogu kanapki siedział pólkownik Baltzer von Baltzheim, ale był wyprostowany i prawie pochylał się nad nią — a po jego zarumienionej twarzy widać było, że pożerał oczyma jej wdzięki, które przez delikatną materję jej sukni tak plastycznie się przebijały. Ale był widocznie zakłopotany i prowadził konwersacyę wcale nie zajmującą. Teraz właśnie powiedział:

— O ile sobie przypominam historję rzymską, to zdaje mi się, że pani przedstawiasz Agrypinę, tylko nie mogę zgadnąć którą, bo dwie ich było: jedna żona Germanika, bardzo dzielna kobieta, ale zarazem niezmiernie namiętna i mściwa a druga matka Nerona. Ta druga była obyczajów wolniejszych i jak wiadomo...

— Ja jestem ta pierwsza, — przerwała mu Flora z lekceważącym uśmiechem, — tylko jeszcze nie mam męża rycerza, któremubym mogła towarzyszyć w jego wyprawach ...

— Taki mąż łatwo się znajdzie, — odpowiedział jej prędko Półkownik, zapewne rad z tego zwrotu rozmowy, bo teraz jeszcze więcej się do niej przybliżył i zaczął jej coś bardzo wymownie wykladać. Widać było, że mu się język rozwiązał i słowa jego płynęły jak woda.

Ignas, z bijącym sercem, przysunął się aż prawie do samego mostku, stanął w cieniu za grubem drzewem i słuchał: ale nic nie mógł dosłyszeć i dlatego głowę coraz więcej z po za drzewa wysuwał.

Wtedy dostrzegła go Flora i spojrzała jaz, drugi

i trzeci na niego* Nie poznała go, ale czy to instynktem kochającej kobiety, czy mocą tej atmosfery, która sympatyzujące ze sobą osoby pociąga ku sobie, przeczuła, że to on — a nawet powstało w niej przekonanie, że to nie mógł być kto inny. Jakoż zapewne w chęci ukarania go za to, że dotychczas nie dał się jej poznać a może i obudzenia w nim zazdrości, wyprostowała się i zaczęła słuchać półkownika niby z wielkim zajęciem. Półkownik, uszczęśliwiony jak każdy starszy mężczyzna, kiedy mu się uda zająć sobą młodą i piękną kobietę, a zarazem i śmielszy od każdego młodzika, ujął ją za rękę, której ona mu nie usunęła, i mówił z widocznym zapalem i w zachwyceniu.

W Ignasiu krew zakipiała: chciałby się był jak dziki zwierz między nich rzucić, aby ich rozerwać, i czuł w swych żyłach, że kiedyby porwał tego człowieka w swoje żelazne ręce, toby go jak kota przez wszystkie drzewa przerzucił. Ale nie miał tej jednolitości myśli i wykonania w swojej naturze, która znamionuje ludzi czynu, i zastanowił się nad tem — a wtedy przyszła mu myśl, że głupstwoby zrobił. Zaczem, choć ręce mu się konwulsyjnie ścisnęły, zapanował nad sobą, bo nie miał odwagi.

A wtem z niedalekiej gęstwiny odezwały się dźwięki gitary. Był to Fujara. Wlazł w kierz za plecyma Satyra, siadł na kamieniu, uderzył w struny i śpiewał głośno:

La donna e mobile qual piwni, al vento, Muta d'accento e di pensiero...

Półkownik się wzdrachnął. Widać, że ten śpiew bardzo mu był nie na rękę. Skonfundował się, przerwał rozmowę, wstał i błędni oczyma spojrzął na Satyra — a Satyr śmiał się. Flora to spostrzegła i roześmiała się

takim śmiechem sardonycznym, że pólkownik już wcale się zmięszał. Jednak opamiętał się i wybełkotał parę okresów w tym sensie: że jacyś niedyskretni ludzie ich podsłuchują i mogłyby z tego być plotki. Flora wstała, zarzuciła swoje domino na siebie i przykryła twarz maską, pólkownik podał jej ramię i wyprowadził ją przez mostek w aleję.

Ignas się jeszcze lepiej schował za drzewo, Flora przechodząc koło niego, spojrzała takimi oczyma na jego maskę, jakby ją chciała ogniem swojego wzroku roztopić, Ignasiowi promienie tego wzroku przebiegły jak iskra elektryczna po żyłach, ale odetchnął i lżej mu się zrobiło.

Pólkownik odszedł z Florą wolnym krokiem ku pałacowi a za nimi biegł jeszcze przez chwilę przerywany śpiew Fujary:

Leggiardo viso... in pi anto o in riso...

E manzognero...

Ignas pociągnął za Florą także ku pałacowi.

W pałacu teraz znowu ruch był ogromny, jeszcze większy niż przedtem. Wszyscy goście się zgromadzili w salach jadalnych,- gdzie przygotowano bufety, zastawione obficie jadłem i napcjami. Gwar tam był niesłychany nawet w przyległych pokojach, bo teraz już się tam wciskali najrozmaitsi ludzie, w kapotach i siermięgach, wiejskie kobiety i dziewczęta, chcąc się pańskim pokojom przypatrzeć: panowie i panie bratały się z nimi i częstowano ich winem szampańskim i likierami.

Pólkownik wprowadził Florę pomiędzy te tłumy i radził jej, aby zrzuciła domino ze siebie, zapewniając ją, że jak się w swoim przepysznym kostiumie Agrypiny pokaże, wszyscy padną jej do nóg, kobiety zzielenieją z zazdrości

a wszyscy mężczyźni się w niej zakochają. Ale jej ta myśl się wcale nie podobała i odpowiadała mu w roztargnieniu :

• — Nie po to tu przyjechałam... i nie dla nich się w ten kostium ubrałam.

Półkownik był niezmiernie zadowolony z tej odpowiedzi, zapewne zrozumiał, że dla niego tu przyjechała. Roztargnienia jej nie uważał, chociaż powinien był spostrzedz, że ciągle się zatrzymuje i ogląda się po za siebie, jak gdyby kogoś szukała: ale miłość i młodych oślepia a kiedy stary ogniem miłośnym zapłonie, to już nic wcale nie widzi. Tymczasem Ignas był w tłumie, bo postanowił sobie już jej z oka nie spuścić, tylko ona go nie dostrzegła, bo ją śledził zdaleka.

To ją zapewne znudziło, albowiem po chwili zwróciła się i rzekła do półkownika:

— Jestem tak zmęczona, że już dalej nie mogę. Gdybym mogła mego brata odszukać, tobym go posłała po nasz powóz, mam już dosyć tej maskarady...

Półkownik odpowiedział jej na to:

— Wyjdźmy na werandę, stamtąd poszemy służących, aby go odszukali.

— Iz tem wyszli na werandę, gdzie stało kilkudziesięciu lokai, czekających na rozkazy swych panów. Od czasu do czasu jakiś powóz zajeżdżał, goście wsiadali i odjeżdżali. Półkownik spostrzegł natychmiast swojego kozaka i coś mu do ucha powiedział — a potem wysłał kilku służących, aby młodego pana Balcera szakali. Ignas stał o kilkanaście kroków: nie odwrócił ani na chwilę oka od Flory, ona po kilka razy rzuciła okiem na niego i zdawało się, jak gdyby się zrozumieli, ale Ignas nie ruszył się "z miejsca; poczem

Flora tem żywiej z pólkownikiem rozmawiała i już nie spoglądała na niego.

Po kilkunastu minutach zajechał przed werandę otwarty powóz zaprzężony trójką bardzo pięknych koni różnej maści. Był to ekwipaż pólkownika. Pólkownik rzekł do Flory:

— Oto mój powóz. Jest do dyspozycji pani...

Flora zastanowiła się chwilę a potem odpowiedziała prędko:

— To wsiadajmy. Będzie panu trochę z drogi, ale niewiele...

A wtedy pólkownik prawie porwał ją z sobą, sprowadził szybkim krokiem ze schodów, wsadził do powozu, sam siadł koło niej i zawołał na swego zwoszczyka: — Paszo!

Powóz wyjechał stępą z nabitego tłumami dziedzińca ku bramie i za bramą zniknął w ciemnościach.

W Ignasia jak gdyby piorun uderzył. Ciemno mu się zrobiło w oczach, pusto w głowie. Dopiero po chwili się ocucił. Jaki on głupi! zawsze głupi. Nic nie widzi, niczego się nie domyśla, nic nie umie zrobić na czasie. Z tem upo- karzającym uczuciem porwał go taki gniew na siebie samego i taka niecierpliwość, że byłby pobiegł piechotą za nimi. Przypomniał sobie jednak, że ma swoje konie. Poleciał zatem jak strzała do stajni, na szczęście zastał swego stangreta, który widząc, że inni zaprzęgają, także już zaprzęgał, aby był gotów na zawołanie, Ignas sam mu dopomógł, wskoczył do powozu i zawołał: — Puszczaj co konie wyskoczą, ku Balcerówce.

Stangret wydobył się z tłumów jak mógł najprędzej •a dostawszy się na gościniec, puścił konie tym klusem,

gdzie koń się wyciąga jak struna, łbem ledwie ziemi nie sięga i sunie jak lokomotywa.

Na wschodnim niebie już różowe zaczęły podnosić się blaski, jutrznia świeciła jasno i rozpraszała ciemności, po ziemi snuły się mgły białe jak śnieg a od nich także rozlewało się światło: Ignasz stał w powozie, oparty obydwoma rękami o ramiona stangreta, i wzrok wyteżał przed siebie, ale nic nie widział na drodze Półkownik miał oczywiście lepsze konie od niego...

Niecierpliwość Ignasia dochodziła do najwyższego stopnia. Wnętrznosci w nim drżały, jak to bywa, kiedy nas już spotkało wielkie nieszczęście a jeszcze nie wiemy, jakie przybierze rozmiary i na czym się skończy. Jakkolwiek konie już się tak wyciągały, że żadna siła większej szybkości z nich wydobyć nie mogła, on trącał stangreta jeszcze wciąż w ramie, mówiąc do niego: — Puszczaj, puszczaj, wyciągaj... Konie już szły na złamanie karku, już dobrze szarżyć zaczęło, ale na drodze nic widać nie było. Półkownik o kilka minut wcześniej przed nimi wyjechał — a w takich wyścigach to bardzo wiele. Ignasiowi już przychodziła myśl rozpaczliwa, że półkownik wcale na Balcerówkę nie pojechał i może ją powiózł do siebie. Myśl straszni, jak śmierć...

Nareszcie na blizkiem tle widokregu zaczął się dwór Balcerówki rysować. W dwie minuty potem już go było widać jakby na dłoni. Ignasz, wpatrzony wyteżonymi oczyma w dziedziniec, rzekł do stangreta: — Zwolnij, jedź stępa... Tak podjechał na taką odległość, że widział dziedziniec i werandę dworu jak w dzień. Tu stanął i patrzył...

Powóz półkownika stał przed werandą. Na werandzie stał półkownik przed Florą, która była obróconą plecyma

do drzwi wchodowych, i bardzo żywo z nią rozmawiał. Ignasiowi się zdawało, jakoby usiłował pchać ją przed sobą i wejść z nią do dworu. A wtedy wszystkie nerwy w nim zadrgały jak struny, oddech zaparł się w piersiach, pięście się zacisnęły: — Ten łotr ma zbrodnicze zamiary; jeżeli wejdziesz, dom rozwałę i roztrzaskam mu czaszkę w kawałki ...

Jeszcze chwila. Poczem Flora go odsunęła od siebie, ścisnęła mu rękę, pólkownik jej się zimno uklonił, wszedł do swojej kabitki i przez przeciwległą bramę odjechał.

Ignas z głębi piersi odetchnął. Flora stała jeszcze przez oka mgnienie na werandzie, ale można było dojrzeć, w którą stronę patrzała. Dawniejszego kroju młodzieniec byłby jak strzała pod werandę podjechał i byłby ją wziął jak kociątko, tak jak ona go niegdyś wziąć chciała, ale on nie miał w sobie energii dawniejszych pokoleń, zaczęł kazać nawrócić i spokojnie odjechał. Natomiast wszakże sam już zupełnie dojrzał do wzięcia, bo i miłość opanowała wszechwładnie wszystkie jego władze moralne i jeszcze się podszyła zazdrością, — a zazdrość ogień, miłości jeszcze więcej rozżarza, umysł oślepia, sumienie przygłusza i otwiera na ścieżaj wrota wszystkim namiętnościom.

XI.

Nazajutrz popołudniu Flora siedziała ze swoim bratem na werandzie i rozmawiała z nim o balu wczorajszym. Ona była zamyślona, ale w dobrym humorze, on zatopiony w myślach i roztargniony. Mówili o królewskich bogactwach Firlejów, o kąpiących od złota kostiumach szlachty, o literatach warszawskich a nareszcie i o Sybilli. Flora dała mu o niej takie objaśnienie:

— Ja znam tę kobietę, To Warszawianka, ale ma krewnych w tych stronach, mężatka, ale z mężem nie żyje, zajmuje się naukami i literaturą a nawet i wiersze pisze, ale nigdy nic nie drukuje. Miewa wizye, przeczuwa przedmioty, których okiem nie widzi, kiedy wejdzie do cudzego mieszkania lub magazynu, to zawsze powie, co się w której szafie znajduje, ma jakieś zmysły, których my inni nie mamy, a często nawet myśli zgaduje i przewiduje przyszłe wypadki. W Warszawie weszła rż do nabitego gości salonu i nagle zdrętwiała, mówiąc: Tu jest trup między wami... Obskoczono ją, pytano: gdzie, kto, jak się nazywa? ona nie umiała więcej powiedzieć; ale w godzinę potem jeden z gości został tknięty apopleksją i umarł. Cóż ty na to?

— Są emanacje materii, których my jeszcze nie j znamy, — odpowiedział jej Filek. Flora zastanowiła się nad tem a potem dalej mówiła:

— Ona i mnie z ręki wróżyła.

— Cóż ci wyróżyła? — zapytał Filek prawie machinalnie.

— Powiedziała mi, że moje marzenia się ziszczą, ale me w takich warunkach, jak ja sobie myślę. Wszystko się stanie całkiem inaczej. Ale potem dobrze mi będzie, będę mieszkać w jakimś wielkiem mieście na dalekiej północy, będę miała wielkie salony i wszyscy mnie będą nosić na rękach...

— Nie wiem, dlaczego by się coś miało stać inaczej, — powiedział Filek w roztargnieniu.

— Ona pewnie sobie myślała, — mówiła Flora dalej, — że już się stało inaczej. Bo tak jest i ja jestem z tego bardzo zadowolona. Ale powiadam sobie z poetą:

“Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się?” Przypadki odgrywają daleko większą rolę w życiu człowieka, niżeli jego rozum. Gdyby nie śmierć naszego ojca i jego pogrzeb, który Ignasia na chwilę odrzucił odemnie, to byłabym wielkie głupstwo zrobiła, bo ten chłopak tak mnie opanował swoją nadzwyczajną pięknnością, że nie czułam w sobie żadnej siły oporu. A więc coby się było stało? byłoby się przeżyło wesoło kilka miesięcy a choćby i więcej a potem...

— Głupstwo jeszcze zawsze zrobić się może, — rzekł Filek zgryźliwie.

— O nie! — zawołała Flora, — teraz mam już moc zupełną nad sobą.

— A więc rozum na coś się przydał, — powiedział

Filek.

— Przydał się i jeszcze dalej się przyda, — odpowiedziała mu Flora i mówiła potem z wielkiem zajęciem: Nawet niS będzie to wcale trudne zadanie, bo ja już całkiem panuję nad sobą a on się już doskonale usmarzył. Gdybyś go był widział, jak stał wczoraj za drzewem i jak mnie oczyma pożerał, kiedym się z półko wnikiem bawiła w altanie! A potem aż tu za nami przyjechał, widziałam go z werandy jak gdyby stał o dwa kroki odemnie. Miłością go będę prowadzić a zazdrością mu zawsze dodam ostrogi, kiedy tego będzie potrzeba. Ale nawet i tego nie będzie potrzeba, bo to człowiek rozumny i dobry, ale bez energii i woli, zresztą jak wy wszyscy w dzisiejszych czasach. Dziś u nas energiję i wolę mają tylko kobiety, z was porobiły się baby, dobre chyba tylko do zatykania kominów. Ja z nim zrobię, co zechcę, ojciec może będzie się zastanawiał, ale nakoniec zezwoli. To człowiek liberalny i nie ma

Zaklika. T. I.

23

żadnych przesądów, ma pewne teorie, ale rozróżnia je bardzo rozumnie od praktyki życia. Przecież drogi do szczęścia nie zechce zagradzać synowi. Prócz tego mam jeszcze jeden mały sposobik na niego. Firlejowie chcą, aby Genia dostała Zaklików, ja namówię Ignasia, aby wziął dobra na Żmudzi, — ja nawet będę wołała mieszkać na Żmudzi, niżeli tu między tą szlachtą pełną średniowiecznych przesądów: tym sposobem pozyskam Firlejów dla siebie a i Zaklika rad będzie, że mu syn Zaklikowa nie weźmie.

Flora mówiła dalej w ten sens, ale ostrożnie, bo nie wiedziała, czyli i o ile Filek sam myśli o Geni, dlatego dodała w końcu:

— Zresztą i tobie, gdybyś się z Genią ożenił, Zaklików byłby przyjemniejszym, niżeli dobra na Żmudzi. Góź ty na to powiadasz?

Filek obudził się z zamyślenia i odpowiedział jej co następuje:

— Że ten tutejszy lud jest głupi, tego ja wcale nie przeczę. Ale przecie nie jest tak głupi jak go szlachta przedstawia. Szyłem ja wczoraj pomiędzy nimi jak raca, mówiłem z gospodarzami i z parobkami, z rzemieślnikami i z oficyalistami — i u wszystkich znalazłem to przekonanie, że to jest zgroza i krzywda wołająca o pomstę do Boga, ażeby jeden człowiek posiadał takie pałace, takie parki, takie ogrody, takie szpiżarnie i takie piwnice, podczas gdy inni muszą w pocie czoła pracować na czarny kawałek chleba a nawet jeszcze i o tę ciężką pracę żebrać u panów...

Flora patrzyła na niego jak na fixata, jakoż mu niecierpliwie przerwała i gniewem wybuchła.

— Właśnie mnie ten twój lud coś obchodzi! Ja się jemu spowiadam jak bratu> tu idzie o szczęście mojego życia — a on mi ze swoim ludem wyjeżdża! Otóż ja tobie powiadam że wy im ich szpizarni i piwnic nie zabierzecie, bo od tego są rządy i armije. A jak się kiedy na nich zerwiecie, to oni was tak wymordują, że i połowa was nie zostanie. I wiecie wy, na czym wy kiedyś skończycie? Jak się raz przekonacie, że wasze marzenia się nigdy nie ziszczą, to popadniecie w mistycyzm, w jakiś nowy buddhaizm, do którego Schopenhauer już wam dobrze drogę uścielił — a wtedy i bonzę się zjawia pomiędzy wami i tak samo za łeb was wezmą, jak xięża w średnich wiekach opanowali cały świat chrześcijański! To wasza przyszłość...

Poczem mocno sapała, przechadzając się po werandzie i patrząc prawie z pogardą na niego. Filek się skonfundował i zaczął ją zapewniać, że ją kocha jak siostrę i zawsze jest gotów na jej usługi.

A wtem Ignas zajechał przed ganek.

Na jego widok Florze twarz się rosprosmieniła, przyjęła go bardzo uprzejmie, ale z pewną rezerwą, aby go zbyt nie ośmielać, bo postanowiła prowadzić go odtąd na pasku i dać mu dobrze do zrozumienia, że droga do niej wiedzie przez kościół. Ale Ignas był tak tem uszczęśliwiony, że ją znowu obaczył, iż był dla niej pełen salonowej grzeczności i obchodził się z nią jak z królowną.

Mówiono o wszystkim, całkiem swobodnie i bardzo wesoło, ale Flora umiała nadać taki ton ich rozmowie, iż ani jednym słówkiem nie przypomniano tego zbliżenia, jakie już przedtem zaszło było pomiędzy niemi. O balu wczorajszym wcale nie wspomniano, tak jakby żadne z nich

na nim nie było. Ignasz chciał wiedzieć, gdzie Flora przez te kilka tygodni bawiła, ale niewiele się od niej dowiedział. Flora mu tylko tyle odpowiedziała, że ma ciotkę, która ma mały mająteczek a nie ma dzieci i chciałyby ją mieć na zawsze przy sobie. Ignasz się tą wiadomością zaniepokoił i pytał ją, jak długo teraz na Balcerówce zabawi. Ale ona i na to odpowiedziała mu prawie wymijająco, mówiąc: że to jeszcze od wielu okoliczności zależy, jednak z pewnością nie zabawi dłużej jak trzy tygodnie lub miesiąc, na żniwa pojedzie znowu do ciotki.

Flora odegrała swoją rolę wybornie: traktowała go jako dobrego przyjaciela, ale nic więcej, — a kiedy wstał, aby się z nią pożegnać, nie zatrzymała go i nie powiedziała mu nawet: do widzenia.

Ignasz odjechał mocno zamyślony, pod nawalem uczuć pełnych sprzeczności. Czuł się niewymownie szczęśliwym, że ją znowu obaczył. Znalazł, że była jeszcze daleko piękniejszą, niż przedtem a zarazem musiał jej przyznać, że terazniejsze jej zachowanie odznacza się daleko lepszym tonem niżeli dawniej i pomimo łatwości konwersacyi jest pełnem powagi.

Flora, tak jak jest dzisiaj, byłaby doskonałym typem pani domu nawet w najwybitniejszym pałacu. Ale znalazł w niej także chłód pewien, który go przerażał. To nie ta Flora, jak ją był poznał za życia jej ojca. Gość się w niej zmieniło, przynajmniej dla niego. Go to być może? Zastanawiając się nad tem, wpadł na myśl, że może jej serce zaproszył pólkownik. Może nie tyle serce, bo na to za stary, jak głowę. Powiadają, że pólkownik jest bardzo bogaty, lada dzień ma zostać generałem i ma wielką przyszłość przed sobą. Wielka pozycja w wielkim świecie, to

rzecz bardzo nęcąca dla każdej kobiety... To go niepokoiło przez chwilę, ale potem miłość własna się w nim odezwała. Właśnie też taki półkownik może iść z nim w zawody! A przecież on ma to wszystko, co on — a nad to wszystko jest młody. I to go znowu uspokoiło. Pozostała jeszcze tylko ta okoliczność, że Flora tu tylko kilka tygodni zabawi — i że sama mu to powiedziała. Dlaczego mu to powiedziała? Oczywiście dała mu termin, w którym ma się o jej rękę oświadczyć. Jest to bardzo rozumnie z jej strony* Ona jest sama. On będzie często jeździł na Balce- rówkę, wszyscy będą o tem wiedzieć, więc gdyby te wizyty trwały zbyt długo, mogłoby to szkodzić jej reputacji. Trzeba zatem się spieszyć...

Stanąwszy na tym punkcie widzenia, Ignas był najszcześniejszym z ludzi. Był pewnym Flory — a reszta jakoś się zrobi. Odtąd bywał prawie codziennie na Balce- rówce, czasem Flora przyjeżdżała do Geni, raz się zjechali u Firlejów, zgoła nie minął ani jeden dzień, w którymby się nie widzieli: ale jego stosunek do Flory stał się zwyczajnym, starał się o jej względy tak samo, jak każdy inny konkurent starci się o pannę w sąsiedztwie. I tak minęło dwa tygodnie lub więcej.

Wszelako po dwóch tygodniach zdawało mu się, że Flora staje się z każdym dniem chłodniejszą dla niego. Słuchała jego rozmowy jak gdyby w roztargnieniu, czasem mu odpowiadała jak gdyby z niecierpliwością. Ignas uczuł, że ta nuta, na której jej grywa, staje się jednostajną, i że trzeba nareszcie w inny kamerton uderzyć. Zbierał się na to dzień jeden i drugi, aż wreszcie, siedząc z nią sam na sam na werandzie, z bijącym sercem wziął ją za rękę i drżącymi ustami jej wyznał, że ją kocha i ma jaknajlepsze

zamiary. Flora, się mocno zarumieniła, sprawiło to i na nią pewne wrażenie, jeszcze przez chwilę panowała nad sobą, ale dalej nie mogła, ścisnęła go silnie za rękę i rzuciła mu się w ramiona.

Odtąd ich serca się zupełnie otworzyły przed sobą, mówili sobie ty, przyznali się wzajemnie, że się kochają od pierwszego wejrzenia, opowiedzieli sobie, przez jakie przeszli niecierpliwości, jakie męki cierpieli, jak oboje byli na balu a nie śmieli do siebie się zbliżyć... ale teraz już wszystko dobrze i już tylko o to idzie, ażeby mogli wobec świata i ludzi należeć do siebie.

Flora chciała wiedzieć, czy ojciec będzie robił trudności.

— Trudności będą, — odpowiedział jej Ignas, — ale jakoś my je przezwyciężymy.

— A ja myślałam, że twój ojciec nie ma przesądów.

— Przesądów właściwie nie ma, — rzekł Ignas, — ale rodzinne i majątkowe stosunki nie są mu obojętne.

— Więc cóż będzie? — spytała Flora, patrząc mu; w oczy z widoczną troską na czole.

— Coś trzeba będzie wyperswadować, — odpowiedział jej Ignas spuszczać oczy, — a coś może przeczekać.

— Czekać? — zawołała Flora i już o mało co nie wybuchnęła z niecierpliwością, ale się przezwyciężyła i biorąc go za rękę, dodała błagająco: — proszę cię na wszystko, jeżeli mnie tak kochasz, jak mówisz, powiedz mu za* raz jutro i zaraz przyjedź albo mi przysyłaj wiadomość, co odpowiedział.

— Dobrze, dobrze, — odpowiedział jej Ignas posłusznie, — powiem mu jutro z pewnością, zapewne po po

łudniu, bo muszę upatrzeć chwilę, kiedy będzie sam i w dobrym humorze.

— To może najlepiej dziś wieczór, zawołała Flora, — dziś, po obiedzie, on zawsze jest sam i ma głowę spokojną. Jedź — i przyslij mi zaraz wiadomość.

Ignaś wstał ciężko, bo nie był skory do czynu, ale przyrzekł jej, że ani chwili czasu nie straci, i umówili się, że jak długo jej wiadomości nie przyszły, to będzie znaczyć, że jeszcze się z nim nie rozmówił.

Flora przystąpiła jeszcze do niego do powozu i ściskając mu obydwie ręce, dodała...

— Mój drogi, dziś jeszcze, jeżeli możesz. Ja przez całą noc oka nie zmrużę...

Ignaś odjeżdżał uszczęśliwiony, ale z chmurą na czole. W miłości niestety niemasz nigdy róży bez cierni. Czuł się lekkim jak gdyby go aniołowie unosili do nieba, bo widział, że jest wszystkim dla Flory; gotów był życie dla niej poświęcić i byłby był najszczęśliwszym, gdyby był mógł ją życiem swem zbawić: ale ta nagłość, z jaką Flora wymagała decyzji ojca, niezmiernie na nim ciążyła. Chciałby był mieć choć kilka dni czasu przed sobą, aby się mógł przygotować do tego ważnego kroku, bo przewidywał trudności, chociaż nie miał najmniejszego wyobrażenia o tem, z jakiego źródła te trudności wypłyną...

Ignaś tego wieczora nie mógł przystąpić do ojca, bo X. Prandota i Genia przez parę godzin siedzieli u niego a Fujara im rozmaite błazeństwa wyprawiał. Nazajutrz rano Zaklika był zajęty gospodarskimi sprawami, bo już się przygotowywano do żniwa. Dopiero po śniadaniu zaprosił się na kawę do ojca, papierosy z nim palił i o rozmaitych

rzeczach rozmawiał. Zaklika był w doskonałym humorze i żartował sobie z niego, że się na miejskiego panicza wychował i gospodarstwo go wcale nic nie obchodzi. Ignas bronił się tem, że jeszcze jest młody, że jeszcze nie ma celu życia przed sobą, że nie ma dla kogo pracować, ale nabrał przy tem otuchy i odwagi, bo zdało mu się, że ojciec mu we wszystkim słusznosc przyznaje. Zaczem wziął Boga na pomoc i rzekł z wesołym uśmiechem na twarzy:

— Chciałbym coś papie powiedzieć a nie wiem, od czego zacząć.

— Zaczynj od końca, — odpowiedział mu ojciec, — to zawsze najlepiej

— Więc powiem papie, że Flora, mnie nadzwyczajnie zajęła i zdaje się, że gdybym przeszedł wszystkie salony całego świata, tobym nie znalazł panny, któraby mi lepiej przypadła do serca.

Ojciec spojrział uważnie na niego a potem spytał:

— I chcesz się z nią żenić?

— Zastanawiam się nad tem, ale nie wiem, jak się to papie podoba.

— Nimbym ci odpowiedział, musiałbym i ja nad tem się zastanowić, bo przyznam ci się, żem o tem nie myślał.

Tu Ignasiowi troszeczkę się twarz przeciągnęła, lecz mówił dalej:

— Ona wprawdzie nie ma majątku, rodem także nie może z nami się równać, ale czy to na tem szczęście zależy? Czy papa widzi w tem jakie przeszkody?

Zaklika odpowiedział mu na to poważnie, ale z dobrego serca:

— Ja majątku przy ożenieniu nigdy nie biorę w rachubę. Według praw naturalnych mąż powinien żywić żonę,

nie żona męża. Do rodu także nie przywiązuje wagi; przecież nie jestem Firlejem. Ale za to rozumiem, że rodzinę, której córkę się bierze za żonę, należy zawsze wziąć bardzo uważnie na oko, bo dziewczyna wnosi zazwyczaj to wszystko w dom swego męża, czego się nauczyła od swoich rodziców. Owóż o rodzinie Balcerów ja nie mam dokładnego wyobrażenia. Matki wcale nie znałem. Ojciec był niezawodnie jednym z najuczciwszych ludzi, o których się bliżej otarłem, ale mimo to brakło mu charakteru. Po ostatnim pogromie zrospaczył o wszystkim i zaparł się tych wszystkich przekonań i uczuć, które były treścią jego całego życia: tacy ludzie nie mają w sobie żadnej moralnej podstawy. Zmiana zapatrywań się na sprawy bieżące jest często obowiązkiem rozumnego człowieka; gdyby człowiek w praktyce życia swoich opinii nie zmieniał, to postęp stałby się niemożliwym: ale kto swoje zasadnicze wierzenia i przekonania, kto swoje własne ideały zmiął, podeptał nogami i z pogardą odrzucił od siebie, ten postąpił tak samo, jak gdyby swoją rodzoną matkę sprzedał za kawałek rżanego chleba. Prócz tego nałykał się za granicą rozmaitych naukowych teorii, których nie strawił a mimo to według nich urządził dalsze swe życie. Te fatalne obłądki nie mogły nie wywrzeć wpływu na jego dzieci. O jego syna niema nawet co pytać: to jest człowiek bez czci i wiary a do tego fanatyk, daj mu Boże, ażeby nie skończył swojego życia w więzieniu albo na szubienicy za zbrodnię, o których będzie wprawdzie rozumiał, że je popełnił dla zbawienia ludzkości, ale które pomimo to będą pospolitemi zbrodniami. Mieć takiego szwagierka nie może być rzeczą ponętną. Flory nie znam. Przyznaję ci chętnie, że to jest dziewczyna niepospolicie piękna, ukształcona,

rozumna, z silną wolą i charakterem, z tych wszystkich względów i ja mam dla niej szczerą sympatię: ale nie znam wcale jej strony moralnej. Z konwersacyi pobieżnych, jakie z nią miałem, zdawało mi się czasami, że zna życie z tej strony, z której panna go znać nie powinna: ale nie wydaję mojego zdania, bo rzeczy tej nie badałem gruntownie. Była studentką medycyny, w tym zawodzie musiała się z konieczności pozbyć tego uczucia, które nazywamy sromem dziewiczym, a oprócz tego w tym towarzystwie, w którym żyła, mogła się wielu rzeczy ze słyszenia dowiedzieć a niekoniecznie z własnego doświadczenia. Nie wydaję zatem mojego zdania, ale pojedę do niej, rozgadam się z nią, przeprowadzę auskultacyę sumienia — a potem ci powiem, co w niej siedzi.

Na taką odpowiedź Ignas nos spuścił na kwintę: nie dla tego, aby się tej auskultacyi obawiał, bo on był przekonany, że Flora jest ideałem moralności i wszelakiej zacności i żadne badanie jej duszy najmniejszej skazy na niej nie odkryje, ale dlatego, że ojciec puszcza tę sprawę w od- wlokę i Flora nie będzie z tego kontenta. Ojciec to zauważył i zaczął mówić w ten sens, że ożenienie się jest najważniejszym aktem całego życia, że wprawdzie instynkt czasem lepiej prowadzi, niżeli wszystkie badania i rozumowania, wszelako, jeżeli można, to zawsze lepiej się zastanowić, — ale wtem stary Firlej przyjechał.

Zaczem Zaklika wyszedł przeciwko niemu, powitał go jak najserdeczniej, posadził go na najlepszym fotelu, ofia- * rował mu cygara i papierosy, —» ale zarazem spostrzegł, że Ignas zwiądl jak powismo, ledwie kilka słów do Firleja przez zęby wycedził i wyszedł. Ojciec zatem przeprosił

Firleja i wybiegł za nim, dopadł go w trzecim czy czwartym pokoju, wziął go za rękę i rzekł:

— Słuchaj Ignaś, obawiam się, żeś mnie nie dobrze zrozumiał. Wiedz-że o tem, że mnie nigdy ani na myśl nie przyjdzie, przeszkadzać ci do szczęścia, jak ty sam je sobie ułożysz. Zresztą za siedm czy ośm miesięcy dojdiesz do pełnoletności, więc zrobisz sobie co zechcesz. Ale tymczasem ja przecież mam obowiązek czuwać przynajmniej nad tem, abyś tę drogę, na którą wstępujesz, widział jasno przed sobą. Ograniczam zatem moją wolę do minimum obowiązków ojcowskich. A nad to wszystko przecież ci sam powiedziałem, że wcale nie jestem uprzedzony przeciwko Florze. Mam tylko pewne skrupuły, lecz jestem pewny, że się rozprósza według twego życzenia...

Słyszając to Ignaś, musiał sam przyznać, że lepszego ojca niemasz na świecie. Serce mu uderzyło, łzy mu się zakręciły w oczach, pocałował ojca w ramię i wybiegł w dziedziniec, aby sobie kazać natychmiast zaprzęgać*

Siedząc w powozie rozmyślał nad tem, co się stało. Miał jakieś ciemne przeczucie, że ta zwłoka jest niepomyślną, bo wśród zwłoki mogą zajść jakieś nieprzewidziane wypadki: ale sobie przypominał, że ojciec sam się przyznaje do sympatyj dla Flory a więc te tam badania to czysta formalność. Miał także jakąś myśl instynktową, że powinienby Florę uprzedzić, że ojciec chce badać jej uczucia moralne: ale niebawem przyszedł do przekonania, że byłoby to obrażającym dla Flory, gdyby jej to powiedział. A wreszcie obawiał się jej niecierpliwości...

Zaczem kiedy zajechał na Balcerówkę i obaczył Florę czekającą go na werandzie, poskoczył ku niej, porwał ją za obydwie ręce i zawołał:

— Wszystko dobrze! Ojciec, jak każdy ojciec, który o tem nie myślał, chce się więcej zbliżyć do ciebie, zapewne przekonać się, czy mnie kochasz istotnie, prawdopodobnie jutro albo po jutrze sam tutaj przyjedzie, ale to są tylko formalności wynikające z towarzyskich zwyczajów; zresztą on sam jest pełen uwielbienia dla ciebie i mówił tak, jak gdyby sam kochał się w tobie...

Flora była uszczęśliwioną, siedzieli obok siebie na werandzie aż do samego obiadu, trzymali się ciągle za ręce, patrzali sobie w oczy z błogim na twarzach uśmiechem, usta im się nie zamykały, ich dusze całkiem się złąły ze sobą — i był to dzień najszczęśliwszy w ich życiu*

Tymczasem, w Zaklikowie, ojciec Ignasia i stary Firlej prowadzili ze sobą przyjacielską rozmowę. Zaklika był rostargniony cokolwiek. Temu najlepszemu ojcu, pełnemu najdelikatniejszych uczuć dla wszystkich, ciężło przede- wszystkim na sercu, że swemu własnemu synowi sprawił rzeczywistą zgryzotę. Jeszcze daleko przykrzej mu było dowiedzieć się, że Ignas zakochał się do tego stopnia w Florze: nie było to małżeństwo, jakie marzył dla swego syna. Te warstwy społeczne, które się zaparły wszystkich ideałów dawniejszych pokoleń a szukały podstaw dalszego bytu wyłącznie w realizmie, w naturalizmie, w materyalizmie, były mu wstrętne do obrzydzenia. Widząc swojego syna wskakującego obydwoma nogami właśnie w te warstwy, niepomalu tem się zasmucił: potrzeba mu było cokolwiek czasu, ażeby z tego nieprzyjemnego wrażenia ochłonął.

Ale i Firlej, choć jak zawsze pogodnego humoru, był dzisiaj poważniejszym, niżeli bywał zazwyczaj w swych konwersacjach z Zakliką. Zdawało się nawet, jak gdyby

uroczyście był nastrojony. Rozmawiał po przyjacielsku

O rzeczach potocznych, ale widać było po nim, że jego myśli były gdzieindziej. Nareszcie poprawił się w krześle

I przemówił w ten sens:

— Moj kochany Czesławie, chciałbym z tobą pogadać o ważnych rzeczach i proszę cię o tę szczerość bez żadnej ogródki, jaka pomiędzy nami od lat niepamiętnych istnieje. Uprzedzam cię z góry, że nie przyjeżdżam z de-klaracją tylko z komunikacją i nie po oficjalną odpowiedź, tylko w celu wymiany uczuć i myśli, jestem bowiem zdania, które i ty bez wątpienia pochwalisz, że lepiej to zrobić zawczasu, niżeli czekać bezczyinnie tej chwili, w której porzucenie powziętego zamiaru pociąga za sobą przykrości i żale. Młodzi zazwyczaj nie myślą o tem, ale od tego mają rodziców, aby o tem myśleli. Ja i moja żona uważamy już. od pewnego czasu, że nasz Frydrusz coraz więcej zajmuje się Genią. Staraliśmy się go ostrożnie wybadać i "znaleźliśmy, że jest nią nawet daleko więcej zajęty, niżeliśmy przypuszczali. My z naszej itrony nie potrzebowaliśmy się długo nad tem zastanawiać, bo znamy Genię i powiem ci bez komplimentu, że jesteście dla niej pełni uwielbienia. Moja żona powiadała mi wczoraj, że gdyby miała córkę i gdyby się jej udało tak ją wychować, toby wybudowała drugi klasztor panu Bogu na podziękowanie. Sądzimy zarazem, że i Genia ma dla nas szczerą sym-patyę i że dobrzeby jej było pomiędzy nami. Ale nie wiemy, co ty o Frydruszu rozumiesz i właśnie o tem chciałem z tobą pomówić, ale proszę cię, powiedz mi twoje zdanie otwarcie: jużci ja go kocham jak ojciec, ale wiem dobrze, że doskonałości nie masz na świecie...

— Frydrusz, — odpowiedział mu na to Zaklika, —

powiem ci to także bez komplimentu, ma niektóre takie zalety, które się nie codziennie znajduje u dzisiejszej młodzieży, ma ukształcenie, może cokolwiek jednostronne, mianowicie pod względem widoków ogólnych i zasadniczych, ale obszerne, przynajmniej wie dobrze, co się dziś dzieje na świecie. Ma przytem charakter, może czasem zanadto absolutny, ale za to stoi dobrze na własnych nogach, co się dziś także nie codziennie spotyka. - O jego uczciwości nie wątpię, jest on nawet sam jej świadomością przejęty, przynajmniej tak, jak ją rozumie. Co do administracji majątku, to sądzę...

— Oh! co do majątku, — przerwał mu Firlej z pewnym zadowoleniem, — to o to chwała Bogu nie potrzebujemy się troszczyć. Byliśmy dotąd czasami w pewnych kłopotach, ale ten las, cośmy go na Lubomirskich wygrali, zmienił zupełnie stan rzeczy. Wyobraź sobie, że ja sam nie miałem pojęcia, ile ten las wart na pieniądze. Przypuszczałem, co najwięcej, dziesięć tysięcy dukatów, tymczasem już kiedym sam go objechał, byłem zdziwiony nieprzeliczoną ilością dębów niesłychanej grubości a zarazem i drzew szpilkowych jak wieże, wszystko towar masztowy; teraz zaś, kiedy wysłałem tam inżynierów, ażeby zrobili inwentarz i detaxację, nie wiem jeszcze dokładnie, ale jestem pewny, że przyniesie ze trzy kroć stotysięcy rubli — a jeszcze mi ziemia zostanie na kolonizację. Oh! co do majątku, — zakończył Firlej, podnosząc głowę do góry, — to za to ci ręczę, że na całej Firlejowszczyźnie ani groszyka długu nie zostanie a Frydrusz będzie miał ziemi daleko więcej, niżeliśmy jej mieli w najlepszych czasach.

— Bardzo z tego się cieszę, - zawołał na to z szczerego serca Zaklika, — w tych czasach, gdzie tyle ziemi

z rąk naszych wychodzi, to jest balsam na nasze rany, jeżeli jest ktoś, co jej sobie przysparza.

Zaczem Firlej był bardzo uradowany i spytał go śmiejąc:

— Więc cóż powiadasz?

— Wszystko dobrze i pięknie; — odpowiedział mu Zaklika, uśmiechając się sam do siebie, — ale ja tak sobie myślę, że gdyby tych dwoje ludzi się z sobą pobrało, to dzieci ich już chyba w rewerendach rodzić się będą...

Na to Firlej się wzdrachnął, jak gdyby byka w nos dostał, i zrazu nie wiedział wcale, co by miał odpowiedzieć. Ale wróciwszy do przytomności, zaczął:

— Wiesz... mówiąc pomiędzy nami, przecie znasz moje opinie, Frydrusz jest bardzo religijny, to prawda...

— On nie tylko jest religijny, — przerwał mu Zaklika, — ja religijności nikomu nie biorę za złe. Owszem,, wolę sto razy ludzi religijnych, niżeli takich poganów jak Balcer. Ale on ze swojej religijności robi osobne rzemiosło, on się posługuje religiją do celów politycznych, on jest sekciarz — a to jest całkiem inna historia. Słuchaj mnie, Firlej, my nigdy się nie podniesiemy z naszego upadku, bo zawsze się gubimy w ostatecznościach. Przez lat przeszło trzydzieści mieliśmy demokrację, klóra była skrajną i ekskluzywną, wiesz dobrze, ileśmy krwi za nią wylali i o ile jej niepowściągliwe roboty nas umniejszyły: dzisiaj gdy z konieczności nastąpiła reakcja, mamy arystokrację, równie skrajną i ekskluzywną, ta nas wprowadzie do bezowocnego przelewu krwi nie poprowadzi, rad i z uznaniem jej to przyznaję, ale nas zamrozi, ogłupi i nasz naturalny rozwój znowu na kilka pokoleń powstrzyma. Tamci ciągłymi upustami krwi skurczyli nam ciało, ci kępując

nasze władze moralne, kurczą nam ducha: do czegoż na takich drogach dojdziemy?

Firlej był bardzo zakłopotany i mówił:

— Tak... znasz moje opinie, nie masz wątpienia, że do pewnego stopnia masz rację: ale to polityka.

— W społeczeństwach, mój drogi, — rzekł mu na to Zaklika, — które własnego bytu nie mają a do niego dążą, każda najdrobniejsza kwestya ma polityczne znaczenie. I tak być powinno.

— Otóż powiem ci, — rzecze mu Firlej, już z widoczną świadomością tego, co mówi, — że o tem różne są zdania. Jesteśmy obadwa uczciwi ludzie, ty chcesz jaknajle- piej i ja jaknajlepiej, ale w tym punkcie nie zgadzamy się z sobą. Zapatrywać się na każdą czynność naszych sąsiadów ze stanowiska politycznego, to znaczy p© prostu mię- szać się w sprawy sąsiadów — a jakież my mamy prawo do tego? Jakoż ja jestem przekonany, że gdyby każdy z nas robił to, co zrobić może w swoim zakresie, a nie mieszał się w to, co robią jego sąsiedzi, to byłoby nam wszystkim z tem daleko lepiej. I naszemu rozprężonemu społeczeństwu także byłoby lepiej, bo siły społeczeństwa wzmacnia i sprzęga się pracą a nie krytyką. Wierz mi, więcej dodatniej pracy a mniej krytyki, toby nam wcale nie zaszkodziło...

Tu Zaklika zaczął się trochę kręcić na krześle, ale Firlej już się czuł panem swojej wymowy i mówił dalej:

— A co do Frydrusza, to ci powiem otwarcie, że i ja nie wszystkie jego przekonania pochwalam. My jesteśmy wiernymi synami kościoła, ale powinniśmy na zawsze zostać tylko synami. Ojcami kościoła są inne osoby i nie naszą rzeczą jest, ani wdzierać się w ich urzędy, ani im

się na adjutantów narzucać. Kto to robi, może nie umie swej gorliwości umiarkować, ale żeby to zaraz było sekciarstwem. ..

Tu Zaklika zerwał się z krzesła, chwycił Firleja za obydwie ręce i zawołał ze szczerem uczuciem:

— Ale mój Firlej, nie bierz-że zaraz wszystkiego, com ci powiedział, au pied de la lettre. Może i ja nie umiem mojej gorliwości miarkować... A co do Frydrusza, to bądź przekonany, że ja go wcale za nisko nie cenię. Ma on swoje słabości, ale daj nam Boże, ażebyśmy całej naszej młodzieży nie mieli więcej do zarzucenia, niż jemu. Kto tak stoi na własnych nogach jak on, ten już i za to zasługuje na wyszczególnienie, są inni, którzy ani dziesiątej części jego energii nie mają..

Na to Firlej się trochę rospogodził, ścisnął go za rękę i chciał mu dziękować, ale on mówił dalej:

— A co do tego, czegoś się chciał odemnie dowiedzieć, to ci także odpowiem otwarcie. Ja moim dzieciom mojej woli wcale narzucać nie myślę. Niech każde z nich sobą rozrządzi wedle swego własnego upodobania. Ja tylko nad tem czuwać będę, ażeby które z nich, bądź skutkiem niecierpliwości, bądź brakiem doświadczenia, jakiegoś wielkiego głupstwa nie zrobiło. Frydrusz i Genia znają się dopiero od kilku miesięcy, niech się ze sobą lepiej poznają, ty się rozmówisz z Frydruszem, ja się rozmówię z Genią a potem obaczymy... Firlej dziękował mu za dobre słowo — a wtem jacyś goście nadjechali z którymi Firlej niechętnie się bratał. Zaczem zaraz Zaklikę pożegnał, Zaklika chciał go wyprowadzić na ganek, ale on tego nie dopuścił, mówiąc:

Zaklika. T. I.

— Proszę cię, zostań z twoimi gośćmi, ja jeszcze pójdę powiedzieć dzień dobry Geni.

Zaklika wrócił!, ścisnąwszy go kilkakrotnie za rękę — a on wyszedł na tylną werandę, skąd prowadziły schody na pierwsze piętro. Ale na werandzie Genia przyskoczyła ku niemu, porwała go prawie konwulsyjnie za rękę i zapytała drżącymi ustami:

— 11 a refus ?

— Mais non, —¹ odpowiedział jej Firlej z wymuszonym uśmiechem na twarzy, — pas du tout, au contraire... Poczem przez chwilę rozmawiali ze sobą półgłosem. Genia mówiła niespokojnie, rumieniła się a czasem jej usta się zacinały; widać było, że ta panienka miała daleko więcej energii i temperamentu, niżeli się na oko zdawało: ale potem się uspokoiła i rzekła głosem, w którym się miłość dziecięca wcale nie przebijała:

— On oszalał na Tarłę. Trzeba mu wybić z głowy tę tokadę...

Poczem Firlej długo jej coś wykładał i całkiem ją uspokoił. Genia rzekła nareszcie:

— Eh hien, nous attendrons.

Zaczem Firlej pożegnał ją bardzo serdecznie, całując ją w głowę, wyszedł na główną werandę, wszedł do powozu i odjechał.

Jechał niby uspokojony, ale w głębi duszy był głęboko zirytowany. Jaki? Firlej oświadcza się o Zakli- czankę — a Zaklika nie rzucił mu się w ramiona i nie wyznał ze łzami w oczach, że jego córce otworzyło się na ziemi królestwo niebieskie? — To mu się nie mogło pomieścić w głowie. Jużci Zaklikowie to dobra szlachta, starożytna i niegdyś sławna, inaczej byłby wcale o niej nie

myślał, ale od dawna to tylko szlachta — a to przecie Firleje! Jak ten świat teraz zmienił się, jak wszystko idzie w poniewierkę, co dawniej miało poszanowanie, i jakie pomiędzy tymi ludźmi się rospanoszyło zuchwalstwo!

Z takimi smutnymi myślami zajechał przed pałac, gdzie go żona i syn z niecierpliwością czekali.

Jakoż zaraz zasiedli do wspólnej narady i Firlej opowiedział im dokładnie wszystkie szczegóły swojej wyprawy: ale to, co jego tak mocno bolało, nie sprawiło na nich tak bolesnego wrażenia. Pani Firlej owa się trochę uniosła, ale z innego powodu.

— Tarło! Tarło! — wołała, — to jest czystatokada, jak dobrze powiada Genia. Nikt go nie zna w całym sąsiedztwie, kto wie z jakimi ludźmi on żyje a nawet Bóg wie, jaka jego jest konduita. A potem, Genia go nienawidzi, przecież jej zmuszać nie będzie, więc do czegoż-to podobne takie niedorzeczne prpjekty?

Fr?drusz zaś wysłuchał ojca spokojnie a zapytany o zdanie, odpowiedział równie spokojnie:

—• To jest tylko nieprzyjemny epizod, nic więcej. Zarzut o sekciarstwo jest głupi. Każde nowe stronnictwo, nim się należycie rozwinie, ma na sobie pozory sekty. Swe- tonijusz, mówiąc o pierwszych chrześcijanach za czasów Nerona, nazywa ich genus hominum superstitionis novae ac maleficae, ale to chrześcijaństwu wcale nie przeszkodziło opanować świat cały. Pomiedzy naszą szlachtą są jeszcze tam i sam ludzie, którym się zdaje, że bez nas mogą coś znaczyć. Szlachta była po wszystkie wieki tylko masą posłuszną woli magnatów, bo tylko przy nich i przez nich mogła jakąś rolę odgrywać. Tak jest i teraz. A komu to nie na rękę, dać się przez nas przygarnąć z miłością i do-

brą wola, ten niech idzie do demokratów, ci go przygarną terroryzmem i absolutyzmem i dopiero tam nie będzie nigdy nic znaczyć, bo tam go tylko tak długo będą uważać, jak długo będą go potrzebować a potem jak starą miotłę wyrzucą na śmiecie. Ja się o Zaklikę wcale nie troszczę. Przyjdzie czas, gdzie i on przejrzy, że u nas jest siła tylko na krańcach a w środku próżnia — a jeśli nie przejrzy, i na to będziemy musieli się zgodzić. Ja zatem powiadam z Genią: Nous attendrons.

• *

*

Nazajutrz Zaklika pojechał na Balcerówkę. Wiedząc o tem, że Ignas zazwyczaj przez całe popołudnie tam siedzi, kazał wcześniej dać obiad i zaraz po obiedzie wsiadł na koń, dał koniowi ostrogę i zniknął z przed ganku. Były to właśnie najdłuższe dni w roku, zaczęło słońce jeszcze stało dosyć wysoko, kiedy swego konia osadził przed werandą Balcerów.

Balcerowie także byli już po obiedzie. Balcerek kręcił się po dziedzińcu, gdzie jakieś wozy ładowano przed magazynem fabrycznym — a Flora siedziała na werandzie

1 na ten ruch ludzi bezmyślnie patrzyła. Kiedy spostrzegła jeźdźca w dalekim polu, sunącego kłusem od Zaklikowa ku Balcerówce, serce jej uderzyło z radości, bo była pewną, że to jest Ignas: ale kiedy poznała Zaklikę, to serce jej uderzyło jeszcze daleko mocniej a twarz jej się rozpromieniła jak słońce wschodzące. Ignas jej prawdę powiedział, jak skoro ojciec sam do niej przyjeżdża: jaki-to dobry człowiek ten Zaklika!

Flora wpadła natychmiast w humor złoty, w tę ra

dość prawie dziecinna, w której wszystkie nerwy się śmieją a której nikt opanować nie może, i ściskając mu rękę, trzymała ją w swojej ręce przez kilka sekund, wyrażając mu tym sposobem tę wdzięczność, której nie mogła mu wypowiedzieć ustami.

Zaklika chciał zostać z nią na werandzie, mówiąc, że wieczór tak piękny, więc może lepiej jest zażyć świeżego powietrza; ale ona pociągnęła go ze sobą do salonu.

— Z tej werandy widać tylko fabryki i stajnie, — odpowiedziała mu, prowadząc go wewnątrz domu, — z naszego salonu prowadzą szklane drzwi także na małą werandę, która wychodzi na ogród.

Tak weszli do salonu, skąd dwoje szklanych drzwi było otwartych na mały ogródek warzywny. Flora się śmiała, mówiąc:

— Ale jaki to ogród! Widać w nim tylko kapusty i pomidory. Kazałam przekopać kilka grządek i zasadziłam trochę kwiatów, ale za późno, tego roku już nic z nich nie będzie.

— Ale będą kapusty i pomidory na zimę, — mówił Zaklika, — to pożyteczniejsze. Tylko zdaje mi się, że ten salon nie jest zbudowany na zimę. Za dużo tu okien i bardzo lekka budowa, we Francji a nawet w niższych położeniach w Szwajcaryi możnaby w nim zimę wytrzymać, ale nasza zima drwi sobie z takich budynków.

— Ja już mam niejaki wyobrażenie o tem, — odpowiedziała mu Flora, — jak tutaj zima wygląda. Trzeba być • dzie pomyśleć o innem zaopatrzeniu domu, jeżeli, co nie daj Boże! będę musiała zimę tutaj przepędzić. Ubodzy ludzie muszą wszędzie podleść, bo nie mogą przeskoczyć. Ale bogaci? jak pan. Prawda że pałac w Zaklikowie opala

się jak łaźnia parowa, ale przecie muszę panu się dziwić, że pan tutaj zimę przepędza a nie w Wiedniu albo w Paryżu.

— Gdybym mógł zimę przepędzać w mieście, — rzekł na to Zaklika, patrząc jej w oczy, — to musiałbym dać pierwszeństwo Warszawie.

— Warszawa? — odpowiedziała mu Flora, — bawiłam teraz parę tygodni w Warszawie i przypatrzyłam się zbliska wszystkiemu. Na pierwszy rzut oka to niby miasto bardzo wesołe, ale kto w niem czas jakiś pomieszka, ten otrzymuje inne wrażenie. Warszawa mnie się wydaje jak gdyby jakieś ogromne ognisko, napelnione żarzącymi węglami, na które wszakże z żelaznej rury bez ustanku woda się leje: pod tym strumieniem wody żar ciągle kipi i syczy i pryska i wyrzuca ze siebie kłęby duszącej pary, która atmosferę napelnia i oddech dławi nam w piersiach. Jabym nie chciała mieszkać w Warszawie. Ale dlaczego pan musiałbyś koniecznie dać pierwszeństwo Warszawie?

— Są obowiązki, rzekł Zaklika, — które spełniać potrzeba, chociaż są przykre.

— Obowiązki? — zawołała śmiejąc się Flora, — panowie wszyscy jeszcze w romantyzmie siedzicie po same uszy. Ja romantyzmu nie potępiam z zasady. Jego swoboda myśli, nieokiełzana fantazja, głębokie uczucia, silne namiętności, wzniosłe dążenia, pogarda dla tego nędznego życia w celu spełnienia jakiejś idei, to wszystko mi się bardzo podoba. Wolę romantyzm, który wszystko waży ażeby urzeczywistnić jakiś ideał, który życie niesie w ofierze dla swego szczęścia, jak je sobie wymarzył, który nawet zbrodnię popełni dla dogodzenia swojemu pragnieniu, swojej namiętności albo swojej idei, niżeli ten głupi materjalizm, zimny jak

lód, pelzający po ziemi, egoistyczny jak zwierze, któremu się zdaje, że wszystko wie a nic nie wie a którego ostatecznym celem, jeżeli go rozbierzemy do naga, jest po prostu codzienny kawałek chleba. Ale życie człowieka jest celem. Życie to sobie zachmurzać, zakwaszać, zatrwać, li tylko dlatego, że się do jakiegoś społeczeństwa należy, że to społeczeństwo ma jakieś niespełnione pragnienia, że ma jakieś ideały, za którymi goni od wieka, ale ich nie może dogonić, bo nie ma siły po temu, że może cud jakiś się stanie* który ziści te ideały... na to się nigdy nie zgodzę, — to już nie jest romantyzm, tylko jakaś ideologia, której ja nigdy nie zrozumieję, bo nie mam zmysłu po temu. A tymczasem życie jest, które też należy utrzymać. I to jest naj- pierwszy z naszych obowiązków, który też nad wszystkimi innymi panuje, bo je wszystkie sobą pochłania. Czyż to nie prawda? czy nie mam racji? A wszakże i Goethe, który przecież się znał na ideałach, potępił wszystkie teorie jako mgły szare i powiedział: “Grrun nur des Lebens goldener Baum!”^a

— Ale to diabeł powiedział, — rzekł na to z uśmiechem Zaklika.

Tak? — zawołała Flora, — czy to Mefistofeles mówi? Może być, tego już nie pamiętam. -Ale gdyby w Goethe- m dobrze pogrzebać, to możnaby znaleźć, że i on także mówi to samo a może jeszcze i więcej.

Zaklika wyteżył myśl przez jedną sekundę i rzekł:

— Ja wiem, o którym wierszyku pani myśli: “Essen, schla fen, Kinder machen”...

Na to Flora roześmiała się głośno, klasnęła w ręce i odwróciła się na obcasiku swego trzewika jak wrzeczono od niego, aby mu w oczy nie patrzeć. Zaklikę bardzo ba

wił jej humor połączony z tak niezwykłą wymową, ale że nie chciał jej przekonywać, bo to nie było jego celem na teraz, więc tylko niejako z obowiązku sumienia dodał" te słowa:

— Ale kto zna Goethego, ten powinien i Szyllera czytywać a tam znajdzie na to odpowiedź.

Milionen beschaefligen sich, dass die Gattung bestehe, Aber durch Wenige nur pflanzet die Menschheit sich fort,

— Ja i na to się zgadzam, — zawołała Flora. Ludzkość powinna się także duchowo rozwijać. Tylko nieustającą kulturą ducha może ona kiedyś doprowadzić do tego, że wszyscy będą zadowoleni i szczęśliwi. Ale ludzkość składa się z indywidualiów, które żyć muszą i powinny przedewszystkiem starać się o to, aby mogły żyć jaknajlepiej. A najlepiej żyć można tylko tam, gdzie się jest zadowolonym ze siebie i ze swego otoczenia. Otóż pytam się pana, czy można być zadowolonym na Balcerówce?

— Otoczenie nicpotem... rzekł Zaklika, patrząc na nią uśmiechnionymi oczyma.

— Ale nie! wcale przeciwnie, — poderwała mu Flora, — otoczenie do zadziwienia przyjemne i zajmujące, bez komplimentu. Zaklików, Firlejów i tyle innych dworów dokoła. Ale ta Balcerówka! Ten kolejowy dworzec na stepie, te kopalnie i fabryki naokoło i ten lud, ukochany, ale taki głupi i zawsze taki obdarty. Tu w lecie melancholija człowieka opada a cóż dopiero w zimie?

— Więc na zimę do miasta, — rzekł Zaklika, egzaminując ją dalej, — do Warszawy niewarto, bo tam dusząca para dławi oddech w piersiach, co zresztą i ja pani

przyznaje. Ale w Genewie oddecha się czystem, alpejskiem powietrzem...

— Genewa? — zawołała Flora, — to jest najniezno- śniejsze gniazdo republikańskich Filistrów, jakie kiedykolwiek widziałam w życiu. Za to panu ręczę, że moja noga więcej tam nie postanie...

Zaklika śmiał się w duszy z tej werwy, z jaką Flora przed nim się spowiadała, ale to leżało w jej charakterze. Nie miała tego starannego, macierzyńskiego wychowania, które już w dziecku zakłada fundamenty towarzyskiego taktu i rozsądku, a miała za wiele temperamentu, toż kiedy była w dobrym humorze, dość ją było potraścić, aby się ze swemi najskrytszemi myślami odkryła. Zaklika mówił dalej:

— Wiedeń jest zabawniejszy.

— Wiednia nie znam, — odpowiedziała mu Flora. — W przejeździe widziałam tylko fiaków i wieże św. Szczepana — i jakiś głupkowaty uśmiech na twarzach wiedeńczyków? Ale z tego, co mi Genia opowiedziała o Wiedniu, zdaje mi się, że jest to miasto także nie bardzo zabawne. Pozostało tam z dawnych czasów jeszcze dużo chińszczy- zny. Arystokracja średniowieczna a mieszczaństwo, niby nowożytnie, ale składające się z takich ludzi, którzy także niczego więcej nie pragną, jak dostać się między mandarynów. Żaru tam nie ma, woda się na ogień nie leje, ale mimo to przecie coś ciągle kipi i syczy i pryska, bo tam religije, wyznania, polityczne systemy i narodowości ciągle się tłumią ze sobą. Nie wiem, ale nie sądzę, ażeby tam można używać życia spokojnie.

— Więc Paryż? — zapytał Zaklika.

— Ah! Paryż! — zawołała Flora z zapalem, — to jedyne miasto na świecie. Kto tylko raz w życiu był w Pa

ryżu, ten musi się dziwić, że ludzie wożają po innych miastach; kto chce świat poznać, ten powinien kazać zawinąć się w koce i do Paryża przerzucić, tam znajdzie wszystko.

— Dlaczego w koce? — zapytał śmiejąc się Zaklika.

— Ażeby nie widział tych wszystkich miast niemieckich po drodze, które są tylko lichą imitacją Paryża.

— Tegobym nie powiedział — odpowiedź jej Zaklika, — są miasta w Niemczech, które mają swój odrębny i bardzo zajmujący charakter. Ale to prawda, że im wszystkim do" Paryża bardzo daleko. Francuzi umieli zgromadzić u siebie' wszystkie osobliwości całego świata i to w jaknajlepszym gatunku. U nich można widzieć wszystkie kraje: Egipt i Chiny, Japonię i Indye. Ale co na daleko większą zasługuje uwagę, to to, co jest ich własne i co inteligencją i pracą wydobyli z samych siebie. Jakie tam zbiory, jakie muzea, jakie biblioteki, jakie galerie obrazów, ile tam instytutów naukowych, ile zakładów dobroczynności...

— A jaki ruch i jakie życie, — przerwała mu Flora, — jakie twarze wesołe, jak widać że wszyscy są zadowoleni, jak nawet praca wesoło im idzie od ręki, jakie tam dowcipy a nawet i śpiewy słyhać po warsztatach...

— Jaka muzyka i jakie tańce, — dodał Zaklika.

— Oh! te tańce! — przerwała Flora.

— Na przykład w Mabilie...

— W Mabilie, — zawołała Flora, — jak się to widzi, to aż w głowie się kręci...

A to mówiąc, zrobiła ruch prawą ręką i nogą, ruch prawie niedostrzegalny, tylko jak uderzenie pulsu, ale Zaklika go dostrzegł i dodał:

— A potem te kolacye dans les cabinets particu- liers...

— Ah! tego nie znam, — rzekła Flora, — ale ma to być niesłychanie zabawne...

— Zwłaszcza kiedy już dobry humor całe towarzystwo ogarnie, — mówił dalej Zaklika, patrząc jej w oczy, — i wszystko się do^u góry nogami przewróci, kiedy już szampańskie pod stołem a nogi na stole...

— Nigdy tego nie widziałam a tak chciałabym widzieć ...

— Voyons! — zawołał wtedy Zaklika, — vous n'avez jamais soupe dans un cabinet particulier ?

— Non, malheureusement, — odpowiedziała mu Flora, — byłam tylko raz w takim gabinecie w Cafe anglais, kiedy mój ojciec dawał obiad dla kolejowych inżynierów, swoich kolegów. Przyszli z żonami i córkami, po obiedzie grano na[^] fortepianie i tańczowano cokolwiek, było bardzo wesoło, mais ce n'est pas ça...

— Non, ce n'est pas ça, — rzekł Zaklika a oczy jego jakimś dziwnym blaskiem świeciły. Tu Flora się spostrzegła, że może mówi za wiele, i spytała go nagle:

— Ale skąd pan wiś o tem, co się dzieje przy takich kolacyach ?

— Kto chce poznać to życie, ten musi widzieć wszystko własnymi oczyma, — odpowiedział jej Zaklika.

— Że pan tam czasem zabłądził, — rzekła Flora, — to jeszcze rozumiem, wdowiec i w starszym wieku. Ale mnie się zdaje, że i Ignas zna te feabineciki.

— Dziwiłoby mnie, — odpowiedział jej Zaklika, — gdyby ich nie znał wszystkich jak własnej kieszeni.

Florze się na to twarz cokolwiek zmieniła, ale rzekła wesoło:

— Widzi pan! oto skórka na buty. A przedemną udaje...

A wtem wszedł służący i powiedział Florze, że pan pólkownik po przed dwór przejeżdżał, przeproszał, że nie mógł wstąpić, bo mu pilno było do domu, ale kazał państwu się kłaniać.

Zaklika miał już dosyć tej konwersacji, zaczem rzekł:

— Ten pólkownik coś mi za często po pod dwory przejeżdża. U mnie był tylko raz jeden z wizytą, ale widziano go już kilka razy przejeżdżającego koło pałacu a nawet powiadano mi, że czasem we wsi się zatrzymuje.

Na to Flora przyłożyła paluszek prawej ręki do swego noska i powiedziała znacząco:

— Ostrożnie z ogniem. On niby stoi na czele armat rozłożonych po sąsiednich miasteczkach, ale i polityką się zajmuje...

Zaklika spojrział na nią ciekawie, ale udał jak gdyby nic i odpowiedział jej wesoło:

— To nam może być obojętnem. Ważniejszym jest to, że ten pólkownik, jak mi się zdaje, kocha się w pani.

— (Jest un imbecile, — zawołała na to Flora prawie z pogardą a potem dodała z ironicznym uśmiechem: — une poire pour la soif...

Zaklika spojrział na nią wzrokiem badawczym a ona spostrzegła się i dodała:

— Ah! pas pour moi... ja jestem jedna i niepodzielna i żadna rachuba nigdy mi ani przez sen na myśl nie przyjdzie.

— Jestem o tem przekonany od dawna, — rzeki na to Zaklika poważnie i powiedziawszy jej jeszcze kilka grzeczności, pożegnał ją jaknajuprzejmiej.

Flora chciała go wyprowadzić na werandę, ale on tej deferencji jej nie dopuścił. Ona nie nalegała, bo jej utkwiała w głowie ta wiadomość, że Ignas zna tak dobrze gabine- ciki paryskie, i chciała nad tem cokolwiek pomyśleć

Zaklice zaś także utkwiała w głowie wiadomość, że pólkownik się polityką zajmuje, a nawet go trochę zaniepokoiła. Byłby był także rad nad tem pomyśleć, ale wyszedłszy na werandę, zastał tam siedzącego Balcerka, który po całodziennej pracy zatopiony był w myślach.

Słońce dopiero co zaczęło zachodzić, jeszcze dzień wielki świat obejmował, tylko na przeciwnym kresie wido- kręgu xiężyc już zaczął na niebo się wydobywać, czerwony i mglisty i daleko większy niż słońce.

Zaklika, dla zachowania przyzwoitości, siadł koło Balcerka i zaczął z nim mówić o rzeczach zwyczajnych.

— Jakże ci gospodarstwo idzie ? — mówił do niego, — już się żniwa zaczynają, jakież masz urodzaje?

— Tu, w Balcerówce, odpowiedział mu Balcer, — urodzaje bardzo małe mają znaczenie. Tu grunta daleko gorsze niż w Zaklikowie a do tego jeszcze jest ich bardzo mało. Tu się trzeba przemysłem ratować, ale co może być wart przemysł, założony i prowadzony siłą jednego człowieka? taki przemysł to istne żebractwo.

— Największe przedsiębiorstwa przemysłowe, — czy- to górnicze, czy jakiegokolwiek inne, zgoła wszystkie, które znasz a które doszły do tak wielkiego znaczenia, zostały założone i są prowadzone do dziś dnia przez jednego człowieka. Którekolwiek z nich przeszło w ręce jakiegoś stowa-

rzyszenia, albo wkrótce zbankrutowało, albo ledwie że wegetuje i bardzo słabe przynosi dochody.

— A to dlaczego?

— Bo takie przedsiębiorstwa mogą być dobrze prowadzone tylko głową jednego człowieka, bo gdzie wielu rządzi, tam nie masz jednolitej dyrekcyi, bo administracya skomplikowana drogo kosztuje a nadto jeszcze oszukuje i kradnie...

— Nie, — rzecze Balcer, — przedsiębiorstwa te dlatego mało przynoszą albo popadają w bankructwo, że są założone i prowadzone przez kapitalistów a kapitaliści nigdy nie mają nic innego na celu, jak oszukaństwo i kradzież.

— Więc jakież na to ratunek? — zapytał Zaklika z uśmiechem, — chyba że kolektywizm?

— Nić innego jak kolektywizm, ^ rzekł Balcer stanowczo. Wszystkie te przedsiębiorstwa, rolnicze, górnicze i przemysłowe, co się znajdują w rękach jednego człowieka albo towarzystw akcyjnych, to są maszyny całkiem zużyte i należące do starożytności. Są one przeciwne wszystkim naturalnym celom ludzkości — a nawet, gdybyśmy je chcieli ze stanowiska katechizmu osądzić, to musielibyśmy je także potępić. Prawo naturalne, oparte na uczuciu sprawiedliwości i zdrowym rozsądku, nie może dopuścić, ażeby jeden człowiek albo też grupa sprzysiężonych ze sobą ludzi posiadała wszystko i ażeby obok nich mieszkały dziesiątki tysięcy takich samych ludzi, ale żeby im wolno było tu mieszkać tylko pod tym warunkiem, że oni nic nigdy nie będą mieli i że przez całe życie dadzą się wyzyskiwać przez tamtych. Przecież dosyć jest mieć pięć zdrowych zmysłów, ażeby przyznać, że to jest monstrualność diabelska! — zawołał Balcer a oczy mu się przytem iskrzyły.

Zaklika odpowiedział mu na to spokojnie:

— Wyzyskiwanie pracy przez kapitał zawiera w sobie pewną niesprawiedliwość, na to zgoda ze wszystkich punktów widzenia, dlatego też nietylko wszystkie rządy, ale także i kościół tem się zajmuje. Jednak czy temu złemu można zaradzić przez assocjacje samych robotników, to jest wielkie pytanie. Bo naprzód już do samego założenia assocjacji przemysłowej albo handlowej potrzeba kapitałów, skądże wy robotnicy te kapitały weźmiecie? Potem, wszelkie przedsiębiorstwa tego rodzaju miewają złe lata i wtedy pracują ze stratą, któż więc te straty pokryje, które dzisiaj kapitaliści ponoszą? A w końcu taka organizacja pracy miałaby swoją złą stronę moralną a nawet społeczną, bo assocjacje mogą się składać tylko z ludzi stojących mniej więcej na jednym i tym samym poziomie intelligencji i mających mniej więcej jednakową energję, czyli inaczej mówiąc, tylko z samych mierności, — dla indywidualnych zdolności nie ma tam miejsca: więc cóżby się stało ? albo indywidualna wzięłyby górę nad assocjacyami i assocjacje stałyby się wkrótce dyktaturami, albo musielibyście wszystkie lepiej uzdolnione indywidualia wziąć w pęta i skazać je na bezczynność a wtedy wszelaki postęp stałby się niemożliwym. Jedno gorsze jak drugie.

Ale Balcerek na to tylko ręką machnął i rzekł:

— Panu jeszcze indywidualizm się marzy a to jest także zużyty grat, już dawno rzucony do starej skrzyni.

— Może w teorii, — rzekł na to Zaklika, — ale w praktyce jest przecie inaczej. Człowiek pozostaje zawsze ten sam, ze wszystkimi swojemi wadami i zaletami, ale ludzkość postępuje wciąż naprzód pod względem kultury

ogólnej — a ten postęp zawdzięcza nie assocyacyom, tylko indywidualom wyżej uzdolnionym od innych, które stworzyły jakąś nową ideę i miały równie wyjątkową energiję, ażeby, tę ideę w życie wprowadzić.

— Tak było dotąd, — rzekł Balcer. W dziejach ludzkości dają się spostrzegać pewne prądy duchowe, które się w głowach pewnych indywidualów zrodziły, niezawisłe od mass, i potem te massy porwały ze sobą. Tak prawdopodobnie powstały światoburców zagony, tak wojny krzyżowe, tak wielkie odkrycia i wynalazki, tak wreszcie wszystkie religije, ile jest ich na świecie. Były to epoki ciemnoty i inercyi mass, w których indywidualów potrzeba było na to, ażeby jakąś nową myśl stworzyć i w których indywidua mogły tworzyć prądy, udzielające się massom. Ale te epoki już się skończyły. Massy dojrzały, indywidua w obec nich straciły siłę, indywidualizm z postępem czasu sam w sobie się przeżył — a dzisiaj już tylko massy tworzą nowe idee i tylko one same są w stanie wywoływać prądy ogólne. Tak jest z socyalizmem. Socyalizm nie jest myślą stworzoną przez jakieś indywiduum, czy-to natchnione, czy wyżej uzdolnione od innych, bo przecież zjawił się jednocześnie na rozmaitych punktach bardzo od siebie odległych i obcych sobie społeczeństw. To też i jego siła jest inną i prąd, jaki wywołał, nietylko że jest daleko silniejszy od wszystkich, jakie nam przekazała historia, ale też sobą od razu ogarnął daleko obszerniejsze przestrzenie. Dlatego też, czem żaden inny z duchowych prądów nie»może się pochwalić, on, chociaż jest jeszcze w kolebce, uzyskał nawet u swych przeciwników powszechne uznanie swojego prawa do bytu, jak to widzimy z tego, że żadnej z władz tego świata, mianowicie w narodach ukształconych, nie idzie o to, aby go

stłumić i zniszczyć, tylko aby go ułagodzić i w pewne zacisnąć granice, albo też aby go opanować i wziąć w służbę pewnych systemów hierarchicznych albo rządowych. Socjalizm jeszcze, teraz jest słaby: jeszcze nie ma jednolitego systemu przyjętego przez wszystkich, jeszcze jego przywódcy nie zgadzają się z sobą w swoich zapatrywaniach się na niektóre szczegóły, jeszcze i w jego własnym łonie jest немало filistrów, którzy się zatrzymali w pół drogi i paktują z rządem albo z kościołem: ale są to epoki przejścia, nieuniknione w rozwoju wszystkich nowych systemów — a ja panu powiadam, że nasz program zostanie nielitościwie przeprowadzony aż do ostatniej litery i z tego waszego świata w niedalekiej przyszłości ani jeden strzępek nie pozostanie.

— Powiedziałeś: przywódcy, — zauważał Zaklika, — a więc przecież indywidualizm przypuszczasz. Na to Balcerek się zniecierpliwił i rzekł prawie z ironią:

— Pan jeszcze, stoisz po za obrębem elementarnych pojęć socjalistycznych. Wyraz przywódcy tylko niechący z ust mi się wyslizgnął. Ci przywódcy to są ludzie, którzy tworzą projekty do praw, tak jak drudzy obok nich robią buty a trzeci fabrykują zegarki, ale dlatego, że każdy z nich innem się zajmuje rzemiosłem, nie masz pomiędzy nimi żadnej różnicy. I ten i ów dla ogółu pracuje i ogółowi swą pracę oddaje i ani mu na myśl nie przyjdzie żądać dla siebie jakiegoś wyszczególnienia dlatego, że jego praca jest delikatniejszej natury. Przecież nasza równość to nie jest ta głupia równość demokratyczna, która zrównała ludzi tylko w obliczu praw cywilnych i karnych — a w gruncie rzeczy tą rzekomą równością największe nierówności stworzyła, bo pozostawiła indywidualnościom wolność gromadzenia

w swych ręku wszelkiego rodzaju środków i sił i gnębienia drugich swoją przewagą. Demokracja, w swoim ograniczeniu, dała się oślepić połowicznej teorii i utonęła w złudzeniu. To co ona wymyśliła i przeprowadziła a po przeprowadzeniu ręce za pas założyła, jest tylko odwrotną stroną starego i zardzewiałego medalu: arystokracja opierała się na przywilejach indywidualnego pochodzenia i rodu i na przywiązanej do nich przewadze siły fizycznej — a ona, nie wiedząc wcale, co ma począć z tym faktem, że ludzie, tak fizycznie, jak umysłowo, nie są równi między sobą, stworzyła przywilej dla indywidualnej przewagi, opartej na umysłowych zdolnościach. A tymczasem wolna konkurencja jest największą niesprawiedliwością i jest nią właśnie dlatego, że ludzie z natury nie są równi pomiędzy sobą, z czego oczywiście wynika, że jeżeli sprawiedliwość ma panować na ziemi, to przede wszystkim słabsi powinni być ubezpieczeni przeciwko przemocy silniejszych. To są nasze zasadnicze pojęcia, — ale kto ich nie ma, z tym trudno rozmawiać o socjalizmie.

Każdy człowiek, mający silne przekonania, chociażby takowe były błędne, jest zajmującym. Toż i Zaklika słuchał go z uwagą i nie zważając wcale na cierpkosć jego niektórych wyrażań, odpowiedział mu na to:

— Tak dobrze... Ale czy taka równość może być przeprowadzoną do ostatecznych swych konsekwencji? Indywidualizm, cokolwiek bądź o nim rozumiesz, nie da się zniszczyć zupełnie, indywidualne zdolności ludzi a dodajmy także ich indywidualną energiją i wola nie dadzą się zniwelować do jednego strychnulca. Jakiegokolwiek będą wasze szkoły, usiłujące indywidualność utłumić, i jakiegokolwiek będą wasze urządzenia społeczne, zawsze znajdą się indy

widua, mające nietylko wyższe zdolności, ale także silniejszą wolę i energiję od innych. Te indywidualia, skutkiem nie mogącej się zmienić natury ludzkiej, która, uposażyła człowieka miłością własną i nieprzepartą żądzą wywyższenia się nad innych, będą wciąż występować z szeregu i dążyć do owładnięcia bądź całego społeczeństwa, bądź jakiejś warstwy społecznej: cóż z nimi zrobić, aby je utrzymać w szeregu?

— Ja jestem zdania, — odpowiedział mu Balcer, — jak to już powiedziałem, że indywidualizm się przeżył tak jak się przeżyły pewne formy rządowe i społeczne, i musi zniknąć koniecznie. Intelligencya, energija i wola mass, jak skoro te massy przyjdą do świadomości swojej moralnej potęgi, będą tak silne i tak wszechmocne, że siła moralna indywidualuów wobec nich się rozplynie w indywidualizmie zbiorowym i nie będzie się mogła objawiać inaczej, jak tylko w formie woli całego ogółu. Pan, wychowany w pojęciach Starego świata, nie możesz tego zrozumieć, więc może to panu wytłumaczę przykładem. Na czym polegał dotychczas wpływ twórców religii i politycznych dyktatorów na massy? przecież ani na ich wyższych zdolnościach, ani na ich silniejszej energii, tylko na tym uroku, którym potrafili siebie otoczyć i który się massom udzielił: otóż wobec mass, równie intelligentnych a siebie świadomych, w obec mass uznających tylko te prawdy, które są namacalne, tego uroku nie będzie, tak jak i żadnej wiary nie będzie w rzeczy takie, które są nieuchwytnie dla zmysłów. Zaczem działanie na massy inteligencyą i energiją stanie się niemożliwym, bo środka działania nie będzie. Dlatego przecież rzuciliśmy w kąć cały romanyzm i filozofiję speku- latorywną i obdzieramy nawet historję z jfej urojonych uro-

ków a przyjęliśmy metodę pozytywną i naturalistyczną, ażeby ludzkość pozbyła się mrzonek a wierzyła tylko w to, co jest rzeczywiste i namacalne. Na takich podstawach się przyszło społeczeństwa urządzić. Zdolności indywidualne staną się tylko częścią składową inteligencji ogółu a tylko wola mass będzie stanowić o wszystkim. A jeżeliby jakieś indywiduum stanęło z nieprzełamany uporem przeciwko woli ogółu, to to indywiduum zostanie jednogłośnie za waryata uznanem: jeżeli waryat będzie nieszkodliwy, to sobie będzie chodził po wsiach i stanie się przedmiotem wzgardy albo litości dla wszystkich — a jeżeli się targnie na jakieś dobro ogólne, to go się tak samo usunie, jak się dzisiaj usuwa ludzi takich, co kogoś zabili albo zrabowali kasę publiczną.

— Jeżeli gilotyny nie będzie, to mu się da jakąś pi- gułkę, — rzekł Zaklika z ironią.

— Przy dzisiejszym postępie chemii — odpowiedział mu Balcer — o sposoby usuwania ludzi szkodliwych nie trudno.

Zaklika nie zwrócił na tę odpowiedź żadnej uwagi, natomiast zaś pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Chciałbym ja widzieć to wasze społeczeństwo urządzone na takich podstawach. Ja nie jestem o tem dokładnie poinformowany, bo wszystkiego nie czytam, co o tem piszecie. Zresztą dziś jeszcze dzielicie się na rozmaite szkoły i szkółki, z których nie można sobie utworzyć całkiem wypełnionego obrazu o takim społeczeństwie czy państwie. Jedyne obraz takiego państwa dał nam swojego czasu Robertus, z którego fragmentarycznych rozpraw można sobie całość utworzyć, ale jeżeli dobrze pamiętam, to i Robertus

powiedział, że takie państwo mogłoby być utworzonym dopiero za pięćset lat i więcej...

— Rodbertus, — rzekł na to Balcerek, — który już zaczyna się zapominać, chociaż jego główne prace należą do trzeciej ćwierci bieżącego stulecia, położył wielkie zasługi, bo on pierwszy dał socjalizmowi naukowe podstawy. Podczas kiedy jenjalne pomysły Proudhona o własności, opierające się na uczuciach a nawet dość silnie zabarwione mistycyzmem, wyglądają jeszcze prawie jak utopije, jego idee już są teoryami. On z pojęć, jakie Smith i Ricardo nadali ekonomicznym wartościom, wyprowadził dalsze konsekwencje i rzeczywiście wyrobił projekt socjalistycznego państwa, dość dobrze w szczegółach wypełniony. Ale odtąd do jego idei przybyło bardzo wiele nowych określeń i obraz całości także się zmienił, bo on wyobrażał sobie socjalistyczne państwo tylko w formie monarchii...

Tu Balcer się poprawił na krześle i wyłożył Zaklice jak będzie wyglądać społeczeństwo ludzkie zorganizowane na socjalistycznych podstawach, rzecz ukształconym ludziom powszechnie znaną.

— Ale jak dojść do tego? — spytał go Zaklika.

— Są na to dwa sposoby, — odpowiedział mu Balcer, — jeden przez ciągłe i konsekwentne zmiany obecnych podstaw społecznych a drugi za pomocą gwałtownego przewrotu.

— O tym drugim sposobie — rzekł Zaklika z uśmiechem — podobno trudno dziś myśleć, gdzie każde państwo ma parę milionów żołnierzy.

— Ale kto są ci żołnierze? — odrzucił mu Balcer, — każdy żołnierz albo był robotnikiem, kiedy go wzięto do wojska, albo nim będzie, jak wyjdzie ze służby.

— Ale dzisiaj nim jest, — rzekł trochę niecierpliwie Zaklika, — i nie może wystąpić z szeregu, nie dlatego, że indywidualizm się przeżył, tylko dlatego, że gdyby wystąpił, to weźmie kulą w łeb zaraz przed frontem. Nie pozostaje wam zatem jak tylko pierwszy z tych dwóch sposobów i o tem możnaby pogadać...

Tu znów Zaklika poprawił się na krześle i tak mówił:

— Słuchaj mnie, panie Filonie, gdybyś ty był tylko socyalistą takim, który pragnie powolnych zmian na korzyść klas robotniczych, to porozumienie pomiędzy nami nie byłoby niemożliwym. Dzisiejsze urządzenia społeczeństw, każdemu to przecież wiadomo, nie są ostatniem słowem społecznego rozwoju ludzkości. Ludzkość przechodzi ciągle od mniej doskonałych urządzeń do doskonalszych, sprawiedliwszych i lepszych. Nie sięgając do zamierzchłej starożytności, w której rządziły naprzód rody, potem kasty a później satrapowie z ramienia imperatorów, nowożytne państwo także z początku opierało się na kościele, potem na stanach, później na biurokracyi, aż wreszcie oparło się na reprezentacyi. Kto więc, na czem się oprze w przyszłości. Owóż gdybyście wy żądali tylko tych zmian, które się już mniej więcej dokładnie rysują w sumieniu publicznem a mianowicie: uznania czwartego stanu, uregulowania godzin pracy, sprawiedliwszej za pracę nagrody, udziału robotników w zyskach fabrycznych przedsiębiorstw, ubezpieczenia ich na wypadek choroby albo niezdolności do pracy i jeszcze dalej, co za tem idzie, to byłyby to rzeczy, o których możnaby pomówić. Możliwość nawet, pójść jeszcze dalej, bo przez progressywne obciążenie podatkami większych dóbr ruchomych i nieruchomych dałyby się z czasem do pewnego stopnia złagodzić te nierówności, jakie wynikają

z nierównego podziału własności. Ale wy idziecie jeszcze o wiele dalej a nawet i to materialne maximum, którego żądacie, jest tylko ciałem waszego socjalizmu: albowiem wasz socjalizm ma duszę, ma swój system filozoficzny — a tym systemem jest najbrutalniejszy materializm. A na to niepodobna się zgodzić, bo wasz materializm zaprzecza istnieniu wszelkich sił i potęg moralnych, uznaje tylko istnienie materii a ożeniwszy się z naciągniętym do swoich celów darwinizmem, przyznaje sobie prawo pięści przeciwko wszystkiemu, co może siłą pokonać. Ateizm w metafizyce, sensualizm w psychologii a egoizm w etyce, oto trzy główne axiomy, z których się składa wasza filozofia, filozofia bez żadnego regulatora, którymby była jakaś wyższa siła duchowa, bo takiej siły nie przyznajecie. Za tem też idą wasze niepomiarne żądania, którym sami nie umiecie granic oznaczyć. Podczas kiedy tamte trzy stany, walcząc o byt i uznanie, żądały tylko, ażeby, że tak powiem, same iHiały co jeść, wy, ów stan czwarty, nie poprzestajecie na tem, abyście się sami najedli po samą szyć, ale żądacie jeszcze, ażeby inni więcej od was nie jedli. A jakie dalsze wynikają stąd skutki, tośmy widzieli na heroicznym czynach paryskiej komuny. I czyż to tak nie jest ? czy paryska komuna nie ma jeszcze dziś jawnych stronników we Francji i w Niemczech?

— Nawet i u nas, — rzekł na to Balcerek z uporem a patrząc na Zaklikę z ironiczną pogardą, dodał: — Tak jest. Ale cóż z tem zrobić? My od naszego programu nie odstępimy ani na jotę. Sint ut sunt, aut non sint.

— Więc non sint, — odpowiedział mu Zaklika z niecierpliwością, — i możesz tego być pewnym, że z taką sektą nikt nie będzie paktować.

Balcerek już prawie cały zzieleniał i patrzył na niego iskrzącymi oczyma. Jednak Zaklika to spostrzegł a nie chcąc go w takim usposobieniu zostawiać, uspokoił się i zaczął mówić tonem łagodnym i grzecznym:

— A zresztą, gdyby nawet nie było tej kwestyi moralnej, która wszelkiemu porozumieniu stoi na drodze, to sam wasz system, opierający się głównie na zniesieniu własności, nie stoi na ziemi, tylko wisi w powietrzu, bo chęć i potrzeba posiadania własności jest człowiekowi wrodzoną.

Ale Balcerek mu przerwał i rzekł z naciskiem:

— To jest także jedno z tych tradycyjnych omamień, które wszyscy powtarzają bezmyślnie a nikt się nad niem nie zastanawia. Pojęcie własności nie jest wcale wrodzonym, tylko wpojonem przez wychowanie...

I tu zaczął mu wyklądać teoretycznie, czem jest pojęcie własności.

Ale ledwie trochę się rozgrzał i odzyskał swoją dawną wymowę, kiedy obok werandy okrutny harkot psów dał się słyszeć. Go to było takiego? Zaklika miał z sobą swoją ulubioną suczkę, której Muszka było na imię i którą wszędzie woził ze sobą. Muszka słuchała ich konwersacyi przez chwilę, ale zdaje się, że dysputa o socyalizmie ją nie bawiła, bo zbiegła z werandy, przez jakiś czas spacerowała sobie po dziedzińcu, wachając wszystkie węgły i kąty, a potem wlaźła do wielkiej psiej budy, która stała obok werandy i tam się ulokowała, wachając koce, któremi dno budy było wyścielone. Ale właścicielem tej budy był brytan ogromny, pies szwajcarski, bardzo respektowany stróż domu Balcerów. Ten, obszedłszy wieczorem wszystkie szpichrze i magazyny, czy jaki złodziej gdzie się nie zakradł, wrócił

do swojej budy a zastawszy w niej innego pieska, rzucił się z taką wściekłością na niego, jak gdyby go chciał ro- zedrzeć.

Przestraszony Zaklika, usłyszawszy głos Muszki, skoczył do budy, aby ją obronić; byłby nic nie poradził, bo brytan był prawie tak wielki jak ciele i w tej chwili niesłychanie rozżarty: ale na szczęście Balcerek przyskoczył także do niego i porwawszy go za obrożę, zaraz go uspokoił. Brytan jeszcze się miotał i warczał, ale Zaklika mógł już swoją Muszkę z budy wydobyć, jakoż wyciągnął ją, wziął na ramiona i rzekł do Balcerka zaczerpując oddechu :

— Jeszcze chwila a byłby ją rozdarł.

— O! to pewnie, — odpowiedział mu z pewnem zadowoleniem Balcerek, — bo onby i człowiekowi dał radę.

Więc Zaklika spojrział na niego z uwagą, a potem spytał:

— To jego buda?

— Jużci jego, on sam w niej sypia i ma tam swoje koce wełniane, któremi sam się nakrywa, kiedy mu zimno.

— A coby on zrobił, gdyby mu kto chciał wziąć jego budę?

— O, to dobre, — rzekł Balcer bez namysłu, — to samo, co chciał zrobić Muszce, rozszarpałby go w kawałki.

A wtedy Zaklika powiedział mu z zadowoleniem:

— Więc widzisz, że i on ma pojęcie własności, którego mu pewnie nie wpojono przez edukację, ani go odziedziczył w tradycyi. Gdyby ten brytan umiał mówić, to onby cię lepiej przekonał niż wszystkie xiązki, do jakiego stopnia pojęcie własności jest nawet zwierzętom wrodzone. Może

sobie nad tem trochę pomyślisz. Tymczasem bądź zdrow i miej mnie w dobrej pamięci.

To rzekłszy wziął Muszkę pod pachę, wsiadł na koń i odjechał.

Balcerek sam został na werandzie, w samej istocie bardzo zamyślony.

Zaklika jechał stępą ku Zaklikowu, tylko zaraz za bramą skręcił na drogę polową, która była o wiele krótszą. Usadowiwszy dobrze Muszkę za pazuchą, co nie było tak łatwym, bo zwierzątko to nie było znowu tak bardzo małeńkie a do tego dosyć zażywne, patrzył na nią i mówił: — Widzisz Muszka, jaka ty głupia. Po co ty laźła do budy tego paskudnego brytana ? co ty masz wachać koca takiego psiska, który pewnie się nigdy nie myje? A wiesz ty, co z tego będzie ? jak jeszcze raz kiedy pojedę na Balcerpwkę, to cię z sobą nie wezmę, zostaniesz w domu i będziesz skomleć za mną po wszystkich pokojach... Muszka, która jeszcze drżała ze strachu, patrzyła na niego swojemi wiel- kiemi oczyma i słuchała go uważnie a potem się tuliła do niego, jak gdyby mu przyznawała słuszność i żałowała swej winy.

Wyjechawszy w czyste pole, Zaklika rozejrzał się koło siebie. Xiężyc w pełni wypłynął już wysoko na niebo, noc była jasna jak dzień. Po jednej i drugiej stronie drogi kołysały się łąny pszenicy, obsypane milionami kropelek rosy, które w xiężycowem świetle jak brylanty się szklily. Tu i owdzie stały jabłonie na miedzy, uginające się pod ciężarem dojrzewających owoców, gdzieniegdzie krzak głogu błyszczał rubinami do światła. W dali na wszystkie strony widać było pałace i dwory, folwarki i chłopskie chaty, ciągnące się sznurem, w których spali ludzie, Jiie wie

dząc wcale, ani nawet nie myśląc o tem, jaka przyszłość ich czeka. Ale są mędrcy pomiędzy nimi, którzy to wiedzą...

Zaklika myślał nad tem i mówił do siebie:

— Wyobraźnia człowieka może sobie obraz takiego społeczeństwa utworzyć. A «socyacya jest jego podstawą i więzią. Ta więź zaczyna się od assocyacyi męża z żoną, która się zawięzuje i rozwiązuje według woli osób złączonych ze sobą. Dzieci się wychowują na koszt publiczny. Assocyacya obejmuje gminy, przedsiębiorstwa rolnicze, przemysłowe, rzemieślnicze, fabryczne, handlowe i wiąże je z sobą w ciała wielkie i jeszcze większe, według przyczyn i potrzeb geograficznych i klimatycznych. Są kupcy i fabrykanci, inżynierowie i astronomowie, nauczyciele, adwokaci i sędziowie, ale wszyscy są tylko robotnikami w służbie gminy i wynagradzani według wartości i godzin ich służby. Są sklepy, składy i magazyny, ale wszystkie stanowią wspólną własność ogółu społeczeństwa czy państwa. Nieruchoma własność prywatna nie istnieje: nawet nie zabrano jej gwałtem, tylko ją spłacono rentami w towarach, które z czasem ustają. Pieniądzy nie masz, tylko towary i znaczki wyobrażające wartość godzin pracy. Taniość wszelakich towarów przechodzi wszystkie dzisiejsze pojęcia, bo kapitały nie ciągną zysków z ich fabrykacyi a ziemia i materiały surowe nic nie kosztują. Ktokolwiek tylko trochę pracuje, może mieć wszystkiego po samą szyję: Kto pracować nie może, jest żywiony i odziewany kosztem publicznym. Na całej kuli ziemskiej nie masz ani państw, ani królów, ani bogatych, ani ubogich, ani mądrych, ani głupich, ani wielkich, ani małych, wszyscy są równi jak kłosa na tym łanie pszenicy, który się kołyszą przedemną: ale

nie masz także ani dworów, ani pałaców, ani kościołów, wszystkie domy są równe — a sterczą nad nimi tylko szkoły, fabryki i szpitale... I szpitale! — powtórzył z naciskiem, jednak zaraz rozśmiał się ironicznie i dodał: — Ale na co tutaj szpitale, kiedy wówczas całe społeczeństwo będzie tylko jednym wielkim szpitalem?... Po tyranii imperatorów, satrapów, inkwizycy, konwentów i dyktatorów, tyranija idei, — najstraszliwsza tyranija ze wszystkich. Nieszczęśliwa ta ziemia, nieszczęśliwe to życie człowieka na ziemi!

Poczem dał łydkę koniowi i stanął wkrótce przed gankiem swojego pałacu.

XII.

Nazajutrz wczas przed południem przyszedł X. Prandota odwiedzić Zaklikę.

Zastał go zachmurzonym do niepoznania i tak przytłumionym, jak gdyby go jakieś wielkie spotkało nieszczęście.

— Cóż to takiego ? — spytał go z troskliwością Prandota, — jesteś w takim humorze, jak gdybyś był gotów każdego za drzwi wyrzucić, kto się zbliży do ciebie.

— Ot co! — odpowiedział mu chmurnie Zaklika, — nie po szwie mi się porze we wszystkim. Być może, że nie jestem stworzony na ojca, że inni dają sobie łątwo radę z temi rzeczami, ale na mnie ten urząd ciąży jak młyński kamień — a ciąży mi zarazem na sercu i na sumieniu: na sercu, bo nie to się dzieje, czegobym pragnął, a na sumieniu, bo się chwieję i sam nie wiem, co zrobić.

r.— Dopiero od dwóch dni cię nie widziałem, — rze

cze Prandota, — cóż przez ten czas mogło się stać tak bardzo ważnego?

— W życiu człowieka często i jeden dzień tak ciężko zaważy, że od niego zaczyna się nowa epoka jego istnienia, — odpowiedział mu z głębokim westchnieniem Zaklika, ale zaraz dodał pogodniej: — Jednak rad jestem, żeś przyszedł, znajdę w tem ulgę, jeżeli się przed tobą wygadam.

— Więc siadaj i gadaj.

Zaklika siadł i tak mówił:

— Dużo tego do opowiadania. Masz czas? Słuchaj-że mnie cierpliwie. Przedwczoraj był u mnie stary Firlej. Mówił dyplomatycznie, uprzedził mnie, że tylko na poufną pogadankę przyjechał, ale w końcu oświadczył Frydrusza

0 Genię.

— I to cię tak zasmuciło?

— Nietylko to, ale to przedewszystkiem.

Czyż Frydruszowi jesteś tak całkiem przeciwny?

— Nie całkiem, ale małżeństwo to nie jest mi wcale po myśli.

Prandota na to pokiwał głową i rzekł:

— Firlejowie to wielkie imie.

— Wiesz, co ja o tem rozumiem.

— Wielki majątek.

— Nie tak wielki, jak ci się zdaje, są długi.

— Te długi, jak słyszę, zostaną spłacone lasem, który wygrali.

— Ale óni mają dług większy, którego nigdy nie spłacą a to jest pałac i te pretensye, które się wiążą do niego. Te pretensye zjadłyby z czasem nietylko jego majątek, ale

1 dobra Geni na Żmudzi, chociaż są większe co do obszaru,

nie masz na nich żadnych długów i nie masz także magnackich pretensyi.

— Frydrusz jest bardzo rostopny, — zauważył Prandota.

— Rostropny, mówisz ? ja nie znam człowieka więcej nierostropnego jak on, co już widać z jego politycznych przekonań*

— Polityczne przekonania to sprawa uboczna. W kwestyi małżeństwa powinno się przede wszystkim badać wartość człowieka. Otóż ja nie wiem, co ty o nim jako o człowieku rozumiesz.

Tu Zaklika się zaciął i odpowiedział mu szorstko:

— Zaślepiiony, zarozumiały, głupi i zły.

Na to Prandota odrzekł mu bez namysłu:

— niesprawiedliwie sądzisz człowieka. On ma silne przekonania a jakiegokolwiek one są, jeżeli tylko nie są zbrodniczne, to i to już dziś coś warte na świecie. On te przekonania usiłuje innym narzucić i to może jest wadą, ale naprzód ta wada jest wszystkim młodym ludziom właściwą, którzy są siebie jakiegokolwiek świadomi — a potem wszyscy się jej pozbywają z czasem i z doświadczeniem. Głupi nie jest, owszem z największą łatwością pojmuje wszystko a do tego ma jeszcze bardzo szerokie ukształce- nie. A zły także nie jest, bo robi bardzo wiele dobrego, - o czym ty może nie wiesz, bo on nie szuka rozgłosu, ale o czym mnie bardzo dobrze wiadomo.

— Być może, — odpowiedział mu na to Zaklika, — ale mnie się nie podoba od stóp do głów. Nie widzę żadnego powodu, dlaczegobym się miał do tego przyczyniać, ażeby się tacy ludzie mieli rozmnażać po świecie a jeszcze do tego w mojej własnej rodzinie.

Prandota nie chciał mu przeczyć, bo wiedział, że dysputa o tych kwestiach z nim nie jest łatwa, zaczął więc inny zwrot rozmowie i rzekł:

— To dobrze, ale tu przecież w pierwszym rzędzie nie idzie o ciebie, tylko o Genię.

— Zapewne, — odpowiedział mu prędko Zaklika, — ale ta rzecz właśnie dlatego mnie boli, że się w niej ro- chodzimy ze sobą.

— Czy wybadałeś Genię ? cóż ona o tem rozumie ?

— Geni nie ma co badać. Dostyc mi było, kilka razy ich widzieć rozmawiających ze sobą, ażeby wiedzieć, że ona całkiem jest za nim. Ale bardzo wątpię, ażeby ten suchy Frydrusz, w którym nie masz ani krzty serca a tylko skórzane zasady, sam jej się tak bardzo podobał; towarzyska pozycja i firlejowskie pałace, tytuły, pokrewieństwa, niezasłużone splendory, to jej głowę zajęło. Entuzjazm, z jakim mi o Firlejach mówiła po balu, stanowczo mnie o tem przekonał. A więc do czego to takie małżeństwo podobne ? Będzie błyskotek do syta na zewnątrz — a wewnątrz kwasów do przesylenia na całe życie. I dlatego właśnie, że ona jest za tem małżeństwem nie z miłości, tylko z próżności, nietylko przyznają sobie prawo, ale mam sobie za obowiązek sprzeciwić się temu, przynajmniej na teraz. Jeżeli oni mają istotne przywiązanie do siebie, to przecież wytrzymają próbę czasu a ja będę miał spokojne sumienie,, bo przyznam ci się, że gdyby to małżeństwo stało się później nieszczęśliwem dla Geni, czego się bardzo obawiam, to bym sobie tym wyrzutem zatrul resztę mojego życia,, zem na nie, wbrew memu przekonaniu, bez namysłu zezwolił.

Prandota go słuchał z uwagą, ale widać nie całkiem mu wierzył, bo rzekł:

— Przepraszam cię za otwartość, ale zdaje mi się, że ty wmawiasz coś w siebie, co nie jest. Przecie ci młodzi ludzie znają się już od kilku miesięcy, nie szaleją za sobą, ale to właśnie dobrym jest znakiem, bo się w sobie nie zaślepili, tylko rozbudzili ku sobie spokojną a więc ugruntowaną sympatję, którą przecież należałoby uszanować.

— Owszem, ona szaleje, ale nie za nim, tylko za jego towarzyską pozycją....

— Hm, — rzecze Prandota, kiwając głową — przyznam ci się, że cię nie rozumiem. Przecież to ludzkie są rzeczy. Trudnoż wymagać po ludziach, ażeby żadnych słabości nie mieli. Trzeba być na nie po chrześcijańsku wyrozumiałym — a nie wiem wcale, dlaczego ojciec miał się temu sprzeciwiać, ażeby jego córka dogodziła swojej słabości, jak skoro ta słabość nikomu nie szkodzi a ją uszczęśliwia... *

Zaklika milczał w zamyśleniu przez chwilę a potem rzekł:

— Słuchaj mnie, Prandota, dlaczego na tej nieszczęśliwej ziemi nie tak się dzieje, jak się dzieć powinno? Dlaczego ludzie nie są tak ód Boga stworzeni, ażeby nimi zawsze i wszędzie kierował zdrowy rozsądek? Dlaczego mają jakieś instynkty, zachętki, pociągi, które ich pchają w tę stronę, gdzie złudliwymi pozorami nakryte czekają ich gorzkie rozczarowania i dlaczego w nich nie ma jakiegoś stałego światełka, któreby im zawsze wskazywało właściwą drogę do szczęścia? A ta droga jest zawsze koło nich tak blisko. Dlaczegoż Geni nie podoba się Tarło? Młody, zdrów, silny, rozumny, skromny i pracowity, i ma także jakieś na

zwisko, od Firlejów wcale nie gorsze — a za to dziesięć- kroć przystojniejszy od skarłowaciałego Frydrusza i pod każdym względem dziesięć razy wart więcej od niego. Nie ma majątku! ale niechby się tylko z Genią ożenił a oba- czyłbyś, jakibym ja im za lat kilka wykrzesał majątek. A to przecież nie ulega żadnemu wątpieniu, że Genia byłaby za nim na całe życie szczęśliwą...

— Tarło? — zawołał na to Prandota, wstał z krzesła, przeszedł się kilka razy, po pokoju a potem tak mówił: — Jestem trochę zakłopotany, ale spodziewam się, że od ciebie nie potrzebuję się obawiać podejrzeń. Wiesz dobrze, że Pan Bóg w swej łasce pozwolił mi podnieść się duchem ponad te ludzkie mizerye i że jako człowiek nigdy się w nic nie mieszam. Gdzie jako kapłan mogę złemu przeszkodzić albo kogoś do jakiegoś dobrego uczynku zniewolić, to zawsze zrobię, ale na zwyczajny bieg towarzyskich stosunków zakazuje sobie wszelkiego wpływu: Pan Bóg więc, lepiej odemnie, co robi. Otóż ci powiem, że ja o Tarle niedobre mam wiadomości...

Tu Zaklika wyprostował się w krześle i spytał:

— Niedobre? cóż o nim słyszałeś?

— Może niektóre wiadomości o nim mam z takiego źródła, — rzekł na to Prandota, — że ich dalej rozsiewać nie mogę. Ale zawsze tyle ci mogę powiedzieć, że Tarło nie jest takim, jakim się zrazu przedstawił. On jest nieo- byczajny, żyje w złym towarzystwie, bardzo liche figury przyjmuje u siebie, bardzo często gdzieś sekretnie wyjeżdża a nawet i gospodarstwa już zaniedbuje...

— I gospodarstwa zaniedbuje? — zawołał Zaklika, — wiesz o tem pewnie?

— Przecież nie mówię na wiatr. Dlaczegoż się pytasz?

Zaklika. T. 1.

— Bo rai już i Kański coś o tera wspominał...

— Więc widzisz. Gdyby chodziło tylko o utrzymanie z nim sąsiedzkich stosunków, tobym o tem nie mówił, ale ponieważ myślisz o nim jako o konkurencie do Geni, więc ci zalecam i proszę o jaknajwiększą ostrożność.

Na to Zaklika wstał bardzo skonsternowany i rzekł głosem pełnym żalości:

— Wiesz, jeżeli jeszcze i Tarło nic nie wart, to przyznam ci się, że już wcale nie wiem, co się tu dzieje na tym dzisiejszym świecie.

— Inny to świat! — odpowiedział mu równie żalśnie Prandota, — inne pojęcia, inne też obyczaje. A my przedewszystkiem o tem powinniśmy wiedzieć, że nie my nim rządzić będziemy. Nie dopuszczajmy o ile w naszej jest mocy, ażeby się działy występki lub zbrodnie, ale nie wysilajmy się na to, ażeby ten świat się po naszej myśli rozwijał, bo to napróżno a nawet i nie mamy prawa do tego: coś przecie trzeba Panu Bogu zostawić.

— Oh! że to inny świat, — dodał Zaklika, — to widzę już po Ignasiu, który się całkiem wyrodził z temperamentu Zaklików, widziałem zresztą wczoraj po Balcerze i Florze...

Prandota spojrział z ciekawością na niego, ale wtem dano znać do śniadania.

Przy śniadaniu siedzieli wszyscy ze zwieszonymi głowami jak w refektarzu.

Zaklika jadł patrząc na talerz i do nikogo ani słowa nie przemówił, tylko się swoją chustką zajmował. Genia tylko udawała, że je, natomiast zaś ciągle ukradkiem spoglądała na Prandotę, jak gdyby chciała coś z jego twarzy

wyczytać: Prandota spojrział na nią po kilka razy wypog-
dzeniem okiem i zdawało się, jakoby to ją uspokoiło. Ignaś był zachmurzony, po raz i drugi spojrział na ojca, ale zawsze się jeszcze
więcej zachmurzony odwracał, bo wiedział, że ojciec był wczoraj do późnej nocy na
Balcerówce, a teraz zdało mu się, jak gdyby umyślnie jego wzroku unikał. Ignaś miał bardzo
niedobre przeczucia i czuł jak gdyby nerwową cikliwość w wnętrznościach. Tylko Fujara był
wesół i mówił za wszystkich.

Zaklika popatrzał na niego i rzekł:

— Oto szczęśliwy człowiek, zawsze w jednostajnym humorze i zawsze ma coś do
opowiadania. Cóż tam dzisiaj nowego ?

— Mam coś i dla ciebie, — rzecze Fujara, — bo właśnie dziś rano przeglądałem moje
korespondencje i spostrzegłem, że dla ciebie powinny leżeć pieniądze we Lwowie. Wiesz, te
dwie hipoteki, które generał od lat niepamiętnych miał ulokowane na dobrach nieboszczyka
Romanowskiego w Żółkiewskim, o któreśmy się po jego śmierci tak długo procesowali i
nareszcie proces wygrali, miały być wypłacone na św. Jan. Otóż adwokat mi pisał, że będą
pieniądze najdalej w- połowie Lipca, pisałem do niego, jeszcze mi nie odpisał, ale pieniądze są
pewnie, trzeba więc kogoś po nie wyprawić, bo wiesz jak to z adwokatami a jeszcze do tego z
takim panem Żegotą, któremu ja wcale nie ufam.

— Niewielkie-to rzeczy, — powieć mu Zaklika, — bo to tylko resztki hipotek. Ale czy
jesteś pewny, że już je odebrał?

— Miał je odebrać na dzień piętnasty Lipca a dziś już trzydziesty, pokażę ci listy.

— Ale jeszcze ci nie napisał, że pieniądze ma w kasie?

— Ba! a czy jemu z tem pilno ? To lichwiarz, co pożyczka a la petite semaine, więc dobrze tem jakiś czas jeszcze szachrować z żydami.

— Więc kiedyś tak pewny, to jedź.

— Ja? — spytał Fujara uśmiechnąwszy się, bo mu się ta myśl podobała, - jużci radbym się trochę przewietrzyć, radbym także obaczyć moich przyjaciół we Lwowie a mam ich tam tylu, bo przecież znam całe towarzystwo tamtejsze, ale z Żegotą trzebaby się obrachować, bo to ostatni jeneralski interes, który mamy u niego, a potem wieść te pieniądze...

— Nuż w drodze zaproszą gdzie do diabełka, — przerwał mu Zaklika.

— To nie, — odpowiedział z godnością Fujara, — przecież cudzych pieniędzy jeszcze nigdy nie przegrał. Ale przy mojem roztargnieniu, niechby mnie gdzie obdarli...

Tobym ci przecie uwierzył, — odpowiedział mu stanowczo Zaklika, — chodźcież do mnie na kawę, to pogadamy.

A to rzekłszy, wstał od stołu, wziął Prandotę i Fu- arę ze sobą i zaprowadził ich do tego dużego pokoju, co do biblioteki przytykał a w którym zwykle siadywał. Fujara szedł z głową podniesioną do góry, bo mu to pochlebiało, że Zaklika miał takie zaufanie do niego. Kiedy służący podał im kawę i fajki, Zaklika rzekł do Prandoty:

— Wiesz, przyszła mi myśl, która mi jest nadzwyczajnie na rękę. Pojadę ja sam do Lwowa, i mnie także potrzeba się trochę przewietrzyć, kiedy komu ciężko na sercu, to dobrze zrobi, jeżeli zmieni na jakiś czas miejsce pobytu i obaczy cokolwiek świata i ludzi.

— Bardzo ci myśl tę pochwałam, — odpowiedział mu Prandota, — powrócisz orzeźwiony, jak trochę odetchniesz wolnem galicyjskiem powietrzem. Ale kiedy jedziesz do Lwowa, to weź-że mnie z sobą, bo i ja tam mam inte- resa.

— Czy seryo to mówisz?

— Całkiem seryo.

— Więc to doskonale, — zawołał Zaklika wesoło, — pojedziemy sobie we trzech i wybornie się zabawimy. Ale powiedz-że mi prawdę, czy jedziesz tylko dla rozrywki, czy rzeczywiście masz interesa we Lwowie?

Prandota spojrział ukradkiem na Fujarę i nic mu nie odpowiedział. Zaczem Zaklika rzekł do Fujary:

— Słuchaj-że Fujara, idź ty teraz do siebie, uporządkuj te Lwowskie papiery i przynieś mi je, abyśmy się w nich rozejrzeli. Ale się nie spiesz, bo my tu jeszcze dużo mamy do ogadania pomiędzy sobą. Nawet jeżeli sobie utniesz swoją* drzśmkę zwyczajną, to także nas jeszcze tutaj zastaniesz.

Fujara wybiegł klusem jak zawsze, kiedy był czem mocno zajęty — a wtedy Prandota odpowiedział Zaklioe:

— Ja nie jadę dla rozrywki do Lwowa, przecie już tam jeździłem przeszłego roku, powiem ci teraz dlaczego. Oto i ja się już starzeję, już mi tylko parę lat do sześćdziesiątki brakiye, czuję coraz więcej ciężar wieku i pracy na sobie a przeto i potrzebę spoczynku. Można różnie na tę kwestyę się zapatrywać: kto inny powieć, że każdy powinien na swoim posterunku wytrzymać do ostatniego oddechu i będzie miał racyę; ale ja mówię, że to dobre probostwo, pracowite ale intratne, dlaczegóżbym miał siedzieć na niem jeszcze i wtedy, kiedy już nie będę miał sił do

zupelnego wypełniania mych obowiązków, i zabierać miejsce młodszemu? Cóż ty o tem sądzisz?

— Jużci masz rację.

— Więc tak sobie myślę, że jak kiedyś to probostwo porzucę, to na stare lata przeniósłbym się do Lwowa. Możeby mnie do tamtejszej kapituły przyjęli, mam z urodzenia do tego niejaki prawa — a jeśli nie, tobym osiadł w jakim klasztorze. Chciałbym więc tam zawczasu znajomości porobić i miejsce sobie upatrzeć.

Zaklika nad tem pomyślał a potem spytał:

— Dlaczegoż koniecznie do Lwowa? przecie, taki sam spoczynek znalazłbyś w Lublinie i w Sandomierzu i gdzie- kolwiekbyś bliżej.

— Tak, — rzecze Prandota, — ale przecie to có innego. Wprawdzie taki xiądz-emeryt w sprawach publicznych udziału nie bierze, ale przecież tam się swobodniej- 'szem oddycha powietrzem.

Tu Zaklice jakiś nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy i rzekł:

— A może czasem i ta nasza cerkiew ci się przypomina i sen spokojny zakłóca... Stare-to rzeczy jak świat, dawno już zapomniane.

— I zapomniane rzeczy także czasem na jaw wychodzą, od tego jest na świecie przypadek...

Poczem obydwu się zamyślili. Aż znowu Prandota przerwał milczenie, mówiąc:

— Ot, lepiej nie myślmy o tem. Idąc do śniadania, wspomniałeś mi coś o Ignasiu i o Balcerach, czy i tam jest coś nowego?

— Jużci jest, — odpowiedział mu Zaklika, — i to mnie bez porównania głębiej przygniotło, niżeli zamiary Frydru-^

sza i Geni. Bo jeśli Genię trzeba będzie koniecznie wydać za Frydrusza, to cóż? Jak sobie pościelą, tak się wyśpią, ja tego nie będę miał na mojem sumieniu, bo ja nie zezwolę, będzie to zatem jedno małżeństwo więcej, które się zawrze nie po woli ojca — i na tem koniec. Ale tutaj... to rzecz całkiem inna. Ignas chce się żenić z Florą...

— Gzy tak?

— Sam mi to wczoraj powiedział.

Prandota patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Cóż na to mówisz?

— Horrendum, — odpowiedział mu półgłosem Prandota.

— Więc widzisz, — rzecze Zaklika, — a teraz już wiesz, dlaczegoś mnie zastał tak przygnębionym.

Poczem obydwaj głębiej zasunęli się w krzesła i przez chwilę milczeli. Pierwszy znowu głos zabrał Zaklika, mówiąc z głęboką boleścią:

— Byłem wczoraj na Balcerówce. Pojechałem tam umyślnie, aby ją wyrozumieć: człowiek przecie może się mylić. Ale tym razem nie omyliłem się wcale. To jest czysta materialistka. Tam nie masz duszy ludzkiej, ani nawet jej cienia, tylko ciało bardzo piękne, nie ma co mówić, ale nic prócz ciała. A jakie wyobrażenia o życiu i ludziach i ich przeznaczeniu! Żyć i używać, Paryż nad wszystko. A taka przytem gorąca żądza tego używania i życia, taka tam krew w niej kipiąca, iż ręczę ci za to, że gdyby ktoś był siadł do fortepianu i zagrał kadryla, to byłaby się ze mną puściła kankana...

Prandota milczał a Zaklika mówił dalej:

— Gdybyż jeszcze Ignas był człowiekiem rozumnym i silnej woli, to możnaby się spodziewać, że z początku

jakich kilka miesięcy wesoło przesumia, trochę majątku nadszarpią, na jakiś czas się życiem upoją, ale on potem weźmie babę w garść męską i do porządku nawoła. Mężczyzna zdrowy, silny a do tego rozumny, nie zawsze, lecz często potrafi nawet całkiem zepsutą kobietę w korbach utrzymać i na dobrą drogę nawrócić. Ale ona nad nim rozumem, energią i wolą, siedm set razy góruje: więc cóż to z tego być może? Oto to samo, co się stało z Fularą. Majątek z nim razem w krótkim czasie przehula a potem mu z jakimś amantem ucieknie a jego zostawi w nędzy i wstydzie. Ona jest tak gadatliwą, a kiedy mówi, tak ją jej temperament unosi, że nawet i z tem się prawie przedemną zdradziła...

Po chwili milczenia Zaklika, zamyślając się coraz głębiej, skończył następującą uwagą:

— Są położenia w tem życiu, z których nie masz innego wyjścia, jak za pomocą występku — i może być, że PaH Bóg właśnie na to otworzył drogę występkom. Ja sobie tego, pewnie nie życzę, ale przecież to muszę powiedzieć, że jeszcze najlepiejby było tak dla mnie, jak i dla nich obojga, gdyby ją uwiódł. Cóż wtedy? Poniosłoby się ofiarę pieniężną, onaby sobie w świat poszła z posagiem, a onby się otrząsł i jakośby to odpokutował...

Tu wszakże Prandota się zerwał i rzekł:

— Nie trzeba myśleć o takich rzeczach. Położenie jest wprawdzie fatalne, ale my jeszcze jakieś inne wyjście znajdziemy. Trzeba nad tem się zastanowić. Na pierwszy rzut oka zdaje mi się, że najlepiej zrobisz, jeżeli go jak- najprędzej wyprawisz na Żmudź i tam go osadzisz. On małoletni, przecie masz nad nim władzę ojcowską...

— Ja już o tem myślałem, — odpowiedział mu na to

Zaklika, — ale to nie na wiele się przyda. Oni w swojej miłości wytrwają, on za kilka miesięcy dojdzie do pełnoletności — a potem ja od niego list otrzymam ze Żmudzi, że się z nią ożenił. Nie on to zrobi, ale ona go zmusi do tego. Cóż potem? Jeżeli zaś go będę miał przy sobie, to przecie się nie ożeni.

— Tak, ale on i tutaj dojdzie do pełnoletności. A tymczasem, kiedy on będzie na Żmudzi, my tutaj będziemy mogli pomyśleć o posagu dla panny Flory. Jeżeli ona jest taką materjalistką, jak mówisz, to i jej miłość nie jest tak bardzo idealną, ażeby z nią nie można paktować. ..

— Ty nie znasz kobiet, mój drogi, — przerwał mu Zaklika, — kobiety zepsute miewają czasem takie ambicje, jakich u najniewinniejszych nie znajdziesz.

— Ale ona jest przecie niewinna.

— Nie wiem, odpowiedział mu na to Zaklika, — jabym z[^] to wcale nie ręczył. A to nadaje tej fatalności jeszcze daleko fatalniejszy charakter...

— Zastanowimy się nad tem, — rzekł, chcąc go uspokoić Prandota, — jedźmy sobie spokojnie do Lwowa. Odetchniemy świeższem powietrzem, inne myśli nam przyjdą, tymczasem tu nic się nie stanie. A jak wrócimy, to ja pogadam z Ignasiem, pogadam także i z Florą i przy Boskiej pomocy jakoś to przerobimy.

Zaklika zapadł w głęboką zadumę i milczał przez chwilę, jednak potem się zbudził i mówił przytomnie i trzeźwo:

— Słuchaj mnie, Prandota, ja może mam tę wadę, że widzę za daleko. To czasem niedobrze: »Pan Bóg śmieje się z nieba, jeżeli się człowiek więcej troszczy niżli

trzeba." Ale trudnoż znów o przyszłości nie myśleć i niespodziankom otwierać drogę. Ja moją przyszłość widzę jak na dłoni i ani sobie illuzji nie robię, ani się oddaję rozpacz. Ja powziąłem już pewne postanowienie. Ja na te małżeństwa nie zezwolę, bo obydwaj są przeciw memu przekonaniu, ale też dzieci moich do spełnienia moich życzeń zmuszać nie będę.

Tylko zażądam od nich czasu do końca roku, to przecież niewiele, na takie krótkie respiro mogą ojcu zezwolić i nie będą się skarżyć, że je tyranizuję. Tymczasem zaś uporządkuję ich majątkowe stosunki — i sam się także im z drogi usunę. Dostyc się dla nich napracowałem: i mnie się także odpoczynek należy. Niech się obydwoma majątkami podzielią jak zechcą, wcale się w to mieszać nie będę. I gotówkę im także zostawię: nie tak wiele jej jest, jak ludzie myślą; życie drogo kosztuje, są jeszcze legaty nie- pospłacane, coś się Kańskiemu należy, coś Fularze,- coś tobie a są jeszcze i inne. Niech wszystko wezmą a mnie niech płacą rentę dożywotnią, niewielką, ale taką, abym mógł z niej żyć przyzwoicie we Lwowie, albo w Krakowie. Czy mogę więcej ?..

— Nawet i tego zanadto, — rzekł Prandota, — ni- gdybym nie pozwolił na to, ażebyś poszedł tak daleko. Jeszcze się to wszystko inaczej obróci. Jeszcze pomówimy o tem, jak czas przyjdzie po temu...

— Nie, to jest moje postanowienie, — rzekł stanowczo Zaklika, — nie chcę rządzić tym światem, który, jak sam powiedziałeś, nie do mnie należy. Żywcem w grób wstąpię przed memi następcami i oddam im władzę. Ale to jeszcze nie wszystko...

Tu siadł na samym brzegu krzesła, nachylił się ku Prandotowi i tak mówił dalej:

— Jeszcze ci mam coś powiedzieć, o czym nikt nie wie. Słuchaj mnie jak na spowiedzi i niechaj to, co ci powiem, na wieczne czasy pomiędzy nami zostanie. Już w rok po moim ożenieniu, kiedy się Ignaś urodził i to mnie zniewoliło do rozmyślania nad moim nowym położeniem, odezwało się jednego dnia we mnie to uczucie, że odtąd nie jestem bezwarunkowym panem tego wszystkiego, co posiadam. Goś sobie sam przyrobiłem majątku, ale większą część odziedziczyłem po ojcu a coś wziąłem za żoną, powinienem zatem przynajmniej to, com odziedziczył, zachować dla dzieci. Zrobiłem tedy inwentarz całego majątku> niektóre niepotrzebne folwarki wyprzedalem, inne za to przykupiłem, zaokrągliłem te dobra jak dukat w złocie, ale mi się jeszcze trochę gotówki zostało. Z niej wydzieliłem dostateczny fundusz obrotowy, który jest w dobrach, ale jeszcze i potem mi się sto tysięcy rubli zostało. Były to czasy, jak dobrze pamiętasz, kiedy w kraju niepokoje się zaczynały. Naówczas myślałem sobie: kto wieś, co się z tych niepokojów wywiąże? kto wieś, jakie obowiązki spełnić mi przyjdzie? kto wieś, czy po spełnieniu tych obowiązków jeszcze mi jaki kawałek ziemi zostanie i czy nie przyjdzie mi z żoną i dzieckiem tułać się za granicą i szukać dla nich kawałka chleba w mej własnej pracy? — Wówczas zawiózłem te sto tysięcy rubli do Wiednia i złożyłem je w banku. Te pieniądze tam są do dziś dnia — a że nigdy nie podnosiłem procentów, które mi przynosiły, tylko je zawsze kapitalizowałem, więc do dziś się z tego zrobiło dwa kroć sto tysięcy a nawet o wiele więcej. Powiedz mi, mój Prandoto, na twoje kapłańskie sumienie, bo ja się nie-

raz w tem chwieję, czyje to są pieniądze, czy moje, czy dzieci ?

— Ale twoje, twoje bez kwestyi, — odpowiedział mu bez namysłu Prandota, — wyłącznie twoje, odpowiedzialność za to biorę w całości na moje sumienie. Byłaby to jakaś czułość jeszcze więcej niż romantyczna, gdybyś miał o tem jakieś powątpiewanie.

Na to Zaklice twarz się wypogodziła i rzekł z pewną świadomością swojej zacności:

— To pokolenie dzisiejsze szydzi dziś z romantyzmu. A czy który z nich ma, czy choćby tylko rozumie takie uczucia? A przecie one były główną podstawą całego romantyzmu.

Potem odetchnął głębiej i mówił dalej już całkiem pogodnie:

— Otóż ci powiem, że wprawdzie po długich wahaniach, ale i ja w końcu powziąłem to przekonanie, że to są moje pieniądze. Jakoż wykreśliłem je z xiążek, tak że nie masz o nich najmniejszego śladu w całej mojej rachunkowości. Być może, że dalej prowadziła mnie myśl więcej praktyczna, niż idealna, ale byłem już konsekwentnym, bo

I to ci muszę powiedzieć, że nietylko w rachunkowości, ale zgoła nigdzie nie masz żadnego śladu, jako ja posiadam tę sumę. Słuchaj mnie, jak'em to zrobił. Go rok mniej więcej w Styczniu jeżdżę do Wiednia, co rok zamykam rachunek z bankiem, a bank mi co roku wydaje nowy czek płatny & vue; co rok sprawiam sobie frak nowy, co rok ten czek każę w rękaw fraka zaszywać i wracam sobie do domu. Wyobraż sobie, że ja jestem król Lear i że mnie dzieci wypędziły z mego majątku tylko w tem, co mam na sobie: więc ja natenczas tylko we frak się ubieram, kape

lusz na głowę, laseczkę do ręki i upadam do nóg — a mimo to przecież nie będę umierał z głodu jak Lear.

I śmiał się Zaklika — a Prandota także był wesół i mówił:

— Najszlachetniejsze uczucia wcale nie przeszkadzają temu, ażeby zarazem postępować rozumnie. A w tem wbiegł Fujara z paką papierów pod pachą. Zaspał cokolwiek, jak zwykle, dlatego się spieszył i zaraz rozłożył wszystkie papiery na stole.

Zaklika przejrzał rachunki i listy ostatnie i znalazł wszystko w porządku. Obydwie hipoteki już były zlikwidowane a pieniądze powinny były leżeć u adwokata. Zaklika wydał zatem natychmiast rozporządzenia do podróży — a nazajutrz rano wszyscy trzej wyjechali do Lwowa.

Przed ich wyjazdem Genia, daleko ruchliwsza od swego brata, znalazła sposobność wymienienia słów kilku w kąciku z Prandotą, — Prandota ją zapewnił, że rzeczy jej wcale tak źle nie stały, jak ona się obawiała — i to ją znacznie uspokoiło. Ale Ignaś nie miał najmniejszego pojęcia o tem, jak jego rzecz stała u ojca. Ludzie mający jakieś przekonania, religijne, polityczne albo społeczne, trafne czy błędne, mają swych współwyznawców i między nimi zawsze znajdują osobistych przyjaciół; ale on nie miał żadnych przekonań, nie miał też z nikim żadnych bliższych stosunków. Żył odosobniony i nie mógł się przez nikogo dowiedzieć, w jakim usposobieniu ojciec z Balcerów ki powrócił. Wczoraj niezmiernie się tem zniepokoił, że ojciec nie przemówił ani słowa do niego i nie śmiał z tem jechać do Flory; jednak miał jeszcze tę przytomność umysłu, że pchnął do niej posłańca z karteczką, że ojciec wyjeżdża

jutro do Lwowa i on nie może dziś do niej przyjechać. Ale dziś popołudniu już musiał na Balcerówkę pojechać.

Zajechawszy przed werandę i zastawszy tam Florę ze swoim bratem, oczywiście czekającą na niego, usiłował rozpoznać twarz swoją i pokryć grzecznością i czułościami tak to, że nic jeszcze nie wiedział, jak zarazem i to, że ma pewne obawy. Toż, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, nie umiał zachować miary i zamiast być grzecznym, stał się ckliwym a zamiast czułym, był prawie obleśnym.

Kochające kobiety zazwyczaj nie skarżą się na zbyt dużą czułość, ale Florze nie o to chodziło. Jakoż była zimną jak lód a widząc, że młodzieniec nie ma jej nic do powiedzenia, spytała go wprost:

— A cóż pan Zaklika?

— Nic jeszcze, ^ odpowiedział jej Ignas, drząc wewnątrz, — przedwczoraj późno z Balcerówki powrócił a wczoraj przez cały dzień był zajęty podróżą.

— Więc nic, — rzekła Flora z zaciśniętymi zębami.

Ignas milczał. Poczem twarz Flory widać było, że wewnątrz kipiała. Po krótkiej chwili spytała go znowu:

— Ale przecież musiałeś coś spostrzedz po jego zachowaniu się względem ciebie, po jego oczach, któreś patrzył na ciebie...

— Nic nie spostrzegłem, — rzekł Ignas i dodał kłamiąc z obawy jej gniewu, który się w jej głosie przebijał, — był jak zwyczajnie.

Flora patrzyła na niego z najwyższą niecierpliwością, widać było, że usiłuje nad sobą panować, jakoż jeszcze się przewyciężyła i po chwili znowu spytała:

— Jak długo pan Zaklika zabawi we Lwowie?

— Ja nie wiem, — rzekł Ignaś, — ma tam interesa pieniądze, może ze dwa tygodnie...

Tu Flora już nie umiała powściągnąć swojego gniewu^ zerwała się z krzesła i wybuchnęła jak wulkan:

— Dwa tygodnie! — zawołała do niego a twarz jej się stała prawie wiśniową i usta jej drżały, — dwa tygodnie! i tyś o tem wiedział i nic?...

Tu już jej głosu dalej nie stało, zerwała się z krzesła, rzuciła na niego oczyma pełnymi pogardy i gniewu i rzuciła się ku drzwiom.

Ale Ignaś zerwał się także, chwycił ją wpół, przycisnął ją do piersi i zaczął mówić głosem głęboko wzruszonym :

— Ale moja Floro, droga, najukochańsza... Któż widział znowu tak się unosić? Przecież ojciec mi nic nie powiedział, za to ci ręczę. Jestem pewny, że się nie sprzeciwi, on m to zanadto jest liberalny. Może ma jakieś skrupuły, chce się zastanowić, może nas jeszcze lepiej wyba-
dąć. A jeżeliby, czego się nie spodziewam... to cóż na tem stracimy? Ja już za sześć miesięcy dojdę do pełnoletności a wtedy... Przysięgam tobie, że żadna siła ludzka od ciebie mnie nie odwróci...

Te zakłęcia ją trochę uspokoiły, ale nie zupełnie. Siadła znowu na krześle i zaczęła mówić z Ignasiem, ale konwersacya im nie szła. Ją niecierpliwość ciągle targała a on był skonfundowany. Ona chciała wiedzieć koniecznie, co jego ojciec o tem małżeństwie rozumieć a on nie umiał na to jej odpowiedzieć i mówił rzeczy bez związku. To ją nareszcie znudziło. Wstała znów i rzekła do niego:

— Mój Ignaś, zrobisz mi wielką łaskę, jeżeli mnie te

raz samą zostawisz. Dzisiaj się niczego nie dogadamy. Jedź sobie:...

Ignasł spojrzal na niq z przestraczem a ona wstala i dodala:

— Jedź sobie teraz... jutro znowu przyjedziesz.

Ignasł nie wiedzial sam, co sie z nim dzieje. Patrzal

jej w oczy jak dziecko, ktore sie rozgi obawia. Powoz jego zajechal, on ja scisnal w milczeniu za reke i wsiadl do powozu. Wtedy jej moze troche zal go sie zrobilo, przystapila do powozu, scisnela go za reke i rzekla uprzejmnie:

— Do jutra.

Ignasł z bolelnym usmiechem na twarzy odjechał.

Po jego odjeździe Flora siadła znów w krzesle obok swojego brata i głęboko się zamyśliła. Filek także był zamyślony. Ona spojrzala na niego po raz i drugi i miło jej bylo, ze on jej zamyślenie sie takze podziela A potem zaczela mówic wpół do siebie a wpół do niego:

— Człowiek fizycznie silny jak dąb a wewnątrz wiotki jak niedorodna roślina wychowana w cieplarni. Że on mnie kocha szczerze i całą duszą, o tem wątpic nie można. Własnej woli nie ma zupełnie, trzeba ma ją dopiero wpoić: o to jednak takze sie nie obawiam, jestem pewną, że mi się podda. Ale dlaczego on mówił o pełnoletności ? On już przewiduje jakieś trudności. Ten jego ojciec to człowiek nieodgadniony. W konwersacji jest łatwy jak nikt, ale przy- tem nieraz się jakoś dziwnie usmiecha a czasem nawet wcale wiedziec nie można, czy mówi na seryo, czy drwi. Cóż ty mówisz o tym starym Zaklice?

Tu Filek zbudził się z zamyślenia, ocucił się i rzekł:

— Ten stary Zaklika to jest człowiek po prostu głupi. On mnie chce dowieźdz, że pojęcie własności jest nietylko

ludziom, ale nawet zwierzętom wrodzone i jako dowód pokazuje mi tego psa, który nie da dotknąć nikomu swojej budki i koców. A przecie w państwie socjalistycznym nie będzie chodzić o podział takiej własności, tam także każdy mieć będzie swoją budkę i koce... Szkoda że nie miałem dość przytomności umysłu, aby mu to zaraz powiedzieć.

Na to Flora spojrzała na niego wzrokiem najwyższej pogardy, splunęła lekko na stronę, weszła do domu i drzwi zatrzasnęła za sobą.

*

* *

Tymczasem Zaklika, Prandota i Fujara, odprawiali swoją podróż bardzo wesoło. Fujara, jako marszałek podróży, był zupełnie w swoim żywiole: urządzał mieszkania w oberżach, dysponował obiady, brał bilety na kolej w Rzeszowie, kłócił się z konduktorami, drwił sobie z niektórych podróżnych i kpał służbę po dworcach kolei takim tonem imponującym, jak gdyby wiózł ze sobą jakiego udzielnego xięcia i kardynała. Zaklika niezmiernie się bawił Fujarą a nawet i Prandota się nim rozweselał i przyznawał, że temu szlachcicowi fantazyi nie braknie i tylko by mu trochę drobnych potrzeba, ażeby cały świat podeptał i przewrócił do góry nogami.

Do Lwowa przyjechali z południa, zajechali do Żorża, otrzepali się z kurzu, przebrali się w suknie miejskie i zeszli do sali jadalnej na obiad. Fujara przyszedł we fraku i w białej krawacie, uczesany starannie i wyperfumowany, z miną salonowego kawalera i z głową mocno podniesioną <io góry. Zastawszy w sali kilku dawnych znajomych, witał się z nimi, traktując Jednych bardzo serdecznie a drugich

Zaklika. T. I.

27)

protekcjonalnie, usprawiedliwiał się przytem, że może nie wszystkich zdoła odwiedzić, ale przyjechał do Lwowa, ażeby podnosić summy po Romanowskich, więc jest bardzo zajęty. Jakiemuś starszemu hrabi, który go do siebie zapraszał, powiedział głośno:

— Wiesz, co to za nudna historia, kiedy się ma do czynienia z adwokatami, ale jak tylko znajdę chwilę wolnego czasu, będę ci służyć.

Potem siadł do obiadu, ale bardzo był roztargniony. Mało jadł, pił trochę więcej a przytem wciąż kołnierzyki poprawiał, ażeby utrzymać minę odpowiednią swojej godności

— Quelle cuisine detestable! — rzekł do Zakliki, odsuwając talerz od siebie, — tu jeszcze Azya w tym Lwowie, tu dobrą kuchnię można znaleźć tylko w domach prywatnych, et encore! Zaklika się śmiał i pytał go:

— Dlaczegożeś się tak zaraz wystroił? jak gdyby cię już na jaki bal zaproszono.

— Zaraz po obiedzie muszę pojechać do księżnej, — odpowiedział mu Fujara, — do jutra już cały Lwów będzie wiedział, że przyjechał, możesz sobie wyobrazić, co by to było, gdyby się księżna dowiedziała, że jestem we Lwowie a jeszcze się jej nie pokazał.

— Naturalnie, — rzecze Zaklika z uśmiechem, ale co my z sobą poczniemy? Xiądz Prandota do teatru nie chodzi, z wizytami się spieszyć nie potrzebujemy, bo o nas pewnie nikt się nie troszczy, chyba pójdziemy jeszcze dziś wieczór do Żegoty, bo jutro niedziela, to i tak dzień byłby stracony.

— Do Żegoty? wieczorem?— zauważył Fujara, — nie radzę.

— Dlaczego?

— Bo u niego wieczorami schadzki bywają — a jakie schadzki! To prawdziwy Auerbachs Keller z Goethego. Bo to nie tylko, że tam sami tacy ludzie przychodzą, co noszą niemożliwe nazwiska, ale także i całkiem niemożliwe rzeczy gadają. Ja tam raz wpadłem na taką schadzkę — i cóż wam powiem? Oto tak*em się zgniewał, że sam za drzwi wyrzuciłem.

— Ej Fujara, — rzecze mu na to głośno się śmiejąc Zaklika, — tak mi się zdaje, że ci ktoś do tego dopomógł* Ale właśnie dlatego pójdziemy sobie do Żegoty, aby to zobaczyć. Gdzież mieszka ten pan Żegota ? bo ja tam raz byłem u niego przed kilką laty, ale już nie pamiętam.

— Przy ulicy ormiańskiej, oto masz numer, — odpowiedział mu Fujara. Poczem wydarł kartkę z pugilaresu, napisał mu numer, chlipnął trochę likieru, pożegnał się z> nimi i poleciał do więznej.

Zaklika i Prandota posiedzieli jeszcze chwilę przy kawie a potem, wyszli przed hotel i rozglądali się trochę po placu maryackim, w którą stronęby się mieli obrócić, ażeby trafić na ulicę ormiańską. Dzień był prześliczny sierpniowy, słońce już się schyliło ku zachodowi, po placu spacerowało wiele ludzi jak w święto. A wtem, kiedy Prandota spojrzął ku Bernardynom, jakiś żydek trochę kaprawy się zbliżył do niego i zaczął mu coś szeptać półgłosem. Prandota go nie zrozumiał, więc się nachylił ku niemu i kazał sobie jeszcze raz powtórzyć, czego żąda od niego. Natenczas żydek mu swoją rzecz dokumentnie wyłożył, ale Prandota, kiedy go

zrozumiał, okrutnym zapłonął gniewem i żyda w kark. Ży-

. 27*

dek się uchylił i uciekł. Zaklika się śmieje, że aż się trzyma za boki:

— Co ci to, Prandoto?

— Oto szelma! — zawołał zaperzony Prandota, — co to za zuchwalec! nawet nie szanuje sukni kapłańskiej ...

A Zaklika na to, śmiejąc się ciągle:

— Bo on się nie zna na sukniach. Widząc na tobie okrągły kapelusz prałatów rzymskich, myślał zapewne, że ty jesteś softa turecki...

— Ba dobrze, — mówił Prandota, sapiąc mocno i oglądając się jeszcze za żydem, — ale jakie tu obyczaje, ażeby wolno było... takie rzeczy, w dzień biały...

— Ale to kraj rządzony konstytucyjnie, — odpowiedział mu Zaklika, — każdemu wolno wykonywać swoje rzemiosło jak mu się podoba i żadna władza nie śmie mu w tem przeszkadzać. Zresztą i obyczaje tutejsze mają swój właściwy charakter, jest tu już trochę orientu....

Z tem weszli na wały hetmańskie. Jako w dzień sobotni, obydwie aleje wałów były jakby nabite prawie samymi żydami. Starsi żydzi w atłasowych kaftanach i w sobolowych czapkach z axamitnemi denkami, starsze żydówki w czepkach lamowych ozdobionych perłami, młodsze w strojach europejskich, ale obwieszone biżuteryami w sposób azyatycki, pomiędzy niemi tu i ówdzie młodzi ludzie- w cza- marach i polskich butach, gdzieindziej starzec w kontuszu i w konfederatce, — wszędzie zaś atmosfera duszna, złożona z zapachu czosnku, cebuli i perfum różanych.

— Jerozolima, — rzecze Zaklika, — ale i miasto także przedstawia widok oryginalny. Tu św. Jur z swoją bizantyńską kopułą panującą nad miastem, obok niego po jednej

stronie coś niby jak cytadela, po drugiej galicyjska Golgota a tu po prawej Wysoki Zamek, coś niby jak góra Oliwna. Ile tu nacyi jeszcze dziś żyje przy sobie, tego nie zliczyć* ale wolność wyrównywa je wszystkie pomiędzy sobą.

Tak, przeciskając się z wielką trudnością przez tłumy doszli do mostu, z którego skręca się na plac Ducha św. A tutaj nowy im się przedstawił widok. Jakiś szewczyk, już dosyć dorosły, z okrutnie nastroszoną czuprynką, z fartuchem przed sobą i parą butów przewieszoną przez ramie, ńaśmićwał się z żydów, klął na nich za to, że ukrzyżowali Chrystusa Pana a teraz chrześcijan lichwą zdzierają, wołał na nich, że wszystkie ich bindy perłowe i atlasowe kaftany to rzeczy kradzione, aż wreszcie zaczął na nich rzucać kamykami i piaskiem. Stojący obok stójkowy upomniał go raz i drugi, ale jak szewczyk i jemu pare dosadnych grzeczności powiedział, rzucił się na niego, porwał go za czuprynę i zaczął ^ię z nim tyrmosić, aby go zabrać ze sobą. Prandota, uwzględniając katolickie uczucia szewczyka, chciał już wstawiać się za nim, ale wtem żydzi zaczęli się zbiegać a jako-to zawsze są najgorętszymi obrońcami indywidualnej wolności, rzucili się na stójkowego i tak go poturbowali, że dopiero drugi stójkowy, który mu przyszedł z gołą szablą na pomoc, zdołał wyrwać go z tłumy.

— Oto masz wolność konstytucyjną, — zawołał na to Prandota, — ale jakie-to głupie te tutejsze żydziska! Przecie ten stójkowy stanął w ich obronie a oni jeszcze go za to poturbowali...

— Bo tutaj — rzekł złośliwie Zaklika — wszystko się dzieje inaczej, niż wszędzie indziej. Pokaż ty mi drugie takie miasto, gdzieby ci, w których ktoś stanął obronie, rzucili się za to na niego i mordowali swego własnego obrońcę.

Ale tutaj, w tym steku najrozmaitszych racyi, jest taki chaos uczuć i pojęć, że nawet i takie rzeczy obaczysz.

Z placu św. Ducha skręcili ku jezuickiemu kościołowi i tutaj się zatrzymali. Prandota rzekł: — Zaczekaj tu na mnie przez chwilę, wproszę się do tego kościoła, abym mógł jutro mszę św. odprawić. Aby mieć mszę w katedrze, trzeba pewnych formalności dopełnić a tutaj mnie znają, więc znajdę zaraz gościnne przyjęcie.

Z tem wszedł do kościoła i wrócił niebawem zadowolony, poczem szli ku ulicy ormiańskiej.

Żegota nie był adwokatem urzędującym formalnie. Za młodu doktoryzował się z prawa i odbył praktykę adwokacką, ale wtedy coś in politicis przeszkrobał, przesiedział lat kilka w więzieniu a potem, pomimo amnestyi, z niewiadomych powodów nie mógł już adwokatury otrzymać. Mimo to wszakże adwokacką kancelaryę otworzył, koledzy podpisywali za niego a ponieważ bardzo był popularnym i umiał sobie ludzi pozyskiwać swoją słodyczą, zrobił sobie dość znaczną klientelę a nawet i majątek uciulał.

Jak go uciulał, o tem różne chodziły wieści, ale wieści te' wcale mu nie szkodziły, bo umiał swoją popularność utrzymać.. Jak to robił, to także było jego sekretem. Był demokratą radykalnym, radykalniejszym od wszystkich, i w tem leżał klucz jego popularności. "Przeciwko wszystkim rządóm, jakie były, są i jeszcze będą", to było jego zasadą — a tę zasadę oklaskiwali wszyscy ci ludzie, którzy robili opinię publiczną. Żegota nie występował nigdy publicznie, nie oponował przeciwko nikomu jawnie, nie perorował namiętnie, tylko szeptnął temu albo owemu kilka słówek do ucha, ruszył ramionami z pogardą, uśmiechnął

T

- 423 —

się z kogoś szyderczo — i to skutkowało daleko lepiej, niżeli głośne argumentacje, bo mu dodawało tajemniczości* Oprócz tego dał czasem na jakiś sekretny cel kilka banknotów, mówiąc przytem: U mnie zawsze pomoc się znajdzie, tylko nie mówcie o tem nikomu, bo wszystko, co mam, to jest dla was, ale tego nie wiele i nie dla wszystkich wystarczy. .. A to mu robiło sławę wielkiej ofiarności. Nad to zaś prawie co wieczór przyjmował u siebie wszystkich naj- zawołanszych krzykaczy, wszystkich malkontentów, młodzież akademicką i rzemieślniczą, zawsze stawał po stronie oponujących a nawet najzagorzalszym jeszcze dodawał ostrogi. Temi środkami zbudował sobie i utrzymywał popularność niewzruszoną i niespożytą, której nikt nie śmiał zaczepić i której też nic zachwiać nie mogło. Miał kilka cywilnych procesów, bardzo brzydkich, które fatalne rzucały światło na jego charakter, ale o tem nikt nie mógł wspomnieć, boby go zakrzyczano. Raz mu się nawet noga powinęła, wtenczas coś nie przeskrobał, ale po prostu podskrobał, rzecz się o sądy oparła, ale naówczas taki hałas piekielny podniesiono za nim w małych dzienniczkach, w garku- chniach i po kawiarniach a wreszcie publicznie taką mu wyprawiono o wacyę, że sądy, li tylko ze względu na utrzymanie publicznego spokoju, pozwoliły mu tę sprawę załatwić pieniądze. A potem stanął jeszcze daleko wyżej w opinii, niż kiedykolwiek w swem życiu.

Żegota był niewielkiego wzrostu, ale mocno nabity, miał siwiejącą czuprynę jak strzechę i taką brodę kłaczy- stą, oczy siwe wciąż uśmiechnione i wieczny uśmiech na twarzy, był przytem słodki i uprzejmy dla wszystkich a nawet wtedy, kiedy najkrwawsze zamiary pochwał, jego słowa nosiły na sobie cechę niewyczerpanej dobroduszo-

ści. Nieboszczyk generał poznał go niegdyś u starego Romanowskiego, bardzo wielkiego pana w Żółkiewskim, i poruczył mu zastępstwo Swych interesów we Lwowie — a kiedy go swemu synowcowi polecał, powiedział o nim:

— Żegocie możesz ufać zupełnie, za jego uczciwość ci ręczę.

Żegota mieszkał w kamienicy niezmiernie starej i zapewne od kilku wieków nietkniętej. Miał swoje mieszkanie i kancelaryę na dole a przyjmował swych gości w ogromnej hali z dużymi zakratowanymi oknami, w której wysunął się prawie ku samemu środkowi jakiś niby piec kolosalny, otoczony dokoła ławami. Niegdyś, kiedy tutaj mieszkali bogaci ludzie, którzy dużo jadal, była-to kuchnia zapewne: teraz ten piec mieścił na sobie ogromne szafy nabite fascykulami a po obydwóch stronach tworzył jakoby dwie wielkie nisze, bardzo głębokie, które pomimo dwóch lamp kamfynowych, stojących po rogach pieca, tonęły zawsze w półcieniu. Żegota siedział w wysokim krześle w przeciwległym kącie przy stole, na którym także paliła się lampa: izba i nisze były napelnione ludźmi rozmaitego wieku i w rozmaitem ubraniu, najwięcej młodych, było wszakże kilku starszych, był także xiądz jakiś, w rewerendzie i w mantolecie, z którego kroju jednak nie można było rozeznąć, do jakiej hierarchii należy. Goście ci stali grupami i rozmawiali gwarliwie ze sobą, wśród gwaru niepodobna było zrozumieć, o czym mówili, a wśród gęstych chmur tytuniowego dymu nie można nawet było rozpoznać ich twarzy.

Kiedy Zaklika i Prandota weszli do tej hali, Żegota przyłożył rękę do czoła a poznawszy natychmiast Zakiikę, wstał raźnie, zwitał go uprzejmie, przypomniał się Pran-

docie mówiąc, że go raz widział u generała, a otworzywszy natychmiast drzwi, wprowadził ich do przyległego pokoju, który był rodzajem salonu. Tam podał im krzesła i zaraz Zaklice zdał sprawę z procesu, za którym Zaklika przyjechał do Lwowa. Wszystko było w porządku: hipoteki zlikwidował, summy podniósł, ale ponieważ dla bezpieczeństwa złożył je w kasie Oszczędności, więc mu je doręczy dopiero we czwartek lub w piątek. Więc bardzo dobrze.

— Tymczasem może panowie zechcecie się cokolwiek rozerwać w naszej stolicy, — mówił Żegota, — u nas tutaj jest trochę swobody, jeszcze to nie to, czego sobie życzymy i do czego z czasem z pewnością dojdziemy, ale zawsze jest tu niemało ruchu i życia. Inny tu świat, niżeli tam u panów w Królestwie. I u mnie także jest trochę gości, przyszli na pogadankę, to nasza młodzież, są między nimi ludzie talentu, nadzieja ojczyzny, — dodał z uśmiechem, — może panowie zechcecie do nich się zbliżyć, przedstawię wam kilku, będą bardzo szczęśliwi poznać panów zakor- donowych.

Zjem wrócili do wielkiej hali a Żegota mu zaraz przedstawił jakiegoś młodego człowieka, który postawą i staranniejszym ubraniem nieźle się prezentował, i rzekł kładąc mu rękę na ramieniu:

— To nasz Mikołajek, publicysta na teraz, ale będzie z niego coś kiedyś...

Zaklika wdał się z nim zaraz w rozmowę — a tymczasem ów xiądz w mantolecie przystąpił do Prandoty i sam mu się przedstawił. Prandota powiedział mu zapewne także swoje nazwisko, bo ów xiądz ścisnął go kilkakrotnie za rękę i odtąd mówił z nim z pewnym uszanowaniem. Nie

można było dosłyszeć, o czym z sobą mówili, tylko w pewnej chwili Prandota rzekł głośniej:

— Dawne-to czasy, każdy wtedy robił, co mógł... Ale odtąd sytuacja się całkiem zmieniła, dziś lepiej o tem nie mówić.

W tej chwili, z głębi niszy, z pomiędzy! tłumu, wysunął się Tarło. Zapewne się zastanawiał przez chwilę, czy ma się pokazać, ale zdecydował się wreszcie, przystąpił raźnie do Zakliki i witał go serdecznie, jako znajomego. Prandota tak się zdziwił zjawieniem się Tarła, że przerwał swoją rozmowę z księdzem, ale Zaklika był jeszcze więcej zdziwiony, że go tutaj zastaje, tylko nie dał tego poznać po sobie i mówił z nim wesoło i po przyjacielsku. Potem zaś rzekł mu otwarcie:

— Nie spodziewałem się zastać ciebie we Lwowie.

— Trudno mi w domu usiedzieć, — odpowiedział mu Tarło, — u nas nic robić nie można a tutaj się przecie coś robi...

— Cóż tedy robicie? bo ja czytuję gazety, ale o was niewiele się z nich dowiaduję.

Tu Mikołajek i Tarło opowiedzieli mu na przemian, jaka jest sytuacja z ich punktu widzenia i jak się w niej zachowują. Zaklika jednak nie zdawał się ich robót pochwalać, bo rzekł:

— Wszystko to dobrze, ale to tylko są agitacje, zaś rzeczywistej i pożytecznej pracy w tem wcale nie widzę. Zdaje mi się, że dotąd jeszcze ludzi nie macie.

i— My ludzi nie mamy? — zawołał na to Mikołajek, — a Buczek?

— Nie słyszałem nic o nim.

— Jako? pan nie zna Buczka? był przecie w organiza-
nizacyi.

— W jakiej organizacyi? — zapytał niecierpliwie Zaklika.

— A to dobre! — zawołał Mikołajek, — a przecie pan, jak słyszę, byłeś także w organizacyi.

— Nie panie, — odpowiedział mu sucho Zaklika, «— ja w tej waszej organizacyi, gdzie organizowano rzeź niewiniątek, wcale nie byłem, ja byłem tam gdzie strzelano. I jeżeli wasz Buczek tylko drugich organizował to mi tem jeszcze wcale nie imponuje. Cóż on robi, ten Buczek?

— Go robi? co robi? jest, stoi wciąż na wyłomie i kieruje opinią publiczną.

Zaklika patrzył na niego swemi ironicznymi oczyma, ale Mikołajek wcale na to nie zważał i mówił dalej:

— A Mruczka także pan nie zna? także służył w organizacyi,

— Nie, —» rzecze Zaklika, — to już prędzej znam Buczka, bo Buczek, jak mi się zdaje, mógłby przynajmniej być do czegoś przydatnym.

— A! Mruczek to człowiek, — rzekł prędko Tarło, — studyował medycynę w Paryżu...

— To ten jest przynajmniej lekarzem, — rzecze Zaklika — i zapewne ma klientelę...

— Klienteli nie ma, bo się więcej zajmuje publicznymi sprawami...

Ale tu przerwał mu Mikołajek, mówiąc:

—: To pan i o Dziurkowskim zapewne nic nie wie?

— O Dziurko wskim, — rzecze Zaklika, — coś zdaje mi się słyszałem. Podobno coś pisał...,

— Bagatela! — zawołał Mikołajek, — pisarz euro

pejskiej sławy. Jakże P więc pan nie znasz nikogo i mimo to sądzisz, że my ludzi nie mamy?

A wtem otworzyły się drzwi, szerzej jak zwykle, i wszedł człowiek dosyć słusznego wzrostu, około pięćdziesięciu lat wieku, z piękną brodą i wąsem sumiastym, trochę niedbale ubrany, ale pełen świadomości swojego znaczenia, co widać było po pewnej sztucznie utrzymywanej sztywności całej postaci i głowie podniesionej do góry.

— Buczek! — krzyknęli jedni a drudzy przystępowali do niego, aby mu rękę uścisnąć.

Buczek witał wszystkich, ale spostrzegłszy obcych, zwrócił na nich badawczą uwagę, wszelako Żegota zaraz przybiegł ku niemu i powiedział mu nazwiska gości, dodając znacząco:

— Nasi przyjaciele z kongresówki.

Natenczas Buczek zmierzył Zaklikę i Prandotę cieka- wemi oczyma od stóp do głów, w czym się przebijało zarówno złe wychowanie, jak pewne niedowierzanie, i rzekł do Zakliki, podając mu rękę:

— Obywatel mieszka na wsi, czy w samej Warszawie? cóż tam robicie w Królestwie? jakże się tam dziś układają stronnictwa ?

Zaklikę uderzyło nieprzyjemnie całe wzięcie się tego człowieka a jeszcze więcej tytułowanie go obywatelem, ale odpowiedział mu dobrodusznie:

— My w Polsce stronnictw politycznych nie mamy. W naukach, w literaturze, w sztuce, objawiają się rozmaite prądy, często sobie przeciwne, które też walczą z sobą o prawdy naukowe, estetyczne, społeczne i filozoficzne, ale zresztą na stronnictwa się nie dzielimy, tylko rozwijamy

wspólnie i jednomyślnie nasze siły żywotne i koncentrujemy je zgodnie w jednolitej dążności i w dążności oporu.

— To źle, g— rzecze mu Buczek, — bo ten opór na nic się nie zda, jeżeli nie jest na wskroś demokratycznym* Opór szlachty to czysta illuzya, szlachta się zawsze poro-r zumie z monarchiją, bo sama tylko w monarchii ma rację bytu. My tutaj, panie, mamy stronnictwo demokratyczne, które się opiera na miastach i ludzie a na szlachtę wcale nie liczy. Miasta i lud, w nich przyszłość, tak panie.

— Jużci zapewne, — odpowiedział mu Zaklika, wysilając się na cierpliwość, — że miasta i lud mają przyszłość przed sobą. Nikt więcej odemnie nie jest za tem* ażeby miasta się moralnie i materyalnie podniosły i aby lud się oświecił i rozbudził w sobie uczucia obywatelskie, ale dlatego jeszcze nie widzę wcale potrzeby tworzenia osobnego stronnictwa demokratycznego, zwłaszcza w takim kraju, gdzie zasada demokratyczna osiągnęła już wszystkie swe cele.

— Wszystkie swe cele? — zawołał Buczek z ironiją, — a to obywatel chyba nic nie wiesz o tem, że tutaj w tym kraju jeszcze szlachta rządzi samowładnie jak dawniej.

— W każdym kraju — odpowiedział mu z naciskiem Zaklika — zawsze ten rządzi, kto ma więcej zdolności i energii po temu. Jeżeli nie wy tutaj rządzicie, to wasza wina. Ale nie o to idzie. Tylko o to, że demokracja osiągnęła tutaj wszystkie swe cele. Bo jakież był program demokracji? Zniesienie poddaństwa i przywilejów, rządy reprezentacyjne, równość w obliczu prawa, sądy przysięgłych, wolność sumienia, wolność druku, stowarzyszeń a wreszcie wolna konkurencja wszelkiej pracy: to wszystko macie. Nie widzę zatem żadnej racyi bytu dla stronnictwa demo

kratycznego, bo przecież nie możecie żądać przywilejów dla mieszczan i ludu a wykluczenia potomków dawnej szlachty od sprawowania urzędów, toby się przecież sprzeciwiało zasadzie równości wszystkich w obliczu prawa. Nawet gdybyście się nazwali stronnictwem demokratyczno- patryotycznym, to i to także nie miałyby sensu, bo demo- kracya a patryotyzm to nie jest jedno i to samo: można być demokratą a nie być patryotą, i można być bardzo gorącym patryotą, nie będąc demokratą. A kiedy u was już wszystkie zasady demokratyczne weszły w życie, to nie pozostaje wam nic innego, jak stać na jednym gruncie ze wszystkimi społecznymi warstwami — i jeżeli tutaj jest miejsce dla jakiegoś stronnictwa, to tylko dla stronnictwa liberalnego i postępowego, któreby w obec dążności reakcyjnych z jednej a socjalistycznych teoryj z drugiej strony umiało rozwijać postęp pod każdym względem, bez przesadów i bez ideologii a z należytem umiarkowaniem...

— To też my jesteśmy stronnictwem demokratyczno- postępowem, — rzekł Buczek, — my wiemy dobrze, czego chcemy, tak panie.

— Oni mają swój program, — rzekł Tarło.

W tej chwili wszedł Mruczek. Był to człowieczek małego wzrostu, silnie zbudowany, lecz chudy, z rozczochraną czarną brodą i niby uśmiechnionymi oczyma, ale te oczy ciągle latały i czasem błyskały jak gdyby przytłumionymi iskrami. Zresztą cały był jak na sprężynach, niespokojne nerwy ciągle nim dygotały i widać było w nim człowieka, który bezustannie jest zatrudniony i nigdy nie ma chwili wolnego czasu. Ścisnął też ciągle ręce przed sobą, tego i owego przywitał kiwnięciem głowy. Żegota go przedstawił Zaklice, poczem stanął przy rozmawiających, odskoczył

od Prandoty, jak gdyby go krzyż złoty zawieszony na jego piersiach przeraził, przypatrywał się uważnie Zaklice i słuchał dalszej rozmowy.

— Tak panie, my mamy nasz program, — powtórzył Buczek z emfazą.

— Ja może nie znam waszego programu, — mówił dalej Zaklika, — ale jeżeliście go oparli tylko na zasadzie demokratycznej, to mogę wam z góry powiedzieć, że jest niedostatecznym. Nie o demokrację dziś idzie: to jest już dzisiaj, że wam to powiem zrozumiałym dla was językiem, ein uberwundener Standpunct. W dzisiejszym świecie widzimy całkiem inne dwa prądy, które nad wszystkim go rują. Pierwszy z nich jest to prąd religijny...

Tu Buczek i Mruczek spojrzeli na niego ciekawie i słuchali go odtąd z lekceważącym uśmiechem.

— Prąd religijny, — mówił Zaklika, — który jest .dzisiaj tak, silny, jakim jeszcze nigdy nie był od czasu zaprowadzenia chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo miało epoki, w których dokonywał nadzwyczajnych rzeczy a nawet przez jakiś czas monarchicznie rządził całym cywilizowanym światem, ale dotychczas opierał się tylko na samej wierze i na religijnych uczuciach. Środkiem jego działania był zapał a czasem fanatyzm. Ale dziś chrześcijaństwo oparł się na rozumowej podstawie i stał się przekonaniem, dziś on nie tylko wierzy, ale ma zarazem świadomość siebie i wie, czego chce: jako wiara troszczy się o wieczną przyszłość człowieka a jako przekonanie jest bronią przeciwko anarchicznym dążnościom i środkiem utrzymania społecznego porządku. Dzisiaj setki tysięcy ludzi, których wiara może jest chłodną, są stanowczymi obrońcami zasad chrześcijańskiej religii, bo tylko w nich widzą siłę nie ulegającą cza

sowym politycznym pojęciom a zarazem jedyną potęgę moralną, mogącą utrzymać ludzkość w korbach jakiejś więzi społecznej. Ten prąd religijny, we wszystkich krajach, gdzie chrześcijaństwo panuje, zajmuje sobą coraz szersze przestrzenie i porywa coraz więcej zwolenników ze sobą — a kto chce dzisiaj rozwijać czynność, czy to społeczną, czy polityczną, musi się z nim liczyć koniecznie.

— To klerykalizm,— rzekł na to Buczek, — nie jest on tak silny, jak się obywatelowi wydaje. My naszych klerykałów potrafimy policzyć na palcach i za to wam ręczę, że damy im radę. My w naszym programie mamy na to sposoby, tak panie.

— Ale pan mnie nie rozumiesz, — odpowiedział mu ważąc swe słowa Zaklika, — klerykalizm jest tylko frakcją w tym prądzie, klerykalizmowi i ja jestem przeciwny, ja mówię o tym religijnym prądzie w ogóle, który nie ma na sobie znamion sekciarstwa, ale mimo to a raczej właśnie dlatego miliony sobą zajmuje i całą Europę coraz więcej zalewa.

W tej chwili Mruczek, odwróciwszy się od Zakliki, rzekł do swoich kolegów:

— To są kruchciane pojęcia, oparte na bajkach dziadów kościelnych. Im idzie o to, aby nas straszyć urojonemi massami. Każdy klerykał takie androny prawi, ale jest na to ratio physica: jak ich kiedyś wytną jak trutniów, będzie spokój na wieki.

Na to koledzy odpowiedzieli mu rozgłośnym śmiechem zadowolenia, zauważał to Zaklika, ale zauważał także i Buczek i rzekł:

— My zresztą w niczyje wierzenia się nie mięszaraj, nasze zasady są tak obszerne, że w nich jest miejsce dla

każdego, byle nie zabierał miejsca drugiemu, równe prawa dla wszystkich, tak panie.

Zaklika już nie miał ochoty kontynuować swego wykładu, rzekł zatem krótko:

— A drugim prądem dziś panującym jest prąd socya- listyczny, który także jeszcze nigdy nie był tak silnym jak teraz, bo nietylko że milionowe massy z sobą porywa, ale pomiędzy swymi zwolennikami liczy ludzi wysokiej intelli- gencji i głębokiej nauki. Tu już nie idzie o równość w obliczu prawa, tylko o zasadnicze ludzkiego społeczeństwa podstawy, które socjalizm uważa jako spróchniałe i chce je całkiem innemi zastąpić. Te dwa prądy duchowe pędzą niepowstrzymaną siłą naprzód obok siebie, na niektórych punktach walczą przeciwko sobie, na innych stykają się z sobą: czy ostatecznie stoczą ze sobą krwawą wojnę na noże? czy wreszcie się z sobą pogodzą? kto to może dziś wiedzieć? Ale z tego wynika, że między temi dwoma prądami dl^ demokracji a mianowicie dla tej demokracji z czasów Ludwika Filipa i naszego Towarzystwa demokratycznego, nie masz miejsca, to są stare szmaty do ostatniej nitki zużyte, tu trzeba coś innego wymyśleć...

Tu Mruczek szepnął do swoich kolegów:

— Ot głupstwo, my przecież socyalistów nie odtrącamy od siebie...

Ale Buczek rzekł na to:

— My i na socyalistów mamy nasze sposoby...

Z tego widać było, że między Buczkiem a Mruczkiem nie było zgody zupełnej i zachodziły pomiędzy nimi pewne różnice. Buczek mówił dalej:

— Na to mamy nasz program, który znać trzeba, bo

Zaklika. T. 1.

on jest oparty na danych statystycznych i wyrobiony aż do najdrobniejszych szczegółów...

— Ja znam te wasze statystyczne roboty, — przerwał mu Zaklika, — ale one mnie wcale nie zbudowały. W obec nauki to są błagi. Ci, którzy piszą te rzeczy, nie wiedzą wcale, że cyfry statystyczne, w bardzo wielu wypadkach tylko przypuszczalne, mogą być tylko do pewnego stopnia pomocniczym żywiołem do rozwiązywania kwestyi polityczno-społecznych — a oprócz tego jeszcze i buchalteryi nie znają. W polityce zaś te statystyki prowadzą wprost do pesymizmu a z nim do rozpacz. W tych statystycznych robotach zresztą czytałem zdanie, że Galicya, nie “mechanicznie”, lub “organicznie” jest połączona z austryacką monarchią — a w tem wyznaniu leży rezygnacya, która już jest skutkiem rozpacz. W obec takich manifestacyi szczegóły waszego programu mogą mi już być obojętne. Gdybyście jeszcze postawili program taki, że chcecie dążyć do otrzymania dla Galicyi takiej autonomii, jaką mają Węgry, tobym ten program zrozumiał, bo byłby on poważną a przeto i dostateczną podstawą dla osobnego stronnictwa: ale wasza statystyka was nauczyła, że Galicya jest zanadto ubogą i nie ma czem kosztów takiej autonomii opłacić — a to uczucie, że należy ostatnią koszulę poświęcić, ażeby zapewnić samoistność krajowi, ani wam na myśl nie przyszło, bo go w swem sercu nie macie. Więc cóż ? ani wyższej idei od innych, ani wyższego poświęcenia od wszystkich — i z tem chcecie odrębne stronnictwo zakładać?

— Ale obywatel nie znasz wcale naszego programu, — rzekł Buczek, — przecież kamieniem węgielnym naszego działania jest polityka Kościuszki. Przy najbliższych wyborach publicznie to ogłosimy, tak panie.

Na to Zaklika głośnym wybuchnął śmiechem i odwrócił się do Prandoty, aby obaczyć, jakie to wyznanie Buczka sprawiło na nim wrażenie. A tymczasem Buczek się zniecierpliwił i spytał go, patrząc mu w twarz gniewnymi oczyma:

— Czego obywatel się śmieje?

Ale Zaklika śmiał się pomimo to dalej i odpowiedział mu na to:

— Obywatel się śmieje naprzód dlatego, że Kościuszko nie był wcale politykiem, tylko insurekcyjnym żołnierzem. Gdyby panu przyszło, z działania Kościuszki wyłuszczyć program politycznego postępowania dla Galicyi, to podobnobyś nie potrafił nawet pierwszego paragrafu ułożyć. A potem obywatel się śmieje dlatego, iż sobie myśli, coby też znający historię Niemcy powiedzieli na to, gdybyście na Kościuszcze wjechali do wiedeńskiego Reichsrathu...

N|t to Prandota, który już od godziny stał jakby na szpilkach, zbliżył się do Zakliki i chciał go zapytać, czy myśli jeszcze zaczekać na Dziurkowskiego. Ale Zaklika go uprzedził i rzekł:

— Chyba idźmy za przykładem Fajary i wyrzućmy się za drzwi.

Z tem przystąpili do Żegoty, aby się z nim pożegnać. Żegota był trochę zakłopotany i mówił do nich:

— U nas tu wolność, każdy wypowiada otwarcie swoje idee...

— Jesteście szczęśliwi do pozazdrosczenia, — rzekł mu na to Zaklika, — u nas nic nie wolno. U nas nawet i głupim być niewolno, bo i za to się jedzie na Sybir.

Zaczem ścisnęli rękę Żegocie, pożegnali jego gości niskim ukłonem i wyszli.

Szli źle oświetloną ulicą W milczeniu. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, Zaklika zatrzymał Prandotę i rzekł:

— Buczek, Mruczek i Dziurkowski. Pamiętaj to sobie: In hoc signo vinces.

Prandota się śmiał i mówił:

— Ale dlaczego sobie to tak bierzesz do serca?

— Ależ to mury łamać tymi ludźmi, — zawołał Zaklika, — taka tam w tych głowach ciemnica. Oni tu żyją jak w Chinach, nawet wcale nie wiedzą, co się dzieje na świecie...

— To dobrze, — rzecze mu na to Prandota, — ale dlaczegoż zaraz się tem irytować? Ty wszędzie szukasz idealnej doskonałości a tej niema na świecie: ludzie wszędzie są ludźmi. Zresztą to jest tylko mała garsteczka tutejszej ludności, nie całe miasto. Obaczmy innych a wtedy zapewne inne otrzymamy wrażenie.

~ Obaczmy, — odpowiedział mu Zaklika, — ale ten Tarło! to on dlatego zaniedbuje swe gospodarstwo, ażeby w takim żyć towarzystwie!

Prandota rad, że Zaklika tak się wyraził o Tarle, zauważał półzartem: *

— To jest determinizm. Wiesz przecie, że jego ojciec był jednym z najkrzykiiwszy ch radykałów na emigracji.

— Kazałem mu przyjść do siebie do hotelu, — rzekł Zaklika, — muszę go przecież wy badać.

Właśnie północ biła na wieży, kiedy weszli do hotelu. Zastali już Fajarę w mieszkaniu, ale był jeszcze ubrany, *

widocznie czeka! na nich, aby im jakichś ciekawych nowin udzielić. Jakoż jak tylko weszli, rzucił się zaraz ku Zaklire i zaczął mu opowiadać:

— Byłem tedy u Xiężnej. Doskonale trafiłem, była właśnie recepcya, Xiężna co sobotę przyjmuje. Jakito dom prawdziwie pański a bez furfanteryi, jaki tam ton wykwinntny a nie wymuszony, jaka swoboda w konwersacyi a jaka przytem powaga. A jakie tam towarzystwo! prawdziwa fine fleur arystokracji, chociaż podobno się tam także jakichś kilku uczonych czy adwokatów kręciło. A jacy wszyscy szczęśliwi! Widać zaraz kraj, którym rządzą les classes dirigeantes. Było dwóch arcybiskupów, jeden biskup i jakiś zakonnik. Był także Marszałek, jeszcze całkiem młody człowiek : jak-to się tu robi karyery, kiedy się ma imie i zdolności po temu. Był także Namiestnik. Qud grand seigneur! Niechże mi takiego drugiego znajdą w całej Europie. A jaki grzeczny dla wszystkich! Poznał mnie zaraz a nawet sobie moją żonę przypomniał, ale był tak delikatnym, że się po niej tylko zlekka prześlizgnął...

— Zresztą jak wszyscy, — przerwał mu Zaklika, — z wyjątkiem murzyna...

Na to Fajarze się twarz przekrzywiła i zahółkował a potem rzekł tonem boleśnym:

— A jaki ty jesteś złośliwy! Nie uwierzysz, Czesławie, ile ty sobie nieprzyjaciół robisz tą twoją zjadliwością, nad którą panować nie umiesz. To bardzo źle, wierz mi. Dla twoich uczuć szlchetnych i twoich zdolności wszyscy cię cenią, mógłbyś być najpopularniejszym z ludzi, ale tym twoim jadem robisz sobie bardzo wielu nieprzyjaciół Jak kiedyś umrzesz, po najdłuższem życiu, to pewnie całe województwo się zjedzie na twój pogrzeb, ale niejeden z głębi

piersi odetchnie — a mógłbyś po sobie zostawić niespożyta pamięć na wieki.

— Je m'en moque un petit peu, — rzekł mu na to Zaklika, — więc cóż tam Xiężna?

— Nic, — odpowiedział mu Fujara, już całkiem skwaszony, — pytała się o ciebie i o Firlejów, trzeba abyś był u niej.

— Zapewne, że będę, — odpowiedział mu Zaklika, ale dalsza konwersacja już nie szła. Wszelako Fujara, chcąc jakokolwiek zatrzeć to co powiedział, dodał jeszcze:

— Ja się domyślam, dlaczego ty jesteś w takim złym humorze. Pewnie się zirytowałeś tem, coś słyszał u Żegoty. Ale jutro innych ludzi obaczysz, to i dobry humor powróci. Ja tobie tylko tyle powiadam, że to jest kraj najszczęśliwszy pod słońcem. Jak tylko sprzedam mego Du-rera, to sobie majątek zakupię w Galicyi i będę mieszkał we Lwowie. I ręczę ci za to, że wtedy tylko będę Pana Boga prosił, abym żył jaknajdłużej.

Z tem poszli spać, Zaklika w humorze zgryźliwym, Fujara jakokolwiek uspokoiony a Prandota pełen dobrych nadziei dla Frydrusza i Geni.

Nazajutrz Prandota puścił się z wizytami w sfery duchowne a Zaklika pomiędzy ludzi świeckich, gdzie miał wielu przyjaciół i dawnych znajomych. Bawili przez cały tydzień we Lwowie i widzieli wszystko i wszystkich. A kiedy w sobotę wieczór wrócili do hotelu i kazali swe rzeczy pakować, ażeby nazajutrz rano odjechać, Prandota widząc, że Zaklika ma twarz wypogodzoną, rzekł do niego:

— Cóż tedy? położywszy wszystko razem na wagę, jakież ci pozostaje wrażenie ogólne?

— A tobie? — spytał Zaklika.

#

— Ja jestem więcej niżeli zadowolony, — odpowiedział mu Prandota — jestem uradowany, uszczęśliwiony i podniesiony na duchu. Dla duchowieństwa tutejszego wszystkich trzech obrządków mam szczery i głęboki szacunek a jeżeli powiem uwielbienie, to i to nie będzie zanadto. Są to prawdziwi ojcowie kościoła a przytem mężowie światli, rozumni, pełni ludzkości, patryotyzmu, wyrozumiałości na wady ludzkie i umiarkowania. To też budującą rzeczą jest widzieć, do jakiego stopnia, pomimo najrozmaitszych opinii, które społeczeństwo tutejsze nurtują, powszechnym są otoczeni szacunkiem.

Ten jednomyślny szacunek wydaje ich zacności daleko wymowniejsze świadectwo, niżeli wszelkie zewnętrzne honory i odznaczenia. To jest siła, która ma wielkie znaczenie i której nikt lekceważyć nie może. I wierz mi, że wywierają oni daleko większy wpływ na społeczeństwo, niżeli wszystkie stronnictwa i niżeli to widać na oko, bo to przecież lud katolicki a słowa płynące z kazalnicy i z konfessynału, poparte do tego przykładem życia, całkiem inaczej działają, niżeli deklamacye dzienników i agitatorów. Zgoła jeżeli Bóg mi pozwoli spędzić ostatnie lata mojego życia w bezpieczeństwie od trosk i niepokojów, to tutaj je spędzę ~ a nawet już mam przyrzeczenie, że się tu tak pomieszczę, ażebym mógł do grobowej deski pracować. Cóż ty tutaj znalazłeś?

Na to Zaklika chwilę się zastanowił a potem odpowiedział mu z serca i z przekonania:

— Chcąc rzeczy sądzić, nie z mego osobistego i może istotnie cokolwiek idealnego punktu widzenia, tylko kładąc je na wagę bezstronnej sprawiedliwości, to i ja muszę powiedzieć, że znalazłem tu wiele dobrego. Oni tu mają rząd

niby obcy a przecie własny, zapewne że nie bez niedostatków, ale co najmniej znośny. Administracja ich jest skomplikowana, skąd wynika pomnożenie kosztów, dla kraju dość uciążliwe, i mnóstwo niedogodności wpływających właśnie z tej dwoistości administracyi: ale kraj chętnie ponosi te koszta a niedogodności usuwają się za pomocą osobistego porozumiewania się pomiędzy reprezentantami obydwóch władz krajowych. I trzeba przyznać, że dotąd dosyć dobrze to im się udaje. Wszystkie gałęzie tej administracyi, tak autonomicznej, jak i rządowej, nabite są ludźmi, którzy, według wyrażenia Fujary, noszą niemo- żebne nazwiska, z czego wynika, że te tak zwane classes dirigeantes są pod tym względem wcale liberalne a skargi Buczków i Mruczków na ucisk ze strony szlachty nie są usprawiedliwione, bo droga do pracy i do zasługi stoi każdemu otworem. Nie poznałbym nawet naszej szlachty, gdyby postępowała inaczej i chciała komuś przeszkadzać, który chce za nią pracować. Agitacye tej frakcyi, która się nazywa demokratyczną a która jeszcze i w swoim wnętrzu jest podzieloną na rozmaite frakcyjki, nie mają ani politycznego znaczenia, ani doniosłości praktycznej: społeczeństwo we wszystkich swych warstwach chce pracy spokojnej i skutecznej dla kraju a agitacyi daje się porywać tylko chwilowo, w czasie wyborów, i chwile te mijają jak śnieżyca marcowa, nie zostawiając, prócz kilku guzów, żadnego śladu po sobie. W tem położeniu, jakie się tu wytworzyło, ta frakcyja nigdy do przewagi nie przyjdzie: bo naprzód ani ludzi nie mają, ani nawet takich, jakich demokracya nasza miała dawnemi czasy — a potem, nie mają żadnej własnej idei ani swego własnego programu. Byłoby to pierwsze stronnictwo na świecie, któreby przyszło do ja- 0

kiegoś znaczenia nie mając swojej własnej idei — a te punkty praktyczne, które oni w swój program włożyli, nie są ich wyłączną własnością, stoją one od dawna na programie konserwatystów i jeżeli konserwatyści nie wysuwają ich naprzód, to tylko dlatego, że dzisiaj nie są na czasie. Jak czas przyjdzie po temu, to konserwatyści im wezmą te punkty a że są silniejsi, więc też i oni je wykonają. Zresztą widziałem tu wielu ludzi, którzy są na wskroś przejęci zasadami demokratycznymi i liberalnymi, pełno ich jest w obydwóch administracjach i w sądownictwie, w mieszczaństwie, w nauczycielstwie, pomiędzy adwokatami i uczonymi, ale mimo to przecież do tej frakcji się nie przyznają, bo i oni także są zwolennikami pracy spokojnej i pożytecznej a agitacją się brzydzą. Pełno ich jest także po rozmaitych zakładach i stowarzyszeniach — a tych stowarzyszeń jest wiele i wszystkie dobrze są prowadzone i z rzeczywistym pożytkiem dla kraju. Zgoła jest tu bardzo wiele dobrego, ► kraj się podnosi i bogaci, oświata i dobrobyt ciągle się rozszerzają, zdrowy rozsądek i umiarkowanie wszędzie przeważa...

— Więc chwała Bogu, — przerwał mu uradowany Prandota, — -więc nie darmośmy tu przyjechali...

— Wcale niedarmo, — odpowiedział mu Zaklika, — ja bardzo kontent jestem z tej podróży. Rozerwałem się, podniosłem się na duchu a tu i owdzie mogę się czego nauczyć. Ale ty powinieneś być jeszcze więcej kontent odemnie, bo muszę ci powiedzieć: Galilee vicisti,

— Nie rozumiem cię, — rzekł Prandota, patrząc uważnie na niego.

A Zaklika odpowiedział mu na to:

— Był u mnie Tarł©. Wyciągnąłem mu wszystkie

muchy z nosa, to taki sam półgłówek, jak goście Żegoty, a jeszcze do tego na francuskie kopyto. Jużci córki nie wydam za niego...

Na te słowa jak gdyby promień słońca błysnął na twarzy Prandoty. Ale rzekł tylko:

— Cieszę się, że moje informacje o nim tu się sprawdziły. ..

A potem nie chcąc, aby Zaklika spostrzegł, że go ta rzecz tak zbliża obchodzi, zaraz konwersację do dawnego przedmiotu nawrócił i mówił wesoło:

— Pierwszy raz mi się zdarzyło słyszeć cię chwającego coś bez ogródki i bez krytyki.

— Nie bez krytyki, — odpowiedział mu Zaklika, — bom jeszcze nie skończył. Im tutaj bardzo ważnych rzeczy brakuje. Naprzód brak ducha: oni stoją na stanowisku czysto prowincjonalnem i dlatego nie wywierają zgoła żadnego wpływu na inne części społeczeństwa polskiego a przeto nie dopełniają wcale tego posłannictwa, do którego ich los szczęśliwy powołał. A potem brak im i t. d. Brak im inicjatywy w sprawach ekonomicznych, brak dostatecznej energii, brak wreszcie ducha przedsiębiorczości. Cobyśmy z tego u nas zrobili, gdybyśmy mieli choćby tylko połowę tych swobód!

— Tak, — rzecze Prandota, — pewnie żebyśmy więcej zrobili, ale na czymbyśmy skończyli?

Na to Zaklika w głos się roześmiał, ale mu odpowiedział poważnie:

— Dziś inne czasy, nie ma się czego obawiać. Ale ja nieraz rad nad tem się zastanawiam a prawdę mówiąc, to także nieraz sobie stawiam pytanie: czy determinizm nie rządzi tak samo narodami, jak ludźmi.

\
%,

— Determinizm — rzeczy na to Prandota — prę- dzejby można przypuścić w narodach, niż w ludziach. Gdybyśmy determinizm przypuścili u ludzi, to w końcu do- szlibyśmy do zasady, że nikt nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki — a toby była zasada państwa. Człowiek w tem życiu jest wystawiony na najrozmaitsze pokusy, ale na to mu Pan Bóg dał wolną wolę, aby je zwalczał — a więcej nie można i od Pana Boga wymagać. Ale chodźmy spać, bo już późno.

Na tem skończyli swoją rozmowę — a we dwa dni potem już byli z powrotem w Zaklikowie.

XIII.

Determinizm czy predeterminizm, idący z nim ręką w rękę atawizm i w ostatecznej konsekwencji czekający na nich fatalizm, są to teorye, któremi terażniejsze pokolenia się* bardzo żywo zajmują. Cała literatura powieściowa i dramatyczna są niemi przesycone a nawet ludzie uczeni biorą je przedsię, usiłując za ich przewodem a za pomocą obserwacyi zamienić je w naukowe pewniki albo ująć w systemy. Badając duszę ludzką we wszystkich jej wypukłościach i fałdach, w ostatnim czasie postawiono nawet teo- ryę o dwóch duszach mieszkających w człowieku, dobrej i złej, zapominając o tem, że już Plato przypuszczał trzy dusze, roślinną, zwierzęcą i ludzką, które Arystoteles przyjął, nazwawszy je wegetacyjną, czującą i myślącą, i że to były pojęcia daleko więcej zgodne z rzeczywistemi duszy ludzkiej funkcjami, niżeli mityczne podania xiąg Zendawe- sty o dualizmie duchowym, panującym w całej naturze. Cóżkolwiekby, te nowoczesne badania tajemniczej siły du

chowej mieszkającej w człowieku, o ile się będą opierać na bystrzejszej obserwacji, niżeli to dotąd się działo, przyniosą bez wątpienia pewne korzyści psychiatrii i kryminalistyce, ale nowego systemu, czy-to psychologicznego, czy fizyologicznego, z pewnością nie wytworzą, bo rozum ludzki potrafi tylko zszeregować objawy a nie zdoła odkryć ich źródeł, potrafi zarejestrować skutki, które uchwyci zmysłami, ale nie zdoła nigdy skwalifikować według wymagań ścisłej nauki ich przyczyn, bo te przyczyny nietylko bardzo często są nieuchwytnie, lecz nadto jeszcze każdy obserwujący pojmuje je według swego indywidualnego usposobienia a nie według jakiejś miary stałej i niezmiennej dla wszystkich. Jeżeliby zaś na mocy tych obserwacji utworzono jakiś nowy system psychologiczny, to będzie on w obec nauki tak samo spekulatywnym, jak wszystkie systemy istniejące dotychczas, bo określenie związku pomiędzy przyczyną a skutkiem nie może być nigdy czem innym, jak tylko utworem spekulatywnym.

Natomiast obserwacja nas uczy, że człowiek, czy je wziął z urodzenia, czy z wychowania, nosi w sobie zarody wszystkich swoich powodzeń i niepowodzeń — i to do tego stopnia, że w biegu jego życia nic go ani spotyka, ani omija, czego właściwa przyczyna nie znajdowałaby się w nim samym, w jego zaletach lub wadach, w jego zdolnościach albo też w braku pewnej zdolności, zgoła w przymiotach jego charakteru albo temperamentu. Zdarzają się wprawdzie przypadki, które nam się zdają być skutkami przyczyn czysto zewnętrznych a których związku z przymiotami dotkniętego niemi człowieka oko nasze odkryć nie może: mogą to być wyjątki, wszelako tylko w tem znaczeniu, że są to skutki przyczyn takich, których natury my

\

wcale nie znamy: ale najczęściej nawet takie przypadki, które nam się wydają dziełem ślepego trafu, zbadane wszechstronniej i głębiej, okazują się w końcu tylko logicznymi wynikami moralnych zarodków, które leżą w nas samych. Komuś się zdarzył przypadek, który zupełnie tak wygląda, jak gdyby był skutkiem ślepego trafu, ale kiedy rzecz bliżej zbadamy, to obaczmy, że ten rzekomy traf był tylko wynikiem przyczyn danych — i gdyby nie ten, to byłby mu się inny zdarzył przypadek, któryby był takie same sprowadził skutki.

Zaklika miał temperament gorący i już z młodu, jak to można było uważać, miał skłonność do skrajnych ostateczności: W czasie rozruchów zaryzykował wszystko, wytrwał do ostatniego oddechu a kiedy w końcu trzeba się było ratować, to ratował się w sposób taki, gdzie jeszcze raz swoje życie postawił na jedną kartę. Po rozruchach byłby mógł niezawodnie daleko bezpieczniejsz mieszkać na Żmudzi, gdzie nie było żadnego śladu jego powstańczych czynności, ale to bezpieczeństwo mu się nie podobało — i przeniósł się tutaj, gdzie przez cały czas rozruchów był czynnym i gdzie lada kto mógł go poznać po jego postaci, chociaż go nie znał z nazwiska. Po pogromie zastanowił się nad samym sobą i nad położeniem kraju i przyszedł do przekonania, że w ostatecznościach nie masz dla nas zbawienia: zbawienie widział tylko na drodze środkowej, na drodze pracy, powolnego rozwoju i najwyższej możliwej zacności w postępowaniu; na tę drogę wszedł myślą i czynem : lecz na tej drodze parł znowu całą swą siłą do skrajnej ostateczności, wymagając od wszystkich idealnej doskonałości, co gorsza, nie znosząc cudzego zdania i gryząc nie- litościwie tych wszystkich, co nie dzielili jego idealnych po

jęć o obowiązkach rodzinnych, sąsiedzkich i obywatelskich. Obok tego zamiłowania w ostatecznościach, miał zmysł przeczności, zapewne wyrobiony za czasów szkolnych w Petersburgu, ale także posunięty do ostateczności. Usiłował zawsze wszystko przewidzieć i przeciwko wszystkiemu się zastrzedz. Przewidując odpowiedzialność za udział w rozruchach, stworzył z niezmierną zmyślnością fakt sztuczny, jakoby przez cały ten czas leżał w szpitalu w Rydze — a przypuszczając, że może dzieci mu nie pójdą na rękę i nie chcąc z nimi mieć sporów o podział majątku, odłożył pewną sumę dla siebie, zrobił z niej kapitał i tak go ukrył, że było absolutnem niepodobieństwem, aby mu go ktoś kiedyś mógł zabrać. Tak czując się pewnym siebie i ubezpieczonym na wszelkie wypadki, dlatego był tak apodyktycznym w swych zdaniach i bezwzględny dla wszystkich i nie dbał wcale o to, jaką kto o nim będzie mieć opinię. Wszelako człowiek, chociaż może obliczyć, jakie przeciwieństwa mogą go spotkać w tem życiu, nie może jednak przewidzieć, w jakiej formie go te przeciwieństwa spotkają i w jakich warunkach...

Zaklika wrócił ze Lwowa w doskonałym humorze, ale po kilkunastodniowej nieobecności nazajutrz rano wziął się zaraz do pracy i do samego południa słuchał raportów Kańskiego, włodarzy, pisarzy i ekonomów, Po południu poszedł na folwark i oglądał stajnie, obory i stodoły, już napelnione zbiorami — a przed zachodem słońca wsiadł na koń i wyjechał w pole do żniwa.

Prandota, mając kawałki gruntów porzrucane po polach dworskich i chłopskich, włożył szeroki, słomiany kapelusz na głowę, zarzucił płócienny szarafan na siebie

ł

i wyszedł także daleko w pole, ażeby swoich żniwiarzy obaczyć i policzyć półkopki.

Wracając wolnym krokiem do domu, spotkał Zaklikę, stojącego na koniu za grobową kaplicą i za gospodą pod laskiem, który do gospody przytykał. Zatrzymał się przy nim, opowiadał mu, jakie obfite urodzaje Pan Bóg dał im w tym roku i mówi:

— Ziemia daje nam więcej jak potrzeba, lud pracowity, umić z jej darów korzystać, moglibyśmy żyć sobie szczęśliwi, gdybyśmy nie mieli złych ludzi około siebie.

— Jużci za przykomorkiem jej lepiej, — rzecze mu na to Zaklika, — u nas źli ludzie w wielu rzeczach nam przeszkadzają, ale ja jestem zdania, że i u nas jeszcze się świat nie skończył, a nasza przyszłość od nas samych zależy. Jak się naszą rozumną a skrzętną pracą wzmocnimy moralnie i materyalnie, to przemoc się i z nami policzy a wtedy los z konieczności na naszą przeważy się stronę.

I prawdę mówiąc, gdybyśmy od czasu, kiedyśmy byt nasz stracili, nie byli ciągle usiłowali odegrać to, co nasi ojcowie przegrali, tylko oddali się pracy, aby przedewszystkiem te siły odzyskać, któreśmy w rozsterkach stracili, to bylibyśmy już, dawno jakiś byt odzyskali...

— Bywali i przed nami ludzie, — odpowiedział mu Prandota, — którzy byli tego samego zdania, ale cóż z tego, kiedy nie potrafili nigdy zdobyć dla siebie większości. A wszakże jeszcze i dzisiaj, po doświadczeniach tak krwawych i tak wymownych, nie brak nam politycznych szulerów, którzy są przekonani albo też to przekonanie udają, że narodowość nasza utrzymała się przy życiu tylko za pomocą ognisk rewolucyjnych i nadal także tylko tym samym środkiem utrzymać się może. Ogniska te, kiedy rewo-

lucyi zrobić nie mogą, to przynajmniej agitacją się bawią, jakeśmy to widzieli we Lwewie...

Prandota chcia! mówić dalej w ten sens, ale koń Zakliki sta! tak niespokojnie, tak rzucał głową i grzeba! przednimi nogami, że musia! się od niego odsunąć i rzek!:

— Śliczny-to koń, ale taki niespokojny, że nie można stać przy nim.

Koń, na którym siedział Zaklika by! to ogier brudno- kasztanowaty bez odmiany, pół krwi angielskiej, duży, silny, zbudowany jak słoń, z wyniosłym karkiem jak łabędź i długą grzywą lśniąca jak jedwab, był może zanadto dobrze żywiony a za mało pracował i dlatego krew w nim tak grała. Jakoż Zaklika mu odpowiedział:

— Bo to koń młody, dopiero cztery lata skończył na wiosnę, jeszcze nie ujeżdżony, on jeszcze nawet chodzić nie umie a do tego, aby umiał stać spokojnie, jeszcze mu bardzo daleko.

— Więc nie wiem, dlaczego jeździsz na takich koniach. Niechby go pierwej masztalerz ujeździł a potem mógłbyś go sam używać z pożytkiem i z przyjemnością.

— Mówisz jak klecha, — rzekł Zaklika żartując, — nic nudniejszego na świecie jak koń ujeżdżony zupełnie, có chodzi jak lalka. Mnie tylko taki koń bawi, z którym się muszę borykać, on ma swoją wolę a ja mam moją i pasujemy się z sobą, kto kogo przemoże. Ja na takiego konia, który już stracił swą wolę i stał się bezdusznem narzędziem, już sam nie siadam, tylko go sprzedaję pod damę albo pod panicza do miasta.

Prandota umilkł i patrzył w zamyśleniu przed siebie.

Już wtedy słońce zaczęło zachodzić. Zachodziło krwa

wo i oświecało ziemię światłem czerwonym, zwolna przy- gasajacem. Po kilkunastodniowej posusze, od ścierni zdeptanych nogami żniwiarzy, podnosił się pyłek i chwiał się w dusznym powietrzu milionami jak gdyby ognistych iskierek. Na północ i wschód rozścielały się pola w dal nieskończoną, zlewając się z horyzontem na kresach, których już oko dojrzyć nie mogło. Pola były okryte ścierniami, na których bliżej stały półkopki pszenicy a dalej leżały snopy, które żniwiarze układali w półkopki. Na tej dalszej przestrzeni roił się lud pracujący jak mrowie a jego białe koszule odbijały na sobie czerwone światła zgasłego słońca. Jedni jeszcze kończyli swoją robotę, drudzy gromadzili się w grupy i czekali na tamtych, ażeby razem wracać do domu. Za nimi w dali zaczęły błyskać ogniska, które zapalali koniuchy, mający z końmi nocować na łąkach. Na ostatecznym krańcu wschodniego nieba gromadziły się chmurki rozmaitej wielkości i kształtu, jak gdyby się tam wydobywamy z pod ziemi. W tych chmurkach, ciemnych u dołu a mieniących się białymi i złotymi blaskami u góry, wyobrażenia widziała rozmaite postacie, niby góry i lasy i falujące jeziora.

Pomiędzy nimi we środku zarysowała się jakoby postać kobiety, w białą szatę ubranej, ze złotą koroną światła około głowy: zdawała się zstępować z nieba i iść ku żniwiarzom...

Zaklika wpatrywał się przez chwilę w ten obraz a potem rzekł do Prandoty:

— Patrzaj-no, co to za widok. Czy nie przypomina ci to wieszczej fantazji jednego z naszych poetów?

Wyszła, wyszła z za obłoku, Ludom się pokaże,

Zaklika. T. 1.

I na żniwie i na toku

Ujrzą ją żniwiarze. Gała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni, Pastuszkowie przy ogniskach

Zaśpiewają o niej... Ujrzą ją na polu trzody

I smętnie zaryczą, Zadrzą drzewa, zadrzą wody,

Sny z niej tęcz pożyczą... I zgromadzą się włodarze Z kosami na roli, Bo się w sercach, w śnie pokaże Człowiek dobrej woli...

Gdzież i kiedy nam się pokaże ten człowiek dobrej woli, na któregośmy przecie już zasłużyli?— dodał Zaklika wzruszony, patrząc na Prandotę.

A wtem w pobliżu odezwał się dzwonek. To stary Fryga dzwonił w grobowej kaplicy na Anioł pański. Prandota zdjął kapelusz, złożył ręce do modlitwy przed sobą i mówił:

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie, Odpuść nam nasze winy!

Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie, Przez nas czyń Twoje czyny!

Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci, Niech się święci trzy razy!

Abyśmy już nie byli z xiąg żywota wyjęci Dla naszych win i zmaży.

.Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy

A duchaśmy nie dali, Nie poznaliby ojce naszych boleśnych twarzy, Gdyby z grobowca wstali...

Zaklika słuchał go z rozrzewnieniem i łzy mu się do oczu rzuciły: a wtem błysnął jasny płomień nad Zakliko wem. Zaklika spojrział nań przestraszony, wpatrzył się mocno i zawołał:

— Na Boga, to moje stodoły się palą! Bądź zdrow, przyjdź jak najprędzej do dworu...

I w tem oka mgnieniu dał koniowi ostrogę i bryz- gnął jak granat wyrzucony z działa ku dworowi.

Koń leciał z jeźdźcem jak błyskawica i w kilka minut wpadł na dziedziniec: lecz na dziedzińcu, staremi kamieniami wybrukowanym, pomiędzy którymi wyrastały trawy, związał się pod nim i runął z nim razem przed samą werandą z takim ogromnym łomotem, jak gdyby dom się zawalił.

Runął jaknajniezwyklej: koń trupem — i pan trupem.

Ignas pierwszy spostrzegł ojca padającego przed gankiem i przybiegł zaraz ku niemu, lecz widząc, że ojciec się wcale nie rusza, a nie wiedząc, co począć, poleciał na folwark i hałasu narobił.

Gały dwór był zajęty gaszeniem ognia, ale ponieważ ogień nie ogarnął gospodarskich budynków, tylko wybuchł w kuchennym kominie, więc niektórzy go odbiegli i polecili przed ganek.

Pierwsi przybiegli Kański i felczer, za nimi niektórzy pisarze i parobcy, Genia zbiegła z pierwszego piętra z swym

29*

\

fraccymerem, Fujara przyleciał zadyszany i bezprzytomny — i wszyscy otoczyli Zaklikę, leżącego na ziemi przy samych schodach werandy.

Przyniesiono wody, octu, wódki _ kolońskiej, felczer rozerwał suknie na Zaklice i trzeźwił go wszelkimi środkami, ale napróżno. Zaczem wziął go wraz z Kańskim na ręce i zaniósł do jego sypialni. Tam go rozebrano, położono do łóżka a felczer go trzeźwił, posyłając co chwila pisarzy po to i owo do swojej apteczki.

Wszyscy stali w półkolu, z zapartym oddechem w piersiach, ze łzami które jeszcze zatrzymywały w oczach przestraszonych i oczekiwanych i patrzali na felczera jak na wyrocznię.

Felczer długo nad nim pracował, używając rozmaitych płynów i instrumentów, potem stał przy nim przez chwilę trzymając go za rękę i patrząc mu w twarz: ale nakoniec odszedł chwiejącym się krokiem od łóżka, siadł na wysokim schodzie w framudze u okna, ścisnął głowę swoją obydwoma rękami i takim głośnym płaczem wybuchnął, że od jego rozpaczliwego jęku wszyscy za- drżeli.

Genia zemdląła i musiano ją wynieść na rękach do jej apartamentu. Pocziwy Fujara tarzał się z bólu po ziemi, rwał sobie włosy z głowy i wołał: — Na miłość Boga! czy nie masz już żadnego ratunku? — Ignaś zdrewniał cały, zdało się jak gdyby mu łzy w oczach zamarzły i stał nieruchomy. Tylko Kański rzucił¹ się ku drzwiom, mówiąc do siebie: — Niepodobna, żeby on umarł; nie ma żadnej rany na sobie, poszlę ja po doktorów.

Biegając, spotkał się we drzwiach z Prandotą. Wrócił się z nim do łóżka Zakliki, opowiedział mu na prędce, co

i jak się to stało; Prandota wziął Zaklikę za rękę, a czując, że ręka była zimna, zachwiał się, siadł obok niego na łóżku, łązy mu się dwoma strumieniami puściły wzdłuż twarzy, ale rzekł do Kańskiego przytomnie: — Posyłaj pan po doktorów.

Kański wybiegł, posłał dwa wózki do dwóch najbliższych miasteczek, najlepszymi końmi, na złamanie karku, niech konie padną, on wyszle drugie na ich spotkanie...

Potem rozeszli się wszyscy po przyległych pokojach i rozmawiali z felczerem. Felczer, chociaż nieutulony w żalu, mówił jak mógł, ale nie dawał im żadnej nadziei.

— Gdyby pan Zaklika był się zranił i krwi sobie upuścił, — powiadał felczer, — to byłby może przyszedł do siebie. Ale tak... krew w nim zakrzepła a może i serce mu pękło od uderzenia o te przekłete kamienie.

Wszelako koń wrócił do przytomności a chociaż go nikt -nie ratował, sam się powoli zawlókł do stajni. Z tego niektórzy wróżyli, że i pan jego się jeszcze ocuci. Ale z północy przyjechali lekarze, obejrżeli go jaknajstaranniej i orzekli jednomyślnie, że umarł. Skrzepł cały i był zimny jak lód...

Pewność dokonanego faktu przywalała wszystkim jak gdyby głazem grobowym, ale z nią ustąpiło to boleśne drżenie wnętrzości, które towarzyszy obawie a które jest gorsze od największego nieszczęścia.

Przez całą noc nikt oka nie zmrzył, wszyscy błakali się po pokojach i po dziedzińcu jak cienie i rozmawiali z sobą głosem bez dźwięku jak trupy.

Kiedy nareszcie oświłło, Prandota poszedł do kościoła,

aby mszę św. odprawić — a we dworze zajęto się przygotowaniem do pogrzebu.

Fujara, czując każde nieszczęście bardzo głęboko na razie, ale oswajający się bardzo prędko z każdym nowym położeniem, zabrał się do ubrania trupa i do wystawienia katafalku w wielkiej sali jadalnej, gdzie niegdyś stał katafalk jenerała.

Co do ubrania trupa różne przychodziły mu myśli: zrazu chciał go ubrać w strój polski, który nosili wszyscy jego przodkowie, — potem przypomniał sobie, że Zaklika miał rangę wojskową, więc może najlepiej ubrać go w mundur oficerski; ale Kański, zawsze pełen zdrowego rozsądku, zgromił go po swojemu za te niewczesne koncepty, mówiąc mu szorstko z nastroszonymi brwiami:

— Panu nawet w tak ciężkiej chwili wróble świstają po głowie. On mundur nie lubił, nosił go tylko zmuszony do tego okolicznościami, jak my wszyscy, co to za koncept ubierać go w coś, do czego miał wstręt za życia? — a za strój polski jeszczebyś pan ściągnął na nas takie wygo- wory, że możeby po nich trzeba się i w kozie przesiedzieć. Ubierz go pan tak jak się nosił w święta i dnie galowe a więc we frak i w białą krawatę i włóż mu pan do rąk ten krzyżyk ze słoniowej kości, co wisi nad jego łóżkiem.

Więc Fujara ubrał go we frak i w białą krawatę, ułożył go pięknie na wysokim katafalku pomiędzy kwiatami a kiedy mu wkładał krzyżyk do ręki, to go żal porwał serdeczny i płakał biedak jak dziecko.

A potem poszedł do kancelaryi, zwołał wszystkich pisarzy i kazał im pisać listy zapraszające na pogrzeb, który za zgodnym zdaniem wszystkich pozostałych miał się od- >

być dopiero we trzy dni, ażeby i najdalsi sąsiedzi mogli się zjechać.

Ale około południa przyjechał pólkownik Baltzer von Baltzheim.

Zajechał spienionemi końmi przed ganek, widać że mu się bardzo spieszyło, ale kiedy wysiadł ze swojej kibitki, wszedł wolnym krokiem do sali, w której Zaklika leżał na katafalku, przypatrzył mu się z uwagą, potem się po chrześcijańsku przeżegnał i pacierz odmówił. Wszyscy byli zbudowani jego uprzejmością, która go tutaj przyprowadziła, i jego religijnem uczuciem.

Wyszędłszy z sali, zażądał widzieć Ignasia — a kiedy Ignas przyszedł, przechadzał się z nim po dziedzińcu i robił mu jakieś zwierzenia na osobności. O cóż pólkownikowi chodziło?

Oto powiedział mu, że jego ojciec był bardzo popularnym pomiędzy szlachtą i ludem; dlaczego był tak popularnym, o tem różne biegają wieści, które prawdopodobnie się opierają na plotkach, to też się w nie bliżej nie wchodzi; ale skutkiem popularności mogłoby się zrobić wielkie zbiegowisko na jego pogrzebie, może ten i ów chciałby mieć mowę, władza musiałaby przysłać wojskową komendę, aby takim wybrykiem przeszkodzić, co by było wielką nieprzyjemnością dla wszystkich: zaczem on po tu tutaj przyjechał, aby mu dać radę poufną, ażeby pogrzeb się odbył jeszcze dziś przed wieczorem.

Ignas, wiedziony naturalnem uczuciem synowskiem, wzbraniał się przeciw temu i protestował: ale wtem przyjechali obydwaj Firleje.

Firleje byli obydwaj bladzi, niezmiernie skruszeni i jeszcze przestraszony pierwszego wrażenia malował się na ich

twarzach. Naprzód Ignas im opowiedział na prędce, jak się to stało, że jego ojciec się zabił, potem oni pomodlili się przy katafalku Zakliki a kiedy wyszli z sali żałobnej, Frydrusz pobiegł na górę do Geni a stary Firlej zaczął rozmawiać z półkownikiem.

Rozmowa ta trwała dość długo, — poczem Firlej odszukał Ignasia i wyłożył mu swój sposób widzenia co do pogrzebu.

— Wierz mi, — mówił mu Firlej, — że nie pozostaje ci nic innego, jak zastosować się do woli władzy. By- łoby-to bardzo nierostropnie z twojej strony, gdybyś przez upór, chociaż bardzo szlachetny, interwencję rządu wywołał. Nierostropnie a nawet i niebezpiecznie, bo mówiąc między nami, kto tam wie, jakie było zachowanie się twojego ojca podczas ostatnich rozruchów. Niechaj ci będzie dość na tem, jeśli ci powiem, żeśmy go tu widywali w tym czasie. Wiesz dobrze, że u nas za takie rzeczy odpowiada się także majątkiem. Radzę ci zatem jako dobry przyjaciel waszego domu, abyś nie wywoływał konfliktu...

Rada ta wszakże była zbyteczną, albowiem w owej chwili, w drugim kącie dziedzińca, Kański stał przed półkownikiem wyprężony jak struna, a półkownik, jak to łatwo można było wyrozumieć z wyrazu jego twarzy i gestów, dawał mu rozkaz: Tak ma być i ty jesteś odpowiedzialnym za wszystko.

Firleje już zostali w Zaklikowie. Oprócz nich nie przyjechał nikt więcej, tylko od czasu do czasu widać było małe poczty konnych żandarmów albo dragonów, przeciągające gościńcem.

Pogrzeb odbył się o godzinie piątej z południa.

Trupa Zakliki zamknięto w trumnę, z białych desek

zbitą na prędcie, w której leżał na katafalku a którą teraz nakryto czarnym kościelnym całunem — a nieśli ją na ra mionach pisarze dworscy i parobcy, zmieniając się po kolei.

Kondukt prowadził Prandota ze swoim wikarym — a za konduktem szedł Ignaś, Firlej e, Kański, Fujara, dwór cały i cokolwiek wiejskiego ludu. Genia uległa wskutek tej śmierci niespodziewanej tak silnemu wstrząśnieniu, iż się rozchorowała i nie mogła być na pogrzebie. Balcerowie, dowiedziawszy się jeszcze rano o śmierci Zakliki, przyjechali wczas po południu i także szli za konduktem.

W grobowej kaplicy trumnę złożono na katafalku, księża odprawili krótkie nabożeństwo, poczem trumnę zaniecono do trupiarni, znajdującej się obok mieszkania Frygi, i tam ją tymczasem złożono, bo w piwnicach grobowej kaplicy nie było przygotowanej krypty dla Zakliki, jak niegdyś dla jenerała. Zaklika nie myślał tak wcześnie umierać a więc i grobu nie przygotował dla siebie.

Po złożeniu trumny w trupiarni i odmówieniu wszystkich modłów tak samo, jak gdyby ją do grobu składano, Prandota zamknął trupiarnię na klucz i klucz schował do kieszeni, poczem się wszyscy ze spuszczonei głowami rozeszli, rozmawiając przytłumionym głosem ze sobą.

Prandota odprowadził Firlejów aż do rozstajnej drogi i tu ich pożegnał, ale stamtąd wrócił znów do grobowej kaplicy.

Na progu spotkał starego Frygę, w kapeluszu na głowie i zamykającego na klucz drzwi wchodowe.

— Już ci się gdzieś spieszy, — rzecze do niego Prandota, pewnie do gospody, ażeby łyknąć na frasunek.

— Proszę jegomości, —. odpowie mu Fryga, — strasznie mi ciężko na sercu. Taki-to pan dobry i jeszcze młody

i tak mu się zmarło niespodziewanie... Człowiekowi aż język ucieka z gęby, takby mu się chciało o tem nieszczęściu z poczciwymi ludźmi pogadać.

— Będiesz miał jeszcze na to dość czasu. Chodź ze mną do trupiarni, chciałbym go jeszcze raz obaczyć, bo nawet nie mogłem go jak należy pożegnać mową pogrzebową.

To rzekłszy Prandota, wszedł razem z Frygą do sieni, którą dzieliła trupiarnię od jego mieszkania, otworzył trupiarnię i rzekł do Frygi:

— Podnieś-no ze mną wieko od trumny, niech go raz jeszcze obaczę, bo mi się to jakoś nie może pomieścić w głowie...

Fryga mu pomógł, podnieśli wieko, oparli je o ścianę, poczem Prandota stanął obok trumny i patrzył długo w twarz Zakliki.

Twarz jego nie była tak blada, jak zwykle bywają twarze trupów, to też Prandota patrzył w nią przez chwilę z wielkiem zajęciem i może wtedy się w nim odzywało uczucie powątpiewania; uczucie to zwykłe, zwłaszcza w wypadkach nagłej śmierci i w sercach szczerych przyjaciół: ale po chwili inne miał wrażenie, bo siadł obok trumny na stołku i łzy mu się puściły dwoma strumieniami po twarzy. Potem załamał ręce przed sobą i mówił cichym głosem do siebie:

— Bądź zdrow, przyjacielu! Ostatni raz cię widzę na ziemi. Byłeś ty tym człowiekiem dobrej woli, którego oczekuje lud stęskniony, nie było ci dano przyczynić się do jego zbawienia, ale Bóg ci tę dobrą wolę nagrodzi. Bądź zdrow, nie długo znowu złączymy się z sobą...

Z temi słowami wstał, lecz wstając, spostrzegł Muszkę, która zwinięta w kłębek leżała w kątku i spała.

— Jakto? — rzecze Prandota, — to Muszka jest tutaj?

— Jużci ją widziałem, — odpowiedział mu Fryga, — jak się tu razem z nami wsunęła i chciałem ją napędzić, ale jegomość wie, jak to trudno wiernego psa odpędzić od trupa swojego pana. Byłoby się narobiło hałasu. Myślałem więc sobie, że jak się trup zacznie rozkładać, to się ją wtedy wypuści i pójdzie sobie...

— Albo zdechnie z bólu, — rzekł Prandota i zaraz zawołał: — Muszka! chodź tutaj.

Muszka przybiegła do niego i zaczęła się łąsić przy jego nogach, jak zwykle.

Prandotę to niezmiernie zdziwiło, jakoż rzekł do Frygi:

— To jest rzecz osobliwa. Zazwyczaj psy, tak przywiązane do swoich panów jak ona, czują śmierć swoim instynktem, i co najmniej skomlą i wyją — ona jest wcale wesoła) jak gdyby nic.

Myślał nad tem przez chwilę a potem powiedział:

— Daj-no jej co jeść, bo pewnie głodna.

Fryga pobiegł do swojej izby i przyniósł niebawem miseczkę napelnioną pokrajanem mięsem i chlebem i drugą miseczkę wody i dał jej.

Muszka jadła chciwie, napiła się wody a potem, w jak- najlepszym humorze, przybiegła do Prandoty i znów się łąsiła koło niego, dziękując mu za poczęstne.

— To dziwna! — zawołał Prandota i mocno się nad tem zamyślił.

— Co tu dziwnego? — rzekł na to Fryga z pewną niecierpliwością, bo mu pilno było do karczmy, — na tym

paskudnym dzisiejszym świecie już i poczciwych psów niema. Ludzie się złotrzyli, to i psy także...

Ale Prandota mu przerwał i rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu:

— Słuchaj-no, Fryga. Ja nie mam żadnej nadziei; wiem dobrze, że tylko głęboki żal za nim takie mi myśli nasuwa. Przecie felczer się lepiej zna na tem a oprócz niego było jeszcze dwóch doktorów. Ale dla zaspokojenia mojego sumienia, zostaw ty Muszkę w trupiarni, tutaj masz klucz na wszelkie wypadki... A nie idź już dzisiaj do karczmy. Ja przyjdę tu jutro rano i będę miał mszę żałobną w kaplicy, po mszy przyjdą murarze, aby mu grób wymurować, bo i z tem trzeba się spieszyć, taki jest ro- skaz... Zrób-że tak, jak ci powiadam, bobym się zgniewał na ciebie.

I z temi słowami wyszedł — a idąc do domu, mocno był zamyślony i przedewszystkiem myślał o Muszce.

*

Ta biedna Muszka, która była tak przywiązana do swego pana a dzisiaj, o ile się zdawało, z jakąś rozumną rezygnacją zносиła śmierć jego, miała swoją historię.

Dwa lata temu, w dzień letni i tak samo pogodny jak dzisiaj, kiedy Zaklika przed samym wieczorem wrócił z konnej przejażdżki i wszedł do pałacu, zastał tę suczkę w swoim sypialnym pokoju: chodziła od kąta do kąta i obwąchiwała wszystkie sprzęty, ale kiedy go spostrzegła, siadła na tylnich łapkach, przednie wyciągnęła ku niemu i zaczęła mu służyć.

Była to suczka rasy hawańskiej, zapewne pół krwi,

bo była cokolwiek większa i silniej zbudowana, niżeli pieski tej rasy krwi czystej, miała też na sobie szerść krótszą, ale obfitą, szklącą jak jedwab, ciemno-kasztanową, tu i ówdzie białymi nićmi przesianą, główkę bardzo piękną, jeszcze gęściej okrytą, tak, że szerść jej spadała na oczy, ale oczy miała duże, niezmiernie wyraziste i tak pełne życia, iż kiedy na kogoś patrzała, to się prawie w niej czuło jakoby jakąś duszę myślącą.

Zaklika, zdziwiony obecnością jakiegoś cudzego pieska a zarazem jego grzecznością, zawołał na służących i pytał, czyj to jest piesek i skąd się wziął na pokojach. Ale nikt nie umiał mu odpowiedzieć: wszystkie drzwi były otwarte, piesek sam wślizgnął się do pokojów, zapewne się tutaj zabłąkał.

Wtedy Zaklika kazał zawołać felczera i pieska obejrzyć, czy zdrów.

Felczer go obejrzał i rzekł:

—* To suczka. Ale to pańskie dziecko, widać to po rasie i po wychowaniu. Zdrowa jak orzech, tylko trochę przychudła, ale da się prędko odżywić, bo ma co najwięcej dwa lata.

— Ale skądże ta suczka się tutaj wzięła?

— To trudno wiedzieć, — rzekł felczer, — zapewne się gdzieś zabłąkała, jadąc z swem państwem, potem błąkała się po wsiach, szukając gdzie pomieszczenia, nigdzie się jej nie podobało, ale tu obaczyła pałac dostatni, w jakim zapewne pierwiej mieszkała, więc tutaj weszła i tu się wprasza na służbę.

Przez ten czas suczka lizała rękę felczera a na Zaklikę patrzała takimi litościwymi oczyma, że się czuł tem wzruszony i rzekł:

— Więc ją zatrzymamy i nazwiemy ją Muszka. Każ-że jej przynieść co jeść a potem wycesać i umyć, umieszczę ją w moim pokoju, może się do mnie przywiąże.

Dano jej więc dobrego rosołu, umyto i uczesano; Muszka dała wszystko robić ze sobą, widać że była do takiego pielegnowania przyzwyczajona, potem przybiegła sama do Zakliki i odtąd już nie odstępowała od jego nóg, jak gdyby wiedziała, że to jest pan domu i że jemu powinna służyć.

Zaklika też za pare dni bardzo ją polubił, bo widziBł, że i ona się przywiązuje do niego i stara się go rozumieć. Jakoż kazał dla niej zrobić koszyk wygodny, wyścielić go miękkim materacykiem, nakryć dwiema kołdrami i przy swoim łóżku postawić — i Muszka sypiała w jego pokoju a potem przez cały dzień ani na krok go nie odstępowała.

Zaklika coraz więcej się nią zajmował a to nietylko wynagradzając ją za jej przywiązanie, ale także dlatego, że to małe zwierzątko dawało coraz to nowe dowody swojej nadzwyczajnej zmyślności. Przy śniadaniu i przy obiedzie Muszka miała swoje krzeselko obok swojego pana: przy zupie i rybie spała spokojnie, ale jak tylko zaczęto wnosić mięsiwa, wstawiała, opierała się o brzeg stołu przednimi łapkami i patrzyła pytającymi oczyma na Zaklikę — a wtedy jaka była najlepsza wątróbka i najsmaczniejszy kąsek pieczeni, to było dla Muszki. Ale jak pieczeń zebrano ze stołu i wynoszono do kuchni, to zeskakiwała z krzeselka i szła za pieczeniem. Kiedy Genia to po raz pierwszy spostrzegła, rzekła do ojca:

— Oh! elle suit le roti.

— Mais tout le monde suit le roti, — odpowiedział

jej. ojciec cokolwiek szorstko, bo nie lubi!, kiedy kto Muszce przyganiał.

— ęąśćest vrai, — dodała Genia, poprawiając się, — ludzie się w tem wcale nie różnią od zwierząt.

Ale kiedy Muszka dostała w kuchni jeszcze parę kąsków pieczeni, czempędzej wracała do stołu, ażeby ją wety nie ominęły, bo licheby to był obiad, gdyby na końcu nie dostała cukierków.

Kiedy czasem trzeba było czekać na nowy półmisek przy stole, Zaklika zawołał na Muszkę:

— Muszka, biegaj do kuchni i powiedz im, żeby prędzej służyli.

Wtedy Muszka biegła do kuchni, stanęła na progu, naszczekała kucharzom i lokajom co mogła a potem wolnym krokiem wracała do sali, mrucząc coś sobie pod nosem, jak gdyby mówiła:

— Co to za tałałajstwo ta służba dzisiejsza, o wszystko u niej trzeba się prosić.

Kiedy Zaklika miał wyjeżdżać powozem i już wyszedł na ganek a powozu jeszcze nie było, wołał na Muszkę:

— Muszka, biegaj do stajni, aby zajeżdżali.

Wtedy Muszka biegła pędem do stajni, naszczekała furmanom, potem wskoczyła do powozu, siadła na pań- skiem siedzeniu i zajechała przed ganek, przerabiając przed - niemi łapkami i śmiejąc się z wielkiej uciechy.

Muszka miała to uczucie, że jest panią w domu i nie masz nad nią nikogo, oprócz jej pana. Traktowała też ludzi według ich stanowiska i według swoich sympaty, ale nietrudno było dostrzedz, że jej sympatye zgadzały się z sympatjami jej pana. Na sługi żadnej nie zwracała uwagi i żadnemu z nich nie dała się dotknąć, oprócz jednego lo-

kajeżyka, który co rana przychodzi!, aby ją uczesać i umyć jej gąbką pyszczek i łapki. Do tej toalety tak by!a przyzwyczajona, że kiedy lokajczyk czasem się spóźnił, to biegła sama po niego i naszczekała mu, prowadząc go za sobą do sypialnego pokoju. Wiedziała widocznie, że to jest lokajczyk, była też dla niego łaskawą — a kiedy go kto czasem uderzył, to go zawzięcie broniła.

Kiedy dzieci Zakliki przyjechały, przypatrywała się im z wielką uwagą a potem nie przywiązała się do nich, Ignasia nie lubiła, czasem bawiła się z Genią, ale bez szczególnego afektu, Fujarę jakokolwiek znosiła, bo jej dawał cukierki, ale chociaż ją często zapraszał do siebie, nie bardzo chętnie bywała u niego, bo grywał na wiolonczeli a muzyka ją nie zajmowała. Balcerka nie mogła znieść i ile razy przyjechał, zawsze na niego warczała, raz nawet, kiedy ją chciał przyhołubić do siebie, ukąsiła go w rękę. Dla Prandoty była z wielkim respektem, zawsze go wesoło witała kiedy przychodził i słuchała, kiedy jej co powiedział. Ale najwięcej lubiła felczera — a kiedy Zaklika wyjeżdżał a ją w domu zostawiał, to szła do niego i bawiła się z jego pieskiem i z nim razem goniła za królikami. Lecz w danej chwili przerywała nagle swoją zabawę biegła na werandę — a wtedy można było być pewnym, że Zaklika za kilka minut przyjedzie; jakoż nigdy to nie chybił© i ile razy słudzy widzieli Muszkę czekającą na werandzie, to wołali na siebie : pan jedzie. Jest to zmysł osobliwy i niechybny u psów, którego ludzie nie mają.

Zaklika z początku nieraz się obawiał, że jej dawniejszy właściciel może ją odpytać i zechce mu ją odebrać; wtedy mawiał do Prandoty:

— Juźci trudnoby mi było cudzą własność komuś

gwałtem zabierać, alebym mu ją odkupił. Dałbym mu najlepszego konia ze stajni — a nawet dwa konie...

— A choćby i wieś, — dodawał żartem Prandota.

— Może i wieś, — odpowiadał mu Zaklika, — cóż chcesz? wsi można się dorobić a takiego drugiego zwierzątka nie znaję. Nikt do mnie nie jest tak przywiązany jak Muszka i nikt mnie tak nie rozumie, jak ona.

A kiedy jego dzieci zamieszkały u niego i nie szło mu z niemi po jego myśli i miał z ich powodu rozmaite zgryzoty a nikt go nie rozumiał i jego zgryzot nie dzielił, to wtedy się coraz więcej przywiązywał do Muszki — i było to jedyne stworzenie w jego domu, które mu w każdej chwili przynosiło pociechę. Wtedy też mawiał nieraz do swego przyjaciela:

— Mój Prandota! dlaczego moje dzieci nie są do mnie tak przywiązane jak Muszka — a miałbym przecież więcej serca dla nich, niżeli dla tego zwierzątka.

— I ta Muszka, — mówił teraz do siebie Prandota, — dziś, kiedy Zaklika umarł, nie wydała ze siebie ani jednego jęku, ani razu nie zapłakała, ani razu nie zaskomlała i tak spokojnie go pilnuje, jak gdyby spał tylko i jutro rano miał się obudzić?

Wróciwszy do domu, Prandota nie zmrużył oka przez całą noc, tylko się z boku na bok przewracał i ciągle myślał o Muszce.

* * *

Stary Fryga, który służył niegdyś w czwartym liniowym i był równie walecznym żołnierzem, jak poczciwym człowiekiem, miał swoje wady. Był starym gadułą, trzymał

język za zębami, gdy wiedział, że o tem gadać nie wolno, ale była to ciężka męka dla niego zamykać w swych piersiach tyle tajemnic i tłumić w sobie niejedno uczucie, chociaż gwałtem na świat się wyrывało — a oprócz tego namiętnie stary miód lubił, bo to jest jedyny trunek, który zakrzepłą krew rozgrzewa i starej głowie młode myśli przywraca. Na miód rzadko mu kiedy starczyło, bo grobowa kaplica nie była parafialnym kościołem i bardzo rzadko się w niej nabożeństwa odprawiały — a z szczupłej lify, którą mu płacono ze dworu, i z tego kawałka ogrodu i gruntu, który do niego należał, ledwie miał się czem okryć i wyżyć. Ale dziś Ignas dał mu sówite poczęstne, samemi srebrnymi rublami, miał też dziś wielką zgryzotę, bo nieboszczyka Zaklikę bardzo szanował i szczerze do niego był przywiązany: jakże tu sobie w dzień taki, chociaż mu to Prandota zakazał, przynajmniej jednego kubka miodu odmówić? — Jakoż, kiedy Prandota odszedł, stał przez chwilę na progu i chwiał się, ale potem się zerwał, włożył kapelusz na głowę i poszedł do gospody.

Gospoda ta stała niedaleko od grobowej kaplicy, pół stajania albo mała co więcej. A była to gospoda bardzo dostatnia, zabudowana nieledwie jak mały folwarczek, z gościnnymi izbami, ze stajniami i otwartymi szopami, bo stała przy rozstajnych drogach, prowadzących na wszystkie strony całego świata. Bywały chwile, w których pusto tu było jak w opuszczonym klasztorze, ale znów przychodziły dni zapewne targowe, gdzie szynkownia była nabita podróżnymi najrozmaitszego gatunku a w dziedzińcu i przed gospodą po kilkadziesiąt wozów stawało. Często i panowie tu popasali a nawet i nocowali. Dawniej na tej gospodzie żył siedział, bogaty i szanowany, miał być poczciwy i bar-

dzo rozumny, bo jenerał go lubił a nawet często jego rady zasięgał. Zaklika był z nim także w jak najlepszym porozumieniu Ale właśnie przed kilką miesiącami ten poczciwy żyd umarł a po nim jego zięć objął gospodę, człowiek już zupełnie innego kroju, nieporządny i chciwy, który też bardzo podejrzanym handlem się bawił a nawet już kilkakrotnie był wzywany do sądu, ale zawsze się jakoś wykręcił, bo był protegowany przez władzę. Zaklika, mający oko na wszystkich ludzi, którzy w jego dobrach mieszkali, już mu był arendę wymówił, ale dopiero od nowego roku, za- czem ten żyd jeszcze tu siedział a tymczasem wyprzedawał jak mógł swojego teścia zapasy. Fryga o tem wiedział i cieszył się, że teraz i owego starego miodu, który znał dobrze, trochę taniej dostanie.

Kiedy wszedł do gospody, zastał przed nią wozów i wózków jak nabito a w szynkowni podróźnych także niemało : kupę żydów harkotających ze sobą około pieca, trochę chłopów wracających z targu i posilających się trunkiem, kilku jegomościów z waszecia i dwóch żandarmów, siedzących w kącie przy stole. Fryga na gości niewiele zważał, na żandarmów rzucił pochmurnem okiem, bo mundurów nie lubił, -i przystąpił zaraz do gospodarza, który harkotał z żydami. Trącił go łokciem, bo żydów zawsze z góry traktował, i rzekł:

— Panie arendarzu, dajcie-no mi butelkę tego miodu co to wiecie, co to mnie wasz teść czasem nim darmo traktował.

— Ten miód, — rzecze mu arendarz, — wart jest dwa ruble pomiędzy braćmi...

— Chyba że między braćmi, zawołał śmiejąc się Fryga, — między cudzymi nic nie wart.

— A pan sobie jeszcze z mojej biedy żartuje, — odpowie mu żyd, — mnie wasi panowie wypędzają z tej gospody, ja muszę wszystko wyprzedawać za bezcen a pan się śmieje. Ten miód dam panu za rubla.

Więc Fryga zaczął się z nim targować a kiedy wytargował, zasiadł sobie w kącie szynkowni za dużym stołem, połknął pół kubka miodu i mlaskał sobie ustami, przypatrując się gościom, ażali nie znajdzie znajomego pomiędzy nimi.

Niebawem miejscowi chłopci się zbliżyli do niego, ten z garncem piwa, inny ze szklanką wina, i zaczęli z nim przyjacielską rozmowę o nieboszczyku Zaklice, bo go wszyscy kochali i jego przedwczesną śmiercią szczerze się frasowali.

Fryga im opowiadał, jaki to pan był, pan z panów, i jakiego wielkiego rodu. Wszyscy jego ojcowie byli rycerzami a niejeden z nich był wielkim hetmanem, co całej armji polskiej przywoził. Jeden z nich Polskę od Tatarów obronił, wysiekłszy ich wszystkich do nogi, zaczęli pieśni o nim śpiewano, które też jeszcze do dziś dnia się między ludem chowają. Albo jenerał ? ten był jenerałem w wojskach francuskich, rossyjskich i polskich, a nawet bijał się z murzynami, na których się okrętami wyprawiał i bardzo piękne insuły z pod nich zdobywał. Ojciec pana Zakliki był także sławnym półkownikiem swojego czasu, szkoda że jeszcze młodo zginął na okopach Warszawy...

Fryga już się zamachnął, aby jeszcze coś więcej powiedzieć, ale spojrzawszy na żandarmów, nagle uciał i rzekł:

— A wtedy to plugactwo tak się nie włóczyło po kraju jak teraz, że człowiek musi język przycinać zębami, nawet w swym własnym domu.

I pociągnął na to pół kubka miodu, aby przelknąć tę gorycz. A tymczasem jeden ze starszych chłopów głos zabrał i opowiadał, jaki to dobry był pan ten nieboszczyk Zaklika. Jużci i jenerał był dobry, ale ani mu się równać do niego. Jenerał, bywało, kiedy czasem przez wieś idzie piechotą, to da pare rubli chłopakom, co się biją ze sobą, albo którą dziewczynę uszczypnie i rubla wsunie jej w rękę, ubogiemu nie odmówi jałmużny a na ciężkich przednówkach każe nam zboża pożyczać ze swoich spichrzów, ale potem zawsze daruje. Ale ten, to znał wszystkich chłopów po wszystkich swoich folwarkach, po imieniu i po nazwisku, a nawet wiedział, ile który ma dzieci. A gdzie bieda, to tam nie trzeba było chodzić do niego i prosić, bo albo sam przyszedł albo przysłał którego z pisarzy, wypytał, wybadał i własnymi oczyma obejrzał a potem pomógł; czasem darował a czasem tylko pożyczył, ale zawsze tak, że biedny człowiek się podniósł, bo też szczęśliwą miał rękę*. Już to nasz xiądz kanonik dużo mu w tem pomagał, ale zawsze to jego była poczciwość, bo też to szło z jego kieszeni. A wszystko to się zapisywało we dworze — i gdyby kto te xiążki przeczytał, od tylu lat, to dopiero z nichby się dowiedział, ile to tam jego majątku poszło pomiędzy nasze ubóstwo. Szkoda nam dziś takiego dobrego paniska! został się syn, ale kto wić, czy wda się w swego ojca, pono niebardzo podobny do niego...

W tej chwili żandarmi wyszli, więc Fryga odetchnął i rzekł:

— Co tam te jego jałmużny i zapomogi! kto ma, ten może dać. Ale to i żołnierz był z niego, co szukać takiego drugiego, a może i lepszy jak wszyscy jego dziadowie. Jego

ojciec zginął na okopach Warszawy a on byłby pewnie dał swoją szyję na stokach cytadeli, ale Bóg sprawiedliwy.

Chłopi Frygę nie zrozumieli. Ale na te słowa przysunął się do niego jakiś podróżny, który siedział o parę kroków od niego nad garncem piwa, człek pięćdziesięcioletni, ubrany z waszecia, niby ubogo, ale w dostatnim surducie i w jedwabnym kaszkiecie na głowie, trochę przyprószonym z podróży. Ten rzekł do niego:

— Taki-to żołnierz był ten pan Zaklika? coś ja o nim na Sybirze słyszałem, ale już nie pamiętam, w których krajach się bijał.

— Pan był na Sybirze? — spytał go Fryga ciekawie.

— Właśnie stamtąd powracam, aby się dobić do swoich, ale to jeszcze daleko, bo trzeba mi się przez Wisłę przeprawić

Fryga był tem wyznaniem głęboko wzruszony, ale jeszcze się wahał i rzekł:

— A za co-to pana posłano na Sybir?

— Ot, za co! — odpowiedział mu na to półgłosem podróżny i dodał jeszcze ciszej, ale z wyrazem żalu do niego, — jużci nie za kradzież.

Więc Fryga zrozumiał go teraz i ścisnął go pod stołem serdecznie za rękę a łzy mu w oczach stanęły, bo bardzo dobre miał serce i umiał czuć nieszczęścia swych bliźnich. Jakoż odpowiedział mu równie półgłosem:

— Piętnaście lat takiej męki! ale przyjdzie kiedyś do obrachunku, Bóg sprawiedliwy.

Na to podróżny, chcąc zapewne ze względu na słuchających chłopów odwrócić rozmowę od tego przedmiotu, spytał go głośniejszym głosem:

— A co-to takiego pijecie?

— To miód, — rzecze Fryga a przysunąwszy swoją szklanę do niego, — napijcie się, nie masz tam takiego w tych krajach, skąd wy wracacie.

Na to chłopci, widząc że się zaczynają traktować, wszyscy się usunęli, Fryga z podróżnym zostali w swym kącie sami a wtedy podróżny rzekł:

— Pięć lat katongi a dziewięć na posieleniu to nie palcem przekićwać. Ale przynajmniej na posieleniu, kiedy, człowiek pracuje, to się może i trochę grosza dorobić. I ja także nie pracowałem napróżno i tak się spodziewam, że jak się dobiję do swoich, to choćbym tam nic z mojej ojcowizny nie zastał, przecie z głodu nie umrę- Jeszcze mnie stać będzie i na butelkę dobrego miodu. Hej! panie aren- darz! a daj-no nam tutaj taką drugą butelkę.

Więc Fryga był bardzo uradowany, bo i znalazł kolegę i miodu się napije i będzie mógł się nagadać, jakoż zaraz go spytał:

— Cóżście więc o panu Zaklice na Sybirze słyszeli ?

— Goś, nie pamiętam, bo tam dużo było tego gadania. Ale pomnę, że ci, co go znali, wszyscy go bardzo chwalili, jako się bił bardzo walecznie podczas powstania.

— Więc jego sława doszła aż na Sybir! — zawołał Fryga, składając ręce, poczem pociągnął cały kubek miodu i rzekł: — Jużci mu się to należało. Ale ja wam powiadam, że to był taki półkownik, że jego sława powinna się była rozejść po całym świecie, bo on był ledwie nie lepszy, jak Głłopicki albo i sam Bogusławski, pod którym i ia też swojego czasu służyłem. Bogusławski to panie choćby na same piekło uderzyć a i piekłoby się przed nim nie

utrzymało, ale tamten miał półk uzbromiony jak trzeba i naj- pierwszy na świecie — ten, pozał się Boże! nieraz z lada garsteczką młodzików uzbromionych flintami a czasem i z go- łemi rękami. .

I tu Fryga już się rozgadał na dobre i opowiadał, jako Zaklika wciąż zbierał oddziały i często je tracił, ale potem zbierał nowe, zawsze miał ludzi przy sobie i wy trwał aż do ostatniego oddechu. Bito jego, to prawda, ale co on się ich nabił, to tylko Panu Bogu a po nim, chyba tylko mnie jednemu wiadomo. Poczem zatarł ręce i śmiejąc się dodał:

A jakich cudów on dokazywał! Albo ta cerkiew, niechże to kto drugi potrafi.

— Jakże to było? — pytał go podróżny.

A Fryga mówił:

— To, panie, tak było. Jakoś już pod koniec zimy pobito nas tutaj kędyś około gór Świętokrzyskich. Już się nas tylko kilkunastu zostało, bo prawdę mówiąc, choć ich nie wszystkich wybito, to jeden był ranny a drugi osłabł na siłach, więc się to porozłaziło. A myśmy sobie w las wleźli, ażeby trochę odpocząć. A kiedyśmy odpoczęli, więc naprzód pan Zaklika zaczął żywność gromadzić a potem broń zbierać, a potem ludzi i konie. Minał tak tydzień a może i więcej — a potem, panie, to już cud Boży: mieliśmy pareset ludzi i kilkadziesiąt koni przy sobie. Wszystko to jak gdyby z ziemi wyrosło, że ani człek wiedział, skąd się to bierze. Więceśmy odetchnęli, mówiąc sobie: Bóg dobry. Bośmy już wtedy mieli nasz obóz jak trzeba: były już szewskie i sio- dlarskie warsztaty, mieliśmy kuźnię a Xiądz Prandota mszę prawil co rana w obozie. Aż tu jednego dnia panowie zaczynają coś szeptać ze sobą, szepty idą pomiędzy żołnierzy,

ten i ów burkę zarzuca na siebie, broń przypasuje, aż tu i konie siodłają. Pytam ja mego jegomości: Go to się dzieje? — Ot co! powiada jegomość. Moszki są we wsi pod lasem, jeszcze ich jest niewiele, nie można tu czekać, aż się ich z jakie pare tysięcy zgromadzi. — Patrzę ja — a tu kawalerya już poszła naprzód, żołnierze już stoją w szeregach i my już idziemy. Wyszliśmy z lasu, daleko od wsi, i wyciągnęliśmy się na wzgórzu a kawalerya po skrzydłach. Patrzymy przed siebie a tu ciągnie ich ku nam cała chmura, zatrzymali się i zaraz wałą do nas z armaty, raz, drugi i trzeci. Wyrwali nam kilku ludzi, właśnie jak balwierz komu zęby wrywa, więc my na nich, kawalerya pomogła nam z boków, zakotłowało pomiędzy nami, ale nie na długo, bośmy im zaraz wsiedli na kark i za nimi. Porozrywaliśmy ich jako szmaty, natłukliśmy się tego paskudztwa, że aż ręka nam mdląła, ci i owi uciekli, ale ze trzydziestu z nich a może i więcej Oderwało się i wpadli do cerkwi^ co stała na osobności pod lasem. Wpadli i zaraz drzwi zatarasowali za sobą, jakby ich nigdy nie było. Więc- ceśmy cerkiew otoczyli do koła i wołamy do nich po ludzku: Poddajcie się, bo już wam nic nie pomoże — a my jesteśmy ludźmi - jak wy, tylko was weźmiemy w niewolę a u nas niewola nie ciężka... Ale wołamy i wołamy — a oni nic. Więc wtedy jeden nasz oficer aż pod same drzwi podstąpił i prosi ich po chrześcijańsku, na miłość Boga: Poddajcie się, nic wam nie będzie — a jak się nie poddacie, to wszyscy zginiecie. — A oni na to powysuwali lufy swych karabinów przez szparę pomiędzy drzwiami i gruchnęli do oficera, że się biedaczysko zaraz przewrócił. Oficera nasi porwali na ręce, ale wtedy pan Zaklika naprzód wystąpił, podniósł szablę do góry a oczy do nieba i zawo

łął wielkim głosem: Panie Boże ! biorę Ciebie na świadka, żem chciał tych ludzi ocalić, ale to było, nie ludzie! Ma tam z was który hubkę i krzesiwo ? — A wtedy, panie, strach Boży. Opoдал stała jakaś chałupa a przy niej dwa brogi, w których się jeszcze trochę siana i słomy walało po ziemi, drudzy pozdzierali strzechę z chałupy i wszystko to w lot do cerkwi przynieśli, — za jedno Zdrowaś Marya cerkiewka stanęła w płomieniach jak kiedy pastuchy zapalą półkówek na polu — a Moszki co do imienia się w niej jak wróble upiekli i ani jedna noga z nich na świat nie wyszła...

I Fryga śmiał się i ręce zacierał; lecz widząc, że podróżny go słucha z natężoną uwagą, patrzy mu w twarz świdrowatemi oczyma i wcale mu się na śmiech nie zbiera, przestał się śmiać i także sposepniał, bo chrześcijańskie miał serce. Podróżny go spytał:

— A cóż potem z wami się stało? dużoście ich jeszcze nabili ?

— A potem, — rzekł Fryga, — ot jak to zwykle na • wojnie. Przenocowaliśmy w lesie i znowuśmy się nawołali. Nazajutrz byliśmy nawet mocniejsi jak wczoraj, bo była tam druga bitwa kędys w bliskości, gdzie naszych pobito, więc ci, co się ostali przy życiu, wszyscy się do nas ściągęli. Ale i Moszki się także wzmocnili. Uderzyliśmy na nich na tem samym miejscu gdzie wczoraj, ale jużemy szczęścia nie mieli. Rozbili nas — a wtedy znowu strach Boży. Okrutnie nas mordowali za cerkiew. Połowa wsi stała w płomieniach, broniliśmy się wśród pożaru — a oni i rannych i żywych rzucali w ogień. Słyszałem jęki tych nieszczęśliwych i widziałem, jak ich ciała wśród ognia skwirczały. Kto kogo zgonił, ten go bez litości mordował. A kto się żywcem dostał w niewolę, że to już zmordowani byli tem zabija

niem, tego na drzewach wieszali a na niektórem starem drzewie ich po kilku wisiąło...

Pocziwy Fryga się nad tem zamyślił i łzy mu w oczach stanęły. Podróżny był także zamyślony i rzekł:

— Widziałem ja prawie jeszcze straszniejsze rzeczy na Sybirze, ale kiedy sobie te czasy przypomnę, to mi włosy wstają na głowie. Tylko widzi mi się, że wam już pamięć nie służy. Był tu jakiś pólkownik, co spalił cerkiewkę, ale on się nie nazywał Zaklika, tylko inaczej, powiadano mi jego nazwisko, ale to temu już tyle lat, jakoś mi się nie przypomina. Czy wyście go sami widzieli?

— Otóż to mi się podoba! — zawołał Fryga, — ta- kem go widział, jak pana widzę przed sobą.

— A wyście tam także byli?

— Takem był, jak tu jestem przed panem, — rzekł Fryga gniewnie i mówił dalej, — trudno gadać z takimi ludźmi, co człowiekowi nie wierzą. Przecież pan Zaklika, kiedy ^powrócił ze Żmudzi i tu zamieszkał, zawsze się ze mną obchodził jak ze swoim żołnierzem i powiernikiem, któremu można zaufać. Nieraz też do mnie zachodził i dawał mi papiery i książki do przechowywania a nawet i teraz jeszcze tego dość leży u mnie w kaplicy. A panu się zdaje, że ja coś kłamię, otóż wiedz pan o tem, że ja jeszcze ani jednego słowa nie skłamałem w mem życiu...

Tu Fryga zaczął już bredzić. Zaczem podróżny wstał i rzekł prędko:

— Otom się zagadał! Tu już noc zaczyna zapadać a mnie jeszcze dziś trzeba się przeprowić przez Wisłę. Bądźcież więc zdrowi! Ja, kiedy się do swoich dostanę, będę sobie siedział jak u Boga za drzwiami, ale przecie może jeszcze kiedy się obaczymy.

Podróżny zniknął. Fryga tylko głową mu kiwnął, bo mu się teraz ten człek nie podobał. Przytem jakoś nudziło go w sobie: ten żyd wisielec pewnie mu dał innego miodu. Potem chciał wstać, ale nie mógł: miód poszedł mu w nogi. Jakiś litościwy chłop mu dopomógł jako kościelnej osobie i wyprowadził go pod ramie do bramy. Przy bramie, kiedy zaczerpnął świeżego powietrza, dużo lepiej mu się zrobiło. Choć już pociemniało, widział świat przed sobą i dostrzegł ścieżkę, która przez las prowadziła do grobowej kaplicy. Zaczem dał chłopu dobre słowo i potoczył się wolnym krokiem do domu. W lesie stanął, odetchnął głęboko po raz i drugi i zaczął mówić do siebie: -- Niby wraca z Sy • biru — a nie wierzy uczciwemu człowiekowi. I z oczu także mu jakoś niedobrze patrzyło. Możem się niepotrzebnie przed nim wygadał. Ale co jemu zrobią? Teraz już i sam car go nie dosięgnie...

Stał jeszcze przez chwilę i myślał. Miał uspokojone sumienie a przecież ciężko mu było na sercu. Zaczem wydobył różaniec z zanadrza i zaczął się modlić. Modląc się, doszedł do siebie i modląc się, ułożył się do snu na swoim łóżku i zasnął jak kamień. Bodajby to nie był jego pacierz ostatni...

* * *

Prandota, przemarzywszy w snach niespokojnych noc całą, zasnął nad ranem snem ^twardym. Już słońce rozgrzało dobrze szyby jego sypialni, kiedy się zbudził. Spojrzawszy na zegar i widząc, że już godzina ósma minęła, zerwał się i zaczął się pędkiem ubierać.

Ale jeszcze się do połowy nie ubrał, kiedy do jego pokoju wpadł Kański.

Kański, zawsze taki spokojny, teraz był zadyszany, oczy mu się pod jego krzaczystymi brwiami zaokrągliły, usta mu drżały — a kiedy wszedł i drzwi zamknął za sobą, rzekł głosem takim, że w nim się prawie przestrasz przebiejał:

— Xięże kanoniku, stała się rzecz niesłychana.

— Cóż tam takiego ? — zapytał go Prandota, patrząc mu w twarz z przerażeniem.

— Tej nocy żandarmi wpadli do grobowej kaplicy, przywieźli ze sobą piechotę na wozach, otoczyli ją dokoła, siedzieli tam ze dwie godziny, przewracali w niej pewnie wszystko do góry nogami, nad ranem odeszli, ale pozamykali drzwi, przyłożyli pieczęcie i zostawili szyldwacha na warcie. Pewnie jeszcze powrócą..

Prandota był tą wiadomością jak odurzony. Twarz jego, to siniała, to bladła, oczy się mgłą zaciągnęły, przez chwilę nie mógł ani słowa wymówić; dopiero po chwili spytał niby spokojnie :

— Skądże to wiesz? byłeś sam przy kaplicy?

— Stróż nocny rni to powiadał, — rzekł Kański, M ale teraz już cały dwór wie o tem. Stróż chciał się ich robocie zbliżka- przypatrzeć, ale go odpędzili kolbami, więc się skrył w lesie i tylko zdaleka zaglądał.

Prandota był besprzytomny. Widać, że jakieś sprzeczne myśli mu się kłębiły po głowie. Zdawało się, że tych myśli nawet i Kańskiemu nie chciał udzielić, chociaż do niego bezwzględnie miał zaufanie. Dopiero znowu po chwili rzekł:

— Trzebaż to było powiedzieć panu Ignacemu.

— Jużci mu powiedziałem, — rzekł Kański, lecz przytem machnął ręką i dodał, — ale na co się to przydało?

Pan Ignacy mi odpowiedział jak gdyby nic: A co mnie kaplica obchodzi? to rzecz xiędza proboszcza.

Prandota myślał nad tem przez długą chwilę a potem powiedział:

— Słuchajże, panie Kański, to nie rób nic. Pójdę ja sam do kaplicy i pomału wszystkiego się dowiem. A potem przyjdę do dworu i powiem wam, co trzeba zrobić.

Mniejsza tam o kaplicę, — rzekł Kański, — były tam książki zakazane, więc je zabrali. Może tam co potłukli, to się to potem naprawi. Jeno to jest rzecz przykra, żeśmy jeszcze nie wymurowali grobu dla pana Zakliki a teraz będzie leżał w trupiarni kto wie jak długo.

— Pomyślmy i o tem, — odpowiedział mu Prandota, — tymczasem sza.

Kański wyszedł.

Prandota ubrał się prędko i poszedł do grobowej kaplicy.

W drodze najdziwaczniejsze myśli mu się snuły po głowie. Nie mógł ich wcale przyprowadzić do ładu. Domyślał się najdziwaczniejszych rzeczy, ale nic jasno nie widział. Miał przed oczyma jak gdyby mgłę, która ziemię sobą nakryła i pod którą nie można dostrzedz żadnego przedmiotu. Tak doszedł do kaplicy.

Przy bramie kaplicy stał żołnierz w szynelu, z karabinem w ręku.

Prandota się zbliżył zwolna ku niemu i kilka słów do niego przemówił.

Ale żołnierz podniósł karabin do góry i krzyknął:

— Paszoł, won!

Prandota się cofnął.

Wszedł w las i stamtąd rzucił okiem na kaplicę, ale nic nie dostrzegł, tylko na drzwiach, prowadzących do mieszkania Frygi i do trupiarni, widać było pieczęcie.

Prandota stał zamyślony przez chwilę a potem puścił się lasem ku gospodzie. Jednak uszedłszy zaledwie trzydzieści kroków, znów stanął. Z tyłu kaplicy, na małej łączce pod lasem, dojrzał żołnierzy. Było ich ośmiu, co najwięcej dziesięciu, nałożyli ogień i gotowali sobie jedzenie, bo widać było nad ogniem kociołek. Żołnierze leżeli około ognia i stali, kurzyli fajki i rozmawiali. Prandota chciał się do nich przybliżyć, ale się zastanowił: kto więc, jakie mają rozkazy ?

- Prandota szedł dalej ku gospodzie i myślał, ale im więcej rozmyślał, tem większy lęk się w nim odzywał, lęk instynktowy, niewytłumaczony, ale go czuł dobrze we wszystkich członkach.

Idąc dalej z tym lękiem, ciągle zwalniał kroku. Czasem stawał — a wtedy coś go wewnątrz trącało i mówiło mu, żeby nawrócił. Jakoż kilka razy zrobił krok w tył, ale zawsze się przemógł i poszedł dalej. Tak doszedł do samej gospody, ale do szynkowni nie wszedł, tylko kazał sobie arendarza zawołać.

Żyd wybiegł ku niemu i powitał go z wielkim respektem.

Prandota go spytał:

— Panie Mordku, co to się tu stało ? widzę żołnierza na warcie przed kaplicą, który mnie nie chciał wpuścić do kaplicy.

Ale żyd nic nie wiedział, albo udawał, że nie wie. Powiedział mu tylko to samo, co stróż nocny opowiadał Kańskiemu.

— Ale ja tu widzę żołnierzy, — rzekł Prandota, — którzy koczują około kaplicy. Cóż to ma znaczyć? Zrobili rewizję, to dobrze, mają do tego prawo, chociaż powinni byli mnie do rewizji zaprosić; ale dlaczego jeszcze teraz koczują?

Żyd nic o tem nie wiedział i mówił mu:

— Tu w gospodzie nie byli

Prandota myślał nad tem a potem spytał:

— Ale cóż z Frygą się stało?

Żyd wzruszył ramionami i powiedział, że nie wie.

To jeszcze więcej zaniepokoiło Prandotę, więc pytał dalej:

— Ale czy nie był tu Fryga u ciebie ? dziś rano albo wczoraj wieczorem?

Tu żyd zaczął mówić, ale powiedział mu krótko, że Fryga przyszedł do gospody wczoraj przed samym wieczorem, napił się miodu, ale o zmroku poszedł do domu.

— Pijany? — spytał Prandota.

— Może trochę sobie podchmielił, ale staremu niewiele potrzeba.

— Któż tu był wtedy w gospodzie ? — pytał coraz raźniej Prandota.

— Chłopi, żydzi i kilku podróżnych z waszecia, było także dwóch żandarmów.

— Z kimże Fryga rozmawiał?

— Z jakimś podróżnym, który go miodem częstował.

— Cóż to był za podróżny?

— Nie wiem. Podobno jakiś posieleniec, co wracał z Sybiru. Tak mi chłopi mówili...

Prandota zbladł, bo znowu go coś trąciło.

— I wiesz pewnie, że ztąd poszedł prosto do domu ?

— Tak mi się widzi, bo przecież nie poszedł błąkać się po wsi po nocy.
To prawda. A więc żandarmi go wzięli ze sobą, bo przecież go nie zapieczętowali w kaplicy.

— Pewnie go wzięli, — rzekł obojętnie.

Teraz Prandotę jak gdyby coś wewnątrz ukłuło. Pożegnał żyda i odszedł.

Zrazu szedł wolnym krokiem i myślał. Położenie za- częło mu się powoli wyjaśniać. Zdrowy rozsądek rozwiązywał mu fakt za faktem całą zagadkę. Fryga poszedł wbrew jego zakazowi do karczmy, bo język go swędził, jak to sam przyznał. Tam zastał jakiegoś zapewne znajomego człowieka i zaczął mu naprzód obojętne rzeczy opowiadać o Zaklice, ale potem sobie podchmieleł i z czemś się wygadał, żandarmi go podsłuchali, donieśli to zaraz swojej komendzie a komenda spadła w nocy na kaplicę i zrobiła rewizyj. Teraz Fryga już siedzi w więzieniu i zapewne go . biorą na konfessaty...

Tak myśląc, Prandota sam nie czuł, że ciągle kroku / przyspieszał. Robił to wcale bez wiedzy, to jego myśli jak maszynę naprzód go parły.

Potem myślał dalej i postawił sobie pytanie: Ale dlaczego wartę tu zostawili? — Zapewne jeszcze nie skończyli rewizyi. Ażeby zrobić zupełną rewizję, trzeba było groby odmurowywać — a na to nie mieli czasu. Oni tu jeszcze powrócą, jak Fryga porobi dalsze zeznania. Pewnie wróca, zapewne dziś jeszcze; Kański także był tego zdania... -

Tak sobie mówiąc, Prandota już szedł tak szybkim krokiem, jak gdyby kto za nim gonił — a kiedy w dali probostwo obaczył, to biegł już prawie pędem.

Śmialiśmy się niegdyś z Fujary, kiedy przestraszony widokiem pałek, wyleciał z probostwa bez tchu i bez przytomności i pędził klusem ku pałacowi, ażeby tam porwać jaką furmankę i uciec czempredzej. Wówczas Prandota był spokojny jak woda stojąca i gotów na męki a choćby nawet na szubienicę. Dzisiaj kolej przyszła na niego — i nie ma czemu się dziwić, bo ten lęk nieświadomy, który zabija wolę w człowieku i porywa go z sobą jak wichr zmiatający zwiędłe liście ze ziemi, ten lęk który nienaszym wyrazem nazywamy paniką, jest każdemu człowiekowi wrodzony i unosi ze sobą najspokojniejszych i najodważniejszych ludzi, tylko nigdy nie wiedzieć, kiedy i dlaczego przychodzi. Pod Waterloo najwaleczniejsze półki, które dopiero* co w armatnim ogniu stały jak słupy z żelaza, zemknęły z pola — a porwany ich pędem, sam Napoleon dał się im unieść i pędził z niemi, jak gdyby się całe piekło za nim waliło. Wszyscy jesteśmy ludźmi i mamy jednakowy system nerwowy, który nasz rozum i wolę trzymają w ustawicznym naprężeniu: ale przychodzą chwile, w których pod jakimś nieuchwytnym wrażeniem te nerwy nagle się rozprzegają — a wtedy nietylko upada słaba kobieta, ale najpierwszy wojownik świata umyka tak samo z pola, jak ów rekrut papinek, którego wczoraj kazał za tchórzostwo rozstrzelać.

Kiedy Prandota wpadł bez tchu na probostwo, to przedewszystkiem kazał sobie natychmiast zaprzęgać.

O pakowaniu rzeczy wypale nie myślał, tylko pulares z pieniędzmi włożył w zanadrze i płaszcz zarzucił na siebie a jednocześnie kazał swego wikarego zawołać.

Kiedy wikary wszedł, on położył mu rękę na ramieniu i rzekł do niego głosem wzruszonym:

— Mój bracie, ja jadę, wiesz co się stało, Bóg wie kiedy

powrócę. Jeżeliby cię kto pytał o mnie, choćby sam Kański, powiedz, że otrzymałem wiadomość, jako mój brat umiera w Galicyi i pośpieszyłem do niego. Spodziewam się, że Pan Bóg mi to kłamstwo przebaczy, in articulo mortis. Nie pytaj o mnie, nie szukaj mnie w żadnym wypadku; jak tylko będę ci mógł coś donieść o sobie, to ci napiszę, wiesz przez kogo. Wtedy i ty mi pisz a opisuj wszystko dokładnie. A teraz bądź zdrow — może na zawsze...

A to mówiąc, ze łzami w oczach rzucił mu się w ramiona, przycisnął go silnie do piersi, wybiegł przed ganek, wskoczył do zaprzęzonego powozu i odjechał na przykormek — a w pół godziny potem był już po tamtej stronie "suchej granicy".

XIV.

Tego dnia, kiedy Prandota wyjechał za granicę, odbył się w Zaklikowie uroczysty akt otwarcia testamentu nieboszczyka Zakliki.

Ten sam adwokat, który służył jeszcze generałowi, zjechał z rejentem i notaryuszem do Zaklikowa i w obecności obojga dzieci, Kańskiego, Fajary, obojga Balcerów i Frydrusza, którzy właśnie przyjechali z odwiedzinami, odczytał ten obszerny i bardzo starannie napisany dokument, który Zaklika dopiero przed trzema tygodniami złożył u niego.

Śliczny-to był testament: przedstawiał on budujący obraz człowieka dobrej woli, odmalowany wyrazistymi barwami na jasnym tle chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Zaklika zapisał cały swój majątek swoim dzieciom, z tym warunkiem, ażeby się podzielili dobrami, mającemi

31*

wartość zupełnie równą, w dobrem z sobą porozumieniu; dodawał wprawdzie, iż według tradycyjnych zwyczajów Zaklików powinienby przypaść jego synowi, ale zrobił uwagę, że dobra Żmudzkie są daleko właściwszem [polem dla energicznej pracy mężczyzny, bo wartość ich może się prędko podwoić, zaczem daje synowi ojcowską radę, aby wziął dobra Żmudzkie a Zaklików siostrze zostawił.

Ten ustęp testamentu sprawił na Frydrusza i Genię prawie rozczulające wrażenie, jakoteż wymienili ze sobą spojrzenie, które oboje dobrze zrozumieli: widziała to Flora, spojrzała na Ignasia i uśmiechnęła się zimno, ale Ignas tego spojrzenia nie widział, miał zapewne o tem jakieś własne zdanie, bo z surowym wyrazem na twarzy patrzył na adwokata i słuchał dalej.

Oprócz nieruchomości majątku był jeszcze bardzo znaczny majątek ruchomy, składający się z gotowizny w kasie, na hipotekach i u bankierów, z inwentarzy w obydwóch dobrach i z bardzo obfitych zbiorów, tak pozostałych po jenerale, jak i nagromadzonych przez niego samego.

Inwentarze pozostawił przy dobrach, gdzie co jest, nie wykluczając jednakże wcale dobrowolnej pomiędzy rodzeństwem wymiany pojedynczych sztuk, jeżeli im się tak będzie podobać: ale gotowiznę i zbiory obciążył licznemi legatami.

Prandocie kazał wypłacić piętnaście tysięcy rubli po jenerale, a dziesięć tysięcy od siebie. Wikaremu dwa tysiąca, na wiejski szpitalik, utrzymywany przez niego, także dwa tysiące. Kańskiemu dziesięć tysięcy.

Fujarze pozostawił wolny wybór, albo pobierać swoją

pensję jak dotąd, albo zażądać jej skapitalizowania na pięć procent i natychmiastowej wypłaty. Felczerowi trzy tysiące, ale z obowiązkiem starannego pielęgnowania Muszki aż do jej śmierci.

Każdemu ekonomowi i wszystkim pisarzom, klucznicom, kucharzom, całej służbie dworskiej, nie zapominając ani jednej z tych licznych dusz, które dwór jego składały, zapisał parę set, sto a co najmniej pięćdziesiąt rubli.

Potem szły rozmaite legaty ze zbiorów. Upoważnił Prandotę, ażeby wybrał z jego biblioteki wszystkie te książki, które można dać czytać wiejskiemu ludowi, i aby je przeniósł do siebie dla użytku swoich parafian. Staremu Firlejowi zapisał przepyszną starożytną zbroję do jego zbrojowni, pani Firlejowej bogatą historyczną szkatułę kamieniami sadzoną, którą zawsze admirowała, Frydruszowi bardzo piękny pas lity i karabełę. Inne pasy kazał dać do kościoła, bo jego syn i tak ich nosić nie może. Prócz tego prawie każdemu z sąsiadów, z którymi żył w dobrej przyjaźni jakiś przedmiot na pamiątkę darował: tylko o Balcerach nie było w testamencie wspomnienia.

A wreszcie szły nieskończone zapisy dla ludzi ubogich. Ktokolwiek w jego wsiach był mu co winien, wszystkim ich długi darował. Staremu Nurkowi kazał pięćset rubli wypłacić, kilkudziesięciu ubogim zagrodnikom, ich wdowom albo sierotom, po kilkadziesiąt lub kilkanaście rubli, nawet i o żebrakach nie zapomniał, co pod kościołem siadają, albo których znał, że do wsi przychodzą, temu dziesięć, innemu pięć a drugiemu dwa ruble.

Testament ten kończył się pożegnaniem wszystkich pocziwych ludzi, którzy go znali: przeproszał każdego je*

żeli komu się stał nieprzyjemnym lub przykrym, prosił aby mu przebaczyli ci, o których może zapomniał, napominał ich, ażeby żyli z sobą w miłości i zgodzie a nie porzucali nadziei, bo i na ziemi każdy otrzyma tę nagrodę, na jaką zasłużył, a jest jeszcze życie wieczne za grobem, gdzie Ten, który nas stworzył, wszystkie nierówności wygładzi, i gdzie się jeszcze wszyscy ze sobą spotkamy.

Wszyscy byli tym testamentem do głębi wzruszeni. Fujara płakał jak bóbr, ręce łamał przed sobą i wołał: Boże mój, Boże! co to za człowiek! wszyscyśmy go znali tak zbliska a nikt z nas nie wiedział, że mamy Świętego pomiędzy nami... Genia roztopiła się we łzach. Frydrusz był cały skruszony jak grzesznik, bo musiał przyznać, że nieraz go sądził niesprawiedliwie. Nawet surowy Kański niejednokrotnie zaczerpywał powietrza i łzy z oczu ścierał. Tylko Ignas stał niewzruszony, z twarzą nastrojoną poważnie i ani jednym ruchem swoich myśli i uczuć nie zdradził. Balcerowie, także bez żadnego wzruszenia na twarzy, patrzali ciekawie na niego, ale nie umieli odgadnąć co myśli.

Wszelako Kański, po przeczytaniu testamentu, kiedy i ci i owi zaczęli rozmawiać ze sobą, po raz pierwszy w swem życiu po przyjacielsku zbliżył się do Fujary, ścisnął go silnie za rękę a wskazując mu mrugnięciem oka na Ignasia, rzekł do niego półgłosem:

— Powiadają ludzie, że jabłko niedaleko leci od jabłoni, ale tutaj podobno to jabłko Odleciało bardzo daleko. Wspomnisz pan moje słowa, z tego panicza nikt mieć nie będzie pociechy. A jeszcze do tego tak się pokumał z tymi Balcerami. Ja tu podobno długo popasać nie będę a i panu powiadam, żebyś zawczasu o innym gnieździe pomyślał.

Ale Fujara, optymista jak zawsze, miał zupełnie inne idee. Że idee jeszcze nie całkiem jasno rozwinęły się w jego głowie, boć to dopiero od dwóch dni trwało to nowe położenie — a przez te dwa dni jego serce krwawiło się z żalu za Zakliką, więc nie miał jeszcze czasu nad tem spokojnie pomyśleć. Ale już miał takie przeczucie, że całkiem opanuje Ignasia i Genię i lepiej mu będzie na tej re-zydencji, niżeli mu było za życia Zakliki. Będzie miał przecież na każdy wypadek bardzo silne plecy w Firlejach, którym służy uczciwie i wiernie. A więc: jeżeli Ignas się uprze i przeciw woli ojcowskiej weźmie Zaklików, co przecież trudno przypuścić, to już on potrafi osiodłać tego niedoświadczonego młodzika i zrobi z niego, co zechce; jeżeli zaś Zaklików dostanie się Geni, to ona, poszedłszy za Frydrusza, przecież będzie wolała mieszkać w Firleju a wtedy on będzie burmistrzował w pałacu tak samo, jak bezpośrednio po śmierci jenerała. Sytuacja tedy dla niego na każdy wypadek jest doskonała. Zaczem Fujara zatarł ręce i był kontent ze siebie.

Ale potem przyszło mu na myśl, że dzieci jeszcze są małoletnie. Ktoś jest mianowany egzekutorem testamentu, ktoś opiekunem: trzeba by się o tem dowiedzieć a jeśli można, od opiekuna otrzymać, co przecież jest logicznem, bo i jenerał tak zrobił, ażeby opiekun tymczasem zarząd gospodarstwem poruczył Kańskiemu a jego zamianował gospodarzem w pałacu. Fujara był pewnym, że to nawet inaczej nie może być, jednak dla uspokojenia siebie samego zbliżył się do adwokata i spytał go o to, przypominając mu w sposób oględny i delikatny, jak to było po śmierci jenerała. Ale adwokat, człek pracy, który wszystkich nierobów nie lubił a Fajarą oddawna pogardzał, spojrzął

na niego jakimś dziwnie szyderskiemi oczyma, patrzył na niego temi nieznośnemi oczyma w milczeniu tak długo, że aż mu się ckliwo zrobiło, a potem rzekł:

— Jeżeli pan dobrodziej będziesz miał cierpliwość zaczekać do jutra rana, to o wszystkim się dowiesz.

Fujara odszedł jak zmyty — a w jego sercu odezwało się obrzydzenie przeciwko tym ludziom, którzy ze szlachty żyją, nawet ją obdzierają, a mimo to ją nienawidzą, pytani się za co.

Siadł w złym humorze do obiadu i jadł bez apetytu. Po obiedzie przysłuchiwał się konwersacyi, ale w niej nie brał udziału, bo mu ciężko było na sercu i miał to wrażenie, że teraz pomiędzy tymi samymi ludźmi wieje duch jakiś inny, niżeli ten, który wiał za życia Zakliki. Poszedł wcześniej spać, ale miał noc niespokojną: jakieś brzydkie rzeczy mu się marzyły — a kiedy wstał rano, to czuł się niezmiernie przytłumionym na duszy i jakoś dziwnie gorzko mu było. Nie wiedział nic, ale miał to przeczucie) że dawna epoka się skończyła a zaczyna się nowa, jeszcze nieznajoma, lecz bez wątpienia gorsza od tamtej, na wszelki wypadek jakaś niby mu obca, zapewne pełna rozczarowania a może być, że w mej nawet nie będzie wcale miejsca dla niego...

Nazajutrz rano znowu jakieś akta czytano, inne dopiero sporządzano i podpisywano. Z nich się dowiedział Fujara, że egzekutorem testamentu i opiekunem został zamianowany ten sam adwokat

— Niechże mu Bóg tego nie pamięta! — pomyślał sobie Figara — ten jemu tu jego majątek doskonale przetrzebi. Wprawdzie Ignasiowi już tylko kilka miesięcy bra-

kuje do pełnoletności, ale takiemu tatarowi i to wystarczy, zwłaszcza że jest tyle gotówki.

Potem wszakże adwokat oświadczył, że wypełniając poufne instrukcje nieboszczyka Zakliki, mianuje Ignasia swoim zastępcą i oddaje mu zarząd całego majątku.

Fujara odetchnął.

Przy śniadaniu rozmawiano poufnie, bo dziś już żadnych gości nie było. Ignas opowiedział adwokatowi, że przedwczoraj sprzewracano kaplicę, zapieczętowano drzwi i postawiono żołnierzy na straży i pytał go o radę, jak ma się względem tego wypadku zachować. Adwokat, wyrozumiawszy wszystko, poradził mu, żeby się w to wcale nie mieszał, bo go to nic nie obchodzi. Nawet gdyby zrobiono rewizję w pałacu, nie ma się niczego obawiać, bo on nie jest za nic odpowiedzialnym.

Po śniadaniu prawnicy odjechali i zostali sami domowi.

^•Fujara był lepszej myśli, zbliżył się do Ignasia, ścisnął go za rękę, wieszował mu jego nowej pozycji i bardzo chlodił testament.

Ale Ignas odpowiedział mu kwaśno: — Jeszcze pan sobie drwiesz ze mnie. Piękny testament, nie ma co mówić: tak obciążony legatami, że pewnie nam nie zostanie ani grosza gotówki.

Fujara w swej poczciwości wzdrygnął się na to, coś jeszcze mówił, ale niebawem spostrzegł, że Ignas nie ma wcale ochoty wdawać się z nim w dalszą rozmowę, odszedł więc z głową spuszczoną i poszedł do Geni, która ze swoją guwernantką bawiła się w drugim pokoju.

Fujara powiedział jej ten sam komplement. Ale Genia przyjęła go także niewesoło i rzekła:

— Ten testament jest bardzo dobry dla ludzi obcych i dla ubogich, co też z szczerego serca przyznaję, ale przecież nie dla mnie. Papa mnie oddał na łaskę i niełaskę mojemu bratu, choć wiedział dobrze, że ja chcę mieć Zaklików.

Fujara spojrział na nią zadziwionymi oczyma, lecz rzekł pogodnie:

— Ja sądzę, że Ignaś nie będzie się upierał przy Zaklikowie.

— Ja nie wiem, — odpowiedziała mu Genia i zaczęła dalej rozmawiać ze swą guwernantką.

Fujara uczył, że w tym pałacu, który prawie za swoją własność uważał, jakoś pusto się zrobiło dla niego i w głę- bokiemy zamyśleniu cofnął się do przyległego pokoju. Po raz pierwszy od czasu, odkąd tu mieszkał, nie wiedział, gdzie sięść i do kogo przemówić. W tej chwili oboje Bal- cerowie przyjechali i z wielkim hukiem i trzaskiem weszli do pałacu. Fujara Balcerów już wcale znieść nie mógł i choćby tylko dlatego, aby ich nie widzieć, wymknął się na tylną werandę i odszedł do siebie.

Kiedy umarłego człowieka złożą do grobu, w jego ciele zaczyna się robactwo rozlegać, ale często w tem •wszystkiem, co po sobie zostawił na ziemi, także się robactwo rozlega. Nie masz wstrętniejszego widoku, jak sukces- sorowie, nawet wtedy, kiedy z zachowaniem pewnej przy- zwoitości rozbierają poftiiędzy siebie owoce pracy takiego człowieka, za którym niegodni byli proch zmiatać za jego życia, — a cóż dopiero w razie takim, kiedy uczucia przyzwoitości nie mają, kiedy wdzięczności nawet nie udają a nadto wszystko jeszcze się nie tają ze swoją niechęcią

dla swego dobrodzieja za to, że swoim własnym majątkiem nie we wszystkich szczegółach tak rozporządził, jak on¹ sobie uroili w swych głowach. Dzieci Zakliki nie miały wdzięczności dla niego za przekazanie im swoich majątków w daleko większych dostatkach, niżeli je sam odziedziczył, i przyjęły sukcesję z nieukontentowaniem a nawet z pewną goryczą. Byli to ludzie innego wychowania, innej epoki, innego ducha.

Jakoż odtąd zaczęło się w Zaklikowie gospodarstwo naturalistyczne, prowadzone według tego empiryczno-fizjologicznego systemu, który przyznaje człowiekowi prawo zaspakajania swych potrzeb wszelkimi możliwymi środkami według [swego wyboru, nie narzuca mu żadnych zasad moralnych, bo żadnej moralności nie uznaje, i uczy go, że zaspakajanie tych potrzeb jest jedynym celem jego życia na ziemi.

Pierwszym, który się poczuł w sobie w tym duchu, był Ignaś. Nijaki dotychczas, małego serca, chwiejący się, nieświadomy siebie samego, nie wiedzący nawet, czego ma chcieć i czego chcieć może, teraz, kiedy się stał niezawisłym i stanął na czele znacznego majątku, nagle uczuł całego człowieka w sobie i stanął twardo obydwoma nogami na ziemi. Stało się z nim z małą zmianą, co powiedział poeta:

Und bin ich bei Geld, So bin ich auch bei Sinnen.

Stanął twardo i opanował silną wolą i energią dom cały. Ale on opanował dom — a jego opanowała Flora.

Flora zaczęła też zaraz buszować po Zaklikowie jak

gdyby była u siebie — a w parę dni potem przybrała ton taki, jak gdyby ona była tutaj panią domu.

Niewiele domyślności potrzeba było na to, ażeby zgadnąć, że Ignas już postanowił ożenić się z Florą a prawdopodobnie i Zaklików zatrzymać dla siebie.

Doświadczony w tych rzeczach a często nawet dosyć domyślny Fujara poszedł jeszcze dalej i już po kilku dniach szepnął Kańskiemu do ucha: — Oni już pewnie i pożenili się z sobą, bo to wszystko poganie bez czci i wiary, co nawet drwią sobie z sakramentów, jak to sam nieraz słyszałem ...

Jakoż i Ignas traktował Florę jak swoją żonę, ulegał jej we wszystkim i starał się odgadywać jej życzenia. Zaraz nazajutrz po odjeździe prawników posłał jej parę najpiękniejszych koni z powozem i paradną liberyą swojego domu, której jego ojciec używał tylko przy wielkich okazjach, parę razy do roku. Posłał jej także niektóre sprzęty z damskiego salonu — a potem, ile razy "Flora choćby bez myśli pochwaliła jakąś wazę porcelanową, jakiś obraz, albo jakąś figurę bronzową, to ta waza, ten obraz i ta figura w godzinę potem już były na Balcerówce. Zgoła kto nie chciał, ten widział, że gdyby był mógł, to byłby cały Zaklików spakował na wozy i przewiózł na Balce- rówkę, aby go u jej nóg złożyć. Zgoła znowu jak mówi poeta:

So ein verliebter Thor verpufft Euch Sonne, Mond und Sterne
Zum Zeitvertreib dem Liebchen in die Luft.

Na widok takiego gospodarstwa surowemu w cnocie i obyczajach Kańskiemu przewracały się wnętrzności.

A

Z tradycyjnego poszanowania dla imienia Zaklików, które dla niego było świętością, przez kilka dni się powstrzymywał, tłumiąc w sobie swe oburzenie: ale niebawem Balcerek zaczął mu się mięsząć do gospodarstwa i krytykować rozrzutność, z jaką w Zaklikowie bydło i konie a nawet i ludzi żywiono. Podług niego była to jakaś staroświecczyzna, pełna przesądów i straszliwie głupiej uczuciowości, dobra chyba do zapisania w jakiejś kronice i do czytania wieczorem przy kominie, ale całkiem przeciwna terażniejszym zasadom ekonomicznym. Kto kiedy słyszał w dzisiejszych czasach, ażeby żywić bydłętą, które do niczego nie służą, a te, które służą, tuczyć prawie jak gdyby na opas. Na folwarku parobków za dużo i dziewczek za dużo, jakaś stara klucznicą, nie mogącą już wcale pracować, której się trzyma drugą do pomocy a którą przeto już dawno trzeba było odprawić, dwóch pisarzy jaknajzupełniej zbytecznych, dwóch kuchcików w kuchni całkiem niepotrzebnych, bo tylko baki zbijają, wszystko to same dar-mojady — a nakoniec ten stary felczer, prawdziwa karykatura, co w swojej apteczce chowa sadło borsucze, łój kozłowy, proszek tarty z rogów jelenich i Bóg nie wie jakie dryakwie, tak że mu chyba jeszcze tylko wody święconej brakuje. Balcerek krytykował to wszystko nielitościwie, ze stanowczością apodyktyczną, a przytem z cierpkim szyderstwem, i nauczył Kańskiego, że takie gospodarstwo bez znajomości fizyki, geologii i chemii, należy chyba do muzeum starożytności, ale zarazem jest marnotrawstwem, bo Zaklików, zagospodarowany według racjonalnego systemu, może dwa razy tyle przynosić — a jak to trzeba urządzić, on go nauczy i wyda mu odpowiednie rozporządzenia

Kański, który dzięki swej oszczędności i zapobiegliwo-

ści był wzorem dla wszystkich gospodarzy z sąsiedztwa[^] który się znał na maszynach i na chemii rolniczej jak nikt w całej okolicy, z którego szkoły wychodzili ekonomowie poszukiwani przez wszystkich sąsiadów, ale który przytem miał względy ludzkie dla ludzi i bydła, bo uważał to sobie za chrześcijański obowiązek sumienia, słuchał Balcera cierpliwie, ale z najwyższą pogardą. Wśród jego kazania miał chwile, gdzie go ręka okrutnie świerzbiała: jakże radby go porwał za kark, dał nogą w grzbiet i wyrzucił za bramę folwarku. Za taką obronę honoru domu nieboszczyk Zaklika pewnieby się był nie pogniewał — a jenerał byłby mu za to jeszcze jakiego żrebca darował. Teraz się wstrzymał, ale zaciąwszy się, poszedł do Ignasia i powiedział mu krótko i węzłowato: że od niego będzie wszystkie rozkazy przyjmował, bo jest jego sługą, ale obcym ludziom w swoje gospodarstwo mięszać się nie da, bo to ubliża jego godności i powadze.

Ignas, będąc zapewne już uprzedzony przecifr Kańskiemu, przyjął to jego oświadczenie z ironicznym uśmieszkiem i rzekł:

— Ale bo tu jest rzeczywiście dużo przestarzałych zwyczajów...

— Jeżeli się coś przestarzało i potrzebuje naprawy,¹ — , odpowiedział mu Kański z powagą, — to my między sobą nad tem się obradzimy i napcawimy, możemy czasem i rady cudzych ludzi posłuchać ;|JaleJżeby mi się jakiś młokosik mięszał w moje rzeczy a jeszcze ze mnie się naigrawał, na to się nigdy nie zgodzę.

— To jak się panu Kańskiemu podoba, — rzekł na to Ignas ziewając, — trudnoż mi moich przyjaciół wyli

rzucać za drzwi dlatego, że się nie podobają moim oficya- listom.

Na te słowa Kański zbladł z oburzenia, ale zachował zimną krew i z godnością obrażonego człowieka, stojącego na straży swego honoru, podziękował za służbę.

— Kiedyż pan chce wyjechać? - spytał go Ignaś, czyszcząc sobie paznogie.

— Dziś jeszcze zdam starszemu pisarzowi rachunki, — rzekł Kański, - do wieczora spakuję się a jutro rano wyjadę.

Ignaś ukłonił mu się skinieniem głowy.

Kański wyszedł wzburzony do głębi, na pozór zimny jak lód, bo umiał nad sobą panować: ale kiedy stanął na tylnej werandzie i rzucił okiem na zabudowania folwarczne i na swoje mieszkanie, to dwie łzy ogromne i białe jak perły spłynęły mu z oczu i utonęły w wąsach, także już białych jak śnieg. Kański nie był skłonnym do łez, ale kiedy poczciwy człowiek, odtrącony przez ludzi, nie umiejących ocenić jego wartości, musi porzucić te miejsca, gdzie przez lat przeszło trzydzieści pracował sumiennie ze wszystkich sił swoich i żył w miłości i poszanowaniu u swoich podwładnych i przełożonych, to wtedy i kamień zapłacze...

Było to rano. W pół godziny potem rozeszła się wieść po wszystkich zabudowaniach, że Kański odchodzi. Wszyscy byli tym zasmuceni a ci i owi pobiegli do niego, aby mu żal swój wyrazić. Kański oświadczenia współczucia przyjmował wdzięcznie od wszystkich, ale nikomu ani je- dnem słowem nie zdradził, jak się to stało i dlaczego odchodzi. Tylko z felczerem rozmawiał poufnie w kąciku przez chwilę, podczas kiedy pierwszy pisarz układał na stole rachunki.

Rozmawiali półgłosem, nie można ich było dosłyszeć, tylko raz felczer powiedział głośniej:

— I ja już także moje manatki pakuję. Płakać za nimi nie będę, tylko mi żal będzie moja apteczkę zostawić — a muszę, bo to własność skarbową.

Więc Kański na to rozśmiał się głośno i zawołał:

— Podobno jak zechcesz, to ci pozwolą zabrać ze sobą twoje sadło borsucze i twój łój kozłowy, bo oni to i tak powyrzucają przez okna.

Zaczem felczer zaciągnął go do drugiego pokoju i tam się z nim długo naradzał, bo mu o jego apteczkę chodziło

Fujara spał długo jak zwykle i wstał w niezłym humorze. Ale ubierając się i rozmyślając nad tem, co się działo około niego, coraz lepiej dostrzegał, że nie ma wcale powodu do dobrego humoru. A wszakże—to niesłychane rzeczy tutaj się dzieją — a kto wie jeszcze, co się dalej dziać będzie. Ignasz jeszcze się nie podzielił z siostrą ojcowskim majątkiem a już go rozdrapije w sposób głupi i niesumienny i wszystko wysła na Balcerówkę. Flora jeździ herbownym powozem Zaklików, une roturiere! czy słyszał kto kiedy co podobnego? Wygląda też w nim jak ta paryska kokota, co jej jaki murzyn milioner otworzył u Briona kredyt na powóz, ona też kazała sobie wystawić un huit-ressorts i zaprządz dwa karosyery: powóz arcybiskupi, ale małpa w nim siedzi! Dał jej dwie wazy prawdziwe chińskie, co sam z wyprawy do Chin przywiózł jeden z Zaklików, statuetkę bronzową z amorkiem z czasów Ludwika XIII, coby ją każdy zapłacił na wagę złota, i to biórko damskie z hebanowego drzewa, prawdziwy Louis XVI, jakiego drugiego nie masz na całym świecie! — Fu

jara był oburzony tem marnotrawstwem i mówił sobie, że to jest czysty wandalizm, nie do pojęcia u człowieka, który przecież jakieś wychowanie odebrał.

Alebo też to także i człowiek: ani jednej łzy nie uronił na grobie ojca, wziął milionowy majątek i jeszcze się skarży, że testament zanadto jest obciążony legatami. Może mi jeszcze i moich ośmiu tysięcy rubli zaprzeczy: ale ja mam je przecież od generała; Zaklika mi nic nie zapisał od siebie — a ja się przecież na niego nie skarżę. Biedna Genia! — mówił dalej do siebie Fujara, - Zaklikowa nie obaczy jak swego nosa, będzie musiała się uczyć po żmu- dzku. Ona podobno także niewiele więcej warta od niego. Nie ma tam serca w tej pięknej laleczce — a natomiast jest główka i jest także jęczyczek Kiedy ta obrzydliwa Flora usiłuje naigrawać się ze mnie, — niby też ja nie rozumiem jej studenckich przycinków! — to i ona sznuruje swoje różane usteczka na pana Fujarę. Żal mi t* ch poczciwych Firlejów. Możeby wypadało ich ostrzedz, bo kto wie, jak daleko pan Ignacy zajedzie Ale przecie Frydrusz to widzi, nic mi o tem nie mówi, więc co ja będę się mięszał do tego, żeby mnie jeszcze stąd napędzili!

Tu wszakże Fujara jeszcze coś sobie przypomniał. Że Flora codzień w Zaklikowie jest na obiedzie, że Ignas ją po obiedzie odwozi do domu, to w tem nareszcie nie masz nic złęgp: kiedy się kocha i niby to konkuruje, albo może nareszcie na prawdę, to trudnoż ma sobie takich niewinnych przyjemności odmawiać. Ale kiedy on wraca? — Otóż wczoraj wieczorem, stary furman gaduła, ale człowiek poczciwy, kiedy Fujara siedział przed swoim mieszkaniem na przyźbie i drzemał, coś mu opowiadał takiego, że mu to uwięzło w pamięci. Mówił tak niby, że za pana Zakliki

Zaklika. T. I.

czasem twarda służba była dla koni, zwłaszcza w czas polowania albo też pilnych podróży, wszakże nieboszczyk pan wiedział, czego można wymagać od konia; ale teraz konie stoją zaprzężone w czystym polu przez całą noc a taka służba to najlepszego konia zniszczy za parę miesięcy... Gdzie te konie stoją przez całą noc? dlaczego w czystym polu? — pytał się siebie wczoraj w łóżku Fujara, ale nad tem pytaniem sen jakoś go zmorzył i zasnął. Teraz to sobie przypomniał — i w głos się roześmiał. Jeszcze tylko tegoby brakowało! Jemu pewnie się zdaje, że tutaj na wsj tak jak w Paryżu, gdzie fiakier może stać przez całą noc przed kamienicą i nikt na to nie zwraca uwagi, cha, cha, cha! — I śmiał się Fujara, bo go to bardzo bawiło. Ale niebawem znów się zachmurzył, bo przyszło mu na myśl, że jeżeli to prawda, to byłby to taki skandal, że całe województwo-by o nim gadało. Jaki wstyd dla imienia Zaklików! jakie położenie dla Geni! jaki ogromny kłopot dla Firlejów! Jeżeli to tak jest, mówił do siebie Fujara, to on tego dopuścić nie może, musi interweniować, przecie to jest obowiązek każdego uczciwego człowieka a nie dopiero takiego, jak on, odwiecznego przyjaciela Zaklików...

A w tej chwili wszedł Felczer do niego i powiedział mu wielką nowinę, że Kański podziękował za służbę i już swoje rzeczy pakuje.

— Masz tedy! — zawołał niezmiernie zdziwiony Fujara, — więc go już Balcerowie wygzili!

I pytał Felczera, jak się to stało, felczer powiedział, co wiedział. Fujara, niekontent z tego, ubrał się prędko i sam poleciał do Kańskiego. On Kańskiego nie lubił, nigdy się z nim w niczem nie zgadzał, ale wspólne nieszczęście zbliża ludzi do siebie. Przybiegł więc do niego,.

wciągnął go do drugiego pokoju i pytał go z otwartymi ustami i wyszczerzonymi oczyma, czy to prawda i jak to było.

Kański jemu opowiedział wszystko ze szczegółami, naklął na Balcerów, o Ignasiu mówił z pogardą i dodał w końcu:

— To, panie, było niezłe chłopczysko, ale bez charakteru. Gdyby ojciec był żył, to byłby może z czasem z niego coś zrobił, ale on wpadł między takich poganów a teraz już nic z niego nie będzie. I obaczy pan, że on jeszcze tu nie takiego piwa nawarzy, bo i majątek straci i jeszcze hańba okryje ród taki, ród jeden z niewielu, co po wszystkie wieki jak gwiazdy promienne bez zmały świeciły nad Polską.

— Jaką hańbą? pytał ciekawie Fujara.

— A czy-to pan nie wie? zawołał Kański, — dawniej pan wiedział najpierwszy o wszystkich plotkach a teraz pan już i o tem nie wie, co wszystkie wróble świszczą na dachach. A przecie on, — tutaj go Kański wziął za kłapę tużurka i mocno potyrpał, — a przecie on co wieczora jeździ na Balcerówkę i dopiero o świcie powraca.

— Czy to być może! — zawołał na to Fujara, uderzając w rękę a potem chwytając się obydwoma rękami za głowę, — więc to prawda, co mi wczoraj stary furman powiadał. Co za skandal! rzecz niesłychana...

Myślał przez chwilę a potem rzekł:

— Nie, ja tego dopuścić nie mogę. Przecie to mój obowiązek...

— Więc cóż pan zrobisz? — pytał go Kański z uśmiechem na twarzy.

— Jakto, co? Otworzę mu oczy na wszystko. Przecie w obec niego mam jakąś powagę.

Kiedy ja jemu co po-

wiem, to jest tak samo, jak gdyby nieboszczyk ojciec mówił do niego, a nawet więcej, bo to tak jak gdyby mówił sam generał..

Kański się ciągle uśmiechał i mówił:

— Mnie to na jedno. Powiedz mu pan prawdę i otwórz mu oczy na wszystko. Jenó wiedz o tem, że masz do czynienia z paniczem, co wziął na kiel, więc żeby ci za to nie dał nogą w grzbiet, właśnie jak mnie..

Ale Fujara się już zacietrzewił i wołał głośno:

— Niechże sobie robi co chce — a ja mego obowiązku dopełnię. Ja wiem, jak się trzeba brać do takich paniczów. Ja mu dam taką reprimendę, że mu włosy wstaną na głowie. Albo ja nie mam racyi! A co to? taką hańbą okrywać dom taki, co stoi od wieków jak kościół! Obaczysz pan, że pójdzie jak zmyty — a potem, co najmniej, to tych skandalów nie będzie. A jeśli się zburzy? to cóż? — Ja mam moich ośm tysięcy rubli, które mi musi zaraz wypłacić, z tem sobie jakoś dam radę: więc plunę na wszystko i niech sobie robią co chcą, ale ja będę miał czyste sumienie.

I z temi słowami pobiegł do pałacu.

Ignasz siedział w bibliotece, pościwał i czyścił sobie paznogie, jak zwykle.

Fujara wpadł do niego jak bomba, z rozwiązaną krawatą na szyi, z kamizelką rozpiętą i okrutnie zirytowany.

Ignasz spojrział na niego, uśmiechnął się i spytał:

— Co panu takiego?

— Co mnie? co mnie? — mówił Fujara, — mnie nic, ale tobie. Słuchaj mnie Ignasz, wiesz że jestem odwiecznym przyjacielem waszego domu, wiesz że intryg nie cierpię, wiesz że się nigdy w cudze sprawy nie mieszam, ale są

rzeczy, na które spokojnie patrzeć nie można. Jeżeli kochasz się w Florze, jeżeli ją sobie chcesz wziąć za żonę czy na metrese, bo tego nie wiem...

Tu Ignas zbladł a potem się zaczerwienił, ale się opanował i spytał go sucho:

— Cóż dalej?

— To mnie nic do tego, — mówił Fujara dalej, — ale te nocne wędrówki, te powracania o świcie, wiesz że o tem już wszystkie wróble świszczą na dachach.

— Więc cóż?

— Więc to jest skandal, — dodał Fujara już cokolwiek spokojniej, — wiesz że jestem ci przyjacielem, trzeba na to coś radzić...

Ignas odetchnął kilka razy, zaczął znów sobie czyścić paznogie i mówił dalej spokojnie i zimno:

— Dziękuję panu, że myślisz o mnie, widzę w tem dowód pańskiej przyjaźni, ale sądziłem, że panu to nie przeszkodzi pomyśleć także o sobie.

— Cóż ja mam myśleć o sobie? — spytał niecierpliwie Fujara, — to może głupio jest z mojej strony, ale ja mam taką naturę, że pierwiej myślę o moich przyjaciółach a dopiero potem o sobie.

— To bardzo źle.

— Cóż ty mi gadasz? Mówisz jakoś enigmatycznie, jak gdybyś wiedział coś o mnie albo i na mnie. Jeżeli co wiesz, to powiesz.

— Ja nie wiem nic, oprócz tego co wszyscy wiedzą. Ale i pan powinienbyś o tem wiedzieć, że zaraz po śmierci mojego ojca zrobiono rewizję w kaplicy, że prawdopodobnie zabrano tam zakazane książki, które czasem mój ojciec a czasem i pan tam nosiłeś...

— Na te słowa Fujara zbladł i teraz zaczął myśleć o sobie, lecz jeszcze dosyć spokojnie pytał dalej:

— Więc cóż ? Któż tam wie o tem ?

— Ja nie wiem, — mówił Ignaś. — ale wiesz pan także, że Frygę wzięto do więzienia, że Fryga teraz sam gada a jak się wygada, to zapewne i tutaj spadnie re- wizya.

W tej chwili Fajarze mrowie przeszło od stóp do karku

1 włosy zaczęły mu pomału wstawać na głowie. Poczem drżącemi usty zapytał:

— Rewizya ? tutaj ? więc cóż ty myślisz ?

— Ja nic nie myślę. Jeżeli pan jesteś siebie zupełnie pewnym, jeżeli Fryga nic nie wiś o panu...

— Pewnym, pewnym, — mówił Fujara, już nie bardzo dobrze wiedząc, co mówi, — jużci ja siebie jestem zupełnie pewnym, ale ten stary Fryga to wielki gaduła...

— Zdaje się, — dodał Ignaś, — przynajmniej xiądz Prandota był tego zdania i dlatego natychmiast, jak tylko Frygę wzięli, do Galicji wyjechał.

— To Prandota do Galicji wyjechał? —zawołał Fujara niesłychanie zdziwiony a na tę wiadomość ciemno mu się zrobiło w oczach i ciemno w głowie. Zarazem zaczął szybkimi krokami biegać od kąta do kąta, jak gdyby mu ciasno było w tym pokoju.

— Prandota do (Jalicyi? — mówił jakby do siebie,— ależ on nigdy xiążek do kaplicy nie nosił.

— Zapewne się obawiał jakichś rzeczy dawniejszych, —' rzekł Ignaś.

— Dawniejszych, mówisz? — powtórzył Fujara i stanął na środku pokoju. A potem spytał: — To może i mnieby wypadło wyjechać?

— Pan to wiesz lepiej odemnie. — rzekł Ignas.

— To wiesz ty co? — rzecze Fujara, — to chyba i ja gdzie wyjadę. Prandota wiedział dobrze, co robi.

A wtedy już wcale nie myślał ani o gorszącym skandalu, ani o obronie honoru domu, bo pilno mu było. Jakoż przystąpił prędko do Ignasia i rzekł:

— Ale wiesz ty co, kiedy już mam wyjeżdżać, ile że nie wiem, czyli i kiedy powrócę, to chyba już zlikwidujemy zaraz moją pozycję. Bądźże łaskaw i wypłać mi moje ośm tysięcy rubli. Przykro mi, ale cóż robić?

— Po te ruble — rzekł na to Ignas — musisz pan do adwokata pojechać.

— Jakto do adwokata? - zawołał Fujara, znów przestraszony.

.— Przecież adwokat jest egzekutorem testamentu, nie ja, i on dysponuje kapitałami.

Trzeba więc, żebyś pan do niego pojechał, to przecież jasne.

* — Ja? do Lublina? — zawołał Fujara, — gdzie Fryga siedzi i na mnie Bóg wie co wygaduje? ja dobrowolnie w lwia paszczę? a to chyba bym już naprawdę zwaryował. Ale co tu począć w tym razie?

To rzekłszy, Fujara biegał jak opętany po pokoju i myślał. Zostać? Pałki nie pałki, ale Sybir pewny jak Bóg na niebie. Jechać? z czym? coś tam mam w pularesie, ale to nie wystarczy. Zaczem skoczył do Ignasia i rzekł:

— To wieszże co, to daj że mi przynajmniej kilkaset rubli, jako zaliczkę. Przecie tego mi nie odmówisz...

— To co innego, — rzekł Ignas, poszedł do biurka, wyniósł kilkaset rubli i dał mu.

Na widok rubli Fujara miał łzy w oczach z rozczulenia; rzucił się na Ignasia i wołał:

— Niechże ci pan Bóg zapłaci. Widać zaraz krew pocziwą Zaklików. Bądźże zdrów i niech was tu Pan Bóg ma w swojej opiece.

— Jużto pan jedzie? — zapytał go Ignas z uśmiechem.

. — Jakże chcesz? przecież nie będę tu wysiadywał, aż póki rewizya nie spadnie...

Te ostatnie słowa wymówił już z drugiego pokoju, bo biegł co tchu, z rublami w ręku, prosto do swego mieszkania. A w biegu unosiły go rospaczliwe uczucia i mówił do siebie: — Właśnie nam trzeba wdawać się w politykę! ta polityka to nasze przekleństwo. A jacybyśmy byli szczęśliwi, gdybyśmy się w nią nie wdawali! — Jednak umiejąc się bardzo prędko oswoić z każdym nowym położeniem, jak tylko wpadł do swego mieszkania, już całkiem inne miał myśli i mówił do siebie: — Zresztą, może tak lepiej. Przecież i tak byłbym niebawem wyjechał, ażeby sprzedać mojego Durera. Jeszcze to trochę zawczasie, ale pojedę sobie do Kolonii, tam życie tanie, tam przeczekaam resztę jesieni i tam mi Bourgeois najlepszą da radę, komu mam ofiarować mojego Durera.

W godzinę potem już wszystkie swoje rzeczy spakował i tylko czekał, aby wózek po niego zjechał, kiedy Kański i felczer weszli do niego.

Cóż? — rzecze Kański, — dałeś mu pan reprimendę? i stanęły mu włosy na głowie?

— Pszt! odpowiedział im Fujara, przybierając minę tajemniczą, — wy nie wiecie, co się dzieje. Frygę wzięli na konfesaty w Lublinie, plecie jak Piekarski na mękach, Ignas ma o tem wiadomości poufne. Już nas wszystkich skompromitował, lada dzień spadnie na pałac rewizya, przecie nie będę tak głupi, żebym czekał, aż mnie zakują w kajdany.

Na to felczer w głos się roześmiał a przebierając palcami po czole, rzekł do Kańskiego:
— Tam jakieś zajaczki po głowie biegają.

Ale Kański zapatrywał się na tę rzecz trochę inaczej, bo powiedział na to do Fujary:

— Jużci zapewne, że tu jeszcze różne rzeczy będą mogły się dziać, jeżeli Fryga głupstwa poplecie, ale zawsze lepiej, że pan wyjedziesz, bo dopiero pan plótlbyś jak Piekarski na mękach.

Zaczem wysadzili Fujarę na wózek i pożegnali.

Kański wyjechał nazajutrz i osiadł na bruku w Lublinie.

We dwa dni potem felczer także wyleciał: skłócił się z Balcerkiem, który chciał robić rewizję w jego apteczce i wyrzucił go za drzwi, poczem sam podziękował za służbę.

Rozsądny Nurek przypatrywał się także tylko przez jeden tydzień temu nowemu gospodarstwu — a zważywszy, że jego ojciec nie potrzebuje na razie jego pomocy, zasznurował sobie swój skórzany mantelzak, wziął sękatą kitajkę do ręki, zacisnął kapelusz na głowę i poszedł sobie na wander do Niemiec.

A po nim już ledwie nie codzień któryś ze starych sług wylatywał ze dworu. Starą, blisko ośmdziesięcioletnią klucznicę odprawiono nielitościwie, bo dowiedziano się, że komuś tam powiedziała, że teraz zaczęło się znowu gospodarstwo cygańskie jak za czasu francuzek, — starego furmana wydalono, bo plotki rozsiewał po dworze, że panicz dopiero rankiem z Balcerówki powraca, — potem wyrzucono jednego z młodszych pisarzy, dwóch starych włodarzy i dwóch ekonomów.

Były to dotąd postęпки niestosowne, nieprzyzwoite a czasem nieludzkie, ale odtąd zaczęły się dziać rzeczy stanowczo brzydkie.

Kiedy felczer się zgłosił po swoje trzy tysiące rubli, to mu ich odmówiono z tej racji, że Zaklika mu je zapisał pod warunkiem, że będzie Muszkę pielęgnował aż do jej śmierci — a Muszki nie było. Felczer musiał sukcesorom nieboszczyka swojego pana proces wytoczyć.

Kańskiemu adwokat, chociaż mu niby był przyjacielem, także odmówił wypłacenia jego legatu. Starszy pisarz, człowiek praktyczny a do tego oportunistą według najnowszej mody, zaraz po śmierci nieboszczyka Zakliki wkręcił się w łaskę Ignasia, Balcerka i Flory — a chcąc się im przypodobać, wymalował z rachunków cały szereg preten- syj do Kańskiego. Kański się znalazł w położeniu niezmiernie krytycznym, bo mając bezwarunkowe zaufanie nieboszczyka Zakliki, robił nieraz z jego rozkazu wydatki sekretne, których teraz nie mógł usprawiedliwić. Odnosił się z tem do adwokata poufnie, ale adwokat był także oportu- nistą, stał po stronie Ignasia a zresztą z obowiązku patrona bronił interesu swoich klientów. Kański, ze względu- na bezpieczeństwo swojej osoby, nie mógł nawet procesu wytoczyć.

A w końcu dowiedział się Kański od pisarzy adwokata, że oni i Prandocie nie wypłacą jego legatów, bo chociaż wiedzą, że te zapisy były właściwie zrobione na kościół a tylko na imię Prandoty, chcą jednak trzymać się litery dokumentu, skorzystają zatem z nieobecności Prandoty, zavezwą go sądownie do powrotu — a jak się na pewien termin nie postawi, zapisy unieważnią jako niebyłe.

ł

Były-to zatem rzeczy stanowczo brzydkie a nawet oburzające, wieści o nich rozbiegały się po sąsiedztwach, zaczęła się o tem tworzyć pewna opinia publiczna, mętna jak zwykle a czasem potworna, pełna najrozmaitszych bajek, nietylko o dzieciach, ale nawet o nagłej śmierci i ta jemniczym pogrzebie Zakliki — a skutek tego wszystkiego był taki, że dwór Zaklikowski omijano, jak gdyby był zapowietrzony, albo jak gdyby złe duchy w nim zamieszkały. * *

*

Ignas i Balcerowie nie wiele się o te plotki troszczyli, bo dobrze im było: ale dla Geni i dla Firlejów wywiązało się ztąd położenie, które z początku było tylko przy krem, później nieznośnem, aż na końcu stało się niezmiernie kryty cznem.

Ignas był człowiekiem bez zasad, bez żadnych wyższych" poglądów a za cel swego życia uważał, tak samo jak Flora, tylko zaspokojenie swych potrzeb, jeżeli zaś skutkiem swego urodzenia i towarzyskiej pozycji poczuwał się do jakiego obowiązku, to chyba tylko do tego, ażeby codzień się umyć, wdziąć świeżą koszulę i być ubranym wedle ostatniej mody. Określone, tak kościelnymi, jak i świeckimi prawami obowiązki człowieka względem spo- » -łeczeństwa, względem swych bliźnich i krewnych, znał tak dobrze jak wszyscy, ale ich w przekonaniu swem nie uznawał, chociaż im także z przekonania nie przeczył. W tym świecie dzisiejszym, który się pod wielu względami ros- przęga a jeszcze nie wie, czem podruzgotane za pomocą negacyi dotychczasowe moralne podstawy w przyszłości zastąpi, nie mając ani woli, ani ochoty do samodzielności

w myślach i czynach, stal na tem stanowisku biernem, na którym dziś stoi bardzo wielu ludzi, a którego treść się zawiera w tych słowach: że to, co było, już się przeżyło, to zaś, co będzie, jeszcze nie jest nikomu wiadome — a przeto człowiek powinien się kierować swoim własnym instynktem i swym interesem. Że pod panowaniem takiej zasady człowiek nie zrobiłby nigdy nic dobrego, a natomiast w swem wnętrzu nie miałby żadnej przeszkody do popełniania występków i zbrodni, o tem nigdy nie myślał, bo żyjąc dotąd w dostatkach i pomyślności, nie miał powodu do przypuszczania, że on sam mógłby kiedyś znaleźć się w konie czności, chcąc osiągnąć jakiś cel swoich życzeń, wybierania między cnotą, lub zbrodnią. Zwyczajne występki lub zbrodnie były, według jego powierzchownej znajomości ludzkiego życia, tylko udziałem ubogich ludzi.

Co czasem żywiej go zajmowało, jak zresztą wszystkich jego współczesnych, to zbrodnie popełniane z namiętności, les crimes passionnels, jak je nazywają Francuzi. Opisy takich zbrodni czytywał z zajęciem i nieraz nad niemi się Zastanawiał, ale, znowu jak jego wszyscy współcześni, tylko ze stanowiska psychologicznego i fizyologicznego — a nie z punktu widzenia moralności ludziom wrodzonej i uświęconej i ze stanowiska tego zdrowego rozumu, co sądzi człowieka nietylko jako indywiduum, ale także jako część składową tego społeczeństwa, które mu daje bardzo szerokie prawa, ale także i pewne obowiązki nań wkłada. Że te crimes passionnels popełniają właśnie tylko tacy ludzie, którzy zasad nie mają, - że wobec zdrowego i ściśle myślącego rozumu jest to rzeczą, zupełnie obojętną, w jaki sposób się ta lub owa namiętność w zbrodniarzu zrodziła, czy przez zły instynkt wrodzony, czy przez rospu-

stę, czy przez namowę a choćby nawet przez tak zwaną . suggestyę, bo w każdym razie pozostaje ten fakt niezaprzeczony, że zbrodniarz nie miał dość silnej woli, do czego był obowiązany, aby swą namiętność opanować, — że przeto wszelkie psychologiczne i fizyologiczne wywody mogą tylko to złe wyjaśnić, które w zbrodniarzu siedziało wewnątrz, ale nie zmieniają w niczem ani natury dokonanego czynu, ani tej szkody, jaką wyrządził na zewnątrz: o tem tak samo nie miał żadnego wyobrażenia, jak te setki dzisiejszych pisarzy, więcej zręcznych, niżeli rozumnych, więcej moralizujących, niżeli rzeczywiście moralnych, którzy z jednej strony konfiskują indywidualizm na rzecz społeczeństwa a z drugiej strony windykują wyjątkowe prawa dla namiętności indywidualnych na oczywistą szkodę społeczną, — jak zresztą te sądy przysięgłych, które częstokroć uniewinniają najohydniejszą zbrodnię a z nią i zbrodniarza puszczają, wolno, li tylko dlatego, parceque c'était Wi crifae passionnel.

Ignaś czytywał chciwie takie romanse a dyskutując uczynki ich bohaterów, dodawał zwykle: je le comprends, albo: cela ne m'etonne pas du tout, — z czego można było łatwo wyrozumieć, że płynął z prądem górującym w chwili obecnej i nie miał w sobie żadnej podstawy do osądzenia tych aberracyi z jakiegoś własnego, indywidualnego punktu ^widzenia.

Genia była także dzieckiem swojego czasu. Jej wychowanie było jednostronne a nawet przedstawiało niektóre luki, mianowicie z tego powodu, że się wychowywała u obcych mniszek a te mniszki nie mogły w nią wpoić poczucia tych obowiązków, które nam nakładają nasze narodowe tradycye: ale tak z Wiednia, jak i z Krakowa, wyniosła

głęboko w siebie wpojone uczucie przyzwoitości. W gruncie rzeczy to bardzo mało: ale zawsze jest to coś a w danych wypadkach nawet bardzo wiele, bo to uczucie strzeże od wszystkich takich uczynków, które z ustalonych karbów wychodzą, a nawet błędom, jeżeli się je już koniecznie popełniać musi, nadaje formy takie, których nie widzimy wcale u ludzi, nie mających w swoim umyśle żadnego regulatora dla swoich uczynków.

Była-to dobra strona tego wychowania: ale miało ono także swoją złą stronę, albowiem owo uczucie przyzwoitości tak górowało w niej nad wszystkim innym, że nie tylko jej myśli, ale także jej wszystkie inne uczucia ugięły się przed niem, zaciskały się w pewne z góry określone granice a przeto stawały się niejako konwencyonalnymi. Te inne uczucia były w niej z urodzenia bardzo słabe, — w atmosferze tak chłodnej, jak czasy dzisiejsze, żaden kwiat duszy ludzkiej nie dojrzewa do żywych i ciepłych kolorów: ale ta zasadnicza dążność ujmowania wszystkiego w karby przyzwoitości jeszcze je także i ze swojej strony chłodziła. Stąd poszło, że miłość ojczyzny objawiała się u niej tylko w umiarkowanie dźwięcznych frazesach, kochała ojca więcej- z obowiązkowych, niż naturalnych powodów* a jej miłość dla brata była prawie tylko ujemną, to znaczy, że tylko tak się zachowywała przeciwko niemu, ażeby nikt nie mógł powiedzieć że go nie kocha. Popęlnienia jakiegoś występku nie można było się od niej obawiać, do tego potrzeba było, ażeby ją jakaś tak gwałtowna namiętność uniosła, któraby tę murowaną tamę uczucia przyzwoitości przerwała, co przy jej temperamencie z natury chłodnym nie było prawdopodobnym: natomiast wszakże mogła w danym wypadku względem jakiegoś dopełniającego się wąt-

pliwego uczynku zachować się biernie, jeżeliby ten uczynek mógł być jej pożytecznym a nie był kompromitującym.

Genia nie dlatego na pogrzeb ojca nie poszła, że się roschorowała skutkiem silnego wstrząśnienia nerwów, chociaż tak kazała powiedzieć, tylko z tego błahego powodu, że nie miała sukien żałobnych, a zdało jej się, że byłoby rzeczą nieprzyzwoitą, iść za trumną swojego ojca nie w żałobie.

Po pogrzebie żałowała ojca szczerze, ale niedługo, bo mimowoli opanowała ją myśl, że teraz jej małżeństwu z Frydruszem nie postawi już nikt żadnej przeszkody. Było to źle, ale nie można było brać jej tego za grzech śmiertelny, albowiem uczucie zadowolenia stąd pochodzące, że ktoś nam się usunął z drogi, uczucie zresztą najczęściej prawie bezwiedne, jest tak ludzkim, że tylko dusze wybrane umieją się od niego obronić.

Kiedy się dowiedziała z testamentu, że ojciec, uniesiony wysoką delikatnością uczucia, Zaklików właściwie Ignasiowi zapisał a tylko oględnie dał mu do zrozumienia, że lepiejby zrobił, gdyby wziął dobra Żmudzkie, Genia nie była mu wdzięczną za to, że tem zaleceniem, danem swemu synowi, jej życzenia uwzględnił, ale przeciwnie żałowała do niego, że zadowolenia tych życzeń nie ubespie- czyli swą wolą, tylko je zostawił na łaskę jej brata. ♦ W pierwszych dniach jeszcze się unosiła nadzieją, że Ignas da się do zamiany namówić i Frydrusz także podzielał tę jej nadzieję; dlatego oboje niewiele uwagi zwracali na to, że Ignas afiszuje swoją miłość dla Flory, na co zresztą byli przygotowani: ale kiedy Ignas zaczął wysyłać rozmaite i prawie najcenniejsze sprzęty na Balcerówkę,

rych stratę mogła łatwo przeboleć, ale dlatego, iż widziała w tem pewną oznakę, że Ignasz jest zdecydowany wziąć Zaklików dla siebie.

Wówczas za radą obojga starych Firlejów, którzy jeszcze pilniej jak ona stali na straży przyzwoitości a przeto sami nie mogli się mieszać w tę sprawę, jednego dnia spytała o to Ignasia otwarcie i miała z nim w tej sprawie dłuższą rozmowę.

Ale Ignasz, przystępny tylko takim uczuciom, które się rodzą z kipiątką krwi a nie mający wcale zmysłu dla delikatnych i szlachetniejszych poruszeń duszy, był dla niej zimnym i twardym a nawet nielitościwym.

— W interesach — odpowiedział jej z zimnym uśmiechem na jej uwagi — nie można się rządzić familijnymi względami, bo na tem się tylko szkodę ponosi. Ja biorę Zaklików dlatego, że mi jest dogodniejszym: przecież nie będziesz wymagać odemnie, ażebym dlatego, że Zaklików graniczy z Firlejowczyzną, skazywał siebie na wygnanie na Żmudź.

Były w tem pewne pozory prawdy, ale Genia umiała ^ na nie odpowiedzieć przytomnie:

— Właśnie dlatego, że nie o względy familijne, tylko o interes ci chodzi, powinienes wziąć dobra Żmudzkie. Gospodarstwo w Zaklikowie jest, jak wiesz, doprowadzone do najwyższej doskonałości i tylko dlatego Zaklików jest równy dzisiejszej wartości dóbr Żmudzkich. Zaklików już nigdy więcej przynosić nie będzie, chyba że mniej, podczas gdy dobra Żmudzkie mogą bardzo łatwo wartość swoją podwoić. Kto nie może mieć więcej, jak tylko jeden z tych kluczy, ten właśnie ze stanowiska interesu powinien wziąć dobra Żmudzkie.

— Tak, — mówił Ignas, — ale pozostaje jeszcze kwestia życia, która także coś znaczy. Ja wolę mieć tylko sto tysięcy franków dochodu i żyć w Paryżu, niżeli mieć milion pod warunkiem, że będę musiał żyć w Kostromie albo w Wołogdzie. I z tego względu także tyś powinna wziąć dobra Żmudzkie, bo ty możesz je mieć i także podwoić ich wartość, nie potrzebując w nich mieszkać. Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, dlaczego się upierasz przy Zaklikowie, chyba że nie chcesz mieć w sąsiedztwie takiego brata, który megalians popełnił...

— To nie — przerwała prędko Genia, — wiesz dobrze, że ja się w twoje sprawy nie mieszam. Z tym megaliansem już się wszyscy pogodzili. Ale ja mam inne powody. Frydrusz chce wprawdzie, ażebyśmy przy jego rodzicach mieszkali, ale mnie to nie odpowiada. Nie widzę wcale potrzeby mieszkać w komornym kiedy mogę mieć dom własny i mieszkać u siebie. A potem, pomiędzy mną a Frysiem jest rzeczą umówioną, że każde z nas zachowa swój majątek dla siebie. Jestem pewną, że między nami nigdy żadnych sporów nie będzie, bo się we wszystkim ze sobą zgadzamy; ale nikt przecież przyszłości przewidzieć nie może... Jeżeli kiedyś zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki, to wtedy jaby musiała zamieszkać na Żmudzi a ja z tych dóbr Żmudzkich pewnie nic nie zrobię.

Na to Ignas rozśmiały się głośno i zawołał:

— Dzisiaj młode panienki widzą daleko dalej od mężczyzn! Ja o takich dalekich wypadkach wcale nie myślę. Ale być może, że i ja kiedyś pokłócę się z Florą, — a wtedy, ile że to nam obojgu będzie dogodnym, pomieniamy się z sobą, ty weźmiesz Zaklików a ja się schowam przed żoną na Żmudzi.

i * - Zaklika. T. I.

- Przyganiał tu podobno kocio! garnkowi, ale tak było. Genia odeszła niezmiernie skwaszona. Ale zastanowiwszy się nad tem spokojniej, nie mogła obwiniać swojego brata, owszem przeciwnie wszystkie jej cierpkie uczucia zwróciły się przeciwko nieboszczykowi ojcu, który, chociaż mógł i powinien, nie narzucił swojej woli swym dzieciom.

Opowiedziała swoją rozmowę z bratem Frydruszem. Frydrusz zachowywał także przyzwoitość w życiu zwyczaj - nem, ale się nią nie wiązał — a gdzie to uważał za potrzebne, szedł prosto do celu bez względu na konweniencye. Owszem często postępował bezwzględnie i szorstko a nieraz nawet brutalnie, zwłaszcza kiedy go niecierpliwość uniosła. Frydrusz chciał mieć Zaklików z dwóch powodów: naprzód istotnie ażeby nie mieć Ignasia z Florą pod bo-kiem, co jemu było obojętnem, ale bardzo przykrem dla jego rodziców — a powtóre, że Zaklików połączony z Fir- lejowsczyzną, zwłaszcza po zniesieniu kosztów na utrzymanie Zaklikowskiego dworu, stawał się źródłem pewnego i stałego dochodu, z którego można było w bardzo krótkim czasie umorzyć wszystkie długi ciężące na Firlejowsczy- źnie. Dobra Żmudzkie dla niego, przywiązanego wszystkimi węzłami do Austrii, były Syberją.

Jakoż zaraz nazajutrz wziął swego przyszłego szwagra na stronę i rzekł po prostu:

— Słuchaj Ignaś, przyjaźń przyjaźnią a interes interesem. Ty chcesz wziąć Zaklików a to niema sensu, ani dla ciebie, ani dla mnie. Dobra Żmudzkie są warte daleko więcej, ale ja w to nie wchodzę. Ja chcę mieć Zaklików i dam się pociągnąć. Zostały się przecież po ojcu jakieś kapitały; legaty, choć liczne i ciężkie, jeszcze wszystkiego nie zjedzą, podział reszty ma iść do połowy, ale możnaby

się o to porozumieć inaczej. Nie proponuję ci odstępnego, bo to nie wypada, ale wiesz co ? jeżeli mi zostawisz Zaklików, to ja ci Balcerówkę odkupię i bardzo drogo zapłacę.

Ale Ignaś na to się śmiał i mówił:

— Szatan ubrał się w komżę i kusi biednego grzesznika. Ale grzesznik nie głupi.

— Voyons / — zawołał Fryś, — mówmy rozumnie. Go ty za rolę będziesz grał na Zaklikowie? Ty z Zaklikowa już nic więcej nie zrobisz. W dwudziestym czwartym roku życia będziesz tu siedział, jak ów episier paryski, retire des affaires, co sobie kupił un chateau i wegetuje w nim sobie w dostatkach. Gdyby to było w Galicyi, to jeszcze nie mówię: tam mógłbyś zostać posłem albo powiatowym marszałkiem i cośbyś przynajmniej udawał. Ale tu? cóż to za rola dla młodego człowieka, zjadać renty majątku, które mu ojciec zostawił, i być takim samym szlachcicem, jakich jest tysiąc w każdej gubernii. Na Żmudzi masz szerokie pole przed sobą, możesz podwoić majątek i być panem, respektowanym przez wszystkich. A potem, mówmy z sobą otwarcie, jak między braćmi. Jaką ty tutaj będziesz mieć egzystencję z twoją Florą na Zaklikowie? Tutejszy świat jest przecie cywilizowany...

Ignaś dotychczas słuchał go obojętnie, ale na tę uwagę zbladł, przerwał mu i rzekł sucho:

— Spodziewam się, że nie zechcesz mi dawać jakichś nauk moralnych...

Ale Fryś, pewny siebie jak zawsze, nie zważał na to' i odpowiedział mu:

— Nie. Nie mam prawa do tego. Rób sobie, co chcesz. Ale przecie my między sobą nie będziemy grali komedyi.

Przecież przedemną nie zechcesz mi czegoś udawać o Florze... To dobre dla hreczkosiejów...

Tu wszakże Ignas się zaczerwienił, znowu mu przerwał i krzyknął:

— Assez! przecież ty mnie nie będziesz nauczać, kto jest Flora.

Potem zaś stanął przed nim twardo na nogach i mówił dalej:

— Ja ją znam lepiej od ciebie. A zresztą, jeżeli się z nią żenię, to dla mnie, nie dla was, — jeżeli mnie z tem źle będzie, to mnie, nie wam, — jeżeli wam zaś wstyd będzie mieć takiego szwagra pod bokiem, co się ożenił z popędu serca a nie dla posagu, to ja wam się narzucać nie będę...

Ignas to mówił głosem stanowczym i męskim, ale przy ostatnich słowach głos jego zdawał się być cokolwiek wilgotnym. Już się wtedy w nim cały człowiek obudził, ale jeszcze czasem dziecko się odzywało przez łzy.

Frydrusz był tym objawem męskiej energii w Ignasiu niepomału zdziwiony, bo go takim jeszcze nigdy nie widział, ale ternu zdziwieniu wcale nie uległ a jeszcze mniej zważał na łzy. Rozczulanie się nad czemkolwiek nie leżało wcale w jego naturze, na uczuciowość daleko prędzej spoglądał z ironiją. Jakoż i teraz z zimnym uśmiechem patrzył w twarz Ignasiowi, wzruszył ramionami i rzekł:

— Do tego stopnia okulbaczyła cię Flora!

Ignas na te słowa się wstrząsł, ale się opanował i po wiedział mu prawie spokojnie:

— Proszę cię, nie mówmy już o tem. To wszystko na nic się nie zda. Są rzeczy, które się dyskutować nie dają. Idźmy każdy swoją drogą, to będzie najlepiej.

Frydrusz spojrział na niego z uwagą a potem rzekł:

— Są rzeczy, które się dyskutować nie dają: to jest ten frazes utarty, którym się w czasach dzisiejszych wszystkie występne namiętności pokrywa. Pokrywa i usprawiedliwia, ale tylko w obec bezmyślnych tłumów, które lecą na ślepo za każdą nowością, przyjmują ją i podziwiają; wszelako opinie tłumów nie obowiązują wcale ludzi myślących i mających pewne zasady. Przyjdzie czas, kiedy i ty się o tem przekonasz. Ale tymczasem idźmy każdy swoją drogą.

To rzekłszy, odwrócił się od niego i chciał odejść. Ale Ignas pobiegł za nim i nawrócił go. W Ignasiu obudził się człowiek, ale tylko ten człowiek, którego obudziła w nim Flora; jego własne ja jeszcze w nim spało i tylko wtedy dawało znak życia, kiedy tamten sztucznie stworzony człowiek wyszumiał i zostawił pewną gorycz lub niesmak po sobie. W takich chwilach Ignas miękł — a zarazem odzywał się gdzieś z głębi jego duszy, jak gdyby z jakiejś zasypanej piwnicy, głos jakiś, który mu kazał naprawić, co dopiero-co zepsuł. Był to głos serca i sumienia, odziedziczony po ojcu, ale przytłumiony złem wychowaniem i otoczeniem. Ten głos i teraz w nim się odezwał. Ignas nawrócił Frydrusza, rozmawiał z nim jeszcze przez chwilę o rzeczach innych a potem się niby w dobrej przyjaźni rozeszli.

Frydrusz poszedł do Geni, która go w apartamencie, leżącym po drugiej stronie wielkiej sali jadalnej z niecierpliwością oczekiwała.

Genia miała jeszcze nadzieję > że Frydrusz, którego miała za najrozumniejszego człowieka na świecie, potrafi Ignasia przekonać i wykupi od niego Zaklików. Teraz się dowiedziała od niego, że jej brat jest niewzruszony. Może

to był tylko kaprys z jej strony, ażeby koniecznie zostać przy Zaklikowie, ale kaprys u kobiety jest często silniejszym, niż wszystko. Genia się rozpłakała, trochę z żalu a trochę z gniewu. Frydrusz starał się ją uspokoić i mówił: . — Nakoniec..- nie tak wiele na tem zależy.

Ale Genia odpowiedziała mu z głębokim żalem przez łzy:

— Nieboszczyk ojciec mi niezapomnianą krzywdę wyrządził, zdając mnie jak niewolnicę na łaskę brata. Przecież wiedział, że Ignas kocha się we Florze, i że to nie przyczyni splendoru naszemu domowi, jeżeli jego syn, wszedłszy w tak skandaliczne małżeństwo, ze swoją żoną zamieszka tu w Zaklikowie, gdzie wszyscy nasi przodkowie tak wielkiej używali powagi. Ale przecie wszystkiemu winna ta głupia Flora, która nic o tem nie wie, że podczas kiedy na Żmudzi mogłaby błyszczeć swoją inteligencyą i pierwszorzędną rolę odgrywać, tutaj wszyscy będą przed nią uciekać i nawet nikt jej przyjmować nie będzie. Ja przecie nie wytrzymam i muszę jej to powiedzieć...

Ale praktyczny Frydrusz rzekł na to:

— Nie warto. Nie rób pani tego, bo to się na nic nie przyda. My Zaklików mimo to mieć będziemy, jest to tylko kwestya czasu. Flora chce żyć i błyszczeć na świecie. Oni tutaj długo mieszkać nie będą. Niebawem do Paryża pojedą — a na Ignasiu powtórzy się historia Fujary. Z dochodów Zaklikowa przecie w Paryżu hulać nie można. Przyjdą długi — a wtedy my kupimy Zaklików. Nie będzie to trudno. Ja w tych lasach, któreśmy na Lubomirskich wygrali, porządną eksploatacyę zaprowadzę a wtedy będą one nam rokrocznie bardzo wiele przynosić. Kapitałami, które otrzymamy po ojcu pani, spłacimy resztę długów cię

żących na Firlejowszczyźnie, żyć będziemy oszczędnie a wtedy z lasów dość uzbieramy, ażeby kupić zadłużony Zaklików. I stanie się wszystko według życzenia pani...

Na takie zapewnienia Genia, jeszcze ze łzami w oczach, uczuła się tak głęboko wzruszoną, że mu się rzuciła na szyję; przez długą chwilę trzymała głowę opartą na jego ramieniu — a kiedy głowę podniosła, to miała uśmiech na twarzy.

Frydrusz, choć zwykle zimny, uczuł się także wzruszonym. Miał teraz dowód, że Genia go kocha. Ścisnął ją silnie za rękę, odtąd mówili sobie ty i z pogodnym uspokojeniem rozmawiali o swojej przyszłości.

Ale to uspokojenie niedługo trwało.

Działo się to bowiem w tym czasie, kiedy Ignaś zaczął wyrzucać ojcowskie sługi ze dworu. Genia do żadnego z tych sług nie była przywiązana, byli-to ludzie jej obojętni, ale zawsze to obrażało jej uczucie przyzwoitości — a wkrótce i ta próżnia, która się koło niej zrobiła, zaczęła ją nudzić a nawet i niepokoić. W tym dworze ojcowskim, w którym dotychczas czuła się u siebie, a którym teraz tak samowładnie i tak brutalnie rządziła Flora, znalazła się w krótkim czasie jakby w gościnie. Z każdym dniem coraz głośniejsze w niej odzywało to uczucie, jakoby tu była obca i jakoby ją tutaj tylko z łaski cierpiano. Jeżdżąc regularnie co drugi dzień do pani Firlejowej, spowiadała się przed nią ze swoich bólów; Firlej owa z nią razem nad tem bolała, zastanawiano się nad tem, ale cóż było robić ? trzeba było to znosić do czasu.

Wszakże niebawem i Genię zaczęły dochodzić wieści, że Ignaś noce przepędza na Balcerówce. Jej guwernantka

zaraz dowiedziała się o tem — a panny służące nawet gło/ śno o tem mówiły i patrzyły na Florę, ile razy ją w Zaklikowie zdaleka spostrzegły, jako na jakąś duszę zgubioną, którą zawsze rade gardzą wszystkie dziewczęta, chociaż czasem same nie są bez grzechu. Genia z początku nie chciała temu uwierzyć: czy to być może, ażeby młody człowiek, tak dobrze urodzony i skoligacony, należący do najlepszego towarzystwa w kraju i za granicą, noszący takie nazwisko, które obowiązuje, do takiego stopnia się zapominał? A potem jak-że? to chce się z nią zenić — i sam ją kompromituje? i poniewiera do tego stopnia, ażeby się z tego zrobił mezalians podwójny, którego mu już z pewnością nikt nie przebaczył? — Geni się to nie mogło pomieścić w głowie i nie wierzyła. Ale wkrótce się przekonała, bo stary furman, jak skoro także ze służby wyleciał, nie robił z tego przed nikim sekretu, tak że już cała wieś o tem wiedziała...

Jednak Genia mogła się tylko gryźć tą wiadomością, ale nic więcej. Takiej młodziutkiej pannie, jak ona, nie wypadało mówić o takich rzeczach, choćby nawet z panią Firlejową. Genia, strzegąca pilnie przyzwoitości, nie mogła się zdobyć na taką odwagę. Gryzła się więc w milczeniu, nie dając nawet poznać po sobie swej zgryzoty — i tak minął cały miesiąc, albo może nawet cokolwiek więcej.

Jednak wśród tego czasu stała się rzecz inna, która nabawiła Genię jeszcze daleko większą zgryzotę. Oto nie dosyć na tem, że Balcerowie się rozgospodarowali w Zaklikowie jakby u siebie, że Flora przybrała zupełnie minę pani domu i Genia musiała to czuć, że nie ma nic do rozporządzenia w tym domu, nie dosć na tem, że zaczęto przyjmować najrozmaitszych ludzi i ona musiała zasiadać

do stołu z osobami takimi, których w swym własnym domu nie przypuściłaby nawet do przedpokoju: lecz nad to jeszcze Balcerk poszedł do niej jawnie w konkury. Z początku był tylko niezręcznie grzecznym i ckliwie obleśnym, ale z czasem stał się w swych konwersacjach nieprzyzwoitym a w postępowaniu natrętnym a przeto zarówno nieznośnym, jak kompromitującym. Aż wreszcie jednego dnia tak się rozzuchwiał, że chciał się gwałtem dobić do jej apartamentu i skłócił się z panną służącą, która go nie chciała wpuścić do saloniku, tak że o tem po całym pałacu gadano.

A wtedy Genia, do najwyższego stopnia przestraszona i oburzona, przełamała względy przyzwoitości, które na nią nakładał jej srom dziewiczy i pojechała do pani Firlejowej, aby się przed nią poskarżyć. Ale nie powiedziała jej nic o Balcerku, bo się obawiała, ażeby Fryś go nie pociągnął do odpowiedzialności i nie zrobił jakiej awantury, tylko jej dała oględnie do zrozumienia, że Ignas zanadto afiszuje się z Florą i że chodzą plotki po Zaklikowskim pałacu, jakoby noce przepędzał na Balcerówce.

U Firlejów już o tem także cokolwiek wiedziano, ganiono bardzo konduite Ignasia, niepokojono się tem do pewnego stopnia a nawet naradzano się nad tem z Frydrusem. Ale Frydrusz, chociaż przyznawał, że to położenie staje się coraz więcej nieznośnem i że trzeba będzie temu jakoś zaradzić, prosił o cierpliwość jeszcze na jakiś czas, bo miał nadzieję, że on temu w bardzo gładki sposób zaradzi. Spowiadając się dalej przed rodzicami ze swoich planów, zwierzył się im, że z jednej strony już kilka razy mówił o tem z Florą, ażeby ona wzięła dobra Żmudzkie

i nie znalazł w niej takiej opozycji przeciwko temu, ażeby nie miał nadziei, że ją z czasem przekona.

Z drugiej zaś strony porozumiał się ze starszym pisarzem, który właśnie sporządza inwentarz całego majątku, pozostałego po nieboszczyku Zaklice, a ten wziął to na siebie, że Ignasia i Florę przekona, jako dobra Żmudzkie są dzisiaj warte dwa razy więcej niż Zaklików i namówi ich, aby je wzięli. Owóż ten pisarz ma u nich obojga takie zaufanie, że ich niewątpliwie do tego namówi, w najgorszym razie trzeba się jeszcze będzie porozumieć z adwokatem w Lublinie: ale na to wszystko potrzeba będzie co najwyżej dwa albo trzy tygodnie czasu, poczem się cała ta sprawa jaknajpiękniej ułoży.

Na Genię te piękne wywody sprawiły prawie zabijające wrażenie: Trzy tygodnie jeszcze mieszkać w tym domu, który się piekłem stał dla niej, kto to potrafi wytrzymać ! Na nią poty biją, kiedy przed pałacem Firlejów wsiada do powozu, ażeby wracać do siebie — a kiedy zajeżdża przed dom w Zaklikowie, to jej tak duszno, jak gdyby wstępowała do grobu! — Jednak przemogła się wedle sił swoich i przyrzekła, że będzie czekać cierpliwie.

Tak minął tydzień.

Ale po upływie tygodnia Genia przyjechała już przed południem do Firlejowa, przebiegła szybkim krokiem dolne apartamenty pałacu, wpadła bez tchu do pokojów pani Firlejowej i rzuciła się jej z płaczem na piersi, nie mogąc ani słowa wymówić.

Firlejowa przestraszona przytuliła ją jak matka do siebie i pyta:

— Co ci-to, dziecko?

A Genia odpowiedziała jej urywanemi słowy:

—• Elle a passé la nuit chez nous! quel scandale!

Firlejowa posadziła ją obok siebie na krześle, uspokoiła ją ile mogła a potem pytała, co i jak się to stało.

Genia, zalana łzami i z twarzą mocno zarumienioną, opowiadała bez związku:

— Wczoraj Flora przywiozła ze sobą jakieś dwie damy... podobno dwie przyjaciółki z Warszawy... byli z nimi jacyś panowie... był obiad... jedzono, pito i tańczono do samej północy... potem porzuchodzili się spać... i spali jeszcze kiedyś tu wyjeżdżała

Teraz pani Firlejowej otworzyły się oczy. Dotąd traktowała te wiadomości dość lekko, ale teraz zrozumiała, że to jest rzecz, z którą nie można żartować. Kazała zaraz zawołać męża i syna. A kiedy przyszli, opowiedziała im, co słyszała od Geni.

Na tę wiadomość Frydrusz iię zaczerwienił, zacisnął zęby, zacisnął pięście r odszedł ku oknu.

Ojciec obejrzał się za nim i rzekł:

— Fryś! cóż ty o tem rozumiesz?

Na to Fryś odpowiedział ojcu zdaleka:

— Cóż? jest to przeciwko moim zasadom. Ale w tym razie nie pozostaje mi nic innego, muszę się z Ignasiem rozprawić...

Na te słowa Genia zbladła, ale stary Firlej rzekł do syna spokojnie:

— Wybić się każdy potrafi, ale pojedynek tylko honor ratuje a sytuacji nie zmienia. Chodź-no tu i pogadajmy o tem rozumnie.

Firlej ganił dotychczas niejednokrotnie konduite Ignasia, ale wcale nie przewidywał jej skutków. Jemu zresztą ten cały spór o Zaklików przedstawiał się zupełnie inaczej.

W arystokracji przeważała zawsze żądza posiadania ile możności jaknaj więcej ziemi, często nawet bez względu na to, co ta ziemia przynosi i czy jest więcej lub mniej, ob- dłużoną: długi spłacało się posagami a ziemia zostawała. Prócz tego Ustawiczne podnoszenie się dochodów dawało także możność spłacania długów. Firlej był zdania, że Frysiowi wcaleby to nie zaszkodziło, gdyby oprócz Firlejowszczyzny posiadał jeszcze dobra na Żmudzi, które swoim obszarem przynosiły cztery albo pięć razy Zaklików. Oszczędny i nie lubiący zbytecznej wystawności Frydrusz mógł łatwo z dochodów wszystkie długi pospłacać. Ale teraz ta kwestya usunęła się w głąb — a wystąpiła na pierwszy plan kwestya honoru domu i reputacyi jego przyszłej synowej. Firlej, gotów zawsze wszystko dla honoru poświęcić, bardzo się nią zaniepokoił.

Radzono na wszystkie strony, biorąc wszystko w rachubę.

Wszyscy byli jednozgodnego zdania, że Genia nie może nadal mieszkać w tym domu, gdzie gospodaruje niby-to narzeczona jej brata i gdzie jeszcze nadto odprawiają się órgije. Ale dokąd wyjedzie?

Powzięto więc naprzód myśl, ażeby pojechała do tej samej ciotki do Krakowa, u której dawniej bawiła. To będzie najprzyzwoitszem. Ale to było niemożliwem. Był to bowiem dopiero początek jesieni: ciotka była z końcem lata w Karlsbadzie a stamtąd pojechała do Włoch. Genia już sama o tem myślała, pisała do niej, potem pisała do jej domowników, ale nie mogła się o jej pobycie dowiedzieć. Odpowiedziano jej, że była w Wenecji i miała stamtąd jechać do Rzymu, ale nie wiadano, gdzie się znajduje w tej chwili. Pani Firlejowa byłaby jaknajchętniej

przyjęła Genię do swego domu, ale było to także niemożliwym. Co-by świat na to powiedział? Na wszystko jest rada, ale złym językiem nikt gęby nie zamknie...

Potem obejrzano się, ażeby nie znalaziono jakiegoś domu w sąsiedztwie, w którymby Genię można pomieścić. Ale takiego domu, któryby odpowiadał wszystkim warunkom, nie było w bliskości — a potem i z tego byłyby plotki.

Na widok tych trudności Genia zdobyła się na myśl energiczną i powiedziała, że gotowa jest schronić się do któregoś z klasztorów. Pani Firlejowej ta myśl dosyć się podobała, ale Frydrusz się sprzeciwił, mówiąc, że byłby to krok zanadto energiczny. Osławiłoby to jej brata przed całym światem. Ignasz wprawdzie nie wart tego, aby go oszczędzać, ale zawsze to brat, jego niesława spadłaby także przynajmniej w części na siostrę. Frydrusz miał zapewne jeszcze i teraz nadzieję, że za pomocą starszego pisarza i adwokata potrafi się porozumieć z Ignasem — a oprócz tego pewnie mu to było nie na rękę, zamykać Genię w klasztorze, widywać ją rzadko i rozmawiać z nią tylko przez kratkę.

Zaczem i tę myśl odrzucono. A wtedy stary Firlej wpadł na koncept żołnierski i zawołał:

— Jeżeli jakiego węzła nie można rozwiązać, to trzeba go przeciąć. Njeh się żenią —. i basta.

Na to Frydruszowi i Geni uśmiechnęły się twarze. Ale pani Firlejowa się przeżegnała i zawołała:

— Otóż-to koncept! Genia przecież w żałobie, nawet jeszcze sześć tygodni nie minęło od śmierci ojca, to prawdziwie koncept pogański.

— Firlej się trochę zawstydził, ale usiłował utrzymać się przy swoim zdaniu i tak dalej mówił:

— A ja wam powiadam, że nie masz innego ratunku- Co tam żałoba! To jest kwestja etykietalna. Wątpię bardzo, ażeby «oś o niej stało w Kanonach. Czytałem nawet podobno gdzieś w jakiejś książce, albo może mi to ktoś opowiadał, że w dawnych wiekach kto był w żałobie, ubierał się biało, nie czarno a kościół się wcale nie mieszał w te rzeczy. Żałoba to jest po prostu moda, nic więcej. Ale jeżeli macie jakie skrupuły, to ja i na to poradzę. Pojadę do mego Biskupa a on nam da dispensę, urgente necessitate ► Jeżeliby zaś i Biskup się wahał, to ja i na to jeszcze znajdę sposób: napiszę do Ojca świętego a Ojciec święty przecież takiej bagatelki mi nie odmówi.

Firlej był bardzo kontent ze swego konceptu: myślał już o tym swoim kozaku, co “świśnie z wieczora^a z listem do Rzymu. A kiedy wszyscy milczeli, on przybrał minę poważną, prawdziwie ojcowską, i mówił dalej:

— Ja wam przetnę ten węzeł gordyjski. Tak będzie. Jutro raniutko ruszam do Lublina. Rozmówię się z Biskupem i tak czy tak otrzymam dispensę. A potem rozmówię się także i z adwokatem. Ignaś jest tylko jego zastępcą, on ma nad nim władzę aż do pełnoletności, przecież weźmie go w ryzy i dalszych skandalów zakaze, przynajmniej dopóty, aż ślub się odbędzie.

Nikt temu się nie sprzeciwiał, tą drogą można było wszystkie trudności rozwiązać ku powszechnemu zadowoleniu : zaczęli się wszyscy uspokoić — a Firlej wyjechał nazajutrz rano do Lublina.

Ale kiedy się rozmówił z Biskupem w Lublinie, to

/

znalazł, że i rościęcie tego zawikłanego węzła za pomocą ślubu nie było rzeczą tak łatwą, jak on sobie wystawiał. Biskup mu wprawdzie powiedział, że kanony nie stanęłyby na przeszkodzie:

— Tjrgente necessitate wiele zrobić można — powia- “ dał Biskup, — dajemy przecież śluby in extremis bez in- dultu i bez zapowiedzi, dajemy absolucję in articulo mor- lis, chociaż umiśrający nie mógł się wypowiedzieć, od tego jest władza biskupia, — ale potem dodał: — Wszelako musimy pierwej zbadać, czy jest nagląca potrzeba i jaka to jest potrzeba? Otóż w tym razie, chociażbym przyznał, że jest nagląca potrzeba i że tej potrzeby nie można usunąć inaczej, nad czem jeszcze należałoby się zastanowić, to zawsze pozostanie jeszcze ta kwestya, co ludzie na to powiedzą. My wiemy, w czym leży ta nagląca potrzeba* ale oni nie wiedzą, bo przecie tego z ambony ogłaszać nie można — a przeto będą mogli się całkiem innej naglącej potrzeby domyślać...

— Jakto? — zawołał Firlej, — przecież nie zechcą podejrzewać Geni i mego syna...

— Ja nie wiem, — rzecze mu Biskup, — ale złe języki nie oszczędzają nikogo a jeżeli im jeszcze do tego zdarzy się sposobność rzucić błotem na arystokrację...

— Pff! — dmuchnął przed siebie Firlej, bo na tę myśl duszno mu się zrobiło.

Otworzyć wrota złym językom, ażeby rzuciły plamę na honor jego imienia, do tego on oczywiście nie mógł się przyczyniać. Raczej wszystko, niżeli zła sława. Jakoż natychmiast* myśl tę porzucił i pytał już tylko Biskupa o radę, co zrobić.

Biskup był zdania, że Genia najlepiej zrobi, jeżeli się

na teraz zamknie w klasztorze — a jak minie sześć miesięcy od śmierci ojca, to wtedy nie będzie już żadnej przeszkody : Kościół na to chętnie się zgodzi i wszyscy takie postępowanie jednomyślnie pochwalą.

Jednak tą radę Firlej już miał bez Biskupa, ale Frydrusz się na nią nie zgodził — i także miał rację. Zaczem Firlej wyszedł bardzo niekontent z biskupiego pałacu a po drodze myślał sobie: od czegoż są właściwie Biskupi, jeżeli nie umieją człowieka wyciągnąć z kłopotu?

Potem poszedł do adwokata i wyłożył mu rzecz.

Ale adwokat słuchał go z ironicznym uśmiechem na twarzy — a kiedy wyrozumiał nareszcie, o co mu ostatecznie chodziło, odpowiedział mu bez ogródki a nawet bez powinnego respektu dla jego towarzyskiej pozycji i wieku:

— Panowie żyjecie jeszcze zawsze w tym świecie uczuć i myśli, który już dawno się przeżył. Krępować wolę człowieka, który ma prawo żyć tak, jak mu się podoba, to jest barbarzyństwo. Takie postępowanie nie odpowiada wcale postępowym ideom tych czasów, w których żyjemy. Pan Ignacy ma swoje własne pojęcia o życiu i nikt nie ma prawa mu je odbierać, aby mu inne narzucić. Może źle robi, ale co komu do tego? Jest jeszcze małoletnim w tej chwili, to prawda, ale do pełnoletności już mu tylko kilka miesięcy brakuje. Na cóżby się to zdało, nawrócić go gwałtem z tej drogi, na którą wstąpił, kiedy on na nią za kilka miesięcy znowu powróci ?

Firlejowi bardzo się nie podobało to jakieś nowożytne zapatrywanie się adwokata na obowiązki opiekuna, ale się bronił jak mógł i mówił:

— To dobrze, ale on w tej chwili jeszcze jest mało-

letnim i jeszcze dziś nie ma prawa rozporządzania ojcowskim majątkiem wedle swej woli. Nie wiem, czy pan mecenas nie będziesz odpowiedzialnym za to, że mu samodzielnie dajesz taką dyspensę?

— Odpowiedzialnym? przed kim? — zapytał patrząc mu w oczy adwokat.

Firlej milczał. Zaczem adwokat ścisnął mu rękę po- wyżej kostki i rzekł:

— Uspokój się pan, panie hrabio. Ja wiem, co robię. " Pan Ignacy nie rozporządza cudzym majątkiem, on wziął Zaklików i tylko w Zaklikowie robi, co mu się podoba. Ani dóbr Żmudzkich, ani kapitałów nie tyka i nie tknie, za to panu ręczę. A potem, nie wiem co to państwu szkodzi, że on lekkomyślnie gospodaruje na Zaklikowie. Za kilka latr... kupicie od niego Zaklików albo go zamienicie na dobra Żmudzkie, w bardzo dobrych warunkach — a jeżeli zechcecie mnie obdarzyć waszem zaufaniem, to wam do tego pomogę. Tak, panie hrabio, wszystko ma swój czas, teraz nic zrobić nie można a nawet nie trzeba.

Tu Firlej domyślił się bez trudności, dlaczego adwokat stoi po stronie Ignasia. Jeżeliby Ignas wziął dobra Żmudzkie a Firlejowie Zaklików, to jego rola bardzo prędkoby się skończyła: Ignas musiałby wziąć innego adwokata na Żmudzi a Firlejowie 'mają swego adwokata w Warszawie. Ale jeżeli Ignas weźmie Zaklików, będą długi, procesy, egzekucye, subhastacye, sprzedaże, zgoła to wszystko, z czego adwokat żyje. Było to bardzo logiczne i jasne: ale właśnie temu przeciwnie, czego on się w swojej prostoduszności po adwokacie spodziewał.

Zaczem Firlej z zwieszoną głową powrócił do domu.

Zaklika. T. 1.

Położenie stało się rospacziwe, bez widoku, bez wyjścia. Geni nie można było w Zaklikowie na żaden sposób zostawić: ale co z nią począć? gdzie ją umieścić? — Tu wszakże Firlej podał znowu myśl swoją

Oto według niego nie było na to innego sposobu, jak tylko ten, ażeby jego żona wyjechała gdzieś na zimę do miasta i wzięła Genię ze sobą. Do Warszawy i do Krakowa nie można, bo za blisko: podałoby się ludziom sposobność do rozmaitych domysłów i plotek — a oprócz tego na to było jeszcze zawcześnie, bo był to dopiero początek jesieni a nikt o tej porze jeszcze do tych miast na zimę nie zjeżdża. A więc do Wiednia, do Wenecyi albo i do Paryża...

Genia na wszystko się godziła, byle tylko mogła z Zaklikowa wyjechać. Frydrusz także był kontent z tego projektu. Ale pani Firlejowa przyjęła go kwaśno. Tak dobrze jej było u siebie, — tak dawno już nigdzie nie wyjeżdżała, — nienawidzi życia hotelowego, gdzie człowiek niknie w tłumie i jest potrącany przez wszystkich, — trzebaby w mieście najmować osobne mieszkanie, dom nowy urządzać, wizyty robić, gości przyjmować, nowe znajomości zabierać, bawić siebie i drugich... wszystko to się jej nie uśmiecha a nawet już jej wiek nie po temu. Gdyby jej mąż z nią pojechał? ale to trudno, nie zechce. Frydrusz jechać nie może, bo i z tego byłyby plotki. Jaka szkoda, że niema Fujary: byłby to doskonały marszałek podróży. Ale go niema, gdzieś się skrył i nikt go nie potrafi odszukać. Innego mężczyzny, którego by wziąć można ze sobą, niemasz pod ręką. Zgoła jakoś się wszystko nie składa...

— Ale nareszcie, — zakończyła matka Frydrusza, — kiedy już inaczej nie można, to trudno. Tylko dajcie mi

przynajmniej jaki tydzień czasu, abym się przygotowała do tej podróży. Przecie jak ptak stąd wylecieć nie mogę. A może tymczasem przyjdzie nam jaka myśl inna i może lepsza...

Zaczem stanęło nareszcie jakieś postanowienie, chociaż z powodu wahania się Firlejowej jeszcze nie całkiem pewne. Genia odjechała ze smutkiem do domu, bo tydzień w jej położeniu jest bardzo długi, ale przecież nie bez nadziei. Ażeby jej umniejsz[^] przykrości, jakie jej sprawiał, pobyt w Zaklikowie, a zarazem Ignasia trzymać ile możności na wodzy, czasem odwiedzała ją Firlejowa, — niewiele to pomagało: Frydrusz się kłócił z Ignasiem, że swoim sposobem życia kompromituje swą siostrę, z Florą już prawie wcale nie mówił, na Balcerka spoglądał z pogardą, położenie stawało się coraz więcej nieznośnem; ale na to nie było ratunku, trzeba było czekać cierpliwie, aż póki matka nie przygotuje się do podróży...

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Od tego czasu minął tydzień, albo mało co więcej: ale ten tydzień przyniósł ze sobą zmiany bardzo znaczne.

W pałacu Firlejów horyzont się mocno zachmurzył, od kąta do kąta zapanowało usposobienie zgryźliwe i kwaśne. Pani Firlejowa przygotowywała się do podróży, ale z jaknajwiększą niechęcią i w jaknajgorszym humorze. Zaprzęła do pracy wszystkie swoje szwaczki i panny służące, porządkowano bieliznę, przygotowywano suknie i futra, opatrywano walizy i kufry. Każdy robił jak mógł najlepiej, ale jej nikt nie mógł dogodzić: wymyślała wszystkim, gderała, gniewała się a czasem nawet się niecierpliwością uniosła, co jej dotychczas nigdy się nie zdarzało. Kto nie chciał, ten widział, że jej ta podróż kością w gardle stanęła i jedzie jak gdyby na ścięcie. Jakoż niejednokrotnie powiadała mężowi otwarcie:

— Jadę, bo trzeba, sama to przyznaję, ale mam jak- najgorsze przecucia, kto wie czy powrócę...

Zarazem przychodziły jej od czasu do czasu myśli niezmiernie smutne: jednego dnia zapragnęła zmienić kilka

Zaklika. T. III.

punktów w swym testamencie, innym razem poleciła mężowi opiekę nad tą lub ową rodziną we wsi, której pomagała.

Mąż wprawdzie niebardzo wierzył w przeczucia, ale to dziwne usposobienie żony napełniało go smutkiem. Jednak widząc, że ta podróż była nieuniknioną, bo nie było innego ratunku, starał się ją pocieszyć i mówił:

— Puszczasz zanadto wodze twojej imaginacji. Go to za wielkie nieszczęście przepędzić zimę w mieście. Jeżeli Wiedeń nie jest ci sympatyczny a Wenecya zdaje ci się leżeć na końcu świata, to jedź do Paryża, tam znajdziesz dużo znajomych i za tydzień będziesz jak w domu. Dzisiaj to przecie tylko kilka dni odległości a oprócz tego są telegrafy. Po nowym Roku i ja do was przyjadę. Zresztą odszukam Fujarę i przyślę ci go z pewnością. Ja już wiem nawet, gdzie go szukać. Udał się do Kolonii, bo tam spodziewał się sprzedać swój obraz. Jeżeli go sprzedał, to pewnie do Paryża pojechał, jeżeli nie, to w Kolonii nie siedzi, bo Niemcom nie ufa, i zapewne przeniósł się do Szwajcaryi, bo tam życie najtańsze i nie potrzebuje się obawiać, że go Szwajcarzy wydadzą. Słyszałem od wikarego, że Prandota jest także w Szwajcaryi. Napisałem już do pana Bourgeois a ten mi pewnie adres Fujary doniesie* bo żyją z sobą w przyjaźni i w ciągłej korespondencji...

Ale to jego żonę nie bardzo pocieszało. Ta podróż jej się wcale nie podobała a na upodobania kobiety nie masz perswazyi. Jakoż odpowiedziała mężowi:

— Wiesz, kocham Genię jak własną córkę, jestem zawsze zdania, że jest to dobra partya dla Frysia, chociaż mógłby być znaleźć lepszą; ale gdyby się to jakim cudem odstało, to nie miałabym nic przeciw temu...

Na to Firlej westchnął głęboko, ale jej odpowiedział głosem stanowczym:

— Może i ja bym nie miał nic przeciw temu, ale to się już odstać nie może, Fryś jest w niej zakochany po same uszy a potem jest to człowiek honoru, mógłby się z nią rozejść w innych okolicznościach, ale jej nie odstąpi w nieszczęściu.

Na to znów jego żona westchnęła i rzekła:

— Trzeba jechać, to trudno, ale mi ciężko na sercu. Chyba poczekam z jaki tydzień w Wiedniu, aż póki mi Fujary nie przyślesz...

Tak mijał dzień jeden za drugim. Pani Firlejowa ciągle się pakowała, ale nie wyjeżdżała. Naznaczała dzień wyjazdu na przyszły Wtorek, to na Czwartek, to znów na Sobotę, bo jeszcze zawsze czegoś brakowało. Tymczasem Genia dawno już swoje rzeczy spakowała i umierała z niecierpliwości. Przyjeżdżała co drugi dzień do Firlejów i dowiadywała się z przerażeniem, że dzień wyjazdu znów odroczoney. Pani Firlejowej nic nie mówiła, bo nie mogła jej naglić, ale przed ojcem zalewała się łzami, zapewniając go, że niepodobna jej dłużej wytrzymać. Według jej opowiadania jakieś niestychane rzeczy działy się w Zaklikowie: codzień pełno gości jaknajlepszego gatunku, jacyś facien- darze, co z Ignasim końmi handlują, Balcerek rządzi wszystkim, jak gdyby był u siebie, Flora już prawie zamieszkała w pałacu — a ona sama jest gorzej niżeli sługa, opowiadają sobie w jej obecności rzeczy takie, na które musi sobie uszy zatykać a nadto jeszcze są tak besczelni, że się z niej naśmiewają. Zgoła piekło zrobiło się w Zaklikowie: jeżeli pani Firlejowa jeszcze dłużej będzie zwlekać z podróżą, to ona któregokolwiek dnia z Zaklikowa ucie-

1*

kanie i sama wyjedzie, gdziebądź, do Lublina albo do Sandomierza, niech ludzie sobie o tern mówią co chcą, lepiej wszystko, niżeli dalszy pobyt w tej obrzydliwej gospodzie, jaką dzisiaj zrobiono z Zaklikowskiego pałacu...

Frydrusz zapatrywał się cokolwiek chłodniej na te rzeczy, ale opowiadania Geni potwierdzał i także do najwyższego stopnia się niecierpliwił. Naglił na mitkę, ale z delikatnością syna i dobrze wychowanego człowieka, natomiast wszakże naciskał silniej na ojca, ażeby użył swojej powagi i dzień wyjazdu nieodwołalnie naznaczył.

Firlej robił co mógł, ale nie chciał nadużyć swojej powagi, bo znał swoją żonę: obawiał się jakąś scenę wywołać, która potem kto wiś na czemby się skończyła. I podobno miał słuszność, bo jego żona była w piekielnym humorze i właśnie mu odpowiedziała:

Wypędzacie mnie z domu, ale niepotrzebnie na mnie tak naglicie. Już prawie wszystko gotowe, wyjedziemy z pewnością w Sobotę.

Był to dopiero Wtorek, do Soboty daleko — a z Soboty mógł jeszcze raz zrobić się Wtorek a z Wtorku znowu Sobota.

Firlej, który jako stary żołnierz nie lubił sytuacji niepewnych, popadł w tak ciężki smutek, że prawie już z melancholiją graniczył. We Środę, po śniadaniu i po długiej konwersacji ze swoją żoną, siadł na werandzie i pograżył się w myślach. Był dzień pogodny, wrześniowy, cichy i ciepły, jak w lecie, ale melancholiczny, jak u nas wszystkie dni jesienne, gdzie trawy usychają i żółkną, liście zwiędłe z drzew opadają, kwiatu już nigdzie oko nie

dojrzy a od północy zawiewa od czasu do czasu zimny wiaterek i zapowiada, że zima, w białe szaty ubrana, jest jeszcze daleko, ale już ku nam idzie i niebawem nas także białym nakryje całunem. Przed nim na stole leżały listy, które właśnie przyniesiono mu z poczty, ale on ich nie czytał, tylko myślał smutno nad swym położeniem.

Zawsze był tak rozsądny, tak ostrożny, tak pełen taktu — a przecież w końcu tak wielkie spadło na niego nieszczęście. Na tym świecie nie dzieje się nic bez przyczyny, ktoś tu i temu nieszczęściu jest winien. I w swej poczciwości, w głębi swej duszy, próbował sobie samemu tę winę przypisać.

Dlaczego pozwolił na to, ażeby Frydrusz się starał

O Zakliczankę? — Jużci zapewne, że to partja jest niezła pod każdym względem i majątek także dość odpowiedni: ale przecie znów nie tak bardzo świetna, ażeby Frydrusz nie mógł być znaleźć czegoś lepszego. Zaklikowie należą wprawdzie do rodów najpierwszych pod względem starożytności, ale nie pod względem znaczenia: odznaczali się często bardzo świetnymi czynami i kładli niespożyte około ojczyzny zasługi, ale nie umieli nigdy tych zasług skapitalizować i przy swoim imieniu utrwalić. Ludzie szlachetni i zacni, ale fan- tazyja i zapał przeważały u nich zawsze nad rostopnością. Taki sam także był Czesław: szlachetny, poczciwy a nawet

I pracowity, ale fantasta i idealista. Prócz tego liberał a w gruncie rzeczy nawet i demokrat. Takim ludziom u nas nigdy dobrze się nie powodzi i zawsze im się coś zdarza. Wiedziałem przecież o tem i powinienem był nad tem się zastanowić... Wychodząc z tego punktu widzenia, Firlej chciał sobie dalsze robić wyrzuty, bo koniecznie chciał znaleźć winnego, ale tu mu się jego myśli urwały.

Kto temu winien, że Ignasz padł na manowce i źle się prowadzi? Nikt, bo to w każdej rodzinie się zdarza. Kto temu winien, że Zaklika spadł z konia? Także nikt, bo i to chodzi po ludziach. Genia niewinna i Frydrusz nie winien, zgoła nie było winnego. A to bardzo smutno, jeżeli się stało jakieś nieszczęście i nie można o nie nikogo obwinić. Firlej westchnął z głębi piersi i zaczął czytać swe listy.

Przeczytał jeden i drugi i trzeci i odłożył je na bok. Były-to listy bez żadnego znaczenia, korespondencje banalne, pisane w celu utrzymywania przyjacielskich stosunków. Ale kiedy zaczął czytać list otwarty, to nie mógł go bez oddechu doczytać do końca. Przerzywał sobie, bladł i czerwieniał i czytał na nowo — a kiedy nareszcie doszedł do końca, to zerwał się z krzesła i chciał iść z tym listem do żony. Ale wstawszy, zastanowił się, siadł znowu, jeszcze raz list przeczytał, potem go zwinał na powrót, położył go na stole i zamyślił się nad nim. Po jego twarzy widać było, że myślał mozolnie, ale i niespokojnie...

Cóż stało w tym liście! — Oto jeden z tych generałów z Warszawy, co byli u niego na św. Jan, pisze mu pod jaknajwiększym sekretem, jako od kompetentnej osoby dowiedział się na słowo honoru, że ten Zaklika, co był u niego na balu i przebrany za Petroniusza, tak dowcipnie wszystkim przycinał, siedzi w Lublinie w więzieniu, obwiniony o udział w powstaniu. Akta jego przyszły już do Warszawy, jest wprawdzie niejaki podobieństwo, że zostanie uwolnionym, bo miał dowieść alibi, ale nie jest to jeszcze wcale rzecz pewna, bo zdania podobno się dzielą. Ponieważ tedy, — pisze dalej generał, — o ile jemu się zdaje, syn Firleja starał się o córkę tego pana Zakliki a przeto jego los go może zbliżać, więc generał mu radzi,

aby bez zwłoki do Warszawy przyjechał, gdzie jako najbliższy sąsiad Zakliki a zarazem jako obywatel mający zupełne zaufanie u Rządu, mógłby może przeważyc szalę na stronę więźnia i jego uwolnienie uzyskać a w danym razie przyspieszyć, co przecież także warte jest niejakiego zachodu. ..

List ten wywarł na Firleja odurzające wrażenie. Znaj tego generała jako bardzo zacnego człowieka i swego przyjaciela od lat niepamiętnych, niepodobna mu było jemu nie uwierzyć: ale jakże Zaklika może siedzieć w więzieniu, kiedy umarł i jest pochowany? — Zachodzi tu oczywiście jakieś nieporozumienie: to stary Fryga siedzi w więzieniu i pewnie popłótl przy indagacji jakieś niestworzone rzeczy o Zaklice, akta przyszły do Warszawy, pewnie coś o nich w sferach rządowych gadano i z tego taka bałamutna plotka urosła. Generał tej plotce oczywiście dlatego uwierzył, iż o śmierci Zakliki nic nie wie, co nawet nie dziwno; bo umarł tak nagle i pochowano go w takiej cichości nazajutrz, że nawet i po kraju ta wiadomość się nie rozniosła. .. Takie było na razie rozumowanie Firleja, zresztą bardzo logiczne. Rozumowanie to potem jeszcze i tą uwagą w sobie utwierdził, że gdyby Zaklika żył i był w indagacjach, to przecież indagowanoby przedewszystkiem jego ludzi w Zaklikowie, — a tymczasem tam nawet rewizynie było w pałacu, tylko postawiono wartę przy grobowej kaplicy a w tydzień i wartę zdjęto i zostawiono tylko pieczęcie na drzwiach kaplicy. Gdyby Zaklika żył i był w śledztwie, to przecież takie postępowanie byłoby niemożliwem... Tak idąc za przewodem swego rozumu, był przekonany, że poczciwy generał mu plotkę napisał.

Ale pomimo to nie mógł się pozbyć swego zaniepo

kojenia. Albowiem myśląc nad tem dalej, nie mógł przypuścić, ażeby generał postąpił tak lekkomyślnie. Jest to człowiek nietylko poczciwy, ale także rozumny, ma taką pozycję w Warszawie, że może wiedzieć o wszystkim, więc także o tem, że on, Firlej, nie jest przecie jakimś chłystkiem, że lubi dom swój i spokój, że mu dla jego wieku każda podróż niezmiernie jest uciążliwą — a przecie go wzywa, ażeby przyjeżdżał do Warszawy bez zwłoki... Goś w tem jest, ale co? — Firlej się z sobą niesłychanie mozolił, ale nic nie mógł wymyśleć.

A wtem Fryś zajechał przed ganek.

Firlej tem niesłychanie się zdziwił, bo Fryś, kiedy jechał do Zaklikowa, to zwykle tam na obiedzie zostawał i dopiero późno w nocy powracał: teraz była dopiero godzina czwarta a on już powraca, cóż to ma znaczyć?

Fryś przystąpił do ojca i niby go spokojnie powitał, ale po jego twarzy widać było, że był mocno zirytowany. Ojciec to spostrzegł i spytał go, co się tam stało.

— Ot co! — zawołał Fryś, — skłóciłem się znowu z panem Ignacym i powiedzieliśmy sobie takie rzeczy, że już nie mogłem zostać na obiedzie.

Nie pierwszy to raz Firlej dowiadywał się o tem, że Fryś miewa kłótnie z Ignasiem, wiadomość ta zatem nie sprawiła na niego żadnego wrażenia: on miał daleko ważniejszą wiadomość, jakoż udzielił jej zaraz synowi.

Fryś wziął list generała do ręki, odczytał go uważnie, ale potem położył go spokojnie na stole i rzekł:

— To jest plotka, która prawdopodobnie z tego urosła, że Fryga porobił zeznania kompromitujące Zaklikę i jego przyjaciół. Dlatego Prandota tak nagle wyjechał, dlatego i Fujara wyniósł się za granicę. W Warszawie może jest

mowa o Zaklice, ale Zakliki tam niema. Ja mam wiadomości całkiem przeciwnie...

— Jakież-to wiadomości? — zapytał ojciec.

Ta Frydrusz opowiedział, co mu się stało.

Przedwczoraj wieczór, kiedy z Zaklikowa wracał do domu, jego stangret wjechał nieuważnie na mostek popsuty i uderzył tak silnie przednimi kołami o dyl wystający z mostu, że z jednego przedniego koła dwie sprychy wypadły. Stało się to niedaleko od chaty starego Nurka. Frydrusz zatem zajechał do Nurka i kazał mu te sprychy co- prędzej wprawić. Ale Nurek, obejrzawszy koło, powiedział mu, że powóz i bez tych sprych dojdzie do domu a teraz noc, więc trudnoby mu było te sprychy nazad wprawić jak trzeba.

Frydrusz kazał stangretowi powóz przejechać, aby się przekonać, czy koło rzeczywiście wytrzyma — a tymczasem wdał się z Nurkiem w rozmowę. Nurek z głębokim żalem się skarżył na to gospodarstwo, które pan Ignacy prowadzi teraz w Zaklikowie i mówił, że ten młody panicz tak postępuje, jak gdyby mu piątej klepki brakowało. Jużci temu winni ci Balcerowie, co Boga w sercu nie mają, ale zawsze to wstyd i hańba wieczysta dla takiego wielkiego pana, po- rozpędzać poczciwe sługi ojcowskie bez żadnej przyczyny, oddać zarząd całego majątku takiemu głupowatemu pędziwiatrowi, jak ten młody Balcerek, wziąć sobie pannę Bal- cerównę za żonę bez ślubu a jeszcze do tego tak po głupiemu marnować ojcowskie dobytki. Toż-to tam teraz koniarze tak gospodarują po stajniach i po wozowniach, że i świat nigdy nic takiego nie widział. Już mu sześcioro najpiękniejszych korii zabrali a dali mu za nie jakieś wywłoki angielskie, chude jak szczypy i prędzej do czapli niżeli do

koni podobne, co tam gdzieś po wyścigach biegają, już się i tutaj na nich po polach ścigali — a do tego jeszcze mu jeneralskie i ojcowskie powozy pozabierali a przywieźli mu za to jakieś czupiradła niemieckie, co chyba po drabinie trzeba na nie wyłazić, jedno z nich jak chałupa wygląda a czasem ich dziesięcioro siedzi na dachu a drugie jak kojec, co w nim kury wożą do miasta, i on się tem z swoją żoną po wsiach powozi, że aż się baby przed nim żegnają...

— Ale co już najgorsza — powiadał Nurek, i za co go pewnie kara Boża nie minie, to to, że dotąd jeszcze nie sprawił ojcu chrześcijańskiego pogrzebu. Zrazu trudno to było, bo żołnierze pilnowali kaplicy, i teraz jeszcze jest zapieczętowana a wójt strzeże pieczęci: ale gdyby do gubernatora pojechał i rzecz wyłożył jak trzeba, to przecież nie chybi, żeby mu pozwolono, otworzyć na kilka godzin kaplicę i ojca zamurować w piwnicach. Kiedyby tego było potrzeba, to przecie i Biskupby się za nim przyłożył i pozwolenie otrzymał. A tu nieboszczyk pan leży w trupiarni i gnije — a i ta psina, co się nie chciała ustąpić z trupiarni i przy nim zdechła, gnije także z nim razem... A on nic? Ojciec gnije pospołu z psem o sto kroków od niego — a on sobie hula z zalotnicami i ani pomyśli o tem, ażeby ojca po chrześcijańsku pogrzebać? — Ja panie prosty chłop, nikt mnie nie zna, nikt o mnie nie pyta i nikt się o to nie troszczy, co robię, ale jabym nie wytrzymał, jabym im całą gubernię zburzył, choćbym miał pójść za to na Sybir, a nie zniósłbym tego, ażeby taki śmiertelny grzech ciążył na mo- jem sumieniu...

Więc Frydrusza to bardzo żywo dotknęło. Jużci on, choćby tylko w imieniu Geni, powinien był także o pogrzebie Zakliki pomyśleć; uderzył się w piersi za to i postano-

wił sobie, pójść do spowiedzi i za to zapomnienie pokutę odprawić: ale Ignas nie powinien był o tem zapomnieć, bo to przecie był pierwszy obowiązek synowski. Nazajutrz Genia była w Zaklikowie, więc Frydrusz o tem nic nie wspominał, aby nie pomnażać zgryzoty: ale jadąc dzisiaj rano do Zaklikowa, umyślnie do grobowej kaplicy zajechał, żeby na własne oczy obaczyć, co się tam dzieje.

Owóz w kaplicy zastał okno trupiarni otwarte. Albo je podczas nocnego napadu wybili żołnierze, albo też było już przedtem otwarte dla wentylacji. Frydrusz podszedł \ ¹

krzakami ku oknu — a tam go z okna tak silny i tak przejmujący fetor uderzył, że aż mu się niedobrze zrobiło...

Zaczem mocno zirytowany i do najwyższego stopnia na Ignasia oburzony, do Zaklikowa zajechał. Przy śniadaniu nie mówił nic, bo Balcerek i Flora siedzieli przy stole, którzyby go zapewne byli jeszcze wyśmiali: ale po śniadaniu wziął Ignasia na stronę i dał mu taką reprimendę, że żaden ojciec lepiejby nie potrafił. Fryś, kiedy się uniósł, nie kładł wyrazów na wagę, był cierpkim, złośliwym a czasem i jadowitym, Ignasia miał ciągle na pieńku, toż teraz, kiedy miał rację i sądził mieć prawo do tego, sponiewierał go jak studenta, chwilami nawet jak zbrodniarza.

Ignas z początku tem się usprawiedliwiał, że mu adwokat zakazał wspominać gdziekolwiek o grobowej kaplicy, ale później także się zniecierpliwiał, rzucił się na Frydrusza, nie szczędził mu równie cierpkich wyrazów, aż w końcu się uniósł do tego stopnia, że mu odmówił prawa mieszać się w sprawy jego rodziny. Na to Frydrusz mu odpowiedział: — Wiesz przecie, że jestem z twoją siostrą po znowie a zatem mam prawo! — Ignas zawołał: — Jeszcze się nie ożenił! — Frydrusz mu odrzucił: — Może ty mi

J

^lubu zabronisz? — Ignas skoczył ku niemu i krzyknął: — Nie żartuj z tem, bo są i na to sposoby! — Zgoła wywiązała się kłótnia tak zawzięta i tak wrzaskliwa, że Frydrusz, który miał przecież więcej wychowania od niego, przerwał ten spór, pobiegł do Geni, usprawiedliwił się przed nią i z Zaklikowa wyjechał.

Dlatego teraz tak wczesnie przyjeżdża.

Stary Firlej się tem opowiadaniem głęboko zasmucił i rzekł:

— Otóż-to takie są skutki, jeżeli się do swego towarzystwa dopuszcza ludzi innego wychowania i innego sposobu życia. Ten nasz Zaklika zanadto był liberalnym i zanadto dobre miał serce. Przecież i ja nie'odtrącałem Balcerów od siebie a nawet i przyjmowałem ich w moim domu, ale trzymałem ich w pewnej dystancyi, powagą, taktem a wreszcie, kiedy tego było potrzeba, cokolwiek przesadzoną grzecnością. Zaklika tego wszystkiego nie umiał — a jeszcze nawet naśmiewał się z naszych arystokratycznych form i zwyczajów: tymczasem te formy, jak to teraz widzimy, bardzo często się na coś przydadzą. Co to będzie, jak ty kiedyś ożenisz się z Genią a on z Florą i w Zaklikowie zamieszka?

— Co będzie? — rzekł na to Frydrusz, — nic zgoła. Zerwiemy z niemi wszelkie stosunki. A potem, oni w Zaklikowie mieszkać nie będą, tylko do Paryża pojedą i tam Zaklików w przeciągu jednego roku przepuszczą. Może on już należy do utracyszów ostatnich i po nim już ich nie będzie, ale dzisiaj są jeszcze.

Tymczasem Firlej wrócił do swego listu i rzekł:

— Jednak coś trzeba zrobić z tym listem, bo mi ta wiadomość nie może wyjść z głowy.

— Ojciec całkiem niepotrzebnie się tem niepokoi — powiedział Fryś, — przecież sam tam byłem i powiadam papie, że ten fetor przy trupiarni jest odurzający...

— Tak — mówił Firlej, — ale ty nie wiesz, jaką czasem w takich wypadkach odgrywa rolę imaginacja. Nurek opowiadał ci te rzeczy wieczorem, przez całą noc pewnie o tem marzyłeś, nazajutrz rano z głową trupami nabitą tam pojechałeś, mieliśmy lato gorące i teraz jeszcze jest ciepło, trupiarnie i groby mają zawsze odor sobie właściwy, mogło ci się zatem łatwo coś przywidzieć. Ja takich przywidzeń wiele widziałem w mem życiu. Podczas naszej kampanji w Algierji słyszałem nieraz żołnierzy, którzy jako świadkowie naoczni opowiadali pewne sceny wojenne, klęli duszę i ciało, że to i owo na własne oczy widzieli — a tymczasem ja także tam byłem i całkiem co innego widziałem.

— Ale nosowi przecież nic się przywidzieć nie może — rzekł Fryś, — a odor trupi jest to coś takiego, że się na nim omylić nie można.

Firlej myślał nad tem, ale mimo to szedł dalej za swem przypuszczeniem i mówił:

— Jednak ta wiadomość jenerała nie jest całkiem nie- możebną. Przecież Zaklika mógł leżeć w letargu. Przypominam sobie podobny wypadek z wojny algierskiej. W Algierji służył z nami niejaki Wysłouch, także nasz emigrant, wysoki, brunet i bardzo przystojny, był adjutantem przy sztabie. Otóż raz, podczas bitwy, posłano go z rozkazem do opodal stojącej brygady, on dał koniowi ostrogę i puścił się całym pędem z kopyta, ale koń związał się pod nim i padł tak nieszczęśliwie, że kiedyśmy do niego przybiegli, znaleźliśmy go bez życia. Jednak lekarze nie pozwolili go pogrzebać, tylko umieścili go w ambulansach. Po

bitwie Arabowie wzięli nara ambulanse a z niemi i Wysłoucha. Wtedy jużemy wszyscy pacierz za niego zmówili. Tymczasem czwartego dnia zjawia się nasz Wysłouch, zdrów i rzeźwy, jak przedtem. Cóż się stało? Oto Arabowie, zlustrowawszy ambulanse, wzięli go za umarłego i wyrzucili na pole. Wysłouch trzy dni i nocę leżał na polu, dopiero czwartego dnia się obudził i kierując się instynktem, do naszego obozu powrócił. Żył potem jeszcze lat blisko trzydzieści, przed wojną włoską w roku 1859 widziałem go w Wiedniu, służył w kancelaryi dyplomatycznej Arcyksięcia Maxymiliana i był korespondentem do Journal des Debats i do "Czasu". Ażaliż coś takiego nie mogło się zdarzyć Zaklice? I wierz mi, że taki sen letargiczny zdarza się daleko częściej, niżeli my przypuszczamy zazwyczaj, i bardzo wielu ludzi grzebiemy żywcem. Wiedział o tem dobrze stary Balcer i dlatego kazał sobie nóż wepchnąć w serce, nimby go pogrzebiono.

— Być może, że się to zdarza, — rzekł na to Frydrusz, — ale tutaj ten fetor jest dla mnie niezbitym dowodem. Dlatego sędzę, że byłoby naszym obowiązkiem, bo Ignaś tego pewnie nie zrobi, otrzymać pozwolenie otworzenia kaplicy i trupa Zakliki pochować w piwnicach. Papa zna przecie gubernatora i papie pewnie tego nie odmówią.

— Masz rację, — odpowiedział mu ojciec, — jak tylko matka wyjedzie, pojedziemy zaraz nazajutrz do Lublina i pozwolenie to otrzymamy. Krok ten będzie zarazem moją odpowiedzią na list generała, o czem go też jutrzejszą pocztą uprzedzę.

Tak jeszcze jaką chwilę rozmawiali ze sobą, kiedy w tem w drugim rogu werandy zjawił się Kański.

Na jego widok Firlej zerwał się z krzesła, zapominając o swojej powadze, podbiegi szybkim krokiem ku niemu i zawołał:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Zjawiasz się niespodziewanie mój drogi Kański, ale jakby na zawołanie, bo właśnie, tu o was mówimy. Skądże nam przybywasz ?

To mówiąc, ścisnął mu rękę, tak był jego przybyciem uradowany. A na to Kański:

— Ja wracam z Lublina, gdzie dotąd z łaski pana Ignacego siedziałem sobie na bruku...

Ale Kański, zawsze tak zasepiony jak chmura gradowa, teraz był uśmiechnięty i tak jakoś rospromieniony, że to uderzyło Firleja, zaczął mu przerwać i rzekł:

— Przywozisz pewnie jakieś dobre nowiny, zapewne proces wygrałeś.

— Mam dobre nowiny, — odpowiedział mu Kański, — tylko proszę panów się nie przestraszać...

— Cóż tam takiego ? — zawołał Firlej, — Zaklika żyje ?

— Panowie wiście już o tem — zapytał Kański.

— Jakto! węc żyje! żyje na prawdę ? — zawołał Firlej, — domyślałem się tego, ale nie miałem pewności. Więc żyje...

Tymczasem wiadomość ta sprawiła na Frydruszu odurzające wrażenie. Zbladł sam jak trup, przeżegnał się, potem złożył ręce przed sobą jak do pacierza i mówił drżącymi ustami:

* Żyje, żyje... Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Fryś, zazwyczaj zimny, nieprzystępny czułościom, twardy dla drugich, a często nawet do tego stopnia apodyktyczny[^] że mu to wcale nie było do twarzy, w wypadkach ważnych ugiął się pod otrzymanem wrażeniem, miękł i prawie tra

cił przytomność. Ten dziedziczny hart duszy, który u jego ojców stawiał odważnie czoło wszystkim przeciwnościom i dochodził zawsze aż do heroizmu, u niego tylko tak długo dotrzymywał kroku, dopóki łatwo było zwyciężyć, zaś w danej chwili zniknął i niedawnego bohatera zamieniał w słabego i niezaradnego człowieka. Dziedziczność tradycji tak samo się z czasem zużywa i znika, jak wszystko na tym świecie.

Tymczasem jego ojciec, spokojny i przytomny jak zawsze, posadził Kańskiego obok siebie i kazał mu opowiedzieć, jak się to stało.

Kański opowiadał, ale była to rzecz bardzo prosta. Zaklika, uderzywszy głową o kamień, zapadł w sen letar- giczny. Felczer i drudzy lekarze nie poznali się na tem, bo w takim śnie puls bić przestaje i człowiek drewnieje jak trup. W takim stanie złożono go w trumnę i zamknięto w trupiarni a Prandota, nie dowierając zapewne tej śmierci, kazał nawet zdjąć wieko z trumny i postawić pod ścianą. Kiedy żandarmi spadli jak orkan na grobową kaplicę, Zaklika się zbudził — a że Fryga zaraz porobił zeznania a zarazem i z tem się wygadał, że zakazane książki się przechowują w kaplicy, więc przetrzęsiono całą kaplicę, znaleziono Zaklikę żywego, wsadzono razem z Frygą na wóz i odwieziono do więzienia. Trzymano zaś ten wypadek w sekrecie jak wszystko, co się odnosi do spraw politycznych — a może były do tego jeszcze i inne powody...

— Ba dobrze, — rzekł na to Firlej, — to wszystko jest proste i jasne. Ale jakże on się uwolnił z więzienia? bo między nami mówiąc, przecież nie był bez winy...

Tu Kański przez oka mgnienie się zastanowił, ale odpowiedział przytomnie:

— Gdzietam, panie hrabio, to wszystko plotki. Może tu był jaki dowódzca oddziału, co sobie przybrał jego nazwisko, jak to u nich wtenczas było zwyczajem. Ale on przez ten cały czas leżał w Rydze w szpitalu. Napisano do Rygi, ztamtąd przyszły świadectwa urzędowe... więc go uwolniono.

Firlej na to kręcił cokolwiek głową i mówił:

— Ale bo on podczas powstania był tutaj u jenerała, dziwi mnie, że tego nie dochodzono.

— Jeżeli był, — rzekł na to Kański, — o czym jeszcze i teraz nie potrzeba wspominać, to się to robiło tak rozumnie, że świadka na to nie znajdzie...

— Hm! — mówił Firlej, — kto sobie pomaga, temu Bóg pomaga. Go to tam kosztowało, o to już wcale nie pytać. Ale zawsze to lepsze, jak Sybir. Więc tedy żyje i jest na wolnej stopie, kiedyż do nas powróci?

— Pan Zaklika, — rzekł na to Kański, — właśnie mnie przysłał do Państwa z prośbą, abyście go tutaj u siebie na jaki dzień albo dwa dni przyjęli, bo nie chciałby spaść jak straszdyło na swoje dzieci...

— Ale bardzo "Kobrze, — zawołał Firlej, — to nawet bardzo rozumnie, nam też także na tem zależy, aby jego powrót odbył się bez scen gwałtownych i wstrząśnień, zwłaszcza ze względu na Genię. Kiedyż więc wróci?

— Myśmy razem wyjechali z Lublina, — rzekł Kański, — on teraz popasa w karczmie ztąd o milę, mnie wy* słał naprzód a sam o zmroku tutaj przyjedzie.

— Więc dobrze, — powiedział Firlej, — pójdę ja teraz do żony i przygotuję ją na to zjawisko, ażeby spazmów nie było.

I poszedł. Właśnie słońce zaczynało się zniżać ku za-

Zaklika. T. III.

chodowi. Frydrusz zaczął rozmawiać z Kańskim, ale rozmowa mu nie szła. Był jeszcze pod wrażeniem tej niespodziewanej nowiny i jakby wewnątrz rozbity. W jego skołatanej głowie jakieś niejasne kłębiły się myśli: sam nie wiedział, czy to lepiej dla niego, że Zaklika powrócił, czy gorzej. Lepiej dlatego, że teraz od razu się skończy szalone gospodarstwo Ignasia, ale gorzej z tego powodu, że zarazem zmienią się także majątkowe stosunki Geni. Przyznać mu jednak potrzeba, że do majątkowych stosunków niewiele przy wiążywał wagi, teraz na samej Geni zależało mu więcej, niżeli na jej majątku: tylko to mu chodziło po głowie, że po śmierci Zakliki był narzeczonym Geni — a teraz nim nie jest, bo Zaklika jeszcze nie dał swojego przyzwolenia a nawet w obec oświadczenia ojca tak się zachował, jak gdyby był temu małżeństwu przeciwny. Kto więc, jak się teraz zachowa po wyjściu z więzienia. Chciałby się był coś o tem od Kańskiego dowiedzieć, skierował swoją rozmowę ku temu i zaczął go zrećźnie wyciągać na słówka* Kański nic o tem nie wiedział, bo przez te dwa dni, które strawił z Zakliką, tylko mu postępowanie Ignasia przedstawiał a nie miał powodu wspominać o Geni, ale miał o tej kwestji swoje własne zdanie, był przekonany, że Frydrusz był świetną partyą dla Geni i z tem mu się delikatnie wywnętrzył. Frydrusz był z tego kontent i wspominał jeszcze o Tarle. Ale Kański na to tylko ręką machnął i rzekł:

— To Francuz, panie hrabio, wszystkich nas oszukał. Zrazu wziął się do pracy, człek bez przesądów, a zdalny i zna się na gospodarstwie, więc też się nam obydwom bardzo podobał. Ale potem zaczął jeździć do Lwowa i tam się pokumał z ludźmi, co Polskę chcieliby wygrać i myśla*

że ją agitacjami i manifestacjami wygrają. Pan Zaklika sam go spotkał w takiej kompanii we Lwowie. Jakoż kiedy powrócił, powiedział mi:

— Wiesz, Kański, ten Tarło to człowiek nicpotem. Jeździ do Lwowa i tam wdaje się z ludźmi, co się polityczną lamparterią zajmują. Lamparterya to brzydka rzecz w życiu prywatnem — a cóż dopiero w publicznem. Zostawmy go jego własnemu losowi, obaczymy, na czym on skończy...

Więc Frydrusz z głębi piersi odetchnął, nowy duch w niego wstąpił i był dobrej myśli.

A wtem wbiegła pani Firlejowa na werandę. Wbiegła lekkim krokiem jak piętnastoletnia dziewczyna, bo bardzo była uradowana. Wbiegła i położyła obydwie ręce na ramionach Kańskiego, mówiąc wesoło:

— Mój Kański, sprawiłeś mi festyn, jakiegom dawno już nie widziała. Chciałabym cię ozłocić za tę wiadomość, ale i to byłoby jeszcze za mało. Wydobyłeś mnie z takiej gorącej kąpieli, że byłabym się pewnie w niej udusiła. Miałam przeczucie, że Pan Bóg się zlituje nademną i nie dopuści, abym się na stare lata za granicą włóczyła, ale ty mi pewność przynosisz, niechże ci Bóg za to nagro: dzi...

Firlejowej bardzo ciężki kamień spadł z serca i dlatego radość jej granic nie miała. Była bardzo zacną matroną, ale pewnej szczypty egoizmu się pozbyć nie mogła, jak nikt z ludzi żyjących. Najszlachetniejsze charaktery mają taką szczyptę egoizmu gdzieś w głębi serca ukrytą: poświęcają z zapalem mienie i życie, ale jakiegoś małego przyzwyczajenia a czasem nawet jakiegoś błałego kaprysu nie umieją poświęcić. Teraz nie potrzebowała już robić

2*

ofiary ze swego wstretu do tej podróży — i była rozpro mienioną ze zmartwychwstania Zakliki. Zaraz też z Kańskim do rozmowy zasiadła i zarzuciła go pytaniami.

Kański jej odpowiadał na wszystkie pytania ze szczególamy — a tymczasem słońce zaszło i zmrok zaczął zapadać.

A kiedy zmrok zapadł do tego stopnia, że już świat cały poszarzał, przed werandę zajechał parokonny wóze- czek — a z wózczyka wysiadł Zaklika: trzymając Muszkę pod pachą i uśmiechając się do Firlejów, wszedł wolnym krokiem po schodach na platformę werandy.

Obaczywszy go, wszyscy się rzucili ku niemu, ale pani Firlejowa uprzedziła męża i syna i przycisnąwszy go jak brata do piersi, obsypała go przerywanymi wykrzykami radości. Co mówiła, nikt nie rozumiał, bo łzy puściły się jej strumieniami po twarzy i głos jej zalały.

Stary Firlej był także głęboko wzruszony i tylko te słowa wymówił:

— Witamy cię tak, jak gdybyśmy się dzisiaj na ostatecznym sądzie spotkali...

Frydrusz ścisnął mu rękę w milczeniu, ale miał także łzy w oczach.

Zaklika był uśmiechnięty, ale zdawał się być zimnym i rzekł:

— Przepraszam was, że waszej gościnności nadużyłem, ale nie chciałem wyprawiać scen szekspirowskich w Zaklikowie.

— Otóż to dobre! — zawołał Firlej, — wiesz przecie, że jesteś u nas jak w domu, Fryś! każ też rzeczy Czesława poznosić do tych dwóch gościnnych pokojów na

piętrze, co komunikują ze sobą, ażeby mógł mieć Kańskiego przy sobie.

— Moje rzeczy? — rzekł na to Zaklika, — ja mam moje wszystkie rzeczy na sobie...

Pani Firlejowa otarła łzę z oka a Firlej mu odpowiedział :

— To tam mniejsza. Bielizny i sukien znajdziesz u nas dostatkiem. A jeśliś głodny, to możemy zaraz iść do obiadu. Ale może chcesz, aby nikt nie wiedział, żeś wrócił, więc możemy się tak urządzić, ażeby cię nikt ze sług naszych nie widział, w takim razie mój kozak będzie nam służył, ten milczy jak grób...

Zaklika pomyślał chwilę a potem rzekł:

— Jeżeli się jakaś głucha wieść o mnie do Zaklikowa doniesie, to może w tem nie będzie nic złego.

Kiedy tak rozmawiali ze sobą, Muszka biegała od jednej osoby do drugiej, każdej nogi wachała, śmiała się i kiwała ogonkiem. Pani Firlejowa wzięła ją na ręce, pocałowała w pyszczek i rzekła:

A żeś i Muszkę mógł uratować, to także cud Boży.

— To była moja jedyna pociecha w więzieniu, — odpowiedział jej na to Zaklika, ale miałem także i troski o nią nie mało, bom sobie nieraz myślał: że mi ją tutaj pozwolono wziąć z sobą, to się jeszcze jakoś udało, ale czy będę mógł ją zabrać ze sobą na Sybir? A jeżeli mi stryczek założą na szyję, cóż się wtedy z nią stanie?... *

Zaczem szli do obiadu.

Pani Firlejowa podała ramię Zaklice a Frydrusz szedł z ojcem i z Kańskim.

Idąc, Firlej rzekł półgłosem do syna:

— Otóż widzisz, co może imaginacya. Za pomocą na

szych zmysłów widzimy, co się koło nas dzieje, ale te zmysły sprawiają nam także nieraz najfatalniejsze złudzenia.

Frydrusz jednak był teraz jeszcze więcej zamyślony niż przedtem i odpowiedział ojcu:

— Ja jeszcze i teraz jestem jak we śnie...

Kiedy zasiedli do stołu, mogli się bliżej przyparzyć Zaklice przy świetle.

Zmienił się niewiele, ale broda mu się przedłużyła i posiwiała a do tego był blady w tej chwili jak ściana i widać było po nim wielkie zmęczenie. Jadł mało, od czasu do czasu opierał się o tył krzesła i oczy przymykał — a wtedy prawie przerażająco wyglądał. Kiedy chwilami tak nieruchomo siedział z przymkniętymi oczyma, z twarzą jak gdyby z wosku i bezwładnie oparty o krzesło, — lekki mróz szedł po Firlejach, bo mieli to wrażenie, że przy stole trup siedzi.

Konwersacya nie szła. Pani Firlejowa spoglądała ukradkiem na męża a na jej twarzy malowało się przerażenie. Frydrusz trzymał ręce złożone pod stołem i ruszał ustami, zdawało się, jak gdyby się modlił po cichu. Sam Firlej był niespokojny i kilka razy rzucił pytającemi oczyma na Kańskiego, który siedział obok niego.

Kański mu szeptał półgłosem:

— To nic. Jego wieczorami czasem sen zbiera...

Firlej dał znak marszałkowi, aby prędko służyli.

Kiedy Zaklika się znowu ocucił, Firlej podał mu kieliszek starego wina i rzekł:

— Napij się. To wino leży od czterdziestu lat w mojej

piwnicy i jest prawdziwym lekarstwem dla osób, potrzebujących wzmocnienia.

Zaklika otworzył oczy szeroko, uśmiechnął się i odpowiedział mu:

— Jestem trochę zmęczony.

Jego uśmiech był martwy, głos głęboki, jak gdyby się odzywał z piwnicy.

Pani Firlejowa spojrzała z przestachem na męża* Wszystkim się jakoś zimno zrobiło, zdawało im się, jak gdyby siedzieli w grobowcu, radziby byli wstać jak najprędzej od stołu.

Zaklika wypił wino, orzeźwił się trochę i zaczął coś mówić, ale słowa mu się nie składały a jego głos stawał się coraz głębszym i był bez dźwięku, jak gdyby drewnianym. Pani Firlejowa nie mogła dłużej patrzeć na niego, dostała nerwowego ataku, stłumiła go w sobie, ale dała oczyma do zrozumienia mężowi, że jej niedobrze.

Firlej wstał a zanim wszyscy wstali od stołu, poczem zaraz zbliżył się do Zakliki i rzekł:

— Proszę cię na kawę. Ale nie zmuszaj się dla nas. Jesteś mocno sfatygowany, może lepiej będzie dla ciebie, abyś się wywczasował.

Zaklika był już teraz daleko rzeźwiejszy, jego senność zdawała się mijać, mówił całkiem przytomnie i jego głos stał się dźwięczniejszym. Ale mimo to przyjął propo- zycję Firleja, mówiąc:

— Potrzebuję istotnie spoczynku, bo od dwóch miesięcy nie przespałem jednej nocy spokojnie, prócz tej, którą przeleżałem na katafalku. Przepraszam was, ale teraz się prześpię — a jutro się nagadamy do woli.

m

Zaczem Kański podał mu ramię a Firlej i Fryś odprowadzili ich do gościnnych pokojów. Kiedy wrócili do dolnych apartamentów, zastali panią Firlejową niezmiernie zniepokojoną.

— Co to takiego? — zawołała do męża, — on tylko w połowie się zbudził do życia a drugą połowę zostawił gdzieś na tamtym świecie.

Ale Firlej się na to uśmiechnął i rzekł:

— Już i w twojej głowie imaginacja zaczyna grać. To wcale nic. To jest rzecz naturalna. Przesiedział się blisko dwa miesiące w więzieniu, to nie przelewki kto do tego nie jest przyzwyczajony, źle go żywiono, miał ciągłe emocje, nie sypiał po nocach, więc jest zmęczony.

— Tak, — mówiła Firlejowa, — ale on strasznie wygląda.

— I to także jest naturalne, — mówił jej mąż, — to jest tak samo, jak gdyby odprawił kilkumiesięczną kampanię. Wy kobiety nie wiecie, jak to jest. W takiej kampanii traci się siły, codzień po kropelce, i nie spostrzega się tego; dopiero po kampanii się czuje, ile się ich straciło — a wtedy nie dość jest jedną noc przespać spokojnie, trzeba na to całego tygodnia a czasem i więcej, ażeby odpocząć zupełnie i powrócić do dawnej rzeźwości. Byłem ja nieraz w tem położeniu — a kiedym z Algierji powrócił, to byłem chudy jak deska i takem się zmienił, że mnie nikt z moich znajomych nie poznał, a jeszcze w miesiąc potem czułem we wszystkich kościach zmęczenie.

— To wszystko dobrze, — rzekła pani Firlejowa, — ale on całą krew we mnie zamroził i będę miała noc niespokojną.

Tak rozmawiali ze sobą długo w noc, rozważając

wszystkie zmiany, jakie teraz w Zaklikowie będą musiały nastąpić.

Stary Firlej konjektur nie lubił a natomiast chętnie zawczasu kładł się do łóżka, zaczem wciąż ziewał a nawet kilka razy wstał, chcąc dać żonie do zrozumienia, że czas udać się na spoczynek.

Ale pani Firlejowa wcale o tem nie myślała, ziewanie męża ją niecierpliwiło, jakoż rzekła nareszcie:

— Mnie się wcale spać nie chce, jestem zanadto wzruszoną, pewnie przez całą noc oka nie zmrużę, zróbcież to dla mnie i mówmy dalej.

Frydruszowi także jakoś spać się nie chciało. Siedział jak przykuty do krzesła, niewiele się mięszał do konwersacyi, ale natomiast widać było po jego oczach i twarzy, że myśli mozolnie, chcąc wszystko przewidzieć, co to będzie, jak Zaklika obejmie na nowo zarząd w Zaklikowie a zarazem i władzę ojcowską. Tylko raz się odezwał, mówiąc:

— Że Ignasiowi nie pozwoli ożenić się z Florą, o tem niemasz wątpienia, ale trzeba jeszcze to zrobić, żeby go wyprawił na Żmudź

Na to zaś odpowiedziała mu matka.

W A ja wam powiadam, że te rzeczy całkiem inny obrót wezmą, niżeli wy się spodziewacie. Jeżeli Zaklika jest żywy, co mi się jeszcze zawsze nie może pomieścić w głowie, to tylko tyle że żywy, ale to jest już tylko trup chodzący, dawnej energii już nie ma, Ignas z nim zrobi co zechce a Flora mu do tego pomoże.

— Ale my także, — rzekł Frydrusz.

To jednak zniecierpliwiło Firleja.

Go wy sobie głowę nad tem łamiecie, co będzie! —

zawołał, — obaczmy, co zrobi, i postąpimy według okoliczności.

Wtem uderzyła godzina jedenasta na wieży pałacu. Firlej się zerwał i rzekł :

— A teraz ja już wam nie służę. Idźmy spać.

Pani Firlejowa wstała niechętnie i powiedziała:

— Jabyśmy przecie chciała wiedzieć, co się tam dzieje*

— Gdzie? — spytał Firlej zdziwiony.

— Jużci w gościnnych pokojach.

— Cóż ty chcesz wiedzieć? — zapytał ją Firlej zdziwiony.

— Chciałabym wiedzieć, czy Zaklika tam jest.

— Otóż-to koncept!— zawołał jej mąż, śmiejąc się głośno, — gdzieżby był? przecie nie uciekł z pałacu.

Pani Firlejowa nie odpowiedziała na tonie, ale wglę- bokiemy zamyśleniu i krokiem bardzo powolnym odeszła do swoich apartamentów.

Przyszedłszy do swojej sypialni, kazała się rozebrać. Kiedy panna ją rozbierała, mówiła pacierz półgłosem jak zwykle, ale była rostargnioną, pomyliła się kilka razy i musiała zaczynać na nowo. Nareszcie się położyła do łóżka, ale panny nie odprawiła. Kazała sobie jeszcze podawać i to i owo, zdawało się, jak gdyby jej nie było na rękę odprawić pannę i zostać sama w sypialni. Potem kazała jeszcze lampkę nocną poprawić i odesłała pannę, patrząc tęsknym wzrokiem za odchodzącą. Lampka była ciemno-czerwoną kłoszą nakryta, firanki i obicia w jej sypialni były także czerwone, stąd atmosfera zdawała się być ciężką i duszną: była ona do niej od dawna przyzwyczajoną, ale teraz to powietrze jej ciążyło na piersiach. O śnie ani pomyśleć nie

mogła W kącie bardzo obszernej sypialni, na wysokiej konsoli, stał biust Matki Boskiej z białego marmuru a przy nim klęcznik, na którym się nieraz wieczorami modliła* kiedy miała serce ściśnione. Teraz jej także ciężko było na sercu, ale teraz ten biust jakoś ją raził: zdawało jej się, jakoby z tego biustu wyglądała do niej biała twarz Zakliki Widzenie to przejęło ją niepokojem, zaczęła myśleć o Za- klice. Pytała się siebie: co to się stało dziś wieczór? — Kański się zjawił o samym zachodzie słońca, niewiedzieć skąd, nikt go zajeżdżającego nie widział, na jego przyjazd nie zadzwonił odźwierny, byłaby przecież dzwonek słyszała: byłże-to Kański? — O zmroku się zjawił Zaklika. także niewiedzieć skąd: byłże-to Zaklika? — Myślała nad tem i zadzwoniła na pannę.

Stara panna służąca wbiegła zaspana i ledwie na wpół ubrana.

— Ty, co wiesz wszystko, słyszałaś ty, jak Kański przyjechał ?

— Nie, pani, chyba że na folwark zjechał.

— A widziałaś ty, jak pan Zaklika przyjechał?

— Nie, pani.

— Ale wiesz przecie, że oni tu są.

— Nie, pani, tylko podczas obiadu w oficynie mówiono, że państwo biesiadują z duchami.

Firlejowa zamyśliła się nad tem i powiedziała po chwili:

— Idź sobie.

& po odejściu panny znowu nad tem myślała Jej wyobraźnia zaczęła grać i nasuwać jej osobliwsze rozumowania. Ten stary pałac, chociaż tyle razy go poświęcano, był zawsze siedliskiem duchów. Ten stary Tarło, Wojewoda

lubelski, co zginął zabity przez zdrajców w pojedynku z Poniatowskim, zjawia się regularnie co roku; głos jego, napominający swoich potomków, aby śmierć jego pomścili na Czartoryskich, ona sama nieraz słyszała. Kasztelanowa, jej babka, pokazuje się zawsze w dzień swojej śmierci w wielkiej sali pałacu a potem przechodzi trzy razy przez wszystkie pokoje. W wielkanocną Sobotę w pałacowej kaplicy zawsze dzwonek sam dzwoni na rezurekcję... Jakże Zaklika mógł do nich przyjechać, kiedy umarł i pochowano go w obecności tylu ludzi? To zły duch oczywiście przybrał na siebie postać Kańskiego i przyprowadził im widmo Zakliki, aby ich skusić do jakiegoś grzechu. A może zły duch tylko się na nich rnsi za to, że są tacy nabożni... Ona jest przekonana, że kiedy jutro rano się zbudzi, to po Zaklice i Kańskim ani śladu nie będzie, wszyscy się będą dziwić, jeżeli ona będzie utrzymywać, że ich widziała a może i jej mąż i Fryś nic o tem nie wiedzą i tylko jej się zdawało, że ich widzi. Ten mniemany Zaklika zresztą wcale nie wyglądał jak człowiek żywy, tam ani kropelki ciepłej krwi nie było widać pod skórą na jego twarzy. Na tę myśl mrowie ją przeszło tak silnie, że aż szcęknęła zębami, a potem jej się zrobiło tak gorąco,- że ledwie mogła oddechać. Zdawało się jej, że lada chwila Zaklika się zjawi przy jej łóżku i zacznie ją dusić. Zadzwoiła znowu na pannę.

— Daj mi pantofle i szlafrok i zapal poświęcany stoczek, co stoi przy ołtarzyku.

— Pani hrabinie niedobrze?

— A tobie dobrze? —[^] odpowiedziała jej Firlejowa a wzięwszy zapalony stoczek z jej ręki, dodała: — Zapal świecę i poświęć mi do pokojów pana hrabiego.,

Panna służąca była niezmiernie zdziwiona i spojrzała na nią z jakimś nieokreślonym uśmiechem, bo tu już od lat niepamiętnych nie było takich nocnych wędrówek: ale szła przed nią i świeciła jej przez kurytarze do sypialni Firleja,

Firlej miał swój apartament w drugim rogu pałacu, wchodziło się tam naprzód do przedpokoju a potem trzeba było przejść przez trzy pokoje, aby się dostać do jego sypialni. Pani Firlejowa zostawiła pannę w przedpokoju a dalej poszła sama ze stoczkiem w rękę: ale jakież było jej zdziwienie, kiedy zastała męża wprawdzie rozebranego i w łóżku, ale przy nim Frydrusza, który jeszcze całkiem ubrany siedział przy nim na krześle. Na widok męża i syna ochłonęła cokolwiek ze swojej trwogi, ale okoliczność ta, że i oni także jeszcze nie spali, utwierdziła ją w jej przekonaniu, że w ich pałacu dzieją się rzeczy niezwykle. Oba- czywszy żonę, wchodzącą ze stoczkiem w rękę, Firlej uśmiechnął się i rzekł:

— Cóż tam się dzieje? nie możesz, zasnąć, z wzruszenia?

Firlejowa zdmuchnęła stoczek, postawiła go na stole i odpowiedziała mu chmurno:

— A przecież wy także nie spicie.

— My naradzamy się nad tem, - rzecze jej Firlej, — w jaki ton mamy uderzyć jutro do Zakliki: czy postawić rzecz tak, jak gdyby się już samo przez się rozumiało, że Fryś żeni się z Genią? czy może będzie roztropniej stanąć na tym punkcie, na jakim stanęliśmy przed jego śmiercią, to jest, że oświadczenie jest zrobione, tylko on jeszcze nie dał odpowiedzi. Pomiędzy temi dwiema wersjami jest pe

wien odcień, bardzo nawet ważny, nad którym warto się zastanowić. Cóż ty mówisz na to?

— Właśnie też wy będziecie jutro widzieć Zaklikę! — zawołała na to Firlejowa.

— Jakto? — rzekł Firlej, — przecież spi w gościnnych pokojach i jutro rano przyjdzie na herbatę, bo taki rozkaz dałem marszałkowi. .Chyba że w nocy wyjechał?

— Nie wyjechał, tylko go tu wcale nie było.

— Jakto nie było? mówisz coś, czego nie rozumiem.

— Wszystko to tylko nam się tak zdawało.

Na to Fryś spojrzał na matkę takimi oczyma, jak gdyby oczekiwał od niej potwierdzenia czegoś, co sam przypuszczał, ale Firlej się wyprostował na łóżku, jak gdyby zdekoncertowany, i rzekł:

— Nic nie rozumiem.

A wtedy jego żona przystąpiła do niego i wyłożyła mu jasno i zrozumiale:

— Jakże? Kański zjawia się jak duch, niewiedzieć skąd. Zaklika przylatuje za nim o zmroku, także niewiedzieć skąd. Nie tłumaczą nam nic, siadamy zaraz do stołu, niewiedzieć dlaczego. Przy stole, Kański mówi coś szeptem, że go nawet nie słyhać. Zaklika siedzi bład jak trup i mówi głosem grobowym. Mnie to już uderzyło przy stole* bo mnie od nich zalatywał taki zapach trupi, że mi się a z niedobrze zrobiło. Jeszcze się obiad nie skończył — a oni już znikają. I wy wierzycie, że to byli istotnie Zaklika i Kański?

— Więc cóż było ? — zapytał mąż, patrząc jej w oczf z uśmiechem.

— A któż to wie? Wszystko to nam się tylko tak zdawało. Jakże ? Zaklika umiera, trzech doktorów konstatuje

jego śmierć, chowają go w obecności całego dworu, żandarmi pieczętują kaplicę — i Zaklika pomimo to żywy chodzi po świecie? Zastanówcie się przecież nad tem, czy ma to sens jaki? — A potem, gdyby nawet wstał z grobu i gdyby go wzięli, to jakżeż? Przecie wróble o tem śpiwają na dachach, że razem z Prandotą służył w powstaniu, — przecie dlatego Prandota uszedł z kraju, albo może także go wzięli: i wy wierzycie, że jego wypuścili z więzienia? czy słyszał kto kiedy coś takiego?

— Już ci to dziwna, — rzekł Firlej, namyślając się nad tem, -r- ale bogaty jest, mógł się wykupić.

— Wykupić? czem? — zawołała Firlejowa, — przecie umarły nie ma grosza przy sobie. A może go wypuścili na kredyt? zastanówcie się przecież, bo nie wiem zaprawdę, gdzie się wasze głowy podziały.

Firlej na to włożył okulary na nos i patrzył na nią, a potem rzekł seryo:

— Więc cóż? więc cóż to było?

— Go było? otrzymałeś list od jenerała i nabiłeś sobie głowę Zakliką. Potem nim nabiłeś głowę Frysiowi. A wreszcie i mnieście nim głowę nabili. Już nam się wszystkim zdawało, że go przed sobą widzimy. A potem zjawił się Kański, albo i nie Kański, ja nie wiem... Zgoła wszystko imaginacya, albo może złe duchy. Ale czy to, czy owo, ja się z wami zakładam o głowę, że Zakliki tu niema — a jak się jutro rano zbudzimy i zapytamy o niego, to ludzie nasi będą na nas oczy wytrzeszczać jak na wa- ryatów. Trzeba zaraz rano kazać mszę odprawić w kościółku i modlić się, bo źle z nami się dzieje...

Na to Firlej wstał z łóżka, zarzucił szlafrok na siebie i przeszedł się po pokoju, mrużąc sobie pod nosem:

głowy nabijają diabłami i oto jakie żony i spytał ją niecier-

— Xięża wam z tego są skutki:

Potem stanął naprzeciw pliwie:

— Jakżesz możesz mówić, że to nie był Zaklika, kiedy go się przecie dotykałaś własnymi rękami ?

— To wszystko nam się tylko tak zdawało. Ja jeszcze i jego psa całowała, kto wie, co to było za zwierzę... Aż mnie dreszcze przechodzą, kiedy o tem pomyślę.

— A ty, Fryś? — rzekł Firlej znów niecierpliwie, — bo siedzisz jak mruk, jak gdybyś i ty wierzył w te banialuki.

— Ja już powiedziałem ojcu, — odpowiedział mu Fryś, — że sam byłem pod oknami trupiarni i taki tam fetor uczułem, jaki tylko od gnijącego trupa się może rozchodzić.

— Jeszcze i ten mi tu ze swoim fetorem! — krzyknął Firlej na synaj — zamiast matkę uspokoić, żeby się jakie głupstwo nie stało, on jeszcze potwierdza te przywidzenia.

A Frydrusz na to:

— Przecież ojciec sam mówił mi dzisiaj, że imagina-

i

cya i przywidzenia często bardzo wielką rolę odgrywają w życiu człowieka.

— Ale nie taką! — zawołał Firlej, — i nie w takich okolicznościach. Przecieżemy go wszyscy widzieli, chociaż różne mamy imaginacye i różne rozумы. Wy z waszym duchem Zakliki przypominacie mi Fujarę, jak uciekał z pałacu przed duchem jenerała, co mi sam opowiadał swojego czasu...

Tymczasem Firlejowa przystąpiła do syna i spytała go ciekawie:

— Jaki-to fetor? bo ja i tutaj czuję jaknajwyraźniej jakiś zapach cmentarny, właśnie jak kiedy świece pogaszą po pogrzebie...

Wszyscy nosy podnieśli do góry, otworzyli nozdrza szeroko i zaczęli wąchać dokoła. I obracali się tak przez chwilę, patrząc na siebie i milcząc, bo rzeczywiście czuć było coś takiego, jak zapach świec woskowych i kościelnego kadzidła. Był to stoczek, napojony kadzidłem, który Firlejowa dopiero-co niedobrze zgasiła, ale o tem nikt nie pomyślał, Frydrusz rzekł:

— Ja rzeczywiście czuję zapach pogrzebowy w powietrzu.. .

— A ja nic nie czuję, — rzekł Firlej z uporem, chociaż wewnątrz się uczuł zachwianym, bo i on nie mógł zaprzeczyć, że coś tu pachnie niby kościołem.

— Pewnie masz katar, — rzekła Firlejowa z ironją a obróciwszy się do syna, spytała: — cóż to za fetor czuleś przy trupiarni?

Fryś opowiedział.

— Więc widzisz, — zawołała Firlejowa do męża, — cóż ty mi gadasz, że Zaklika chodzi po świecie? Masz tutaj dowód niezbity.

Firlej był zamyślony i mówił spokojnie:

— Ja materialistą nie jestem. Owszem, potępiam jego wszystkie nauki, bo poniżają godność człowieka. Ale to muszę przyznać, że te nauki także jakiś pożytek przyniosą* choćby ten tylko, że nas nauczą i namacalnie dowiodą, jako umarli nie mogą chodzić po świecie.

— Umarli nie chodzą po świecie, — rzekła na to

Zaklika. T. III.

p⁰TM

a

34

Firlejowa, — to dobrze, ale i ci także nie chodzą po świecie, co przywodzili powstaniu i dostali się do więzienia. Powiedz sam, czy możesz w to wierzyć? Ale powiedz także, czy ty wiesz całkiem na pewno, co się staje z duszą człowieka po śmierci?

Firlej uczuł się mocno skonfundowanym. On lubił życie spokojne i regularne i nigdy sobie głowy nie łamał nad temi rzeczami — a tu mu zadają takie pytania, co i najmędrzy filozof nie potrafiłby ich rozwiązać.

Jużci niema co mówić: pierwsze jest bardzo nieprawdopodobne, bo jakim sposobem on mógłby się wydobyć z więzienia? a co do drugiego, cóżkolwiekby, także-to kwestja jeszcze nierozstrzygniona, bo byli ludzie, zajmujący bardzo wysokie stanowiska w arystokracji, którzy zaręczyli słowem honoru, że dusze ludzkie widzieli. Nawet i on sam... ale chyba lepiej o tem nie mówić w tym razie. Tak rozmyśliwszy rzecz, rzekł do żony:

— Więc cóż tu robić? my tej zagadki teraz nie wyjaśnimy. Idźmyż więc spać — a jutro się przekonamy.

— Ja za nic w świecie sama spać u siebie nie będę, — odpowiedziała mu Firlejowa.

— Bagatela! — pomyślał sobie Firlej, — jeszcze tego mi brakowało...

Mocno tem zakłopotany, rzekł do żony:

— To ja ci mego łóżka odstąpię a sam się prześpię na kanapie.

Onby się był przespał nawet na kołku, byle tylko żona, za przewodem dawnych reminiscencyi, nie zaproponowała jakiej innej kombinacyi.

Ale ona jego łóżka nie przyjęła, tylko kazała pannie przynieść sobie kilka poduszek i położyła się spać w dru-

I

mm

gim pokoju na kanapie. Frydrusz, także tylko na wpół rozebrany, położył się w trzecim pokoju na sofie. Tak nareszcie zasnęli, ale zasnęli snem twardym i spali nazajutrz długo w dzień.

* *

Zaklika spał także jak kamień i zbudził się późno. Ale zbudziwszy się, uczył się rzeźwym i silnym i lekkim, jak w najlepszych dniach swojego życia. Jakoż kiedy zeszedł na dół na herbatę, to Firlejowie patrzali to na niego, to na siebie, z niemałym zdziwieniem, bo ten człowiek, którego oni wczoraj mieli za ducha, był dzisiaj żwawy jak młodzian, oko miał żywe i pełne blasku, cerę na twarzy jasną i świeżą, pod którą widocznie ciepła krew grała, a nad to wszystko był jeszcze w jaknajlepszym humorze. Wszyscy też zapomnieli o swoich przywidzeniach wczorajszej nocy i nawet unikali spotkać się wzrokiem ze sobą, bo byliby się tego dziciństwa wstydzili. Wszystkie duchy, które zawsze żyją tylko w nas samych, na widok słońca rozplywają się jak mgły i znikają bez śladu.

Ponieważ tak późno zasiedli do herbaty, więc jednocześnie kazano dać południowe śniadanie. Zaklika jadł za dwóch i opowiadał z humorem te rozmaite sceny więzienne, w których jak nigdzie indziej szatańska chytryść i złość mięsza się z nieprzebraną głupotą. Pani Firlejowa była już zupełnie uspokojoną i tak samo uradowaną z jego powrotu jak wczoraj, w chwili jego przyjazdu. Tylko jedna myśl ją niepokoiła — a to że Genia, dowiedziawszy się o zmartwychwstaniu ojca całkiem niespodziewanie, mogłaby zachorować. Trzebaby temu jakoś rozumnie zapobiedz — a to tem prędzej, ile że ona właśnie dziś ma tutaj przyjechać.

3*

Zaklika był Firlejowej bardzo wdzięczny za tę troskliwość, zaczem nad tem radzono. Jednak Firlejowa zaradziła temu najlepiej, bo się zdecydowała sama do Zaklika pojechać. Jakoż zaraz kazała sobie zaprzęgać, nie dokończyła nawet śniadania i wyjechała. Frydrusz także się do niej przyczepił, bo był jeszcze niespokojniejszy o Genię, niż ona.

Firlej z Zakliką, wstawszy od śniadania, przeszli na werandę na kawę i cygara — a Kański poszedł na folwark, ażeby oficjalistom Firleja dać wyjaśnienia co do zmartwychwstania Zakliki i niedorzecznym domysłem zapobiedz.

Firlej rozmawiał na werandzie z Zakliką. I on czuł się także ze swojej strony obowiązany uprzedzić go o gospodarstwie Ignasia i postępowaniu adwokata, bo były to rzeczy, nietylko przykre, ale dotyczące także jego honoru, co dla Firleja było zawsze rzeczą najważniejszą.

— O tem, co ten adwokat porobił, — odpowiedział mu na to Zaklika, — już mnie Kański uprzedził. Są to takie paskudztwa i brudy, jakich się po nim ąie spodziewałem, ale adwokat mnie mało obchodzi, bo mi jest obcy, tylko to mnie mocno zmartwiło, że Ignas na to pozwolił.

— Ignas, — rzekł Firlej, nie chcąc go czernić, ale mimo to prawdę mu powiedzieć, — Ignas zdaje się mieć bardzo niewiele własnej woli. Jak mi powiadano, zanadto ulega wpływom trzecich osób, chociaż widzi, że te osoby tylko z interesu swój wpływ wywierają na niego. Zaczął gospodarować prawie jak utracyusz, zjeżdżają się jacyś faciendarze do niego, którzy go oszukują, a inni nawet zabierają mu darmo takie rzeczy, którym znawcy wysoką wartość przyznają...

— Dziwiłoby mnie bardzo, — przerwał mu Zaklika, —

gdyby Ignasz się utracyszem okazał. W takim razie nie byłby synem swojego czasu, który właśnie przeciwnie odznacza się egoizmem. Ale i ja sam go pilnie śledziłem i uważałem, że jest raczej łakomym, swój interes zawsze doskonale rozumieć a nawet nie brak mu chętki, jeżeli można, cudzym kosztem go zaspakajać. Wszakże to, że adwokatowi pozwolił nie wypłacać tych wszystkich legatów, których prawomocność można podać w wątpliwość, także tak samo o nim świadczy. Chyba że Florze porobił jakie niepotrzebne prezenta, jak mi to Kański powiadał, ale to jest rzecz wyjątkowa, bo przecie wiesz, że nawet nieraz i ską- piec, który umierającemu z głodu odmówi jałmużny, da się pociągnąć⁴ kobiecie, która umiała wyrzucić urok na niego i chce z jego kieszeni korzystać. Ci ludzie dzisiejsi opłacają chętnie użycie, ale żeby co komu darmo dali, to wątpię...

— Może być, — rzecze Firlej, — ja z naocznego widzenia o tem cię zainformować nie mogę, bo u Ignasia byłem tylko raz po twoim pogrzebie. On mi wizyty nie oddał, więc nie chciałem mu się narzucać. Powtarzam tylko to, com słyszał od drugich. Słyszałem także, że się chce żenić z Florą. Ale i to może tylko plotka, bo są ludzie, jak Balcerowie, którzy nie przywiązują żadnego znaczenia do sakramentów. Cóżkolwiekby, w jednym razie i w drugim wielu przyjaciół dla siebie ochłodził a niektórych może na zawsze od siebie oddalił..

Uwaga ta nieprzyjemnie dotknęła Zaklikę. On sam wiedział dobrze, że postępowanie Ignasia w tyra względzie na surową zasługuje naganę, ale ojciec zawsze słyszy niechętnie, kiedy mu syna kto gani. Dostyc mu tego, że sam cierpi nad tem, przypominanie mu tego przez obcych tylko

jego cierpienie jeszcze zaostrza a w pewnym znaczeniu nawet go poniża. Zaklika uczuł tę uwagę tem żywiej, ile że Firlej, chociaż zapewne niechęć, zrobił ją w takim tonie, jak gdyby, według jego przekonania, postępowanie Ignasia uniemożliwiło nawet sąsiedzkie stosunki, nie mówiąc już wcale o innych. Wszelako nic mu nie odpowiedział, tylko widocznie ją sobie spamiętał.

Tymczasem Firlej rzekł:

— Chodzą takie rzeczy po ludziach, ale coś trzeba z tem zrobić. Daleki jestem od tego, ażebym chciał twoje zdanie przesądzać...

Ale tutaj Zaklika mu przerwał, mówiąc ze stanowczością człowieka, który wie, czego chce.

— Moje zdanie jest dawno wyrobione. Ja na małżeństwo Ignasia z Florą nigdy nie zezwolę. Przypatrzyłem się tej kobiecie... czy pannie bardzo zbliżona i nabyłem przekonania, że ona wcale nie jest stworzoną na żonę — a najmniej za żonę dla polskiego szlachcica, który musi żyć na wsi i stosować się do obyczajów w jego kraju powszechnie przyjętych. Ja takiego pozwolenia przeciwko memu przekonaniu nigdy nie wezmę na moje sumienie — a z mojem sumieniem, o tem wiesz dobrze, niemasz żadnych transakcyi. Ale Ignas niebawem dojdzie do pełnoletności — a wtedy znów ani moje sumienie, ani nawet istniejące prawa nie pozwolą mi sprzeciwiać się jego woli.

Tu Firlej z głębi piersi odetchnął i mówił dalej swobodnie i z pogodnym uśmiechem na twarzy:

— Ja się spodziewam, że Ignas da się powoli przekonać. W gruncie rzeczy to dobry chłopiec a nawet wcale rozsądny. Ta panna Flora, tak mnie się zdaje i moja żona także jest tego zdania, ma jakąś przeszłość za sobą, której

Ignas się nie domyśla. Gdybyśmy mogli przeszłość tę skonstatować i jemu ją udowodnić, to niemasz wątplenia, że Ignas, choć może z żalem, bo to zapewne jego pierwsza miłość, jednak dałby się wreszcie przekonać. Po toby trzeba do Genewy pojechać. Jaka szkoda, że nie masz Fujary, tenby to prędko wyśrodkował w Genewie...

— Ja o tej przeszłości także nie wątpię, — rzecze Zaklika, — "sama jej konwersacya jest mi na to dostatecznym dowodem. Ale ja tego dochodzić nie będę... tylko postąpię tak, jak ci powiadam.

— Ba dobrze, — przerwał mu Firlej, — ale jeżeli, doszedłszy do pełnoletności, uprze się przy swoim, cóż wtedy P

— Ja już i o tem myślałem. Wtedy go wyprawię na Żmudź i wypuszczę mu dobra Żmudzkie w dzierżawę Przecież nie może mnie zmusić do tego, abym mu za życia oddał który z moich majątków.

Więc Firlej był bardzo kontent i sam przyznał, że to jest daleko lepiej, że Zaklika zmartwychwstał. Zaczem był dobrej myśli i mówił:

— Ja jestem pewny, że przekonamy Ignasia Przecież to jest niepodobieństwo, ażeby nie zrozumiał, jakie ma obowiązki dla imienia swojej rodziny. Ja sam będę nad nim pracować w tym duchu a moja żona nam dopomoże. Tylko trzeba, abyś z tem nie zwlekał i jak tylko się przekonasz, że dobrowolnie od swego zamysłu nie odstąpi, nie czekał na pełnoletność i zaraz go wyprawiał na Żmudź.

— Obaczymy, — rzecze Zaklika, — i to się także stać może.

Poczem Firlej, teraz już całkiem dla niego ujęty, zaczął mówić o jego więzieniu. Zaklika był w dobrym humo-

rzc i opowiada! mu wszystko ze szczegółami: jak Fryga niestworzone rzeczy poplótł na śledztwie zaraz w grobowej kaplicy, jak on się zbudził z letargu, jak go natychmiast wzięto, jak sędzia śledczy był nadzwyczajnie grzecznym dla niego, jak mu pozwolił wziąć Muszkę ze sobą, jak sam siadł na wóz koło niego, jak usiłował jeszcze na wozie wydobyć z niego zeznania, jak potem stał się przecież wyrozumiałym a kiedy go do więzienia zamknięto, to już tylko o to chodziło, aby świadectwa, dowodzące jego alibi, przyszły jaknajprędzej z Rygi. Jednak trwało to długo, bo w Rydze książki tak dawne były w nieporządku i sędzia śledczy musiał sam jeździć do Rygi...

Firlej słuchał go bardzo ciekawie, ale ciekawość jego wciąż rosła, bo przecie jeszcze nie rozumiał wszystkiego, takóŜ rzekł z pewnem wahaniem:

— Nie chcę być niedyskretnym, ale pomiędzy nami mówiąc, papiery z Rygi, to dobrze... Ale te papiery nie miały przecieŜ brzęczącej wartości a bez tego trudno uwierzyć, ażebyś twoje alibi całkiem skutecznie wyjaśnił w przeciągu dwóch miesięcy. Musiałeś obciążyć majątek...

— OtóŜ nie, — odpowiedział mu Zaklika, patrząc mu w twarz śmiejącymi się oczyma.

— W takim razie dokazałeś cudu, — rzekł na to Firlej, — jakiego jeszcze nigdy nikt nie dokazał.

Tutaj Zaklika nie chcąc zapewne, ażeby Firlej rozumiał, że on swoim uwolnieniem się z więzienia uszczuplił dzieciom majątku, patrzył mu jeszcze przez chwilę w twarz a potem rzekł:

— Słuchaj, Firlej, my w różnych kwestjach podrzędnego znaczenia nie zgadzamy się z sobą, ale w kwestyach sumienia i moralności jesteŝmy zupełnie zgodni. Ja mam

takie zaufanie do twego uczucia honoru, że jestem przekonany, że gdyby cię pieczono na różnie, tobyś nie wydał sekretu, który ci powierzono na twoje słowo. Otóż ci powiem, com zrobił.

A tutaj opowiedział mu historię o czeku, który miał zaszyty we fraku.

Firlej, choć do uniesień nie skłonny, uderzył na to w ręce przed sobą i zawołał:

— Niby-to rozum ludzki — a to przecie cud Boży. Więc gdyby cię przypadkiem nie byli pochowali w tym fraku, to byłbyś się nigdy z więzienia nie wydobył?

— Nie. Bo mój testament już wtedy był otworzony, stan mego majątku wiadomy, chcąc wydawać moje obligi, trzeba było użyć trzech osób do tego: zgoła wszystko to było niemożliwe...

— Teraz rozumiem, — rzekł Firlej, — w najlepszym razie, choćby nawet dowodów przeciwko tobie nie było; tylko samo podejrzenie, byliby cię drogą administracyjną wysłali na Sybir. Niepojęte-to rzeczy... Wiesz, my, którzy długo żyjemy na świecie i przypatrujemy się z uwagą rozmaitym kolejom ludzkiego życia, przychodzimy coraz więcej do przekonania, że cała filozofia praktyczna, cały nasz świecki katechizm zamyka się w tych słowach: Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. A przecież od czasu do czasu zdarza się coś przed naszymi oczyma, coś jakby jakaś rosterka w powietrzu a w tej rosterce pokazuje się palec Boży, właśnie jak ten Bóg, który Mojżeszowi objawił się w krzu a który nas napomina, że za niektóre nasze uczynki jest kara albo nagroda już tutaj na ziemi.

— Tak, — odpowiedział mu Zaklika, — jest coś, czego nie możemy ująć naszymi zmysłami, ale to coś jest

w nas samych a nie po za nami. Ja od czasu, kiedy doszedł do pełnoletności i objąłem zarząd mego majątku, miałem myśl, że w naszym położeniu, kto tylko może, powinien mieć trochę pieniędzy za granicą. Ta myśl trapiła mnie bezustannie jak zmora a od chwili, jakem się ożenił, już nie mogłem się jej pozbyć, aż pókim jej nie wykonał.

— Tę myśl — rzekł Firlej — miało u nas wielu innych ludzi, zwłaszcza z arystokracji, i wyszła wszystkim na dobre, ale dla ciebie się stała zbawieniem. Ale cóż się stało z Frygą?

Na to pytanie Zaklika spuścił głowę ku ziemi i rzekł:

— Nie wiem, bom go ani razu nie widział. Ale obawiam się, że go już nigdy nie obaczymy.

— I ja tak sędzę, — powiedział Firlej, — ale sam sobie winien...

A wtem pani Firlejowa zajechała z wielkim hukiem i trzaskiem przed ganek i Genię ze sobą przywiozła. Zaklika i Firlej zerwali się z krzeseł i wybiegli naprzeciw nim. Genia przybiegła pędem ku ojcu i rzuciła mu się w ramiona. Zaklika był głęboko wzruszony i łzy mu się zakręciły w oczach, -r- Genia była raczej tylko zmięszana, ścisnęła ojca za rękę i miała jakiś uśmiech konwencyonalny, zimny, nic nie mówiący, jakim damy, które się popołudniu widziały, witają się wieczór ze sobą w teatrze albo w salonie. W tej dziewczynie ani krzty serca nie było. Spostrzegł to ojciec i bez wątpienia wewnątrz nad tem zabołał, — ale nie było to dla niego nowiną: on wiedział od dawna, że jego dzieci są jemu obce, dzieliła je od niego cała ta przepaść bezdenna, w której utonął świat jego młodości, świat ciepłych uczuć, wzniosłych ideałów i nieprzepartych

nadziei, a którą od lat kilkunastu zaczęła pokrywać roślinność całkiem innej natury.

Pomimo to Zaklika siadł z córką w kącie werandy i zaczął ją wypytywać o wszystko, co się działo w Zaklikowie podczas jego nieobecności.

Genia odpowiadała mu zrazu z jaknajwiększą rezerwą, nadając swoim odpowiedziom formy pełne przyzwoitości i oględności nawet dla brata, chociaż z jego powodu tak wiele cierpiała.

Zaklika, zawsze skłonny do optymizmu, tłumaczył to sobie na jej korzyść: siostra nie chce oskarżać brata przed ojcem, w tem oczywiście niemasz nic złego. Ale przecież go to niecierpliwiło, więc na nią naciskał, mówiąc:

— Nie potrzebujesz z tych rzeczy przedemną robić sekretu. Jabym się tylko chciał za twoją pomocą domyśleć, jaki jest stosunek Ignasia do Flory, bo tego się nie mogłem dowiedzieć ani od Kańskiego, który tam nie był, ani od państwa Firlejów. “

— Ja nie wiem, — odpowiedziała mu Genia, spuszczać oczy ku ziemi.

— Ale cóż myślisz? on oczywiście ma zamiar z nią się ożenić?

— Zapewne, tylko dotychczas im przeszkadzała żałoba*

— A teraz im co innego przeszkodzi, — rzekł półgłosem Zaklika i dodał głośniejszym, — cóż ty o tem małżeństwie rozumiesz?

Słowa ojca, jako jest temu małżeństwu przeciwny, wpoily w nią trochę więcej ufności, zaczęła odpowiadać:

— Mnie się zdaje, że to małżeństwo było i dawniej niedorzecznością, — a teraz się stało nawet kompromitującem ...

— Dlaczegoż to?

— Bo Flora nie uważa na siebie — a złych języków nigdy nie braknie-

Zaklika jeszcze z tych półsłówek nie dowiedział się tego, o co mu właściwie chodziło, ale też takiej informacji nie mógł się spodziewać od Geni. Poczem jeszcze ją spytał:

— A czyś ty mu nie zrobiła uwagi, że taki rodzaj konkutowania o żonę jest kompromitującym?

— Próbowałam z początku, ale potem musiałam umilknąć...

— Dlaczegoż?

— Bo on ma teraz charakter taki despotyczny, że żadnych uwag nie znosi.

— On, despotyczny charakter? — rzekł Zaklika, — to jest dla mnie rzecz całkiem nowa.

— Bardzo despotyczny, — dodała Genia, — a potem i Flora tak mnie traktuje, jak gdyby jakąś sierotę, która mieszka na łasce u brata.

A to mówiąc, chusteczką łzy z oczu otarła.

To wzruszyło Zaklikę. Ścisnął ją za rękę i rzekł:

— Uspokój się. Zrobimy my w Zaklikowie z temi rzeczami porządek.

Poczem zbliżyli się do Firlejów i rozmawiali jeszcze jakiś czas razem, — aż niebawem zmrok zapadł i dano znać do obiadu.

Przy obiedzie Zaklika był pełen żartów i jak najlepszego humoru, ale pod koniec obiadu, — była wtedy może godzina ósma albo małego więcej, — jego dobry humor zaczął się wyczerpywać, mówił coraz mniej, zaczął coraz częściej blednąć na twarzy, przyczem od czasu do czasu zamykał oczy i zdawało się, jak gdyby go senność

zbierała. A kiedy dano wety, on był już w takim samym stanie jak wczoraj: blady jak trup, prawie bez krwi pod cerą na twarzy, coraz częściej zamykał oczy i opierał się o tył krzesła, jak gdyby nie mógł o własnych siłach do- siedzieć.

Pani Firlejowa się znowu zaniepokoiła — a Genia była przerażoną. Mówiono ciszej, jak się mówi przy chorym, ale nie mówiono o nim, bo on nie spał, często oczy otwierał i coś powiedział, tylko jego głos był suchy, bez dźwięku i jak gdyby chropawy. Wszyscy byli tem niezmiernie zakłopotani. Zaklika to spostrzegł, otrząsł się ze snu i rzekł:

— Przepraszam was, ale nie mam siły zwalczyć tę senność. W więzieniu szedłem codziennie spać o zmroku, przyzwyczailem się do tego, a teraz trzeba mi będzie zapewne pare tygodni, abym się odzwyczaił.

Zaczem wstano jaknajprędzej od stołu. Zaklika wstał o własnych siłach, przeszedł z wszystkimi do saloniku, pił kawę, palił papierosy i mówił z wszystkimi, ale mówił mało i z widoczną trudnością. Zaczem Kański wziął go pod ramię i wyprowadził tak samo jak wczoraj do gościnnych pokojów.

Firlejowie z Genią jeszcze długo siedzieli w saloniku i rozmawiali o nim. Nie było już tych przywidzeń co wczoraj, ale wielkie zaniepokojenie. Pani Firlejowa, zawsze pełna przesądów, mówiła:

— Przyznam się wam, że nie wiem, co to jest, ale mnie to przeraża. Jużci jest żywy, bośmy go przez cały dzień widzieli, ale wygląda tak, jak gdyby kto jaki urok rzucił na niego.

. Ale stary Firlej nie szukał wyjaśnienia tej zagadki w przesądach i odpowiadał jej:

— Ja znajduję, że to rzecz naturalna. Kto przeszedł przez trumnę i przez więzienie, kto z trumny zmartwychwstał i zmartwychwstał z więzienia, ten powinien dziękować Bogu, jeżeli w dzień stoi na nogach. Jest to poprostu zmęczenie, które z czasem minie.

— Obaczymy, czy jutro będzie znowu tak rzeźwy* jak dzisiaj, — powiedziała Firlejowa, — ja się obawiam o niego...

Ale kiedy, nazajutrz rano, Zaklika zeszedł na herbatę* to znowu nie było na nim ani śladu zmęczenia, owszem* był jeszcze daleko rzeźwiejszym niż dnia wczorajszego, pełen zdrowia i siły a nawet z tak pogodnym uśmiechem na twarzy, jak gdyby był najszczęśliwszym z ludzi.

Jakoż kiedy po herbacie zasiadł do rozmowy z Firlejem sam na sam, ile że go teraz już z nim wiązały poufne zwierzenia, powiedział mu całkiem otwarcie:

— Wiesz, przyznam ci się, że rozważywszy wszystko dokładnie, jestem bardzo kontent z tego, co się stało. Bo między nami mówiąc, bardzo ciężki kamień spadł mi z serca.

Jestem dzisiaj w daleko szczęśliwszem położeniu, niżeli byłem przez te lat kilkanaście od chwili, kiedym zaczął gospodarować w Zaklikowie. Jużci wiedziałem, co na mnie ciąży a przeto nie mogłem o tem zapominać ani na chwilę* że ktoś kiedyś może mnie zdradzić. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczai. Wiemy o tem, że śmierć w sobie nosimy, a przecież ta myśl wiele nam nie przeszkadza żyć wesoło i tak się zapatrywać na życie, jak gdybyśmy byli nieśmiertelni. Ale widzieć ciągle szubienicę przed sobą, a co najmniej katorżne roboty na całe życie, przypominać sobie codzień, co godzina, że może już jutro mi stryczek założą na szyję, albo gnić zacząć żywcem w podziemiach, kłaść

się spać co wieczora z tem uczuciem, że nie wiem, gdzie jutro się zbudzę: wierz mi, że do tego nikt się nie przyzwyczai, bo śmierć jest naturalną koniecznością, nałożoną na nas przez wyższą potęgę, przed którą wszyscy się uginamy, a oswojenie się z gwałtem, który nas spotkać może od ludzi, nie leży w naturze człowieka. Owóż teraz już ta zmora zniknęła i więcej mnie dusić nie będzie — i tak się spodziewam, że te lat kilka lub kilkanaście, które mi jeszcze pozostają do życia, będę mógł przeżyć w spokoju.

Firlej zupełnie wchodził w myśl jego i rzekł z współczuciem :

— Ja ciebie całkiem rozumiem i wierz mi, że wczoraj wieczór to samo powiadałem mojej żonie i dzieciom.

Zaklika mówił dalej:

— W spokoju i w szczęściu: bo czegoż mnie do szczęścia potrzeba? Oto abym miał czem głód zaspokoić, abym miał choćby tylko jednego konia w stajni, na którym mógłbym w pole wyjechać, abym miał kilka groszy w kalecie i mógł od czasu do czasu wybiedz z tego wielkiego więzienia i zaczerpnąć europejskiego powietrza — a do tego kilka gazet i książek, ot! i cała moja szczęśliwość na ziemi. Na to nareszcie i jeden folwark wystarczy. A dzieci moje także się tak jakoś pomieszczą na świecie, że nie będę miał z nimi zgryzoty. Ignaś trochę mnie niepokoi, ale na to znajdzie się rada...

— Nie bierz tego zbyt lekko> — powiedział mu Firlej bardzo rozumnie. — Przebacz mi, jeżeli ci powiem otwarcie, że on i mnie niepokoi. On nie ma zasad: jest to skutek tych nowoczesnych szkół bezwyznaniowych, z których wykluczono religję a nie zastąpiono jej żadnym innym katechizmem, zawierającym jakieś prawa moralne. W na

szych szkołach wojskowych także lekceważono religję, ale wpajano w nas uczucie honoru: nie było to wszystko, ale zawsze coś, co stało na straży naszych uczynków przez całe życie. W dzisiejszych szkołach jest bardzo dużo nauki, ale niema żadnego regulatora dla serca i sumienia. Prócz tego Ignas wpadł tutaj w bardzo złe towarzystwo — a może być, że się zarazem w nim obudziły namiętności. Z tem trzeba postępować bardzo ostrożnie i ile możności przewidująco ...

Zaklika słuchał go w roztargnieniu, ale nie dlatego, ażeby go jego uwagi nudziły, tylko z tego powodu, że już była jedenasta godzina a Ignasia jeszcze nie było.

— Przecież wieść, że powrócił, — rzekł Zaklika, patrząc na zegar, — musiała już dojść do Zaklikowa — a jego jeszcze tu niema. To mi się nie podoba.

I odtąd już ciągle był roztargniony a we wszystkim, co mówił, przebijała się niecierpliwość.

Po śniadaniu rozmawiał z Kańskim na stronie.

— Cóż ty rozumiesz? — rzekł do niego, — przecież wieść o moim powrocie musiała się już donieść do Zaklikowa?

— Jakżeż? — odpowiedział mu Kański, — przecież jeszcze wczoraj przed wieczorem posyłałem po bieliznę i suknie dla pana.

— Więc cóż się dzieje z Ignasiem?

. u — Tam musi być rewolucja, — rzekł Kański, — w Zaklikowie i na Balcerówce.

Powywracali wszystko do góry nogami, teraz, kiedy się dowiedzieli, że pan powraca, czasu im nie wystarcza, ażeby choć jakikolwiek porządek przywrócić.

— Ba dobrze. Ale przecież ojciec, co z grobu po

wraca, to rzecz daleko ważniejsza, niżeli gospodarskie porządki.

Zaklika czekał jeszcze godzinę — a kiedy Ignasia nie było, wysłał Kańskiego do Zaklikowa.

A potem czekał jeszcze godzinę i jeszcze godzinę, — Kański już dawno do Zaklikowa dojechał, — Ignas do- bremi końmi, których w Zaklikowie nie brakło, mógł już na jego wiadomość przyjechać, — Zaklika takby był rad, gdyby jego syn do niego ' przyjechał, choćby go Kański gwałtem był do Firlejowa wyprawił: ale Ignasia nie było.

Zaczem kazał powozowi zajechać, wziął Genię ze sobą i z nią powrócił do domu.

XVI.

Kiedy Zaklika z córką zajechał w Zaklikowie przed pałac, syn jego stał w ganku, na jego widok zbiegł dosyć spiesznie ze schodów, pomógł mu bardzo grzecznie do wy- siadzenia z powozu a potem go przycisnął do piersi i pocałował go w ramie. Wszystko to odbyło się bardzo ładnie i przyzwoicie, ale nie tak, jak się odbyć było powinno w takim wypadku, gdzie syn wita swojego ojca powracającego z tamtego świata. Zaklika to uczuł, ale nie dał poznać po sobie, owszem miał twarz uśmiechniętą, wziął syna za obydwie ramiona a przypatrzywszy mu się, rzekł głosem pełnym słodyczy:

— Doskonale wyglądasz. Zmężniałeś, zdrowie tryska ci z twarzy i widać po tobie, że już męskiego wieku dosięgasz.

— Ale i papa doskonale wygląda.

Zaklika. T. III.

— Nie męczono mnie, nie głodzono, nie duszono w podziemiach a od tego jest hart duszy, ażeby się nie dać strawić cierpieniom. Ale kiedyżeś ty się dowiedział, że wróciłem ?

— Dopiero Kański mi o tym powiedział. Ale kiedy Kański przyjechał, nie było mnie w domu — a kiedy wróciłem i wiadomość otrzymałem, kazałem zaraz zaprzęgać i byłem właśnie na wsiadaniu, kiedy papa nadjechał.

— Ale podobno Kański przysłał tutaj wczoraj posłańca po rzeczy?

— Przysłał — i do mnie także się doniosła ta wiadomość, ale przyznam się papie, że na żaden sposób jej nie mogłem uwierzyć...

Wszystko to była nieprawda. Jego wczoraj wcale w Zaklikowie nie było. Był na Balcerówce i dopiero nad ranem powrócił. Położył się spać, nie widziawszy nikogo, spał długo — a kiedy się dziś przed południem od starszego pisarza dowiedział, że jego ojciec jest u Firlejów i przy- słał po rzeczy, był jakby ścięty i wcale nie wiedział, co by miał zrobić. Dopiero jak Kański przyjechał, otrzeźwiał o tyle, że posłał list do Flory z tą wiadomością i z prośbą, aby dzisiaj nie przyjeżdżała — a sam błąkał się po pokojach przez całą godzinę, jak głupi.

Jechać do Firlejowa, ażeby ojcu rzucić się do nóg, o tem wcale nie myślał: powrót ojca był według jego uczucia największym nieszczęściem, jakie mogło go spotkać — a nikt nieszczęścia nie wita z radością: tylko po jakimś namyśle przyszedł mu koncept nieszczerzy, jaki zawsze przychodzi ludziom, co na złą drogę wstąpili, i kazał zaprzędz konie do swego powozu, żeby na każdy wypadek mógł powiedzieć, że już był na wyjeździe.

Ojcu ta wymówka zdawała się także zmyśloną, ale postępując równie rozumnie jak zacie, udał że wierzy, owszem chcąc go od razu sprowadzić z drogi nieszczęsnych wymówek i naprowadzić na drogę szczerości i prawdy, rzekł dobroduszenie:

— Powiadano mi, żeś tu w niektórych rzeczach po- gospodarował niecałkiem rozważnie i nie w tym duchu, w jakim nieboszczyk generał i ja prowadziliśmy nasze rządy w Zaklikowie. Ale nie myśl, żebym się za to gniewał na ciebie i pociągał cię do jakiegokolwiek odpowiedzialności. Byłeś przekonany, że ja nie żyję, byłeś panem u siebie, miałeś zupełne prawo postępować wedle twej woli — a je- zeliś się, jako jeszcze niedoświadczony, w czym pomylił, tożto będzie zapewne niewielka szkoda, która się też z łatwością da naprawić...

Zaklika to mówił z szczerego serca, ale jego ostatnie słowa dotknęły Ignasia tak nieprzyjemnie, że mu się usta wykrzywiły i spuścił oczy ku ziemi. Go on tu myśli naprawiać? — mówił do siebie, —• na to na żaden sposób pozwolić nie mogę, zresztą nawet nie ma prawa do tego... Zdawało się, że w pewnych rzeczach był gotów stanąć w opozycji przeciwko ojcu, ale tymczasem udawał dalej myśl swobodną i czyste sumienie.

Już wtedy zmierzch zapadł. Zaklika ze świecą w ręku przeszedł przez wszystkie pokoje, coś spostrzegł, czegoś nie widział, doszedł do swojej sypialni, zawołał jednego lokaja, który z jego dawnej służby pozostał, kazał swoją sypialnię uporządkować jak dawniej — a potem dano do obiadu.

Przy stole, przy którym siedzieli guwernantka Geni i Kański, mówiono o rzeczach obojętnych. Zaklika wypy-

4*

tywał się o Prandotę i o Fajarę i o niektórych sąsiadów i zajmował się Muszką, która widocznie była niezmiernie uradowana, że znowu siedzi przy tym samym stole, gdzie dawniej jadała takie doskonale wątróbki, i była pełna psich komplementów dla swego pana. Zaklikę daleko więcej bawiła Muszka, niż jego dzieci, bo chociaż niema, była daleko wymowniejszą od dzieci, którym słowa marzły na ustach: ale pod koniec obiadu znów senność zaczęła go zbierać jak zwykle, twarz mu się zmieniła, zaczął pozie- wać i oczy przymykać, od chwili do chwili usiłował otrząść się z tej senności, ale widocznie nie mógł jej zwalczyć a wtedy opierał się o tył krzesła i całkiem oczy zamykał, zupełnie tak jak wczoraj u Firlejów.

Genia tłumaczyła swojej guwernantce półgłosem, co to jest: ale Ignasz się tym widokiem przestraszył, który istotnie był przykrym, i pytał Kańskiego wzrokiem, co to ma znaczyć. Kański zaczął, aż Zaklika całkiem zaśnie a potem odpowiedział Ignasiowi szeptem:

— To nic. Jego zawsze o tej samej godzinie, o której spadł z konia i stracił przytomność, taki sen zbiera. Radziliśmy się o to doktorów, powiedzieli nam: że jest to objaw patologiczny, fizyologom dobrze znany, ale dotychczas niewytłumaczony. Jest to tak jak zimnica, co regularnie o pewnej godzinie powraca, ale niewiedzieć dlaczego. Doktorowie są zdania, że na to niema lekarstwa, ale nawet i nie trzeba, bo to z czasem mija.

— Właśnie też niema, — odpowiedział mu Ignasz, — w Paryżu jest lekarz, bardzo sławny, tylko nie pamiętam jak się nazywa, co ma nawet klinikę dla takich chorób i leczy je tak na pewno, jak jakąkolwiek inną gorączkę..:

Ignasiowi, który od chwili przyjazdu Kańskiego czuł

się wyrzuconym z majątku i startym na proch we wszystkich swoich nadziejach, zapewne w tej chwili zabłysnęła myśl, że może będzie można wyprawić ojca do Paryża: ale wtem Zaklika znowu się otrząsł, wstał z krzesła, pocałował każde ze swoich dzieci w czoło, powiedział im dobranoc i wyszedł z Kańskim do swojej sypialni.

Genia, uszczęśliwiona tą myślą, że przecież będzie mogła znowu spać spokojnie u siebie, odeszła do swego apartamentu — a Ignas wyleciał w dziedziniec, dopadł pierwszego lepszego konia i popędził na Balcerówkę.

Zaklika spał długo, ale nazajutrz wstał zdrow i rze- żywy jak zwykle — a jak się tylko ubrał, kazał Kańskiego zawołać.

Kański już czekał w bibliotece i wszedł zaraz do jego gabinetu, witając go z twarzą wesołą. Ponieważ to nie był jego humor zwyczajny, więc Zaklika się uśmiechnął do niego i rzekł:

— Góżeśtam znalazł w naszym gospodarstwie? pewnie tak wszystko przewracano do góry nogami, że chociaż szkoda i chociaż ci “serce pęka, śmiech cię zbiera”.

Kański się ciągle uśmiechał i odpowiedział mu:

— Jużci przewracali, ale nie tak, jak ludzie o tem gadali. To wszystko plotki. Ten pan Ignacy nas wszystkich oszukał. Ci ludzie, co tu u niego bywali, to ani koniarze, ani facyendarze, tylko szlachta okoliczna, którą

* na zapraszał i poił — a przytem tak ją poorzynał, że człek to widzi a przecie nie może uwierzyć...

— Nigdy temu nie wierzył, żeby Ignas był utra- cyuszem: cóż tedy robił?

— Oto naprzód, — powiadał Kański, sam temi rze-

czarni nadzwyczajnie zajęty* — ten ogier, co o nim powiedziano, że to jakaś angielska wywłoka, to panie jest Róbin~son, ten sam, co go panowie Zamoyscy sprowadzili byli z Anglii za trzy tysiące fantów angielskich. Szedł potem jako stadnik za coraz niższą cenę po rękach, ale jeszcze przeszłego roku, kiedy był u pana Godziemby, pan sam mi powiadał: Nie lubię takich wydatków, ale gdyby mi go dali za pięć tysięcy rubli, tobym go wziął z pocałowaniem ręki. Otóż pan Gódziemba umarł, majątek po nim wziął jego siostrzeniec — a pan Ignacy wziął temu siostrzeńcowi Robinsona za takie dwie szkapy, co ani jego ogona nie warte.

Zaklika się śmiał i pytał:

— Cóż dalej?

— A dalej, panie, wziął temu samemu szlachcicowi dwie klacze angielskie, trochę wychudzone, to prawda, ale jeszcze młode i zbudowane jak wieże maryackie, prawdziwe matki, co u nas ich na wagę złota nie dostanie — i dał mu za nie podjezdka, jednego z tych chmyzów, cośmy ich jeszcze w lecie wybrakowali na sprzedaż.

— Cóż jeszcze?

— A potem ten kocz angielski, co panowie i panie jadą na nim na dachu, to wprawdzie landara nie dla nas, ani nawet na nasze drogi, ale to kocz nowiuteńki jak z igły i wszystko tam kute jak gdyby z żelaza a takie gładkie jak porcelana: otóż on dał szlachcicowi za niego — stary mundur jeneralski...

Tu Zaklika głośnym śmiechem wybuchnął a Kański dodał:

— A kiedy mu starszy pisarz, co jest sam skórka na buty, bo i przeciw mnie uknuł kabałę, zrobił uwagę, że

może się to przecież nie godzi, to on mu odpowiedział: — Co pan się mieszasz w te rzeczy! Kiedy on taki głupi, że kupuje patriotyczne pamiątki, to niech za nie płaci.

— Otóż-to taka ta młodzież dzisiejsza, — rzekł na to Zaklika, — niby-to głupi, niby wszystko mu obojętne, ale jak się nie dopilnujesz, to cię orznie jak kota w worze — i naturalnie, jeszcze się potem wyśmieje. Cóż jeszcze więcej porobił?

— Powyprzedawał wszystkie zapasy, — mówił dalej Kański, — wszystkie te bydłeta, cośmy je raczej z łaski, niż dla pożytku żywili, ale wszystko po dobrych cenach. Tylko pannie Balcerównie darował powozik i parę koników a podobno posłał jej także pare mebelków z pałacu...

— To tam mniejsza, — rzecze Zaklika, — toby każdy z nas zrobił na jego miejscu. A przecież i ty swego czasu darowałeś zegarek z łańcuszkiem twojej Niemce, kiedyś się w niej zakochał. Ale cóż on tam jeszcze poprzewracał tutaj i po folwarkach?

— Jeszczem się nie rozejrzał we wszystkim, — odpowiedział mu Kański, — jeno, jak slysze, za przewodem młodego Balcerka, który był jego doradcą we wszystkim, pogospodarował tu po tatarsku. Poodprawiał wszystkich pisarzy i praktykantów, ze starych sług nie zostawił prawie nikogo — a kiedy się z nimi obrachowywał, to każdemu coś urwał. Naszych starych ekonomów także poodprawiał a niektórych z nich pograbił i pozabierał im ich ubogie in- wentarzyki a nawet i sprzęty. Zaś na ich miejsca Balcerka poosadzał swoich przyjaciół, podobno samą hołotę..

— Otóż to jest rzecz brzydka, — przerwał mu Zaklika, — bo można być chciwym i skąpym, lecz mimo to jeszcze uczciwym człowiekiem, ale kto jest niewdzięcznym,

nielitościwym i nie ma względu na ludzkie nieszczęścia, ten zdradza brzydki charakter.

Kański milczał. Zaklika mówił dalej:

— Tobie i felczerowi wypłaty legatów zaprzeczył, Fujarę pewnie także z lada czem puścił na tułaczkę po świecie, czyż przynajmniej powypłacał te drobne legata tym biednym ludziom, których spis przyłączyłem do mego testamentu?

— Podobno coś dał staremu Nurkowi, — rzekł Kański, — ale zresztą nikomu ani złamanego szeląga. Niektórzy ubodzy ludzie dowiedzieli się o tem, że pan im porobił zapisy i przyszli upomnieć się o nie u starszego pisarza; pisarz zażądał dyspozycyi od niego, ale on mu odpowiedział: — To tam fantazyje ojcowskie! Właśnie też ja będę żywił mojemi pieniędzmi te niedołęgi, które tylko innym ludziom zawadzają na świecie. Nic nie dam nikomu — a jeśli który niekontent, to niech mnie procesuje. Przecie żadnego z nich nie stać na koszta procesu..

Tu Zaklice przeciągnęła się twarz i gniew się na niej wyraził, jakoż rzekł do Kańskiego:

— Kiszki mi się przewracają na takie obrzydliwości: Otóż ja tobie powiadam, że ja powypłacam wszystkie legaty, chociaż nie jestem do tego obowiązany, bo jestem żywy a testament ma walor dopiero po mojej śmierci — i zrobię mu tę przyjemność, że będzie widział na własne oczy, jak je wypłacam...

A potem dodał:

— W tem wszystkim mam tylko tę pociechę, że go będę mógł spokojnie wyprawić na Żmudź, bo teraz już jestem pewny, że majątku nie straci. Ale i tam go oddam pod dozór, bo nigdy na to nie pozwolę, ażeby w mojej

rodzinie działały się takie paskudztwa. Niech oni sobie po mojej śmierci swój świat urządzają jak zechcą, ale dopóki ja żyję, tak będzie jak było za moich ojców i dziadów. Chodźmyż teraz na folwark, ażeby ten nowy świat zbliska obaczyć...

I wyszedł z Kańskim na folwark.

Ale przeszedł tylko dość szybkim krokiem przez obory i stajnie, rzucił okiem na wszystko, nie zatrzymywał się nigdzie, tylko konie pilniej oglądał, bo miał inne, pilniejsze myśli na głowie. Zaczem rzekł do Kańskiego:

— Zróbże sobie pomału inwentarz tego wszystkiego, co nam pan Ignacy zostawił, ażebyśmy przecie wiedzieli, co mamy. Staraj się przytem dowiedzieć, gdzie są nasi pisarze, praktykanci i ekonomowie, abyśmy mogli tych biedaków posprowadzać i znowu przytulić do siebie. A ja tymczasem pójdę na probostwo, bo trzeba mi przedewszystkiem Prandotę odpytać...

I poszedł.

Wikary Prandoty był to człowiek już w pewnym wieku, nie mógł się sam dochrapać probostwa, bo także coś za młodu przeszkrobał, podobno nawet tułał się przez kilka lat za granicą, bo mówił nieraz o Paryżu i Rzymie jak o Lublinie i Sandomierzu, ale Prandota go przytulił u siebie i dobrze mu było u niego. Zaklika także go lubił, rad z nim rozmawiał i nieraz, choć nie był o to proszony, wsunął mu kilkanaście rubli na szpitalik, pozostający pod jego opieką. Teraz wikary stał w bramie probostwa — a lubo był obcy Zaklice, rzucił mu się na szyję, przycisnął go do piersi, pocałował go w ramie i zawołał wesoło:

— Ja już wczoraj wieczór sam byłem we dworze, aby

się przekonać, czy pan rzeczywiście powrócił, chociaż wiedziałem dobrze, że pan żyje, tylko tegom się nie spodziewałem, że pan się wydobędzie z ich szponów...

— Skądżeś to wiedział? — spytał go Zaklika, trzymając go jeszcze za rękę.

— Bo Xiądz Prandota ma łaskę u Pana Boga i widzi często takie rzeczy, których nikt inny nie widzi. Jak skoro on tak nagle wyjechał, to ja zaraz wiedziałem, że on pana widział żywego w kaplicy...

— Ot gadasz! — rzekł śmiejąc się Zaklika, — on mnie widział umarłego a jeżeli się tak z wyjazdem pospieszył, to oczywiście dlatego, że Frygę wzięto do więzienia.

— Może i tak, — odpowiedział mu wikary, — ale ja byłem pewny, że pan żyje, i codzień się modliłem do Pana Boga o pańskie uwolnienie a nie o zmartwychwstanie, bo toby był cud a o cud Pana Boga prosić niewolno.

To mówiąc, weszli do izby. Tam Zaklika spytał go naprzód:

— Słuchaj-no, Xiężę Franciszku, legatu ci nie wypłacili, com ci go testamentem zapisał?

— Dotychczas nie.

— Więc przedewszystkiem ci powiem, że ja ci ten legat wypłacę, jak tylko moją kasę uporządkuję.

— Ale ktoby tam myślał o legatach! Nawet mi się nie należy, jak skoro pan żyje.

— Nie. Wypłacę ci choćby tylko dlatego, ażeby dać panu Ignacemu naukę. A teraz powiedz mi, co się dzieje z Prandotą?

— Prandota jest w Genewie, — rzekł wikary.

— W Genewie! — zawołał Zaklika, — cóż go aż tam zapędziło?

— Ot, jak to bywa zazwyczaj, — odpowie mu wikary, — kiedy człowiek ucieka, to nigdy sam nie wie, kędy się oprze. Siedział przez cały tydzień za przykomorkiem, u naszego przyjaciela, i czekał wiadomości o Frydze, nie doczekał się, więc pojechał do Wiednia i tam także cały tydzień przesiedział. Ale w Wiedniu mu się znudziło, bo nie mógł się z tamtejszymi ludźmi rozmówić, a zresztą i Niemcom nie ufał, więc namyśliwszy się, osiadł w Genewie i chce tam czekać, póki się proces Frygi nie skończy Kraj-to protestancki a do tego jeszcze i farmazonami gęsto przesiany, ale jemu tam dobrze, bo życie tanie, przebrał się w suknie świeckie, przyjął "bezimienne nazwisko", nikt go nie zna i nikt o nim nie wie. Tylko w ostatnim liście mi pisze, że spotkał tam pana Fujarę, i mówi, że niktby nie zgadł, w jakiej go tam zastał pozycyi, ale szczegółów nie podaje...

Zaklika na tę ostatnią wiadomość nie zwrócił żadnej uwagi, natomiast zaś rzekł prędko:

— Słuchaj-że, Xiężę Franciszku! a czy ten przyjaciel za przykomorkiem mógłby jemu zatelegrafować?

— Dlaczego nie? ja pchnę zaufanego posłańca z listem do niego a on mu zatelegrafuje.

Więc dobrze. Ale zawsze mu trzeba napisać, bo na telegraf gotów nie uwierzyć. Ja sam mu także napiszę, ażeby widział mój podpis, to wtedy już wątpić nie będzie.

Poczem zasiedli obydwu do stołu i pisali listy do Prandoty.

* * *

Kiedy dnia wczorajszego wieczorem posłaniec Ignasia przybiegł na Balcerówkę z wiadomością, że Zaklika żyje

— 60 —

i jeszcze dziś wieczór ma wrócić do Zaklikowa, Flora, przeczytawszy ten list fatalny, zamieniła się w słup soli.

Stała właśnie na werandzie, zmięła list w rękach, ręce zacisnęła przed sobą i patrzyła w narożną kolumnę werandy szklanemi oczyma, bez czucia, bez myśli, bez przytomności. Cały jej organizm duchowy zatrzymał się w ruchu jak rzeka, kiedy ją nagle mróz ściśnie.

, Na to nadszedł Balcerek: to ją zbudziło.

— Patrz! — zawołała, przyskakując do niego i dając mu list, — czytaj! czy może to tak być, jak on pisze?

Balcerek przeczytał list a przeczytawszy, także zbladł i czoło zachmurzył.

— To bardzo głupia historia, — rzekł do niej, — teraz wszystko się pokrzyżuje.

— Ale czy może to być? — pytała Flora.

— Jużci może. Przecie sama wiesz o tem, że taki letarg jest wypadkiem bardzo zwyczajnym, mógł nawet trwać daleko dłużej...

— I ty w to wierzysz? — pytała Flora, wmawiając w siebie samą, że jeszcze nie wierzy.

— Jużci Ignas nie kłamie, — rzekł jej brat, — chyba żeby Kański chciał go omamić...

— To Kański, — zawołała Flora, chwytając się tego ostatniego promyka nadziei.

. — Ale nie, — odpowiedział jej brat po krótkim namyśle, bo w takim razie nie byłby mu powiedział, że Zaklika dziś wróci, tylko że przyjedzie dopiero za kilka tygodni albo za parę miesięcy...

— To prawda. Więc cóż teraz? co myślisz?

— Jużci teraz niejedno się zmieni, — rzekł Balcerek, — ale ja sędzę, że Ignas się dlatego nie cofnie. On

ciebie kocha szczerze i wiernie a oprócz tego jest w nim pewne uczucie honoru...

— Ale kiedy ojciec nie pozwoli, — zawołała Flora z niecierpliwością.

— Więc cóż? — rzecze jej brat, — przecież on w końcu zrobi co zechce. Jemu do pełnoletności podobno już tylko pięć miesięcy brakuje, więc zaczekasz...

— Ba! — zawołała Flora, — gdyby to można!...

Potem przeszła parę razy od kąta do kąta przez werandę, głęboko zaniepokojona, i dodała:

— Niechby ich diabli wzięli z ich Zaklikowem.... Ale... rozpacz mnie bierze.

Balcerek otworzył usta, aby ją pocieszyć — a wtem dał się słyszeć turkot powozu. Oboje skoczyli ku schodom myśląc, że to Ignasz jedzie — a tu tymczasem półkownik Baltzer von Baltzheim zajechał przed ganek.

— Ten nam powie, co to jest a może da jaką radę, — zawołała Flora, chwytając się jak tonący każdego zdziebełka, — bądźmy grzeczni dla niego. Każ zaraz nakryć do herbaty...

Półkownik przywitał Florę z kawalerską grzecznością jak zawsze a kiedy ścisnął jej rękę, to ją o parę sekund dłużej zatrzymał w swej dłoni, niż wypadało, a po jego oczach widać było, że patrzył na nią z wielkim upodobaniem. Tylko na jego jeszcze dość świeżych policzkach, które mu wydawały świadectwo młodzieńczej czerstwości i zdrowia, błyszczał jakiś blask niepe nego znaczenia, może ironii a może tylko zadowolenia.

Mówili ze sobą po francusku. Flora zapytała go pierwsza:

— Półkownik wiesz, co się stało w Zaklikowie?

— Co się stało w Zaklikowie, o tem nie wiem, — odpowiedział jej spokojnie Baltzer von Baltzheim, — ale wiem, że pan Zaklika, któregośmy mieli za umarłego, był w więzieniu i został uwolniony.

— A więc to prawda? — spytała Flora, udając także spokój, o ile mogła.

— Prawda niezawodna, bom go sam widział w Lublinie.

— Cbodźmy do herbaty, bo tu już ciemno i chłodno, — rzekła Flora i podała ramię półkownikowi.

Kiedy szli przez kurytarz i salon do sali jadalnej, półkownik do niej coś mówił, ale ona go nie słyszała, bo po jej głowie" zaczęły się snuć jakieś myśli, które ją więcej zajmowały, niżeli jego rozmowa. Myśli te były jeszcze niejasne i dopiero szukały formy, ale dlatego właśnie nie wiedziała wcale, co się koło niej dzieje.

Siedli do herbaty.

Flora była roztargnioną, aż do besprzytomności, półkownik to spostrzegł, i zaczął rozmowę od ogólników:

— Pan Zaklika przeszedł dziwne koleje losów, ale w krajach, w których spiski nigdy nie ustają, a rewolucye tak często następują po sobie, są to niemal codzienne wypadki. Ile ludzi ja sam znałem, których śmierć oplakano i podzielono się ich majątkami i zapomniano, że kiedykolwiek żyli na świecie — a oni potem żywi wrócili do domu; ilu było innych, których miano za żywych, posyłano im listy i pieniądze do więzienia albo na Sybir i utrzymywano ich pokój sypialny wciąż pogotowiu, jak gdyby lada dzień mieli powrócić — a ich prochy i kości wiatr już dawno rozwiął po stepach. ••

— To prawda, — rzekła Flora machinalnie, patrząc jeszcze ciągle zamyślonemi oczyma na niego.

— A ilu jest żywych, — dodał do tego Filon, — co zdrowi i wolni chodzą po ziemi, cieszą się swoją swobodą i myślą o tem, co będą robić za rok, za trzy lata i za lat kilkanaście — a ani im się śni, że po nich żandarm już jedzie i że jeszcze tej samej nocy pójda pieszo przy kiju żelaznym na Sybir...

— I to prawda, — odpowiedział mu półkownik, — ale kto temu winien?

Tu Flora oprzytomniała i widać, że jej myśli się wyjaśniły, bo chmurnem okiem spojrziała na brata a półkownikowi odpowiedziała głosem jasnym i czystym:

— Jużci my sami, nasz patryotyzm. Wasz rząd jest zacofany, używa takich środków repressyi, które do średnich wieków należą, gdzieby mógł panować swoją wielką ideą, tam się posługuje Sybirem i szubienicą: ale my z naszym zaściankowym patryotyzmem pozostaliśmy także o pół wieku za całym światem i wcale inaczej żylibyśmy obok siebie, gdybyśmy zrozumieli, że mały organizm społeczny może żyć tylko w wielkim organizmie państwowym a jeśli się będzie upierał przy takim bycie, do którego sił nie ma, to musi być uciskany koniecznie dopóty, aż póki w tym ucisku nie zginie.

Na taką diatrybę półkownik się rospromienił, ścisnął Florę za rękę i powiedział jej bez wątpienia z szczerego serca:

— Pani mówisz jak mędrzec prawdziwy. Dziwić się trzeba, skąd w takiej młodej głowie bierze się tyle rozumu, że mogłaby nim wszystkie akademie zawstydzić

Flora widocznie osiągnęła swój cel, bo i jej twarz się

także rospromieniła, już była całkiem przytomna, ale odpowiedziała mu skromnie:

— Ja mówię tylko to, co mi się zdaje niejako leżeć na dłoni...

— To prawda, - rzecze pólkownik, — to wszystko leży jak na dłoni, trudno nawet zrozumieć, dlaczego całe społeczeństwo, któremu niepodobna odmówić pewnego stopnia oświaty, nie przyjęło już dawno tej prawdy, tak prostej jak dwa a dwa cztery i tak jasnej jak słońce. Jednak proszę pani nie brać mi za złe, jeżeli zrobię jedno zastrzeżenie. Pani powiada, że nasz rząd jest zacofany. Że nasz naród jeszcze dotychczas jest zacofany, tego pani nie zaprzeczę : ale rząd? — proszę nad tem się zastanowić. Gdyby tak było, tobyśmy przecie nie zajmowali w pięciu częściach świata takiego stanowiska, jakie zajmujemy. Pani nam zarzuca, że środki, któremi się nasz rząd posługuje, nie odpowiadają terażniejszym pojęciom i wyobrażeniom: ale Państwo jest wyższe nad chwilowe pojęcia i wyobrażenia — a prawdziwy rozum stanu właśnie na tem zależy, ażeby zawsze umieć dobrać środki takie, które prowadzą do celu. Jest to zasada walki o byt, którą ludzie dopiero w drugiej połowie bieżącego wieku wynaleźli dla siebie, ale którą Państwa znały już od czasów Greków i Rzymian i zawsze praktykowały. Zasada ta zna tylko jeden katechizm — a ten katechizm składa się tylko z dwóch słów, któremi są: osiągnięcie celu. Mimo to wszakże rząd nasz jest także sprawiedliwszym od innych, bo on tylko tych ubezwładnia i gubi, którzy jego działaniu stają na drodze, — na wszystkie inne występki jest niezmiernie wyrozumiałym i daleko liberalniejszym od wszystkich. Dowodem na to jest

sprawiedliwość, którą tak prędko i tak całkowicie wymierzono panu Zaklice..

— Ja znam osoby, — przerwała mu Flora z uśmiechem, — któreby się były obeszyły bez tej sprawiedliwości.

Półkownik spojrział na nią i także mu uśmiech przeleciał po twarzy, ale spytał jak gdyby nic:

— Któż taki?

— Dzieci Zakliki, — odpowiedziała mu Flora przytomnie.

— To trudno, — rzekł na to półkownik, — sprawiedliwość nie mogła więzić niewinnego człowieka dlatego, ażeby ktoś trzeci skorzystał z jego uwięzienia.

Flora spojrzała prawie podejrzliwym okiem na półkownika, zastanowiła się przez oka mgnienie a potem spytała odważnie, patrząc mu w oczy:

— Ale czy pan Zaklika był rzeczywiście tak całkiem niewinny ?

— Udowodnił urzędowymi świadectwami, — rzekł głosem stanowczym półkownik, — że nie miał udziału w powstaniu — a oto właśnie chodziło.

— A oprócz tego nie znaleziono nic przeciw niemu? — spytała Flora.

W tej chwili Balcerek, który teraz nie myślał o socjaliźmie, tylko pilnie słuchał rozmowy, przyszedł w pomoc swej siostrze i rzekł:

— Przecież w grobowej kaplicy znaleziono cały stos zakazanych xiążek a do tego i całe pliki papierów, które pewnie nie zawierały w sobie gospodarskich rejestrów. Prócz tego mój ojciec także całkiem inne rzeczy mi opowiadał o udziale pana Zakliki w powstaniu...

Zaklika. T. IU.

Półkownik był pełen uwielbienia dla Flory, i obchodził się z nią jak z wyzłoconym ikonem, któryby bez wątpienia chciał ukraść, gdyby tylko mógł, ale tymczasem się modlił do niego: ale Balcerek było to całkiem nic nie znaczące indywiduum dla niego, z którym wcale nie potrzebował się liczyć, bo przecież, jeżeliby chciał, mógł go kazać wziąć w żołdacy i zaprzędz go do czyszczenia butów u siebie. Zaczem spojrział chmurnie na niego i odpowiedział, nie jemu, lecz Florze:

— Papierów żadnych nie znaleziono — a za skład xiążek Fryga pójdzie na Sybir, bo przecie on a nie pan Zaklika był stróżem grobowej kaplicy. Nasze sądy zresztą stoją na wyższym punkcie widzenia i nie popadają nigdy w takie małoduszności, jak zemsta bez celu: pan Zaklika mieszka tutaj od lat kilkunastu, wszyscy go mamy na oczach i widzimy, że pracuje skrętnie i cicho nad swem gospodarstwem, robi bardzo wiele dobrego, jest ludzkim dla wszystkich bez narodowych przesądów, nikomu w drogę nie włazi, żadnemi politycznemi rzeczami się nie zajmuje, więc gdyby tam nawet kiedyś coś było, to to już dzisiaj nie ma żadnego znaczenia. Jeżeliby zaś z dalszych indaga- cyi się okazało, — dodał półkownik, patrząc uważnie na Florę, — że ktoś dał te xiążki Frydze do przechowania, to byli to prędzej jacyś młodzi ludzie, którym się propaganda roi po głowach, ale nie pan Zaklika.

Ani Flora, ani jej brat, nie zwrócili żadnej uwagi na to ostatnie przypuszczenie, tylko Flora się zasmuciła tem wyznaniem półkownika co do samego Zakliki i rzekła z lekkim przekąsem:

— Nie wiedziałam, że półkownik masz tyle sympatyj dla pana Zakliki.

Ale pólkownik odpowiedział jej na to z grzecznym uśmiechem:

— Ja, prócz dla pani, nie mam dla nikogo sympatii. Jestem zimny jak lód, jak to pani zapewne już uważała, ale dlatego właśnie jestem sprawiedliwym dla wszystkich.

— Hm! — rzekła Flora, czując to dobrze, że ma pewien wpływ na tego lodowatego żołnierza, — tak się chwalcie waszą sprawiedliwością a przecież, jak dobrze powiedział mój brat, niejeden już z waszej łaski wyleciał na Sybir, przesiedział tam lat kilkanaście albo i więcej i zginął między lodami — i do śmierci się nie dowiedział, za coście go tam wyprawili. Ja jestem pewną, że gdyby ktoś chciał, kto ma władzę po temu, to jeszcze dziś mógłby wyprawić pana Zaklikę, nie powiadam do Nerczyóska albo za Bajkał, ale tak gdzieś do Kostromy albo do Kaługi, aby sobie tam mieszkał...

Półkownik się na to uśmiechnął bardzo znacząco i rzekł:

— Rządy przezorne, jak nasz, posługują się czasem rewolucyjnymi środkami w celu zabezpieczenia publicznego spokoju na wszelkie wypadki: ale nimby to kto zrobił, musiałyby wiedzieć, dlaczego to robi...

Na to Flora także się uśmiechnęła, ale nieznacznie, bo jeśli go zrozumiała, to dla siebie a nie dla niego, jakoż zamiast mu odpowiedzieć, podała mu papierosa i sama także zapaliła, zakrywając dymem całą twarz swoją.

Półkownik wyteżył oczy, ażeby niemi dym przebić i dobrze zrozumieć wyraz jej twarzy — a wtem drzwi otworzyły się z trzaskiem i Ignaś wpadł do sali jadalnej.

Ignaś był niezmiernie zmiészany, miał usta prawie wiśniowe i na wpół otwarte i widać było, że zapewne już od

w

Zaklikowa miał na nich jakieś słowa, które chciał Florze powiedzieć: ale kiedy półkownika obaczył, jeszcze bardziej się zmięszał, zatrzymał się przy drzwiach przez oka mgnienie — a potem wolniejszym krokiem, niżeli przedtem zamierzył, zbliżył się do stołu, ścisnął jedną ręką Florę za rękę, drugą Balcerka a półkownikowi uklonił się bardzo grzecznie, ale zdaleka.

— Go za zmiany w Zaklikowie! — zawołała Flora, f udając obojętność a tymczasem patrząc takimi oczyma w twarz jego, jak gdyby jeszcze od niego oczekiwała zbawienia.

— Nikt się ich nie spodziewał, — rzekł Ignasz.

— Ale ojciec pana powrócił? — dodała Flora, — i jest w Zaklikowie?

— Wrócił i jest, — rzekł Ignasz, siadając do stołu. Flora spuściła oczy ku ziemi: nie było już żadnego wątpienia, ostatnia nadzieja minęła.

Półkownik rzucił okiem na Florę a potem znów na Ignasia — a wtedy i jemu twarz się zmieniła. Widać było po nim, że był w piekielnym humorze. Z takim humorem w głosie, ale zarazem z inkwizytorską przebiegłością rzekł do Ignasia:

— Spotkało pana szczęście, jakie rzadko komu się , • zdarza. Spodziewam się, że pan będziesz za nie wdzięcznym rządowi, wdzięcznym dwa razy: raz że wskrzesił pańskiego ojca z letargu i powrócił do życia,...

Ignasz półkownika instynktowo nie lubił, zaczęł mu przerwał i rzekł sucho:

— Mój ojciec nie był jeszcze pochowany w grobie, tylko leżał w tymczasowej trumnie, zbitej z lekkich desek i nie całkiem zamkniętej, więc byłby się i bez tego obudził.

\

— Ale zawsze przynajmniej za to winienes pan wdzięczność rządowi, — poprawił się półkownik, — że go tak prędko uwolnił z więzienia.

— Ah! za to — odpowiedział mu Ignas z głośnym, ale nieokreślonym śmiechem — będę wam wdzięczny do śmierci.

Półkownik spojrział na niego przesywającym wzrokiem, ale nie mógł się zorientować. Na pierwszy rzut oka zdawało mu się, że Ignas to mówi z ironią a w gruncie serca diabli go biorą, że ojciec powrócił, majątek na powrót odbierze i będzie przeszkadzał jego konkurencyi o Florę, co nietrudno mu było odgadnąć, bo wszyscy sąsiedzi o tem wiedzieli, że ojciec był tym zalotom przeciwny; ale w podejrzliwości, właściwej swej rasie, przypuszczał także, że Ignas szczerze się cieszy z powrotu ojca, bo go to uwolni od dotrzymania przyrzeczeń, jakie dał Florze. W tej podejrzliwości poszedł nawet jeszcze cokolwiek dalej, bo mu przeleciało przez głowę przypuszczenie, że on może ma jakie honorowe obowiązki względem Flory, bo i o tem, choć według niego bez wątpienia za daleko idące i zapewne tylko po sąsiedzku złośliwe, jednak dość głośne plotki chodziły od dworu do dworu. Cóżkolwiekbydz, tak z jednego, jak i z drugiego powodu, zazdrość się w nim obudziła — a pod wpływem tego niezmiernie płodnego uczu^{cia}, które pomiędzy ludźmi wyradza ciągle nieprzeliczoną ilość występków i zbrodni, dotychczas tylko piekielnie gniewny, napił się jeszcze żółcią i złością. Nie chcąc wywoływać sporów o rzeczy czysto osobiste, do czego dotąd jeszcze nie miał namacalnego powodu, mówił o polityce —

1 .mówił na złość swoim słuchaczom, wynosząc pod niebo potęgę i szlachetną bezinteresowność swojego rządu a ci

skajac pioruny na czarną niewdzięczność plemion przezeń podbitych, które nie uznają tego szczęścia, jakie na nie przez to spłynęło, że się pod jego władzę dostały. Tak mówiąc, z ciętością człowieka, który się czuje niezwykłym nawet w swoim besprawiu, bo ma siłę po sobie, być może, że chciał wywołać spór polityczny z Ignasiem, aby wypowiedziane przezeń przekonania w danym razie przeciwko niemu wyzyskać, — ale na każdy wypadek chciał go przesiedzieć. Wszelako ani jedno, ani drugie mu się nie udało, bo Ignaś polityką wcale się nie zajmował a przesiedzieć także się nie dał. Zaczem pólkownik, znudziwszy wszystkich, sam nareszcie się znudził i z uderzeniem godziny dziesiątej pożegnał się z wszystkimi i wyszedł.

Flora odprowadziła go do drzwi przedpokoju, z czego widocznie był kontent, a Balcerk poszedł z nim na werandę. Tam pólkownik dobył z kieszeni świstawkę i świstnął na swego zwoszcyka a nim zwoszcyk zajechał, obrócił się do Balcerka i rzekł z góry do niego:

— Zalecam panu, abyś miał rozum. Ja się mam za krewnego waszej familii, ale nie chciałbym mieć przyjemności wydobywania pana z więzienia. Pan utrzymujesz stosunki z Tarłem...

-t— Ja z Tarłem ? - zawołał Filon, trzymając się przedewszystkiem zasady forlitter negare.

— Tak, z Tarłem, — odpowiedział mu pólkownik takim'tonem, jak gdyby mówił do prostego żołdata, — otóż wiedz pan o tem, że Tarło jest pod dozorem policyi. Bądź pan zarazem ostrożny z tym młodym Zakliką, bo i on także utrzymuje stosunki z Tarłem.

— Dziękuję pólkownikowi za ostrzeżenie, — rzekł, na

to Balcer z zimnym uśmiechem na ustach, — ale co mnie do tego?

Na to pólkownik wziął go z niecierpliwością za kłapę surduta i powiedział mu gniewnie:

— Panu to do tego, że jak Tarło padnie, to wszyscy padną, którzy z nim żyją. Ostrzegłem pana — a teraz, — dodał cokolwiek łagodniej, — dam panu jeszcze drugie ostrzeżenie. Pańska siostra jest sierotą, pan jej zastępujesz rodziców. Do czego to podobne te przyjmowania młodych ludzi po nocy? W najlepszym razie będą stąd plotki, ale jest w tem także niebezpieczeństwo...

Balcerek się czuł wolnym człowiekiem i żadnego nadzoru znieść nie mógł a chociaż w teorii przeciwnik indywidualizmu, w praktycznym życiu nadzwyczajnie był osobistym, zaczął rozśmiać się głośno i rzekł:

— Moja siostra w niebezpieczeństwie? a coś to pólkownik powiedział? Jabym życzył każdemu mężczyźnie, ażeby był zawsze tak siebie świadomym i tak przytomnym, jak ona.

Na to pólkownik powiedział już o wiele spokojniej:

— Kobiety miewają czasem słabe chwile...

— Ale nie ona, — rzekł Balcerek stanowczo, — przecież uczyła się anatomii, więc ma nerwy zahartowane.

A wtedy pólkownik już całkiem się wypogodził i rzekł niby dobrodusznie:

— Dopelnilem obowiązku uczciwego człowieka, ostrzegłem pana — a teraz bądź zdrow.

Poczem wsiadł do swojej kibitki i zniknął z przed ganku.

Balcerek patrzył przez chwilę za nim a kiedy jego powóz~ rospłynął się całkiem w ciemnościach nocy, zawołał

za nim: — Tędy tobie droga ! Błazen jakiś! jakim-to tonem on gada do ludzi. Jemu się zdaje, że jest panem wszędzie, gdzie się pokaże: a ja tobie powiadam, że ty z tym twoim wyzłoconym mundurem i z twoją szablą u boku jesteś przecie tylko lokajem... Reprezentant Państwa, co w pięciu częściach świata jest najpierwszą potęgą! My ci to twoje Państwo niebawem tak zdmuchniemy ze wszystkich części świata, że z niego tylko pamięć zostanie w historii politycznych rozbojów...

I sapał mocno przez chwilę, bo się czuł obrażonym. Widać było po nim, że kipiał wewnątrz a w tem kipieniu słysząc było jak gdyby szum wzburzonej materii, szum morza albo też drżenie ziemi przed zbliżającą się burzą. Tak szumią masy czerni ludowej kiedy zaczynają się ruszać, ażeby się zerwać i z gwałtownością orkanu pójść na zniszczenie wszystkiego co żyje... Potem się uspokoił pomału i mówił do siebie: — Tarło? nie wiem, ale być może. On socyaliŝta nie jest. On socyaliŝm teoretycznie pojmuje, ale jemu jeszcze patrioŝyzm ŝwita po głowie. Onby chciał socyaliŝm z patrioŝyzmem pogodzić, tak jak nasza młodzię w Paryżu, jak zresztą niektórzy demokraci we Lwowie. Zielone głowy, kobiece serca, połowiczni ludzie, wyobrazili ciele epoki przejściowej, którzy socyaliŝmu wcale nie rozumieją, ani go nawet instynktowo nie czują. "Oni tam może coś robią, on bywa we Lwowie, więc może być iw^ Alej IgnaŝT? oto trafił jak kulą w płot. Ignaŝ to człowiek, -który prócz siebie samego nikogo nie widzi na ŝwiecie. On; jeŝli Florę kocha, to dla siebie, nie dla niej. U niego, tak jak u Flory, życie to jest użycie — i zgoła nic więcej. I my; chcemy użycia, ale dla całej ludzkości a nie dla kast, albo dla indywiduów —iw tem leży różnica pomiędzy tym.

światem, który się rodzi, a tym, który ginie. On miałby się przez Tarła dać wciągnąć w jakieś patryotyczne roboty? śmiać mi się chce z takiego konceptu. Trzeba być półko-wnikiem, przydzielonym do tajnej policji, ażeby takie podejrzenia wynajdywać i myśleć, że ktoś w nie uwierzy... A on może chce jaki spisek wymyślić, knowany przeze- mnie, Tarła i Ignasia...

Potem myślał nad tem długo, czy ma zawiadomić Ignasia i Florę o tych wywnętrzeniach nieproszonego ich opiekuna: rozważywszy wszystko dokładnie, znalazł, że to są takie niedorzeczności, że o nich nawet nie warto wspominać.

Tymczasem oboje młodzi siedzieli w sypialni Flory, żywą zajęci rozmową.

Ignas już odpowiedział Florze ze szczegółami, jak jego ojciec powrócił i jak się względem niego zachował. Nie przedstawiał jej przyszłości w czarnych kolorach, ale przyznawał, że powrót ojca jest dla nich bardzo niepomyślnym wypadkiem. Flora ten wypadek nazwała nieszczęściem, czuła go daleko żywiej od niego i co chwila unosiła się gniewem, choć nie wiedziała, na kogo ma się gniewać. Aż w końcu zaczęła się gniewać na siebie, wstała z sofy, chodziła ży wemi krokami po sypialni i mówiła z niecierpliwością:

— Człowiek zawsze jest głupi, bo nie pamięta o tem, że najlepsza myśl nic nie warta, jeżeli jej nie wykona. Ja miałam myśl dobrą, ale także zapomniałam o jej wykonaniu.

— Cóż to za myśl? — spytał Ignas w zamyśleniu;

— Kiedy lekarze skonstatowali śmierć twego ojca* trzeba było wykonać na nim tę samą operację, jaką zro

biliśmy naszemu ojcu. Terazby tego wszystkiego nie było! Ja miałam tę myśl, jadąc na pogrzeb do Zaklikowa, po- wiedziałam to w drodze Filkowi a Filek zrobił jeszcze tę uwagę: — Trzeba wykonać tę operację tem bardziej, ile że w podobnych wypadkach następuje często sen letargiczny, miałby się w grobie obudzić, to lepiej dla niego, jeżeli nóż przetnie mu życie, bo przecież taka śmierć lżejsza... Kiedyśmy przyjechali do Zaklikowa, jeszcze było na to dość czasu, bo jeszcze trumna była otwarta i dopiero o to się targowano, kiedy się pogrzeb ma odbyć. Ale kiedy tam tyle ludzi obaczyła, ta myśl wyleciała mi z głowy.

Ludzie bez pewnych zasad inaczej zapatrują się na występki i zbrodnie, kiedy im szkodzą, inaczej wtedy, kiedy ich skutki im są obojętne a całkiem inaczej wtedy, kiedy im pożytek przynoszą. Ignas na tę uwagę Flory nie oburzył się tak jak wówczas, kiedy się dowiedział, że ona własną ręką wepchnęła nóż w serce swojego ojca, — tylko się na to zimno uśmiechnęła i milczała.

— Czy to nie szkoda? — pytała Flora.

Ignas milczał.

Flora patrzyła na niego z chmurą gniewu na czole. Będąc sama pełną energii i namiętności, czuła pogardę dla ludzi, którzy popadają w bezmyślność i niezaradność, kiedy działać potrzeba. Ale odwróciła rozmowę od tego przedmiotu a natomiast spytała: *— Cóż teraz?

— Teraz, — rzekł Ignas, — o Zaklikowie już myśleć nie można. Ojciec Zaklikowa mi nie odda za życia. Gdybym chciał, mógłbym wziąć dobra Żmudzkie, byłoby mu to nawet bardzo na rękę, ale nie wiem, jak się to tobie podoba?

— Ale proszę cię, — zawołała na to Flora z niecierpliwością, — nie myśl już teraz o dobrach. Zostawmy te interesa na później. Mnie już dzisiaj na tem nic nie zależy. Niech ci da jaki Folwark, ot ten, co do Balcerówki przytyka. Niech ci nic nie da, będziemy mieszkać na Balce- rówce. Mnie wszędzie będzie dobrze przy tobie. Teraz o to chodzi, abyśmy się jaknajprędzej pobrali. Żałoby już niema — a więc niema przeszkody. Cóż myślisz, czy ojciec będzie się jeszcze teraz sprzeciwiać?

r— Sprzeciwiać się nie będzie, — odpowiedział jej Ignaś, mówiąc przeciwko swemu przekonaniu, — ale być może, że odpowiedź znowu odroczy.

— Bagatela! — zawołała Flora, chodząc niecierpliwymi krokami po izbie, — odroczenie, to dla mnie odmowa.

— Nie, to nie będzie odmowa, — odpowiedział jej Ignaś, usiłując ją uspokoić, — on powie: jak dojdiesz do pełnoletności, to zrobisz, co zechcesz ..

Na to Flora stanęła przed nim i zawołała głosem gwałtownym:

— To jest absolutnie niemożliwe! ja czekać nie będę. Wiesz zresztą dobrze, że czekać nie mogę...

Na to Ignaś spojrzął na nią takimi oczyma, iż po nich dobrze widać było, że ją rozumie, zarazem się otrząsł, zebrał się na odwagę i rzekł:

— I ja też także czekać nie myślę. Tylko pojmiesz łatwo, że ja z nim o tem mówić nie mogę, ani jutro, ani pojutrze. Po takiej katastrofie potrzeba mu zostawić cokolwiek czasu, aby się uspokoił. Gdybym zaraz teraz wyjechał z propozycją wesela, ściągnąłbym podejrzenie na siebie, że tylko myślę o sobie a jego los jest mi zupełnie obojętny. Prócz tego zapewne przez kilka dni będzie chmurzyć się

na mnie za to, com w administracji Zaklikowa pozmieniał ...

— Za cóż będzie się chmurzyć? za to, żeś pozapro- wadzał oszczędności, które podniosą dochody?

\— Nie za oszczędności, tylko za to, żeś ponapędzał jego starych nierobów. O to trudno z nim walczyć: on ma o tem całkiem inne wyobrażenia. Te chmury trzeba będzie przetrzymać — a dopiero potem będę mu mógł powiedzieć, żeś postanowił z tobą się ożenić.

— Ileż-to czasu będzie potrzeba na to, aby te chmury minęły ?

— Dwa, trzy tygodnie...

— Trzy tygodnie, to wieczność! — zawołała Flora, — ja nie potrafię przeżyć trzy tygodnie w tej. niepewności.

Ależ to nie jest niepewność, — rzekł Ignasz, — cokolwiek bądź mnie odpowie, ja przecież ciebie nie opuszczę i ślub nasz odbędzie się z pewnością najdalej za miesiąc

— Ależ jeżeli on nie pozwoli ? — zawołała znów Flora, — jeżeli, jak sam powiadasz, każe ci czekać aż do pełnoletności? cóż zrobisz?

Ignasz zachwiał się w sobie, bo nie wiedział na razie, coby miał odpowiedzieć, wiał się jak wąż pod tym naciskiem, zaczęł wykręcał się jak mógł, mówiąc:

~ Go zrobię? sam jeszcze nie wiem, nie miałem czasu nad tfeś się namyśleć, ale i nie potrzebujemy sobie głowy łamać nad tem, bo przecież jeszcze nie odmówił.

— Ale jeżeli odmówi? przerwała mu Flora, tu- pając nogą w posadzkę.

— Zawsze to zrobię, co ty zechcesz, — dokończył Ignasz, — ale on nie odmówi.

— Raz odmówi, drugi raz nie odmówi, sam nie wiesz co gadasz, — mówiła Flora, oddychając głęboko wśród oburzenia i gniewu, — energii wam nie brakuje, kiedy wam się dobrze dzieje, ale kiedy trzeba walczyć z przeciwnościami, jesteście wszyscy jak wiechcie! A mimo to jeszcze się przechwalacie waszym animuszem rycerskim! Nie wiem zaprawdę, komu tu jeszcze można ufać na tym świecie dzisiejszym...

Ten cierpki wyrzut żywo dotknął młodzieńca. Zerwał się, objął ją w swoje ramiona, przycisnął do piersi i zawołał głosem wzruszonym:

— Proszę cię, Floro, nie myśl tak o mnie! Ja jego wcale o pozwolenie prosić nie będę. Zawiadomię go, że się żenię — i koniec. Żadnych perswazji nie przyjmę. Jeżeli zezwoli, to dobrze. Jeżeli nie, to ja się dlatego nie cofnę — a wtedy postanowimy oboje, jak sobie mamy postąpić.

Ta energiczna odpowiedź ujęła Florę. Jej zachmurzone czoło wypogodziło się, z oczu uderzył blask zadowolenia, być może że nawet się poruszyło jej serce, bo żałowała głosem szczerym i dźwięcznym:

— Tak dobrze. Jak ciebie kocham i pójdę z tobą gdzie zechcesz...

Poczem siadła obok niego na sofie i mówiła dalej:

— Słuchaj-że, Ignas. Więc tak. Zaczekasz tydzień, ale nie więcej. A potem mu powiesz, grzecznie ale stanowczo, że takie powziąłeś postanowienie. O nic go prosić nie będziesz, tylko go zawiadomisz. Jeżeli się z tego wywiąże dyskusja, to mu powiesz, że miałeś do tego prawo, bo po jego śmierci byłeś panem swej woli. Dałeś słowo, dzisiaj go cofnąć nie możesz. On jest człowiek uparty, ale za-

razem i uczciwy: jeżeli mu to dobrze przedstawiś, to przecie sam to uznaje, że ojciec nie może syna wystawiać na hańbę. A ponieważ już wiemy o tem, że w gruncie serca jest temu małżeństwu przeciwny, więc mu ułatwimy przełknięcie tej pigułki. Mnie na formalnościach nic nie zależy. Pobierzemy się za indultem, bez zapowiedzi. Ślub nasz od będzie się rano, tu w naszym kościółku. Tobie usłuży za družbę Tarło, mnie będzie družbować Genia a choćby i panna służąca. Po ślubie damy im małe śniadanie — a po śniadaniu wyjedziemy zaraz za granicę i zabawimy tam jak długo będzie potrzeba...

Ignas uśmiechał się na to, ścisnął prawie konwulsyjnie jej rękę i rzekł:

— Chciałbym, aby tak było.

— Jak tylko zechcesz, to tak będzie, — odpowiedziała mu Flora.

Na to Ignas patrzył przez chwilę z bezmyślnym uśmiechem przed siebie a potem rzekł:

— A jak odmówi?

— Znowu powiadasz, że odmówi! — zawołała Flora z niecierpliwością, — a przecież dopieroco powiedziałaś, że go o pozwolenie prosić nie będziesz.

Na tę uwagę Ignas się znowu otrzeźwił, stanął twardo na nogach i rzekł:

— Powiedziałem to bez myśli. Spuść się na mnie, jakoś'to będzie.

To mówiąc, wyciągnął do niej ramiona, ale ona go odsunęła od siebie i dodała:

— A teraz już jedź sobie do domu.

Ignas chciał zostać, ale ona na to nie pozwoliła, mówiąc;

— Nie. I tak już późno. Tam już pewnie uważają na ciebie. Jeszczeby z tego były jakie plotki...

Ignas, choć bardzo niechętnie, pożegnał Florę. Ona odprowadziła go na werandę — a kiedy już siadał na konia, dała mu na drogę naukę w tych słowach:

— Obudź-że w sobie energiją. Bądź mężem, którym już jesteś. Jeżeli którego dnia nie będziesz mógł przyjechać, to napisz. A nie zwlekaj dłużej jak tydzień, tydzień, nie więcej...

Ignas ścisnął ją w milczeniu za rękę, wsiadł na koń i zniknął z przed ganku.

*

* *

Jechał stępą w noc ciemną i myślał, ale myśli mu się tylko jak błędne światelka zjawiały i zaraz znikały, tak że żadnej z nich nie mógł uchwycić. Flora się niecierpliwi, — ojciec nie pozwoli, — trzeba będzie mu się sprzeciwić, — ślub się odbędzie w kaplicy, — potem zaraz wyjeżdżamy za granicę, — ale czego chce ten głupi półkownik? — Wiatr jesienny dał czystym polem i rozwiewał jego burkę otwartą, musiał jedną ręką wciąż poprawiać kapelusz na głowie a drugą poły burki przyciskać do piersi, mimo to zimno go przejmowało do kości: głupia rzecz o tej porze wracać do domu, w sypialni Flory ciepło i cisza, niewiedzieć dlaczego go dzisiaj napędziła tak wcześniej? Kobiety miewają czasem osobliwsze kaprysy. Wszystkie te rzeczy przebiegały jak fale po powierzchni jego umysłu, nie zostawiając jak fale na wodzie żadnego śladu po sobie.

Dopiero kiedy się znalazł w swoim pokoju i siadł przy kominie, na którym wielki ogień się palił, kiedy prze-

stał dygotać od zimna i cisza około niego zaległa, to i w jego głowie zaczęło się zwolna wyjaśniać i jego myśli zaczęły się w jakiś ład składać. Pierwsza myśl, która przed nim stanęła, była zupełnie trzeźwa. Zapytał się siebie: czy nie możnaby w jakiś sposób zerwać tego wszystkiego? — Żał mu było Flory, ale przecież to ożenienie, w gruncie rzeczy, to niedorzeczność. Majątkowe stosunki żadne, towarzyska pozycja zanadto niska, przyszłość pod każdym względem wcale nie świetna, do tego walka z ojcem, przez którą koniecznie przejść trzeba: to wszystko niema poprostu żadnego sensu. Jego egoizm odezwał się w nim przede wszystkim w tej formie. Jednak mówił sobie dalej: Gdyby to było w mieście, umiałby sobie na to łatwo poradzić, ale tu na wsi to całkiem inna historia; tutaj żyje się jak w latarni, wszyscy już wiedzą, że .on jest z Florą tak dobrze jak gdyby po zaręczeniu formalnem, Flora jest córką przyzwoitej rodziny tak samo jak każda inna, gdyby ją porzucił, byłby to skandal, z któregooby się tak łatwo nie umył a nawet nie mógłby dalej mieszkać w tym kraju, bo niktby mu ręki nie podał. Mógłby wprawdzie uciec gdzieś za granicę, na coby zapewne jego ojciec się zgodził, ale to byłby także skandal, po którymby nie mógł do kraju powrócić. Być może, że głupstwo zrobił, ale je zrobił, trzeba zatem z męską odwagą przyjąć jego następstwa. Ale co zrobić z ojcem, który z pewnością temu się sprzeciwi? — Tu jego myśli na chwilę stanęły. Myślał na wszystkie strony, ale na razie nie mógł sobie wyobrazić, jak to ma zrobić, ażeby ojca ugiąć albo złamać. Zaczem te wszystkie jego myśli skończyły się na tej uwadze: Co to za fatalne nieszczęście, że ojciec wstał z grobu! Flora miała słusność, że trzeba było na nim tę operację wykonać. Jemuby to było obo-

jętnem, bo byłby nic o tem nie wiedział — a jabym dziś nie był w tej sytuacji, z której sam nie wiem, jak się wy- dobędę...

Ale tu zaczął myśleć o Florze i znalazł przedewszy- stkiem, o czem zresztą zawsze był przekonany, że jest to kobieta niesłychanie rozumna. Niech sobie o niej mówią co chcą, ale przecież tego nikt nie zaprzeczy, że w całej okolicy, jak szeroka i długa, rozumem żadna inna jej nie wyrówna. Wszyscy to jej przyznają, Firlejowie i Frydrusz' Prandota i Genia, pólkownik, w gruncie rzeczy przecież także nie głupi, jest w uwielbieniu dla jej rozumu a nawet sam ojciec nieraz mówił o niej, że jak na pannę tak młodą, jest zadziwiająca. Kobiety kręcą nosem na to, że uniwersyteckie studia robiła, ale przecież żadna z nich nie zaprzeczy, że te studia się na coś przydały. Te wszystkie ko - biety, co nosem kręcą, są przy niej jak gęsi. Mieć żonę tak rozumną, to przecież ma pewną wartość — a każdy to wić z doświadczenia, że taki rozum nawet w pierwszorzędnym salonach i brak majątku i brak imienia dostatecznie pokrywa ... Przy takiej rozumnej żonie i mąż całkiem inaczej wygląda, chociażby sam nie był tak bardzo rozumny...

Tak mówiąc do siebie, uczuł się uspokojonym i niejako wzmocnionym. Myśli jego były jasne i dokładnie określone. Głupiby był, gdyby dla jakichś tam plotek dał się zbić z tropu i zaparł się swoich przekonań. Wstał z krzesła, ogień na kominie przysypał popiołem i zaczął się rozbierać. Przy rozbieraniu się, trochę się rostkliwił. Gdyby nie Flora, mówił do siebie, byłby całkiem odosobnionym i sam jeden na świecie. Tyle ludzi jest koło niego — a wszyscy mu obcy. Firleje zimno go traktują, Prandota uważał go za studenta, nawet Genia nie ma dla niego ani cienia sym-

patyi — a o ojcu niema wcale co mówić. Ojciec go nigdy nie kochał, bo jest jakimiś takierni myślami zajęty, które z terażniejszością żadnego związku nie mają i znowu jemu są obce. Tylko jedna Flora...

Położył się do łóżka i myślał dalej o Florze. Czuł się dziwnie samotnym — a przymrużając oczy, widział Florę przed sobą. Zarysowała się w jego wyobraźni jak posąg z białego wykuty marmuru i tylko przez środek swojej smukłej postaci przesłoniony jak gdyby mgłą muślinową. Ciało białe jak marmur, lecz przy dotknięciu miękkie jak axamit i elastyczne, pełne siły przyciągającej a zarazem tego słodkiego oporu, co niby odtrąca, ale tem samem jeszcze więcej przyciąga. Jaka woó czarująca bije od tego ciała i od tych czarnych warkoczy, co jak jedwabne puchy nakrywają całą poduszkę. Na tem czarnem tle jej twarz jak biała róża, zarumieniona uśmiechem szczęścia, usta ciemno-różowe, na wpół otwarte, wilgotne, moich ust łaknące a nad niemi te oczy, patrzące we mnie a takie głębokie, jak dwa morza bezdenne A w tem ciele jakie ciepło upajające, jaka krew, jakie życie! Jaki to cały świat czarów i szarów i niepojętych słodczy...

W tym półśnie wyciągnął ramie - i uchwycił powietrze. To go zbudziło. Siadł na łóżku, ocucił się i myślał trzeźwo. I mówił do siebie: Ojciec się sprzeciwi, więc cóż? Wtedy ją wykradnę i ucieknę z nią gdziebądź za granicę* Wielka historja! Będzie się gniewał pół roku albo i rok, przecież z głodu umrzeć mi nie da. Wygniewamy się — a potem się pogodzimy.

Młodość nie łatwo się poddaje rozpaczy i w każdym położeniu znajdzie jakąś bramę otwartą, za którą siedzi na

dzieją. To rzekłszy, uspokoił się zupełnie i zasnął snem tak spokojnym, jak gdyby żadnej troski nie miał przed sobą.

Kiedy się zbudził nazajutrz rano i ubrawszy się, wyrzwał przez okno, które wyglądało na folwark, spostrzegł swojego ojca, który właśnie wtedy oglądał z Kańskim obory i stajnie. Pierwsza jego myśl była zejść na dół, przyłączyć się do nich i dać ojcu objaśnienia o tych wszystkich zmianach, które w gospodarstwie pozaprowadzał. Była to bez wątpienia myśl dobra a jej wykonanie byłoby mu przyniosło pożytek, bo byłoby osłabiło niejedno złe wrażenie, które ojciec musiał koniecznie otrzymać, przypatrując się zbliska tym zmianom.

Ale zastanowiwszy się, powiedział sobie: Jeżeli ojciec mnie potrzebuje, to niech mnie zawoła... Ignas swojemi uczuciami się coraz więcej oddalał od ojca. Potem widział, jak wyprowadzono Robinsona przed stajnię, ojciec go bardzo zbliska oglądał, rozmawiał z Kańskim i śmiał się. To go nieprzyjemnie dotknęło, domyślał się, że ojciec gani konia, i powiedział do siebie: Może zły koń? zwłaszcza teraz, kiedy się odżywił i wyspoczywał? Ten koń pójdzie milę za dziesięć minut jak nic. Gzy mieliście kiedy takiego w waszej stadninie? Potem ojciec poszedł na probostwo. Ignas nie wychodził z pokoju. Gorzko mu było: jeszcze wczoraj był tutaj panem, dzisiaj sam nie wie, czym jest. Czekał spotkania się z ojcem przy śniadaniu, z niecierpliwością, ale zarazem z obawą. Jednak się zaciął i powiedział sobie, że trzeba przestać być dzieckiem i stanąć na własnych nogach.

Do śniadania zaprosił ojciec Kańskiego, z czego Ignas był kontent, bo nie potrzebował na pierwszy impet, którego się właśnie obawiał, być z nim sam na sam. Ale za-

dnego impetu nie było. Zaklika przywitał dzieci uprzejmie i grzecznie, a kiedy siadł do śniadania, to było widać po nim szczere zadowolenie, że po tylu przejściach siedzi znowu u siebie przy stole. Dopiero pod koniec śniadania rzekł do Ignasia z uśmiechem:

— Pogospodarowałeś tutaj jak Tatar. Nie będę ci robił za to procesu, boś był w swoim prawie...

Ignas mu przerwał, uderzając w ten sam ton, i rzekł:

— Może ojciec z konia nie kontent?

— Koó doskonały, — odrzekł mu ojciec, — aleś orznął szlachcica nielitościwie.

— Szlachcic przecie nie małoletni...

— Ale tyś małoletni, — rzekł ojciec sucho, — trzeba to będzie temu szlachcicowi jakoś nagrodzić.

Ignas się uczuł niemile dotkniętym tem przypomnieniem małoletności, lecz przymilkł, tymczasem zaś ojciec dodał:

— Gom widział w stajni i wozowni, o to mniejsza, aleś mi porospędzał pisarzy i ekonomów, jeszcześ ich po- grabił — a to byli starzy przyjaciele naszego domu, prawie jak krewni.

— Ale do niczego niezdatni, — rzekł Ignas, chcąc się usprawiedliwić, ale zarazem nabrał odwagi i mówił dalej głosem stanowczym, jakim dotychczas jeszcze nigdy nie przemawiał do ojca, — ojciec gospodarował tu trochę po staropolsku, uchodziło to w dawnych czasach, ale dziś, ktoby tak chciał gospodarować, zwłaszcza nie mając wielkich zasobów, tegoby bardzo prędko zjedli kupcy i sąsiedzi, którzy na te rzeczy całkiem inaczej się zapatrują. Ta staropolszczyzna może miała jakąś wartość moralną, ale to dziś jest moneta bez kursu...

Na to Zaklika poprawił się w krześle i odpowiedział mu z ojcowską powagą:

— W tem, co nazywasz staropolszczyzną, jest bez wątpienia wiele rzeczy przeżytych, które należy porzucić, ale jest także bardzo wiele dobrego. Wszystko, co jest uczciwe i co stanowi naszą właściwość, naszą społeczny i narodową istotę, to należy zatrzymać, choćby nas to miało cokolwiek kosztować. Człowiek ma niewątpliwie tylko tyle wartości, ile jest wart sam w sobie, ale jeżeli ta wartość ma także mieć swoją cenę, to trzeba koniecznie zastosować jej formy do wyobrażeń i pojęć tego społeczeństwa, w którym się żyje. Banknot jakiejś małej rzeczypo spolitej amerykańskiej może być brany za złoto w swoim kraju, ale tu z tym banknotem umrzesz z głodu, podczas kiedy tu lada kwitek, opatrzony moim podpisem, wypłaci ci każdy gotówką. Idzie zatem o to, ażeby honorowano twój podpis, bo inaczej tu nie wyżyjesz. Owóż jeżeli ty szlachtę będziesz orzynał na koniach i grabił ekonomów, co przez całe życie wiernie służyli twym ojcom, to ty będziesz mógł nazbierać bardzo dużo pieniędzy, ale za twój podpis nikt nie da złamanego szeląga. Pieniądze mogą się rozejść, ale wartość twego podpisu zostaje ci na całe życie — i nie od twoich pieniędzy, ale właśnie od wartości twego podpisu zależy całe twoje szczęście i powodzenie. To zatem, co ty staropolszczyzną nazywasz, ma nie- tylko wartość moralną, ale i z twego materialistycznego punktu widzenia jest niezbędnym warunkiem życia. Chcąc tutaj żyć, trzeba się koniecznie tego nauczyć i nie żyć inaczej, tylko tak samo, ale lepiej od innych.

To rzekłszy, wyszedł z Kańskim do swoich pokojów, nie spojrzawszy nawet na syna.

Odtąd chłód nieprzeparty oddzielił ich obydwóch od siebie.

Zaklika nie znienawidził przeto swojego syna. Owszem, zachował dla niego tę samą miłość ojcowską, jaką miał dawniej, ale chciał mu dać uczuć, że ani jego zasad, ani jego postępowania, nie pochwała, i dlatego okazał mu jawnie swoje nieukontentowanie.

Następnych dni zajął się pilnie przywróceniem dawnego porządku we wszystkim, co Ignasz przewracał do góry nogami. Posługiwał się wtem Kańskim i tymi sługami, które Ignasz zachował, ale jego samego nigdy o nic nie pytał, traktował go jako człowieka, którego zdanie nie ma żadnego znaczenia, a nawet rzadko kiedy do niego jakie słowo przemówił, zamierzając sobie, dopiero po przywróceniu dawnego ładu wziąć się do niego, zbliżyć go znowu do siebie i dawać mu nauki we wszystkim, zaczynając od abecadła nauk moralnych, aż do tych zasad, któremi każdy uczciwy człowiek powinien się kierować w swem gospodarstwie. Nie wiedział dotychczas, do jakiego stopnia jego synowi brakuje wszelkiego gruntu moralnego, dopiero teraz się o tem dowiedział, ale był przekonany, że wzięwszy go pod ściślejszą opiekę i prowadząc go we wszystkich jego postępowaniach z ojcowską miłością, ale zarazem z ojcowską powagą, łatwo jego zboczenia naprawi i zrobi z niego człowieka zupełnie odpowiedniego swoim własnym myślom i zasadom.

Jedna rzecz tylko go niepokoiła cokolwiek, to jego uwikłanie się w miłości z Florą. Z tego, co się o tem przez Kańskiego dowiedział, musiał się domyślać, że te miłości podczas jego nieobecności posunęły się za daleko; była-to rzecz brzydka i dla niego niezmiernie przykra. Ale

w tem właśnie, że nastąpiło takie zboczenie z drogi ubitej, znajdował pewne uspokojenie, bo biorąc te rzeczy tak, jak się zwykle dzieją na świecie, spodziewał się, że w najgorszym razie, ażeby ten nieszczęśliwy stosunek rozwikłać, potrzeba będzie ponieść jakieś ofiary pieniężne. Dzisiejsza młodzież, mówił do siebie logicznie, nie jest zdolną idealnej miłości, nie rospacza dla rzeczy tak marnej, i nie umiera z bólu, więc się to jakoś załatwi. Zresztą w tej chwili nie był jeszcze zdecydowanym w tej kwestji i mówił sobie dalej: Dopóki jest małoletnim, nie pozwolę, mam prawo do tego i bardzo słuszne powody, — a jeśli potem się uprze, to trudno, niech sobie jedzie na Żmudź, w tamtejszem towarzystwie mięszanem Flora może zająć stanowisko znośne a w danym razie nawet i świetne.

Zaczem był dobrej myśli i w jaknajlepszym humorze naprawiał nieporządki w swem gospodarstwie.

Z poroszczędzanych sług pierwszy stary Felczer powrócił, sprowadził na powrót swoją apteczkę i rozłożył się w swoim dawnym mieszkaniu. Za nim popowracali furmani i włodarze, pisarze i ekonomowie, i pozwracano im wszystko, co im Ignaś pograbił. Za ich powrotem zawiął dawny duch w Zaklikowie i wszyscy znów odetchnęli dawnem szczęściem i swobodą. A pod koniec tygodnia jak gdyby słońce zeszło w pałacu, na folwarku i we wsi: Prandota wrócił i przywiózł ze sobą Fujarę.

* * *

Kiedy Prandota, wysiadłszy na swoim probostwie z powozu, otrząsał podróżny proch ze swoich sandałów, do głębi serca wzruszony a zarazem serdecznie niecier

pliwy Fujara przyleciał bez tchu do pałacu, przebiegł kłusem wszystkie pokoje a zastawszy Zaklikę w bibliotece, przeglądającego jakąś książkę przy oknie, z wyciągniętymi ku niemu ramionami rzucił mu się do nóg jak długi i objął go za kolana, całując tylko brzeg jego sukni, bo nie mógł ani słowa wymówić z wruszenia.

Zaklika nachylił się ku niemu, aby go podnieść, ale on tylko oprzytomniał o tyle, że podniósł głowę i patrząc mu w twarz, zawołał głosem drżącym z radości, chociaż łzami zalany:

— Gdyby moja matka najświętsza zstąpiła do mnie na ziemię, tobym się tak nie ucieszył...

A kiedy to mówił, łzy strumieniami mu ciekły po twarzy.

Zaklika tak się tem przywitaniem rozczulił, że go z całej siły podniósł za obydwa ramiona i serdecznie przycisnął do piersi. Znał Fujarę od lat dwudziestu i wiedział, jak szczerze jest przywiązany do jego domu, ale dopiero dziś po raz pierwszy uderzyło mu serce dla niego. Jednak zarazem smutna myśl mu przeleciała przez głowę i mówił sobie: Obcy człowiek i niemasz nic w nim osobliwego a przecież ludzkie serce ma pod żebrami; dlaczegoż moje własne dzieci mnie tak nie przywitały, kiedym dla nich zmartwychwstał?... Ale ten obcy człowiek z innego był pokolenia.

Fujara jeszcze go trzymał za rękę i patrzył na niego tak, jak gdyby własnym oczom nie wierzył, kiedy Zaklika go spytał:

— Cóż? ucieszyliście się, kiedyście odebrali depeszę? powiedźcie mi, jak to było?

Ale Fujara jeszcze wciąż patrzył na niego jak w odurzeniu i mówił:

— Patrzę na ciebie, widzę cię i dotykam a zdaje mi się, jak gdybym był we śnie...

Lecz przyszedłszy nareszcie do siebie, opowiedział mu, jak to było.

— Kiedy Prandota odebrał depeszę w Genewie, — mówił Fujara, — było to popołudniu, więc zaraz przybiegł z nią do mnie do kawiarnianego ogródka, gdzie wiedział, że mnie o tej godzinie z pewnością zastanie. Daje mi depeszę do przeczytania i pyta, co ja o tem myślę. Prawdę mówiąc, jam zgłupiał, bo aż mi się ciemno w oczach zrobiło. Pytam ja jego, on mówi: — To łapka, nie głupim.. Mówimy więc dalej a on powiada: — Że Zaklika mógł leżeć w letargu, to bardzo prawdopodobna. Ja sam miałem to przeczucie, dlatego zdjąłem sam wieko z trumny i kazałem Frydze, aby już tego dnia nie wychodził z kaplicy. Kiedym nazajutrz rano zastał kaplicę zapieczętowaną i wartę koło niej, byłem już prawie pewny, że się obudził, i że go razem z Frygą porwano. Ale jak on się wydobył z więzienia? tu rozum staje, bo to jest niepodobieństwo... Takeśmy jeszcze z jaką godzinę głowy sobie nad tem łamali, aż tu Prandota nagle uderzył się w czoło i zawołał: — Frak! teraz rozumiem, Zaklika żyje! Panie Józefie, pakuj twoje manatki, jeszcze dzisiejszym pociągiem jedziemy do domu... Jam się jeszcze wahał cokolwiek i mówię: — A jeśli to łapka na jegomości i na mnie? głupia rzecz dostać się w takie szpony, może lepiej zaczekać... Ale on na to: — Tośmy przecie nie głupi, zatrzymamy się przed przykomorkiem a tam się prawdy dowiemy. — Takeśmy zaraz pojechali na kolej...

A wtedy wszedł do biblioteki Prandota.

Kiedy obydwaj przyjaciele się obaczyli, to powalili się na siebie z wyciągniętymi ku sobie ramionami jak dwa posągi i stali tak przez chwilę, przyciskając się wzajem do piersi — a kiedy się wypuścili, to mieli twarze zaczerwienione od wzruszenia i oczy łzami zalane, ale z ich łez były promienie radości:

Piewszy odezwał się Prandota, mówiąc:

— Bóg wielki! jeżeli zśle na nas nieszczęścia, to na to, aby nas nauczyć, że ma dla nas takie radości, których jedna chwila wynagradza choćby i kilkoletnie cierpienia.

Poczem zasiedli naprzeciw siebie i opowiadali sobie wzajemnie swoje odyssey.

Fujara pobiegł tymczasem na folwark, ażeby swoje dawne mieszkanie wziąć w posiadanie i dowiedzieć się od sług, co się tu działo podczas jego nieobecności.

Bawił tara z godzinę albo i więcej — a kiedy wrócił, to Zaklika z Prandotą jeszcze wciąż ze sobą gadali.

Właśnie teraz mówili o dzieciach. Prandota rzekł:

— Więc z Geni jesteś kontent i z Firlejów?

— Genia nie dała mi żadnego powodu do nieukontentowania. Temperament chłodny, ale to trudno zmienić. Firlejowie, zresztą jak zawsze, zachowali się przyzwoicie. Z nich wszystkich jeszcze najwięcej wart stary Firlej, jest

* w nim wiele dobrego z dawnych czasów. Frydrusz także zanadto zimny, jak na swój wiek...

— Nie tak zimny, jak ci się zdaje, — zauważył Prandota, — ale zawsze poczciwy.

— Nie przeczę, — rzekł obojętnie Zaklika, — ale są poczciwsi od niego.

Prandota widocznie z niechęcią słyszał te słowa, bo powiedział mu na to:

— To jest kwestya sympaty, której nie należy tam brać w rachubę, gdzie idzie o los osób trzecich.

Poczem zaraz zapytał:

— Ale z Ignasiem bićda?

Zaklika milczał przez chwilę a potem rzekł:

— Nie tak wielka, jak mi się zdawało na pierwszy rzut oka. Majątku nie straci, to pewna a to już jest coś. Niektóre zasady niezgodne z naszymi pomału zmienia a z czasem nauczy się tak żyć, jak żyją wszyscy w tym kraju. Może się jeszcze i pewne uczucia w nim obudzą, których nie ma, jest jeszcze na to dość młodym. Tylko go trzeba wydobyć z pod tych wpływów, którym się poddał podczas mojej nieobecności. Jak mi powiadają służący, Flora tutaj przez ten czas gospodarowała jak u siebie...

Na wspomnienie Flory Fujara zaczął się niepokoić, twarz mu się zmieniła, oczy zaczęły biegać niespokojnie, chodził niecierpliwymi krokami po pokoju i rzucał od czasu do czasu wrokiem na Prandotę, jak gdyby go pytał, czy ma coś powiedzieć.

Zaklika to spostrzegł i rzekł do niego:

—• Coś masz na języku a nie możesz się zdecydować.

W Fucharze widocznie nerwy drżały, wahał się jeszcze i rzekł:

— Nie wiem doprawdy, czy mam to powiedzieć.

— "Pal Tadeuszk", — rzekł do niego Prandota.

Na to Fujara przystąpił uroczyście do Zakliki i tak mówił:

— Wiesz, Czesławie, że ja nigdy plotek nie robię. Wiedziałem od wiosny, że Ignas kocha się w Florze, ale

milczałem, chociaż Bóg widział, jak mnie to bolało. Bo prawdę mówiąc, do czegoś-by to takie małżeństwo było podobne! Od czasu, jak Polska przyjęła chrzest, jeszcze żaden Zaklika się tak nie ożenił. Mimo to milczałem. Ale teraz, to już jest rzecz sumienia...

Zaklika się uśmiechnął na tę perorę a Fujara odetchnąwszy cokolwiek, mówił dalej:

— Sumienia i obowiązku, chociaż to rzecz niesłychana. Otóż wyobraź sobie, kiedym do Genewy przyjechał, że to hotele i tam okrutnie drogie, rzuciłem się zaraz po odleglejszych dzielnicach miasta, aby sobie znaleźć jaki pokoik niedrogi w jakim domu prywatnym. I nareszcie znalazłem* prawda że trochę opodał, ale pokój duży, umeblowany bardzo wygodnie, z widokiem na ogród, za czterdzieści franków miesięczne. Zaprowadziłem się tam, wdając się z gospodynią w rozmowę i czego się dowiaduję: oto że w tym pokoju przez cały rok przeszły mieszkała Flora. Ale jak tam mieszkała? maritalement ze studentem! Maritalement! — dodał Fujara, ocierając pot z czoła, — a-t-on jamais vu chose pareille! Tu pannę udaje a tam takie rzeczy... Prawdę mówiąc, na mnie ona nigdy nie robiła wrażenia panny, ale żeby aż tak!... A to jeszcze nie wszystko...

Tu Fujara przerwał, bo mu oddechu zabrakło, ale Zaklika się tylko na to uśmiechnął i rzekł:

— Fas, vas, — vas toujours.

Więc Fujara znowu głos zabrał i mówił dalej:

— I naturalnie... urodził się z tego studencik. Czy wierzysz temu?

— Ale wierzę, mów dalej.

— To już dobrze, — mówił Fujara, — ale co dalej? Wyobraź sobie, że dziecka ochrzcić nie pozwoliła, mówiąc

że to jest przesąd. Straszna rzecz! Kiedy gospodni mi to opowiadała, sama się przeżegnała, choć oswojona z życiem studentów i takich studentek. Ale i na tem jeszcze nie koniec...

— Vas toujours, ^ mówił Zaklika, zawsze z spokojnym uśmiechem na twarzy, po którym widać było pewne zadowolenie.

— Więc dalej opowiadał Fujara, irytując się coraz więcej, — we dwa miesiące dziecko umiera. Umiera niewiadomo na jaką chorobę, powstaje stąd sprzeczka pomiędzy nią a lekarzem i ona, — wyobraź sobie i wierz albo nie wierz, ale ja ręczę ci za to, — i ona posyła trupa tego dziecka do anatomicznego laboratorium i sama jest obecną przy jego dyssekcji! Matka przy dyssekcji własnego dziecka! wiesz, to już chyba świat na nas się skończył.. Muszę się czego napić, bo mi się robi niedobrze na to samo wspomnienie ..

To rzekłszy, wybiegł z pokoju.

Zaklika spojrział na Prandotę i rzekł:

— Cóż ty na to? przecie Fujara nie kłamie?

— Ż pewnością nie kłamie, — odpowiedział mu na to Prandota z powagą, — bo jak mi to opowiedział jeszcze w Genewie, skonstatowałem sam wszystkie fakta, rozmawiałem z tą gospodynią i byłem nawet w laboratorium.

Na to Zaklika także spoważniał, myślał przez chwilę a potem rzekł z widocznym smutkiem wewnętrznym:

— To już świat całkiem inny. Nie masz wątplenia, że trzeba walczyć wszelkimi siłami przeciwko niemu, ale nie należy się oddawać złudzeniom, bo to już dziś rozum widzi, że ta walka będzie zawzięta i długa i kto wie jeszcze, kto w niej zwycięży.

— Zwycięży wiara, — rzekł na to Prandota głosem stanowczym, — łódka św. Piotra wypłynie na wierzch z każdej burzy a nawet z każdego potopu.

Zaklika uśmiechnął się na to boleśnie i rzekł:

— La barque de St. Pierre n'en perira pas, powiedział raz Pius IX, mais l'equipage boira un coup.

XVII.

Przez cały ten tydzień, od powrotu Zakliki aż do przyjazdu Prandoty i jeszcze przez kilka dni potem, stosunek ojca do syna się nie polepszył, ale także się nie pogorszył. Wprawdzie Zaklika, im bliżej się rozpatrywał w tych zmianach, które Ignasz pozaprowadzał w jego obszernych dobrach, tem więcej miał powodów do nieukontentowania, do gniewu a przeto i do złego humoru. We wszystkich tych zmianach widać było nagi egoizm, brutalną bezwzględność i brak zupełny wszelkiego ludzkiego uczucia. Nie było to głupie, owszem z czysto materyalnego punktu widzenia dobrze obrachowane a przeto rozumne: ale gdyby te zmiany zostały przeprowadzone do końca, to Zaklików byłby się zamienił w jakiś czysto mechaniczny organizm, w którym pomiędzy jakimkolwiek rolniczym narzędziem a człowiekiem nie byłoby żadnej różnicy, bo tam tak z jednego, jak z drugiego, wyciąga się jego siłę roboczą, jak najtańszym kosztem do ostatniego oddechu a jak ten oddech ustanie, odrzuca się oboje bez żadnej litości i bez żadnego względu na to, co się z niem stanie. W tych zmianach, chociaż składających się z najrozmaitszych szczegółów i szczegółików, była konsekwencya i systematyczność. Lubiący w każdym objawie szukać myśli przewodniej, Zaklika to spostrzegł

i zastanowił się nad tem — a chociaż miał zamiar nie mówić o tych zmianach ze swoim synem, aby mu nie potrzebował robić wyrzutów, przecież jednego dnia go o to zapytał.

Ale Ignaś odpowiedział mu na to z takim uśmiechem, że się w nim przebijało pewne uczucie wyższości:

— Bo to tak jest. Chcąc wytworzyć jakiś organizm, nie mamy do tego innego wzoru, jak tylko ten, który nam przedstawia natura. Owoż jeżeli się rozpatrzmy w organizmie wszechświata, którego bardzo dokładny obraz daje nam astronomia, to spostrzegamy, że tam nie masz ani śladu żadnego uczucia, ani też jakiegokolwiek względności. Ciała niebieskie rodzą się z mgławic, zgęszczają się, dojrzewają i okrywają się wegetacją, do której także i człowiek należy: jak długo te ciała żyją życiem normalnym i wegetację wydają, tak długo w swoim systemie mają wszystko, co im do życia potrzebne, powietrze, światło i ciepło, regularny obrót około swojej osi i także obrót około słońca a zarazem i pewność, że ich w ich biegu nie rozbije jaki inny pła- neta, — ale jak zmarzną i wegetacji już nie wydają, wtedy rozsypują się na asteroidy i aerolity i wtedy już nikt się nie troszczy o dalsze ich losy. Naturą rządzą prawa — a te prawa są także prawami dla człowieka.

Zaklika był tem niezmiernie zdziwiony, że w tym zaledwie dorosłym młodzieńcu znajdują się już także zasadnicze pojęcia, których zazwyczaj nabiera się dopiero z doświadczeniem i wiekiem. Przypomniał sobie, co mu o nim na wiosnę powiedział Prandota, że znalazł w nim tylko gotowe rezultaty nauk, które zachował w pamięci, ale ich sam nie przetrawił — i mówił sobie: W dzisiejszych szkołach oczywiście za wiele nauk się wyklada młodzieży i wy

kłada się je sumarycznie a przeto i powierzchownie. Młodzież tylko ich rezultaty pamięta, bierze je gołosłownie a nie umiając samodzielnie nad nimi rozmyślać, wyciąga z nich wnioski nieuzasadnione i jednostronne i zaraz je zastosowuje w swoim postępowaniu. Jest to złe daleko gorsze od wszystkich zboczeń pochodzących z temperamentu albo z lekkomyślności, bo tych można się pozbyć z rozwijającym się rozgarnieniem a tamte niełatwo dają się wykorzenić, bo są niby naukowo uzasadnione. Ale co najgorsza, to to, że kiedy dawniej występki i zbrodnie popełniano tylko z gorącej krwi i z namiętności i sami zbrodniarze uważali je jako grzechy ciężące na ich sumieniu, dziś popełniają je z przekonania i usiłują usprawiedliwić je prawami natury.

To jest objaw zupełnie nowy...

Zaklikę zgryzło to spostrzeżenie zrobione na swoim synu, jakoż odpowiedział mu z goryczą na ustach:

— Pochwytałeś jakieś naukowe teorematy i bierzesz je za dobrą monetę, nie wiedząc o tem, że takio prawdy należą wyłącznie do świata teorii — a ażeby te teorie zastosować do praktyki życia, potrzeba jeszcze czegoś więcej, niżeli samego spamiętania naukowych formułek. Nie- masz nic niebezpieczniejszego dla młodego człowieka jak naukowe teorie, jeżeli nie umie określić dokładnie ich właściwej wartości. Go mi tu powiedziałaś o prawach natury, jest niezmiernie powierzchowne i płytkie w twojem zastosowaniu a wnioski, jakie z nich wyprowadzasz, z gruntu fałszywe. Te prawa, o których mówisz: są tylko objawem czysto materialnego znaczenia — a po za tym objawem jest jeszcze coś więcej, czego ty nie widzisz. Człowiek, jeżeli tak chcesz, może być także uważanym jako utwór

wegetacyi ziemi, ale człowiek ma świadomość siebie i wolną wolę, których nie ma żadne ciało niebieskie. Ciało niebieskie musi odbywać obrót około swojej osi i około słońca według prawa ciężkości — a człowiek może się poruszać jak chce według swej własnej woli. Na planecie spełnia się los z góry zakreślony i nieodmienny, człowiek zaś jest panem swoich uczynków i dlatego jest za nie odpowiedzialnym. Człowiek ma oprócz tego uczucie — a ktokolwiek go stworzył, tego uczucia z pewnością nie dał mu na to, aby je zabił w sobie i zamienił się w maszynę kierowaną tylko matematycznym rozumem. Świat uczuć jest ci, jak widzę, obcym zupełnie: chciałbym przynajmniej, abyś ich i tam nie miał, gdzie ci tylko szkodę przynoszą...

Zaklika odszedł mocno zachmurzony: ale Ignas się także zachmurzył. Te ostatnie słowa jego ojca odnosiły się oczywiście do Flory. Miał zamiar już w tych dniach z ojcem o swoim ożenieniu się pomówić, te słowa odebrały mu odwagę, bo musiał z nich wnosić, że trafi na opór, z którym będzie musiał się łamać — a jako małoletni sam nie wiedział, jakby go mógł przełamać.

Ignas przez ten czas bywał codziennie na Balceró- wce, jeżdżąc tam już popołudniu, jeżeli goście byli u ojca, ale zazwyczaj wieczorem. Tylko raz jeden nie pojechał do Flory a to było w tym dniu, kiedy Balcerek po długim Wahaniu, zdecydował się nareszcie odwiedzić Zaklikę.

Balcerek obawiał się, że go Zaklika źle przyjmie, ale jego obawa okazała się płonną. Zaklika go przyjął jaknaj- uprzejmiej, ani o gospodarstwie, ani o swoich dzieciach wcale mu nie wspominał, natomiast zaś opowiadał mu ze

Zaklika. T. III.

szczegółami o swoim zbudzeniu się z letargu, o uwięzieniu i uwolnieniu.

Balcerka cała sprawa więzienna bardzo mało obchodziła, natomiast mocno zajmował go letarg jako objaw patologiczny. Zaczem go pytał:

— Jakże to było? jak pan spadł z konia, to pan od razu stracił przytomność?

— Od razu, jak gdyby nożem kto uciął.

— A jak pan leżał w letargu, to pan nie miał żadnej świadomości siebie?

— Zgoła żadnej.

— Ani nic podobnego do snu?

— Nic zgoła. Ciemność i nicość.

— Ani świadomości tego, że to jest nicość?

— Co przez to rozumiesz?

— Ja przez to rozumiem to, co Duhring powiedział: Że po śmierci obracamy się w nicość, o tem nie masz wątplenia, tylko to pozostaje jeszcze wątpliwem, czy obróciwszy się w nicość, wiemy o tem, że jesteśmy niczem, czy też nic nie wiemy.

— To Duhring nedorzecznosc powiedział, — zawołał na to śmiejąc się Zaklika, — bo jeżelibyśmy o tem wiedzieli, że jesteśmy niczem, to nie byłibyśmy niczem, tylko czemsiś, co ma wiedzę a przeto czemsiś, co istnieje. Ale Duhring, który o wszystkim wątpi i w nic nie wierzy, jeżeli to powiedział, dowiódł tem tylko, że nawet i tacy ludzie mają jeszcze nadzieję, że śmierć nie zamienia nas w nicość zupełną, tylko jeszcze coś po nas zostaje.

— Ale pan nie miałeś tej wiedzy, leżąc w letargu?

— Nic zgoła.

— A kiedyś się pan zbudził, w jaki sposób obudziła się w panu pamięć i świadomość siebie?

— Kiedym się zbudził, miałem to wrażenie, że spadłem z konia i przede wszystkim obejrzałem się za koniem.

— Tak, że te trzydzieści godzin czy więcej, które pan przeleżałeś w letargu, jak gdyby wcale nie istniały dla pana?

— Tego czasu, — rzekł Zaklika, — który upłynął pomiędzy tą sekundą, w której straciłem przytomność, a tą drugą sekundą, w której się obudziłem, nie mogłem na żaden sposób uchwycić moim pojęciem i jeszcze dzisiaj żadną siłą mego umysłu go zmierzyć nie mogę.

Balcerek się nad tem zamyślił i rzekł:

— Bo czas nie istnieje w rzeczywistości, tylko jest pojęciem wytworzonym przez nasze zmysły i od naszych zmysłów zawisłem.

— Tak jest, — zauważył na to Zaklika, — za przewodem tej myśli możemy sobie utworzyć abstrakcyjne pojęcie wieczności.

Potem zaś dodał z uśmiechem:

— Ale za przewodem tej myśli możemy sobie także wyobrazić, jak to będzie, kiedy trąba archaniola nas zbudzi na sąd ostateczny. Przeleżawszy tysiące wieków w grobach, kiedy się obudzimy, każdy z nas sobie przypomni tylko chwilę swej śmierci, jak gdyby dopiero co zmarł — a te tysiące wieków będą dla nas tylko jak jedna sekunda.

— Takby było, — odpowiedział mu również z uśmiechem Balcerek, — gdyby zmartwychwstanie ciał było mo- żebnem. ' Ale te organizmy fizyczne, których prochy wiatr

7*

poroswiewał i z których wytworzyło się po kolei tysiące innych organizmów fizycznych, z martwych powstać nie mogą a przeto i nasza indywidualna świadomość siebie się zbudzić nie może.

— Tego wszystkiego my wiedzieć nie możemy, — rzekł poważnie Zaklika, — tak jak nie wiemy, jakim sposobem nasza indywidualna świadomość się rodzi.

Potem szli do obiadu.

U Zakliki jadano w zimie, tak teraz jak dawniej, o godzinie szóstej wieczorem. Jadano w wielkiej sali jadalnej, gdzie dawniej wieczorami siadywał generał, bo tam było dużo powietrza i ani od światła, ani od tytoniowego dymu, nie było nigdy duszności. Obiad trwał całą godzinę albo i więcej a potem jeszcze drugą godzinę rozmiawiano przy stole. Przy obiedzie Zaklika z Balcerkiem rozmawiali dalej o zadaniach filozoficznych, pomimo to rozmowa była zajmującą a chwilami nawet wesołą, bo mieszał się w nią Fujara i stawiał nieraz najzabawniejsze pytania, nie mogąc na żaden sposób zrozumieć, jakby to mogło być, żeby nie było czasu i przestrzeni.

— Wszystko to są fantazyje, — powiedział Fujara. — I ja wam powiadam, że fantazyje filozofów są jeszcze daleko więcej powietrzne, niżeli fantazyje poetów. Bo poeta, jeżeli chce być czytany, musi koniecznie swoim fantastycznym utworom nadać jakieś formy widzialne, w jego utworach jest zatem coś realnego a przeto jego fantazyja ma zakreślone pewne granice, z których wykroczyć nie może, — kiedy tymczasem filozof nie dba wcale o formy, buja po światach myśli, które żadnych granic nie mają, a przeto może tworzyć mrzonki jaknajzupełniej powietrzne, których

ktos drugi uchwycić nie może a często nawet i on sam nie rozumie.

— Fujara ma podobno cokolwiek racji, — zauważał Zaklika.

— Ma rację zupełną, — dodał do tego Balcerek, — ale to się odnosi tylko do filozofów spekulatywnych. Dlatego tym filozofom tak wiele czasu potrzeba było na to, aby się spostrzegli, że wiszą w powietrzu, i aby nareszcie ustąpili ze sceny. Dlatego także pomiędzy tymi filozofami było tak wielu, którzy zmieniawszy po kilka razy swe przekonania, przyznali się sami do tego, że nic nie wiedzą i w końcu uciekli się do wiary a niektórzy z nich nawet w bigoterię popadli. Ale to się pozytywistom nie stanie, bo ci nie latają po powietrzu, tylko się opierają na podstawach realnych.

— Ot, nie wiem, — odpowiedział mu na to Zaklika, — grosza nie dałbym za to, żę wy jeszcze daleko prędzej waszą rolę skończycie. Wy z waszą materią bardzo prędko się ułatwicie, przekonacie się wkrótce, że ona także nic nie wie a wtedy uciekniecie także w te światy, gdzie niemasz nic więcej prócz wiary. Wy jeszcze teraz niby jesteście górą, ale ja już od niejakiego czasu spostrzegam znaki, że i mię. dzy wami zaczynają się zagnieżdżać pewne pojęcia mistyczne. ..

Zaklika mówił dalej w ten sens, ale coraz powolniej, przyczem ciągle poziewał i oczy mu się kleiły.

Balcerek, uprzedzony już przez Ignasia o tej słabości ojca, zwrócił na niego pilną uwagę i obserwował go z wiei- kiem zajęciem — a kiedy Zaklika umilkł na chwilę, rzekł do niego:

— Pana zbiera ta senność, o której mi już wspomi-

nano. Jest to objaw nienaturalny, który wartoby zbadać z naukową ścisłością.

Na to Zaklika uśmiechnął się i rzekł:

— Według waszych teorii, wszystko, cosię dzieje w naturze, jest naturalne. Zresztą rzuć tylko okiem na drugą stronę stołu a obaczysz drugi taki sam objaw.

Jakoż istotnie po drugiej stronie stołu Fujara nawet wcale nie usiłował bronić się swojej senności, tylko oparł się obydwoma łokciami o stół, głowę oparł na rękach i chrapał sobie w najlepsze. Wszyscy się na to roześmieli a Balcerek rzekł:

— To całkiem co innego, jego filozoficzne rozprawy uspiły a może i kieliszek koniaku.

Ale tymczasem Zaklika wstał i powiedział:

— Bawcie się między sobą, ja muszę trochę odpocząć. .

Balcerek wstał także, podał mu ramię i odprowadził go do tego pokoju, który przytykał do biblioteki.

Tam między oknami stał duży stół zarzucony książkami, na którym paliła się wielka lampa astralna. Obok stołu stał wysoki i głęboki fotel z podnóżkiem, spuścizna po jenerale. W tym fotelu Zaklika zwykł był wieczorami siadywać i bawić się czytaniem. I teraz także siadł w tym fotelu i zape wne byłby rad, aby go zostawiono w spokoju jak zwykle. Ale ciekawy Balcerek siadł obok niego na krześle i usiłował utrzymać z nim rozmowę, ażeby widzieć, czy ta senność da się zwyciężyć.

— Pan powinien wszystkie siły wyężyć, — mówił do niego, — ażeby przemódz tę senność, jak pan ją przemoże raz, drugi i trzeci, to ona potem nie wróci.

— Próbowałem, — rzekł Zaklika z zamkniętymi oczyma, — ale nie mogłem.

— Ale zawsze coś na to zrobić potrzeba. Ponieważ to jest peryodyczne, to jabym przeciw temu użył chininy.

Zaklika zrobił wielkie wysilenie, ale powiedział tylko te słowa i

— Felczer daje mi pić jakieś zioła i to riii trochę pomaga.

— Felczer! —zawołał na to Balcer, śmiejąc się głośno, - co on o tem rozumie? On pana jeszcze wysmaruje sadłem borsuczem...

— To jest we krwi, — dodał półgłosem Zaklika.

— Ale nie, — zawołał Balcer, to są nerwy. Char- cot-by panu na to z pewnością poradził, trzebaby pojechać do niego...

Potem mówił dalej, ale Zaklika już go nie słyszał. Oparł głowę o plecy fotelu i zasnął. Balcer obserwował go jeszcze przez chwilę i zdało mu się, że nie był to sen naturalny, albowiem naprzód Zaklika był bardzo blady a ta bladość tak wyglądała, jak gdyby krew, pod skórą twarzy zakrzepła — a potem co chwila całą siłą z głębi piersi od- dechał, co sprawiało takie wrażenie, jak gdyby usiłował instynktowo zrzucić z siebie jakąś zmore, która go dusiła. Balcerek spojrział na zegarek, była godzina dziewiąta. Próbował jeszcze mówić do niego, ale napróżno. Zdawało inU się, że Zaklika go słyszy, ale nie może mu odpowiedzieć. Zaczem rzekł do siebie: Pół-letarg, przemijający, — i wrócił do sali jadalnej

Tymczasem w sali jadalnej już zebrano ze stołu i stół założono ilustrowanymi dziennikami i rycinami Frydrusz przyjechał na krótką konwersację wieczorną. Fujara już się

zbudził i objaśniał im ryciny, wykładając bardzo wymownie błędy rysunku i perspektywy, które w nich znalazł. Balcerk przysiadł się do nich i opowiadał im spostrzeżenia, jakie zrobił na Zaklice.

Wyraził przytem zdanie, iż trzeba koniecznie, ażeby Zaklika do Paryża pojechał. Ignaś to zdanie pochwalał, ale Frydrusz był mu przeciwny utrzymując, że to nie jest żadna choroba. Według niego Zaklika, siedząc w więzieniu, odzwyczaił się od tłustych obiadów wieczornych, które senność przynoszą, a przyzwyczaił się iść spać z kurami, i to jest jego cała choroba. Stawił jako przykład Fujarę, który także po obiedzie musi przysnąć cokolwiek. Z wiosną to minie bez żadnej kuracyi...

O wpół do dziesiątej Zaklika przyszedł do sali jadalnej i był zdrowy, rzeźwy, rumiany na twarzy i pełen jak- najlepszego humoru. Frydrusz rzucił okiem na Balcerka, aby mu dać do zrozumienia, do jakiego stopnia miał rację przeciwko jego urojonej chorobie. Zaklika zasiadł do stołu, Genia zajęła się przygotowaniem herbaty na drugim stole, stojącym między kredensami, Zaklika podniósł na nowo kwestye filozoficzne, przerwane przy końcu obiadu i konwersacya stała się tak zajmującą, że nawet Fujara słuchał jej z natężoną uwagą i sam się czasem odzywał. Tylko Ignaś się niecierpliwił. On miał zamiar odprowadzić Balcerka do domu i zabawić z jaką godzinę u Flory: był już niekontent z przyjazdu Frydrusza a teraz jeszcze i ojciec się zjawił i takie dySSERTACE rozpoczęł, że pewnie kur przy nich zapieje. DySSERTACE te trwały też w samej istocie do samej północy, Ignaś położył się spać w piekielnym humorze, mówiąc do siebie: Jeszcze jedna noc takiej męki nie

znośnej! ale jutro rospawię się z temi kaprysami, niech się dzieje co chce.. •

Ignasz miał bardzo słuszne powody skarżyć się na kaprysy: albowiem Flora, przez cały ten czas od powrotu Zakliki, nie pozwoliła mu wcale przystąpić do siebie. Widziała go chętnie, rozmawiała z nim serdecznie i czule jak dawniej, nie dawała mu nawet uczuwać swego złego humoru, nie usuwała mu ręki wśród rozmowy i nieraz nawet go sama ścisnęła: ale jak tylko spostrzegła, że młodzieniec się zaczyna rumienić, że mu się oddech zapiera w piersiach, że jego oczy zasuwają się tą mgłą nieprzejrzaną, co to niby na pozór wilgotna i zimna, ale pod którą w kształcie ledwie dojrzanych iskierek błyskawice latają, zaraz usuwała mu rękę, wstawała z kanapy, przechodziła się po pokoju i zaczynała konwersacyę o rzeczach poważnych.

W młodzieńcu wtenczas wszystkie struny się rwały, jego kipiąca krew ścinała się w żyłach, to znów się przewalała ognistemi bałwany, zrywał się nagle z kanapy, przybiegał do niej, chciał ją objąć w swoje ramiona: ale ona wtenczas odsuwała go z gniewem od siebie, mówiąc: — Proszę cię, miej litość nademną! Powinieneś przecie szanować to położenie, w którym się znajduję, chyba że nie masz ludzkiego uczucia w twem sercu...

Litość, położenie, uczucie, — myślał natenczas młodzieniec, — to wszystko dobrze. Ale jakżeż tak... i dlaczego ? ten dzień, co minie, już nigdy nie wróci...

— Jutro będzie dzień także, — mówiła Flora, — myśl
o czym innym, dosyć już tych lekkomyślności...

W niektórych chwilach, kiedy krew w nim się do tego stopnia rozgrzała, iż mu się zdało, że przerwie nabrzmiałe żyły na skroniach i na wierzch wytryśnie, stawał tak przed nią, jak gdyby był gotów dopuścić się gwałtu: lecz ona wtedy zamieniała się w posąg i rzucała na niego oczyma tak pełnemi błyskawic i gromów, że opuszczał ręce i oczy ku ziemi i odchodził jak zwierzę, posłuszne wzrokowi swojego pana.

Innym razem miękł, rozczulał się i uciekał się do zakłęb i próśb. Wszakże Flora tylko uśmiechała się na to a w jej uśmiechu przebijało się jaknaj widoczniej bardzo sporo ironii. Sama pełna temperamentu i naturalnej energii, dla mężczyzn, którzy prócz próśb nie mieli innych środków działania, mogła mieć tylko pogardę. Ignaś to uczuł— i dał pokój tego rodzaju umizgom, które w tem położeniu oczywiście nie były na czasie.

Tak było aż do dnia wczorajszego.

Ale dziś, przespawszy noc niespokojną, zmęczony swoją kipiącą krwią i marzeniem o Florze w najrozmaitszych postaciach, które nawet we śnie go odurzały, wstał rano z silnem postanowieniem zakończenia tej nieznośnej męczarni. Nudził sobą w gorączkowej niecierpliwości przez cały dzień — a po obiedzie, jak tylko ojciec zaczął usypiać, wymknął się z sali jadalnej, wsiadł na wózek i pojechał na Balcerówkę Przez drogę wzmocnił jeszcze swoje postanowienie. Według jego niedoświadczonego rozumu były to poprostu kaprysy, takim kaprysom się poddać nie można, trzeba je złamać koniecznie, inaczej cóżby to był za stosunek męża do żony? — A jeśli złamać się nie da, —

mówił do siebie; — to niech się dzieje co chce: w takim wypadku zerwę tę awanturę, może tak lepiej... Tak silny swoją wolą i upojony energią, którą w swej głowie uroił, pełen dobrej myśli zajechał przed ganek.

Trafił szczęśliwie. Balcerek wyjechał jeszcze popołudniu z odwiedzinami do Tarła i dotąd nie wrócił, Flora siedziała sama w salonie i czytała jakiś romans francuski.

Ignas wszedł do salonu z uśmiechem na twarzy, zbliżył się do niej szybkim krokiem, ścisnął jej rękę i pocałował ją w czoło.

Flora spojrzała z uśmiechem na niego, jasny promień przeleciał po jej twarzy, była przekonana, że w Zaklikowie stało się coś pomyślnego, i rzekła do niego:

— Jakież dobre przywozisz nowiny. Cóż się tam stało?

— Dotąd nic jeszcze.

Na tę odpowiedź Florze przeciągnęła się twarz, spojrzała chmurnie na niego, odwróciła się i zaczęła się przechadzać wzdłuż salonu, zostawiwszy go stojącego przy kanapie.

Ignas nie spodziewał się takiego przyjęcia, wodził za nią błędnymi oczyma, lecz milczał.

Po chwili spytała go głosem suchym, po za którym wszakże szumiało coś takiego jak wichur przed burzą:

— Jakże długo będziesz się jeszcze namyślał ?

Ignas uczuł się obrażonym i rzekł:

— Jeżeli tym tonem będziemy gadać ze sobą, to się nigdy nie dogadamy.

Flora zmięknęła cokolwiek i powiedziała spokojniej:

— Tu nie o ton chodzi, tylko o rzecz. Widzisz mnie w takich męczarniach i nie myślisz wcale o tern, aby mnie z nich wydobyć. Jeżeli rozumiesz, że takie postępowanie

jest dowodem miłości, to chyba masz jakiś inny rozum, niżeli ci wszyscy ludzie, co mają zdrowych pięć zmysłów...

Młodzieniec uczuł się skonfundowanym i zaczął się usprawiedliwiać. Mówił, że ojciec był dotąd jeszcze ciągle zajęty swojemi gospodarskimi sprawami, że Kański prawie ciągle jest przy nim, jak nie ma Kańskiego, to Prandota siedzi u niego a oprócz tego jeszcze i gość często się zda- « rzy, zgoła nie mógł dotychczas dopatrzeć chwili, w którejby ojca zastał samego.

Mówił rozsądnie, wymownie i długo — a skończył na tem, że dzisiaj właśnie powziął postanowienie i jutro z pewnością się z ojcem rozmówi. Kiedy Ignaś się przed nią tak usprawiedliwiał, ona przechadzała się wzdłuż salonu i słuchała go uważnie i z widocznym zadowoleniem. Była ubrana w biały szarafan, zgrabnie skrojony z cienkiej wełnianej materji a garnirowany czerwonymi wstążkami i takąż kitajką podszyty, ale te jaskrawe kolory gasły przy świetnym blasku cery jej twarzy, może mniej białej, ale pod którą grała krew młoda i świeża a której ciepło i życie odbijało się w jej czarnych oczach, błyszczących w tej chwili przejmującą tęsknotą i rozrzewnieniem. Kiedy poły jej szarafana w tej przechadzce się rozwiewały, widać było przepyszne jej formy, dla żywej wyobraźni jak gdyby tylko lekką gazą zakryte — a z pod jej koszuli, nisko wygorowanej na piersiach i wąską koronką obszytej, wyglądała wyższa część jej biustu, woniejąca upajającym zapachem młodości i zdrowia a kryjąca w sobie tajemnice tych wszystkich czarownych nocy, po których dzisiaj zostało tylko odurzające wspomnienie.,,

Ignaś nie mógł od niej oczu oderwać, im więcej się

jej przypatrywał, tem cieplejszy obieg krwi czuł w swoich żyłach, ciepło krwi udzieliło się jego sercu i odżywiło porywające uczucie miłości bez granic, udzieliło się głowie i obudziło myśl, że to jest najwyższy ideał kobiety, jakiego drugiego niemasz na całej ziemi — a kiedy ją w końcu swojej przemowy zapewniał, że już jutro rozmówi się z ojcem, to jego głos brzmiał tym dźwiękiem pełnym i jasnym, jaki mu nadać mogą tylko prawda i przekonanie.

Flora uczuła tę prawdę, uwierzyła w nią, podała mu rękę i rzekła:

— Zróbże tak jak mówisz a jutro wieczór, przynajmniej tak się spodziewam, przywieziesz mi dobrą wiadomość.

A to mówiąc, zrobiła ruch taki, jak gdyby go chciała pożegnać i odejść.

Ale Ignaś, jak tylko się dotknął jej ręki i uczuł ciepło jej krwi, szczerwieniał na twary jak rozwinięta piwonija, oczy mu zasły ową mgłą nieprzejrzystą, pełną błyskawic cznych iskierek, usta mu drgać zaczęły, ścisnął konwulsyjnie jej rękę a prawe ramię wyciągnął, aby ją objąć w pół, i rzekł głosem drżącym:

— Floro! przecież tak się nie rozejdziemy.

Ale ona wyrwała rękę z jego dłoni, zmarszczyła brwi i zawołała surowo:

— Proszę cię, daj mi pokój. Tu świat się wali nade- mną a tobie latają po głowie takie niedorzeczności. Trzeba naprzód naprawić, coś zrobić. Jedź a namyśl się dobrze, jak masz się rozmówić z ojcem, i nie przyjeżdżaj aż póki nie będziesz miał odpowiedzi. A jeżeli odpowiedź będzie odmowna, to możesz sobie zostać w Zaklikowie: wtedy łędę musiała sama sobie poradzić — i możesz być pewnym,

że sobie poradzę. Dobranoc. Na te słowa w młodzieńcu krew zakrzepła, rozpacz go porwała, rzucił się za nią: ale ona wyszła szybkim krokiem z salonu do swojej sypialni i drzwi zatrzęsnęła za sobą.

Teraz znów on z kolei zamienił się jakby w słup soli. Krew w nim zakrzepła, serce przestało bić a w głowie zrobiła się ta przepaścista próżnia, którą każdy człowiek uczuwa wtedy, kiedy go jakieś wielkie a niespodziewane spotkało nieszczęście i na razie nie wie, co ma z nim począć. Stał jeszcze tak chwilę w besprzytomności — a potem wyszedł wolnym krokiem na werandę, kazał swojemu powozowi zajechać i odjechał do domu.

W drodze, zatuliwszy się w płaszcz od przejmującej wilgoci i zimna, nic nie czuł w sobie i nic nie widział przed sobą i w takim zdrętwieniu zakradł się bocznymi schodami do swoich pokojów: dopiero rozgrzawszy się przy kominie swojej sypialni, zaczął beładnie myśleć nad swem położeniem.

Pierwsza myśl, jaka mu przyszła, była ta, że Flora go teraz trzyma zdała od siebie oczywiście tylko z wyrachowania. Zna jego zapał miłośny i nieprzepartą tęsknotę za nią, zmuszając go do wstrzemięźliwości, chce go zmusić tym środkiem do przyspieszenia decyzji. Uwaga ta rozgniewała go w pierwszej chwili, miał to uczucie, że takie postępowanie jest niegodne. Potem przypomniał sobie, że go Flora czemś straszy. Powiedziała mu wyraźnie, że sama sobie poradzi. Cóż to ma znaczyć? Czy myśli o jakiejś pressyi, którą sama chce wyrzucić na ojca? czy też jakich innych skandalach?... A ta uwaga go strachem przejęła. Jeżeliby się ojciec o wszystkim dowiedział, tak mu się to zdawało, toby to taką piekielną wywołało burzę, że pewnie

cały Zaklikowski pałacby się zapadł pod ziemię. Wówczas wmieszaliby się w to Firleje, Genia, Prandota, obydwaj dwory, wszystkie sąsiedztwa... Zgoła sąd ostateczny. Nie, takiej katastrofy on na żaden sposób dopuścić nie może. Tak myśląc a przeczuwając zarazem, że ojciec swojego przyzwolenia odmówi, miał to rozpaczliwe uczucie, jak gdyby wpadł w jamę, z której niema wyjścia, pierś mu się ścisnęła, oddech się zapał, zimny pot mu wystąpił na czoło.

Lecz myśląc dalej, odetchnął swobodniej, bo znalazł, że przecież jest wyjście. Jeżeli odważnie, stanowczo i silnie wobec ojca wystąpi, jeżeli mu powie, że żadną siłą przełamać się nie da, że w gruncie rzeczy chodzi tu tylko o kilka miesięcy, bo on z dniem dościa do pełnoletności z pewnością weźmie ślub z Florą, to ojciec się ugnie, bo dla czegożby miał się czemuś sprzeciwiać, co na każdy wypadek jest nieuniknionem? O to tylko idzie, ażeby silnie wystąpić. Potem zaczął myśleć o Florze — a wtedy znalazł, że jej postępowanie jest bez zarzutu. Jeżeli się kieruje wyrachowaniem, to tem tylko dowodzi, do jakiego stopnia jest zawsze i wszędzie rozumną. Jeżeli mu grozi, to pewnie nie myśli o żadnych skandalach, tylko jako energiczna kobieta potrafi pogardzić człowiekiem miękkim i niezaradnym i znie się mężnie ten los, jaki ten człowiek jej zgotował. A jeżeliby nawet o tem myślała, żeby się sama udała do ojca, to i tego nie możnaby jej wziąć za złe, zwłaszcza w tem położeniu: ale tego on nie może na żaden sposób dopuścić. Zaczem powziął silne postanowienie, jutro stanowczo rozmówić się z ojcem — i przemarzył resztę nocy w takich snach gorączkowych jak więzień, z którym dziś śledztwo skończone a jutro mają mu ogłosić śmierć, albo go wypuścić z więzienia.

Nazajutrz rano ojciec był bezustannie zajęty z ekonomami i pisarzami, których Ignas ponapędzał a których on teraz na powrót do służby przyjmował. Przy śniadaniu był chmurny, bo musiał odprawić tego starszego pisarza, który podczas jego nieobecności przerzucił się na stronę Ignasia i knował przeciwko Kańskiemu kabały, przyczem straszliwie się zgniewał na niego, bo przedtem miał do niego zaufanie.

Po śniadaniu poszedł do swoich pokojów, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

Widząc to Ignas, rad byłby odłożyć swoją rozmowę do jutra, ale już był tak zniecierpliwiony, że nie czuł w sobie odwagi pozostać jeszcze dzień cały w takiej trawiącej go niepewności i jeszcze jedną noc przeczować w takich męczarniach.

Szedł jak na ścięcie, targany wewnątrz przeczuciem zło wrogiem, ale się zebrał, przemógł się, wypogodził twarz, przeszedł śmiało wszystkie pokoje i zbliżył się do ojca z łagodnym wyrazem w oczach i z uśmiechem na twarzy.

— Cóż mi tam powiesz? — zapytał go ojciec głosem suchym, bez przyjaznego dźwięku, ale także bez gniewu.

— Powiedziałem papie przed kilką miesiącami, — mówił Ignas, usiłując nadać swojej wymowie pewną stanowczość, ale bez impozycji, — żem się przywiązał do Flory i powziął zamiar z nią się ożenić. Papa mi wtedy odpowiedział, że chce pierwej Florę wybadać, i papa był w pare dni potem na Balcerówce, ale ja żadnej odpowiedzi nie otrzymałem, bo papa niebawem wyjechał do Lwowa a potem zaszły nieprzewidziane wypadki.

Kiedy Ignas to mówił, ojciec patrzył na niego surowo a jego twarz zachmurzała się coraz bardziej za każdym słowem.

wem, a kiedy syn skończy!, ojciec odpowiedział mu z niepowstrzymanym gniewem:

— Qu'est-ce que ça veut dire! c'est une cocotte en villegiature! kobietom tej kategorii daje się podarunki, daje się pieniądze, ale nikt się z nimi nie żeni!...

Na te słowa Ignas, pełen szczerzej miłości dla Flory, uczuł się tak głęboko oburzony, że nabiegł krwią cały, spłonął ogniem niepowstrzymanym, zapomniał siebie, zapomniał z kim mówi i broniąc się ręką przeciwko ojcu, zawołał głosem pełnym krwiogorzu:

— Ne continues pas, Monsieur, ou je me brouillerai avec vous!...

A wtedy znowu Zaklika zapomniał, że ma przed sobą młodzieńca, który broni honoru swej ulubionej, a widział tylko małego syna, który się buntuje przeciwko ojcu nie mając słuszności po sobie, zaczem straszliwym zapłonął gniewem, brwi zmarszczył, całe czoło okrył zmarszczkami i wpatrzywszy się w niego pełnymi gromów oczyma, odpowiedział mu głosem, przez który najgłębsze przebijają się oburzenie:

— Qu'est-ce que ça veut dire! Je suis votre père, — vous êtes mineur, — vous ne vous brouillez pas avec personne! Zrobisz to, co ja każę — a ja nie pozwolę za żadną cenę, ażebyś wieczystą hańbą okrył moją rodzinę a zarazem i siebie pogrążył w nieszczęście na całe życie. Jak zaś masz twego ojca szanować, tego ja ciebie nauczę.

Pod takim wyrokiem, wypowiedzianym stanowczym głosem sądu ostatecznego, młodzieniec się ugiął, uczuł się jak gdyby z nóg ściętym, zakrył oczy obydwoma rękami, zatoczył się ku oknu i rzekł głosem stłumionym:

— Uniosłem się... przepraszam.

Zaklika. T. 111.

Ojciec chodził wielkimi krokami po izbie i głęboko oddechał z oburzenia i gniewu.

Gdyby Ignasz był wszedł głębiej w swe położenie a obudziwszy w sobie zaufanie w uczciwość ojca i jego zawsze szlachetne uczucia, przyznał się do tego otwarcie, jakie Florze i jemu grozi niebezpieczeństwo i dlaczego wszelka zwłoka stała się niemożliwą, to ojciec byłby niezawodnie stanął na stanowisku obowiązku sumienia i na małżeństwo zezwolił. Ale w tem właśnie leży nieszczęście dzisiejszych pokoleń, wychowanych w reakcy przeciwko tym religijnym uczuciom, które aż do ostatnich czasów społeczeństwami rządziły a które romantyzm podniósł do ideału, że w naturalną uczciwość nie wierzą i nie przypuszczają jej u nikogo: zaczęli i Ignasiowi ani na myśl nie przyszło wyspowiadać się ojcu, zostawił go w niewiadomości tego wszystkiego, co się stało, nie powiedział mu nawet, że Florze dał słowo, i milczał.

Ojciec nie przerywał także milczenia. Ale wysapawszy się z pierwszego gniewu, stanął na środku pokoju, spojrzął na niego i rzekł głosem surowym:

— Idź teraz do siebie i wiedz o tem, że odtąd nie- wolno ci ani krokiem się ruszyć po za obręb pałacu. Za kilka dni dowiesz się o tem, com postanowił: tymczasem zaś bądź przekonany, że to, co postanowię, będzie z pewnością równie rozumne, jak uczciwe.

Ignasz wyszedł.

Zaklika został sam, siadł w swoim fotelu i zaczął rozmyślać nad tą awanturą. Nie było to niespodziewane dla niego — a przecie czuł się niezmiernie przytłumiony tym wypadkiem. Rozumiał dobrze uczucia swojego syna, o ile był o nich zawiadomiony: miłość jest ślepa, młodemu chło

pcu brak doświadczenia, ale przecież niełatwo pojąć, jak on mógł do tego stopnia nie poznać się na Florze Jużci nie mógł nie widzieć, z jaką kobietą ma do czynienia Go to jest? czy brak zdrowego rozsądku, czy też zupełny brak uczuć moralnych, który zresztą tak często się spotyka u dzisiejszej młodzieży? Jedno gorsze jak drugie, ciężki smutek dla ojca. A nadto jeszcze oburzył się w taki sposób przeciwko niemu. Obrona czci ukochanej kobiety dałaby się zrozumieć: ale takiej kobiety, która czci nie ma? i taka obrona przeciwko ojcu, który mu oczy otwiera tylko z miłości dla niego? to przecież nie łatwe do przebaczenia. Ale stało się: trzeba to strawić i trzeba temu jakoś zaradzić

Natenczas przyszedł Prandota

Zaklika opowiedział Prandocie tę scenę, jaką przed chwilą miał z synem.

Prandota się tem głęboko zasmucił i rzekł:

— Takie starcia są zawsze gorszące i nadto jeszcze zostawiają zazwyczaj nieprzetrawioną gorycz po sobie. Ale miłość ojcowska powinna zwalczać takie gofycze a wykorzeniać ze swego serca, tylko trzeba zarazem złemu zaradzić.

— W tem położeniu tylko jedna jest rada, — rzecze mu na to Zaklika, — najdalej za tydzień wyprawię go na Żmudź. On może i tam się z nią ożeni, czy teraz, czy wreszcie później, jak dojdzie do pełnoletności, co zresztą już wyjdzie na jedno. Temu zapobiedz nie mogę, bo dalej nie sięga władza ojcowska: ale tym środkiem osiągnę przynajmniej ten skutek, że tam, gdzie Flory nie znają, małżeństwo to nie będzie miało tak skandalicznych pozorów, jak tutaj, gdzie ona sama postarała się o to, aby sobie zrobić reputację panny emancypowanej, nie dbającej o żadne pozory.

Prandota mu ten zamiar w zupełności pochwalił. Zamiar ten bowiem, jak to naprzód przepowiedział Zaklika, był rzeczywiście równie rozumnym, jak uczciwym, szło tylko o to, aby go jaknajprędzej wykonać — a tu obydwaj przyjaciele może niedostatecznie obliczyli się z okolicznościami, czego jednak lepiej zrobić nie mogli, bo skutkiem nieufności Ignasia nie byli o nich dostatecznie zawiadomieni.

Zaklika, kontent ze swego postanowienia, pochwalonego w zupełności przez Prandotę, mówił dalej:

— Jednak tymczasem chciałbym jeszcze innego środka spróbować.

Prandota pytał go, jaki to środek. Zaklika mu odpowiedział :

— W tej pannie Florze pólkownik Baltzer von Baltzheim kocha się do upadłego.

Uważałem to sam, ale mówiły mi o tem także takie damy, które na tem dobrze się znają. Po balu u Firlejów były nawet o tem dosyć złośliwe ploteczki, opowiadano sobie, że Flora wyjechała z balu z pólkownikiem sam na sam. Że ona nie ma wstrętu do niego, o tem wiem także, ho ona sama w swojej gadatliwości powiedziała mi: que ést une paire pour la soif. Cóż ty wiesz

O nim, czy jest on rzeczywiście bogaty, jak powiadają?

— Bogaty podobno nie jest, — rzekł na to Prandota, — tylko ma wyjątkową pozycję a przeto zapewne

I wyjątkową dotację. Słyszałem zresztą, że albo już jest albo lada dzień będzie posunięty na generała.

A na to Zaklika:

— Ja nie słyszałem nigdy, ażeby on miał gdzie jaki majątek. W jakich zamiarach kocha się w Florze, tego nie wiem. Zapewne radby ją uwieśdź, jak każdy taki pólkownik. gdyby się udało, ale ja sądzę, że Flora nie głupia.

Dlaczegoby miała dać mu się uwieść, jak skoro wie dobrze, że jeśli ona zechce, to on się z nią ożeni. I jeszcze jak? z pocałowaniem ręki, bo przecie zawsze-to gratka dla Moskala, jeżeli potrafi uchwycić une dam polonaise. Ja w szczerą miłość Flory dla Ignasia nie wierzę. Może to być gra temperamentu, może to być zarazem chęć gospodarowania w pałacu i na dużym majątku, ale miłości tam nie- masz, bo tak z gruntu zepsuta kobieta prawdziwej miłości nie jest zdolna. Otóż ja sędzę, że i z Florą i z półkowni-kiem dałoby się o tem pogadać— a kiedyby panna mogła się wykazać, że ma jaki taki posążek w gotówce, to zdaje mi się, że nietrudnoby było to małżeństwo skojarzyć. Ja wprawdzie od czasu, jak musiałem ostatni mój frak zastawić, aby wolność odzyskać, jestem na mojej gotówce znacznie podcięty, ale taką sumę, o jakąby w tym razie chodziło, jeszczebym znalazł i chętniebym ją poświęcił, ażeby i Ignas swą wolność odzyskał.

— Jużci to jest myśl nie zła, — zauważał na to Prandota, — tylko ja w tej robocie nie mógłbym ci być pomocnym.

— O to wcale nie chodzi, — rzecze Zaklika, — to moja rzecz Tylko mi przyznaj, że jeżeliby mi się udało to zrobić, żeby Flora sama odprawiła Ignasia i w jego oczach poszła za półkownika, toby to było coś warte, bo byłoby dla niego nauką na całe życie

— Tak, tylko na to potrzeba czasu.

— Przecież się jeszcze ziemia pod nami nie pali, — odpowiedział mu Zaklika, rad ze swego pomysłu a przeto i nabierając trochę lepszego humoru

Prandota miał to przecucie, że mając do czynienia z młodymi ludźmi, których namiętności unoszą a którym

brakuje rozwagi, nie nalezy takiej piekacej sprawy przewlekać, tylko dzialac stanowczo i ile mozności bez zwłoki; jakoż zabrał głos aby mu to swoje zdanie wyłożyć: ale w tem stary Firlej przyjechał.

U Firlejów niecierpliwiono się także już od kilku dni tem położeniem, w którym się znaleziono od czasu powrotu Zakliki, a którego nie umiano sobie dokładnie określić. Zaklika przed swym uwięzieniem, kiedy Firlej oświadczył swojego syna o rękę Geni, nie dał mu żadnej odpowiedzi, nie odmówił, ale także nie przyjął, tylko rzecz puścił w odwłokę. Podczas jego nieobecności Frydrusz tak postępował, jak gdyby był narzeczonym Geni, rozniosło się to po wszystkich sąsiedztwach a nawet wiedzano już o tem we wszystkich rodzinach polskich w Warszawie, w Krakowie i za granicą, z którymi Firlejowa stała w korespondencji. Tymczasem teraz Zaklika wrócił, jeszcze o tem z nim nie mówiono, wprawdzie nie wątpiono o tem, że teraz oczywiście przyzwoli, ale ten fakt dotychczas jeszcze nie był oficjalnie dokonany. Nie było żadnej przeszkody, postanowiono go dopełnić a dziś w tym celu stary Firlej przyjechał do Zaklikowa.

Jednak wybrał do tego dzień nie bardzo szczęśliwie. Zaklika miał dopiero co bardzo burzliwą scenę z swym synem i był w jak najgorszym humorze: kto znał jego temperament, ten wiedział, że w takich chwilach nie należy przystępować do niego ani z prośbami, ani z propozycjami, bo gotów się unieść i nawet to z oburzeniem odrzucić, co już nazajutrz przyjąłby chętnie a nawet z podziękowaniem.

Prócz tego, będąc w takim usposobieniu, miewał pieprz na języku a że należał do ludzi, którzy nie umieją połykać swoich złośliwych dowcipów, więc i to także było niedobrze. Prandola go znał z tej strony daleko lepiej niżeli ktokolwiek inny, dlatego też, obaczywszy Firleja i domyślając się, że zapewne zechce z Zakliką pomówić o Frydruszu i Geni, a wiedząc przytem, że Zaklika patrzy jeszcze wciąż na to małżeństwo okiem niebardzo chętnem, zaniepokoił się trochę jego przybyciem. Gdyby był mógł, byłby go chętnie o tem uprzedził, ale było to niemożliwem, bo Firlej jakoś tak cicho zajechał, że jego przyjazdu nie dosłyszano — a kiedy wszedł do pokoju Zakliki, Prandota już nie mógł go ostrzedz na stronie, bo Zaklika miał takie oko i ucho, że nigdy nic nie uszło jego uwagi. Nie pozostało zatem Prandocie nic innego, jak tak konwersacyę kierować, ażeby Firlej nie mógł rozwinąć zamierzonego przez siebie przedmiotu, do którego zresztą, nie mógł przystąpić bez pewnych preludyów, a przytem jakim zabawnem opowiadaniem na każdy wypadek Zaklikę przynajmniej w lepszy humor wprowadzić.

Jakoż jak tylko do konwersacyi zasiedli, Prandota zabrał głos i opowiadał im z humorem a nawet z niezwykłą fantazyą historyę swojej sześciotygodniowej tułaczki. Nic zabawniejszego, jak jego zetknięcie się z duchowieństwem wiedeńskim, z którym musiał po łacinie rozmawiać a które go mimo to przyjęło z nieufnością i niedowierzaniem — a kiedy im opowiedział scenę, jaką miał tamże z jakimś wielkim wikarym, który mu bez ogródki dał do zrozumienia, że i xięża czasem uchodzą z kraju niekoniecznie z politycznych powodów, bo i xięża są ludzie, a potem odmówił mu pozwolenia odprawienia mszy św. w ko

ściele aż póki nie dowiedzie, że rzeczywiście jest xiędzem, to Zaklika się śmiał na całe gardło i mówił:

— Szkoda jeszcze, że cię nie zamknięto do ciupy jako niebezpiecznego włóczęgę...

— Ty żartujesz, — odpowiedział mu na to Prandota, — a tymczasem może istotnie o tem myślano, bo już i mój gospodarz w holelu zaczął na mnie spoglądać z pod oka. Dlatego też nie popasałem tam dłużej. Potem opowiadał im o Szwajcaryi, jako i tam mu się powiodło nie lepiej, aż skończył na tem, że się przebrał w suknie świeckie a tymczasem napisał do Rzymu, aby mu stamtąd przysłano świadectwa Ale świadectwa nie przyszły, bo nim Rzym przemówi, na to potrzeba cokolwiek zaczekać...

— Więc ty tymczasem hulałeś sobie w świeckich sukniach po Genewie. Ale jakżeś się tam spotkał z Fujarą? chyba że nie sprzedał swego Durera, bo gdyby go był sprzedał, choćby cokolwiek poniżej miliona, to byłby przecież nie osiadał w Genewie

— Zaraz wam to opowiem, — odpowiedział Prandota, — to bardzo ciekawa historia.

A potem tak mówił:

— Jednego wieczora, wracając z mojej zwyczajnej przechadzki za miastem, znalazłem się w obec jakiegoś kawiarnianego ogródka. Ogród dosyć obszerny i pełen drzew bardzo pięknych i krzewów, oświetlony gazem i weneckimi latarniami, nabity publicznością — a w jednym rogu stał kiosk, w którym na estradzie grała dość liczna a nawet wcale dobra kapela. Byli to cyganie, dziś w całej Europie tak popularni; wszyscy ubrani w czerwono, żółto szamerowane dołmany, także pluderki i buty węgierskie. Grali marsz Rakoczego z energią tylko Węgrom właściwą, marsz-to

porywający, więc słuchałem. Miałem wielką ochotę wejść do tego ogródka, ale nie miałem odwagi, bo się obawiałem, że pomimo mego świeckiego ubrania przecie ktoś mógłby mnie poznać — a to dla Xiędza jest rzecz nieprzystojna. Stoję więc przed bramą i patrzę. A w tem muzyka zpowu się odezwała i zagrała "Jeszcze Polska nie zginęła" z równą energią i z równym zapałem. Na odgłos tej pieśni nerwy we mnie zadrżały, zdawało mi się, że widzę na własne oczy, jak Dąbrowski na czele legionów maszeruje do Polski. I publiczności także poruszyły się nerwy, uderzyła brawo i fora. Wtedy już się nie mogłem powstrzymać, wszedłem do ogródka, siadłem przy stoliczku niedaleko kapeli, słucham i patrzę. A wtem wzrok mój uwiązł przy samej bassetli, zdaje mi się, że widzę przy niej jakąś twarz znajomą, wpatruję się silniej i ledwiem nie parsknął od śmiechu: ten cygan, co grał, na tej bassetli to był nasz Fajara. A co ? Fajara ubrany w dołman czerwony i buty węgierskie, w czapkę baranią z koguciem piórem i grający na basach, w cygańskiej kapeli, to przecie widok godny wszystkich bogów węgierskich i polskich — i jestem pewny, że dalibyście po rublowi, gdybyście go byli tam widzieli. Owo więc jak Fajara sprzedał swojego Durera.

Zaklika się śmiał do rozpuku i mówił:

— Jużto trzeba przyznać Fajarze, że ma wszystkie przymioty kameleona i w kąć przed nim Beniowscy i Dzie rzanowscy, co bywali murzyńskimi królami a potem albo służyli jako prości żołnierze po obcych armijach, albo nawet i z torbą chodzili po żebrach. Co na to powie jego kochana Xiędza, jeżeli kiedy się dowie, że ten sam Fajara, co na jej salonach starym hrabiom deptał po nogach a młodych traktował tonem protekcyjnym, już w miesiąc potem

rznął na basetli w kapeli cygańskiej ? — Ale cóż potem się stało ? jakżeś go przytulił do siebie, bo chociaż mu cyganie dawali po kilka franków na dzień, to przecie zawsze to nędza

— Jużcim go cokolwiek zapomógł — rzekł na to Prandota, — ale i to nie tak się stało, jak sobie zapewne wyobrażacie Kiedy skończyli grać, przystąpiłem do niego, trąciłem go w łokieć i mówię: Jak się pan ma, panie Fujara ? — On na to otworzył oczy szeroko a jak mnie poznał, rzucił mi się na szyję i bardzo serdecznie mnie wyściskał. Ale zamiast mnie wypytywać, skąd przyjeżdżara? co robię? zaraz zawołał: — słyszałeś jegomość, jak rznąli brawo, że aż szklanki z piwem poprzewracali? To ja tych głupich cyganów wyuczyłem grać “Jeszcze Polska nie zginęła” — a miałem z nimi niemało roboty, bo te szelmy ani jednej nóty nie znają. Kapelmistrz nawet nie chciał spoczątku i mówi mi, to bydle: kto tam dziś myśli o Polsce? dziś Węgry panują całemu światu, widzisz pan przecie, że żadne miasto europejskie nie może się obejść bez muzyki węgierskiej, dziś trzeba grać nóty węgierskie... Ale ja jemu odpowiedziałem : — Gdzie ja gram, tam się gra “Jeszcze Polska nie zginęła”, inaczej nie gram. Jeżeli nie chcesz, to będziesz sobie szukał basisty, gdzie ci się podoba, ja do twojej kapeli nie wejdem. — A trzeba jegomości wiedzieć, — powiadał mi dalej Fujara, — że oni basisty nie mieli. Mieli, ale ich basista, nie mogąc opanować swojej cygańskiej natury, wkradł się do zegarmistrza, pokradł mu zegarki i poszedł do kozy. Ot! jak te Węgry po Europie panują. A czy jaki Polak ukradł co kiedy ?... A że taka cygańska kapela — mówi Fujara — bez basetli ani się odezwać nie może a ja jeszcze do tego w niektórych kawałkach gram

na wiolonczeli, więc kapelmistrz musiał się zgodzić. A teraz widzi jegomość, jak rżniemy "Jeszcze Polska nie zginęła" i jakie brawa nam biją! I ja jegomości powiadam, że ta cała kapela tylko tem stoi, bo te marsze Rakoczego to chyba tem szczury straszyć po nocach a tu na naszą pieśń wszystkim się dusza rozplywa. Nawet i ten ogródek tylko tem stoi, bo dawniej, sam gospodarz mi to powiadał, ani psa tu nie było — a od czasu, kiedy ja zacząłem grać "Jeszcze Polska nie zginęła" i rozmaite krakowiaki, których ich także wyuczyłem, to jemu stołów brakuje. Już się to po całym mieście rozniosło a już i mnie zna cała Genewa.. Tak więc Fujara, — kończył Prandota, — chociaż żaden święty turecki nie byłby mu jego bogactwa zazdrościł, chociaż mieszkania nie miał czem opłacić a może czasem i w gębę co włożyć, był najszcześniejszym człowiekiem w świecie, bo mógł grać "Jeszcze Polska nie zginęła" przed publicznością szwajcarską — a jeszcze i wtedy, kiedy mi się już przyznał do swojej nędzy, nieraz wołał głosem tryumfu jącym: Pobiłem Węgrów na miazgę, Polska górą! Genewa nasza!

Zaklika i Firlej słuchali Prandotę z zajęciem, poczem Zaklika rzekł:

— Jest to anegdota, jak każda inna, ale daje ona także do myślenia, bo z niej widzimy, że ten nasz patryo- tyzm jest niejako chemicznie częścią składową naszej krwi i niemasz tej siły na świecie, któraby potrafiła go z niej wykorzenić. To też ja nie rozpaczam ~ a chociaż widzę, że są stronnictwa antipatryotyczne a obok nich takie, które usiłują patryotyzmowi podrzędne miejsce wyznaczyć, to mnie to tylko chwilowo zasmuca lub niecierpliwi, bo jestem przekonany, że naszego patryotyzmu nikt nie zabije.

- 1.4 —

— To pewna, — powiedział na to Firlej, — gdyby tylko nasz patryotyzm nie tworzył tak wiele złudzeń! i gdybyśmy pod jego uroczym wpływem nie tworzyli sobie politycznych pojęć, które zazwyczaj bierzemy za coś realnego a które tak często także tylko są złudzeniami. Fularze się zdawało, że swoją pieśnią, graną przez bandę cygańską zdobył dla Polski Genewę — a ileżto ja w mojem życiu bez porównania poważniejszych i większych manifestacji naszych widziałem, którym także bito brawo i fora a nawet pisały o nich wszystkie europejskie dzienniki a po których także tak samo nic nie zostało, jak po tej pieśni w Genewie. My jesteśmy szczególnie lekkomyślnym narodem i bardzo często zadawaliśmy się pozorami, zapominając o tem, że naród samemi pozorami wyżyć nie potrafi i trzeba mu jakiejś realniejszej stawy do życia.

— Masz rację, — rzecze mu na to Zaklika, — ja, w naszym położeniu, jestem stanowczym nieprzyjacielem wszelkich manifestacji. Powiem ci nawet, że gdybym tam był, gdzie manifestacje się wyprawiają, tobym w nich nie brał udziału, bo jestem zdania, że założenie kilku szkółek ludowych a choćby tylko kilku czytelni, przynosi nam więcej pożytku, niżeli najpiękniejsza manifestacja. Ale jeżeli ta albo owa manifestacja nie jest szkodliwą, to lepiej jest na nią się zgodzić, niżeli jej się sprzeciwiać, bo sprzeciwianie się wywołuje rozdwojenia i kwasy a po manifestacji, wyprawionej w jedności i zgodzie, pozostaje zawsze przynajmniej ożywiające wspomnienie. Z temi manifesta- cjami ma się tak samo jak z naszą szlachecką fantazją, która wiary w przyszłość nigdy nie traci. Nieraz znajdujemy się w takich położeniach, że ta nasza wiara wydaje się prostą niedorzecznością a nawet prawie o śmieszność

graniczy — a ja przecież jeszcze i wtedy wolę widzieć tego niby głupiego, co jeszcze zawsze wierzy i nadziei nie traci, niżeli tych niby mądrych, co zrospaczyli o wszystkim a czę sto nawet się i samych siebie zaparli. Wiara zresztą nieraz w szczególniejszy sposób ma rację przeciwko najbystrzejszym rozumom. Przypomnij sobie, jak to było po trzecim rozbiorze: wtedy jużemy nietylko ziemi nie mieli, ale nawet i ludzi nie było, bo te niedobitki, co jeszcze zostali przy życiu, albo marli z głodu na własnym, lecz wyniszczonym i obdłużonym zagonie, albo szli żebrać kawałka chleba do swoich zaborców. Kto jeszcze wtedy miał wiarę, ten według ludzkiego rozumu należał już pewnie do domu wa ryatów. Ale znalazło się kilkunastu właśnie takich warya- tów, którzy jeszcze tę wiarę mieli a nie mogąc się do niej przyznać w ojczyźnie, unieśli ją z sobą za Alpy. Z tych kilkunastu zrobiło się kilka a niebawem już kilkanaście tysięcy — i ci waryaci wskrzesili nam Polskę i z tą pieśnią, którą Fujara teraz zdobył dla nas Genewę, przynieśli ją do nas. Nie! ta niczem niezwalczona fantazya ma swoją wartość — a Fujara, który ją ma w szpiku kości, zasłużył sobie na mój szacunek

— O! ta fantazya u niego — rzekł na to Prandota ze świeżym uśmiechem na twarzy — jest rzeczywiście zadziwiająca. Powiem wam jeszcze coś o niej a potem coś wam pokażę. Kiedym go znalazł w owym ogródku i zająłem się jego losem, to istotnie zastałem go w nędzy. Miał jeszcze jakichś pare kufereków ze sobą, ale w tych kuferkach miał tylko jakieś starożytności, właśnie tyle warte co jego Durer, za którego w Kolonii dano mu cztery talary, za mieszkanie był winien, mundur cygański kazał sobie zrobić .na kredyt a u cyganów zarabiał tylko tyle, że ledwie się

mógł od głodu ochronić: ale to mu wcale nie przeszkadzało robić rankami wizyty po zamożnych domach genewskich i prezentować się jako pan z panów, który zapewne tylko chwilowo znajduje się w trudnych okolicznościach. Mam też jego kartę wizytową, którą może sobie na pamiątkę zachowasz.

To mówiąc, wydobyl z pugilaresu tę kartę i oddał ją Zaklice. Zaklika kartę przeczytał i parsknął głośno od śmiechu. Na karcie stało wysztychowane: Le Gomte Fujara. Poczem oddał ją Firlejowi.

Firlej uśmiechnął się kwaśno i rzekł:

— Jużci to ród starożytny, ale tylko szlachecki, Fuja- rowie nigdy nie byli hrabiami.

Zaczem oddał kartę Zaklice z widocznem nieukonten- towaniem, ale Zaklika przyjął ją także z pieprzem na ustach*

Na to wszedł Figara.

Zaklika zaczął sobie zlekka z niego żartować i mówił:

— Jesteśmy tu w uwielbieniu dla ciebie. Zdobyłeś dla nas miasto tak znamienite jak Genewa. Straciliśmy Toruń i Gdańsk, zdaje się bezpowrotnie. Kijów nam się paskudnie zmoskwicił, Wilno już także się chwieje, Genewa nam wprawdzie tych strat nie wynagrodzi, ale zawsze nam dobrze mieć to miasteczko, gdzie jest trochę bogatych kupców i bankierów, których w danym razie można będzie pociągnąć. Powiedz-że nam, czy zaprowadziłeś tam zaraz jaką organizację, żeby się ci kupcy nauczyli posłuchu?

Na to Fujara trochę się zarumienił, obrócił się do Prandoty i rzekł półżartem, ale nie bez pewnego żalu:

— A jegomość, jak widzę, już wszystko wygadał. A przyrzekłeś mi, że moją bisdę zachowasz w sekrecie.

Prandota usiłował go uspokoić, mówiąc:

— Ale to panu na złe nie wyszło, bo przecie widzisz, że wszyscy z tego się cieszą.

— Tyle też mojej nagrody! — odpowiedział Fajara trochę skonfundowany i nie mogąc dobrać tonu, w któryby miał uderzyć, — bo Bóg sam wie tylko, ile pracy mnie to kosztowało, nim'em wziął za łeb cyganów i zmusił ich do tego, ażeby polskie pieśni grywali. Ale teraz już ich nie porzucą i będą je tak samo po całej Europie roznosić, jak swoje. Jest przecie w tem jakaś zasługa. Książecicz zdobył Rzym i rzucił Francuzom sto sztandarów pod nogi - a ja zdobyłem choć bandę cygańską i wziąłem ją w służbę dla Polski: każdy robi, co może...

Zaklika się śmiał i mówił:

— Że to jest także zasługa, tego ja wcale nie przeczę, jakoż jestem pewny, że i ty obok Książecicza będziesz figurował w historii. Ale to? — tu mu pokazał jego kartę wizytową zdaleka, — tyś tam gdzieś zdobył jeszcze i tytuł hrabski, bo Firlej nam właśnie powiada, że Fajarowie nigdy nie byli hrabiami.

Na to Fajara mocno się skonfundował, ale nie tracąc fantazyi, wyciągnął ręce przed siebie i rzekł:

— Jakże? Fajara — i nie hrabia?...

Na te słowa Firlej drgnął, jakby go szpilką kto ukłuł.

Do nazwisk, do których przyzwyczało się ucho, nie przywiązujemy nigdy tego znaczenia, jakieby miały, gdyby nazwiskami nie były; toż i Firlej nie podszywał nigdy podwójnego znaczenia pod nazwisko Fajary: ale w tem zestawieniu uczuł to drugie znaczenie, wziął to za przycinek do siebie i drgnął z oburzenia.

Byłoby się zapewne na tem skończyło, ale Zaklika to zestawienie na złość Firlejowi zręcznie podchwycił a jako

nieprzyjaciel wszelkich tytułów próżnych znaczenia, głośnym śmiechem wybuchnął i zawołał:
— Ta ci się doskonale udało! teraz i ja ci daję patent na hrabię i odtąd zawsze będę cię tak tytułował.

A wtedy Firlej okrutnie się wzburzył, wstał raźnie z krzesła, zbladł, wargi mu posiniały i zaczął rzucać błakającym wzrokiem, na Fujarę z pogardą a na Zaklikę z gniewem, którego wcale nie taił.

Zaklika, chociaż często złośliwy, w chwili, kiedy to mówił do Fujary, prawdopodobnie nie przeczuł, do jakiego stopnia Firlej te słowa uczuje; ale gdy spostrzegł, że się na seryo oburzył, co rzeczywiście było komicznem, roz- śmiał się znowu, tym razem już wcale serdecznie, i rzekł do niego:

— Oto cię palnął Fujara, mojem zdaniem powinieneś go wyzwać za tę złośliwość.

Firlej kipiał od gniewu i odpowiedział mu sucho:

— Prędzej ciebie, niż jego.

Na to Zaklika, ile że mu także temperamentu nie brakło, natychmiast spoważniał i rzekł:

— Wiesz dobrze, że ja jestem każdemu zawsze do dyspozycji.

Firlej się zakłopotał cokolwiek, poprawił kamizelki i odpowiedział mu ostro, chociaż trochę łagodniej:

— Gózkolwiek bądź, i ja lubię żarty, ale wymagam i zdaje mi się, że mam prawo do tego, aby je trzymano w granicach przyzwoitości.

W tej chwili Fujara nareszcie się spostrzegł, że mu się ta uwaga niepotrzebnie wyrwała, przystąpił do Firleja i zaczął mu się usprawiedliwiać, ale dbając więcej o łaskę

Zakliki niż jego, uderzył także w ton uczucia honoru i dodał w końcu:

— Ale ty także powinieneś wiedzieć, że i ja mam jakieś prawa i nie pozwalam na to, ażeby mojemu nazwisku podkładano to albo owe znaczenie, którego nie ma...

Firlej był tak rozgniewany, że mu przerwał, pochylił się nad nim i zawołał:

— Ale to przecież nie ja cię ochrzciłem Fajarą!

Ale Fajara skoczył na to jak oparzony:

— Kto mnie ochrzcił, to ochrzcił. Mnie dano to nazwisko w tym czasie, kiedy chrztu jeszcze nie było — a nie wiem, czy wtedy Firleje także już byli na świecie. Wiesz zresztą, jakie znaczenie miało nazwisko Firlejów za królowej Bony a ja przecież tego znaczenia nie podszycam pod ciebie!

Tu Firlej już całkiem stracił cierpliwość, był prawie besprzytomnym z oburzenia i gniewu, znów przerwał Fajarze, ale powiedział spokojniej:

— Widzę, że konwersacya pomiędzy nami już dziś wcale nie idzie. Klócić się z wami nie będę. Adieu!

A to mówiąc, pożegnał skinieniem głowy Zaklikę, na Fajarę ani nie spojrzął i wyszedł;

Zaklika wybiegł za nim, dopadł go w trzecim pokoju, wziął za rękę i zawołał:

— Cóż tam znowu... przecież tak nie wyjedziesz.

Ale Firlej już się nie dał ugłaskać. Wysunął rękę z jego dłoni i rzekł:

— Dajmy sobie pokój na dzisiaj, przecież nie ostatni raz się widzimy.

Poczem wyszedł na werandę, wsiadł do powozu i odjechał.

Zaklika. T. 111.

Zaklika rzekł:

— Szczęśliwa droga.

Ale Prandota był tem zająciem niezmiernie skwaszony i mówił:

— Jaka-to krew gorąca jest u tej naszej szlachty; jeszcze w nich kipi jak ukrop, kiedy włosy już pobiełały na głowie. Obraziłeś go wcale bez żadnej potrzeby...

Ale Zaklika się śmiał i odpowiedział Prandocie:

— Ale to przecie Fujara dał mu to cięcie, które go tak obraziło.

Wszakże Fujara był teraz jeszcze więcej oburzony niż Firlej i zaczął im bardzo wymownie wyklądać, że Firlej jest śmieszny z tą swoją dumą rodową. Fujarowie już dawno chorągwie wodzili i nazywali się Comites regis, kiedy o Firlejach jeszcze ani słyhu nie było, potem sobie wyskrobali hrabstwo gdzieś w Rzymie, kiedy Fujarowie już dawno byli polskimi hrabiami: Prandota go słuchał z niechęcią, ale Zaklikę te wywody bardzo bawiły i przyznawał im słuszność na podstawie dokładnej znajomości historii, bo przeszłość Zaklików stała w takim samym stosunku do przeszłości Firlejów.

Chociaż to był dzień mroźny, jesienny, a Firlej jechał otwartym powozem, zimne powietrze wcale go nie ochłodziło przez drogę, owszem przeciwnie, im więcej nad tem rozmyślał, jak zuchwale i Nielitościwie go obrażono w Zaklikowie, tem głębiej się na to oburzał.

Jego żona i Frydrusz, którzy z niecierpliwością jego powrotu czekali, będąc pewni, że im przywiezie słowo Zakliki, byli niezmiernie zdziwieni, kiedy go obaczyli wchodzą

cego z gradową chmurą na czole i tak zaciętymi ustami, że tylko sapał głośno a nie mógł ani słowa wymówić.

— Na miłość Boga, cóż się tam stało? — zawołała pani Firlejowa, czy Zaklika odmówił?

Firlej stanął na środku pokoju i odpowiedział jej gniewnie:

— Ja zawsze byłem przeciwny temu małżeństwu. Dlaczego Firlejowie mają zniżać się aż do Zaklików, kiedy ich nic do tego nie zmusza? Przez zbytek delikatności milczałem a nawet jeszcze wam byłem posłusznym. Ale teraz moja rola skończona, róbcie sobie co chcecie, ja wam dalej nie służę.

Frydrusz zbladł na to a pani Firlejowa pytała:

— Ale cóż jest?

Tu Firlej opowiedział im tę całą scenę, którą mu wyprawiono w Zaklikowie a opowiadając, sam sobie przerywał niepowściągliwymi wybuchami gniewu, to przeciw Zaklice, to przeciw Fularze.

— Proszę kogo! — zawołał w końcu usty drżącymi od oburzenia, — taki pan Fular! gra na bassetli w bandzie cyganów, sam za cygana przebrany, ażeby kilka franków zarobić, a mimo to drwi sobie z rodu Firlejów — a pana Zaklikę to bawi i jeszcze jemu wtóruje! Dziękuję wam za takie towarzystwo — i spodziewam się, że nie będziecie odemnie wymagać, abym się w niem poniewierał.

Pani Firlejowa zasmuciła się tym wypadkiem, ale Frydrusz odetchnął i rzekł do ojca:

— Mnie to niezmiernie przykro, że papie wyrządzono taką awaniję, ale to z mojem ożenieniem właściwie nie ma nic do czynienia.

— Jakto nie ma? — zawołał Firlej, patrząc gnie-

wnemi oczyma na syna, — to ty jeszcze zawsze trwasz przy twoim zamiarze postanowienia się w takim domu, gdzie tak krwawo obrażono twojego ojca?

Frydrusz się tem zakłopotał, ale przytomności nie stracił i odpowiedział ojcu z synowską pokorą, ale zarazem z jasnym na rzeczy poglądem:

— Niechże papa się uspokoi. Takich przypadkowych wydarzeń nie można sądzić tak na gorąco. Przy naszych niecierpliwych temperamentach takie sprzeczki się często zdarzają, ale przy "naszych dobrych sercach" także się bardzo prędko zapominają. Ja bardzo głęboko czuję tę obrazę, jaką papie wyrządzono, ale przecież Genia nic temu nie winna. Gzy byłoby to słusznie i sprawiedliwie, gdybyśmy ją za to, że jej ojciec lekkomyślność popełnił, której zresztą bez wątpienia żałuje, unieszczęśliwili na całe życie? A oprócz tego, gdybym ja z miłości dla ojca potrafił utłumić w sobie te uczucia, jakie mam dla niej, to czy byłoby to przyzwoicie, czy byłoby nawet uczciwie, gdybym ja ją dlatego, że nasi ojcowie się posprzecziali ze sobą, porzucił jak nic i oddał na pastwę rospaczy? cóżby świat na to powiedział? i czyby mnie kto kiedy z takiego postępku usprawiedliwił?

Na to Firlej zmiękł trochę i rzekł:

— Więc ja nie powiadam. • więc róbcie sobie jak chcecie, tylko mnie w to nie mieszajcie, bo ja nie chcę nic więcej mieć do czynienia z panem Zakliką.

— Niechże mi papa pozwoli, — dodał do tego Frydrusz, — abym to wziął na siebie. Ja zaraz jutro do Zaklikowa pojedę i bez trudności to zrobię, że Zaklika sam tu przyjedzie i papę przeprosi.

— On mi to winien, — rzekł na to Firlej, — i powinien to zrobić z własnego natchnienia. Przecież w tym

wieku nikt się nie pojedykuje, jeszcze do tego dla głupstwa ; zresztą ja nie potrzebuję bronić szablą mego honoru, bom go przeniósł bez skazy przez całe życie, co jest całemu światu wiadomo, od Petersburga aż do Algieru. Jam w bandach cygańskich nie grywał, aby na chleb codzienny zarobić, ale Bóg widział, że podczas mojej emigracyi niejedną dzień bez obiadu spędziłem, aby się nie poniżyć i mego honoru nie skazić. 'Więc jeżeli przyjedzie i mnie przeprosi, to przeproszenie przyjmę, zrobię to dla ciebie: ale na taką drugą obrazę się nie narażę, tego odemnie nie będziecie wymagać, jakoż daję wam słowo honoru, że nigdy więcej moja noga nie postanie w Zaklikowie. Toż zapowiadam wam z góry, ażebyście wiedzieli, czego macie się trzymać, kojarzcie sobie to małżeństwo jak chcecie, ale ślub się odbędzie w Warszawie, bo jeśliby się miał odbyć w Zaklikowie, to mnie na nim nie będzie...

To rzekłszy, wziął świecę do ręki i szedł do swoich pokojów.

Firlejowa wybiegła za nim, zatrzymała go w progu i dodała:

— Uspokój się mój mężu. Ja ci we wszystkim przyznaję słusność. Nie powinniśmy się na żaden sposób uginać przed Zaklikami. Ale Frydrusz jutro pojedzie do niego, wiesz jak on jest pełen rozumu i taktu, on ci go tutaj zaraz jutro przywiezie i załagodzimy tę sprawę tak, abyś był kontent.

Firlej się uspokoił i rzekł:

— Więc niechże jedzie i niech mu się zaraz oświadczy. A nie zwlekajcie już dłużej ze ślubem, starajcie się, aby się odbył na św. Katarzynę, bo mnie już cierpliwości

nie staje — a kto wieć, jakie tam jeszcze historye będą z powodu Ignasia i Flory...

Nazajutrz popołudniu Frydrusz pojechał do Zaklikowa.

Jechał pełen dobrego humoru i jak najlepszej nadziei. Ta sprzeczka pomiędzy Zakliką i jego ojcem to poprostu jest niedorzeczność, nie mająca żadnego znaczenia. Kto nie miał takich sprzeczek i kto o nich nie zapomniał już nazajutrz? Zaklika zawsze był nierozważnym w swoich uwagach a od czasu swojego więzienia stał się jeszcze nadto do pewnego stopnia drażliwym, ale kto go zna, ten wie, jak się z nim trzeba obchodzić. Frydrusz go zna tak, że kiedy zechce, to go około małego palca obwinie. Z takim rozumowaniem, jaknajzupełniej pewien siebie, zajechał przed ganek.

Zastał Zaklikę w jego pokoju, zajętego książkami.

Kiedy go Zaklika obaczył, przywitał go wesołym uśmiechem i rzekł:

— A co tam ojciec? Wyjechał wczoraj zagniewany na seijo — a nie miał do tego żadnego powodu. Czy wiesz, jak to było?

— Jużci wiem. Ojciec nam opowiadał tę scenę.

— Więc cóż? powiedz prawdę. Czy przyszło ci kiedy na myśl, jak ktoś wymienił nazwisko Fujary, wyobrazić sobie coś innego, jak tego Fujare, którego tu widzisz?

— Wcale nie. Kiedy po raz pierwszy słyszymy jakieś niezwykajne nazwisko, możemy sobie powiedzieć: ąuel drdle de nom! ale kiedy już znamy człowieka, co nosi to nazwisko, to już myślimy tylko o tym człowieku a nie zajmujemy się wcale etymologią jego nazwiska.

Mieliśmy przecie ludzi a i dziś jeszcze mamy, co się nazywają Świnka, Trąba,

Kiszka, Krupa albo Skorupka a nikt pod nie nie podsuwa ich rzeczowego znaczenia. Zastanawiając się nad tem cokolwiek głębiej, musimy sobie, powiedzieć, że gdybyśmy dziś po raz pierwszy usłyszeli nazwiska Sanguszków, Sapiehów, Zaklików, Ligęzów, tobyśmy sobie zapewne także powiedzieli : Quel drôle de nom ! — a jest wielkie podobieństwo, że te nazwy miały swojego czasu także jakieś rzeczowe znaczenie, tylko znaczenie to się z wiekami zatarło. Zresztą nazwisko Firlej brzmi także nie bardzo eufonicznie, wcale nie lepiej jak Tarło. Mój ojciec niepotrzebnie się uniósł, ale stało się, trzeba to jakoś zagładzić: bardzobyś pan nas zobowiązał, gdybyś był łaskaw jutro albo pojutrze wpaść do nas na chwilę, jestem pewny, że ojciec, jak pana zobaczy, tak się zachowa, jak gdyby nic nigdy nie było.

Zaklice ta propozycja nie bardzo się podobała, spojrział na niego cokolwiek ironicznymi oczyma i rzekł:

— Tak... ale swoją drogą ta duma rodowa twojego ojca nie jest wcale na czasie a często nawet się w takiej formie objawia, że o śmieszność potraça.

Okoliczność ta, że Zaklika jego propozycję pominął milczeniem, znowu Frydruszowi się nie podobała a że i on także o wszystkim miał swoje zdanie, więc odpowiedział mu sucho:

— Może być, że mój ojciec trwa przy pojęciach, o których inni innego są zdania, ale śmieszności w tem niema.

— A mnie się zdaje, że jest, — rzekł na to Zaklika, — ta śmieszność była już wtenczas, kiedy Gervantes pisał swego Don Kiszota, toż dzisiaj jest jeszcze o tyle więcej, ile że szlachta nietylko nie ma żadnych przywilejów, ale nawet już nie ma swego własnego rzemiosła, jakim dawniej była jej służba rycerska.

— Ale jeżeli ta duma rodowa nikomu nie szkodzi, — odpowiedział mu Frydrusz, — jeżeli się w cudze prawa nie wdziera, jeżeli nie żąda żadnego pierwszeństwa dla siebie, to jej nic nie można zarzucić a tem mniej jeszcze jakąś śmieszDość do niej przyczepiać.

— Tralala! — zawołał na to Zaklika, w którym się znowu obudził duch kontrydykcyi, — żadnego pierwszeństwa dla siebie nie żąda! a komu to mówisz? jak gdybyście też wy choćby tylko jedno miejsce zostawili komu innemu, które sami możecie zająć! I to się nazywa u ciebie, że nie żądacie żadnego pierwszeństwa ?

Frydrusz się na to zachmurzył i rzekł sucho:

— Bardzo niesprawiedliwie pan sądzisz nasze postępowanie. My, gdzie tylko mamy wpływ jakiś, otwieramy na sciążaj wrota dla wszystkich; o tem, kto jakie miejsce ma zająć, nie ród stanowi, tylko jego własne zdolności: nie nasza wina, jeżeli te warstwy społeczne, o których pan myślisz, ludzi pomiędzy sobą nie mają.

— Otóż to jest nieprawda, — rzecze mu również sucho Zaklika, — że oni wielu ludzi nie mają, tego ci nie zaprzeczam, ale wy ich także nie macie. Powiem ci nawet więcej, bo od czasu, jak ja żyję na świecie, wyście nigdy ludzi nie mieli, podczas gdy oni, jeżeli tak chcesz, mieli może szaleńców, ale tego przecie sam nie zaprzeczysz, że ci szaleńcy byli-to ludzie wielkiego serca, niejednokrotnie bardzo znamienitych zdolności a w każdym razie tacy, co wszystko poświęcali dla swojej idei, żadnych miejsc nie żądając dla siebie. Cóż wyście wtedy robili? Powiesz mi pewnie, żeście jaśniej widzieli, żeście szaleństw nie podzielali i nie zrobili nic złego : ale czy to się nazywa mieć ludzi? Gdybyście byli mieli ludzi pomiędzy sobą, to ci lu

dzie, którzy tak jasno widzieli, byliby mieli odwagę sprzeciwić się zamierzonym szaleństwom a w razie potrzeby głów swoich nadstawić, ażeby nie dopuścić nieszczęścia. Czyście się sprzeciwili? wcale nie. Owszem przeciwnie, sa- miście przyjęli hasła przez waszych przeciwników wydane, daliście się unieść nie przez was stworzonemu prądowi i jeszczeście go sami podtrzymywali, obiecując nam pomoc zagranicznych mocarstw i dworów, w czemeście znowu wy bardzo niejasno widzieli. Za te wasze czynności będzie was kiedyś bardzo surowo sądzić historia, bo wiedz o tem, że gdyby nie było dyplomatycznych czynności tych waszych ludzi, to nasze Powstanie byłoby już we trzy miesiące ustało — a że w Petersburgu bardzo wiele na tem zależało, ażeby je jaknajprędzej uspokoić, bylibyśmy w takim razie z pewnością bardzo wiele z tego uratowali, cośmy przed Powstaniem mieli, na każdy zaś wypadek nie bylibyśmy doznali takiego straszliwego upustu krwi, że z niego do dziś dnia podnieść się nie możemy. Nie zarzucaj też tym, których wy nie zaliczacie do swoich, że ludzi nie mają, bo myśmy wytrwali w ogniu do ostatniego oddechu — a wyście nie mieli nawet tej cywilnej odwagi, ażeby jawnie wystąpić z swem przekonaniem i stanowczym oporem przeciwko szaleństwu kraj zbawić.

— Nie zgadzam się z panem na to rozumowanie, — rzekł Frydrusz, — bo wtedy dla cywilnej odwagi wcale miejsca nie było. Ktoby się był panującemu prądowi jawnie sprzeciwił, ten byłby tak dobrze łba swego nadstawił, jak wy, którzyście w polu walczyli — a przyznaj pan, że na to, ażeby dać szyję z tem przekonaniem, że się potem zostanie okrzyczanym zdrajcą ojczyzny, potrzeba takiej odwagi, której od nikogo wymagać nie można.

Więc Zaklika się śmiał i mówił:

— Ba! ale kto chce rządzić narodem, ten musi mieć każdą odwagę.

Frydrusz się zniescierpliwiał i rzekł:

— Go tam o tem dziś mówić, to już do historyi należy. Dzisiaj całkiem inne jest położenie, dziś idzie o to, aby rządzili najuczciwsi i najrozumniejsi.

— Na to zgoda, — zawołał Zaklika, — ale to się powinno odnosić do indywidualów a nie do jakiejś kasty lub sekty, która sama siebie ogłasza za najuczciwszą i najrozumniejszą.

— A koniecznie kasty i sekty, — rzekł na to Frydrusz, niescierpliwiając się coraz więcej, — a nie warstwy społecznej! Ale mniejsza o nazwę, jak skoro panu już powiedziałem, że w naszym stronnictwie droga stoi otworem dla wszystkich.

Na to Zaklika, który także się już zaczął cokolwiek zacinać, odpowiedział mu z naciskiem:

— Ale ja tobie już powiedziałem, że to nieprawda. Niby ja nie wiem, jak tam ta droga stoi u was otworem. Do takich miejsc, gdzie trzeba końskiej pracy i fachowych zdolności, dopuszczacie każdego, chociaż i w takich wypadkach tylko tych, co się ukorzyli przed wami, ale gdzie praca jest lekka a do tego jakaś reprezentacya, tam nikt taki, który nie otrzymał od was wszystkich święceń kapłańskich, nigdy się nie dobije. Jeżeli zaś czasem się stało, żeście takie stanowisko dali jakiemu plebejuszowi, to stało się to tylko wtedy, kiedyście wy między sobą kandydata na to stanowisko nie mieli. Mów ty sobie, co chcesz, ale wy nie jesteście stronnictwem, tylko kastą i sektą.

Tu Frydrusz zatarł ręce nerwowo i rzekł:

— Przyznam się panu, że mnie to niecierpliwi. Sąd pański jest powierzchowny, radbym przypuścił, że pan tego nie mówisz na seryo. Sam pan przyznajesz, że rząd w społeczeństwie należy się najuczciwszym i najrozumniejszym, zasadę tę odnosisz pan do indywidualów, ale ta zasada da się przecież rozszerzyć a mimo to pozostanie tą samą zasadą. Jeżeli bowiem w jakimś społeczeństwie jest jakaś warstwa społeczna, która jest najuczciwszą i najrozumniejszą, a obok niej są inne, które nie są ani uczciwe, ani rozumne, to choćby ta warstwa była z jakiegoś punktu widzenia istotnie kasta, to przecież jej się zwierzchnictwo należy a nie tamtym innym, bo to, że ona zarazem jest kastą, jest tylko jej przypadkowym przymiotem a nie jej właściwą istotą. Jakoż jeżeli ona wzięła górę nad innymi, to nie dla jej przypadkowych przymiotów, tylko dla jej właściwej istoty— i jeżeli się utrzymuje przy panowaniu, to nie dlatego, że jej większość składa się z ludzi posiadających majątki i herby, tylko z tego powodu, że jej zasady i dążności są właśnie na czasie, że społeczeństwo, obawiając się nowych przewrotów, ufa jej rozumowi i że w niej widzi dostateczną a zarazem jedyną rękojmię utrzymania porządku, możliwości spokojnej pracy i swego normalnego rozwoju...

— Ot pleciesz ! — przerwał mu, wzruszając ramionami Zaklika, — obawiając się nowych przewrotów! jak gdyby jeszcze dzisiaj ktoś myślał o nowych przewrotach! Wasze dążności są właśnie na czasie: jak gdyby płaszczenie się, rezygnacja bez myśli i bez nadziei, niesprzeciwianie się woli Bożej, kiedy z nosa kapie i robienie tylko tego, na co jtiądz proboszcz pozwoli, były kiedykolwiek na czasie! Kogo ty chcesz przekonać, że to są najuczciwsze zasady i naj- rozumniejsze dążności? Ale niechący powiedziałeś coś, co

waszą właściwą istotę jaknajdokładniej określa. Wy w nas wmawiacie, że wy jesteście dostateczną a zarazem jedyną ręką utrzymywania porządku i spokojnego rozwoju. Dostateczną? może, ale tylko do czasu, bo chciałbym was widzieć, jak wtedy będziecie wyglądać, kiedy ulica stanie przeciwko wam twardo na nogach. Życzę wam, abyście dotrzymali, ale obawiam się, że wam myszych dziur braknie, w których się wtedy zechcecie pochować. Jednak na dziś przypuśćmy, że jesteście dostateczną ręką. Ale jedyną? otóż w tym właśnie leży śmiertelny grzech waszego stronnictwa, bo stąd wypływa wasz absolutyzm i ta wasza wyłączność, która jest nawet dla tych nieznośną, co pewnie nie mają żadnych dla ulicy sympatii i mogliby z wami żyć w zgodzie, gdybyście wy im pozostawili wolność przekonań przynajmniej w tej mierze, o ileby oni byli wyrozumiali dla waszych przestarzałych opinii i sądów. Przecież nieomylnymi nie jesteście a był to jeden z waszych wielkich pisarzy, który powiedział: *in dubiis liberās*. Ale u was inaczej: kto nie jest waszą wodą święconą ochrzczony, tego ogłaszacie nie tylko waszym nieprzyjacielem, ale nieprzyjacielem całego kraju: to może być ze stanowiska stronnictwa w danej chwili rozumne, ale że uczciwym nie jest, o tym nie- masz wątplenia.

Zaklika to mówił trochę spokojniej, ale Frydrusz już był zniecierpliwiony, obraził się tą uwagą, wziął na kiel i odpowiedział mu głosem, w którym gniew się przebijał:

— Pan nie jesteś w środku kwestyi, tylko na boku. Pojęcie uczciwości jest względne. Inną miarą się mierzy uczciwość indywidualna a inną uczciwość stronnictw, parlamentów i rządów, bo też całkiem inne są ich cele i ich obowiązki. Jeżeli indywiduom niewolno jest trzymać się za

sady, że cel uświęca środki, bo byłby to nagi egoizm i dla innych indywidualności szkodliwy, to natomiast stronnictwa, parlamenty i rządy powinny i muszą się trzymać tej zasady, bo ich cel służy całemu społeczeństwu, bo inaczej nie mogłyby tego celu osiągnąć, bo w końcu, jeżeli surowością swych środków komu szkodę przynoszą, to tylko tym, którzy ich działanie tamują, a przeto tym, którzy przeciwko dobru swego własnego społeczeństwa się burzą. Dla takich ludzi, choćby skądinąd mieli niejaki zalety, stronnictwo rządzące żadnych względów mieć nie może, bo los społeczeństwa jest rzeczą bez porównania ważniejszą niżeli los indywidualności i jeszcze nigdy nie było takiego rządu na świecie, któryby nie poświęcał indywidualności dla tych celów ogólnych, których spełnienie przyjął na siebie. Są to początkowe litery politycznego alfabetu — i dziwi mnie nie- pomału, że muszę je panu wykladać.

Na to Zaklika spojrzawszy na niego z pogardliwą ironią, wytrzymał chwilę a potem rzekł:

— Więc wy się macie za nieomylnych? W obec was nikt się nie może odezwać, bo wy macie słuszność we wszytkiem. Cóż pozostanie tym, którzy także mają swoje zdanie o wszystkim i na każde ze swoich zdań mają wyrozumowane dowody? cóż ci mają zrobić ze sobą?

Tu Frydruszowi już się urwała cierpliwość, uniósł się i zawołał:

— Go mają zrobić ze sobą? Słuchać jak pies trąby — i koniec.

— Jeżeli tak, — rzekł na to z nietajonym gniewem Zaklika, — to na tem się nasza konwersacya skończyła. Ale jeżeli chcesz, to możesz ją kontynuować z Fajarą...

To rzekłszy, zadzwonił a kiedy służący wszedł do pokoju, kazał zawołać Fujarę.

Frydrusz się spostrzegł, że się uniósł po za granicę przyzwoitości, obowiązkowej wobec każdego obcego czło wieka a cóż dopiero w obec swego przyszłego teścia, zbladł, zadrzał i byłby rad to jaknajprędzej naprawić: ale już było za późno.

Fujara, który grał Geni na fortepianie w małym salonie, przybiegł klusem i rzucił się ku niemu, aby go powitać.

Prawie w tej samej chwili przyszedł Prandota — a niebawem przyjechali jacyś goście z sąsiedztwa.

Frydrusz prowadził konwersację z wszystkimi i szukał sposobności, aby się mógł zbliżyć do Zakliki, lecz widząc, że Zaklika się od niego ostentacyjnie odwraca i obawiając się, aby mu nie zechciał jeszcze w sposób ubliżający przycinać przy gościach, o co u niego wcale nie było trudno, nie umiał nic innego wymyśleć, jak wymknąć się chyłkiem z pokoju i do domu odjechać.

Kiedy wsiadał do powozu przed gankiem, Genia widziała go z okna i była niezmiernie zdziwiona, że odjeżdża nie widziawszy się z nią: coś musiało zajść pomiędzy nim a jej ojcem, serce jej uderzyło z obawy, chciałaby była z nim choć dwa słowa wymienić, nie wiedziała na razie, jakby to zrobić — a Frydrusz tymczasem odjechał.

Tak wygładziwszy spór, który zaszedł dnia wczorajszego pomiędzy Zakliką a jego ojcem, zirytowany do najwyższego stopnia, zły sam na siebie a nawet nie wiedząc wcale, jak się pokaże rodzicom, zajechał przed pałac ojcowski.

Oboje rodzice oczekiwali go z niecierpliwością a kiedy wszedł, matka podbiegła ku niemu, pytając go:

— Jakże ci się udało? Kiedyż Zaklika przyjedzie? Frydrusz się kręcił, nie wiedział co odpowiedzieć, aż wreszcie rzekł:

— To jest człowiek niemożliwy... Natenczas Firlej, człek otwarty i zacny i chętnie poświęcający swe przekonania dla syna, zawołał z żalem:

— A cóż? czy nie mówiłem? pewnieście się z sobą skłócili ?

— Jużciśmy się skłócili, — rzekł Frydrusz, — ale z tym człowiekiem niepodobna się porozumieć. Gdyby był demokratą, jak Tarło, albo socyalistą jak Balcer, toby się przynajmniej wiedziało, z kim się ma do czynienia. Ale on nie jest ni jednym, ni drugim, wszystko mu nie na rękę, wszystko gani, wyszydza i poniewiera, zgoła duch wiekuistej sprzeczności, który sam nie wie, czego chce, a z takim duchem trudno żyć w zgodzie.

Tu przerwał mu Firlej — a mając teraz żal szczerzy do syna za to, że się pokłócił z Zakliką, nie z osobistych, tylko z politycznych powodów, rzekł niecierpliwie, mówiąc od serca, co myślał:

— A ja ci powiadam, że pod tym względem Zaklika ma rację, bo te wszystkie wasze stronnictwa ani trzech groszy nie warte. Ja jego nie pochwalam, bo ideałów niema na ziemi, ale ja go rozumiem, bo jest to godne człowieka, mieć ideały, żyć dla nich a choćby za nie i zginąć; ale wy go nigdy nie zrozumiecie, bo wy i dla ideałów już zmysłu nie macie i nawet już ziemi nie czujecie pod waszemi sto-

* pami, dlatego kręcicie się jak mucha w mazi i sami nie wićcie, czego chcecie. Jeżeli on zginie, to jego śmierć przy

najmniej obudzi żal a może i podziw, ale jeżeli wy zginiecie, to nikt nie zapłaci za wami. Ja jego rozumiem, ale was nie rozumiem. O cóżeście się z sobą skłócili?

Frydrusz opowiedział mu, jak to było.

Na to ojciec się zgniewał na seryo na niego i tak mówił:

— A czy ja ci nie powiedziałem sto razy, że ta wasza polityka to bezsens w naszym położeniu a zarazem i wielkie nieszczęście. Wy nią nic nie zrobicie, bo nie macie siły po temu, tylko waszemi stronnictwami rozrywacie to biedne nasze społeczeństwo na sztuki, waszemi sporami rozdieracie jego wnętrze a nad to wszystko jeszcze i uniemo- żebniacie nawet towarzyskie stosunki. Zamiast pracować spokojnie każdy w swoim zakresie albo na swoim zagonie, z czego by się uzbierały pomału moralne i materialne zasoby i czemby nasze społeczeństwo wróciło znowu do jakichś sił i jakiegoś znaczenia, wy się żrecie pomiędzy sobą o władzę — o władzę nad czym? nad temi poszarpanymi szmatami wielkiego niegdyś narodu, które i bez was się rozlatują każda w swą stronę, które wy drzecie na jeszcze mniejsze szmateczki a nad którymi jeszcze do tego wszystkiego kto inny panuje! Śmiać mi się chce z waszych programów, które nam narzucacie, jak gdybyście mieli prawo i władzę po temu. Jeżeli człowiek prywatny przed jakąś koniecznością się ugnie a nakazawszy swoim uczuciom milczenie, zastosuje tymczasem swoje zachowanie się do okoliczności, to to jest jego rzecz i nikt inny za to nie jest odpowiedzialnym: ale jeżeli jakieś stronnictwo to zrobi a do tego jeszcze publicznym manifestem ogłosi, to to jest gwałt i niesprawie i ja się pytam, kto mu dał mandat do tego? Te wasze niby konserwatywne manifesty pociągnęły tylko

ten skutek za sobą, że sprawa polska przestała być kwestią międzynarodową, europejską, czem ją zrobiły legiony a przy czem i myśmy ją utrzymali — a stała się kwestią wewnętrzną dla każdego rozbiorowego mocarstwa z osobna, którą też Europa już wcale nie uważa za swoją. I ja wam powiadam, że jeżeli wy, pomimo waszej różnicy zdań, nie zlejecie się z sobą w pracy do jednego i jednolitego celu, to się jeszcze na daleko większą ilość szmatek podrzecie i dwa pokolenia nie minie a z was ani ślad nie zostanie ..

Tak w tym starym Firleju, mimo jego wszystkich arystokratycznych uprzedzeń, żyła jeszcze cała i niepodzielna dusza narodu, chociaż tak głęboko schowana, że musiał się chyba mocno rozgniewać, aby z nią na jaw wystąpił. Frydrusz chciał się usprawiedliwić, ale on go już nie dopuścił do słowa, tylko mówił dalej:

— A potem, pytam się ciebie, co ty masz robić w jakimś stronnictwie? czy to jest dla Firleja przystojnem, jżby w jakiejś politycznej partyi kąty sobą wycierał? Wstąpiłeś do służby w austryackiej Monarchii i w swojej prowincyi, to dobrze. Miałeś nadzieję, że Marszałkiem Sejmu albo Namiestnikiem zostaniesz, to także dobrze. Straciłeś te nadzieje i wystąpiłeś ze służby — i to ci także pochwalam, bo to nie jest rzeczą Firleja być tam jakimś starostą albo powiatowym marszałkiem. Ale co Firlej ma być ogonem, agentem czy adwokatem jakiegoś tam galicyjskiego stronnictwa? to dobre dla tych-tam miernych szlachciców albo hrabiów wczorajszych, którzy dopiero wtedy coś znaczą, jeżeli ich promienie cudzej łaski oświecą, ale nie dla * Firleja! Firlej, co sam coś znaczy, stoi ponad stronnictwami, z wszystkimi dobrze utrzymuje stosunki, z nikim się o polityczne kwestye nie kłóci a wszystkich do siebie przyciąga

Zaklika. T. III.

ażeby w danym wypadku mógł utworzyć swoje własne stronnictwo. Stronnictwa powinny się starać o łaskę Firleja, ale nie Firlej o łaskę stronnictw — a ty dworakujesz ja- kiejs-tam partyi i jeszcze do tego tak żarliwie za nią gardłujesz, że nawet gotów jesteś stracić twą narzeczoną, ażeby tylko zasłużyć sobie na pochwałę jakiejś prowincjonalnej ko- teryi, z którą my zresztą tutaj nawet nie mamy nic do czy nienia. Róbże sobie teraz jak chcesz, ja ci w tem nie pomogę, bo ja jestem także pokłócony z panem Zaklika i to nie o jakieś-tam polityczne teorye, tylko o rzecz honorową, co jest sprawą daleko ważniejszą, niżeli wszystkie stronnictwa całego świata.

Z tem Firlej chciał odejść, ale żona go zatrzymała.

Pani Firlejowa naprzód mężowi przyznała słuszność, potem dała lekką naukę synowi, że pan nie powinien się wdawać w polityczne dysputy, bo to jest rzecz brzydka, którą trzeba zostawić adwokatom, literatom i profesorom a zresztą mieszczanom i szlachcie, w końcu zaś uspokoiła ich obydwóch, mówiąc z dobrego serca:

— Nawarzyliście piwa obydwu, ale ja go za was wypiję. Przecież Zaklika nie zechce unieszczęśliwić córki dlatego, że Fujara jakieś głupstwo powiedział, albo że Fry& się uniósł w politycznej dyskusyi. Trzeba z jaki tydzień przeczekać, aby się to zapomniało — a potem ja sama pojedę do Zaklikowa i wszystko naprawię.

Frydrusz dziękował matce z całego serca, przyczem wszakże tę zrobił uwagę, że tydzień to może za wiele.

Matka, siebie zupełnie pewna, odpowiedziała mu na to:

— Zostaw to mnie, przecież jeszcze świat się nie wali nad naszymi głowami.

Ale świat czasem się wali a niekiedy nawet tak prędko, że żadna siła ludzka go nie potrafi powstrzymać.

XVIII.

Ignaś, po przedwczorajszej gwałtownej scenie ze swoim ojcem, znalazł się w położeniu rozpaczliwym, bez ratunku, bez wyjścia. Na razie miał to wrażenie, jakoby wpadł w głęboką studnię, z której nigdy się nie potrafi wydobyć. Stoi w wodzie po samą szyję i dygoce od zimna, ściany studni z gładkiego cementu, ani myśleć aby się po nich w górę wydrapać, w górze widać światelko i wisi wiadro na obwi • niętym około poprzecznej belki łańcuchu, ale nikt mu tego wiadra nie spuści. Chociażby krzyczał w niebogłosey. nikt go nie usłyszy — a gdyby nawet kto go usłyszał, to mu z pewnością na pomoc nie przyjdzie, bo nie ma pomiędzy ludźmi przyjaciół. Jednak i w takim położeniu człowiek się rusza, dopóki jeszcze ruszać się może...

Ignaś jeszcze tego samego dnia napisał list do Flory, list oczywiście ni w pięć ni w dziewięć, w którym jej doniósł, że miał bardzo przykrą scenę z ojcem, ojciec usiłuje się jego zamiarowi sprzeciwić, ale to nic nie pomoże, bo on wytrwa przy swoim i jest gotów na wszystko, zaczem ta sprawa, czy to w ten sposób, czy w inny, za kilka dni się z pewnością załatwi.

Flora nic mu nie odpowiedziała na list; podobno dała jakąś ustną odpowiedź, ale posłaniec nie umiał a raczej nie chciał mu jej powtórzyć, powiedział mu tylko tyle, że panna się rozgniewała i kazała go za drzwi wyrzucić.

Ignaś tą odpowiedzią jeszcze więcej się zafrasował, chodził po swoim pokoju przez pare godzin jak struty, ale

10*

w końcu sobie powiedział: Jużci ma słuszość, trzeba pare dni cierpliwie przeczekać, może się uspokoi i przecie coś mi napisze.

Ale czekał dzień drugi i trzeci i czwarty — a od Flory żadnej wiadomości nie było.

Czwartego dnia przyjechali do Zaklikowa lekarze z Warszawy i przywieźli ze sobą maszynę elektryczną, ojciec kazał obiad zgotować później jak zwykle, bo będzie z lekarzami aż do tej pory zajęty, kiedy jego zwykła senność go zbiera: Ignaś zatem zebrał się na odwagę, wymknął się zaraz popołudniu z pałacu i pojechał na Balcerówkę.

Kiedy wszedł na werandę, służący mu powiedział, że panna Flora wyjechała w sąsiedztwo, ale pan Filon jest w domu i bawi się z gośćmi w swoim laboratoryum na pierwszym piętrze.

Ignaś poszedł do laboratoryum i zastał tam Frydrusza i Tarłę.

Tarło, kiedy był na wsi u siebie, bywał dość często na Balcerówce — a Frydrusz, nie mogąc pisywać do Geni, boby to było nieprzyzwoicie, przyjechał do Balcerka i Flory, spodziewając się, że może od nich się do wić, co się dzieje w Zaklikowie i co mówi Zaklika.

Wszakże w tej chwili trzech młodzi ludzie byli zajęci polityczną dyskusją i musieli już dosyć długo dyskutować- ze sobą, bo byli zaciętrzewieni i mówili gorąco i głośno. Frydrusz, obrócony do Tarły, tak kończył swój wykład:

— W tem właśnie jest rzecz. Gdybyście panowie de- mokracyę i liberalizm tak pojowali, jak my, jak je zresztą pojmują wszyscy, co myślą ściśle i szczerze wypowiadają swe myśli, to wtedy moglibyśmy się porozumieć. Ale gdzie niema definicyi dokładnych a natomiast pełno frazesów

próżnych, których właściwego znaczenia niepodobna odgadnąć, tam nietylko porozumienie, ale nawet poważna dyskusja jest niemożliwą.

— Ale kiedyby ja także nie wiem, — odpowiedział mu Tarło, — co pan rozumiesz pod demokracją i liberalizmem.

A na to Frydrusz:

— Ja pod temi pojęciami to rozumiem, co pan widzisz we wszystkich krajach konstytucyjnych. Nie idźmy do Francji, bo to republika, ale weźmy sobie Austrię za przykład. Owoż w Austrii i demokracja i liberalizm są w zupełności wprowadzone w życie...

Na to Tarło w głos się roześmiał a Balcerek spojrział na Frydrusza z takim zdziwieniem, jak gdyby jakąś niesłychaną niedorzeczność usłyszał. Frydrusz tego nie widział, bo w tej chwili go tylko Tarło zajmował, jakoż rzekł gniewnie do niego:

— Pan się śmiejesz a ja panu powiadam, że w Austrii, chociaż tamtejszy rząd jest konserwatywny a niektórzy nawet nazywają go klerykalnym, demokracja i liberalizm są posunięte do ostatecznych krańców możebności. Przywilejów żadnych niema, przecie tego pan nie zaprzeczysz, ani dla klas, ani dla indywidualów, natomiast zaś jest równość w obliczu prawa zupełna, jest wolność druku, wolność sumienia, wolność stowarzyszeń, parlamentów daleko więcej niż trzeba, czegoż wam jeszcze brakuje?

— Przywilejów niema? — zawołał Tarło z ironją, — a Izba panów? a wybory kuryami? a tytuły? a ordery? a weto korony? a protekcyjność od góry do dołu? to wszystko nie przywileje?

— A to chyba j?an jesteś republikaninem? — rzekł

Frydrusz również z ironią — winszuję panu. Zapewne republika francuska tak bardzo się panu podoba. A czy to w tej republice nie masz także protekcyonizmu ? Ot, coś mi pan gadasz! Ale pan zapewne i tam do opozycji należysz, bo pan jesteś nietylko republikaninem, ale także i radykałem.

— A panbyś chciał, żeby wszyscy byli pańskiego zdania, — rzekł na to Tarło, — i to nazywasz wolnością?

— Otóż ja panu powiem, — odpowiedział mu Frydrusz prawie już z oburzeniem, — że ja was wcale już nie rozumiem. Mówimy o Galicyi a przedewszystkiem o Lwowie, gdzie pan, jak słyszę, dosyć często dojeżdżasz. Dopóki tam stały tylko dwa stronnictwa przeciwko sobie, konserwatywne i liberalne, to jeszcze was rozumiałem. Ale teraz wy demokraci podzieliliście się na tyle frakcyi, że nawet się ich doliczyć nie można, w całej Galicyi nie masz nawet dwóch liberalnych dzienników, któreby były w zupełnej zgodzie ze sobą, czego który z nich chce, tego sam diabeł nie dojdzie. Macie już nawet takich radykałów, którzy się patryotyzmu zapierają i drugich radykałów szyderczo nazywają patryotnikami. Zgoła w waszym własnym obozie jest taki chaos, jak gdyby przed jakimś nowem stworzeniem świata. Tylko w jednej ukrytej myśli jesteście zgodni, — dodał Frydrusz złośliwie, — gdybyście mogli jakąś tajną organizację utworzyć, to tam byście się wszyscy znaleźli.

Poczem obrócił się do Balcerka i rzekł:

— A co ? czy nie mam racyi ?

A Balcerk się śmiał i mówił:

— Jużciby się tam pewnie znaleźli, tylko że ich na żadną organizację już nie stać. Organizacya będzie a może już jest, ale socyalistyczna a nie demokratyczna.. Te niedo

bitki dawnej demokracji, co się nam jeszcze plątają pomiędzy nogami, to są muły, co żadnego potomstwa już mieć nie mogą. Nasienie ich jest беспłodне, oni tak samo wyginą, jak niegdyś mastodonty i ichtyosaury, kiedy ich epoka minęła. I ich epoka także już minęła, tylko oni sami nic o tem nie wiedzą. A chociaż są między nimi, co uszy szczyrzą na te głosy nowego świata, które koło nich się wciąż odzywają, to im to nic nie pomoże, bo oni dla tych głosów słuchu nie mają. Tak niegdyś najrozumniejsi Rzymianie nie mieli słuchu dla głosów chrześcijańskiej nauki, wyznawcy jej była-to według ich rozumienia sekta głupia, złośliwa a zresztą nic nie znacząca, mimo to wszakże ta sekta świat sobie podbiła a Rzymianie zginęli. Organizacya będzie, ale się stworzy nie z nich, tylko po za nimi — a oni wymrą z ubóstwa krwi i z braku oddechu.

Więc Frydrusz zatarł ręce z radości, bo kontent był, że chociaż nie on, to kto inny pobił nieznośnych mu demokratów, zaczem obrócił się do Ignasia, który siedział w kącie milczący, i rzekł do niego wesoło:

— A ty co na to? może lepiej demokratami wcale się nie zajmować i zostawić ich socyalistom, ci ich zmielą na proch, czego my przecież nie potrafimy, bo my mamy zawsze chrześcijańską litość nawet dla przeciwników, my zawsze w końcu rzucamy na tego chlebem, kto na nas rzucił kamieniem — a u nich każde im przeciwne stronnictwo, choć z ludzi złożone, jest tylko materyą, tak samo jak kamień i woda.

Ale Ignas się na to tylko litościwie uśmiechnął i rzekł:

— Mnie wasze spory właśnie tyle obchodzą, co histo-rya dnia wczorajszego. Dziwi mnie nawet, jak ludzie rozumni mogą się takimi rzeczami zajmować, zwłaszcza że

przedewszystkiem żyć trzeba — a tu czasem i wyżyć nie można.

Tak było ich czterech, mniej więcej jednego wieku, ale byli jak cztery konie, z których każdy się z innej strony zaprzął do wozu: mniejsza o to, że tym sposobem wozu z miejsca nie ruszą a może go nawet na kawałki rozerwą, ale żaden z nich o tem nie myślał, bo każdemu tylko o to chodziło, ażeby rwał w swoją stronę, w której mu się zdawało, że widzi zbawienie.

Frydrusz sobie przypomniał, po co tutaj przyjechał i rzekł do Ignasia:

— Masz rację, w dzisiejszych czasach życie jest czasem bardzo trudnym zadaniem.

Poczem go wziął pod ramię a wyprowadziwszy go do drugiego pokoju, zapytał:

— Jak się ma Genia?

— Genia zdrowa, tylko się domyśla, że miałeś jakąś cierpką dyskusję z ojcem i tem się martwi.

— A cóż tam ojciec?

Na to Ignas uśmiechnął się kwaśno i odpowiedział mu z goryczą na ustach:

— Ojciec pragnie dla nas wszystkich zbawienia, ale ^chciałby nas zbawiać według swego własnego rozumu.

A tymczasem robaka, który sobie upodobał w chrzanie, nikt tem nie zbawi, jeżeli go w miodzie utopi

Frydrusz się nad tem na chwilę zamyślił i rzekł:

— Proszę cię, powiedz Geni, aby się nie martwiła. Ja miałem z twoim ojcem bardzo przykrą dyskusję. Przycięliśmy sobie: ja mu dałem do zrozumienia, że człowiek nie może żyć w odosobnieniu, tylko musi do jakiegoś szerszego grona należeć — a on mi kazał dyskusję o tem

kontynuować z Fujarą. Przyznasz mi sam, że trudno być więcej niegrzecznym. Musiałem bez pożegnania wyjechać. Ale za pare dni to się zapomni. Moja matka pojedzie do Zaklikowa i to nieporozumienie wygładzi. Proszę cię, powiedz to Geni.

Kiedy Frydrusz to mówił, było słycać turkot powozu zajeżdżającego przed ganek — a niebawem wbiegł służący i powiedział, że panna Flora prosi pana hrabiego Firleja do siebie.

Ignas na to mocno się skrzywił — a Frydrusz pobiegł do Flory.

Flora przyjęła go więcej jak grzecznie, bo wcale serdecznie i po przyjacielsku i widać było zaraz po pierwszych jej słowach, że chciałyby się z nim całkiem otwarcie o po ufnych rzeczach rozmówić.

Frydrusz, choć nic nie wiedział, miał jednak to uczucie, że razem z nią do pewnej opozycji należy, była zatem pewna nić, która ich wzajemnie wiązała a to go spowodowało do równej otwartości i poufałości.

Po kilku frazesach wstępnych Flora go spytała:

— Cóż tam z panem Zakliką? podobnoście się ze sobą skłócili?

— Jakże pani wiesz o tem?

— Przecie Filek tam bywa, Fujara, co słyszy jak trawa rośnie, z tem się przed nim wygadał.

Frydrusz opowiedział jej to zajście prawie temi sa- memi słowy, co Ignasiowi. f

— Ten człowiek jest jak oset, — rzekła na to Flora, — z której strony go dotkniesz, to się ukłujesz. Ale on podobno i z pańskim ojcem się skłócił?

— Tak, coś tam było, — odpowiedział jej Frydrusz, ale nie chcąc jej tych scen opowiadać, dodał z pospiechem, — ale to się także naprawi.

— A ja wam powiadam, — zawołała Flora, — że się nic nie naprawi. Wy z tym człowiekiem nigdy nie dojdziecie do końca, to leży w jego naturze, on się musi wszystkiemu sprzeciwiać, inaczej nie mógłby żyć.

— To nie jest człowiek zły, — rzekł Frydrusz, usiłując złagodzić uprzedzenie Flory przeciwko swemu przyszłemu teściowi, — tylko jest trochę doktryner a przytem ma absolutny charakter. On bez wątpienia chce jak najlepiej, tylko swoje pojęcia o tem, co ma być dobre, narzuca innym, bez względu na to, że ci inni mogą o tem innego być zdania. Ale on przytem jest ojcem i z tem trzeba się liczyć...

— Ba dobrze, — przerwała mu Flora, — jest ojcem, to swoją drogą. Ale przecież tego nie można dopuścić, ażeby jeden człowiek dlatego, że jest ojcem, unieszczęśliwiał tych wszystkich, którzy jego opinii nie dzielą i widzą swoje szczęście gdzieindziej. Przyznaj pan, że byłoby to coś monstrualnego.

Frydrusz ją spytał ciekawie:

— Więc tam także coś zaszło pomiędzy nim a Igna- siem?

— Naturalnie że zaszło, — rzekła Flora, pełna gniewu, — chociaż jeszcze nie wiem, jak to było.

— Ignaś jest tu, on pani powieć.

— Ja jego o to wcale nie potrzebuję pytać. Ojciec odmówił a co przytem powiedział, to mi jest obojętne.

— Ale dlaczegóż Ignaś o tem pani nie doniósł?

— Ignaś? niby pan jego nie znasz! Kiedy niema żadnej przeszkody, to idzie jak wiatr, ale jak ■ tylko z jakąś

przeciwnością się spotka, niemasz w nim woli. On ma temperament, ale mu brak charakteru, jegoby trzeba dopiero wychować.

— Jeszcze młody.

— Młody i głupi. Ale ja się bez niego obejdę i będę mieć rozum za niego.

— Cóż pani zrobi? — zapytał Frydrusz ciekawie.

— Słuchaj pan, bo właśnie chciałam z panem o tem pomówić. Przecie Zaklika jest chory. On jeszcze ciągle jest w pół-śnie letargicznym. On w peryodyczną senność zapada i wtedy jest besprzytomnym a jak się zbudzi, to mówi od rzeczy. Przecież musi być jakieś prawo, które zabrania, ażeby ojciec głupowaty, pozbawiony zdrowego rozsądku, rozpo- rządził losem swych dzieci...

Frydrusz zastanowił się nad tem, patrzył na nią uśmie- chniętymi oczyma, lecz milczał.

— Yoyons, — mówiła Flora po prz rwie, — przecie ojciec pński ma stanowisko i wpływy, jeżeliby chciał za tem do Warszawy pojechać, jestem przekonana, że za trzy dni to wyrobi, aby go wzięto pod kuratelę. Przecież jeszcze przez to nie stanie mu się nic złego, pojedzie sobie na kurację do Warszawy albo i do Paryża, gdzie sam zechce — a tutaj adwokat obejmie na powrót opiekę nad jego majątkiem i dziećmi. Cóż pan powiadasz na to?

Tak, — mówił Frydrusz, wciąż zamyślony, — jużci możnaby to zrobić, ale naprzód byłaby to intryga familijna, do której niełatwo rękę kto poda — a potem przeprowadzenie takiego procesu to strasznie długa historia.

— Dlaczego długa?

— Bo są formalności; >

— Ale jeżeli jest peril en la demeure?

— Quel peril? — zapytał Frydrusz.

Na to Flora się zmięszała cokolwiek, ale odpowiedziała przytomnie:

— Przecieżeśmy się pozaręczali z jednej strony i z drugiej.

— Tego sądy nie uważałyby wcale jako groźące nie- bezpieczeństwo.

— Więc nie? — rzekła Flora z niecierpliwością.

— Jabym się do takiej intrygi nie mógł mięszać a memu ojcu nie możnaby nawet wspomnieć o tem.

Od tej chwili Frydrusz był jej już niepotrzebnym. Nie umiała też tego zataić a kiedy ją nieprzeparta niecierpliwość widocznie targała, rzekła do niego:

— Dzisiejsi mężczyźni zupełnie skarłowaciel. Jeszcze tylko na to są potrzebni, ażeby rodzaj ludzki nie, zginął,, zresztą do niczego innego niezdatni. Tak też i świat dzisiejszy wygląda: nigdzie nowej idei, nigdzie całego człowieka. Wszyscy się niby około czegoś krzątają a świat ani krokiem nie postępuje naprzód, wszyscy czegoś się boją a sami nie wiedzą czego, nad to zaś wszystko jeszcze wszyscy się zbroją a nikt nie śmie uderzyć. Najnudniejsza komedia, jaką kiedykolwiek widziano w historii, komedia nicości. Nie naprózno też w tej właśnie epoce wystąpiła na scenę kwestya a emancypacyi kobiet, bo tylko w kobietach jest jeszcze energija i wola. I kwestya ta z konieczności rozwinie się dalej. Za jedno albo dwa pokolenia my światem rządzić będziemy a was zachowamy do grubej roboty i do niaóczenia dzieci. Mnie tylko na to żal bierze, że mi żyć przyszło w epoce przejścia...

— Wierzę bardzo, — rzekł na to Frydrusz z uśmie

chem na twarzy, — że dla naszych następców będzie to bardzo gruba robota.

— Wam tylko głupstwa w głowie, — odpowiedziała mu Flora, zmuszając się do uśmiechu, — ale z tego także widać, jakeście nisko upadli.

Frydrusz próbował jeszcze z nią żartować przez chwilę, lecz widząc, że ona nie była wcale nastrojona do żartów, pożegnał się i odjechał.

Niebawem zbiegł Tarło na dół, ale także tylko po to, aby się z Florą pożegnać, jakoż po bardzo krótkiej konwersacji także odjechał.

Już się wtedy zmierzchało. Służący wniósł lampę do salonu i postawił ją na stole stojącym we środku. Flora wyszła na chwilę do swojej sypialni — a kiedy wróciła, zastała Ignasia i Filka w salonie.

Flora była w piekielnym humorze. Na jej czole siedziała chmura gradowa, usta jej się ściągnęły, jej oczy były bez blasku; na jej twarzy odbijało się pewne rozstrojenie, jakie zwykle nas obejmować w chwili doznanego zawodu: ale w jej całej postaci i ruchach widać było przytomność siebie i tę energję, która człowieka silnego charakteru nie opuszcza nawet po doznanym zawodzie i każe mu szukać innych środków ratunku.

Ignas to spostrzegł i musiał w sobie obudzić całą swoją odwagę, aby zbliżyć się do niej i podać jej rękę.

Flora nawet nie spojrzała na niego, zaledwie dotknęła jego ręki i spytała go zaraz obcesem:

— Więc pan Zaklika odmówił?

Ignas z obawy jakiejś sceny gwałtownej którą przeczuwał, musiał się uciec do kłamstwa i rzekł:

— Nie była to odmowa, tylko opór, którego zresztą trzeba się było spodziewać.

— Ale dla mnie to odmowa, — odpowiedziała mu Flora, — na co to w bawełnę obwijać ?
Cóż teraz ?

— Trzeba się zastanowić, — rzekł Ignas.

— Więc zasiadajmy do rady i zastanawiamy się, — odpowiedziała mu Flora z widocznym gniewem i sama pierwsza siadła przy stole.

Filek i Ignas siedli także przy stole. Ignas milczał.

Flora się zniecierpliwiła i zawołała:

— Więc mów, bo ja nawet nie wiem, nad czym się chcesz zastanawiać.

Ignas milczał. To ją jeszcze więcej zniecierpliwiło, zaczęła sama zabrała głos i mówiła:

— Proponowałam Frydruszowi, ażeby to wyrobił przez ojca, aby pana Zaklikę jako umysłowo chorego wzięto w kuratelę* ale odmówił. Czy możesz to wyrobić przez adwokata?

Ignas się zastanowił a potem rzekł:

— Jakoś mi to nie wypada.

— Nie wypada... więc cóż ci wypada?

Ignas milczał. Flora wzruszyła ramionami i rzekła:

— Tu milczeć nie można. Tu trzeba się decydować, bo ja czekać nie mogę. Chcesz wziąć ślub ze mną natychmiast, w Sandomierzu czy w Pacanowie, to mi wszystko jedno ?

— I to nie wypada, — rzekł Ignas, — mogłyby z tego być awantury i jeszcze potem uznanoby ślub za nieważny.

— Więc cóż?

— Ja jestem gotów na wszystko, ale tak sędzę, że trzeba postępować roztropnie.

— Więc radź.

— Jabyś był zdania, — mówił Ignas z tem uczu^w ciem, że znalazł środek zbawienia, — że byłoby najlepiej* gdybyś wyjechała na krótki czas za granicę. Ja tymczasem ojca obrobię, Firlejowie, którym także na tem zależy* aby skandalów nie było, będą mi do tego pomagać. Firle- jo wie mają wpływy na niego...

— Piękny wpływ mają, — przerwała mu Flora, — jak skoro już od tygodnia nie mogą się wcale pokazać u niego* Dawno już nie słyszałam nic tak głupiego, ale mów dalej...

Ignas się skonfundował cokolwiek, ale mówił dalej jak mógł:

— Jeżeli go zaś nie obrobię, to z dniem mojej pełno[^] letności przyjadę" do ciebie a wtedy zaraz ślub weźmiemy ze sobą, choćby nazajutrz.

— A potem co? — spytała go Flora, patrząc ostro mu w oczy.

— Przecież z głodu nie umrzemy.

Na to Flora oparła się prawem ramieniem o stół a patrząc mu takimi oczyma w twarz, że w nich błyskawiczne ognie latały, zawołała drżącymi ustami od gniewu:

— Inibecile! Ale przecież ja na to, ażebyś z głodu nie umarła, nie potrzebuję ciebie!

W Ignasiu krew na to zastygła, jednak przemógł się i spytał: •

— Ale jeżeli jest taka przeszkoda, to cóż zrobić?

— I on jeszcze mnie pyta! — zawołała Flora, zrywając się od stołu a zbliżywszy się do niego i patrząc mu w twarz, dodała prawie już z pianą na ustach, — jeżeli nam ktoś przeszkadza, on s'en débarrasse! voilà tout!

Poczem obróciła się plecyma do niego, zawołała: Cretin! i wyszła z salonu.

Ignasz, zostawszy sam na sam z Filonem, patrzył przez chwilę w stół, potem spojrzął mu w twarz i rzekł:

— Przyznam ci się, że nie rozumiem. Przecież nie zechce wymagać, abym zamordował mojego ojca...

— Ona to zapewne rozumiała inaczej, — odpowiedział mu Filek, trochę tą uwagą zakłopotany, — ale w końcu nie można jej się dziwić, jeżeli znajdując się w tak krytycznym położeniu, usiłuje się bronić i nie przebiera pomiędzy środkami.

— To dobrze, — rzekł Ignasz, — ale mimo to ja jej nie rozumiem. W jej postępowaniu jest pewna niekonsekwencja. Jakże? Ona jest za zupełną emancypacją kobiet, w zasadzie jest nawet przeciwna małżeństwu, śluby chce zastąpić ustnymi kontraktami, zrywanie tych kontraktów zostawić każdemu do woli — a w tym wypadku staje na zupełnie przeciwnym punkcie widzenia...

— To jest działanie tradycji, — odpowiedział mu Filek, — moc przyzwyczajenia a zresztą w tej chwili doznaje tak okropnego zawodu...

Ignasz myślał nad tem przez chwilę a potem rzekł:

— Piękneby-to były rządy, gdyby je w ręce swoje wzięły kobiety: natenczas rządziłyby światem nie rozsądek, nie rozum, nie zmysł praktyczny, tylko same namiętności.

Filek uśmiechnął się na to i chciał odpowiedzieć, — ale wtem weszła Flora. Była teraz całkiem spokojna, zupełnie niepodobna do siebie, zbliżyła się do Ignasia i rzekła do niego głosem takim, jak gdyby przedtem żadnej sceny pomiędzy nimi nie było:

— Mój Ignasz, jedź ty sobie teraz do domu. Ja ciebie

kocham — a nie mogę patrzeć na ciebie. Takich chwil nie należy przedłużać, dzisiaj się z sobą niczego nie dogadamy. Jedź sobie, przyjedziesz jutro albo pojutrze...

Ignasz wstał, znowu skonfundowany. Nie wiedział na- razie, coby to miało znaczyć. Ale przyznając sam, że dzisiaj dalsza konwersacja pomiędzy nimi nie może doprowadzić do żadnego rezultatu, ścisnął jej rękę i rzekł:

— Kiedy tak chcesz, to odjadę. Ale proszę cię, zastanów się nad tem, com ci powiedział, mój projekt nie jest do odrzucenia...

— Dobrze, dobrze, zastanowię się, ale teraz do widzenia.

Ignasz odjechał.

Kiedy brat "z siostrą zostali sami, Filek spojrzął na Florę i spytał:

— Cóż się dowiedziała o półkowniku?

— On ma majątek w Kurlandyi, — odpowiedziała mu Flora, — nawet dość znaczny, ma także pieniądze, bo bardzo dużo wydaje. Więc to byłoby dobrze. Ale on już ma nominację na generała i najdalej za tydzień wyjeżdża do Petersburga. Nie ma więc czasu do stracenia...

— Więc dobrze, — rzecze jej Filek, — więc ja ci radzę, nie namyślaj się długo, tylko bierz półko wnika.

— Ba, — odpowiedź mu Flora, — kiedy ty nie wiesz, co to jest, kiedy kobieta naprawdę się kocha. Ja bez tego szelmy Ignasia nie potrafiłabym wyżyć. On jest głupi jak but, może mnie nawet tak bardzo nie kocha, nie umie się nawet dla mnie poświęcić, ale to darmo, ja takiego drugiego nie znajdę, ja jego za nic w świecie nie porzucę.

— Więc przyjmij jego propozycję, — rzecze jej Filek, —• nie taka-to wielka historia jaki rok za granicą przesiedzieć.

— Jaki ty głupi, mój Filek! Właśnie też ja się dam złapać w taką pułapkę. Zaklika będzie żyć jeszcze z jakie dwadzieścia lat — a ja będę przez ten czas siedzieć na jakimś przedmieściu jako żona człowieka nie mającego żadnej pozycyi a tylko tyle majątku, że nasze dzieci nie będą mrzeć z głodu. Dopókim mieszkała w Genewie i nie wiedziała wcale, co to jest towarzyska pozycja, to byłabym zapewne los taki przyjęła, ale teraz nie głupiam, teraz i ja chcę mieć towarzyską pozycję.

— Jużci zapewne, — rzekł Filek, który jakoś nie bardzo się w tem oryentował, co mu mówiła Flora, — mo- żeby i to dało się zrobić, wszedłszy w negocjacje z Zakliką. Jeżelibyś się zdecydowała przenieść się z Ignasiem na Żmudź, to onby może na to małżeństwo zezwolił, tylko trzebaby z nim negocyować.

— Na negocjacje niema czasu.

— Więc weź półkownika.

— Ty głupstwa gadasz, — zawołała na to Flora z uśmiechem, — półkownik to tylko pokrywka, w razie koniecznej potrzeby, w jednym razie i w drugim, ty nic nie rozumiesz...

Filek zamyślił się nad tem, aby to jakoś zrozumieć, ale napróżno. On znał drogi proste, otwarte, brutalne, ale ścieżeczki intryg były mu obce. Tymczasem Flora, chodząc wielkimi krokami po salonie, tak mówiła:

— Są na to jeszcze inne sposoby. Przecież nie dla zabawki zajmujesz się chemiją. Podług ciebie chemija ma zmienić postać świata, czyżby na taki głupi wypadek nie

było w chemii ratunku? Przecież musicie mieć jakiś eter, tak silny, że dość go powąchać, ażeby się na wieczne czasy przewrócić...

Jak skoro mowa była o chemii, Filek się czuł zaraz w swoim żywiole. Jakoż odpowiedział jej z widocznym zajęciem :

— Takich eterów jest wiele, ale skutek nie zawsze pewny. Są przytem pewne niedogodności, bo niełatwo je przy pewnym stopniu kondensacyi zamknąć w flakonie, jedne szkło rozsadzają, przy innych korek wylatuje w powietrze. Ale ja teraz właśnie pracuję nad takim eterem mojego własnego wynalazku, formułkę mam, jest nieomylna, robiłem już nawet experymenta i wszystkie mi się udały.

To mówiąc, wyjął pulares i ołówek z kieszeni i rzekł do siostry:

— Patrz, oto moja formułka.

Flora siadła obok niego przy stole a on zaczął kreślić w pularesie jakieś znaki, które się składały z wielkich liter łacińskich i cyfer.

Flora przypatrywała się tej formułce z uwagą, bo się także znała na chemii, a kiedy ją odczytała w całości, zawołała ze śmiechem:

— Cóż ty mi gadasz, że tego nie można zamknąć w flakonie? Przecie tam niema materyi eksplodujących.

Filek uśmiechnął się na to i rzekł:

— Ale eksplozya z pewnością nastąpi, jak się rzecz wyda.

— To zostaw mnie. Nic się nie wyda.

— Więc ty masz już plan jakiś?

— Pewnie że mam. I bardzo dobrze się zastanowiłam nad wszystkim. Dlatego przecież pytam cię o etery. Eter

11*

da się najłatwiej zaaplikować, bo on jest chory na nerwy a nerwy leczą się eterami. Jakoż nie o to mi chodzi, tylko o to, czy twój eter jest pewny.

— Pewny najniezawodniej a to w ten sposób, że jeżeli kto ma skłonność do apoplexyi albo ma nerwy osłabione albo płuca nadwerżone — a kto w wieku późniejszym nie ma jednej z tych chorób? — ten ginie tak, jak gdyby świecę kto zgasił, jeżeliby zaś jego organizm fizyczny opór postawił, to straci zmysły i nigdy już potem przytomności umysłu nie odzyska.

— To dobrze. Masz-że ten eter gotowy?

— Mam dwa flakony, — rzekł Filek, — tylko etykiety jeszcze na nich nie przyklepione. Ale ja jeszcze zawsze nie widzę, jak taki flakon można zaaplikować Zaklice, bo przecie ja mu go nie dam.

— Od czegoż Rydel? przecie on znowu perfumy rozwozi.

— Rozwozi, ale nic nie sprzedaje. I właśnie wczoraj mi mówił, że radby się wyniósł do Galicyi, tylko nie ma pieniędzy.

— Więc mu się da pieniędzy i niech się zaraz potem wynosi.

— Ale kto ten flakon zanieśie Zaklice? bo z tem nie można żartować.

— Ja już i o tem myślałam. Trzeba na to nastroić Fujarę. On jest bardzo przywiązany do Zakliki, jak mu się ten flakon pokaże i powie, że to jest niezawodne lekarstwo na nerwy a zwłaszcza na taką senność nerwową, na którą cierpi Zaklika, to on go kupi z pewnością i zaraz jemu zanieśie.

Filek zastanowił się nad tem i rzekł:

— Żeby go tylko nie odtykał kto inny, bo ja wprawdzie jeszcze tego nie wiem na pewno, ale tak mi się zdaje, że napełnione tym eterem powietrze, choćby nawet w dużym pokoju, byłoby niebezpiecznym. Trzeba, żeby ktoś tego dopilnował...

— Przecież ty możesz być przy tem, jak Rydel sprzedaje flakon Fucharze.

— Ba! — zawołał Filek, — a jak się to potem wyda ?

— Ale jakże to może się wydać ? — zawołała Flora, zaślepiona swoją namiętnością, — Fuchara zanieśli flakon Zaklice, Rydel zniknie — a co się tam stanie z tym flakonem, za to nikt inny nie może być odpowiedzialnym.

— Ale jeżeli przecież się wyda? — powtórzył Filek.

— Ale cóż może się wydać? — zawołała znów Flora z niecierpliwością, — przecie Rydel sprowadza swoje perfumy z Warszawy, dowodem na to są etykiety A zresztą, gdyby nawet co było, od czegoż półkownik? Ja nie zapomniałam o niczem. A jeżeli co jeszcze brakuje, — dodała z uśmiechem, — to stanie się jutro. Półkownik jutro z pewnością tu będzie. Ty możesz całkiem spokojnie być przy tem, jak Rydel sprzedaje flakonik Fucharze, głowę moją daję ci w zastaw, że w żadnym razie nic ci nie będzie...

— Trzeba nad tem się zastanowić, — rzekł Filek.

Flora jeszcze raz mu chciała wyłożyć, że niemasz dla niego żadnego niebezpieczeństwa, ale wtem wbiegł do salonu służący i zapowiedział, że dzwonek półkownika słycać zdaleka.

Na to Flora pobiegła czempędzej do swojej sypialni, która przytykała do salonu, aby włosy poprawić — a jej brat został w salonie. .

Filek mocno się nad tym projektem zamyślił. Życie

Zakliki było mu obojętnym. Jeden człowiek mniej albo więcej na ziemi, to według niego nie miało żadnego znaczenia. Zaklika stał się walną przeszkodą do szczęścia dla wielu innych, takie przeszkody należy usuwać, do tego każdy ma prawo, tak jak ma prawo prochem wysadzić skałę, która mu stoi na drodze. Jeżeli są ludzie, co mają pod tym względem jakieś przesady, to są to ludzie zacofani i głupi, on takich przesądów nie ma. Nad tem się wcale nie zastanawiał. Ale jeżeli projekt Flory wykona, jakie wynikną stąd skutki? nad tem bardzo mozolnie rozmyślał. Jużci zapewne, że można tę rzecz tak mądrze ułożyć, że nic się nie wyda. I to także prawda, że jeżeliby się w to chciała wmięszać policja, to półkownik ma więcej wpływu niż trzeba, aby tę sprawę w samym zarodzie stłumić. Ale co to wszystko jego obchodzi? — mówił do siebie, — siostra nie siostra, bliższa koszula ciała, nie głupim.

A to rzekłszy, wyszedł do swoich pokojów, chcąc Florę zostawić z półkownikiem sam na sam.

Półkownik wszedł do salonu krokiem pewnym, z głową podniesioną do góry jak zwykle, zdrów, czerstwy, rumiany, pełen swobody w ruchach i pełen życia, zgoła jak młodziak dwudziestoletni: tylko kiedy się po salonie rozglądał, widać było w jego oczach jakiś blask niby niepewny, być może, że serce mu drżało i miał takie same uczucie, jak gdyby szedł na audyencję do Gara i sam nie wiedział, czy chrest otrzyma, czy może dostanie nogą w grzbiet i pójdzie w duraki. Jakoż widać było zarazem po mieniących się kolorach na jego twarzy i ustach na w pół otwartych, że przyjechał z jakimś postanowieniem i że dziś, tutaj, w tej chwili, jego los ma się rozstrzygnąć.

Flora, chociaż jego kroki słyszała, nie wyszła ku niemu natychmiast, być może że także na jego przyjęcie potrzebowała się dopiero nastroić i parę razy oddechu zaczerpnąć, jak aktor stojący za kulisami, który ma w nowej roli wystąpić: dopiero po chwilce pokazała się we drzwiach swojej sypialni, które prowadziły do salonu.

Była dzisiaj ubraną tak samo, jak przed kilką dniami w swojej ostatniej miłośnej scenie z Ignasiem, w biały sza- rafan z czerwonym podbiciem. Była piękną nad podziw: na tle jasnego światła, płynącego od dużej lampy stojącej na stole w jej sypialni, rysowały się z wydatnością plastyczną kontury jej wspaniałej postaci a lampa płonąca w salonie rzucała na nią z przodu dość światła, ażeby uwydatnić porcelanową cerę jej twarzy, jej usta wiśniowe, jej oczy czarujące swym blaskiem i przepyszne formy jej biustu, wydzierające się jak gdyby gwałtem z pod korónekami obszytej koszuli.

Półkownik jeszcze jej nigdy w takim uroczym negliżu nie widział. Malował sobie nieraz w swej wyobraźni wszystkie te skarby, które nielitościwie jej suknie, aż po samą szyję zapięte, zakrywały przed jego oczyma, ale teraz dotknął się ich swym własnym wzrokiem: na ich widok oczy jego omdlały, taki sam prąd omdlewający przebiegł po jego żyłach, uczuł w gardle jakoby jakieś ściśnienie, nie mógł ani słowa wymówić, tylko myśl mu przebiegła przez głowę, że choćby go to życie miało kosztować, choćby się świat miał nad nim zawalić, choćby już była cudzą własnością, musi ją posiadać.

— Myślałam, że półkownik dopiero jutro przyjedzie, — rzekła Flora.

— Przyjechałem dziś, — odpowiedział jej półkownik,

mocno zmieszany, — bo jak pani zapewne wiadomo, moje dni są policzone.

A to mówiąc, zrobił ruch taki naprzód, że Flora mu musiała ustąpić i weszła z nim do sypialni.

— Daję panu dowód bezwzględnej ufności, — rzekła Flora z uśmiechem, — przyjmując go w mojej sypialni.

Półkownik odetchnął cokolwiek swobodniej i rzekł:

— Ufność pani nie może być lepiej umieszczoną. Powtórz pani tylko to, co już wiesz sama od dawna, jeżeli dodam, że niemasz ofiary, którejbym z roskoszą serca nie poniósł dla pani.

— Nawet gdyby przyszło mnie komu innemu odstąpić? — zapytała Flora, patrząc mu w twarz uśmiechniętą i siadając na sofie, stojącej na środku pokoju.

Półkownik szablę w przedpokoju zostawił, teraz rzucił kaszkiet na stół, stojący pomiędzy sofą a łóżkiem, siadł koło Flory i rzekł:

— Ale dlaczego komu innemu odstąpić? Ja nie pytam, czy jest kto inny, i w to nie wchodzę. Był może... ale od czasu, jak z grobu wstali umarli, nie sądzę, aby był jeszcze. Byłoby to bardzo nierozsądnie liczyć na kogoś, który nie rozporządza swą wolą...

— Ale za kilka miesięcy będzie nią rozporządzać, — powiedziała mu Flora, chociaż wiedziała dobrze, że jej się to na nic nie przyda.

— I wtedy nią także jeszcze rozporządzać nie będzie, — rzekł półkownik głosem stanowczym. — Ja jestem o tych rzeczach bardzo dokładnie informowany. Ojciec ma uprzedzenia przeciwko naszej rodzinie, my jesteśmy dla niego Niemcami, nasze stare szlachectwo nic nie znaczy u niego. Są także i majątkowe pretensje. A nad to wszystko są je

szcze Firleje, którzy ziemię i niebo poruszają, aby temu prze szkodzić, a Firleje mają wielkie wpływy po całym świecie. Wierz mi pani, ja wiem rzeczy, o których mi mówić nie wolno, ale to pani mogę powiedzieć, że jeżeli pani się ta- kiemi myślami zatrudniasz, to są to czyste illuzye...

Półkownik nic nie wiedział, Flora wiedziała swoje, ale niby zamyśliła się nad tem, bo grała swoją rolę wybornie.

Półkownik mówił dalej:

— Zapewne pani już o tem słyszała, że zostałem mianowany generałem a zarazem dano mi w Petersburgu posadę. Za tydzień muszę wyjeżdżać, jestem tam bezzwłocznie potrzebnym. Wyjazd mój mógłbym tylko w takim razie o kilka dni odwlec, gdybym udał chorobę albo gdybym miał jakieś nieodbite sprawy familijne do załatwienia. W każdym razie jednak zrobiłbym to tylko dla pani...

Flora patrzyła na niego wdzięcznymi oczyma, ale milczała.

On mówił dalej:

— Ja mam bardzo świetną kary erę przed sobą. Jeżeli zechcę dom w Petersburgu prowadzić, to będzie to jeden z pierwszych domów w stolicy. Moja żona będzie wszędzie przyjęta, nawet u Dworu. Środków pieniężnych mi także do tego nie braknie. Ale ja mam prócz tego bardzo piękny majątek, z dawnym zamkiem rycerskim i bardzo znacznymi dochodami — i jeżeliby mojej żonie życie w Petersburgu się nie podobało, to moglibyśmy zamieszkać na wsi a choćby nawet w Paryżu. Jeżeliby moja żona tego wymagała ode- mnie, tobym służbę porzucił bez żadnego namysłu... i oddałbym jej samego siebie i wszystko co mam, nic nie zachowując dla siebie.

Flora o tem już dawno wiedziała, była pewną siebie

z młodym a nie dopiero ze starym: ale jej nie o to chodziło. Jakoż rzekła do niego:

— Jestem półkownikowi z całego serca wdzięczną za te ofiary, ale cóż z tego, kiedy półkownik już za tydzień wyjeżdża? Półkownik będziesz w Petersburgu, ja tutaj, kiedyżbyśmy się znów obaczyli?

— Ślub może odbyć się zaraz, — zawołał prędko półkownik, — choćby i jutro.

Flora spojrzała takimi oczyma na niego, że w nich widocznie radość się przebijała, mimo to wszakże rzekła jak gdyby z niedowierzaniem:

— Tak się to mówi, ale gdyby przyszło wykonać, znalazłyby się przeszkody, zresztą nawet kościelne.

— Niema żadnych przeszkód kościelnych. Jeżeli pani zechcesz przejść na prawosławie...

— To mi jest obojętne, — zawołała Flora ze śmiechem, — przecie półkownik wiesz, że u mnie jedna religija właśnie tyle znaczy co druga.

Na to półkownik rospromienił się cały i zawołał z radością:

— Więc niema żadnej przeszkody. Przejście na prawosławie i ślub odbędą się jednocześnie, jutro, pojutrze, kiedy się pani podoba.

Na to Flora uśmiechnęła się wdzięcznie, ścisnęła go lekko za rękę i rzekła:

— Dziękuję z całego serca, ale proszę o tydzień namysłu.

Na te słowa półkownik zbladł, głos mu się zaparł w gardle i rzekł:

— Dlaczegoż ten namysł?

Flora mu odpowiedziała:

J
i

— 171 —

— Nie może inaczej być. Każdy człowiek ma jakieś obowiązki moralne. Muszę przedtem pewnych formalności dopełnić.

Na to pólkownik zbladł jeszcze mocniej, czoło mu się zachmurzyło, spojrzął na nią niepewnymi oczyma i rzekł:

— Więc tam są jakieś zobowiązania?

— Ale nie masz żadnych zobowiązań, — zawołała Flora, — w każdym razie nie masz ich z mojej strony. Ale przecież nie mogę dopuścić, aby ktoś dla mnie sobie w łeb strzelił..

Półkownik nie miałby być nic przeciw temu, gdyby ten ktoś sobie w łeb strzelił, ale wiadomość ta napełniła go smutkiem. Często czegoś się domyślamy, czasem nawet wiemy na pewno, ale wmawiamy w siebie, że to się nam tylko tak zdaje, dopiero wtedy, kiedy nam to ktoś inny w sposób niewątpliwy potwierdzi, poddajemy się temu przykremu wrażeniu, któremu powinniśmy byli uleżeć już . 1 dawniej.

Zdarza się to przedewszystkiem ludziom wrażliwym a samolubnym, pólkownik był wrażliwy i samolubny, zaczął się mocno zasmucił, oczy mu się rozbląkały i rzekł prawie bezwiednie : I — Dopełnienie tych formalności może potrwać dłużej jak tydzień...

Poczem wstał, nie taił się z tem, że ta wiadomość i pozbawiła go równowagi umysłu i dodał:

— Przyznam się pani, że jestem w rozpacz.

Flora uśmiechnęła się na to nieznacznie, bo tego jej właśnie było potrzeba. Drugi miesiąc właśnie u niej się kończył, jeżeli chodziło jej o stworzenie pewnych pozorów, to nie miała prawie już ani jednego dnia do stracenia. Za- _

czem wstała także, wzięła go żywo za rękę i powiedziała mu do przekonania:

— Ale proszę półkownika mi wierzyć. Przecież mam rozum i wiem dobrze, co robię. Dopełnienie tych formalności jest tylko obowiązkiem przyzwoitości. Daję na to słowo, że tydzień nie minie...

Na te słowa półkownik zmiękł znowu, prawie się cały rozplątał, spojrzął czule jej w oczy i rzekł:

— Więc mam pani słowo ?

— Słowo, — odpowiedziała mu Flora z naciskiem, ale dodała podstępnie, — jeżeli jakich nieprzełamanych przeszkód nie będzie...

Na to półkownik znów się zachmurzył i rzekł głosem prawie gniewliwym:

— Jeżeli tylko mowa jest o przeszkodach a ja tych przeszkód nie widzę, to. trudno wierzyć takiemu słowu.

Wtedy Flora spuściła wstydliwie oczy ku ziemi i rzekła:

— Gdybym mogła złożyć półkownikowi dowody na to, że moje słowo jest szczere i że go z pewnością dotrzymam, ó ile to będzie odemnie zależeć, tobym się nad tem nie zastanawiała: ale cóż zrobię ?...

Nazajutrz Flora zastała brata swego stojącego nad retortami, w których kipiały jakieś płyny i kłębiły się gazy.

— Widzisz więc, — zawołała do niego głosem triumfującym, mam półkownika w kieszeni. Choćby się tam coś wydało, tobie z pewnością nic się nie stanie. Posyłaj zaraz po Rydla. Kiedyż do Zaklikowa pojedziesz ? dziś jeszcze, nieprawda?

Filek patrzył na nią niezmiernie głupimi oczyma. I on

także nie miał żadnych przesądów, ale przecież zdawało mu się, że są rzeczy, o których nie wypada mówić tak otwarcie ze siostrą. Flora to spostrzegła i dziwiła się jego naiwności. Według niej rozum mężczyzn, zwłaszcza w sprawach kobiecych, pozostanie na wieki przyćmiony jakimiś ideałami: ale to tylko tem lepiej dla kobiet. Mówili jeszcze przez chwilę ze sobą, ale już tylko o zdmuchnięciu Zakliki zpomiędzy żyjących według ułożonego przez nich projektu — a kiedy wyszła, była przekonana, że jej brat zrobi wszystko tak, jak ona mu podyktowała.

Ale kiedy już była za drzwiami, Balcerek powtórzył sobie raz jeszcze:

— Ja przygotuję wszystko jaknajlepiej, ale niech ona sobie z tem robi co chce, ja się w to mieszać nie będę.

*

* *

Balcerek dopiero trzeciego dnia pojechał do Zaklikowa i został tam na obiedzie, aby się zbliżka przypatrzeć, czy zamiar, ułożony przez Florę, da się wykonać dokładnie i bez żadnej przeszkody.

Ale tymczasem w Zaklikowie zaszedł drobny wypadek, który sam w sobie nie miał wielkiego znaczenia, ale miał pociągnąć za sobą skutki całkiem niespodziewane.

Oto przed dwoma dniami Muszka nagle zachorowała — i nie można było wiedzieć, co się jej stało. To biedne zwierzątko wiło się z bólu i jęczało chwilami tak przeraźliwie, że Zaklika, który do niej był tak przywiązany jak do jakiejś najdroższej istoty, cierpiał nad tem jak potępieniec i nie umiał sobie dać rady.

Felczer także nie wiedział, coby to było: raz mówił,

że to są wrzody wewnętrzne, które się wytworzyły skutkiem zanadto tłustego pożywienia, to znowu że Muszka połknęła kostkę spiczastą, której strawić nie może a która jej rozdziera wnętrzności.

Felczer próbował wszystkich środków, jakie mógł tylko wymyśleć, ale niestety bez skutku; Muszka czasem leżała spokojnie przez jedną i drugą godzinę, ale potem znów się zrywała, wiała się w mękach tak widocznych, że patrząc na nią serce się krajało każdemu, a przytem wydawała jęki tak rozdzierające, że trzeba było sobie uszy zatykać bo od nich się krajały wnętrzności.

Zaklika sam prawie się rozchorował z współczucia i żalu: ile razy jęczeć zaczęła, brał ją na ręce, głaskał, całował a ona na niego patrzyła tak wdzięcznymi oczyma, że go to do głębi wzruszało, ale kiedy znów jęczeć zaczęła, kładł ją do jej koszyka, odwracał się od niej, załamywał ręce i łzy z oczu ocierał.

Felczer czuwał przy niej w jego pokoju już przez dwie noce, on sam także oka nie zmrużył, pielęgnowali ją jak mogli, ale wszystko napróżno.

Pocziwy felczer byłby krwi własnej utoczył z pod serca, gdyby biedną Muszkę mógł być tem uratować, którą zresztą sam tak kochał jak własne dziecko, ale co mu było jeszcze daleko przykrzejszem, to widok Zakliki, który nad tem tak cierpiał, męczył się, biadał, rozpaczał i nie umiał uspokoić swego cierpienia.

Trzeciego dnia po południu, kiedy jęki Muszki coraz częściej się powtarzały i stawały się coraz przeraźliwsze, Zaklikę zaczęła porywać niecierpliwość bliska rozpaczy: skarżył się na bezsilność i nieporadność człowieka, na nędzę jego na ziemi, na nielitościwość tego, który go stworzył:

a słowa, które od czasu do czasu z ust mu wylatywały, trąciły już prawie bluźnierstwem.

Natenczas rozumny felczer zebrał się na odwagę i powiedział mu, że kostka, którą Muszka połknęła, stanęła sztorcem w wnętrznościach, że na to niemasz ratunku, zaczem lepiej ją zgładzić, niżeli dać jej tak cierpieć może jeszcze dni kilka bez żadnej zgoła nadziei.

Ponieważ felczer powiedział to w takiej chwili, kiedy Muszka jaknajokropniej jęczała, Zaklika nie oburzył się na to, owszem obudził także w sobie odwagę i rzekł do niego:

— Widzę sam, że trzeba się będzie zdecydować. Ale nie pozwolę na to, ażeby ją jaki parobek bił albo dusił. Maszże jaką truciznę taką, żeby od niej zaraz zginęła i żeby się nie męczyła?

— Mam, panie, — odpowiedział mu felczer, — nie będzie to dłużej trwać, jak dwie, trzy minuty.

A w tem Muszka się znowu uspokoiła. Zaklika powiedział :

— Zaczekajmy jeszcze, może ta kostka sama się w niej obróci.

Zaczem pozostawiono ją w jej koszyku i felczer siadł przy niej.

Była godzina piąta.

Wtedy właśnie Balcerek przyjechał.

Dowiedziawszy się, że Zaklika jest chorą Muszką zajęty, poszedł do damskich salonów, gdzie o tej godzinie Genia zazwyczaj grywała na fortepianie na cztery ręce z Fujarą albo z swą guwernantką.

Teraz zastał tam panią Firlejową, Genię, Ignasia i Fujarę.

Firlejowa dziś przyjechała, aby się rozmówić z Zakliką, ale kiedy jej powiedziano, do jakiego stopnia Zaklika boleje nad Muszką, nawet nie zapragnęła go widzieć, bo znała jego niewstrzeżliwość, kiedy jest w złym humorze.

Mówiono o przywiązaniu ludzi do zwierząt. Firlejowa wykladała bardzo rozumnie że to przywiązanie zwłaszcza u ludzi starszych jest bardzo naturalne i ma bardzo słuszne powody, albowiem człowiek, im więcej poznaje ludzi, w których jest tyle zazdrości, nienawiści, niewdzięczności, mściwości i złości, tem więcej sympatyi obudzą w sobie dla zwierząt, które tych wad niemają, przywiązują się do człowieka bezwarunkowo i zawsze są wdzięczne. Na świecie jest bardzo wiele ludzi, często na pozór nawet bardzo rozumnych a którzy pod względem moralnym daleko niżej stoją od zwierząt.

Rozmawiano blisko godzinę, poczem pani Firlejowa odjechała, nie widziawszy wcale Zakliki, kazała mu tylko powiedzieć, że niezmiernie boleje nad Muszką, przyszłe jutro, aby się o jej zdrowiu dowiedzieć a za pare dni sama przyjedzie.

Genia ją wyprowadziła na werandę i tam jej powiedziała do ucha, iż trzeba koniecznie, ażeby przyjechała jaknajprędzej, bo ojciec jest bardzo źle usposobiony dla Frysia, mówiąc z nią, powiedział jej o nim, — że jest zaślepionym sekciarzem i wszystkich innych ludzi uważa za prostych żołnierzy, którzy powinni słuchać jego komendy: trzeba to zatem jaknajprędzej naprawić.

Po odjeździe Firlejowej dano zaraz do obiadu.

Muszka spała. Zaklika siadł do stołu, ale jadł mało, do nikogo ani jednego słowa nie przemówił i tylko nadsluchiwał, co się dzieje w jego sypialni. Balcerek sam mówił

za wszystkich, bo nikt z domowników nie śmia! się odezwać, szanując żalobę gospodarza domu. Zaklika niechętnie słuchał Balcerka, widocznie go to raziło, że młodzieniec dzisiaj taki jest gadatliwy.

Nareszcie zebrano ze stołu i dano kawę i likiery na ceratowym obrusie, bo taki był zwyczaj w Zaklikowie, kieiy gości nie było. Przy kawie siedziano potem godzinę i więcej, rozmawiając i rospatrując dzienniki i książki.

Zaklikę zaczęła już zbierać jego senność zwyczajna, kiedy wtem Muszka zaczęła znów jęczeć i to tak głośno, że jej przerażające jęki dochodziły do sali jadalnej.

Zaklika się zerwał i szedł do sypialni, ale już w trzecim pokoju spotkał felczera, który niósł Muszkę ciągle jęczącą w koszyku.

Felczer koszyk postawił na ziemi i rzekł głosem stłumionym:

— Niema ratunku. Dałem jej coś, aby zasnęła. Spała przez dwie godziny. Ale teraz widzi pan, co się z nią dzieje...

Zaklice oddech zaparł się w piersiach, łzy mu w oczach stanęły, chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł.

-A wtem Muszka ucichła, wylazła ze swego koszyka, przybliżyła się do Zakliki, oparła pyszczek o jego nogę i takimi litościwymi oczyma w twarz mu spojrzała, że mu się serce ścisnęło. Zaklika uczuł, jak gdyby mu chciała po • wiedzieć: — Miej litość nademną, nie każ mnie zabijać...

Zaklika się ku niej pochylił, aby ją wziąć na ręce i rzekł:

— Widzisz, jej znowu lepiej. Czekajmy jeszcze...

Ale wtem Muszka się zatoczyła, upadła na ziemię i zaczęła się wić i jęczeć tak przeraźliwie, że Zaklika już

Zaklika. T. III.

nie mógł jej słuchać. Zaczem chwycił się ręką za głowę i rzekł do felczera głosem zdławionym łzami:

— Weź ją, weź. tylko jej nie męcz.

Felczer włożył Muszkę do koszyka i wbiegł z nią do sali jadalnej.

Ale tam go Balcerek zatrzymał, pytając, co chce z nią zrobić.

Felczer mu w dwóch słowach powiedział, że ją niesie do siebie, aby ją struć.

— Czekaj, — rzekł Filek, — ja to lepiej zrobię od ciebie.

A to mówiąc, wydobyl zaraz małą flaszeczkę z kieszeni, postawił jęczącą Muszkę na stole, otworzył jej pyszczek dwoma palcami i wlał jej pomiędzy zęby kilka kropelek jakiegoś płynu z flaszeczki.

Muszka padła natychmiast na stół, wyciągnęła wszystkie cztery łapki przed siebie, tylko jeden raz drgnęła i już jej nie było.

Ignaś i Genia patrzali na tę scenę z ciekawością pospolitego tłumu, który łaknie zajmujących widowisk, ale w nich sercem nie bierze żadnego udziału; natomiast Fujara odsunął się ze zgrozą od stołu a kiedy Muszka już skoła, odwrócił się od Balcera ze wstrętem.

Ale na tę scenę patrzył także Zaklika. Stał on we drzwiach pomiędzy drugim a trzecim pokojem a na cie- mnem tle tegoż pokoju widać było dokładnie całą jego postać, na którą światło lampy, stojącej w drugim pokoju, w całej pełni padało.

Widząc zgromadzonych wszystkich około stołu a nie mogąc dojrzeć dokładnie, co się tam dzieje, zawołał donośnym głosem:

— Felczer!

Felczer pobiegł do niego a on go spytał, co jest, felczer mu odpowiedział:

— Już po niej.

— Góżeś z nią zrobił?

— To pan Balcer. Miał jakąś flaszeczkę w kieszeni, podobno kwas pruski, zadał jej kilka kropelek i nie trwało to ani jednej sekundy.

Natenczas Zaklika, zdjęty nieprzepartą boleścią, walczący ze swoją sennością i zapewne ledwie na wpół przytomny, nabiegł krwią cały i zawołał głosem pełnym bólu, pogardy, gniewu i oburzenia:

— To jakiś butel prawdziwy, co z taką zimną krwią cudze psy truje!

Poczem patrzył jeszcze przez oka mgnienie w salę jadalną i dodał:

— Jeszcze i kwas pruski nosi przy sobie!

Jednak to mówiąc, ledwie się trzymał na nogach. Go widząc felczer, wziął go pod ramie, odprowadził go do tego pokoju, co do jego sypialni przytykał, i posadził go tam w tym fotelu, gdzie zwykle siadywał, kiedy go po obiedzie senność zbierała.

Ale Filek słyszał wszystko, co Zaklika o nim powiedział, i widział całą jego postać jakby na dłoni, kiedy to mówił. Od tych* słów obelżywych oczy mu się zaiskrzyły takim gniewem, który na zawsze zostaje, usta mu zsiniały, zęby się zacisnęły, oparł się pięścią o stół, patrzył jeszcze w to miejsce, gdzie dopieroco widział Zaklikę, lecz milczał.

Genia to zauważyła i powiedziała grzecznie do niego:

— Mój ojciec wieczorami nie jest całkiem przytomny

i czasem się nierozmyślnym gniewem unosi, nie trzeba mu tego pamiętać

— Tak, — odpowiedział jej Filek, — ale są słowa, których trudno zapomnieć.

Ale Filek także był nie całkiem przytomny, powiedział jeszcze słów kilka bez zwiąsku, poczem się zaraz pożegnał i odjechał — a kiedy siedział w powozie, to chociaż tęgi mróz ścisnął mu członki, ciągle płaszcz otwierał na piersiach, tak mu było gorąco, i widział wciąż przed sobą Zaklikę, jako stoi we drzwiach z oczyma pałającymi gniewem, temi oczyma patrzy na niego i nazywa go butlem. * *

*

We dwa dni potem pani Firlejowa wczas po południu przyjechała znowu do Zaklikowa.

Genia, jej przyjazdem niezmiernie uradowana, zbiegła natychmiast do niej do damskich salonów i opowiedziała jej przedewszystkiem tragiczną historię Muszki.

Zaklika, jak tylko mu powiedziano, że Firlejowa przyjechała, przyszedł także i przywitał ją bardzo uprzejmie, usprawiedliwiając się, że nie mógł jej widzieć przedwczoraj.

Firlejowa bolała przed nim nad stratą Muszki, za co on jej bardzo był wdzięcznym, ale był już znacznie uspokojonym i mówił z rezygnacją:

— Trzeba będzie i to jakoś przeboleć.

Poczem Firlejowa wspomniała zaraz o Balcerku i mówiła o nim z oburzeniem, głównie z tego powodu, że kwas pruski nosi przy sobie.

— Ci ludzie są niebezpieczni, — dodała w końcu, —

ja to zawsze powtarzam mojemu mężowi. On jest zdania, że dom szlachecki powinien być dla wszystkich otwarty jak kościół, aby tego gatunku ludzi przecież lepiejby nie przyjmować, bo trudno wiedzieć, jakie mają zamiary.

— To nowy świat, — rzekł na to Zaklika z lekką ironią, — nowi ludzie! lecz w gruncie rzeczy zawsze ci sami: po wszystkie wieki głównie tem się zajmują, jakby się mogli nawzajem wygubić, tylko ze zmianą czasów różnej broni używają przeciwko sobie. Dawniejsi rycerze chodzili przy szabli i z pistoletami za pasem, dzisiejsi noszą truciznę i dynamitowe patроны przy sobie: mimo to wszakże wszyscy się zawsze tem chwalą, że mają tylko uszczęśliwienie ludzkości na celu ..

— Na szczęście jednak, — przerwała mu Firlejowa, — od czasu, jak betleemska gwiazda zaświeciła nad ziemią, są także i tacy, co żadnej broni przy sobie nie noszą a walczą tylko słowem...

— To też ci zapewne na końcu zwyciężą, — dodał Zaklika.

Potem sam wspomniał o Firleju i żartował sobie z dobrego serca z jego drażliwości a dalej wziął przed się Frydrusza i mówił długo o politycznych stronnictwach, marnujących niezmiernie wiele sił na walki pomiędzy sobą, których z daleko większym pożytkiem mogliby użyć dla dobra wspólnego nam wszystkim.

Genia była bardzo uradowana, że ojciec mówił o nim bez złości a nawet z pewną wyrozumiałością dla jego politycznego ferworu — a Firlejowa, której celem było załagodzenie nieporozumień pomiędzy nimi wynikłych, chwyciła zręcznie za tę sposobność i naprzód sama Frydrusza zganiała a potem dodała te słowa:

— Mój mąż, chociaż sam jeszcze był trochę zirytowany, dał także reprimendę Frysiowi — a przytem okazało się, że on w głębi swych zapatrywań się raczej z panem jest zgodny, niż z Frysiem. Bo on płynie sobie jak może, ażeby przez to życie bez wielkich nieszczęść przepłynął, bo też i on za młodu przeszedł nieszczęść niemało, ale jak nie pozwoli nikomu dotknąć swojego honoru, tak w gruncie swojego serca chowa także to wszystko, co sta nowi honor narodu.

— Bo te dwa uczucia są nierozdzielne od siebie, — zawołał Zaklika, — to też przyznam się pani, że ja w ho norowość tych ludzi nie wierzę, co pilnują swego osobistego honoru a nie strzegą honoru narodu, do którego należą. Są może pomiędzy nimi i tacy, którym pomimo to drogą jest godność narodu, lecz w takim razie nie wiem, dlaczego się tego uczucia zapierają.

— Bo u nas ściany uszy mają, — odpowiedziała mu Firlejowa.

Zaklika, będący jeszcze pod wpływem żałoby za Muszką, był dzisiaj czułym i miękkim, więc rozśmiał się na to i rzekł:

— Jużci i to prawda.

Tu Firlejowa znów zręcznie chwyciła za dobrą sposobność i rzekła:

— My wszyscy jesteśmy zgodni ze sobą we wszystkim i wcale niepotrzebnie się czasem ze sobą kłócimy. Jak to dobrze, jeżeli się można szczerze i otwarcie rozmówić. Jabym tu do was na takie konwersacye przyjeżdżała choćby i codzień, ja ale stara, niełatwo mi się z domu wyruszyć, mój mąż od tygodnia nie wychodzi z pokoju, zróbcież mi tę łaskę i przyjedźcie wszyscy pojutrze do

nas na obiad, nagadamy się do woli, w naszej biedzie to jedyna dla nas rozrywka.

Zaklika nie mógł odmówić. Genia była uszczęśliwiona, Ignas i Fujara także z radością przyjęli, bo obydwaj się niesłychanie nudzili.

O zmroku Firlejowa odjechała, niezmiernie uradowana, że jej się przecie udało te nieporozumienia wygładzić.

Tak z tej strony wszystko niby dobrze się ułożyło, ale zaledwie Firlejowa odjechała, Balcerek przyjechał.

Kiedy wszedł do salonu, Genia, będąca w złym humorze, szczerze się ucieszyła jego przybyciem, bo przedwczoraj bardzo zachmurzony odjechał a ona instynktowo jego gniewu się obawiała. Nie zapomniała jeszcze, jak swoją brutalną bezwzględnością dał się wszystkim we znaki, kiedy Ignas podczas więzienia ojca kierunek gospodarstwa jemu powierzył. Kiedy przyjechał, mówiła sobie, to już się nie gniewa. Ale jej rozumowanie było zupełnie mylnem.

Indywidualizm da się mocno zacieśnić i ograniczyć prawami, ale tylko w swoich publicznych objawach na zewnątrz: wewnątrz człowieka żadna siła ludzka go zmniejszyć nie zdoła, ani też temu przeszkodzić, aby powodowany, czy to namiętnością, czy też egoistyczną rachubą, swojemu bliźniemu tę albo ową krzywdę wyrządził. Balcerek się czuł przez Zaklikę obrażonym do głębi: butlem nie jest i nigdy nie będzie, ale może się na chwilę stać katem, wykonawcą sprawiedliwości, jak ją sobie wyobrażał w swej głowie.

Przed dwoma dniami jeszcze był zdecydowany, nie mieszać się osobiście w tę intrygę, którą Flora ułożyła przeciwko Zaklice: ale do dziś dnia sam wszystko z mate

matyczną ścisłością obmyślił, zorganizował i z szatańskim zamiarem przyjechał. Wchodząc do salonu, był zimny jak machina ukuta z żelaza, bo miał silną wolę i był przekonany, że operacja, którą zamierzył wykonać, jest potrzebna, to zaś, że tu idzie o życie człowieka, wcale go nie wzruszało: człowiek jest zlepkiem materii, połączonej ze sobą w celu odprawienia pewnego procesu, ze śmiercią człowieka materia nie ginie, tylko jeden proces się kończy a zaczyna się drugi. Czy człowiek ma prawo przerywać samowolnie takie procesy, które stworzyła natura? Jużci ma bez wątpienia, jak skoro ta sama natura dała mu siłę po temu...

Zaklika także był kontent, że Balcerek przyjechał, bo czuł to, że uniósłszy się bólem, który go prawie przytomności pozbawił, użył przeciwko niemu obraźliwego wyrazu : jakoż go bardzo uprzejmie przywitał a nawet o zdrowie jego siostry zapytał.

Ignas także był rad z jego przybycia, bo się spodziewał, że mu coś powie o Florze.

Tylko Fujara siadł w kącie i patrzył z pogardą na niego, jako na człowieka, co hycłowstwem się bawi, który nareszcie mógłby być konowalem, ale i w takim razie tylko felczerowi jest równy a nie ma żadnego prawa, pokazywać się w przyzwoitym salonie.

Zaklika zaczął mówić o zwierzętach i ich rozmaitych przymiotach, których jeszcze nie znamy, i usiłował przytem za pomocą rozmaitych alluzji usprawiedliwić swoje przywiązanie do Muszki

Balcerek wchodził zupełnie w tok jego myśli i utrzymywał, że pomiędzy zwierzętami a ludźmi niemasz właściwie żadnej różnicy. Są to organizmy jaknajzupełniej tej sa

mej natury. Różnicę stanowi tylko stopień inteligencji, ale o tem mówimy dotychczas tylko na podstawie przypuszczeń, bo zwierzęta nie mogą nam powiedzieć, co wiedzą i czują. Wiemy wszelako, że się porozumiewają pomiędzy sobą, co już naukowo stwierdzono na małpach, na mrówkach a nawet na psach. Jak kiedyś człowiek, co niezawodnie nastąpi, nauczy się mowy zwierzęcej, to się dowiemy także, jaka dusza w nich siedzi.

Słuchając tego rozumowania, Fajara się zniecierpliwił i zaczął mówić:

— To chyba jakieś pogańskie zapatrywania się na zwierzęta, bo my chrześcijanie...

Ale Zaklika mu przerwał i nie dał mu mówić, bo nie chciał sporów poczynać z Balcerkiem, którego owszem radby był ułagodzić

O godzinie szóstej dano do obiadu.

Przy obiedzie rozmawiano o elektryczności.

Zaklika opowiadał Balcerkowi, że od kilku dni sam się elektryzuje za pomocą maszyny, którą mu zostawili warszawscy lekarze, i zdaje mu się, że mu to ulgę przynosi.

Balcerk zdefiniował im bardzo dokładnie, czem jest elektryczność, o ile nauka ma o niej do dziś dnia jakiś pojęcie, ale był zdania, że na nerwy działa tylko przemijająco, bo sprowadza tylko takie same wstrząśnienie jak zimna woda, poczem znów następuje depresja i osłabienie.

— Elektryczności — kończył swój wykład Balcerk — nie radziłbym nikomu do kuracyi używać, tak samo jak zimnej wody, bo to nie są lekarstwa, tylko środki drażniące albo excytujące. Natomiast wszakże są rozmaite etery, które osłabione nerwy wzmacniają a z czasem leczą.

Zaklika pytał go, jakieby to były etery.

— Ja nie wiem, — odpowiedział mu Filek, — bom się medycyny nie uczył a nie lubię mówić o rzeczach, których nie znam dokładnie. Wiem tylko, że są i jest ich bardzo wiele. Ot na przykład, sama wódka kolońska bardzo jest skuteczna na nerwy, czy to przez wdechiwanie, czy przez nacieranie. Kilka miesięcy temu czytałem nawet w jakimś Piśmie medycznym że przez bardzo mocne skondensowanie robią teraz eter z wódki kolońskiej, który ma być bardzo skutecznym na nerwy, tylko nie wiem, czy go już mają w Warszawie.

W tej chwili zebrano ze stołu i dano kawę i likiery.

— I ja coś o tym eterze słyszałem, — zauważał Fujara, — nawet mi go ofiarowano kiedy byłem w Kolonii i kupowałem u Fariny wódkę kolońską dla siebie. Gdybym był wiedział, że to dla Czesława się przyda, byłbym mu przywiózł choćby i kilka flakonów.

Na to zaś odezwała się Genia:

— Jaka szkoda, że Rydel już nie rozwozi perfum po dworach, on miał zawsze wszystkie nowe perfumy, byłby pewnie i o tym eterze coś wiedział a w każdym razie byłby go nam sprowadził. Nie wiedzieć nawet, co się stało z tym Rydlem.

— Ja także nie wiem, — rzekł Filek, — od czasu, jak stracił ekonomiję na tym folwarku, na którym go Ignaś posadził, nawet i słych o nim zaginął.

Tu się odezwał Zaklika:

— Ja go nie mogłem na tej ekonomii zostawić, gdzie-ście go posadzili, bo naprzód jest to podobno Żydek czy Niemczyk handlarz z professyi, który o gospodarstwie rolnem nie ma najmniejszego wyobrażenia. Dwa miesiące tylko na tym folwarku siedział a już wszystko poprzewra

cał do góry nogami, jeszcze i sklepik we dworze założył i na swoich towarach chłopów okpićwał. A potem, wypędziliście stamtąd ekonoma, który tam od lat trzydziestu go spodarował i był wychowańcem nieboszczyka jenerała.

Ignas spuścił oczy ku ziemi a Balcerek zaczął Rydla usprawiedliwiać, mówiąc, że skończył szkołę handlową, ale jego argumentacja była bardzo słaba. Genia przyszła mu w pomoc, robiąc uwagę: że Rydel to bardzo usłużny człowiek.

Fujara, który podobno z nim czasem prowadził jakiś handelek, wziął go także w obronę a nalawszy sobie drugi kieliszeczek koniaku zagodził spór, mówiąc:

— Jużto, co prawda, Rydel tak samo zdatny na ekonoma, jak ja na arcybiskupa. Jego, jak słyszę, nawet jego własni parobcy słuchać nie chcieli a dziewczki z niego się naśmiewały, bo musiały u niego kupować różaną pomadę. Powiadano mi, że za swego ekonomstwa fabrykował tylko konserwy i konfitury, i naturalnie perfumy, folwark woniał z daleka jak apteka a nawet z krowiarni buchał zapach wody różanej. Dobre to było dla nosa a zresztą i dla konkurentów o panny krowiarki, ale te łany, które oziminą powinien był zasiać, stoją do dziś dnia odłogiem. Jednak to każdy mu przyzna, że się na handlu rozumió. A jeżeli cho dziło o to, ażeby wy szpiegować gdzie się jeszcze znajdują jakie starożytności i tanio je kupić, to on był majster do tego. On i mnie kilka rzeczy nastreczył, z których byłem bardzo zadowolony. Gdybym wiedział, gdzie go odszukać, tobym sam za nim pojechał.

— Ja nie mam najmniejszego wyobrażenia o tem, — powiedział jeszcze raz Filek, — gdzie on się teraz podziewa.

Tu Fujara obrócił się do Zakliki i rzekł:

— Ale zaraz jutro do Warszawy napiszę, aby nara tego eteru przysłano. I mnie się także to przyda, bo i ja nieraz tak cierpię na bicie serca nerwowe, że sypiać nie mogę.

— Napisz, bardzo wdzięczny ci będę, — odpowiedział mu Zaklika.

Ale zaraz wstał i dodał:

— Konwersacya wasza, chociaż bardzo zabawna, już mnie męczyć zaczyna. Bawcie się tu bezemnie, ja sobie trochę odpocznę.

To rzekłszy, wyszedł do swoich pokojów i wyciągnął się na tym wielkim fotelu z podnóżkiem, na którym zawsze o tej porze spoczywał.

Było wtedy wpół do ósmej.

Fujara wypróżnił do reszty swój drugi kieliszeczek koniaku i oparłszy się o plecy swojego krzesła, przysnął cokolwiek, co mu się zawsze zdarzało po dobrym obiedzie.

Guwernantka przeglądała ilustracje francuskie.

Balcerek, Ignas i Genia rozmawiali półgłosem ze sobą. Ignas mówił:

— Cóżkolwiekbądź, chociaż to nie jest choroba, zawsze to rzecz bardzo nieprzyjemna, że ojciec wciąż cierpi na tę swoją senność. Ani zdrow, ani chory, niewiedzieć nawet, jak taki stan zdrowia nazwać należy.

— Jakoś się na to poradzi, — rzekł Filek, patrząc w twarz Ignasiowi, — tylko trzeba to zrobić rozumnie.

Na to Ignas spojrział na Filka z pod oka i chciał go wypytać dokładnie, jakby on to zrobił, gdyby był w tem położeniu, ale wtem odezwała się Genia:

— To jest daleko nieprzyjemniejszem, niżeliby się komuś obcemu mogło zdawać na oko, bo to jest rzeczywiście

choroba nerwowa. Widać to stąd, że ojciec stał się teraz tak drażliwym, że często całkiem niewinna konwersacja z nim jest niemożliwą. Niedawno temu tak się posprzeczał z panem Firlejem, że aż się pogniewali ze sobą, nazajutrz znowu pokłócił się z Frysiem, przedwczoraj zaś o panu tak się wyraził niegrzecznie, że mnie aż mróz przeszedł po całym ciele — a wszystko to bez żadnej złej myśli i bez intencji, bo w gruncie rzeczy najlepsze ma serce i zresztą zawsze jest grzeczny dla wszystkich.

— Jeżeli mnie kto oko wybije, — rzekł na to Filek, — to mnie to całkiem jest obojętnem, czy on miał intencję czy nie miał. Moje oko przypadło i bardzo trudno mi tem się pocieszyć, że to się stało przypadkiem. Pan Zaklika powinien na to się leczyć, bo to jest taka sama choroba jak każda inna i jeżeli jej leczyć nie zacznie, to się z pewnością jeszcze pogorszy.

— Jaka szkoda, — mówiła Genia dalej, — że pan teraz do Warszawy nie jedzie, bo wiedząc dokładnie, jaka to jest choroba, mógłbyś się z tamtejszymi lekarzami rozmówić i pewniebyś się od nich o jakimś pewnym lekarstwie dowiedział.

— To pewnie, — odpowiedział jej Filek, — jaby nawet umyślnie po to do Warszawy pojechał, ale na nieszczęście ja jutro do Genewy wyjeżdżam i właśnie dlatego dziś tutaj przyjechałem, aby się z państwem pożegnać.

— Jakto? ty jedziesz? — spytał go Ignasz, nieprzyjemnie tą wiadomością dotknięty, — i na długo?

— Nie, — rzekł Filek, — na dwa albo trzy tygodnie. Mam tam jeszcze niektóre interesa do załatwienia po ojcu a oprócz tego w przyszłym tygodniu odbędzie się tam zjazd naukowy, na którym chciałbym być obecnym.

Ignaś się smutno nad tem zamyślił a Genia zauważała żartem:

— Pewnie to będzie zjazd socyjalistów.

Na zegarze sali jadalnej uderzyła godzina ósma.

A wtedy wszedł służący i powiedział Geni, że Rydel przyjechał i pyta się, czy może przyjść z towarami.

Genia bardzo się ucieszyła i zawołała:

— Tak dawno już nie był, wszystkie perfumy mi wyszły, niech przyjdzie.

Za małą chwilę wszedł Rydel i przyniósł spory koszyk ze sobą, który pomiędzy guwernantką a Genią postawił na stole.

Rydel był to człowiek trzydziesto-letni, szczupły i chudy, o bladej twarzy, z szpiczastą rudawą bródką i niby uśmiechniętymi, ale ciągle biegającymi, zielonemi oczyma. Na jego twarzy widać było niezwykłą przytomność umysłu a w całej postaci tę kupiecką ruchliwość, jaką zazwyczaj widzimy u wszystkich kolporterów. Był ubrany ubogo, suknie miał poplamione i można było łatwo w nim poznać ubogiego handlarza.

Fujara spał jak zabity. Ignaś nie ruszył się z miejsca, był jeszcze wciąż zamyślony i mocno zasmucony tą nowiną, że Filek na parę tygodni wyjeżdża a on nie będzie mógł mieć w nim pośrednika do Flory.

Filek stanął pomiędzy nim a Genią a tak blisko koszyka stojącego na stole, że go mógł ręką dosięgnąć: w jego oczach i na całej twarzy widać było najwyższe wyteżenie, aby zachować zimną krew i przytomność umysłu.

Genia i guwernantka wstały i zbliżyły się do koszyka a Genia rzekła do Rydla:

— Od wieków już u nas nie byłeś, myślałam, żeś już twój handel całkiem zarzucił.

— Byłem w Warszawie, — odpowiedział jej Rydel, — gdzieś musiał sobie nowy kredyt wyrobić a to dziś nie jest tak łatwo. Ale teraz jestem znowu zaopatrzony w wszelkiego gatunku towary...

— Ale dawniej przychodziłeś z ogromnym koszem towarów a teraz tylko taki mały koszyk przynosisz.

— Bóm dawniej chodził z ręcznym wózkiem i tylko jeden kosz miałem a teraz mam konika i wózek dostatni, na którym mara dużo koszyków, w które osobno układam co dla każdego dworu potrzeba.

— Więc ten cały koszyk jest dla mnie?

— Panna hrabianka weźmie, co się pani podoba.

— Pokaż-że, co tam w nim masz.

Rydel zaczął wyklądać rozmaite perfumy, wody toaletowe, octy, mydełka, szczoteczki i gąbki, przyczem ręce mu się trzęsły cokolwiek, czego jednak nikt nie uważał. Spojrzał lękliwymi oczyma na Filka a Filek brwi zmarszczył i rzucił na niego takimi oczyma, jak gdyby mu chciał dodać odwagi albo jak gdyby od niego wymagał, ażeby ściśle dopełnił instrukcyi. To jednak jakoś nie bardzo skutkowało, bo jemu ciągle ręce się trzęsły, aż wreszcie rzekł do Geni:

— Może pani to wszystko weźmie, wszystko się przyda — a mnie się spieszy, bo muszę jeszcze dziś do Rumowisk dojechać, gdzie jutro mają być zaręczyny i gdzie mnie dziś wieczór czekają.

Guwernantka była zdania, że trzeba wziąć wszystko a chociaż on jeszcze wszystkiego nie wypakował, dobyła pularesika z kieszeni i spytała go, co mu się należy. Rydel

powiedział cenę, guwernantka położyła mu ruble na stole, on jedną ręką ruble schował do kieszeni a drugą wydobywał resztę flakonów.

Aż w końcu wydobył duży flakon, z bardzo grubego ciemnego szkła, zatkany korkiem w skórkę obszytym, postawił go na stole i rzekł:

— A to jest nowy eter koloński, który dopiero przeszłego miesiąca przyszedł do Warszawy.

— Do czegoż ten eter służy? — spytała Genia.

— To ma być doskonałe na mdłości, na bicie serca i na wszelkie słabości nerwowe, — odpowiedział jej Rydel, — upadam do nóg państwa, dziękuję za targ.

A to mówiąc, powrzucał bibuły, w które te wszystkie towary były poobwijane, do koszyka, wziął próżny koszyk do ręki i kłaniając się wszystkim, wyszedł wolnym krokiem ze sali.

W tej chwili Fujara otworzył jedno oko a widząc całe szeregi flakonów na stole i Rydla wychodzącego ze sali, rzekł na wpół jeszcze przez sen:

— Ot i wasza zguba się znalazła, wiedziałem ja dobrze, że on znowu do swego handlu powróci.

Ale w tej samej chwili Genia wzięła ten czarny flakon do ręki i obróciwszy się do Balcerka, spytała go żywo :

— To może ten sam eter, co pan dopieroco o nim wspominał ?

Balcerk wyjął jej flakon z ręki a przypatrując się etykietce, rzekł całkiem spokojnie:

— Bardzo być może, ale ja nie wiem tego z pewnością, bom tego eteru jeszcze nigdy nie widział, tylko czytałem o nim w gazetach.

Ignas także się podniósł na krzesło i wziął z kolei flakon do ręki, aby etykietę przeczytać. Wtedy Fujara już całkiem się zbudził i spytał:

— A co to tam oglądacie?

— To ten eter, — odpowiedziała mu Genia, — co taki dobry na nerwy.

A wtedy Fujara, jako to zawsze wszystkiego niezmiernie ciekawy, skoczył jak oparzony, obiegł stół na około, stanął za Jgriasiem i razem z nim czytał: Eau de Cologne. Ether. I. M. Forina. Cologne. Etykieta była wydrukowana niezgrabnie, jak gdyby na ręcznej drukarni, ale nikt na to nie zważał.

¹ — Trzeba to będzie jutro dać ojcu, — rzekł Ignas.

— A ktoby tam czekał do jutra? — zawołał Fujara, — ja mu go zaraz zaniosę.

Z temi słowami wyrwał Ignasiowi z rąk flakon, porwał za nożyk do obcinania cygarów, który leżał na stole, przeciął skórkę, w którą korek był obwiązany, i poleciał kłusem do pokoiów Zakliki.

Balcerek patrzył nieruchomie na niego i zapewne sobie myślał: — Wszystko się gładko udało a teraz vogue la galere!

Tymczasem Fujara, biegnąc przez wszystkie pokoje, termosił się z korkiem, bo przede wszystkim sam chciał powąchać tego eteru, ale nie mógł korka wyciągnąć.

Dopiero w ostatnim pokoju, stanąwszy przed samym Zakliką, który spał w swoim fotelu, korek nareszcie wyciągnął i przytknąwszy otwarty flakon do samego nosa, wciągnął w swe płuca ile mógł tego eteru.

Ale jak tylko raz nim odetchnął, padł jak od kuli ar-

Zaklika. T. III.

matniej na podnózek fotelu i na nogi Zakliki, z otwartym flakonem w ręku.

Zaklika się zerwał na równe nogi, spojrzął szeroko otwartymi oczyma na Fujarę, który tymczasem się zsunął na ziemię, ale w tej chwili jemu samemu mdło się zrobiło i upadł na powrót w siedzenie fotelu.

A potem zaległa cisza w pokoju jak w grobie.

Balcerek stał wciąż nieruchomy i widać było po jego oczach i twarzy, że całą swą siłę duchową zestrzelił w ucho. Minęła jedna minuta i druga, w sali jadalnej nic słyhać nie było, Filek odetchnął spokojniej i zapewne pomyślał sobie: — obydwaj zginęli.

Ignasz rzekł całkiem bez myśli:

— Jakoś Fujara nie wraca.

A na to odezwała się Genia:

— Jeżeli ojciec się zbudził, to teraz obydwaj tym eterem się leczą i można być pewnym, że Fujara do północy będzie siedział u ojca, bo jak ojciec się zmęczy czytaniem, to potem chętnie rozmawia z Fujarą a czasem każe mu czytać.

Filek siadł na powrót do stołu i jeszcze rozmawiali przez chwilę, ale Ignasz się niecierpliwił, bo chciałby był się z nim rozmówić bez świadków, jakoż rzekł do siostry:

— Mogłybyście już sobie pójść spać, bo i tak już późno.

Ale Filek także wstał i powiedział:

— I dla mnie już późno, bo muszę jeszcze dziś moje walizy pakować.

Zaczem pożegnał się z Genią i z guwernantką, które też zaraz poszły do siebie.

Ignas odprowadził Balcerka na tylną werandę i chciał tam z nim rozmawiać.

Ale powóz Balcerka już stał zaprzężony przed werandą, co Ignasia trochę zdziwiło, bo nie słyszał, aby sobie kazał zaprzęgać, on zaś sam teraz już tak się spieszył, że nie mógł ustać spokojnie na nogach. Zdaje się, że jego nerwy, które przez parę godzin całą swą siłą trzymał w posłuchu, teraz wymówiły mu służbę i lęk zaczął go zbierać, radby był jaknajprędzej znaleźć się w czystym polu. Zaczem rzekł prędko:

— Flora jest jeszcze trochę zagniewana na ciebie, ale jak do niej za dwa albo trzy dni przyjedziesz, to cię przyjmie serdecznie jak dawniej.

Z tem wskoczył do powozu i odjechał.

Ignas poszedł zamyślony do siebie i spokojnie spać się położył.

XIX,

Zaklika, chociaż już dawno porzucił siuzbę wojskową, zachowywał dotychczas w sposobie życia niektóre obyczaje żołnierskie: ani szlafroka, ani pantofli nikt u niego nie widział, kiedy wstał rano, zaraz sam się ubierał a wieczór także sam się rozbierał. Wieczorem, kiedy się usunął do swoich pokojów, żaden służący nie śmiał wejść do niego, chyba gdyby zadzwonił. Stąd poszło, że ta straszna noc przeszła spokojnie, wszyscy ją przespali jak zwykle i nikt o niczem nie wiedział.

Ale Fujara lubił wygodę. Miał jakiegoś parobczaka, który mu usługiwał i wieczór musiał czekać w pierwszym pokoju na niego, aby go rozebrać. Ten parobczak czekał wczoraj wieczór na niego pod piecem a nie mogąc go się

13*

doczekać, zasną! snem tak twardym, że się dopiero nad ranem obudził, kiedy świtać zaczęło. Obudzony się, zjrzał do drugiego pokoju i był niezmiernie zdziwiony, że łóżko było nietknięte a Fujary nie było.

Zrazu sam nie wiedział, co robić, lecz namyśliwszy się, poszedł do felczera, do którego miał zaufanie. U felczera zastał Kańskiego, który u niego pijał kawę ranną o świcie i rad z nim trochę gawędził, nim się zabrał do pracy. Parobczak, chcąc nie chcąc, im obydwom powiedział, że Fujara nie nocował u siebie.

Na to felczer rozśmiał się głośno i zawołał:

— Choć już stary, zawsze jeszcze hulaka, trzeba go w garderobie poszukać.

Ale Kański tego żartu nie dzielił, owszem trochę się zniepokoił i rzekł:

— Jeżeli wczoraj wieczór nie wyjechał z Balcerkiem, to mu się coś stało.

— Nie wyjechał, — rzekł na to parobczak, — bo byłby przyszedł do domu, aby wziąć futro.

— Chodźmy obaczyć, — powiedział Kański, coraz więcej się niepokojąc i wzięwszy felczera ze sobą, poszedł z nim do pałacu

Na werandzie zastali kamerdynera Zakliki i pytali go o Fujarę.

— Wczoraj wieczór — odpowiedział im kamerdyner — poszedł do pana i bardzo długo siedział u niego, bo kiedym szedł spać o północy, jeszcze nie wyszedł.

— Co to ma znaczyć? — rzekł Kański, — chodźmy do pana.

I szli od wielkiej sali jadalnej przez wszystkie męskie

salony aż do tego pokoju, w którym Zaklika wieczorami siadywał.

Lecz tam, za ledwie próg przestąpili, stanęli obydwaj jak wryci.

Fujara leżał przy nogach Zakliki na ziemi — a Zaklika siedział w swoim fotelu, z głową opartą o wałek i przechyloną cokolwiek na prawą stronę, i zdawał się spać jak zabity.

Felczer pierwszy odzyskał przytomność a że go przedewszystkiem jakiś niezmiernie silny odor uderzył, skoczył do okien i obydwaj okna na ściężaj otworzył. Kański już zaczął chwiać się na nogach, ale kiedy dwie fale zimnego powietrza wlały się do pokoju, zaraz otrzeźwiał.

Rozumny felczer rzucił się teraz ku Fajarze, przechylił się nad nim, pomacał mu pulsa i skronie, ale zaraz zawołał :

— Ten już nie wstanie

Fujara był zimny jak lód i skostniały jak drewno.

A wtedy felczer skoczył do Zakliki, położył obydwie ręce na jego czole, Zaklika był ciepły. Felczer z głębi piersi odetchnął. Poczem go wziął za obydwaj ramiona i potrząsł. Zaklika się zbudził.

Otworzył oczy szeroko, spojrzął w twarz felczerowi, rozejrzał się po pokoju, obaczył Kańskiego, dostrzegł także Fajarę leżącego na ziemi i spytał:

— Go to się stało?

W tej chwili Kański wybiegł z pokoju i wpadł do sali jadalnej. Tam już prawie wszyscy służący się zbiegli i pytali go, co się dzieje. Przytomny Kański zawołał:

— Fajarę szlag trafił a pan zachorował.

A to mówiąc, pchnął zaraz najmłodszego z lokai klusem po xiędza Prandotę.

Kiedy Kański wrócił do tego fatalnego pokoju, felczer już obwiązał głowę Zakliki ręcznikami, nasyconymi octem i wodą kolońską i trzymał gąbkę nasyconą tak samo przy jego ustach i nosie.

Zaklika odzyskiwał pomału przytomność, ale nie mógł mówić swobodnie.

— Co ten Fujara dał mi zażyć albo powąchać? — mówił przerywanymi słowami...

— Nie Fujara to zrobił, — przerwał mu felczer, — tylko kto inny; znajdę ja tego szubiennika, nawet i nie daleko go szukać.

Ale Zaklika mówił dalej, tak jakby go wcale nie słyszał:

— Anilina, fuxyna czy coś podobnego...

— Jużci tak tu cuchnęło, jak fuxyna, — rzekł felczer, — ale było tam jeszcze coś więcej.

Poczem podniósł ów czarny flakon ze ziemi, przypatrzył mu się i dodał z oburzeniem:

— Napisali, że to woda kolońska a to jeszcze gorsze niżeli kwas pruski.

Wtem wbiegł zadyszany Prandota.

Obaczywszy Zaklikę z obwiązaną głową a Fujarę leżącego bez duszy na ziemi, Prandota w pierwszej chwili oniemiał i tylko krzyż święty zrobił na pierstach.

Zaklika rzekł:

— Opowiedzcie mu, co wiście, bo ja mówić nie mogę. Jestem niby zupełnie przytomny, ale w mojej wyobraźni tworzą się ciągle jakieś obrazy, które uciekają przedemną tak szybko, że ich uchwycić nie mogę. Zdaje mi się, że je

stem jak gdyby w jakimś panoramachomem. Jest mi tak właśnie, jak mi raz było w Wiedniu, kiedym się napił czerwonego wina, zafarbowanego fuxyną...

— To nic, — rzekł na to felczer, — to minie. Ale ci, co to zrobili, muszą odpokutować, i ja im tego dowiodę. ..

To mówiąc, schował ów czarny flakon do kieszeni.

Poczem Kański i on opowiedzieli Prandocie, co wiedzieli.

Prandota myślał nad tem przez chwilę a potem kazał zaprosić Genię, Ignasia i guwernantkę.

Nim przyszli, Zaklika rzekł do Prandoty te słowa:

— Nie stało się to bez zamiaru, bo takich eterów u kupców perfum nie dostanie. Ale właśnie dlatego trzeba sobie postąpić rozumnie, bo u nas, jak zresztą we wszystkich państwach mniej oświeconych, gdzie nad sprawiedliwością górują kabały i namiętności, bardzo często się zdarza, że obok winnych cierpią także niewinni. Wybadaj wszystko dokładnie, ale urządź fe rzeczy tak, ażeby się nic nie wydało. Niechaj i winnych tylko sam Pan Bóg ukarze, — nasz chrześcijański obowiązek nam nakazuje mieć litość nawet nad zbrodniarzami.

— Właśnie o to mi chodzi, — rzekł na to Prandota już teraz całkiem siebie przytomny a po jego twarzy i całej postaci widać było, że był to człowiek nietylko pewnych zasad i uczuć, ale także i czynu.

Kański zupełnie zrozumiał rozumny i uczciwy zamiar obydwóch przyjaciół, ale felczerowi, który serdecznie był przywiązany do swego pana a sprawiedliwość Bożą kładł na całkiem inny rachunek, nie mogło się to pomieścić w głowie, żeby puścić wolno takich nielitościwych zbro

dniarzy, zwłaszcza kiedy, jak sądził, można ich było tak łatwo uchwycić. Zaklika wyczytał te myśli na jego twarzy, dlatego też zaraz dodał:

— Zresztą to oczywiście Rydel chciał na mnie zemścić się za to, że go napędził z folwarku, on to kupił ten eter w jakiejś aptece albo sam sfabrykował a teraz pewnie nie głupi czekać spokojnie, aż go żandarmi wezmą za kołnierz.

Dzieci Zakliki już o tem wiedziały, co się stało, bo słudzy biegali z tą wiadomością po całym folwarku.

Genia się tem tak przerażyła, że na chwilę straciła przytomność. Ale guwernantka ją ocuciła i zwróciła jej uwagę na to, że to pewnie w tym czarnym flakonie była jakaś trucizna. A wtedy Geni zaczęły drzeć wszystkie wnętrześci: niewinna była a przecież...

Natomiast Ignasz sam zaraz się wszystkiego domyślił. Przypomniawszy sobie słowa Flory: on t'en débarrasse — a te słowa wszystko mu wyjaśniły. Natenczas Flora przedstawiła mu się w okropnej postaci: instygatorka takiej straszliwej zbrodni, jędza urodzona gdzieś na samym dnie piekieł. Postanowienie, że jej nigdy już nie obaczy, choćby miał uciec przed nią na koniec świata, przeleciało tylko jak błyskawica przez jego głowę, ale było stanowcze. I on był także niewinny, ale i jemu zaczęły drzeć wszystkie wnętrześci a oprócz tego coś kłuło go w mózgu, jak gdyby mu kto goździk ognisty tam wsadził, bo czuł to, że mimo to wszystko przecież nie jest bez winy...

Ignasz, Genia i guwernantka wbiegli prędko do pokoju ojca, przerażeni i drżący na całym ciele, i pytali, co to się stało.

Ojciec nie spuścił ich z oka i śledził pilnie każdy ich ruch i każdy wyraz ich twarzy. Widać było po nim, że

miał jakieś rospaczliwe przeczucia i chciał się przekonać sumiennie, czy miał słuszość, czy też się mylił.

Prandota zaczął ich wypytywać z taką dokładnością* że żaden sędzia śledczy lepiej by w to nie potrafił.

Guwernantka była najprzytomniejszą, mówiła najwięcej i opowiedziała mu wszystkie szczegóły wczorajszej sceny z Balcerkiem i Rydlem zgodnie z prawdą.

Kiedy guwernantka podniosła ten szczegół, że Balcerek jeszcze przed przybyciem Rydla mówił o jakichś eterach, Prandota i Zaklika wymienili ze sobą znaczące spojrzenie — a wtedy Prandota widział już wszystko przed sobą jak na dłoni.

Prandota patrzył na Ignasia i Genię z politowaniem, ale Zaklika, chociaż nie nabrał przekonania, ażeby oni byli winni współnictwa zbrodni, patrzył na nich ze wstrętem, choćby tylko dlatego, że ten fatalny flakon przeszedł przez ich ręce, nim się dostał do rąk Fujary. Są pewne wrażenia, których nawet najsilniejszy charakter się pozbyć nie może, bo człowiek jest tak stworzony, że przedewszystkiem instynktowo broni swojego zdrowia i życia. Zaczem rzekł chmurno do swoich dzieci:

— Widzicie więc, do czego prowadzi przyjaźń z takimi ludźmi.

Ale Genia była już wtedy całkiem przytomną i odpowiedziała mu głosem stanowczym:

— Ale papa sobie przecież przypomni, że ja z Balcerami nie chciałam nawet znajomości zabierać, ale papa sam zawiózł mnie do nich.

Zaklika odwrócił wzrok od niej a natomiast spojrzął na Ignasia i rzekł gniewnie do niego:

— Go innego znajomość a co innego przyjaźń a jeszcze do tego Bóg tam wie jakie konszachty.

A wtedy Prandota, nie chcąc dopuścić dalszej dyskussji pomiędzy ojcem i dziećmi, zamknął drzwi prowadzące do dalszych pokoiów, stanął na środku pokoju i rzekł do wszystkich te słowa:

— Więc tak. Trzeba ażebyście się wszyscy zgodzili na jedną wersję, bo z tem nie można żartować. Jedno słowo, powiedziane niebacznie, mogłoby sprowadzić na wszystkich nieobliczone nieszczęścia. Fujara czytał ojcu książkę, ojciec przysnął jak zwykle, tymczasem Fujara umarł nagle, na apoplexyę albo na udar serca. Ojciec się zbudził dopiero nad ranem a obaczywszy Fajarę bez duszy, tak się przeraził, że zachorował. Rydel był z perfumami, któreście kupili od niego, Balcer był z wizytą pożegnalną, bo za granicę wyjeżdża, w tem niema nic podejrzanego. Tak macie mówić wszyscy i ani słowa mniej ani więcej.

Z tem dzieci i guwernantkę wypuścił.

Poczem obrócił się do felczera i powiedział mu sucho :

— A ty, panie felczer, także winnych nie szukaj, bo- byś nam takiego piwa nawarzył, żebyśmy się wszyscy upili.

Felczer się na to uśmiechnął i rzekł:

— Kiedy taki jest rozkaz, to ja go pewnie nie złamię.

Poczem zawołano ludzi i kazano wynieść trupa Fajarę do jego mieszkania — a felczer się zajął Zakliką, odnawiając kompresy i pytając go, jak mu jest teraz.

Zaklika mówił:

— Zawsze jedno i to samo. Chwilami jestem całkiem przytomny, ale potem znów snują się przedemną jakieś o- brazy, których nie mogę uchwycić, jednak to mi nie odbiera przytomności umysłu.

— Niech się pan położy do łóżka, — rzekł felczer, — ja panu ziółka zgotuję, które pana przeczyszczą i uspokoją, wieczór sen przyjdzie a jutro pan będzie zdrow i rzeźwy jak ryba.

Felczer wyszedł — a Prandota siadł naprzeciw Zakliki i mówili długo ze sobą o tym biednym a tak pocziwym Fularze, który jak kozioł ofiarny wziął wszystkie grzechy świata na siebie i zawiózł je z cichą skargą przed Boga.

— To jest los szlachty polskiej, — dodał na końcu Zaklika, — i ona także pokutuje za grzechy całego świata i także może zginie za kogoś tak samo: ale co po niej zostanie ?

* *

Tak wszystko niby dobrze się ułożyło: wersja utworzona przez Prandotę w duchu chrześcijańskiej litości rozeszła się między służbę dworską a od niej po wsiach — i zdawało się a nawet było to wedle ludzkich obliczeń zupełnie pewnym, że na tem wszystko się skończy.

Ale na co się zdały wszelkie obliczenia na tym naszym świecie, którym rządzi logika wyższa nad ludzkie rozumy i gdzie ta logika ma na swoje posługi nieprzeliczoną ilość wszelkiego rodzaju przypadków ? —

Fulara, któremu nic się nie wiodło w tem życiu i którego wszystkie przedsięwzięcia kończyły się farsą, odegrał im jeszcze po śmierci taką farsę, że rzeczy te wzięły obrót całkiem nieprzewidziany.

Kiedy trupa Fulara przyniesiono do jego mieszkania, zbiegli się wszyscy ludzie dworscy do niego a inni zaczęli napływać ze wsi, którzy bliżej dworu mieszkali, bo go

wszyscy lubili. Przyszedł także Wikary, który go wprawdzie nie bardzo lubił, ale zawsze był mu miłościw. Pod przewodem Wikarego trupa Fujary według krajowych zwyczajów umyto, ubrano we frak i białą krawatę i złożono na katafalku w tym dosyć dużym drugim pokoju, w którym sypiał a który wyprzątnięto do tego celu. Pokój kirem kościelnym obito a katafalk wystawiono mu nie bardzo wysoki, ale dość przyzwoity i obstawiono go kandelabrami, przyniesionymi z kościoła.

Fujara, leżąc na ziemi w pokoju Zakliki, miał twarz wykrzywioną i oczy na wpół otwarte, ale teraz oczy jego przymknięto a twarz jego się całkiem uspokoiła, oblekła się marmurową bladością i tym błogim spokojem, jakiego dostępujemy dopiero w objęciach śmierci. Jego rysy szlachetne i piękne nabrały teraz jakiejś majestatycznej powagi, której nigdy nie miały za życia, lecz obok nich pozostał jak gdyby cień jego zwykłego uśmiechu, który świadczył o jego niezamąconej dobroci serca przez całe życie i teraz jeszcze jego twarzy, pomimo grozy, jaką śmierć zwykle przejmuje, nadawał sympatyczne wejrzenie.

Jeszcze wczas przedpołudniem, za ledwie katafalk został ustawiony i świece pozapalano, napchało się tyle ludu do obydwóch pokojów jego mieszkania, że szpilka nie byłaby doleciała do ziemi. Jedni z trudnością się stamtąd wydobywali a drudzy, którzy się chcieli tam dostać, musieli się gwałtem przez ten tłum przebijać. Toż przed jego mieszkaniem zrobiło się także zbiegowisko, bo Fajarę wszyscy lubili i jak to zwykle w razach nagłej śmierci się zdarza, niełatwo mogli uwierzyć, że ten człowiek, co jeszcze wczoraj był zdrow i wesół i pełen żartów i figlów, dzisiaj już leży na katafalku. Nawet jakiś żyd przyszedł, zapewne jego

przyjaciel, który jego śmierci nie wierzył a nie mając prawa wejść wewnątrz, przez drzwi i okna zaglądał, ażeby choć zdaleka jego trupa obaczyć.

Młodzi parobcy, jak zwykle skłonni do żartów, śmiali się z żyda i mówili mu, że Fujara nie umarł, tylko śmierć udał, ażeby jego wierzyciele dali mu pokój.

Jednak i między zgromadzonym ludem o śmierci Fujary rozmaicie mówiono. Jedni, mając jeszcze tem głowę nabitą, że Zaklika także był umarł a nawet go już pochowano, mimo to wszakże potem zdrów się pojawił, powiadali, że także tak samo będzie z Fujarą. Inni zaś tylko głowami kiwali, mówiąc, że żaden człowiek bez powodu nie umiera tak nagle, chyba żeby go struto. Trzeci zaś już się domyślali na pewno, że go Rydel struł wczoraj wieczór, mszcząc się na nim za to, że go osmarował przed panem a pan go wyrzucił z folwarku, parobcy zaś dodawali do tego, że Rydel wczoraj wieczór kłusem wybiegł z pałacu, wskoczył jak gdyby go kto gonił na wózek i na przykomo- rek odjechał. Tak ten tłum zgromadzony przed mieszkaniem Fujary zaczął śmierć jego jakąś tajemniczością otaczać i zaczęła się pomiędzy nim tworzyć jakaś opinija publiczna.

Ale wewnątrz mieszkania, przy katafalku, działo się także to samo. Baby, przypatrujące się twarzy Fujary, mając także głowę nabitą zmartwychwstaniem Zakliki, szeptały pomiędzy sobą, że człowiek umarły nigdy tak nie wygląda, jego twarz jest prawie jak żywa. Druga powiedziała, że ma nawet rumieńce na twarzy a usta tak ułożone, jak gdyby właśnie miał co przemówić. Trzeciej zaś się zdawało, że nawet troszeczkę się śmieje. Na to jakiś pusty parobek, który stał za tą babą, trącił ją w ramie i rzekł:

— Owo wąsem ruszył Fujara.

Ale ledwie powiedział te słowa, kiedy cały tłum, który ze wszystkich stron otaczał katafalk Fujary, rzucił się ku drzwiom, jedni przez drugich, na łeb na szyję, ażeby tylko jaknajprędzej na dwór się dostać. I zdjął ich wszystkich strach taki ogromny, że tłumiąc się ku drzwiom, naprzód przewrócili katafalk i trupa Fujary wyrzucili na ziemię, lichtarze poprzewracali, babkę kościelną na śmierć zadusili, dziecko rostratowali — a kiedy jak morska fala na dwór się wywalili, to jeszcze i żyda przewrócili i wszystkie żebra mu połamali. Zatrzymali się dopiero w dziedzińcu, ocierając pot z czoła i oddechając pełnymi piersiami.

Na ten zgiełk pierwszy przybiegł felczer a za nim Kański i pytali ich, co tam się stało: wszyscy klęli duszę i ciało, że Fujara ruszył wąsami.

Felczer i Kański, którzy także nie zapomnieli niedawnego wypadku Zakliki, wbiegli czempredzej do tej izby, w której Fujara leżał na ziemi, Kański świece pogasił, od których już się były zajęły całuny, którymi katafalk był obwieszony, pootwierano okna, ażeby dym z izby wypuścić — a felczer zaczął trzeźwić Fujarę.

Ale wszystko napróżno: nacierał go z pomocą parobków rozmaitemi octami przez pół godziny, ale Fujara nie wrócił do życia.

Prandota, który był temu trzeźwieniu obecny, sam mu powiedział:

— Daj pokój, jego już pewnie nie wskrzesisz, widzisz przecie, że ma już sine plamy na ciele i cuchnąć zaczyna: idź lepiej i ratuj dziecko i żyda.

Prandota odszedł, ażeby uspokoić Zaklikę, Fujarę zaczęto na powrót na katafalku układać — a wtem przyje-

chało dwóch konnych żandarmów, którzy zapewne w kar[^] czmie siedzieli

Żandarmi, widząc, że babkę kościelną zaduszono a innych ludzi pokaleczono, rozpoczęli natychmiast indagację, która wszakże nie długo trwała, poczem jeden z żandarmów pozostał a drugi galopem odjechał.

Prandota się tem zniepokoił, poszedł do Zakliki, leżącego w łóżku, a opowiedziawszy mu co się stało, dodał głosem, w którym się przebijała obawa:

— Ten nieszczęśliwy Fujara gotów jeszcze po śmierci nam piwa nawarzyć.

Zaklika był jakby w pół-śnie, trzeba było chwilę zaczekać, nim potrafi przemówić, jeszcze w nim działał ten eter, którym przez całą # noc oddechał, jakoż dopiero po chwili odpowiedział mu głosem spokojnym;

— Więc cóż się stanie? zjedzie jakaś komissya, skonstatuje co się stało przy trumnie Fujary i znów sobie odjedzie.

Ale Prandota był niespokojny i ten niepokój udzielił się wszystkim mieszkańcom pałacu.

Przez całe popołudniu wszyscy byli jak struci, nikt nie mógł spokojnie na jednym miejscu dosiedzieć, nikt nie umiał nic rozumnego powiedzieć, nikt nie wiedział, coby miał myśleć, ale wszyscy czegoś się obawiali.

Prandota już nie wychodził z pałacu. Mówił z felczerem i Kańskim i jeszcze raz im zalecił, ażeby się jednej i tej samej wersyi trzymali na wypadek, jeżeliby komissya chciała się dowiadywać, jakim sposobem umarł Fujara. Do dzieci Zakliki nie chodził, bo chociaż ani na jedną chwilę nie wątpił o ich niewinności, jednak czuł się jak gdyby nieswój w ich obecności. Natomiast kazał sobie guwernan-

tkę zaprosić i z nią długo rozmawiał, ^zalecając jej także, ażeby w żadnym razie nie odstępiała ani jednym słowem od tej wersyi, którą dla wszystkich przyjęto.

O godzinie szóstej dano do obiadu, jak zwykle. Prandota, nie chcąc jeść sam z dziećmi Zakliki, bo sam nie wiedział, o czemby z nimi miał mówić, kazał zaprosić Kańskiego do stołu.

Ale i z Kańskim nie chciał rozmawiać o wczorajszych, i dzisiejszych wypadkach, które dla wszystkich były niezmiernie przykre i drażliwe, zaczęto mówić tylko o zdrowiu Zakliki i o tem, że trzeba będzie znowu do niego sprowadzić lekarzy z Warszawy. Kański mówił:

— Ja się tak bardzo nie znam na chemii, ale tak mi się zdaje, że w tym flaconie był tylko chloroform bardzo mocno skondensowany, słabego serca Fajarę, który prócz tego jeszcze miał słabe płuca, to zabiło, ale pan Zaklika się z tego obaczy.

Prandota tylko ręką machnął na to i rzekł:

— Było tam jeszcze coś więcej, — a chcąc głęboko zasmucotić dzieci Zakliki pocieszyć, dodał, — ale może być, że nie było złej intencji, tylko nieumiejętność obchodzenia się z lekarstwami.

Genia odetchnęła cokolwiek swobodniej, ale Ignasz wpatrzył się w talerz, unikając wzroku Prandoty, co i Prandota i Kański zauważali i wymienili zapytujące spojrzenie ze sobą.

Była godzina siódma. Właśnie zaczęto zbierać ze stołu: kiedy wtem cały Zaklikowski pałac się zatrzęsł, jak gdyby pod nim przeleciały jakieś gromy podziemne.

Wszyscy głowy podnieśli, jak gdyby się ze snu zbudzili, i słuchali przez jedną sekundę, poczem Kański się

zerwał i pobiegł do okna. Ale nic nie mógł obaczyć, noc była ciemna choć oko wykol a do tego jeszcze właśnie się puściła śnieżnica: zaczął Kański wybiegł do sieni.

Kański już nie powrócił.

Natomiast wbiegł służący i powiedział, że żandarm-rya spadła na dwór i zaległa obydwu dziedzińce.

Wszystkim oddech zaparł się w piersiach. Prandota rzekł:

— Otóż mamy nowe nieszczęście.

A wtedy wbiegł drugi służący i dodał, że sędzia śledczy także przyjechał i przywiózł z sobą wojskowego doktora i obydwu poszli do mieszkania Kańskiego.

Prandota oparł się łokciem o stół a czoło na ręce i mocno się nad tem zamyślił.

W tej chwili sędzia śledczy i doktor byli już rzeczywiście w mieszkaniu Kańskiego, był także i felczer, którego także zawezwali do siebie, i kazali sobie opowiedzieć, co i jak się to stało, że przy katafalku Fujary tyle ludzi pobito.

Był to ten sam sędzia śledczy, który niedawno temu prowadził śledztwo z Zakliką i sam w jego sprawie jeździł do Rygi: człowiek ledwie czterdziesto-letni, miernego wzrostu, ale mocno nabity, o twarzy tłustej z bardzo żywymi rumieńcami, rudawy blondyn z rzadkimi faworytami, z nosem małym cokolwiek zakłętym i małymi zielonawo-siwymi oczyma, w których wszakże widać było niezmiernie wiele przenikliwości, przebiegłości i inteligencji. Był żywego temperamentu, gadatliwy i wesół, ale chwilami nie brakło mu także zastanowienia. Miał dopiero rangę majora, ale posiadał już pewną sławę i powiadano o nim powszechnie, że

Zaklika. T. Ul.

choć lubi* się bawić, jest pełen rozumu i ukształcenia i wcale niezwykłych talentów.

Doktor był rodem Kurlandczyk, starszy od niego, wysoki, chudy, o bladej pociągłej twarzy, z czarnymi faworytami, oczy miał także czarne i niby zamyślane, ale pełne jakiegoś takiego przeszywającego blasku, że jego wzroku nie można było długo wytrzymać: widać w nim było na pierwszy rzut oka kryminalnego eksperta.

Kiedy Kański im opowiedział, jak to się stało, sędzia kazał sobie zawołać tego parobka, co pierwszy krzyknął, że Fujara ruszył wąsami.

Kiedy parobek przyszedł, on go ostro zapytał:

— Czy ruszył wąsami, czy nie? widziałeś?

Parobek, drżąc cały od strachu, odpowiedział mu:

— Musi ruszył, kiedy wszyscy ludzie uciekli.

— A ty co na to? — zapytał sędzia felczera.

Ale felczer, zawsze skłonny do żartów, rozśmiał się na to i rzekł:

— Jakże mógł ruszać wąsami, kiedy umarł? Przecie pan major wie, że umarły ma leżeć cicho i nie śmie się ruszać, bo jest takie prawo

Więc sędzia także się śmiał, parobka odprawił a natomiast pytał felczera, czy Fujara istotnie umarł, czy może leży w letargu.

Felczer go zapewnił, że Fujara umarł na prawdę, on sam go trzeźwił wszelkimi środkami, ale napróżno, są nawet już znaki zgnilizny.

— Ale na co umarł Fujara? — zapytał sędzia.

— Trudno to wiedzieć, — rzekł felczer, — ale prawdopodobnie na paraliż płuc albo na udar serca.

— A dlaczego pan Zaklika zachorował, — pytał da

lej sędzia, — i zaraz zasną! tak twardo, że się nie zbudził, aż na drugi dzień rano?

Felczer mu to tłumaczył, jak umiał, mówiąc, że pan Zaklika i bez tego o tej godzinie w senność zapada a wtedy, na widok upadającego Fujary mocno się przestraszył.

Podczas kiedy felczer to mówi!, sędzia s!uchał go z nateżeniem a przytem widać było, że jego rozum silnie pracige i idzie za jakąś myślą, którą mu instynkt zdaleka przyświeca.

Wysłuchawszy go, wstał i rzekł sucho:

— Na paraliż płuc tak nikt nie umiéra. Kto umiéra na udar serca, także przed tem choruje — a Fujara był zdrów. Gózkolwiekbądź, trzeba to skonstatować, bo tu ludzi pobito i mogłyby z tego być plotki.

Poczem obrócił się do doktora i spytał go, co on o tem rozumieć. Doktor mu odpowiedział:

— Trzeba zrobić obdukcję.

I wziął zaraz ze sobą felczera i wyszedł.

Przez ten czas sędzia wziął na bardzo ścisłą inda- gację Kańskiego i wypytywał go szczegółowo: jakie były stosunki Fujary z innymi mieszkańcami pałacu? czy się kto nie pogniewał na niego? czy się z kim nie pokłócił? czy on komu w czem nie przeszkadzał? czy ktoś pod nim dołków nie kopał? i kto tu był w ostatnich dniach i kto był wczoraj? — Kański dawał mu na wszystko odpowiedzi wy - mijające, zapewniając go, że on się wcale w sprawy pałacowe nie miesza, że nic nie wie, co się tam dzieje, że wczoraj byli jacyś goście, lecz nie wie, jak długo bawili, bo on bardzo wczesnie spać idzie i nigdy o pałacowych gości nie pyta. Sędzia rzekł na to:

— Dojdziemy my tego wszystkiego.

Kański sobie powiedział, że źle.

Nie trwało to wszystko więcej jak pół godziny, doktor powrócił. Sędzia go spytał, co znalazł. Doktor mu odpowiedział:

— Paraliż płuc, ale nienaturalny, bo obydwie skrzydła płuc są zakrwawione, spalone i prawie na szmaty podarte.

Sędzia rzekł:

— Więc go otruto.

Poczem wziął doktora ze sobą i szli do pałacu. Jednak Kański i felczer widzieli ich z progu, jako idąc, co chwila stawali i rozmawiali ze sobą, potem szli dalej i znowu stawali, aż nareszcie weszli na tylną werandę, tam znów rozmawiali i dobrze ich widać było w świetle latarni, a potem weszli do pokojów.

W jadalnej sali wszyscy jeszcze siedzieli przy kawie i przeglądali dzienniki. Prandota nie pozwolił, aby się porozchodzili, bo mogłoby to jakie podejrzenia obudzić, prócz tego chciał być obecnym jak sędzia przyjdzie i ile możliwości pilnować, aby kto nie powiedział czegoś, coby było zbyt ciekawym lub niebezpiecznym. Zdawało mu się, że to potrafi, bo sam nigdy nie był na śledztwie. Siedzieli wszakże w milczeniu prawie na pół umarli, i nie umieli ani słowa wymówić.

Sędzia wszedł uśmiechnięty i pełen uprzejmości, jak zwykle. Przywitał Prandotę z uszanowaniem i przedstawił mu wojskowego lekarza. Geni powiedział jeden komplement i drugi, z guwernantką żartował, nawet dla Ignasia był pełen grzeczności, chociaż trochę chłodniejszy, niżeli dla wszystkich innych: wiedząc o tem, że się stara o Balcerównę i że ojciec jest temu małżeństwu przeciwny, zapewne jego miał przed innymi na myśli.

Mówiono o śmierci Fujary w sposób zwyczajny, żalując pocziwego człowieka, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego, każdemu usłużył a nieraz wszystkich zabawił. Prandota mówił, że był to jeden z tych ludzi, których niewiedzieć dlaczego los prześladowa przez całe życie a czasem nawet i na tem mu jeszcze nie dosyć, bo w końcu jeszcze i śmierć niespodzianą sprowadza, podnieść jednak należy, że Fujara był bardzo wątlej komplexy i już od lat kilku cierpiał tak mocno na bicie serca, że nieraz po całych nocach nie sypiał. W tej chwili sędzia rzucił jak gdyby nic następującą uwagę:

— Fujara mógł umrzeć na udar serca, ale może być także, że go otruto.

Tę słowa sprawiły na wszystkich takie wrażenie, jak gdyby bomba pękła na stole i obrzuciła wszystkich swemi trzaskami. Prandota wpatrzył się w twarz sędziego takimi oczyma, jak gdyby mu chciał mózg prześwidrować. Ignaś tak zbladł, że cera jego twarzy zrobiła się biała jak chusta. pod którą w tej chwili ani jednej kropli krwi nie było. Genia się mocno zarumieniła i wpatrzyła się w talerz. Guwernantka podniosła do ust chusteczkę, ale widać było dobrze, że ręka jej drżała.

Sędzia i lekarz wymienili ze sobą znaczące spojrzenie*: instynktowe światełko, które dotychczas tylko blado przyświecało rozumowi sędziego, wybuchnęło teraz od razu jaśniejszym płomieniem.

Prandota sobie powiedział: .— Teraz już wszystko przepadło, lepiej było od razu całą prawdę powiedzieć a nawet władzę uprzedzić.

Zastawiono herbatę i rozmaite przekąski.

Sędzia prowadził dalej konwersację w tonie zwyczaj

nym i pytał, jak się ma pan Zaklika. Prandota mu odpowiedział, że Zaklika, mając nerwy niezmiernie drażliwe od czasu wyjścia z więzienia, tak mocno się śmiercią Fujary przeraził, że się aż roschorował. Teraz spi, bo to jest właśnie ta godzina, w której go jego senność porywa, ale można go zbudzić i sędzia mógłby go widzieć. Prandocie się jeszcze zdawało, że gdyby go mógł wyprowadzić z sali ja- A dalej, to możeby się na tem skończyły te niebezpieczne rospytowania.

Ale sędzia nie rwał się wcale do Zakliki, powiedział mu, że byłoby to niedelikatnie z jego strony, gdyby mu sen przerywał — a natomiast się przysiadł do Geni.

Genię dreszcz przeszedł, kiedy go uczuła tak blisko siebie, ale sędzia usiłował ją uspokoić, mówiąc jednocześnie

0 wszystkim, o Firlejach, o Balcerach i innych sąsiadach, nie wspominając już wcale o Fajarze. Ale pomału naprowadził rozmowę na dzień wczorajszy i zaczął ją wypytywać: kto tu był wczoraj? przed obiadem, na obiedzie

1 wieczór? czy Fajara był także obecny przy konwersacji wieczornej? czy Fajara stąd poszedł do ojca, czy wprost ze swego mieszkania? i dlaczego poszedł do niego właśnie o tej godzinie, o której ojciec zasypia u siebie?

Genia była zrazu niezmiernie zaambarasowana temi na tarczy wemi pytaniami i z początku odpowiadała wymijająco. To było bardzo źle, bo to nasuwało sędziemu coraz to nowe podejrzenia. Prandota się ttm zniecierpliwił i usiłował wzrokiem dać Geni do zrozumienia, że już niema co tacić. Genia przyszła nareszcie sama do tego przekonania, że już nic się nie da zataić, bo przecież służący wiedzą, że tu był Balcer i Rydel, i kiedy z nich który odjechał. Powiedziała mu zatem wszystko z najdrobniejszymi szcze-

golami i to do tego stopnia, że nawet mu opisała ten czarny flakon, który z rąk Ignasia przeszedł do rąk Fujary. W godzinę potem sędzia wiedział już wszystko, ale pozostało mu także i to wrażenie, że dzieci Zakliki usiłowały zrazu wszystko zataić.

A wtedy sędziemu już było pilno: pożegnał się jeszcze dosyć uprzejmie z wszystkimi, wziął doktora ze sobą i u- sadowił się w pomieszkaniu Kańskiego.

Tam rozpoczął śledztwo po wszelkiej formie, każąc sobie przywoływać wszystkie służby dworskie po kolei i notując sobie ołówkiem ich zeznania.

Idąc za śladem ich zeznań, posłał na przykomorek — i dowiedział się, że Rydel, mając regularny paszport przy sobie, wczoraj późnym wieczorem przez przykomorek do Galicji odjechał.

Posłał na Balcerówkę — i dowiedział się, że Balcerek, nie dzisiaj rano? jak tutaj mówił, ale jeszcze wczoraj w nocy gdzieś wyjechał: jego powóz jeszcze nie wrócił, więc nie wiadano, w którą stronę swe kroki obrócił.

Nim te wiadomości nadeszły, sędzia poszedł do mieszkania felczera a traktując go jako oficera kolegę, powiedział mu wszystko, ale zarazem pod osobistą odpowiedzialnością o flakon zapytał. Felczer, będąc przekonany, że tu idzie tylko o Balcerka i Rydla, dał mu ten flakon, który zachował u siebie, a nawet dał mu go nie bez pewnego uczucia zadowolenia, że przecież winni zostaną wykryci i ukarani.

Sędzia kazał zawołać doktora i obaczyć, jaka-to trucizna mogła się znajdować w tym flaconie. Doktor go wahał, przypatrywał mu się przy świetle, wydobyl nawet z dna trochę osadu, rozpuścił go w wodzie, egzaminował

go za pomocą kawałka niebieskiego papieru, ale w końcu powiedział:

— Osad trąci fuxyną i chloroformem, ale kto wie, co tam jeszcze w nim było. Rydel to nihilista, nam dobrze znany — a nihilści mają także kompozycje chemiczne, o których żadna akademia nic nie wie.

— To wszystko jedno, — rzekł na to sędzia, — zawsze zostaje fakt, że oni chcieli struć nie Fujarę,* tylko Zalkę, Fujara przed nim ten flakon powąchał i zginął — a Zaklika oddechał tylko tym eterem już rozrzedzonym w powietrzu i dlatego tylko się roschorował. Wszystko to jest jasne jak słońce.

Poczem obydwaj wrócili do mieszkania Kańskiego — a już dobrze było z północy, kiedy się w jego oknach jeszcze światła świeciły.

Prandota, dzieci Zakliki i guwernantka, siedzieli jeszcze dobrą godzinę w sali jadalnej i rozmawiali ze sobą, pytając siebie nawzajem, co to z tego będzie.

Prandota robił sobie wyrzuty, że jakąś wersję utworzył i chciał ją utrzymać.

— Licho ich tam zna tych sędziów, — powiedział w końcu, — nie miałem o tym wyobrażenia, że są tak podejrzliwi i tak przenikliwi. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się o tem, że kazali obdukować Fujarę, kto się mógł tego spodziewać? Kto wie teraz, co oni tam jeszcze wymyślą. Ale ufajmy Bogu, że kto niewinny, temu nic się nie stanie.

Ignas milczał.

Ale Genia się już otrzeźwiła, — miała to przedświadczenie, że jest zupełnie niewinną, zaczęła rzekła głosem stanowczym:

— Cóż nam się stać może? przecie myśmy nie wiedzieli o niczem.

Prandota także był tego zdania. Poczem poszedł jeszcze obaczyć, co się dzieje z Zakliką, lecz widząc, że spi snem spokojnym i twardym, pożegnał się z dziećmi i poszedł do domu.

Dzieci i guwernantka także spać się rozeszły, każdy do swoich pokojów.

Ale na drugi dzień rano zrobił się sądny dzień w Zaklikowie.

Sędzia z doktorem, z oficerem od żandarmeryi i ze swoim pisarzem, spadli jak chmura gradowa na pałac i zaczęli w nim gospodarować, jak gdyby u siebie. Usadowili się w tej części pałacu, gdzie były damskie salony, kazali sobie duży stół przynieść, postawili krucyfiks na stole, poroskładali na nim papiery, pióra i kałamarze, zabierając się do spisywania protokółów.

Ktokolwiek zajmował się studyowaniem inteligencji zwierząt, temu zapewne nieraz przyszło na myśl, że węch psów działa na ich imaginację a to w ten sposób, że kiedy pies powącha trop człowieka albo zwierzęcia, to postać tego człowieka albo zwierzęcia maluje się w jego wyobraźni w całości, tak że ją widzi przed sobą. Inaczej trudno by sobie wytłumaczyć, dlaczego pies znajdzie po tropie swojego pana albo to zwierze, które kazano mu gonić. Przypuszczenie to jest tylko domysłem, który nigdy sprawdzonym nie będzie. Ale to pewna, że każdy sędzia śledczy, jak tylko sobie wszystkie poszlaki popełnionej zbrodni zestawi, natychmiast tworzy w swej wyobraźni cały obraz dokonanego czynu — a potem niemasz tej siły ludzkiej, któraby mu go wybiła z głowy, chyba żeby całkiem niezbite fakta

go przekonały inaczej. Ale widziano już nieraz i takich sędziów śledczych, którzy wbrew później pozbieranym a całkiem wiarygodnym zeznaniom, pozostawali zawsze przy swoim pierwszym pojęciu i nie dali się niczem przekonać, że dowolny wytwór swej wyobraźni wzięli za prawdę.

Sędzia przez noc sobie swoje wyobrażenie wytworzył i przyszedł rano z przekonaniem gotowem, nie aby prawdę odkryć, tylko ażeby na to przekonanie znaleźć dowody. Być może zresztą, że wiedząc dobrze, jaka gratka mu się zdarzyła z Zakliką, w tym razie także miał myśl jakąś uboczną, która go prowadziła, ale o tem nikt nie mógł nic wiedzieć.

Przed rozpoczęciem śledztwa kazał się zaprowadzić do pokoju Zakliki i wziął ze sobą doktora. Zaklika już się obudził, ale nie był zupełnie przytomny. Zdawało się nawet, jakoby sędziego nie poznał a na stawione mu przezeń pytania odpowiadał bez zwiąsk. Gzy Zaklika istotnie nie był przytomny, czy tylko nieprzytomność udawał, aby nie potrzebował nic zeznawać, to trudno było odgadnąć: ale sędziemu, o ile się zdawało, było to właśnie na rękę, bo miał twarz bardzo wypogodzoną, nie kazał doktorowi egza minować bliżej jego choroby⁴ pożegnał go jaknajprędzej a wracając do damskich pokojów, sam uprzedził zdanie doktora, mówiąc do niego:

— On jeszcze jest całkiem odurzony tym eterem, jego zeznania w takim stanie umysłu nie miałyby żadnego znaczenia.

— Ale to minie, —> powiedział doktor, — ja powiem felczerowi, jak go ma kurować, może to potrwać pare tygodni a nawet pare miesięcy, ale potem zdrow będzie.

— A ja wam powiadam, — rzekł na to sędzia tonem takim, jak gdyby mu dawał naukę, którą powinien sobie

spamiętać, — że on nigdy do zupełnej przytomności umysłu nie wróci, będzie uznanym za głupowatego i dzieci będą po nim- za jego życia dziedziczyć.

Sędzia był kontent. Poczem, przeszedłszy przez salę jadalną, zasiadł za stołem do śledztwa.

Przyprawiono mu wszystkie służby dworskie po kolei, począwszy od Kańskiego i felczera aż do ostatniego z lo- kai — a on je badał, nietylko o to, co który z nich widział lub słyszał, ale także i o to, co się tu działo podczas mniemanej śmierci Zakliki. Niektóre zeznania wypadły bardzo niekorzystnie, mianowicie dla Ignasia, bo się z nich okazało, że on przez ten czas był tutaj panem Wszechwładnym, despotycznym i chciwym, a teraz został zredukowanym do swojej dawnej roli małoletniego panicza. Niektórzy lokaje, zagrożeni karami, opowiadali różne plotki o tem, że pan ich chce wydać swoją córkę za pana Tarła a ona chce iść za pana Firleja.

Indagacye te trwały ze trzy godziny a może i więcej.

Potem sędzia kazał sobie przyprowadzić Ignasia a po nim Genię i guwernantkę. Kazał im stać przed sobą i obchodził się z niemi surowo: nie było już w nim ani śladu salonowego kwalera, tylko sędzia, szorstki, suchy i nieubłagany. Naprzód badał Ignasia samego, potem Genię: o- boje zeznali całą prawdę jednozgodnie — a guwernantka potwierdziła ich wszystkie zeznania.

Potem guwernantkę odprawił — Ignasia i Genię zatrzymał.

Przez małą chwilę patrzył na nich zdaleka, trzymając ich twarze pod przeszywającymi promieniami swojego wzroku jakby pod sztyletami — a potem skoczył ku nim jak tygrys i krzyknął:

— To wy chcieli struć ojca a struli Fajarę!

Ignasz skostniał od przerażenia i milczał.

Geni krew uderzyła do głowy, widać było, że ją to oburzyło, ale zapewne i odurzyło, bo się zachwiała na nogach.

A wtedy sędzia zerwał białą chustkę, która leżała na stole, porwał ów nieszczęsny flakon do ręki, który nią był nakryty, i pokazując im go przy samych twarzach, zawołał znowu:

— A to co? to pani kupiła ten flakon od Rydla i dała go bratu — a pan dałeś go Fajarze, aby poszedł struć ojca!

Ignasz, zapewne pod naciskiem wyrzutów sumienia, które sam sobie robił, zwiądnął jak powismo, był nieprzytomnym i tylko o tyle jeszcze miał siłę nad sobą, że podniósł rękę, jak gdyby nią się chciał bronić, i zaczął mówić:

— Ale panie sędzio...

Ale w Geni oburzenie wzięło górę nad wszystkim, zebrała wszystkie swe siły i zawołała głosem dźwięcznym i czystym, w którym się przebijała prawda:

— Jakże pan możesz nas o takie rzeczy obwiniać, kiedy myśmy ani przeczcucia nie mieli, co ten flakon zawierał!

Natenczas sędzia skoczył ku niej jak wściekły i krzyknął:

— A jeszcze mi kłamać będziecie! To wyście kazali tę truciznę sfabrykować Rydlowi! Wyście majątki odziedziczyli po ojcu, wam dobrze się działo, ojciec powrócił i majątki odebrał a wyście go struli, aby majątki znów odziedziczyć! Nie mnie wy potraficie okłamać! U mnie są różgi — a one was nauczą gadać całkiem inaczej!

Jak tylko sędzia wspomniał o różgach, biednej Geni

się w oczach zaćmiło, obaczyła przed sobą całą bezdenną przepaść nieszczęścia, zdawało jej się, że już leci w tę bez- deń, zachwiała się na nogach i zemdląa. Guwernantka przybiegła prędko z sali jadalnej, gdzie stali Kański i niektórzy inni świadkowie, porwała ją w swoje ramiona i u-
niosła ku oknu — a wtedy Frydrusz przyjechał.

*

* *

U Firlejów przez cały wczorajszy dzień nic nie wiadano o tem, co się stało w Zaklikowie: była toż pora zimowa, niedawno śniegi spadły i stopniały, panowały śnieżyce na przemian z deszczami, drogi rozkisły, ludzie się nie włóczyli od wsi do wsi jak zwykle, to i codzienne nowiny nie dobiegały tak prędko od dworu do dworu.

Dopiero dziś rano dotarła wieść do Firlejowa, że Fajara umarł nagle pozaprzeszłej nocy a wczoraj rano znaleziono go nieżywego.

Wszyscy się przeżegnali. Pani Firlejowa zawołała:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! przecież jeszcze przedwczoraj widziałam go przed samym obiadem, był zdrów i wesół jak zwykle, a nawet w bardzo dobrym humorze. Cóż temu biedakowi się stało?

Firlej, który był zły na Fajarę, rzekł obojętnie:

— Śmierć chodzi po ludziach a jiiie po lasach i polach. Nie był to zły człowiek, ale miał język zanadto pieprzny, bez względu na to, że w swoim położeniu powinien był być grzecznym dla wszystkich. Mamy już dosyć pieprzu na języku pana Zakliki...

— Mnie go żal szczerze, — rzekła pani Firlejowa, — ale co teraz będzie z naszym dzisiejszym obiadem? Pewnie

nie przyjadą, bo jakżeżby mogli jechać na obiad, kiedy mają umarłego u siebie. Raczej nam przyjdzie pojechać do Zaklikowa na pogrzeb.

Frydrusz był zamyślony i rzekł:

— Chyba ja poszlę kogo do Zaklikowa, aby się dowiedzieć, co się tam stało.

Ale ojciec mu odpowiedział:

— Proszę cię, nie rób tego. Przecie to jest ich rzeczą zawiadomić nas, że nie przyjadą na obiad i dlaczego.

— Jużci zapewne, — rzekła pani Firlejowa, — do południa oni sami nam przyszlą jakąś wiadomość. Ale zawsze to sobie musimy powiedzieć, że jakoś we wszystkim nam się nie wiedzie.

Frydrusz był niespokojny, jednak posłuchał rodziców i poszedł do swoich zatrudnień.

Ale w godzinę potem nowa wieść przyszlą a to w ten sens: że Fujarę otruto, że zandarmerya spadła jeszcze wczorajszej nocy na dwór w Zaklikowie i trzyma go w oblężeniu, oczywiście jakieś śledztwo tam się odbywa a zresztą Bóg wie, co się tam dzieje.

Ta wiadomość zniepokoiła już wszystkich.

Stary Firlej się mocno zachmurzył i mówił:

— Na ten dom sypią się coraz to nowe nieszczęścia jak z woru. Powiadałem wam zawsze, że bliższe związki z tym domem nie są nam wcale potrzebne. Cóż teraz z tem robić?

— Mnie tylko idzie o Genię, — zawołał Frydrusz, — jak się musiała przestraszyć! żeby tylko zdrowiem tego nie przyplaciła.

— Ale tam wcale nie idzie o Genię, — rzekł Firlej,—

cóż ona może mieć do czynienia z jakimś tam śledztwem ? ma zresztą ojca a więc ma i opiekę.
— Ale kto wie, co się dzieje z jej ojcem! — zawołał Frydrusz, — może tam znowu są jakie polityczne historye.

Poczem prosił ojca, aby do Zaklikowa pojechał.

Ale ojciec mu odpowiedział:

— Jużto co to, to przecież tego odemnie wymagać nie będziesz. Obrazili mnie tam do żywego. Pierwejby zginął, niżelibym miał jeszcze sam przeproszać pana Zaklikę

— Więc ja pojedę! — zawołał Frydrusz, — przecież Geni samej nie zostawię w nieszczęściu

I wybiegł zaraz pędem z pałacu.

Kiedy go już nie było, Firlej rzekł z wypogodzonym czołem do żony:

— Ja sam jechać nie mogę. Ale to mi się podoba we Frysiu, przecież w nim jeszcze żyje stara krew Firlejów.

Fryś sam pobiegł do stajni i kazał sobie zaprządz parę dobrych koni do otwartego powozu.

Wsiadł prędko i kazał jechać dobrym klusem, o ile to dla dróg roskisłych było możebnem. Jego stangret pospieszał "jak mógł, wymijając wyboje a przejeżdżając wolniej przez mosty niepewne, i dobił się s/częśliwie aż do samego Zaklikowa. Ale jak się komu nie wiedzie, to mu się we wszystkim nie wiedzie. Na tym samym mostku, na którym mu już raz dwie sprychy wypadły, naręczny koń się poślizgnął, padł na bok i dyszel zdruzgotał. Na szczęście było to już niedaleko pałacu, Frydrusz wyskoczył z powozu, powóz zostawił u Nurka i poszedł piechotą do dworu.

Zrzuciwszy futro w przedpokoju, wbiegł do sali jadał-

nej właśnie w tej chwili, kiedy sędzia, krzycząc głośno, zagroził Geni różgami i kiedy Genia zemdląca.

Frydruszowi, który wiedział już o tem, że Fajarę otruto, kiedy jeszcze do tego obaczył Ignasia i Genię stojących przed sędzią, od razu wszystko się rozświeciło, — stanął na progu i chciał biec, aby Genię ratować: ale sędzia zatrzymał go wzrokiem i zawołał tonem rozkazującym do niego:

— Panie hrabio! my tu pana nie potrzebujemy!

Frydrusz się chwycił obydwoma rękami za głowę, cofnął się, ale nogi pod nim zadrzały i zatoczył się do sali jadalnej pod ścianę.

Tam zdrewniał cały, wszystka krew w nim zakrzepła, oczy się w słup obróciły, trzymał się jedną ręką za włosy, nic nie widział przed sobą, tylko zsiniałymi usty dwa razy zawołał przed siebie: Strach! strach!

W tej chwili Kański się przybliżył do niego, bo litość go zdjęła. Frydrusz patrzył na niego przez parę sekund osłupiałymi oczyma, poznał go wreszcie, zbudził się, porwał go konwulsyjnie za ramie i spytał głosem drewnianym:

— Na Boga żywego, cóż się tu stało?

Kański opowiedział mu szeptem główne fakta wypadku.

Frydrusz go słuchał drżąc cały, ruszając automatycznie rękami i przestępując z nogi na nogę.

A potem spytał:

— I pan Zaklika chory na prawdę?

— Może się jeszcze obaczy, — rzekł Kański, — ale teraz z nim źle.

— Ale to przecie nie oni chcieli struć ojca! — zawołał Fryś.

- Jużci nie oni, — rzeki Kański półgłosem, — ale cóż?...
- Więc sędzia zechce może Genię zabrać ze sobą?
- Pewnie, że zechce...
- Chyba po moim trupie! — zawołał Fryś.

W tej chwili zaczęła znowu krew krążyć po jego żyłach, jego oczy się rozjaśniły, zdawało się, jakoby niemi patrzył wewnątrz siebie, bo widać było, że wszystkie swe umysłowe siły wyteżył, ażeby powziąć jakieś postanowienie. Wszakże po kilku sekundach otrząsł się i zawołał:

- Nie! tak nie będzie.

Zarazem zrobił energiczny ruch naprzód, porwał znowu Kańskiego za ramię i mówił do niego trzęsącymi się ustami tak prędko, że ledwie go można było zrozumieć:

— Mój Kański! tu życie kilku osób stoi na karcie, wiesz jak cię wszyscy kochamy, zróbże to dla nas i staraj się przewlec wyjazd sędziego, choćbyś mu miał co nakłamać, niech felczer ci w tem dopomoże. Ja za godzinę tu wrócę...

I już biegł ku drzwiom. Ale w drodze znów się zatrzymał, bo sobie przypomniał, że nie ma powozu. Zaczem zwrócił się do Kańskiego i rzekł:

— Dyszel mi się złamał na drodze. Proszę cię, każ mi osiodłać najlepszego konia, jakiego macie, tak nawet lepiej

I porwał Kańskiego ze sobą.

Kański domyślił się, że on chce jechać do ojca i myśl tę w duszy pochwalał, zaczem biegnąc z nim przez dziedziniec ku stajniom, powiedział mu w drodze:

— To chyba Robinsona każę panu osiodłać. On u nas się dobrze odżywił, koń silny i pewny i jeszcze pamięta

Zaklika. T. Ul.

wścigi... On pana za dziesięć minut do Firlejowa doniesie.

— Jakiegobądź, byle wytrzymał, — zawołał Frydrusz, tracąc oddech od biegu.

Tak przybiegli do stajni.

Robinsona w lot osiodłano. Frydrusz wskoczył na niego, bez futra i bez kapelusza, Kański chciał go zatrzymać, aby mu przyniesiono kapelusz, ale Frydrusz krzyknął na koniuszego:

— Daj mi pręt jaki.

Koniuszy podał mu szpicrut, Frydrusz go chwycił, dał łydkę koniowi i półgalopem wyjechał przez tylną bramę dziedzińca.

Galopował jeszcze przez jedną minutę wzdłuż częstokółów i płotów, ale jak tylko się dostał na czyste pole, puścił konia ventre d terre, pozostawiając koniowi samemu, aby wymijał wyboje, a on go tylko coraz mocniej ścisnął łydkami. Koń rozumny i doświadczony sam puścił się brzegiem gościńca, gdzie śnieg leżący wskazywał, że tam niemasz wybojów — i sadził przed siebie, jak gdyby grał o pierwszą nagrodę i jak to robił za młodu. Frydrusz miał tylko tyle przytomności, że dobrze siedział w kulbace: bo zresztą widział tylko Genię przed sobą, jak sędzia jej grozi różgami. Jakoż tylko od czasu do czasu chwycił się prawą ręką za włosy i mówił do siebie: Strach! strach!... Koń doskonale wytrzymał — i rzeczywiście w kilkanaście minut wpadł na dziedziniec firlejowskiego pałacu i zatrzymał się przed werandą.

Z konia kurzyło się jak ze strzechy, którą zimny deszcz zmoczył a potem słońce przypiekło, a z jego nozdrzów bu

chała para jak z dwóch kominów: i koń i Frydrusz byli jak gdyby w mgle.

Frydrusz zeskoczył z konia i puścił go 'wolno, wbiegł na werandę a spostrzegłszy lokaja, który mu się przypatrywał wystraszonemi oczyma, zawołał do niego :

— Leć prędko do stajni i każ panu zaprzęgać, cztery konie do otwartego powozu.

Służący, gotów spełnić rozkaz natychmiast, ale dbały o zdrowie swojego pana, zrobił mu uwagę:

— Może trochę za zimno na powóz otwarty.

Ale Frydrusz* uderzył go pięścią w ramię i zawołał:

— Idź błźnie i rób tak, jak ci każę. I niech zaraz zajeżdża...

Służący poleciał do stajni a Frydrusz pobiegł do swoich rodziców.

Zastał ich w* małym salonie, gubiących się jeszcze ciągle w domysłach, co się tam mogło stać w Zaklikowie.

Frydrusz wpadł do nich bez tchu i nie mogąc ani słowa wymówić.

Ojciec niezmiernie się zdziwił, matka przypadła do niego, pytając:

— Na miłość Boga! cóż się Cam stało?

Frydrusz na razie wydobył z siebie tylko te słowa:

— Straszne rzeczy! strach! strach!

Oboje rodzice struchleli, robiąc sobie najstraszliwsze domysły.

Ojciec powiedział:

— Odetchnij sobie i powiedz w dwóch słowach. . .

Matka skoczyła do przyległego stolika i przyniosła mu szklanekę wody.

Frydrusz rzekł tymczasem do ojca:

— Szczęście stracone i honor stracony... i wszystko

— I honor stracony? — zawołał ojciec, blednąc na twarzy, — cóż tam się stało? chyba że zbrodnia...

— Zbrodnia, — rzekł Frydrusz, biorąc szklanę z wodą z rąk matki.

Poczem się napił cokolwiek, odetchnął swobodniej i opowiedział rodzicom przerywanemi słowy, co widział i słyszał.

— Któż to sfabrykował ten eter czy co tam? — zapytał ojciec.

— Rydel, Balcer, Balcerówna... ja nie wiem, — rzekł Frydrusz, — wiem tylko, że pewnie nie Genia.

— Ale Ignaś także nie, — zawołał Firlej, — żaden szlachic polski, choćby upadł jak nisko, nie bierze się do trucizny.

— Ja nie wiem, — rzekł Frydrusz.

Ale w tej chwili już mu wróciła przytomność a z przytomnością odezwało się w nim jasne i czyste uczucie serca i lzy mu w oczach stanęły. Jakoż ze łzami w oczach mówił dalej:

— Wiem tylko tyle, że teraz jeszcze sam tylko ojciec mógłby temu zapobiedz. Dlatego na złamanie karku tu przyleciałem. I proszę ojca na wszystko, ażeby sam zaraz do Zaklikowa pojechał.

Tu stary Firlej zapomniał o wszystkich urazach, nie zastanowił się ani jednej sekundy i zawołał:

— Ale oczywiście że pojedę. A to mi się podobało! żeby nas jeszcze za pospolite zbrodnie prześladowali, jak gdyby im politycznych nie wystarczało! A potem ten sędzia, co się już przy Zaklicie obłowił, żeby się jeszcze za to

mścił na jego dzieciach! a co to ? to chyba nas już wcale nie mają za ludzi ? ...

— Bo tam w głowie tego sędziego — rzekł prędko Frydrusz — jedno z dwojga: albo się chce jeszcze i przy dzieciach obłować, albo sobie myśli, że jak zaczniesz prześladować dzieci, to wszelkie podejrzenia na zawsze odsunie, że się dał przekupić ich ojcu.

— Ale ja na to nie pozwolę! — zawołał Firlej z ener-

— przecie i ja jeszcze coś znaczę. I to ci powiadam, że gdybym miał jechać ślad w ślad za Genią i pójść do gubernatora i do Warszawy pojechać a choćby nawet do Petersburga, to ja' ją wydobędę — a temu sędziemu pokażę, że mnie nie wolno obrażać beskarnie. Przecież wie o tem, że ty jesteś z nią zaręczony! Proszę cię, każ mi zaraz zaprzęgać.

— Już zaprzężono! — zawołał Frydrusz i rzucił się z głośnym płaczem ojcu na piersi.

Matka także się rozplakała i mówiła przez łzy:

— Jedź, jedź, jedźcie obydwaj — a ja będę się modlić, aby wam Pan Bóg dopomógł.

— Proszę cię, — rzekł Firlej, żegnając się z żoną, — każ mi moje walizy spakować a jak ci przyszlę posłańca, przyszlj mi je do Lublina do naszego hotelu, bo ja się im nie ustąpię, dopóki te biedne dzieci nie wydobędę.

Poczem zaraz z nią się pożegnał, zarzucił futro na siebie i wszedł do zaprzężonego powozu, który już czekał przed gankiem.

Frydrusz siadł obok niego i zaraz ruszyli — a kiedy już byli za bramą, drugi otwarty powozik wyjechał od sta- jen i pospieszał za nimi, bo Frydrusz na wszelkie wypadki kazał sobie zaprządz osobno.

Jechali prędko, Frydrusz kazał stangretowi, ażeby wyciągał jak może, bo się obawiał, ażeby nie przyjechali za późno.

Frydruszowi biło serce jak młot w kuźni parowej. Chwilami miał nadzieję, że ojcu się uda Genię wydobyć: ojciec miał pewne znaczenie, był jegermajstrem dworu i szambelanem, miał zatem rangę którą niżsi od niego musieli szanować, zaręczenie, ofiarowane przez niego, powinny być uwzględnione. Ale już w oka mgnieniu 'potem rospacz go porywała: powiadał sobie, że to są barbarzyńcy, mają władzę dyskrecyjną, której zawsze nadużywają, nie mają na nikogo żadnego względu, wybiją oko a potem przeproszą, cóż ja potem zrobię, jeżeli Genia cześć straci? — W takim rostargnieniu mówił do ojca:

— Jak tylko zdaleka obaczmy Zaklików, ja się przesiądę do mego powozu, bo lepiej będzie, abym się na razie nie pokazywał sędziemu. On mnie już dla tego samego nie cierpi, że jestem austriackim poddanym.

W starym Firleju już grała młodzieńcza fantazja, zaciął się i powiedział sobie, że żadnym środkiem nie pogardzi, ażeby dopiąć swojego celu, jakoż odpowiedział synowi:

— Ale bądź niedaleko, bo Wiedz o tem, że ja się będę bił z nimi ząb za ząb i oko za oko, w danej chwili zagrozę im internacyjną interwencją, a wtedy i ty będziesz musiał wystąpić na scenę.

— Ja jestem gotów na wszystko! — zawołał Frydrusz, — i to powiadam ojcu, że gdyby się sędzia upierał, to się rzucę z pięściami na niego. Będzie skandal, zbiją mnie, może i zginę: to zginę, al⁴ Geni tknąć nie dam!

Frydrusz był w uniesieniu, pełnem rospaczy, ale także pełnem decyzji. Jego miłość dla Geni była zrazu tylko kon-

wencyonalną, ale miłości konwencyonalnej niemasz na świecie) Każda miłość, jeżeli jest szczerą i czystą, jest romantyczną — i dość ją na jakąkolwiek próbę wystawić, ażeby widzieć, że jest zdolną najromantyczniejszych uniesień. Jeżeli by romantyzm, który już chciano, jako rzecz martwą, na wieki Wżyć do grobu, nie miał innych środków do życia, toby nie samej miłości przeszedł we wszystkie wieki następne, ażeby żyć w całej pełni tak długo, jak długo ludzi stanie na świecie.

Firlej i Frydrusz wymienili jeszcze ze sobą kilka uwag

0 Geni, ale rozmowę przerwali, bo już się im pokazał Zaklików.

Był jeszcze dzień wielki, wypogodziło się pod wieczór

1 jasno było na świecie. Przyjechali jeszcze w sam czas, ale już w chwilę ostatnią, bo konwój a raczej kondukt, prowadzony przez sędziego, właśnie z dziedzińca wyruszył i puścił się wolnym krokiem dworską drogą ku gościńców'.

Naprzód postępował żandarmi na koniach i z tyłu żandarmi a we środku widać było dwa wozy.

Na otwartej werandzie stał cały tłum dworskich ludzi, mężczyzn i kobiet, z Prandotą i Kańskim na czele — i taki głośny płacz się od nich rozniósł, że aż do gościńca dochodził.

Frydrusza już wtedy nie było przy ojcu a Firlej kazał swojemu powozowi na pałacową drogę tak w poprzek zajechać, że konwój się musiał zatrzymać, poczem sam zaraz wysiadł z powozu.

* *

Po wyjeździe Frydrusza z Zaklikowa, jak tylko Genię otrzeźwiono z omdlenia, sędzia się tak do niej przyczepił

jak osa i usiłował koniecznie wystraszyć od niej zeznanie, jako wiedziała, że w tym flakonie się znajdowała trucizna,

Genia się ledwie trzymała na nogach, ale wszystkie swe siły zebrała, zapanowała nad sobą zupełnie i odpowiadała mu z gniewem i oburzeniem.

Natenczas sędzia, widząc, że z niej nie wydobędzie pożądanego zeznania, zwrócił się do Ignasia i użył wszelkich możliwych środków, ażeby z niego wydobyć/zeznanie. Był grubijańskim, wściekał się na niego, groził lnu nawet pięściami.

Ignas, blady jak ściana, zapewne nie czuł krwi w sobie, ale stał przed nim jak mur, był nieruchomy, nieczuły, milczący.

Sędzia mu zadawał rozmaite krzyżowe pytania, ale Ignas mu odpowiadał wciąż temi samymi słowami:

— Nic nie wiem, nie wiedziałem, że Rydel tego wieczora przyjedzie, nie miałem najmniejszego przeczucia o tem, co się znajdowało w flakonie.

Trwało to całą godzinę lub więcej. Sędzia się zmęczył i spociał, nie mógł z obojga obwinionych żadnego zeznania wydobyć, ale od swego podejrzenia nie odstąpił.

Poczem kazał zaprzęgać.

Kiedy zajechały powozy i żandarmerya stanęła w przepisany ordynku, sędzia wyszedł na werandę, gdzie także wyprowadzono oboje obwinionych.

Kański przygotował dla nich powóz i prosił sędziego, aby im pozwolił jechać własnym powozem, zresztą w otoczeniu żandarmów. Przyłączył się do tej prośby także Prandota, który już od godziny był także w pałacu, lecz nie pytany dotąd się nie odzywał. Ale sędzia sfukał Kańskiego,

na Prandotę rzucił gniewnymi oczyma a obróciwszy się do dzieci, zawołał do nich zapieczonemi ustami:

— Jak się przyznacie, to pojedziecie powozem, jeżeli nie, to pójdziecie piechotą. Dzieci milczały.

— Pogadamy ze sobą w Lublinie, — rzekł sędzia i wszedł do powozu.

Konwój puścił się w pochód, oboje dzieci prowadzono piechotą.

Genia, na którą zarzucono tylko płaszczyk futerkiem podszyty i chustkę wełnianą na głowę, drżała jak liść osikowy. Brnąc lekko oizianymi nogami w śniegu i błocie, złożyła ręce przed sobą i mówiła do siebie:

— Siły mi nie wystarczą, nie dojdę. Boże! Boże! cóżem Ci zawiniła! — Poczem, idąc, zaczęła się modlić.

Ignaś, może po raz pierwszy w swem życiu, zabołał nad nią i powiedział jej kilka słów pocieszających. Ale ona się odwróciła od niego, mając zapewne to uczucie, że on nie jest bez winy.

Kiedy konwój się wysunął za bramę, wówczas rozległ się ten jęk rozgłosny na werandzie, który aż do gościńca doleciał: lecz wtedy właśnie Firlej przyjechał i zajechawszy mu drogę, konwój zatrzymał.

Zgromadzeni na werandzie ludzie, kiedy to obaczyli, przestali płakać i patrzyli szeroko otwartymi oczyma i z zapartym w piersiach oddechem, co z tego będzie.

Stary Firlej wyskoczył jak młodzian z powozu, przystąpił poważnym lecz przyspieszonym krokiem do wozu sędziego i spytał:

— Panie sędzio, co to takiego?

Na widok Firleja sędzia się zmięszał, rzucił gniewnym

wzrokiem na niego i w pierwszej chwili miał zamiar sfukać go za to, że jego konwój zatrzymał; ale przecież go opuściła odwaga, rzekł jednak sucho i dość niegrzecznie :

— Przepraszam. To jest sądowa sprawa, mnie pilno.

Ale Firlej naprężył się dumnie, jako stary oficer stanął w postawie imponującej, żołnierskiej, i odpowiedział mu również sucho:

— To wszystko dobrze, ale więźniowie panu nie uciekną. Ja chcę wiedzieć, co to jest, bo to moi krewni.

Sędzia zmiękł.

Mówili z sobą po francusku, więc ich nikt nie rozumiał, ale sędzia przecież nie chciał z nim mówić w tak niedalekiej odległości od młodych Zaklików, bo ciby go zrozumieli. Zaczem wygramolił się z wozu.

Firlej spostrzegł tymczasem, że dzieci prowadzono piechotą i tak się na to oburzył, że zawołał głosem wzruszonym:

— Jakto! i pan ich prowadzisz piechotą? toż-to jest barbarzyństwo, jakiego jeszcze nie widziałem nigdy w życiu!

Sędzia precedził przez zęby:

— Takie jest prawo

— Nie słyszałem nigdy o takim prawie, — odpowiedział mu Firlej, — przecież to nie jest śród wojny i zapewne nie o politykę tu chodzi.

— Może i o politykę, ja panu to wytłumaczę, — rzekł sędzia, usiłując go odprowadzić jaknajdalej od wozów.

Firlej dał się chętnie prowadzić, owszem sam pierwszy szedł naprzód, bo mu właśnie o to chodziło, aby się mógł z nim rozmówić na osobności.

Odeszli o kilkanaście kroków — a tam sędzia mu całą rzecz opowiedział, utrzymując wszakże uparcie, zawzięcie

i nieubłaganie, że dzieci chcieli struć ojca a tylko przypadek to zdarzył, że struli Fajarę.

Firlej mu kilka razy przerywał, usiłując go przekonać, że to jest absolutnie niemożliwym, że to są dzieci niewinne i bardzo poczciwe, że może ten flakon został podsunęty przez kogoś w złym zamiarze, ale że one z pewnością o tem nic nie wiedziały.

Sędzia uparcie obstawał przy swoim, zaciął się, był dla Firleja niegrzecznym a nawet naigrawał się z jego rozumowania.

Natenczas Firlej stracił cierpliwość, wziął także na kiel, postanowił wygrać ostatnią kartę, niech się dzieje co chce — i patrząc ostro w oczy sędziemu, rzekł do niego z równym naigrawaniem:

— Mimo to wszystko zawsze jeszcze nie wiem, dlaczego pan ich bierzesz już do więzienia, chociaż jeszcze dotychczas nie masz niezbitych dowodów. Gdybyż przynajmniej młody pan Zaklika miał frak na sobie a w tym fraku zaszyty jaki papierek, tobym to zrozumiał...

Na te słowa sędzia tak nagle się zmienił, jak gdyby go jaki czarownik przerzucił w innego człowieka. Wszystkie krew z twarzy zbiegła mu do brzucha i nóg, jego zawsze rumiana twarz zrobiła się żółtawo-biała jak glina, z której się robią farfury, a jego oczy obciągnęły się mgłą nieprzejrzystą i gęstą, tak że mu źrenic wcale widać nie było. Stał tak przez pare sekund z zaciśniętymi zębami a kto był wtajemniczony, ten mógł się łatwo domyśleć, że na jego wybladłych ustach siedziały słowa:

— Ten łotr przecież mnie zdradził...

Widząc to Firlej, nie snuł już dalej .tej nici siarczanej,

która jak lont zapalony wysadziła już minę w powietrze, tylko mówił dalej spokojnie:

— Ja sędzę, że byłoby to słusznie i sprawiedliwie a zarazem po ludzku, gdybyś pan oboje obwinionych mnie powierzył, na słowo honoru albo, jeżeli pan tak chcesz koniecznie, to nawet za poręką pisemną. Odemnie nie uciekną — a jeżeli sąd ich postawi w stan oskarżenia i tego zażąda, to ja sam ich jemu dostawię.

Sędzia zaczął coś bełkotać, czego nie można było zrozumieć, zdawało się tylko, jakoby był gotów wejść w negocjacje o Genię: ale wtem dzwónek dał się słyszeć gdzieś niedaleko a w parę sekund potem zajechał przed nich półkownik Baltzer von Baltzheim.

Półkownik wyglądał dzisiaj tak rzeźwo i młodo, jak gdyby mu lat dwadzieścia ubyło: widać było po jego twarzy i jego całej postawie, że mu się wiodło we wszystkim i że był kontent ze siebie. Jechał zapewne na Balcerówkę, lecz widząc jakieś zbiegowisko przed sobą, którego jego zwoszczyk nie mógł pominąć, sam wyskoczył z powozu.

Półkownik bez wątpienia wiedział już o tem, co się stało w Zaklikowie, bo sędzia od wczoraj wieczora posłał już był sztafetę do swych przełożonych, ale objawszy okiem całą tę scenę, zapewne trochę się zdziwił, bo po jego twarzy przeleciał uśmiech taki, jak gdyby miał to wrażenie, że tu może zanadto tego dobrego.

Grzeczny jak zwykle, zaraz do Firleja przystąpił i witał go bardzo uprzejmie, pytając o zdrowie i o to, co się tu stało.

Mówiąc z Firlejem rzucił na Ignasia okiem pełnym triumfu a zarazem pogardy: triumfu, bo go pobił fatalnie, pogardy, bo patrzył na człowieka, co został pobity.

Firlej opowiedział mu krótko, jak on tę sprawę rozumiał, skarżąc się na to cierpko i z okurzeniem, że poare- sztowano nieletnie dzieci bez żadnego dowodu a jeszcze do tego w sposób tak niehumaniczny włoką ich do więzienia piechotą.

Półkownik kazał sędziemu, aby mu zdał raport ze wszystkiego co zrobił i dlaczego tak zrobił.

Firlej usunął się trochę na stronę, ale znając język rosyjski, wszystko dobrze rozumiał.

Sędzia się wyprężył przed półkownikiem i opowiadał mu rzecz, ale teraz mówił jak obwiniony i jak gdyby sam stał przed sędzią. Opowiedziawszy wszystko, zakończył na tem, że to Balcer i Rydel sfabrykowali ten eter, ale dzieci Zakliki były z nimi w zмовie.

Na to półkownik spojrział ostro na niego i rzekł:

— Dlaczego by Balcer miał z tem coś do czynienia? To nie ma żadnego sensu. Przecież Balcer nie miał i nie mógł mieć w tem żadnego interesu. To Rydel sfabrykował ten eter albo go dostał od nihilistów i chciał się zemścić za to na panu Zaklice, że go z ekonomii wypędził.

Te słowa powiedział półkownik tonem rozkazu a potem dodał łagodniej:

— Czy dzieci miały, w tem jaki udział, tego trzeba dojść gruntownie, sprawiedliwie i bez uprzedzenia. Wątpię bardzo, ażeby panna Zakliczanka się w takie rzeczy mię- szła, dlatego możesz pan wydać tę panienkę grafowi Firlejowi za zaręczeniem. Zaś co do panicza, to trzeba go wziąć do Lublina i tam przeprowadzić z nim śledztwo zdała od wpływów, jakieby tutaj ktoś trzeci mógł wywierać na niego: ale niech jedzie swoim powozem i możesz go

pan tam osadzić w hotelu pod dozorem żandarma; aż póki się nie okaże, że istotnie jest winien.

Tak pólkownik odegrał rolę zbawcy i zasłużył sobie, na wdzięczność u wszystkich.

Nawet sędzia był jemu wdzięczny, bo kiedy Firlej rzucił mu w twarz historię o fraku, ziemia mu się z pod nóg usunęła i już widział przed sobą szeroko otwartą drogę na Sybir. Teraz ocalał...

Frydrusz, który zrazu stał zdała i z zapartym w piersiach oddechem słuchał rozmowy swojego ojca z sędzią a potem sędziego z pólkownikiem i w miarę pomyślnego obrotu się do nich przybliżał, — a kiedy usłyszał rozkaz pólkownika. ażeby sędzia wydał Genię Firlejom, rzucił się ku niej pomiędzy żandarmów i wozy i porwał ją w swoje ramiona.

Genia mu upadła na piersi a nie mogąc ani słowa wymówić, tylko go z całej siły przycisnęła do siebie. W tej chwili nie wiedziała jeszcze, co się stało, ale przeczuwając instynktem, że się otworzyła jakaś nadzieja, objęła go swemi ramiony z tą myślą, że teraz żadna siła świata jej nie oderwie od niego.

Frydrusz ją prawie na rękach zaniósł do ojcowskiego powozu.

Kański, który także stał zdała i słyszał, jak pólkownik rozporządził Ignasiem, przyprowadził mu powóz* przyskoczył do niego i powiedział mu, że jeszcze dziś w nocy poszle mu jego walizy, i uspokoił go, aby był dobrej myśli, bo on nie zapomni o niczem.

Pólkownik, Firlej i sędzia rozmawiali jeszcze przez, chwilę ze sobą, poczem wszyscy się rozjechali: pólkownik

na Balcerówkę, — Firleje z Genią do siebie — a konwój¹ sędziego gościńcem ku Lublinowi.

Zaledwie spokój i cisza rozległy się znowu na pałacowym dziedzińcu, z po za prawego skrzydła pałacu wysunął się kondukt pogrzebowy Fujary.

Zmrok już zaczął zapadać i białe mgły zaczęły się coraz gęściej spuszczać na ziemię. Kondukt prowadził wikary* bo Prandota był u chorego Zakliki. Drewnianą trumnę, czarnym całunem nakrytą, nieśli na swoich ramionach parobcy, nieśli ją bez smutku i żalu, lecz z dobrem sercem, bo tyte się z nim nieraz naśmiali. Po jednej i drugiej stronie trumny szli stary Nurek i kilku wyrobników, którym Fujara nieraz przychodził z pomocą, z wielkimi woskowymi świecami. Za nimi szły babki i dziadkowie kościelni także z świecami w rękach. Kondukt postępował powoli naprzód i szedł ku grobowej kaplicy, gdzie nieboszczyk generał jeszcze za życia mu grób murowany darował. Niebawem kondukt zniknął w oddali i tylko jeszcze widać było płomyki świec, jak białe gwiazdki bez promieni, przez mgłę. Potem i te białe gwiazdki zniknęły. Nikt po nim nie płakał: ale kiedy się już w ciemnym mroku do kaplicy zbliżyli, duch generała wyszedł z grobów naprzeciw niemu i przyjął go z wesołym uśmiechem na ustach w swoje miłościwe ramiona, jako swojego wiernego przyjaciela i sługę.

\

EPILOG.

Zaklika chorował jeszcze przez cały tydzień a może - nawet cokolwiek dłużej.

Przez ten czas zdawał się rzeczywiście nie mieć zupełnej przytomności umysłu, bo nie rozumiał, co mu mówiono, i nie odpowiadał nikomu, jakoż zdaje się, że nic o tem nie wiedział, co się stało w Zaklikowie od chwili, kiedy Fujara padł trupem przy jego nogach a on stracił przytomność, i kiedy nazajutrz rano Prandota skonstatował w jego obecności cały przebieg wczorajszego wieczora. Ale tych dwóch faktów miał zupełną świadomość i musiał cierpieć męki piekielne i mieć podejrzenia, które w sposób nie- litościwy jego duszę targaly, bo przez te dni kilkanaście włosy i broda całkiem mu pobieleły i wyglądał tak, jak gdyby mu od razu dwadzieścia lat wieku przybyło.

Wszelako po kilkunastu dniach, dzięki staroświeckim lekcom felczera, zaczął pomału przychodzić do siebie. Felczer, który całemi godzinami przesiadywał u niego, skorzystał z tego i opowiedział mu, podając mu te wiadomości, tak samo jak swoje leki, po kropelce codziennie, co się stało z jego dziećmi i jak się to stało. Felczer, człowiek dowci-

pnym i doświadczony, zawiadomił go także i o tem, jak on się zapatruje na ten cały wypadek otrucia, z czego wynikało, że dzieci Zakliki Bogu duszę winne w tem wszystkim.

Prawdopodobnie potem to się daleko więcej przyczyniło do jego wyzdrowienia, niżeli wszystkie lekarstwa. Cóż- kolwiekby, po kilkunastu dniach, Zaklika zaczął wstawać, ubierał się, nie wychodził z pokoju, ale przepędzał po kilka godzin codziennie w fotelu i mówił coraz przytomniej.

Prandota, będący w znowiu z felczerm, był tem bardzo uradowany i wówczas, jednego dnia, potwierdził mu wszystkie zapatrywania się felczera na ten wypadek. Zaklika pomyślał nad tem przez chwilę a potem rzekł:

— Przecie ci Firleje to poczciwi ludzie.

— Zawsze ci to mówiłem, — odpowiedział mu żywo Prandota.

— Będą mieli Zaklików, — rzekł Zaklika jak gdyby do siebie — a jeszcze do tego coś więcej, bo trzeba ażeby Frydrusz mógł sobie coś przykupić do swego majątku w Galicyi. Ja tak rozumiem, że on tutaj mieszkać nie zechce. Kto się przyzwyczaił mieszkać w takim kraju, gdzie jest wszelka swoboda, ten nie potrafi wyżyć w naszych tutejszych stosunkach, zwłaszcza po takich przejściach...

Prandota rzekł:

— Na to wszystko czas jeszcze.

— Ale Ignas! — zawołał na to Zaklika, — w gruncie rzeczy to on winien temu wszystkiemu...

— Za to też pokutuje, — odpowiedział mu Prandota, — ale zawsze trzeba się o to postarać, aby pokuta nie była większą od winy.

Zaklika myślał nad tem przez chwilę a potem rzekł:

— Jeżeli ten sędzia myśli, że jeszcze raz się przy mnie

Zaklika. T. III.

obłowi, to bardzo się myli. Jednak, jak dobrze mówisz, trzeba będzie mieć oko na niego...

— Stary Firlej był już za tem w Lublinie, — odpowiedział mu uspokajająco Prandota, — a i ja mam oczy otwarte na wszystko.

Zaklika odetchnął z głębi piersi i rzekł:

— Kto mi jest przyjacielem, ten mnie w tych rzeczach wyręczy a kto ma litość nademną, ten mi nawet rozmowę o tem oszczędzi.

◆ *

*

Przez dni kilka następnych Zaklika pisywał codziennie przez całą godzinę albo i więcej a chociaż nikt nie wiedział, co pisze, wszyscy się tem cieszyli, zwłaszcza że z każdym dniem był rzeźwiejszy i cera na jego twarzy się ożywiła.

Kiedy Prandota przyszedł popołudniu do niego jak zwykle, zastał go siedzącego w fotelu w głębokim zamyśleniu.

Zaklika patrzył na niego przez chwilę a potem tak mówił, jak gdyby teraz kończył głośno te myśli, które dotychczas snuł sobie w milczeniu:

— Zastanawiam się nad tem, co się stało, i radbym siebie o co obwinić. Jakże chętnie pokutowałbym za grzechy, choćby nie moje! Ale szukam tej winy na próżno. Ja nie mam żadnego grzechu na mojem sumieniu. Z mojej, zresztą tylko czasowej opozycji przeciwko małżeństwu Geni nie wyniknęło nic złego — a co do Ignasia, to przecież nie mogłem na to zezwolić, aby się ożenił z kobietą, która nie

ma w sobie żadnych podstaw moralnych a natomiast ma taką fatalną przeszłość za sobą...

— Bądź spokojny, — przerwał mu Prandota, — grzechu nie popełniłeś żadnego.

— Ale być może, że błąd popełniłem, — rzekł na to Zaklika, - bo wpływ rodziców na dzieci dorosłe powinien mieć także pewne granice.

Prandota był tą uwagą trochę zaambarasowany, zaczem znowu mu przerwał, mówiąc:

— Ja tu i błędu nie widzę.

Na to Zaklika patrzył na niego przez chwilę z głęboko boleśnym uśmiechem na twarzy a potem rzekł:

— Zawsze to był wielki błąd z mojej strony, żem zmartwychwstał. Wyobraź sobie Prandoto, coby to było, gdyby tylko ci ojcowie, co w przeciągu ostatnich lat kilku pomarli, nagle z grobu powstali. Takiej próby najpoezciwsze dzieci by nie wytrzymały: wszyscy by się pomiędzy sobą pozabijali. A o co? O ten nędzny kawałek chleba. Z tego widzisz, ile są warte wszystkie cnoty ludzkie na tym świecie... Religija grozi nam piekłem; ale kto ma wzrok po temu, ten widzi, że my już tutaj na ziemi w piekle żyjemy, tylko to piekło jest zakryte tysiącami złudliwych pozorów. Gdyby jakaś ręka wszechmocna zdarła nagle te pozory i pokazała wszystkich ludzi takimi, jakimi istotnie są w głębi swojego serca i sumienia, to i wtedy takżeby się pomiędzy sobą pozabijali. Ktoby miał talent po temu, tenby mógł na podstawie tej myśli bardzo zajmującą Powieść napisać.

Prandota, rad że może rozmowę do innego przedmiotu odwrócić, rzekł prędko:

— To pisz. Znajdziesz w tem zacną rozrywkę a w danym razie może nawet nowy cel życia.

Ale Zaklika tej uwagi nie słyszał, bo po chwili namysłu mówił dalej w te słowa:

— Słuchaj mnie, Prandoto, powiem tobie rzecz ważną. Jeżeli jest kto na tym świecie, który tego żałuje, że zmartwychwstał, to ja przed wszystkimi innymi. Gdybym mógł bez popełnienia zbrodni na samym sobie nazad w grób się położyć, tobym pewnie to zrobił. Ale widząc, że muszę żyć, rozważyłem wszystko gruntownie i powziąłem pewne postanowienie. Ja już nie mam żadnego celu w tym życiu, moja rola skończona. Ja mam moje idee, świat poszedł in- nemi drogami: pomiędzy ludźmi dziś żyjącymi ja jestem trupem, jestem upiorem, który już nic pożytecznego zrobić nie zdoła i może tylko innym przeszkadzać. Ja się już do niczego mieszać nie będę i nie chcę nawet wiedzieć o niczem. Sporządziłem właśnie dokument, mocą którego ciebie mianuję rządcą mego majątku i opiekunem moich dzieci. Jam się na wszystkim zawiódł i we wszystkim omylił, orzekam się więc mojej woli, o ile nią mógłbym wpływać na losy innych, i ciebie stawię na mojem miejscu. Spodziewam się po tobie, że mi nie odmówisz tej przysługi, która jest jedynym środkiem, ażeby mi zapewnić spokój na resztę życia. •

Prandota był niepomału zdziwiony widzieć tego człowieka, tak pełnego energii i woli i świadomości siebie samego, jako się teraz wyrzeka swojej własnej istoty na korzyść innych, chociaż zdań i dążeń tych innych wcale nie pochwała. Tem wyrzeczeniem się siebie samego, ażeby nie przeszkadzać biegowi otaczającego go świata, chociaż ten świat nie szedł marzonymi przez niego drogami, stanął na tak wyniosłym szczycie idealizmu, że Prandota, kiedy się za jego przewodem sam wyniósł na te wyżyny, miał to wra

zenie, jakoby go jakiś duch wyższy uniósł ze sobą w powietrze, i nie czuł ziemi pod swymi nogami. Jakoż siedząc naprzeciw niemu, opuścił głowę na piersi i mówił jakby do siebie:

— Znałem ludzi niemało, którzy się poświęcili, ale poświęcili się za swoje własne idee i w tym przekonaniu, że urzeczywistnieniem swoich idei świat zbawią: ale poświęcić siebie dlatego, aby innym nie stać na drodze...

Tu przerwał i zapadł w zadumę. Przez długą chwilę trwało milczenie. Zaklika patrzył zamyślonemi oczyma przed siebie i miał tak bolesny wyraz na twarzy, jak gdyby się żegnał z tym światem. Po chwili zaczął mówić, ale mówił t.ak, jak gdyby jego myśli wyrwały się z ust jego bez jego wiedzy:

— Szukałem śladów synów moich, ażeby iść z nimi i podtrzymywać ich moimi w rozlicznych walkach zaprawionymi siłami — a znalazłem tylko groby ojców moich. Znalazłem także ich, ślady. Groby ich porozwalali ich następcy i ryją w nich anatomicznymi nożami, ażeby na ich szkieletach wykazać, gdzie jakie plamy mieli na swoich duszach — a ślady ich wielkich czynów coraz więcej zasypuje proch wieków, bo nikt niemi nie chodzi. Myślałem, że będą, co wstąpią w ich ślady, nie w ślady tych, co się poplamili, tylko tych, których dusze były bez plamy, i będą nieść naprzód ten dziesięcio-wiekowy sztandar naszego narodu, który nasi ojcowie wciąż nieśli przed sobą a za który i myśmy jeszcze naszą krew przelewali, — że będą go nieść z krwawym potem na czole, może drżącemi z bólu rękami, może chwiejąc się czasem na nogach, ale będą ciągle iść naprzód i naprzód i naprzód! Ale oni w swoim pochodzie stanęli i są jak rzeka, która się zatrzymała w swym biegu

i stała się wodą stojącą. W tej wodzie ciągle coś kipi, wiruje i pryska, wszelkiego rodzaju męty wydobywają się na wierzch i krążą dokoła brudnymi strugami, i tworzą się bańki, które przez jakiś czas błyszczą w promieniach słońca, ale potem pękają, nic nie zostawiając po sobie. Wiesz ty, Prandoto, co z tego będzie? Ta woda stojąca z czasem całkiem się uspokoje i zgnije, w części ją słońce wypije a w części ziemia ją wsiąknie i zrobi się moczar w tem miejscu, który wciąż będzie wysychać i wyschnie, aż w końcu go pług czasu zaorze. I ja się także kręciłem przez kilka dziesiątków lat w tym wirze, usiłując rostrącać prądy zmacone i goniąc za błyszczącymi bańkami: ale teraz spostrzegłem, że wraz z wszystkimi tylko w kółko się kręcę a oni krokiem naprzód nie idą: dlatego wylazłem z tej wody i siadłem na brzegu — i odtąd będę już tylko marzył w mej samotności o tych czasach minionych, kiedy ta rzeka jeszcze w całej swej wspaniałości płynęła. Inni ludzie zamykają się na starość w klasztorze, ja sobie klasztor zrobię u siebie...

Na to Prandota patrzył na niego przez chwilę z niezmiernie boleśnym wyrazem na twarzy, lecz potem mówił głosem żywego człowieka:

— To jest pesymizm, bez wątpienia nie sztuczny, jaki czasem znajdujemy w literaturze, lecz naturalny, ale mimo to zawsze grzeszny, bo człowiek nie powinien nigdy tracić nadziei. Społeczeństwa, tak samo jak ludzie, zwłaszcza po silnych upustach krwi, potrzebują dłuższego czasu, ażeby do dawnego zdrowia powrócić. Nie każdemu pokoleniu jest dano zrobić znaczny krok naprzód, niektórym dostało się tylko zachować to, co jeszcze po klęskach zostało — a jeżeli tylko tego obowiązku z dobrym skutkiem dopełnią,

to mogą śmiało powiedzieć o sobie, że nie darmo żyły na świecie. Dlatego że rzeka swój bieg zwolniła a choćby nawet zwęziła swoje koryto, nie można jeszcze powiedzieć, że w biegu stanęła, to też dlatego jeszcze nie należy się poddawać rozpacz. Ale ty może dobrze robisz, że teraz chcesz zażyć cokolwiek spokoju. Niech się tymczasem niektóre rzeczy urządzią bez ciebie. Wszelako potem, jestem o tem przekonany najmocniej, i ty także urządzisz sobie swój spokój - swój życie stosownie do położenia i będziesz żył z spokojnym sercem i pogodnym umysłem a zarazem i z wiarą, że nasze społeczeństwo jeszcze z nami nie zginie.

Zaklika już mu nie przeczył a natomiast go spytał:

— Więc przyjmujesz?

— Przyjmuję, — odpowiedział mu krótko Prandota.

Prandota to zrobił z dwóch powodów: raz iż był przekonany, że Zaklika istotnie potrzebuje spokoju, a po wtóre z obawy, że jeżeli on sam będzie nadal dysponował swojemi familijnymi sprawami, to mogłyby stąd wyniknąć nowe sprzeczności i kto wie jakie niedogodności.

Dlatego, kiedy nazajutrz przed wieczorem przyszedł znów do pałacu i dowiedział się, że stary Firlej przyjechał i już od dwóch godzin jest u Zakliki, bardzo się tem przestraszył, poszedł do damskich pokojów i tam zastanowił się nad tem, czy ma iść do nich, czy lepiej robi, jeżeli ich samych zostawi. Ale w końcu rzekł sobie: — Nie, niech się z sobą wyklóca, to potem z tych dawnych sporów nic nie zostanie... Ale kiedy Firlej odjechał i on zaszedł drogę Zaklice w sali jadalnej, to Zaklika rzekł do niego z widocznym zadowoleniem:

— Wszystko dobrze. Sam ci drogę utarłem, ażebyś to zrobił, co ty uważasz za dobre a co może nie odpowiada

moim przekonaniom. Nawet i o Ignasiu lepsze są wiadomości...

Zaczem Prandota był kontent i wrócił uspokojony do siebie.

*

◆ *

W kilkanaście dni potem Prandota w jakąś dalszą podróż wyjechał. Gdzie był, nikt o tem w Zaklikowie nie wiedział. Dowiedziano się tylko przypadkiem, że bawił dni kilka w Lublinie a potem ślad za nim zaginął. Nie było go przez dwa tygodnie, aż wreszcie wrócił do domu powozem Firlejów.

Kiedy powrócił, chociaż zdawało się z pogodnego wyrazu jego twarzy, że z pomyślnymi wiadomościami przyjechał, zastał Zaklikę zniepokojonym i zdenerwowanym, że prawie tak wyglądał, jak gdyby go jakieś nowe spotkanie nieszczęście.

Prandota był tem niepomału zdziwiony i pytał go niecierpliwie:

— Cóż się tu stało?

— Nic się nie stało, — odpowiedział mu chmurnie Zaklika, — tyłkom jeszcze wszystkiego nie strawił i podobno nigdy nie strawię — i to mnie tak męczy. Że ten głupi Balcerek sfabrykował dla mnie truciznę z politycznych czy osobistych powodów i że Rydel dał mu się namówić czy nająć, aby ją do mego domu przemycić, to także nie jest mi obojętnem, bo dokądże zajdziemy, jeżeli obok tych wszystkich trucizn, któremi obcy nas karmią, jeszcze i sami będziemy się truć między sobą? Ale że ten flakon przeszedł przez ręce moich własnych dzieci, tego na żaden sposób zapomnieć nie rtiogę. Ta myśl duszę moją rozdziera i w dzień

i w nocy wisi nademną jak czarna chmura gradowa: w tej chmurze od czasu do czasu coś błysnie zygzakiem a każdy błysk taki to jakby mnie kto nożem pchnął w serce...

— Ależ twoje dzieci z pewnością temu niewinne, — zawołał na to Prandota, — przecież to jest rzecz dowiedziona.

Na to Zaklika rzekł smutno:

— Kto wie, kto temu winien? kto więc, gdzie, jak i kiedy urodziła się pierwsza myśl otrucia? kto wie, kto był temu obecny i kto jednym słowem albo może tylko jednym spojrzeniem dał do jej wykonania zachętę? Gzy ty wiesz, mój Prandoto, jak zbrodnia się rodzi i kto w każdym danym wypadku był właściwym jej twórcą? Niejednego już powieszono, który był tylko narzędziem zbrodni a właściwy jej twórca chodzi wolno po świecie. Sądy ludzkie są tylko szeregiem ludzkich obłądów, istotną prawdę wykryje dopiero sąd Boży. Kto wie nareszcie, czy i ja temu nie jestem winien choć w części, bo trzeba było Ignasia natychmiast oderwać od Flory, jak tylko pierwszy ślad na jaw wystąpił, że się w niej kocha.

— Ale cóż też się niepokoisz takimi myślami? — zauważał Prandota, — przecież grzeszyć można tylko świadomie.

— Ale ja miałem świadomość tego, że to było złe, — rzekł na to Zaklika, — jeżeli zaś od razu nie wystąpił z należytą energią, to tylko dlatego, że ile razy w moim życiu miałem jakąś myśl rozsądną i uczciwą, której inni nie mieli, i wystąpiłem z nią stanowczo i czynnie, to zawsze za to ci inni rzucili się na mnie i miałem w nich wrogów na całe życie, chociaż nieraz potem się przekonali, że miałem słuszość.

— Taki świat teraz, — rzekł na to z rezygnacją Prandota, — cóż z tem zrobić?

Zaczem Zaklika, popadając w myśli coraz czarniejsze, mówił dalej patrząc przed siebie zamyślonemi oczyma:

— Ten świat dzisiejszy tak spodłał koło nas, że człowiek uczciwy musi się prosić o pozwolenie, aby mógł być uczciwym — a jeżeli nim jest bez pozwolenia i działa po własnej myśli i na własną rękę, to tego mu nikt nie przebaczy. Musi koniecznie należeć do jakiejś koteryi albo do jakiegoś stronnictwa, wtedy nietylko jego zalety nabiorą rozgłosu, ale nawet wszystkie jego wady mu się przebaczą: ale jeżeli stoi na własnych nogach, mówi jak myśli, działa jak mówi a do tego jeszcze widzi jasno wszystkie obłądy innych i wypowiada otwarcie, co o nich rozumieć, natenczas wszyscy mu wrogiem. Ja zawsze stałem na własnych nogach ■— i dlatego całe moje życie składało się z samych roszarowań i z samych zawodów. Jeżeli utrzymał i pomnożył majątek, to tylko dlatego, że to zależało odemnie samego, od mojej woli i od mego rozumu, a nikt inny nie mógł na to wywierać żadnego wpływu. Ale we wszystkim innym, co nie zależało odemnie samego, wszystkie moje nadzieje, odnoszące się do ojczyzny, do społeczeństwa, do myśli moich, któreby nam wszystkim mogły być przynieść pożytek, a nawet do mojej własnej rodziny, spełzły na niczem a wszystkie moje widoki czarnym się okryły całunem. I nietylko ja sam, ale całe społeczeństwo nasze doznaje takich samych zawodów, bo społeczeństwo to od lat blisko dwudziestu kiśnie w samym sobie i nie może ani o krok naprzód postąpić. Żadna myśl zdrowa, rozumna, uczciwa, zrodzona z dobrej wiary i woli w niem się przyjąć nie może — a jeżeli się która po długich walkach nareszcie

m 25i —

przyjęła, to jemu potrzeba było lat kilkunastu na to, aby ją w wykonanie wprowadzić, zaś kiedy już weszła niby to w życie, dopiero się spostrzeżono, że ją źle wykonano. A dlaczego tak jest? Bo u nas nikt nie idzie drogą środkową, drogą rozumu, zdrowego rozsądku i umiarkowania, na której w czasach pracy normalnej jedynie jest siła. Kiedy się rospatruję około siebie, to widzę ducha naszego społeczeństwa wziętego jakoby w dwoje kleszczów żelaznych. Z jednej strony przesadna i ślepa reakcja, której celem jest tylko to, ażeby się dobrze działo pewnej koteryi — a z drugiej stare, do szczytu zużyte, demokratyczne sztandary, usiłujące się odżywić pozytywizmem i materjalizmem, bo same w sobie życia nie mają, kokietujące z socjalizmem, bo wiedzą, że on jest od nich silniejszy, nie wiedzące wcale, czego właściwie chcą, a wiodące, jako ostatnie słowo, re- wolucję za sobą. Obydwa te prądy prowadzą z sobą walkę na śmierć, obydwaj potępiają lub wyszydają przeszłość narodu, obydwaj chcą zniszczyć to, co było, a nie wiedzą, coby miały w to miejsce postawić, żaden z nich nie pracuje dla przyszłości całego ogółu z poświęceniem siebie samego, owszem przeciwnie każdy z nich z tem się nie tai, iż wolałby, ażeby żadnej przyszłości nie było, niżeli ażeby jej ster dostał się w ręce jego przeciwników. Ta walka niby to o zasady jest wszakże tylko pozorną, bo nie przeszkadza ni jednemu, ni drugiemu, gonić przedewszystkiem za wszelkiego rodzaju doczesnem użyciem: ale dlatego właśnie duch patryotyczny i duch chrześcijański, ewangeliczny, tylko tem mocniej skwirczy w tych kleszczach i coraz więcej omdlewa- "Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!" ale nie dałeś zdrowego rozsądku i publicznego sumienia.

— Jest w tem coś prawdy, co mówisz, — powiedział

mu na to Prandota, — ale wszystko to jest zanadto czar[^] nym nawiedzone kolorem. Chwilami porywa cię uczucie melancholiczne, którego zarody wzięliśmy w siebie z naszym romantycznym wychowaniem, ale nie trzeba się temu uczuciu poddawać i dlatego, że ci i owi nas nie rozumieją a inni nawet z nas szydzą, nie trzeba zmieniać naszego postępowania.

— A czy ja je kiedy zmieniłem? — zawołał na to Zaklika, ożywiając się trochę. — Słuchaj mnie, Prandota, jesteś moim spowiednikiem, więc tobie mogę wszystko powiedzieć. Ja byłem czasami cierpkim dla ludzi. Kiedy mnie coś oburzyło i byłem przekonany, że miałem słuszość, byłem nielitościwym, może nawet czasem niesprawiedliwym. To jest rzeczą temperamentu — a z temperamentem ludzie się nie liczą do tego stopnia, jakby powinni. Ale to nie wpływało nigdy na moje postępowanie: możesz mi przykre słowa zarzucić, ale nie czyny, bo te nie przyniosły nigdy nikomu żadnej przykrości. A tych ludzi, którym ja dobrze zrohiłem, często nawet odmawiając sobie samemu, jużbym sam nie potrafił policzyć. Są tam tacy, których z nieszczęścia wyrwałem, są inni, których mojemi pieniędzmi postawiłem na nogi. A jak ty sądzisz? ilu pomiędzy nimi jest takich, którzy wdzięczność mi okazali? Z wyjątkiem tych biedaków po moich wioskach, co mnie za to szanują, ani jeden. A byli tacy, co mi się czarną wypłacili niewdzięcznością. Ile stąd się napiłem gorzycy, to tylko mnie samemu wiadomo. Ale czy ja dlatego powiedziałem choćby tylko raz w życiu: To ród jaszczurczy, nie wart więcej jak żeby go nogami podeptać? czy dlatego zamknąłem rękę i kieszeń moją zaszyłem? Nie. Powiedziałem sobie i mówię: Moją

rzeczą jest im pomagać a co oni z tem zrobiają, to jest ich sprawa. I tą drogą idę dalej...

Są, którzy mówią, że to poezja, sentymentalizm, miękkość serca, brak rozumu, brak woli: ale, według mnie, to jest treść życia. W tem leży cała przyszłość ludzkości. To jest kamień węgielny chrześcijańskiej cywilizacji: dziś budują na nim tylko pojedynczy ludzie i dobroczynne stowarzyszenia, ale kiedyś stanie on się podstawą życia wszystkich społeczeństw, na nim się oprą wszystkie budowy społeczne i na nim zostanie wyryte najwyższe prawo ludzkości. Widzisz więc, — kończył Zaklika, — że jeżeli mnie trapi melancholija, to ta melancholija odnosi się tylko do innej samego...

Po tem wywnętrzeniu się przed przyjacielem zdawało się, że się uspokoił.

Nazajutrz sam się przyznał do tego Prandocie, mówiąc:

— Wywnętrzyłem się wczoraj przed tobą i dzisiaj mi lżej. Instytucja _ spowiedzi polega na głębokiej znajomości duszy ludzkiej i nie jest wcale rzeczą tak błahą, jak to utrzymują powierzchowni filozofowie.

* ◆

◆

W kilka dni potem Prandota jakieś listy odebrał, które przyniósł do niego i głośno mu czytał. Listy te były również uspakajające a musiały się w nich znajdować także rzeczy wesołe, bo Zaklika się kilka razy głośno roześmiał i robił rozmaite uwagi odnoszące się do osób im obydwoim znajomych, ale te uwagi były niezmiernie gorzkie i uszczypliwe. A w końcu dodał:

— Wcaleby mnie nie dziwiło, gdybyśmy się dowie-

dzieli niebawem, że ten mały Balcerek został profesorem historyozofii w Moskwie albo w Dorspacie i preleguje zniszczenie wszystkich pomniejszych narodowości a panowanie tylko trzech wielkich ras w Europie. Ale obok tego obudzą się we mnie pewne podejrzenie: Kto się tak spieszył ze ślubem, jak Flora, ten musiał mieć do tego bardzo ważne powody. Tam może już nie było ani jednego dnia do stracenia. Nakoniec jeszcze, po latach tyłu a tyłu, zjawi się u nas jakiś nastojaszczy generał, czystej krwi kurlandzko-rosyjskiej i będzie naszym następcem wysączał ostatnią kroplę krwi polskiej — a ten generał to będzie mój wnuk... Ale powiedz mi szczerze, ty, co tyle tajemnic dowiadujesz się na spowiedzi, czy my zawsze wiemy na pewno, kto komu jest ojcem? — To życie nasze na ziemi jest w gruncie rzeczy przecie tylko tak niegodną komedią, że kto je zgłębił, ten musi je sobie obrzydzić i nie może sobie życzyć niczego innego, jak żeby się jaknajprędzej z tego piekielnego kotła wydobył...

Odtąd Zaklika znowu przez kilka dni nurzał się w samych czarnych widzeniach. Prandota usiłował go rozpogodzić, ale napróżno. Wszakże po kilku dniach on sam się otrząsł z tych chmur, co na jego umyśle ciążyły, bo jednego dnia rzekł do Prandoty:

— Te anatomiczne badania tego wszystkiego, co się dzieje koło nas, w końcu na nic się nie przydadzą, bo przecie my tych warunków, w których żyć musimy, zmienić nie możemy. Dopóki człowiek jest silen i zdrow, radby przeprzeć wszystkie swe myśli choćby i gwałtem, ale im więcej się starzeje, tem więcej uczy się poddania się i pokory. W starszym wieku tylko ci zachowują swoją samowolę,

którzy mają materyalną siłę na swoje usługi. My bezsilni możemy tylko trwać przy naszych zasadach...

Prandota był rad z tego objawu uczucia rezygnacyi i starał się go przy niej utrzymać.

Zaklika trwał przy tem uczuciu, ale im więcej mu się poddawał tem więcej znów w melancholiję popadał, cho' ciał innego rodzaju. Był mniej zgryźliwym a stawał się coraz czulszym. Wszystkie smutki, jego własne i cudze, coraz więcej go obchodziły i lubił o nich rozmawiać. Niejednokrotnie wówczas swoją JMuskę wspominał i zawsze przytem ocierał łzę z oka. Jeszcze częściej wspominał Fujarę, podnosił z uznaniem jego serca zalety i żałował go, że zginął niewinnie: zapis, który mu niegdyś zrobił generał a on utrzymał, przeznaczył w całości na biednych. O ludzką biedę, o nędzę, o wszelkie potrzeby tych wszystkich ludzi, którzy mieszkali około niego, z wielką troskliwością się wywiadywał; kiedy mu te rzeczy opowiadano, zawsze miał oczy wilgotne, a jak tylko się dowiedział, o co chodzi, zaraz przychodził z pomocą i zawsze mu z tem było tak pilno, jak gdyby szczęście całego świata zawisło od tego. Kiedy czasem rankami na folwark wychodził, to przede- wszystkim wypytywał się o to, czy wszyscy są okryci i syci i czy kto nie ma jakiej skargi na kogo? a wtedy mawiał: — Niechaj nas z góry gnioł, jak im się podoba, ale przecież w tem nam nikt nie przeszkodzi, abyśmy się wszyscy trzymali za ręce i osładzali sobie wzajemną pomocą tę biedę. I gdybyśmy wszyscy pomagali sobie nawzajem a nikt drugiemu nie szkodził, to mimo wszelkich losów przeciwnych bylibyśmy taką potęgą, że żadna siła ludzka ni gdyby nas nie przemogła. •

Mimo to wszakże, mimo tak nadzwyczajnej tlikiwości

która czasem prawie zdawała się chorobliwą, fizycznie był zdrow jak zawsze przez całe życie. Odurzające skutki zażytej trucizny całkiem minęły, nie zostawiwszy żadnego śladu po sobie, nawet ta senność, która go dawniej wieczorami trapiła, zapewne skutkiem silnego wstrząśnienia minęła — a jego umysł był jasny, zdolny do wszelkiej pracy duchowej i ścisłego myślenia a często nawet pełen niezwykłej energii i stanowczości.

Wszelako oprócz Prandoty i jego bliższych domowników nikt o tem nie wiedział, bo nie wyjeżdżał nigdzie i nikogo obcego nie przyjmował u siebie. Stąd poszło, że w okolicy najrozmaitsze o nim chodziły wieści: jedni opowiadali sobie, że zapadł na jakąś nieuleczalną umysłową chorobę, drudzy że całkiem zdziwaczał i nikt się z nim porozumieć nie może - a pomiędzy wiejskimi chatami utworzyła się nawet o nim legenda, jakoby umarł i jest pochowany w kaplicy, co też wszyscy widzieli, a: tylko duch jego pokutuje w pałacu, ale duch dobry, co miłosiernymi uczynkami zmywa swe grzechy.

Z tego powodu Prandota radził mu, ażeby czasem w popołudniowych godzinach przejechał się po swoich folwarkach, jak to swojego czasu rabił jenerał: posłuży tó jego zdrowiu a zarazem i te bajki ustana. Ale on mu odpowiedział :

— Jenerał miał tyle świetnych zwycięstw za sobą, że miał się z czem ludziom pokazać, ale ja zostałem na wszystkich polach pobitym, więc nie wiem, z czembym się miał pokazywać.

Wtedy Prandota, widząc że w tem odosobnieniu tylko się w coraz czarniejsze myśli pogrąża a chcąc koniecznie wynaleźć dla niego jakąś rozrywkę, jeszcze raz usiłował

go skłonić, aby się wziął do pisania i pisał do druku. Zaklika odtrącił tę myśl z cierpką ironią, mówiąc:

— Myślałem, żeś mi jest przyjacielem a ty mnie, jak widzę, wiedziesz na pokuszenie. Do pisania książek trzeba mieć powołanie a oprócz tego jest to rzemiosło jak każde inne, które ma swe tajemnice i którego się trzeba z młodu nauczyć. Przecież nie będziesz wymagał odemnie, ażebym poszedł pomiędzy pisarzy, którzy powołanie w sobie wmawiają a nauki nie mają. A potem, co ja wiem, to wiedzą i inni a tego, co czuję, nie będę przecież roskładał na targu publicznym.

Prandota robił jeszcze i później usiłowania, ażeby go do pisania namówić, ale bez skutku. Przekonawszy się w końcu, że jego uporu nie przeprze, postanowił spisywać sobie jego uwagi i zdania, chociaż się z nimi czasem nie zgadzał. I wykonał istotnie ten zamiar: ale Prandota nie miał żadnego zmysłu literackiego, — notatki swoje spisywał dorywczo i urywkowo, w jednych z nich niemasz początku a drugim końca brakuje, są rzuty myśli częstokroć zajmujące, ale niedostatecznie upowodowane, najczęściej niemasz pomiędzy nimi żadnego związku, — i zostawił je w takim nieładzie, że niepodobna utworzyć z nich żadnej całości. Go się z nich wybrać dało, może tylko posłużyć do uzupełnienia umysłowego usposobienia tego, bądź cobądź, niecodziennego człowieka.

*

* *

Dnia 24 Grudnia Zaklika był bardzo smutny i przygnębiony. Zawiadomiwszy Prandotę wczas popołudniu

Zaklika. T. Ul.

17

o tera, że kazał wiliję zgotować, na którą wszystkich swych domowników zaprosił, rzekł do niego na samym wstępie;

— Są pewne dni w roku, w których osamotniony ojciec rodziny czuje swoją samotność daleko boleśniej niż kiedykolwiek...

Prandota zabrał zaraz głos i chciał mu mówić o jego dzieciach, ale on mu przerwał i rzekł sucho:

Życzę z całego serca, ażeby byli szczęśliwi, a jak mają swoje życie urządzić, to im zostawiłem i tobie.

Prandota umilkł a on się zamyślił na chwilę a potem tak mówił:

— Każdy urok jest czystem złudzeniem, ale kiedy ludzie otrzeźwieją do tego stopnia, że już nic dla nich nie będzie miało żadnego uroku, niewiele szczęścia będzie na świecie. Nasz romantyzm miał w sobie wszystko w zarodzie, czego potrzeba do uszczęśliwienia narodu, powinien być tylko te zarody z niektórych naleciałości oczyścić, do dojrzałości rozwinąć i w życie wprowadzić: ale to mu się nie udało. Po roku ,1848 byliśmy już na tej drodze. I gdybyśmy byli na niej wytrwali, to we dwa pokolenia bylibyśmy się tak dalece wzmocnili, że bylibyśmy naszym własnym ciężarem naszych wrogów zmusili do przyznania nam jakiegoś znaczenia — a od takiego punktu już niedaleko da odzyskania własnego bytu. Ale nie podobało się Bogu! Nasza praca organiczna, chociaż już tak wielkie zrobiła postępy, dzięki napływowi nierozważnych żywiołów a brakowi rozważnych, zaczęła się niebawem zamieniać w organizującą — a tak wkrótce znaleźliśmy się na pochyłości, na której koócu przepaść ziewała. Nie mieliśmy ludzi dosyć rozumnych, ażeby tę przepaść dojrzeć zdaleka — a natomiast mieliśmy dużo ideologów, którzy zboczenia romanty-

czne wzięli za jego treść i mieli dosyć energii, aby je w życie wprowadzić. Ster dostał się w ręce ideologów — i wpadliśmy w przepaść. W całej historii nie masz przykładu takiego samobójstwa narodu. Ale stało się. Świat poszedł odtąd całkiem innymi torami. Pomiędzy temi torami, my, którzyśmy chcieli zachowania naszej tradycyjnej idei i jej powolnego, ale niepowstrzymanego rozwoju wolnomyślnymi środkami, nie mamy drogi przed sobą. Szczęśliwi ci, co pomarli. My jesteśmy trupami, chociaż się jeszcze w nas rusza iskierka życia. Z jednej i z drugiej strony świat na nas huk, jak na upiórów. Niebawem wiatr nas zwieje z tej ziemi i prochy nasze rozprószy — i nic z nas nie zostanie. Ty jesteś pasterzem dusz i twoje życie przynosi biednym ludziom pożytek: ale dlaczego ja jeszcze żyję na świecie? dlaczego ciało moje nie leży już w podziemiach grobowej kaplicy? Nasz Bóg miłosierny jest czasem nielitościwy dla ludzi...

Kiedy to mówił Zaklika, był prawie przerażającym. Na taką rozpacz bardzo trudno znaleźć skuteczne lekarstwo. Ale Prandota, który go znał i wiedział, że jego rozpacz stąd głównie pochodzi, że jego nadzieje i myśli zbawienia narodu się przed nim zamknęły na zawsze, uderzył w tę strunę i rzekł:

— Bóg wie, co robi. Niejedno ziarno, które stratowały obłądy czasu, kiełkowało przez długie wieki pod ziemią a potem zeszło trawką zieloną. Ziemią dla myśli ludzkiej jest pierś ludzkości. Każda myśl płodna zlewa się ze strumieniem kultury ogólnej i w swoim czasie owoc wydaje. Jak nic nie ginie w świecie materii, tak samo powinniśmy się spodziewać, że nic nie ginie w świecie ducha. Myśl nasza wróci jeszcze kiedyś do życia...

Na to Zaklika spojrział trochę pogodniej, ale z ironicznym uśmiechem na niego i odpowiedział mu krótko:

— Być to może, że nasze myśli, chociaż zapewne w innych formach i w innych warunkach, wrócą jeszcze kiedyś do życia, ale cóż nam z tego, kiedy my o tem nic wiedzieć nie będziemy. Ja niegdyś pobiełem materialistyczne wywody starego Balcera o śmiertelności wszystkiego, co żyje na ziemi, ale zrobiłem to tylko dlatego, że ta jego mowa, powiedziana w obec kobiet i młodych ludzi, była gorsząca; wszakże kiedy o tem myślę dla siebie, to trudno mi wierzyć w te religijne fantazje.

Usłyszawszy te słowa, Prandota się Zakliki przestraszył. Jako kapłan szczerze wierzący miał to wrażenie, że piekło przed nim się otworzyło i już widział Zaklikę lecącego w tę przepaść bezdenną, w której widać tylko wiecznie gorejące płomienie i słychać jęki skwirzących w tym ogniu grzeszników. Nad tą przepaścią wznoszą się do góry czarne kopcące dymy, wijąc się jak gdyby węże olbrzymie w diabelskich skrętach i zwrotach; zdało mu się nawet, jakoby uczuł zapach płonącej siarki i smoły...

Ale zastanowiwszy się chwilę, nie mógł przypuścić, ażeby Zaklika odpadł zupełnie od wiary i był przekonany, że mówi tak tylko w chwilowem rozgorczeniu.

Wiedząc prócz tego, że zgromiwszy go za to, wy w o-• łałby tylko spór namiętny a bezskuteczny, odpowiedział spokojnie:

— Gdybyś mi powiedział, że dusza ludzka po śmierci % ciała przechodzi przez jakieś wielkie prace i wielkie cierpienia, zgoła przez jakieś wielkie rewolucje, o których my nie mamy wyobrażenia, nim się dobieje wiecznego spokoju, tobym się temu nie dziwił, bo leży to w naturze każdego

myślącego człowieka, że usiłuje odgadnąć szczegóły tych tajemnic, które Objawienie zakryło przed nami nieprzedartą zasłoną: ale ażeby człowiek ukształcony i dobrej woli odrzucił na starość treść wiary, której błogich wpływów sam doznawał przez całe życie...

Tu Zaklika mu przerwał i rzekł sucho:

— Trudno o tem rozmawiać z xiędzem.

A wtem dano znać, że wieczerza na stole.

* * '

*

Odtąd Prandota miał oko na niego, bo się obawiał, ażeby nie popadł w tę czarną melancholiję, która przyćmiewa umysł człowieka i pozostawia go w wiecznych ciemnościach na całe życie. Ale postanowił sobie nie wdawać się z nim w żadne spory, bo go znał i wiedział, że czego ten człowiek nie znajdzie w samym sobie, tego nikt weń nie włoży. Jednak nie rozpaczał o jego przyszłości i w dzień Bożego Narodzenia napisał sobie o nim taką notatkę:

— Coś człowiek dziedziczy po swoich rodzicach, czegoś nabywa z wychowaniem, ale właściwą treść swojej natury ma z urodzenia. Każdy człowiek się rodzi optymistą lub pesymistą, on w swoim gruncie zawsze był optymistą i w optymizmie utwierdziło go jego wychowanie, mam zatem w Bogu nadzieję, że sam się obaczy

Taką wiedziony nadzieją, starał się tylko o to, ażeby jego przyjaciel miał jaknajwięcej rozrywki. Tymczasem ta rozrywka zdarzyła się sama z siebie, bo Zaklika od Bożego Narodzenia aż do Trzech Króli zajmował się swoimi ludźmi, usiłując każdemu z nich te dnie rozweselić. Załatwiał sam z nimi roczne rachunki i każdemu z nich coś darował,

wypytywał ich, gdzie którego z nich coś boli, i starał się mu te bole osłodzić. Zajęcia te jego zachmurzony umysł trochę wypogodziły a nawet mu do pewnego stopnia dawny humor wróciły. Wówczas też wieczorami czytywał tylko lekką literaturę a chociaż jej utwory nie odpowiadały jego smakowi, jednak nie bardzo na nie się chmurzył i tylko lekko je krytykował. Prandota rad słuchał tych krytyk, bo w nich odzywały się jego dawne zapatrywania, w nich niejako znajdował znowu sam siebie.

Dnia 8 Stycznia powiedział Prandocie:

— Ta literatura naturalistyczna sprawia na mnie takie wrażenie, jak gdyby poezya, w postaci pięknej i świetnie ubranej kobiety, spadła ze swego rydwanu w błoto i przypadli do niej jacyś nieznani ludzie i zaczęli jej członki obnażać. Naturalnie, że gawieź tłumnie się zbiegła, aby to widzieć, i tych bezwstydników obsypała oklaskami. Szkoda stąd wielka, bo smak czytającego ogółu został zepsuty na długo: ale ja się spodziewam, że przyjdą niebawem poważni ludzie i tę gawieź rospędzą a obaloną kobietę na powrót na jej rydwan wysadzą. Zdaje mi się nawet, że tacy ludzie już się zaczynają pojawiać...

Dnia 15 Stycznia snuł dalej te same myśli i mówił w ten sens:

— Ci belletryści ze swoją psychologią, anatomizującą duszę człowieka, zaczynają mnie nudzić. W ich pismach znajdują się zajmujące szczegóły, ale to wszystko nie ma żadnej filozoficznej podstawy. Ich spostrzeżenia są to produkty samych zmysłów — a zmysły są przecież tylko narzędziami istoty człowieka a nie samą jego istotą. Ta jego istota wie owszem, że mogłaby mieć więcej zmysłów, ale ich nie ma — a już to samo, że o tem wie i czuje ich

brak, dowodzi jasno, że ona jest wyższą nad zmysły. Prócz tego, czy oni wiedzą, czym właściwie są zmysły i do jakiego stopnia przedstawiają nam prawdę? Jeżeli my naszymi zmysłami obserwujemy duszę drugiego człowieka, to spostrzegamy tylko to, jakie ten człowiek sprawia wrażenie na nasze zmysły, ale nie koniecznie to, jakim on jest w samej istocie. Gdybyśmy mieli albo bystrzejsze zmysły, albo gdybyśmy mieli ich więcej, to ten sam człowiek przedstawiłby się nam wcale inaczej. Zgoła wszystkie spostrzeżenia robione tylko samymi zmysłami nie muszą koniecznie przedstawiać prawdę — a jest wielkie podobieństwo, że w wielkiej części przedstawiają nam tylko złudzenie. Rzeczywistym, realnym i niewątpliwie istniejącym jest tylko to, co jest w nas samych, bo tego mamy jaknajzupełniejszą świadomość.

Prandota był niezmiernie uradowany tem wyznaniem i dorzucił słów kilka, aby go w tem zapatrywaniu się utwierdzić, ale on mu przerwał i mówił dalej:

— Ci nowsi materyaliści potępiłi filozofiję spekulatywną i uważają ją jako niebyłą. Jabym niemał nic przeciw temu, bo ta filozofija natworzyła niezmiernie wiele mrzonek, nie mających żadnej realnej podstawy. Ale trzeba było tylko te mrzonki potępić a nie istotę filozofii spekulatywnej w zasadzie a z nią razem to wszystko, co ona światu przyniosła. Bo naprzód położyła ona bardzo wielkie i bardzo liczne zasługi na polu wszystkich nauk ścisłych, zasługi które po wszystkie wieki zostaną — a potem, każda filozofija, jakiegokolwiek będą jej punkty wyjścia i na jakichkolwiek się będzie opierała podstawach, musi koniecznie kończyć na tem, że się stanie spekulatywną. Empiryzm i obserwacya mogą tylko materyały zgromadzić a to wszystko, co ktoś z tych materyałów wyciągnie, uporządkuje i w ja-

każ całość ułożyć, ażeby z niej prawdę wydobyć, będzie robotą spekulatywną. I właśnie w tym fakcie, że człowiek jest zdolny pracy spekulatywnej, powinniśmy znajdować najwyższą dla siebie pociechę, bo to dowodzi, że jest w nas coś, co jest wyższe nad wszystkie wrażenia i spostrzeżenia i w ogóle nad wszystko, co jest materiałem. W obec takiego faktu nie wiem zaprawdę, jak można utrzymywać, że organizm człowieka jest tylko wytworem chemicznego procesu i przeczyć, że w nim jest jakaś wyższa siła, która nad materią panuje.

Prandota tak był uszczęśliwiony tem wyznaniem Zakliki, że nazajutrz odprawił mszę świętą na podziękowanie Panu Bogu za jego pozdrowienie a notując to w swoich papierach, dodał uwagę:

— Teraz go trzeba tylko samemu sobie zostawić, jego dobra natura zwycięży

Dnia 2 Lutego Zaklika mówił w ten sens:

— Wszystkie teorye o pochodzeniu człowieka od małp, które dzisiejsi materyaliści wzięli z Darwina a potem? powyciągali z nich dalsze wnioski według swojej fantazyi, rozbijają się o dwa fakta: naprzód, że człowiek ma zdolność abstrakcyjnego myślenia, której u małp nie masz żadnego śladu, ani nawet zarodu — a powtóre, że człowiek dziedziczy duchowe nabytki po swoich przodkach i ciągle się coraz więcej rozwija duchowo, czego także nie masz śladu u zwierząt. Poodkrywano wprawdzie plemiona dzikich ludzi, które nie miały historyi i stały od wieków na jednym i tym samym punkcie umysłowego rozwoju, ale i te plemiona miały jakieś ustne tradycye a jak tylko się zetknęły z cywilizacją, to zaraz zaczęły się tak samo rozwijać jak inne. Darwin, jako twórca tej teoryi, zostanie zapomniana-

nym i pójdzie pomiędzy takich samych marzycieli jak Swedenborg i tylu innych: zostaną po nim tylko szczegóły jego nauki, ale nie sama nauka. Do tego muszę jeszcze dodać fakt trzeci a to ten, że w naszych snach widzimy, pojmujemy i rozważamy rzeczy takie, które we śnie nam są zupełnie jasne, ale których po obudzeniu się ani naszym umysłem, ani nawet pamięcią, uchwycić nie możemy. Pojęcia te, po obudzeniu się, nawet nie od razu znikają, tylko w miarę jak obudzona materya puszcza się w ruch. Jest to rzecz tylko kilku sekund, ale nam zupełnie świadoma. Z tej obserwacji można wysnuć cały szereg przypuszczeń a z tą bronią w rękę można bardzo dzielnie wojować z tymi, co utrzymują, że człowiek jest tylko organizmem fizycznym i nie masz w nim żadnej innej siły, prócz tych, które tworzy sama materya. Lecz przedtem trzeba by postawić i upo» wodować zasadę, że świadomość siebie nie u wszystkich ludzi jest jednakową i że jest jej cała skala, począwszy od tych dzikich ludzi, którzy się więcej kierują instynktem i nawykniem, niżeli samodzielnie rozważającym rozumem, aż do indywidualów tak potężnych siebie świadomą wolą, jak Cezar, Napoleon I i Goethe. Czy rozum ludzki do tego stopnia siebie świadomy jak u tych trzech ludzi a zresztą i wielu innych, może ze śmiercią ciała zniknąć bez śladu? Są, którzy to przypuszczają, ale mnie takie przypuszczenie na żaden sposób nie może pomieścić się w głowie... Ja pod tym względem przyznaję słuszność starożytnym narodom, które, chociaż żadnego objawienia nie miały, przecież nie mogły przypuścić, ażeby ich prorocy i bohaterowie ze śmiercią na zawsze ginęli, i zapelniały ich nieśmiertelnymi duchami swoje Olimpy. Figuralne przedstawienie tych

Olimpów jest mrzonką, ale ich myśl zasadnicza nie może być mrzonką, jak skoro jest wszystkim ludziom wrodzoną.

Tak Zaklika, wiedziony swoim optymistycznym temperamentem a głównie swoim romantycznym wychowaniem, widocznie sam szukał argumentów, któreby mógł pobić swoje własne pesymistyczne myśli, które go od kilku miesięcy trapiły — i przyjmował te argumenty bez względu na to, że w swojej obszernej wiedzy mógłby być znaleźć inne, w obec których tamteby się nie utrzymały. Jednak świadomość tego, że te drugie argumenty istnieją, bez wątpienia w nim była, 'bo dnia 25 Lutego powiedział Prandocie te słowa:

— Hippocrate dit oui, mais Gdlien dit non. Dopóki mi nie dowiodą jasno jak na dłoni, skąd się bierze i jak się wyrabia ta siła duchowa, która w nas jest i ma tak pewną świadomość siebie, dopóty ja im nie uwierzę, że nie masz w nas nic oprócz materii. A jeśli jest wątpliwość z jednej strony i z drugiej, to przecież ja wolę przechylić się na tę stronę, gdzie mi się dalsza przyszłość otwiera i już w tem życiu mnie wyżej podnosi, niżeli na tamtą, która moje wszystkie siły duchowe zabija i już za życia obraca mnie w proch...

Dnia 5 Marca, kiedy Prandota wszedł po południu do niego, zastał go czytającego jakąś książkę niemiecką, ale kiedy Zaklika go obaczył, rzucił książkę na stół z niechęcią i zawołał:

— Co oni mnie jeszcze wciąż nudzą swoją teorią o atomach! jak gdyby to była jakaś rzecz nowa. A wszakże już Leucippus tę teorię wynalazł a Demokryt na niej cały swój system zbudował. Obydwa wiedzieli już o tem, że atomy około siebie wirują, a więc musi być próżnia po

między niemi. Uderzającym jest u Demokryta pojęcie ruchu materii w ten sposób, że materia koniecznie ruszać się musi jak skoro się znajduje w próżnej przestrzeni. Stąd niedaleko mu już było do odkrycia prawa ciężkości — a przecie od niego przeszło dwa tysiące lat potrzeba było na to, aby to prawo odkryto. Tak samo i teoria o atomach dopiero po dwudziestu wiekach znalazła powszechne uznanie i stała się przedmiotem ściślejszego badania. Ale cóż z tego? Ghemija z tych badań korzysta, ale filozofija za ich przewodem nie postąpiła ani krok naprzód. Wiemy dzisiaj z pewnością, że wszystko, co się składa z materii, nawet sztaba żelaza, chociaż się nam wydaje tak jednolitą i ściłą i posiada tak wielką siłę oporu, składa się z nie-dojranych okiem atomów, które wirują około siebie, nie dotykając się wzajem: ale jakato jest ta siła, która je utrzymuje w tym wirze, o tem nie mamy najmniejszego pojęcia. Nazywamy ją siłą ciężkości, atrakcyi i odpychania, ale to nic nie tłumaczy, albowiem ta siła jest niematerialną, o tem niemasz najmniejszego wątplenia. Tak będą się robić jeszcze dalsze odkrycia, ale i te nam tej siły nie wytłuma czą. Ta siła, niewidzialna i« nieodgadniona, jest i pozostaje na zawsze czemsiś, przed czem się można tylko ukorzyć. ..

Prandota mu to zdanie potwierdził a rozumiejąc, że teraz i on się może odezwać, aby go umocnić w tych przekonaniach, zaczął sam mówić o tej sile wszechmocnej w duchu pojęć religijnych. Ale Prandota niedobrze zrobił, chcąc mu jakieś swoje pojęcia narzucić, bo tem pobudził go tylko do kontradycyji, która leżała w jego naturze: jakoż Zaklika słuchał go niecierpliwie a kiedy się znowu odezwał, to zrobił następującą uwagę:

— Ze człowiek jest zbiorowiskiem atomów, które chwilowo stanowią osobny organizm, na to z tymi filozofami trzeba się zgodzić. Ten organizm ma świadomość siebie i samowiedzę i za pomocą tej samowiedzy oddziela siebie od materii i opanowuje naturę: ten, który go stworzył, nie na to mu dał tę siłę duchową, aby ją na powrót utopił w materii. I na to zgoda. Ale czy ta samowiedza przetrwa śmierć i dekompozycję jego fizycznego organizmu, to inne pytanie. W całej naturze nie można dostrzedz idei zmartwychwstania : co ginie śmiercią, to na zawsze zginęło i jako takie nigdy już nie powstaje. Z jego szczątków tworzy się jakiś inny organizm, ale nie ten, co był. To jest prawo natury, któremu podlegają rośliny, zwierzęta a nawet planety.

Dlaczegożby człowiek miał stanowić wyjątek? Ma on wprowadzić za sobą pewien argument — a jest nim jego istota moralna, jego samowiedza. Ale i ten argument jest kruchy, bo samowiedza opiera się na pamięci, pamięć jest funkcją mózgu a żaden organizm nie może zachowywać pamięci jeszcze i wtedy, kiedy jego mózg w proch się obrócił. Jeżeli dla człowieka jest jeszcze jakieś życie za grobem, to jest to coś całkiem innego, niżeli to, co wy nam obiecujecie a co, prawdę mówiąc, nawet nie wiem skądęście wzięli...

Na tę uwagę Prandocie się kłiwo zrobiło. Nie będąc w ścisłych naukach tak biegłym jak on, uczuł się w obec niego bezbronnym. Dopiero teraz spostrzegł, że się niepotrzebnie odezwał, chcąc mu dostarczyć broni ze swego własnego arsenału, w którym on widzi tylko bardzo piękne starożytności, ale nie znajduje tej wydoskonalonej broni, jaką z dzisiejszym światem walczyć potrzeba. Powiedział sobie zatem powtórnie, że lepiej go zostawić samemu sobie

i raczej zadowolić się tem, że treść objawionej nauki w nim znowu odżyje, niżeli koniecznie obstawać przy tem, ażeby także przyjął jej formy. I miał w tem słuszność zupełną, bo już dnia 15 Marca zrobił ze swojej rozmowy z nim następującą notatkę:

— Zasada ateistyczna, — mówił dnia tego Zaklika, — jako podstawa filozofii teoretycznej a tem mniej jeszcze praktycznej, nie da się utrzymać, choćby tylko dlatego, że człowiek nie może sobie czegoś wyobrazić, co nie ma początku. Byt wieczny wszechświata nauka nam dosyć jasno tłumaczy. Jak skoro przypuścimy, że materya, która się składa z atomów, nie może uleżeć zniszczeniu, co zdaje się być logicznem, to łatwo sobie wyobrazimy cały mechanizm wszechświata. Mechanizm ten polega na nieu tajacem ros praszaniu się i również nieustajacem skupianiu się atomów, jest to stan nieustających ewolucyi: jedne organizmy ros- prószają się a drugie się tworzą - a ponieważ te ewolucye odbywają się w wszechświecie tylko miejscowo i czasowo, więc mogą trwać wiecznie. Jest to dość jasne pojęcie wieczności, chociaż i tutaj jest miejsce na przypuszczenie, że ta siła, chociaż, nie-materyajna, która ten ruch utrzymuje, mogłaby także kiedyś ustać albo zmienić swoje kierunki i cele. Ale tego, że nigdy nie było początku tego Wszechświata i jego ruchu, nie możemy sobie na żaden sposób wyobrazić. Nawet teoretyczna możebność tej idei jest dla naszego rozumu nieuchwytną. Pozostaje nam zatem tylko przypuszczenie jakiejś wszechmocnej potęgi, której wieczna przyszłość jest nam pojętną, ale o której przeszłości nie możemy sobie zrobić naszym rozumem nawet najciemniejszego pojęcia. Jednak zawsze tę siłę uznać musimy, bo ją widzimy we wszystkich objawach całego świata. Religija

każe nain wierzyć w jej istnienie, najnowsza filozofija jej bytu nie zaprzecza, ale najważniejszym jest to, że ta wiara i to przekonanie istnieją w nas samych, bo są nam wrodzone. O co więc idzie, ażeby się z temi tajemnicami raz na zawsze uporać? Najlepszy środek na to podaje nam nasz własny rozum, który nam zakazuje sięgać poza granice jego własnej władzy: zaczem podobno najlepiej zrobimy, jeżeli naszym rozumem tylko to badać będziemy, co zbadać możemy — a zresztą poprzestaniemy na wierze w to, w co nam każe wierzyć religija a czemu zdrowa nauka nie przeczy.

Prandota przekonał się teraz, jak dobrze zrobił, że go zostawił samemu sobie. Odtąd Zaklika pozostał już na tej drodze, chociaż czasem jeszcze bryzgnął jakimś takim zdaniem, którego kapłan nie mógł na żaden sposób pochwalić a mógł mu je tylko przebaczyć.

Dnia 20 Marca mówił w ten sens:

— Ja jestem zdania, że czego nas uczy katechizm o niebie i piekle, to wszystko prawda: tylko do tego nie potrzeba ani zmartwychwstania ciałem, ani ostatecznego sądu na dolinie Jozafata. "Piekło" Dantego jest straszliwie pięknym poematem, może najpiękniejszym ze wszystkich, jakie stworzyli poeci całego świata, ale jego postać, tak jak on ją nam wymalował, jest prostą niedorzecznością: dowodzi to tylko, do jakiego stopnia poezya nie potrzebuje troszczyć się o to, co o jej ideach krytyczny rozum powiada. Takie piekło jest ani możebne, ani nawet potrzebne. Dusza ludzka po śmierci ciała ulega prawu, które samo na niej się wykonywa, tak jak lekkie piórko ulatuje w górę a ciężki kamień spada na ziemię, albo jak każde ciało fizyczne, przeniesione w inne warunki bytu, ulega che

micznemu działaniu według swych właściwości. W świecie duchowym jest także jakieś prawo ciężkości, chociaż my go nie znamy: możemy sobie wszelako zrobić o niem pewne wyobrażenie, patrząc na sądy opinii publicznej na ziemi, w których moralna istota wybitnych ludzi raz się w górę podnosi, to znowu na dół opada. Jest to przecież także świat duchowy, tylko że opinia tutejsza czasem się myli a ta opinia, która rządzi wszechświatem, jest nieomylną, bo jest najwyższem i niewzruszonym prawem moralnym. Dusza ludzka, po śmierci ciała, zrębi tę ewolucję, do której się usposobiła w ciągu swojego życia na ziemi. Ażeby dusza skutki tej ewolucji uczuła, nie potrzebuje wcale przybierać ciała, bo zdolność czucia może w niej pozostać bez ciała, tak jak człowiek czuje ból w nodze, którą mu dawno odjęto. Z tego punktu widzenia, kto ma dosyć subtelną imaginację, może sobie łatwo wyobrazić, jak to jest na tamtym świecie...

Prandota bardzo się tem uradował, że on nareszcie i wiarę w nieśmiertelność duszy w sobie obudził, ale przecież nie mógł się przewyciężyć i zrobił mu małą uwagę, mówiąc:

— Ale że nie wszyscy ludzie mają tak subtelną imaginację, więc lepiej zostawić ich przy tem, co nam przynio - sło objawienie, bo to jest pozytywne a oprócz tego tak łatwe do pojęcia, że każde dziecko je pojmie.

— Ja też nikomu jego wiary nie odbieram, odpowiedział mu na to Zaklika, — ani nawet moją egzegetyką jej zasadniczych pojęć nie tykam. Rzecz zostawiam tę samą, tylko inną nadaję jej formę, bo ta jest zgodniejsza z moim rozumem. I wierz mi, że ta forma, choćby nawet powszechnie została przyjętą, nie robi nikomu nic złego, bo prze-

% '.wv

cięż nasze pojęcia o tamtym świecie bardzo znacznie rozszerza. Chrystus wykladał swoją naukę ubogim i nieukształconym rybakom i dla tego nadał jej takie formy, aby go zrozumieli: a czy ty wiesz, w jakich formachby mówił, gdyby się dziś objawił pomiędzy nami?

Prandota milczał. Zaklika po chwili mówił dalej: —• Jakoż dopiero ze stanowiska takiego pojęcia jasno widzimy, jak nędznymi my na tej ziemi jesteśmy mrówkami i jak dalece nam przystoi pokora.

Bo co to za byt niskiego rzędu, gdzie człowiek mający w sobie cząstkę samoistną wiecznego ducha, może istnieć tylko na jednym punkcie ściśle określonym fizycznie i kiedy jest w Zaklikowie, nie może być w Warszawie, nawet jak jest w pałacu, nie może być na folwarku. A przecie jego duch, który się tak łatwo i w oka mgnieniu przenosi na słońce albo na drogę mleczną a nawet na najodleglejsze mgławice, wskazuje mu, że mógłby mieć taki byt, aby jednocześnie był wszędzie. I taki byt jest jego przyszłością. Toż i ja powiem jak stary Balcer, chociaż całkiem z innego punktu widzenia: Życie to więzienie, śmierć to wolność. Jakże małą i śmieszną jest w nas obawa śmierci!

Dnia następnego Zaklika mówił, w innej formie, ale w tym samym kierunku:

— Od końca XVIII wieku ludzkość się spodziewała, że ściśle nauki a mianowicie te, które są oparte na metodzie experimentalnej, przyczyniają się znacznie do jej rozwoju w duchu moralnym. Ale te wszystkie nauki przyniosły nam tylko gorzkie i upokarzające zawody. Z astronomii dowiedzieliśmy się, że nasza ziemia jest tak drobniutkim pyłkiem w wszechświecie, że nawet nie można jej porównać do ziarenka piasku. O naszych sąsiednich planetach

prawie nic nie wiemy, bo jedne giną dla naszego oka w blasku słonecznym a drugie w ciemnościach — a jeżeli coś wiemy o Marsie, to tylko tyle, że ludzie, którzy na nim mieszkają, są daleko wyższej od nas inteligencji. Krążymy około jakiegoś słońca, które oczywiście się już dopala, bo jego światło jest czerwone, podczas kiedy widzimy inne słońca, których światło jest białe. Nasze słońce jest milion razy mniejsze od Syryusza, jest ono zatem także tylko jakąś drobnutką iskierką w wszechświecie. A jakie tam jeszcze dalej muszą być słońca i jakie światy! Ze względu zatem na nasze miejsce pobytu, na naszą ziemię razem z jej systemem słonecznym, jesteśmy niczem: mieszkamy w jakimś bardzo ciasnym kąciku, jak ubogi wyrobnik na bardzo nędznej zagrodzie — a to nas przytłumia i upokarza. A inne przyrodnicze nauki, chociaż niby tak bardzo się rozwinęły, także nas nie podniosły moralnie: owszem jeszcze bardziej nas przygnębiły, bo nasz organizm fizyczny zrównały z organizmem roślin i zwierząt. W obec ścisłej nauki jesteśmy takim samym wytworem natury, składającym się z samej materii, jak one. Myśleliśmy, że mamy wolę, ale te nauki nas nauczyły, że jest to czyste złudzenie, bo człowiek ulega prawom fatalnym i jest tylko bezwiednym narzędziem swojego mechanizmu, który wszystkie swoje zalety i wady odziedziczył po swoich rodzicach. Rozumieliśmy dotąd, że mamy duszę, jedną jedyną i mającą zupełną świadomość siebie: z tych nauk dowiadujemy się, że mamy dwie dusze zupełnie niezależne od siebie i każda z nich działa w nas, nie jak jej się podoba, tylko tak, jak z rozkazu tych praw fatalnych działać musi. Według tych nauk zatem już nikt nie jest odpowiedzialnym za swoje uczynki. Ale co gorsza, dawni materyaliści utrzymywali, że nic nie jest ani bezwzględ-

Zaklika. T. III. 18

IIISIIIIII

dnie dobre, ani bezwzględnie złe, tylko się tak albo owak przedstawia w danych okolicznościach: a nowsi postawili zasadę, że nawet dobre uczynki nie są żadną zasługą, bo spełniamy je tylko z egoizmu, to jest dlatego, że w nich znajdujemy nasze własne zadowolenie. Ta ludzka nauka jest nielitościwie nieludzką — i może tylko zabić wszelką moralność. Ale, na szczęście, moralności żadna nauka ludzka zabić nie zdoła, bo ona jest w nas samych i jest nam wrodzoną z woli Tego, który nas stworzył...

Dnia ostatniego Marca powiedział Prandocie co następuje :

— Ja przez całe życie moje zastanawiałem się nad temi zagadnieniami, ale żyłem wciąż w rostargnieniu. Czasem się czemsiś cieszyłem, częściej gniewałem się na to i owo, nieraz porywało mnie oburzenie, przekonania moje wylatywały ze mnie nietylko instynktowo a często nawet tylko według chwilowego humoru: ale teraz, kiedy nie mam już rostargnienia, zsumowałem sobie moje wszystkie myśli z całego życia i przyszedłem do pewnego rezultatu, który stanowi mój własny duchowy majątek. I tak tobie powia-' dam, Prandoto, że wszystkie nasze nauki w gruncie rzeczy nas niczego nie uczą. Pochłonawszy całe biblioteki książek, wiemy właściwie tyle, ileśmy wiedzieli, kiedyśmy nad pierwszą książką myśleć zaczęli. Książki są pożyteczne, ale tylko na to, abyśmy to, co jest w nas samych a co w swoim zarodzie zawsze jest dobre, mogli umiejętnie dalej rozwijać i tak na nasz własny pożytek, jak na pożytek naszych bliźnich obracać. Najrozumniejsze książki nie włożą w nas żadnego takiego zarodu, którego w nas nie włożyła natura. Tylko rozwijając te przecucia dalej, któreśmy w sobie na świat przynieśli, przychodzimy do zdrowego pojęcia o tem,

i służy jednym tylko za rozrywkę a innym za pokrywkę ich zwykłych, częstokroć niebardzo znacznych uczynków; ta nić, wiem o tem dobrze, jest tylko skąpą jałmużną, dawaną najwięcej cierpiącym, a nie wymiarem sprawiedliwości dla wszystkich cierpiących: ale mimo to wszystko jest ona już dziś bardzo wspaniałą rzeką, po której płynie łódź Chrystusowa, a na tej łodzi wjeżdża znów między ludzkość miłość bliźniego. Tylko ludzie krótkowidzący poddają się ros paczy dlatego, że widzą około siebie brzydkie objawy tej albo owej nowej idei; ale ci, co umieją się podnieść nad terażniejszość i sięgnąć wzrokiem cokolwiek dalej, dlatego nie będą rozpaczać, bo widzą, że to są objawy przemijające a ludzkość idzie prostą drogą do swoich dalszych celów, które są dobre.

To, co siedziało na gruncie serca Zakliki, jego romantyczny optymizm, zaczęło się teraz, im więcej się uspakajał, coraz jawniej zeń wydobywać. Na dniu 15 kwietnia spisał Prandota z jego rozmowy następującą notatkę:

~ Przeszłego lata powiedziałem raz Balcerowi, — mówił dnia tego Zaklika, że socjalizm jest tylko zastosowaniem demokratycznej zasady do kwestji codziennego chleba i na tem przestałem, bo mając przed sobą zaślepionego fanatyka tej idei, tylko z tego ciasnego punktu widzenia mogłem go pobić! Ale ja o socyalizmie całkiem inne mam rozumienie. Socyalizm tylko dziś i tylko na pozór walczy o chleb codzienny, ale on w swojej rdzennej istocie duchowej ma cele, które sięgają daleko dalej. Nie mówię-tu o tej niedorzecznej formułce tworzenia czwartego stanu, którą jakiś człowiek płytko myślący wynalazł a massa bezmyślna za nim powtarza: jak można chcieć tworzyć czwarty stan tam, gdzie tamte trzy już nie istnieją? Jego

koniecznie jakiegoś zajęcia, zajmował się obecnym stanem i dążeniami ludzkości.

Dnia 5 Kwietnia tak mówił:

— Chrześcijańska moralność jest moralnością wszystkich wieków i będzie nią aż do skończenia świata.

Czy ci mają słuszość, co utrzymują, że chrześcijaństwo jest religią, która ma swoją naukę moralną, czy ci drudzy, co sądzą, że jest tylko nauka moralna, która się stała religią, o to się sprzeczać nie będę. Zrobię wszakże uwagę, że musi to być nauka moralna niezwyklej miary, jeżeli się stała religią — a zarazem punktem wyjścia i główną podstawą cywilizacji, która od dwudziestu wieków wciąż się rozwija i góruje nad wszystkimi innymi. Z chrześcijańskiej religii wywinęło się mnóstwo filozoficznych systemów, ale żaden system filozoficzny nie stworzył żadnej religii. Musi to być zatem coś więcej, niżeli wytwór ducha ludzkości, stukającej prawd wiecznych. I jeżeli chrześcijaństwo może się dzisiaj już obejść bez naukowych wywodów a może także odrzucić mistycyzm, cudowność i tę całą retorykę, którą w średnich wiekach się posługiwał, bo jego byt już bez tego jest zabezpieczony na wieki wieków, to w tym także leży dowód, że temu wytworowi ducha ludzkości towarzyszyła jakaś wyższa opieka a w każdym razie, że ludzkość miała w sobie samej jego wszystkie zarody. Jakoż pomimo największych wysiłków jemu przeciwnych rozumów ludzkich krytyka potrafiła tylko podkopać jego legendy, ale żaden system filozoficzny nie zdołał obalić jego treści i odtąd, mimo częstokroć przeciwnych pozorów, żadna moc ludzka jej nie obali. Filozofowie, na przyrodniczych naukach oparci, będą zawsze od czasu do czasu wystawiać przeciw niej swoje własne teorie, mniej albo więcej ukształ-

cone, części ogółu będą te teorie przyjmować, mogą przyjść takie epoki, gdzie całe masy ludzkości popadną w ateizm i materializm: ale jak próżnię obaczą przed sobą, jak zajrzą w głąb tej czarnej otchłani, na której dnie siedzi przerażająca nicość a którą przed nimi otworzy obrona z ducha materya, to się przestraszą i szukać będą, gdzieby oparli swe głowy, które ich ponad materię wynoszą, gdzieby oparli swe serca, w których ludzkie się tworzą uczucia, i gdzieby oparli swe ręce, które są nietylko na to stworzone, ażeby zarabiały na chleb codzienny... A wtedy wrócą do ewangelii. I wyjmą z niej jej treść, jej ducha, jej złote ziarno, które się zawiera w tych słowach: "Kochaj twego bliźniego, jak siebie samego" i na tych słowach oprą wszystkie swe myśli i wszystkie swe czyny — i na ich podstawie rozwiążą wszystkie swe spory socjalne...

Tu myślał przez chwilę a potem mówił dalej, jak gdyby ze snu się zbudził:

— Ja w to wierzę, jak w prawdę niezbitą. I ażaliż ty nie widzisz, Prandoto, że ten strach przed wieczną nicością już dziś zdejmuję wielu ludzi myślących i że między samymi materialistami są rozumy skądinąd wcale niezwykle, które zaczynają popadać w mistycyzm? Owóż mistycyzm był zawsze przedśionkiem do wiary w jakąś siłę nad - przyrodzoną: jest on w świecie ducha jak gdyby jakąś mgłą przedstworzoną, w której prędzej lub później głos jakiś zawoła: Stań się! Ażalisz ty oprócz tego nie widzisz, że wśród zgiełku mas zmaterializowanych i goniących tylko za codziennym kawałkiem chleba, ciągnie się i wciąż się szerzej rozwija świetlana nić dobroczynności dla tych, co cierpią? Ta nić snuje się cicho, bez rozgłosu, bez samochwalstwa, bez wrzawy; ta nić, jest często tylko konwencyonalną

czem właściwie jesteśmy, a zarazem do przekonania, że w całym wszechświecie nic nie jest wielkiem i nic nie jest małym, fizyczne rozmiary przedmiotów są tylko formą, w których one się przedstawiają naszemu oku, we wszystkim, co jest, żyje cząstka tej wszechmocnej potęgi, która rządzi tym światem, a tylko świadomość swojego istnienia stanowi pomiędzy tworam natury różnicę. To przekonanie, chociaż jesteśmy tak nędzni i mali, nie upokarza nas, ale podnosi. Ten co nas stworzył, dobrze nas uposażył: nie jego, ale nasza to wina, jeżelibyśmy zmarnowali ten posąg, albo go na złe użyli...

Na to Prandota spojrział na niego z wypogodzoną twarzą i rzekł:

— Ależ to wszystko w katechizmie już stoi.

A wtedy Zaklika w głos się roześmiał i zawołał:

— Masz rację. Pierwszą książką, której się uczymy na pamięć, jest katechizm; zacząwszy myśleć samodzielnie, porzucamy i błąkamy się przez całe życie po świecie sprzeczności i zwątpień: ale jeżeliśmy się obalamucić nie dali, o w końcu nazad do niego wracamy. ✓ * #

*

Odtąd Zaklika był już spokojny i cichy jak woda stojąca.

Nie dotykał już nigdy tych zawitych zagadnień, których rozum ludzki rozwiązać nie może; nie tykał także spraw polskich, bo na tem polu nie umiał sobie otworzyć jaśniejszych widoków, których jego dusza instynktowo szukała: natomiast zaś, ile że jego żywy umysł potrzebował

18*

cele są jeszcze dalsze. My ich dziś jeszcze w całości nie znamy, bo nam je zasłaniają jego teraźniejsze, często wcale potworne objawy, ale one są i człowiek głębiej myślący dobrze je widzi. Każdy zresztą może je łatwo obaczyć, tylko nie powinien się tem bałamucić, co jego oczy dziś widzą. Już nasz Mochnacki powiedział, że najwspanialszym fenomenem w życiu ludzkości jest rodzenie się nowej idei — i tak jest w samej istocie: tylko trzeba dodać do tego, że każdemu takiemu porodowi, jeżeli go w jego materialnej postaci weźmiemy na oko, towarzyszą zazwyczaj brzydkie a często wcale wstrętne objawy. Takie jest prawo natury. Człowiek, najpiękniejsze stworzenie Boże, także w takich samych warunkach się rodzi: nowo-narodzone dziecko, ła» dnje umyte i złożone w kołysce, jest śliczne, ale od matki leżącej w połogu, ktokolwiek ma serce i estetyczne uczucie, odwraca' oczy i uszy. Pierwszy krzyk nowo narodzonego dziecięcia, sprawia na nas podniosłe i tak budujące wrażenie, jak gdyby się stał w naszych oczach cud Boży: ale na krzyk matki leżącej w połogu trzęsą się nam samym wnętrzości i włosy nam wstają -na głowie. Nawet samo zapłon dnienie, . mianowicie w świecie zwierzęcym, chociaż samo w sobie także jest tajemnicą natury, naszej słabej wiedzy imponującą i nie ma w sobie nic estetycznie , pięknego: ale miłość, która je poprzedziła, jest piękną.. We wszystkim* co się odbywa według praw natury, są analogije* bo duch tych praw jest wszędzie ten &am. Pierwsze pomysły socya* lizmu były poetycznie piękne a nawet odzywały się w nich ewangeliczne idee. Teraz odbywa się zapłodnienie: namię* tne porywy^ które • je wypełniają, nie mają w sobie nic pięknego, często są wstrętne a nawet oburzające. Jak w człowieku,-rozpalonym-miłością, w chwili, kiedy

swe chuci chce zadowolnić, nie widać wcale miłości, tylko fizyczną żądzę, której w razie oporu towarzyszą nawet częstokroć występki i zbrodnie, tak i w dzisiejszych apostołach socjalizmu nie masz jego pierwotnej miłości a widzimy w nich tylko żądze, które ich także niejednokrotnie prowadzą do zbrodni. A jak kiedyś poród nastąpi, to cały świat krwią się zaleje — a kto wtedy żyć będzie, obaczy takie same objawy, jak u kobiety w porożu, tylko na kolosalne rozmiary, bo wtedy nie kobieta rodzić będzie, tylko cała ludzkość rozedrze swoje wnętrze i wyda z nich nowe pokolenie, które się składać będzie z milionów. Ja mam, tak samo jak wszyscy, wstręt nieprzeparty przeciwko tym ludziom, którzy dynamitem wojują i kwas pruski noszą przy sobie, ale ich istnienie biorę jako konieczność a ich roboty jako jedną z tych epok przejścia, których jeszcze wiele będzie następować po sobie, ale które się skończą zaprowadzeniem nowego porządku świata. Form tego porządku nikt z nas dziś nie odgadnie, ale to już teraz możemy przewidzieć, że porządek ten materialnie będzie opierać się na tym, że wszyscy będą okryci i syci. Będzie on jednak także mieć swoją istotę mbralną — a ta istota nie będzie się mogła opierać na innej zasadzie, jak tylko na Chrystusowej Miłości bliźniego. Niech oni sobie prowadzą swoje przyrodnicze nauki jak chcą, niech z nich wyciągną tyle nieludzkich teorii, ile im się podoba, niechaj sobie natworzą tyle ateistycznych i materialistycznych systemów, na ile im ich rozumów wystarczy: przecież w końcu będą musieli przyjść do tego przekonania, że rozum bez cnoty jest głupi a celem tej mądrości, której zdolnymi nas uczyniła natura, tylko to jedno być może, abyśmy się tak urządzili, ażeby wszystkim było dobrze na świecie. Nawet gdyby przyszło

do tego, żeby wszyscy ludzie przestali wierzyć w przyszłe życie za grobem, to wtedy jeszcze tem pewniej postarają się o to, ażeby im jaknajlepiej było już tutaj na ziemi. Oni jeszcze długo bić się będą ze sobą, ci o kawałek chleba, drudzy o swoje idee, będą walki na noże i wielkie bitwy na działa, straszna wojna wybuchnie i całą ziemię krwią ludzką zaleje: lecz w końcu wszyscy będą pobici — a Chrystus zwycięży. Zwycięży owemi dwoma słowami swojej nauki, które treść jej stanowią. A jak pokój nastąpi i wszyscy będą zadowoleni i ludzie nie będą już potrzebowali bić się pomiędzy sobą o formy rządu, o władzę, o strawę codzienną: to dopiero wtedy nastąpi prawdziwy rozwój duchowy ludzkości. I zstąpi wówczas to Królestwo Boże na ziemię, o którym mówi nam Pismo — i będzie jeden pasterz i jedna owczarnia a pasterzem jej będzie duch tego Pisma. A w tej owczarni i dla nas jakieś miejsce się znajdzie, jeżeli jeszcze wtedy żyć będziemy na świecie*..

To była ostatnia z notatek Prandoty, przedstawiająca jakiegokolwiek zajęcie: wszystkie inne są albo niezrozumiałe, albo zawierają uwagi nad naukami ścisłymi, które nie mogą nikogo zajmować. ✓

* * ◆

Pod koniec kwietnia młody Nurek powrócił do Zaklikowa ze swojej wędrówki po Niemczech. Ażeby sobie zapewnić pracę i wyżywienie w obczyźnie, zawarł sześciomiesięczny kontrakt w jakiejś fabryce w Magdeburgu: dowiedział się wprawdzie, że Zaklika zmartwychwstał i wrócił, wtedy i on także byłby rad wrócił do domu, ale nie mógł się uwolnić z powodu zawartego kontraktu.

Teraz wrócił nareszcie. Zabawiwszy kilka godzin u ojca, do którego zaszedł najpierwej, już przed południem przyszedł do dworu i przedstawił się naprzód swemu dawnemu panu, od którego jest po ojcowsku przyjęty i zaproszony na powrót do dawnej służby. Całe popołudnie aż do wieczora przesiedział pomiędzy dworską służbą na folwarku, rozmawiał z wszystkimi i wypytywał się ciekawie o wszystko, co się tu działo podczas jego nieobecności. Zaś wieczorem, kiedy już słońce zaszło i kiedy mu to wszy - stko tak w głowie szumiało, jak w jakiej wielkiej fabryce, gdzie ciągle świszczą maszyny parowe a robotnicy tak się tłumią jedni pomiędzy drugich, że trudno się przez nich przecisnąć, siadł sobie samotnie na wielkiej werandzie pałacu, aby sobie uporządkować swe myśli.

W pałacu i na folwarku wszyscy byli zajęci, jedni pańskim obiadem a drudzy czeladną wieczerzą, więc tutaj nikt mu nie mógł przeszkadzać.

Wieczór był dziwnie ciepły, spokojny i jasny, xieżyc w pełni oblewał swem białem światłem całą ziemię dokoła, powietrze było takie przejrzyste, że widać było na koniec świata, cisza była w powietrzu a zdała zalatywała ta delikatna woń rozwijającej się zieleni i kwiatów, którą czujemy tylko z początkiem wiosny a która duszę człowieka po martwej zimie nową napęlnia nadzieją: ale Nurek był cały w sobie zamknięty, bo teraz myślał tylko o ludziach, o ich głupocie, o ich niepoczciwości, o ich występkach i zbrodniach. Jednak myślał spokojnie, bo chociaż, jeszcze tak młody, należąc do klas pracujących rękami, o .które przed innemi opierają się wszystkie^ nędze tego . świata l jego wszystkie niesprawiedliwości, był już do tego wszystkiego przyzwyczajony.":¹

Nagle się zbudził, bo ktoś wszedł na werandę: był to Prandota.

Prandota był na obiedzie w pałacu, lecz teraz szedł już do siebie, bo Zaklika wieczorem jeszcze zawsze w lekką drzemkę zapadał a chociaż na nią już nie chorował, jednak najlepiej mu było, jeżeli mu w niej nikt nie przeszkadzał.

Obaczywszy Nurka, zatrzymał się przed nim i rzekł:

— Widziałem cię tylko w przelocie i nie mogłem się z tobą rozmówić. Powiedzże mi, jak ci się powodziło na twojej wędrówce?

Nurek wstał i odpowiedział mu (z uśmiechem na twarzy):

— Ot, jak to nam zawsze. Przebyłem znowu pół roku na galerach...

— Jakto na galerach? — zawołał Prandota, przecież, jak słyszę, byłeś w jakiejś fabryce.

Nasze fabryki — rzekł na to Nurek — to są prawdziwe galery a człowiek w nich jest tak samo, jak gdyby był do ciężkich robót skazany. Prawda, że kajdan nie nosi, ale też w tem leży cała różnica, za tó jednak musi się sam starać o swe wyżywienie a na galerach go żywią. Zresztą taka sama surowość jak na galerach, nawet jeszcze i większa, bo pieniądz, co fabryką rządzi, jest Nielitościwszy niżeli dozorca więzienia. Dozorca to człowiek jak każdy inny, w nim się serce choć czasem poruszy — a pieniądz to kat. bez serca, bez duszy.

· Nie karze. swojego niewolnika kijami i kajdanami, ale karze go głodem: kiedy robotnik nie zrobi dobrze swojej roboty, to on mu jej nie zapłaci — a kiedy na czas swoją robotę zaniedba, choćby tó było z przyczyny ludzkiej, że mu żona zachorowała, albo dzieci mu zaniemogły, albo on

sam osłabł na siłach, to on go przecie na bruk wyrzuci, niech tam umiéra z głodu. A w niektórych fabrykach, kiedy robotnik robić nie chce, to i żandarm go kolbą zmusi do ^ roboty, bo rządy nie mogą na to zezwolić, aby bogatym ludziom brakowało towaru. Ot, taka-to dola nasza w tych czasach.. •

Prandota nasłuchał się od Zakliki niemało teorii so- cjalistycznych, teraz mu Nurek odsłonił ich stronę praktyczną. Ta strona praktyczna uderzyła go daleko więcej, niżeli wszystkie teorie. Ponieważ jednak nigdy temi kwe- styami się nie zajmował, bo w Polsce jest fabryk jeszcze bardzo mało i ta kwestya w tym kraju nie jest jeszcze piekącą, więc były to dla niego rzeczy tak nowe, że nie mógł się w nich znaleźć od razu. Jakoż odpowiedział mu tylko:

— Że życie robotnika jest ciężkie, tego ja ci nie przeczę, ale dlaczegóż zaraz galery! W dawniejszych wiekach robotnikom także nie było lepiej a przecież się tak nie skarżyli.

— To było całkiem co innego, — rzekł Nurek, — wtedy robotnik był rzadki a miejsca było dosyć na świecie; wtedy chleb był tani i nietrudno było go znaleźć; wtedy nareszcie robotnik był wolny i był sam panem swojego losu. Ale dzisiaj jest robotników miliony, chleb dla nich tak samo drogi jak dla ludzi bogatych i robotnicy dziś nie są wolni, bo stanowią tak wielką masę, że innym ludziom wydaje się niebezpieczną i dlatego ją wzięli w niewolę. A że ta masa jest biedną, więc"łatwo było ją opanować, a rządy jej także się boją, więc idą bogatym ludziom na pomoc z kolbami. Ale to przecie nie będzie tak

wiecznie na świecie, bo ta massa, choć biedna, przecież już do rozumu przychodzi...

Prandota nie chciał z nim dalej snuć tego przedmiotu i rzekł:

— To tam gdzieś w Niemczech nabito ci głowę ta- kiemi myślami. I może to w Niemczech tak jest, ale u nas nie ma tych rzeczy. Dobrześ zrobił, żeś wrócił, tutaj ci wywietrzeją te myśli, chociaż i u nas w czasie twojej nieobecności bardzo wiele się zmieniło. •

— Mnie się to nawet nie może pomieścić w głowie, co się tu porobiło, — rzekł Nurek, — chociaż pewnie jeszcze nie wiem wszystkiego. Dzieci pańskie w świat sobie poszły...

— Ale nie ma co na to się skarżyć, — przerwał mu Prandota, — wszystko to dobrze się ułożyło. Genia jeszcze z początkiem zapust poszła za młodego Firleja, wzięli ślub w Wiedniu i będą mieszkać przez cały rok za granicą, aby się zapomniały te awantury, przez które ta biedna dziewczyna tu przeszła. A jak powrócą, to jeszcze z jaki rok pomieszkają w Galicji.

— Jużci ona temu wszystkiemu niewinna, — rzekł mądry Nurek, — i nikt jej tego wytykać nie będzie ? A pan Ignacy? Felczer powiada, że jegomość go posłał na po- sienie.

Prandota się na to uśmiechnął, lecz rzekł poważnie:

— Pan Ignacy przesiedział sześć tygodni w Lublinie pod dozorem policji — a potem pod moim dozorem poma • szerował na Żmudź. Ale tam mu się dobrze powodzi: jest rządcą ojcowskiego majątku, a ojciec daje mu za to połowę dochodów. Z tem jeszcze także żyje sobie po pańsku i jestem pewny, że zbiera pieniądze.

— A proszę jegomości, czy on tam jeszcze banuje za panną Florą?

Prandota na to ręką machnął i rzekł:

— U młodych pamięć krótka na takie rzeczy. To, czego on szuka u kobiet, znajdzie u każdej innej. Słyszałem nawet, że już się stara o jakąś jenerałównę.

— Którą też pewnie mu dadzą, — rzekł Nurek zmyślnie, — a potem i jego sobie przyswoją, bo on i mnie nieraz powiadał, że gdyby Polacy byli mądrzy, to woleliby razem z Moskalami panować, niżeli być u nich w niewoli. A pannę Florę wziął mu półkownik?

— Wziął, ale nie tak, jak tu ludzie gadają. Flora przeszła na prawosławie, on wziął z nią ślub w swojej cerkwi i zabrał ją z sobą do Petersburga.

— Oto paskudnica! — zawołał Nurek, — nie dosyć, że tyle tu nabroiła, jeszcze się i wiary swoich ojców wyrzekła. A Balcerek zniknął gdzieś jak kamfora?

— Balcerek pojechał za nią do Petersburga, bo tam mu bezpiecznie przy szwagrze. Zapewne nieprędko tutaj powróci. Mnie to jest obojętne, ale dla ciebie to lepiej, bo gdyby tu był, to jeszczeby cię zbałamucił.

— Gdzieby on mnie tam zbałamucił! Ja się z takimi ludźmi nie wdaję. I między robotnikami są także tacy, co chcą wszystko wygwałcić, ale ja ich nie słucham, bo mnie się zdaje, że słaby mocnego do niczego zgwałcić nie może. Dużo ich jest, to prawda, ale z gołemi rękami, a ci co ich trzymają w niewoli, mają wielkie armije i dużo pieniędzy. Robo-tnicy tylko cierpliwością się mogą wydobyć z swej biedy. Jak wieków potrzeba było na to, aby się chłopcy wy-* dobyli z poddaństwa, tak i oni długo będą musieli czekać

nim sprawiedliwość i dla nich się stanie. Bez cierpliwości nie można do niczego dojść na tym świecie...

— Trwaj dalej w tych przekonaniach, — rzeki na to sentencyonalnie Prandota, — i licz przy tem na to, że tym, co będą mieli cierpliwość, Kościół przyjdzie z pomocą, który też zawsze i wszędzie się opiekuje biednymi. I gdybyście wy w tem byli jedni, że tylko Kościół, którego potęga jest wieczną, i który jest wszędzie, może was zbawić, tobyście się daleko prędzej doczekali lepszego losu, niżeli wtedy, jeżeli każdy z was będzie iść za swoim rozumem. Ja na was patrzę zdaleka, ale to dobrze widzę, że między wami jest wielkie rozdarcie, każdy gdzieś dąży a sam nie wie dokąd a wszyscy razem jeszcze także nie wiecie, czego właściwie chcecie.

—?• 0 jedność zawsze trudno pomiędzy ludźmi, — rzekł na to Nurek z westchnieniem.

A potem patrzył Prandocie w twarz z takim uśmiechem w oczach, jak gdyby mu chciał coś powiedzieć a nie śmiał.

— Powiedz, co myślisz, — rzekł do niego Prandota.

— Ja myślę o czem innym, — odpowiedział mu Nurek, — ale ja głupi, możebym powiedział co takiego, że mnie jegomość wyśmieje.

— Mów śmiało.

— Ja chciałem jegomości powiedzieć, — rzekł Nurek, — że i panowie także pomiędzy sobą nie trzymają się kupy. Ot tu, w tym małym kąciku, ile panów widziałem, każdy co innego ma w głowie. U starego pana Firleja honor idzie przed wszystkim, on nawet i swoim chłopom powiada, że wszyscy powinni postępować honorowo, a reszta się znajdzie Młody Firlej chciałby, ażeby całym światem rządili

sami panowie, bo oni wiedzą wszystko najlepiej, oni by nawet i xiędza mogli nauczyć, jak ma mszę św. odprawiać. Pan Tarło chciałby także rządzić wszystkimi, ale po francusku : onby wszystkich panów i szlachtę wydeptał i niechby ludzie miejscy rządzili i mieli chłopów za sobą. A Balcerek to jużby nawet i mieszczan i tych chłopów wydeptał, co siedzą na własnej roli, a ziemię podzieliłby między parobków. Pan Fujara zawsze śnił tylko o tem, żeby szlachta tak gęsto siedziała przy sobie jak główki maku na grzędzie a przecie żeby jej było szeroko, aby się mogła dobrze zabawić. Kański chce tylko pracy i pracy i nie chce wiedzieć

o niczem. Felczer drwi sobie z wszystkiego i mówi, że wszystko tak będzie, jak się Panu Bogu podoba. Panu Ignacemu jest wszystko na jedno, on będzie się modlić każdemu bogu i będzie mówić każdym językiem, byle mógł sobie panować. Nasz pan chciałby może najlepiej i więc on dobrze, czego nam trzeba, ale nikt nie chce go słuchać — a do tego jeszcze zapadł w tę ciężką samotność, w której nie widzi nikogo, więc go już nikt nawet nie słyszy. Gdyby żył jeszcze nieboszczyk generał, tenby ich wszystkich do swego regimentu zaciągnął i gdzieś poprowadził: ale generała nie ma a tak wszyscy się rozlatują każdy w swą stronę

I niemasz dwóch między nimi, którzyby szli w jedną drogę i razem. Ja może głupi, ale ja wcale nie widzę, coby ich jeszcze trzymało w kupie; więc sobie nad tem rozmyślam i mówię sobie: co to z tego będzie?

— Jużci to prawda poczęści. Jest i pomiędzy nami bardzo wielkie rozdarcie, ale trudnoż dlatego oddać się zaraz rozpaczy: nie dziś to jutro otworzą się jakieś widoki a wtedy wszyscy się wezmą za ręce i pójdą razem do je

dnego celu. Jest przecie jeszcze jakaś przyszłość przed nami...

— To też ja nie rospaczam, — rzekł na to Nurek, — bo i ja o przyszłości nie wątpię a kiedy nad nią rozmyślam, to nawet ją widzę.

— Gdzież ty ją widzisz? — spytał ciekawie Prandota.

Tu Nurek stanął silniej na nogach, twarz mu się ożywiła, oczy mu się rozweseliły, wyciągnął rękę przed siebie a potem rzekł:

— Widzi jegomość te chaty ze słomianemi strzechami, co teraz toną pomiędzy rozkwitnietymi drzewami a xiężyc je tak jasno oświeca? Już i tych jest bardzo dużo, co oko je widzi, ale za temi jest ich jeszcze daleko więcej a za tamtymi są inne, bez pamięci, bez końca. I czy jegomość spojrzy ku południowi, gdzie szczyty naszych gór sinieją na niebie, czy puści wzrok ku północy, gdzie mgły się wznoszą, nad naszym morzem, wszystkie te ziemie są zasiane takimi samemi chatami — a w nich mieszka tyle Bożego ludu, że go jest więcej niżeli piasku na puszczy i gwiazd na niebie. Po dworach i miastach jest wielkie duszy ludzkiej rozdarcie a w tem rozdarciu myśl Boża omdlewa : ale' w tym ludzie żyje to, co tam umiera, w nim też jest siła, w nim przyszłość.

Prandota rad widział tak żywą wiarę, tryskającą z ust człowieka okrytego prostą siermięgą, ale rozumem swoim nie mógł jej podzielić i rzekł:

— Opatrzność posługuje się czasem takimi środkami, których rozum ludzki przewidzieć nie może: ale to, coś powiedział, jest, jak mi się zdaje, tylko twojego zacnego serca złudzeniem. Pragniesz, aby tak było, i zdaje ci się, że tak się stanie, ale nasze pragnienia nie zawsze bywają zaspo-

Zaklika. T. HI.

kojowe. Lud wiejski zawsze i wszędzie był, tylko massa, która jakąś myśl w siebie wrzuconą przyjęła i dała się twórcom, tej myśli prowadzić, ale sama nigdy własnej myśli nią miała. Jeżeli Opatrzność tak zechce* to może go natchnąć jakąś myślą nową, a wtedy lud będzie miał siłę wytwarzającą aże siły, odtwarzającej nigdy mieć nie będzie, bo, toby było przeciw jego naturze...

Prandota chciał jeszcze dalej coś mówić z tego punktu widzenia, ale zastanowił się, westchnął głęboko i umilkł.

Nurek spytał go niecierpliwie:

— Więc cóż z tego będzie ?

A Prandota odpowiedział mu na to:

— Największe to dla narodu nieszczęście, jeżeli jego dusza zasnęła. Wszystko,, co, na tej ziemi się rodzi albo odradza, rodzi się i odradza, nie z ciała, lecz z ducha. Cię- żkpiśmy zawinili, jeżeli to prawda, żeśmy się oddali rospaczy i w tej bezsilności, która teraz nas trapi, o naszej własnej djiszy zwątpili. Ale ja temu nie wierzę. Pan Bóg, skazawszy nas za grzechy nasze na wielkie cierpienia, za cnoty nasze dał nam tę siłę, której nam trzeba, abyśmy te cierpienia 4 przetrwali. Patrz oto na naszego pana Zaklikę, od niego się wszystkiego nauczysz On przeszedł przez takie wojny okrutne, jakicŁ niewiele było na świecie, przeszedł przez grób za życia i przez srogie więzienia i przez tak wielkie boleści, że jego własny dom mu się w piekło zamienił, a w końcu przeszedł jeszcze i przez bratobójcze trucizny,— a przecież przetrwał to wszystko i jest tak si- len i zdrow, jak gdy. by go w całym życiu żadne nie spotkało nieszczęście. Owóż taka siłą oporu jest dana nam wszystkim. I on tak żyć będzie sto lat albo i więcej : tylko, jak dobr?e powiedziałaś, jego uczucia i myśli nie znajdują

żywego oddźwięku u dzisiejszych pokoleń, bo ten świat, który wyrósł około niego, poszedł innymi drogami. Rdzeń naszego żywota został ten sam, tylko zmieniły się formy. Jakoż ja tak rozumiem, że przy usilnej pracy, przy wielkiej wytrwałości a zarazem przy tej rostopności, którą tylko wielki rozum wytwarza a Bóg błogosławi, jeszcze my nie zginiemy i jes/.cze coś z tego będzie: ale nie to, co było...

Parys, w lipcu 1891.

KONIEC.